

# ANNA KAŃTOCH



## TAJEMNICA DIABELSKIEGO KREGU



Anna Kańtoch

Nina Pankowicz Tom 1

Tajemnica Diabelskiego Kręgu

Nina miała osiem lat, gdy z nieba spadły anioły.

Lepiła z bratem na podwórku bałwana, ona toczyła śnieżną kulę, a Szymek w czerwonym szaliczku i czapce nasuniętej niemal na oczy biegał w kółko i bardziej przeszkadzał, niż pomagał – ale w końcu czego można się spodziewać po trzylatku? Nadciągał wczesny zimowy zmierzch, było mroźnie i jakoś tak dziwnie cicho, jakby nie znajdowali się w środku miasta, tylko gdzieś na odludziu. Zupełnie jakby się miało stać coś ważnego, opowiadała potem koleżankom Nina, choć nie była pewna, czy tej dziwnej ciszy sama sobie przypadkiem nie wymyśliła. Ale faktem jest, że na podwórku nikogo innego nie było, wszystkie pozostałe dzieci odstraszyło zimno. Siedziały pewnie pochowane w swoich mieszkaniach, w kamienicach, które tłoczyły się wokół podwórza, tworząc coś w rodzaju głębokiej, choć obszernej studni. Na murach wciąż widać było ślady po pociskach z czasów niedawnej wojny, przez co budynki wydawały się jeszcze bardziej ponure, lecz Nina i Szymek nie zwracali na to uwagi – mieszkali tu od dawna, Szymek właściwie od urodzenia, i zdążyli się przyzwyczaić.

Zmęczona dziewczynka przystanęła na chwilę, przetarła spocone czoło pod gryzącą wełnianą czapką i spojrzała w górę, żeby się przekonać, czy śnieg

przypadkiem nie będzie dziś wieczorem padał. Jednak niebo było czyste, bez najmniejszej nawet chmurki. Zaczynało już ciemnieć przed nocą i miało teraz odcień niebieskiego, który Ninie kojarzył się z kolorem wody w głębokim, bardzo zimnym jeziorze.

Dziewczynka zamrugła, na niebie pojawił się jasny punkt.

– Patrz, pierwsza gwiazda – powiedziała do Szymka. A potem: – O rany, ona chyba leci w naszą stronę.

Punkt rósł w oczach i zbliżał się do ziemi, ciągnąc za sobą świetlistą smugę.

Nina była mała podczas wojny, niewiele starsza niż Szymek obecnie, ale pamiętała dni, kiedy na miasta spadały niemieckie bomby – i teraz cały strach wrócił. Wiedziała, że powinna uciekać, złapać brata za rękę i pociągnąć go do domu, ale nie potrafiła się ruszyć.

Punkt nie był już punktem, tylko obłym, wąskim kształtem, który mknął w stronę podwórka jak ognisty pocisk. W ślad za nim niebo przecinał szlak powoli rozwiewającego się dymu. Nina odruchowo zatkała uszy, słysząc wizg rozdzieranego powietrza, od jaskrawości płomieni bolały ją oczy. Nad miastem pojawiły się także inne, ognisto-dymne smugi, ale dziewczynka nie zwracała na nie uwagi. Najważniejsza była ta, która za chwilę spadnie na jej dom i zamieni go w gruzy, jak wtedy, jak w czasie wojny.

A ona wciąż nie mogła ruszyć się z miejsca. Wystraszony Szymek przywarł do jej boku i patrzył w niebo z otwartą buzią. Nina czuła już falę gorąca, którą pchał przed sobą płonący pocisk.

Wtedy obły kształt wyhamował i zawisł na chwilę w powietrzu, rozkładając oślepiająco jasne, jak utkane z ognia skrzydła.

Szymek krzyknął z zachwytu.

Gdy anioł miękko wylądował na podwórku, śnieg wokół jego bosych stóp stopił się z sykiem.

Rozdział pierwszy, w którym Nina zostaje wybrana przez anioła i rusza w podróż – lecz nic w tej podróży nie wygląda tak, jak powinno.

Pięć lat później Nina szła polną drogą, przeklinając anioły. Był sierpień i upał nieźle dawał się we znaki. Spocona, brudna i nieszczęśliwa dziewczyna niosła walizkę, w której dawno temu zepsuł się zamek i która teraz obwiązana była kawałkiem konopnego sznurka. O tę odrapaną walizkę wybuchła przed wyjazdem straszna awantura. Nina krzyczała, że nie wsiądzie do pociągu z czymś takim, jej matka natomiast tłumaczyła, że nie mają pieniędzy na kupno nowej walizki. Ostatecznie stanęło na tym, że Nina w ramach rekompensaty dostanie uszytą przez ciotkę krawcową sukienkę. Miała ją teraz na sobie, choć błękitny atłas zdecydowanie nie nadawał się do podróży. Dziewczyna potrafiła się uprzeć, gdy jej na coś zależało, a matka najwyraźniej czuła się winna z powodu walizki, bo nie protestowała.

Cała ta awantura wydawała się tak odległa i mało ważna. Jakby bagaż i strój miały jakiegokolwiek znaczenie.

Nina rzuciła walizkę i usiadła na skraju pylistej drogi. W pończosze na lewej nodze widniała dziura, falbanka sukienki była rozdarta. Wstążka, którą matka związała jej warkocz, dawno się zgubiła i teraz rozpuszczone ciemne włosy grzały jak narzucony na ramiona płaszcz.

Zeszłą noc Nina spędziła na polu w stogu siana, gdzie obudziła się rano zziębnięta, spragniona i głodna. Kilka godzin później zamiast zimna dokuczał

jej upał, a o głodzie zdążyła zapomnieć. Najbardziej męczył ją w tej chwili brak czegoś do picia – miała wrażenie, że spuchnięty język ledwo mieści się w ustach, jej gardło było suche i szorstkie jak kora drzewa. Idąc drogą, ssała słodkie końcówki traw, ale to tylko podrażniało podniebienie. Obiecowała sobie, że jeśli tylko zobaczy jakąś chałupę, pójdzie tam i poprosi o szklankę wody, ale tchórzyła za każdym razem, gdy mijała z rzadka rozrzucone wiejskie obejścia. Jeszcze trochę wytrzymam, powtarzała w myślach; pragnienie wciąż przegrywało ze strachem przed pytaniami, na które Nina nie chciała odpowiadać. Ciekawe tylko, jak długo? Przecież dwukrotnie zdążyła już zgubić drogę, a i w tej chwili wcale nie była pewna, czy idzie we właściwym kierunku.

Rozpłakałaby się, gdyby ostatnio nie robiła tego tak często, że zabrakło jej łez.

Ponad dwanaście godzin spóźnienia, myślała. Czy milicja już jej szuka? I co właściwie ma teraz począć?

A wszystko zaczęło się, rzecz jasna, od anioła.

Sąsiadka przyszła do ich mieszkania późnym wieczorem, gdy Nina leżała już w łóżku. Dziewczyna udawała, że śpi, ale w rzeczywistości pilnie nasłuchiwała przez uchylone drzwi.

– To trzeci taki przypadek – mówiła sąsiadka. – Ciało znaleźli na poboczu drogi. Podobno... – Tu ściszyła głos tak, że Nina wychwyciła tylko kilka słów: „potwornie okaleczony”, „męczyli go” i powtórzone dwa razy „niehumanitarne”.

– Bóg powinien pokarać takich niegodziwców – odparła matka Niny twardym głosem. – Mam nadzieję, że przynajmniej nasz anioł jest bezpieczny...

„Nasz”, czyli z naszej kamienicy, dopowiedziała sobie Nina. Skrzydlaty

mieszkał po sąsiedzku od dwóch tygodni, ale jak dotąd ani dziewczyna, ani jej matka go nie widziały. Na wizytę u anioła trzeba było długo czekać, kolejka państwa Pankowiczów wypadała dopiero w przyszłym miesiącu.

– Jest u Michalaków – oznajmiła sąsiadka. – Ale chyba trzeba będzie go przenieść. Kowalik z dołu zaczyna się czegoś domyślać.

Matka odpowiedziała coś tak cicho, że Nina nie usłyszała. Kobiety szeptały teraz do siebie, a w ich głosach wyczuwało się napięcie.

Dziewczyna leżała z otwartymi oczami, wpatrzona w ciemność. Wiedziała oczywiście, że ludzie ukrywają u siebie anioły, choć nikt jej tego wyraźnie nie powiedział. Dorośli nie ufali dzieciom, zwłaszcza tym młodszym, które beztro- sko mogły zdradzić tajemnicę w szkole albo w innym miejscu. Jednak Nina skończyła już trzynaście lat i rodzice w jej obecności nie pilnowali się aż tak bardzo. Być może nawet matka zabierze ją ze sobą, gdy przyjdzie kolej na ich rodzinę?

Zaufane domy dla skrzydlatych znajdowali najczęściej miejscowi proboszcze, ale ludzie sami też wymieniali się informacjami, u kogo jest bardziej, a u kogo mniej bezpiecznie. Nina na własne oczy widziała karteczki z adresami przechodzące z rąk do rąk pod koniec mszy i słyszała szepty milknące gwałtownie, gdy do zbitej pod kościołem grupki podchodził ktoś niepowołany.

Bo anioły należało chronić. ONI mogli przyjść w każdej chwili i je zabrać.

O tym, co dzieje się później, dorośli w obecności dzieci już w ogóle nie chcieli mówić, ale Nina i tak wiedziała.

ONI zamykali skrzydlatych w ciemnych celach, bili ich pałkami albo kolbami karabinów, przypalali papierosami i polewali lodowatą wodą.

W dodatku ONI razem z aniołami zabierali też ukrywające je rodziny.

ONI to UB, tajne służby komunistów, którzy rządzą krajem i nie lubili ani Boga, ani skrzydlatych. Właściwie to twierdzili, że Boga nie ma, a anioły nie są prawdziwymi aniołami, tylko przysłanymi przez Watykan tajnymi agentami, których zadaniem jest buntować ludzi przeciw jednemu słusznemu systemowi, jakim jest komunizm. Niektórzy uczniowie w szkole Niny w to wierzyli, ale Nina nie. Ona przecież widziała anioła na własne oczy.

Żaden człowiek nie mógłby sfrunąć z nieba na skrzydłach i wyglądać przy tym tak, jak wyglądały anioły.

Przewróciła się niespokojnie na łóżku. Czasem chciała, żeby jej rodzice wzięli do siebie któregoś ze skrzydlatych. Mogłaby wtedy pokazać, jak bardzo jest dorosła, odpowiedzialna i dzielna. Wyobrażała sobie, że ONI podjeżdżają o świcie pod dom czarnym samochodem (to zawsze był czarny samochód), wchodzi do sieni, łomocząc o posadzkę ciężkimi wojskowymi butami, i walą w drzwi, a potem zabierają Ninę w ciemne, ponure miejsce i tam pytają o anioła. Milczałaby, oczywiście, z pogardą znosząc wrzaski i bicie. Nie pisnęłaby ani słowa, a kiedy wróciłaby do domu, matka i ojciec byłiby z niej tak bardzo dumni.

Tyle że przecież wcale nie miała pewności, że właśnie tak by się zachowała, prawda?

Co gorsza, nie miała też pewności, że W OGÓLE by do domu wróciła. Ludzie, których zabrało UB, najczęściej po prostu znikali, jakby nigdy ich nie było.

Dobiegające z kuchni głosy szemrały monotennie. Nina zamknęła oczy, ale nie mogła zasnąć. Jak zawsze wspomnienie o aniele wywołało w niej poczucie

winy. Czy pamiętała dziś o wieczornej modlitwie? Tak, na szczęście tak, choć wczoraj znowu pokłóciła się z matką, a kilka dni wcześniej okłamała ją, mówiąc, że idzie do kościoła, podczas gdy tak naprawdę wybrała się z koleżanką do kina.

Westchnęła.

Przed pięcioma laty, kiedy skrzydlaci spadli z nieba, wszystko wydawało się proste. Ludzie w przybyciu aniołów widzieli znak od Boga i zapowiedź końca świata. Nina pamiętała, jak codziennie przed szkołą biegła na pierwszą poranną mszę (na popołudniowe nie mogła chodzić, bo wtedy kościół był pełny, a ona w tłumie od razu traciła oddech i mdlała). Czuła się wtedy, o rany, prawie jak święci z opowieści, taka pobożna i dobra. Zupełnie serio miała czasem wrażenie, że lada moment rozstąpią się chmury, i ona, Nina, zostanie żywcem uniesiona do nieba. NAPRAWDĘ starała się przestrzegać wszystkich przykazań. Podobnie uczniowie z jej szkoły – z wyjątkiem, oczywiście, dzieci komunistów, które wierzyły w agentów Watykanu. Potem, trzy miesiące po przybyciu aniołów, w Warszawie ludzie wyszli na ulice z krzyżami w rękach, a komuniści zaczęli do nich strzelać. Było mnóstwo ofiar i choć w gazetach pisano tylko o „stłumionych rozruchach”, wszyscy i tak wiedzieli, że kilkudziesięciu warszawiaków zginęło, bo uwierzyło w anioły. Nina płakała, gdy się o tym dowiedziała, i przez pewien czas była jeszcze bardziej pobożna, ale później... cóż, czas mijał, koniec świata jakoś nie nadchodził, a pierwsze wrażenie wywołane przez spotkanie z aniołem zbladło i pewnego dnia przyszedł moment, kiedy Nina zapomniała wieczorem się pomodlić. Jak ona się wtedy bała! Kuliła się pod kołdrą i czekała na diabły, które wyskoczą spod ziemi i za karę zabiorą ją do pie-



kła. Jednak nic takiego się nie wydarzyło i za drugim razem, kiedy znowu zapomniała o modlitwie, strach był mniejszy, później przestała chodzić tak często na msze (szczerze mówiąc, zawsze ją nudziły), a jeszcze później po raz pierwszy pokłóciła się z matką... Teraz Nina niewiele miała wspólnego z dziewczynką, która niegdyś wstawiała bladym świtem i biegła do kościoła. Od czasu do czasu tylko zdarzały jej się wyrzuty sumienia. Wtedy obiecywała sobie, że będzie lepsza – od przyszłego tygodnia albo od początku miesiąca, albo na święta. Zawsze odkładała to na potem i zawsze znajdowała dla swojego lenistwa usprawiedliwienie. Nie było w tym nic dziwnego – podobnie zachowywała się większość szkolnych kolegów i koleżanek Niny, z wyjątkiem może tych, którzy na co dzień mieszkali z aniołami. Ci wciąż byli bardzo pobożni, a dziewczyna poznawała ich po specyficznych rozmodlonych spojrzeniach.

Przez jakiś czas wyobrażała sobie, że jej rodzice biorą do siebie anioła, a ona zdobywa jego sympatię... Mogłaby pokazać mu swoje ulubione albumy z europejskim malarstwem, opowiadać o szkole albo po prostu siedzieć z nim w ciszy. Wiedziała jednak, że to mało prawdopodobne. Księża ufali matce Niny, ale nie jej ojcu, który dawniej, jeszcze przed wojną, należał do partii komunistycznej. Co prawda, nawrócił się, kiedy skrzydlaci spadli z nieba, ale dziewczyna miała wrażenie, że z czasem jego wiara osłabła. Teraz nie sprzeciwiał się żonie chyba tylko dla świętego spokoju – bo w domu Niny to matka wszystkim rządziła. Ojciec rzadko się odzywał, czasem jednak, gdy ktoś mówił o aniołach, dziewczyna chwytiała jego pełne ironii spojrzenie, a raz podsłuchiwała urywek rozmowy rodziców. „To nie mogą być ludzie”, powiedziała matka, „mają przecież skrzydła”. „Gęsi też mają skrzydła”, burknął na to ojciec.

Nina poprosiła w myślach o wybaczenie dla taty niedowiarka i już miała zapaść w sen, ukołysana przyjemnymi myślami o aniele, kiedy otrzeźwił ją dźwięk jej własnego imienia.

– Nina? Moja Nina?

Wyskoczyła z łóżka i podkraśla się do uchylonych drzwi. Jeśli patrzyło się pod odpowiednim kątem, można było z pokoju zobaczyć kawałek kuchni – akurat ten, gdzie teraz przy stole siedziała matka Niny. Jak zawsze miała ściągniętą zmartwieniem twarz z charakterystyczną zmarszczką rysującą się pomiędzy brwiami. Czasem zdarzało jej się niepewnie uśmiechać, ale Nina nie pamiętała, żeby kiedyś była naprawdę wesoła.

Sąsiadka powiedziała coś, czego dziewczyna nie usłyszała. Matka pokręciła głową.

– Ale ona przecież śpi...

Domyślając się, że o niej mowa, Nina szybko wróciła do łóżka. Chwilę później drzwi pokoju otworzyły się szerzej i ciemna sylwetka przysłoniła padające z korytarza światło.

– Ninuś, kochanie, śpisz?

– Tak, mamó – odpowiedziała bez sensu, po czym dodała pośpiesznie: – To znaczy, właśnie się obudziłam.

– W takim razie ubierz się, musimy gdzieś pójść.

– Jest środek nocy – zaprotestowała tylko dla porządku. Wychodzenie o tak późnej porze, jako coś niezwykłego, całkiem jej się podobało.

– Wiem, ale on nie chce czekać. Może zresztą ma rację, może tak będzie bezpieczniej. Wystarczy, że włożysz buty i sweter na pizamę. To tylko dwie

klatki, ale na zewnątrz jest chłodno.

Było lato i nawet nocą temperatura nie spadała poniżej dwudziestu stopni, lecz Nina posłusznie sięgnęła po sweter. Głupio byłoby wyjść z domu w samej piżamie. Bose stopy wsunęła w buty, nie kłopotząc się wiązaniem sznurówek. Czowała się dziwnie, była podekscytowana i jednocześnie trochę wystraszona.

– Idziemy zobaczyć się z aniołem, prawda? – Zapomniała o udawaniu, że spała.

– Tak, dziecko. On chce z tobą porozmawiać.

Nina wstała, podniosła walizkę i zdeterminowana ruszyła w drogę. Energii starczyło jej na kilkanaście pierwszych kroków, potem zwolniła i znów wlokła się w upalnej ciszy, którą mąciło tylko bzyczenie krążących nad polem pszenicy owadów. Oddałaby duszę za szklankę wody i możliwość wyciągnięcia się w pociąg, który wygodnie dowiozłby ją na miejsce.

Już niedaleko, powtarzała pod nosem, choć tak naprawdę nie wiedziała, czy stacja jest daleko, czy blisko. Poczucie odległości straciła jakiś czas temu i teraz mogła mieć jedynie nadzieję, że idzie we właściwym kierunku.

Już niedaleko.

Za jej plecami w ciszę wdarł się turkot wozu.

Nina przystanęła. Tak, niewątpliwie słyszała zbliżający się wóz, to charakterystyczne skrzypienie kół i powolne człapanie podążających wiejską drogą koni. Jej pierwszym odruchem było skoczyć w pszenicę i ukryć się, ale zaraz pomyślała, że jeśli chce, żeby ktoś ją podwiózł na stację, to właśnie ma jedyną okazję. Na tym bezludziu druga się nie trafi.

Otrzeptała więc sukienkę z kurzu i suchych źdźbeł, przeczesała też włosy. Sta-

rała się wyglądać porządnie i zwyczajnie, jakby nie było nic dziwnego w trzy-nastolatce, która wlecze się po pustkowiu ubrana w elegancką, choć brudną sukienkę i z przedwojenną walizką w ręku.

Zza zakrętu wyłonił się wyładowany drewnem wóz. Powoził nim zarośnięty mężczyzna, który mimo upału miał na sobie ciepłą kufajkę, a na nogach nie-możliwie ubłocone gumiaki.

– Hej, panienko – powiedział, zwalnając. – Dokąd to?

– Do Laskowic – odparła Nina.

– Nie jest panienka trochę za młoda, żeby jeździć sama?

– Mam piętnaście lat – skłamała z całym przekonaniem, na jakie było ją

stać. – Zresztą to niedaleko, jadę tylko parę stacji. Brat miał mnie odprowadzić i zanieść walizkę, ale musiał się zająć koniem, który okulał.

Modliła się w duchu, żeby człowiek w kufajce nie zapytał, gdzie mieszka – na wsi wszyscy się znali i trudno byłoby wymyślić wiarygodną odpowiedź. Na szczęście mężczyzna nie był zbyt dociekliwy. Może ciekawości pozbawiła go otwarta butelka piwa, którą ścisnął między kolanami.

– W porządku, niech panienka wskakuje.

Gdy wdrapała się na kozioł, woźnica zaciął konie i zaraz pociągnął z flaszki.

– Ale na piwo jest panienka chyba za młoda, co?

– Wcale nie, chętnie się napiję. – W myślach dodała: błagam. Jej gardło ści-snęło się w oczekiwaniu.

Podał jej nieotwartą butelkę. Nina walczyła przez chwilę z opornym korkiem, nim wreszcie przyłożyła szyjkę do ust. Zakrztusiła się, gdy pienisty płyn wypeł-nił jej gardło, bąbelki poszły nosem. Ulga była tak wielka, że dopiero przy ko-

lejnym łyku poczuła, jak obrzydliwie smakuje piwo.

– Ej, nie tak szybko, bo się panienska spije i z wozu mi spadnie!

Opróżniła butelkę do połowy, a resztę z powrotem zatkała korkiem zawieszonym na cienkim druciku. Od alkoholu i upału zaczął ją morzyć sen. Kiwała się na koźle, na wpół śpiąca, budząc się od czasu do czasu gwałtownie, gdy wóz podskakiwał na wertepach.

Woźnica śmierdział potem, który wydobywał się spod jego ciepłej kufajki, nad końskimi bokami polatywały z bzyczeniem wielkie muchy. Nina zdążyła jeszcze pomyśleć, że nie przepada za wsią...

Anioł czekał na nich w mieszkaniu państwa Michalaków. Wyglądał dziwnie, gdy tak siedział w fotelu na tle ponemieckiej szafy i tapety w różyczki. Jak egzotyczny kwiat wyrosły w przydomowym ogródku, uznała Nina. Bo anioł oczywiście zachwycał urodą. Wyglądał trochę jak młody Rafael z Autoportretu (Nina, wielbicielka malarstwa, lubiła takie porównania): włosy spływały mu na ramiona ciemnymi falami, czarne oczy kontrastowały z bielą cery, a cała jego twarz tchnęła słodyczą i łagodnym smutkiem. Jednocześnie wydawał się jakby... zbyt doskonały i w tej doskonałości bardzo obcy. Brakowało mu ciepła, jakie dają ludziom ich drobne wady. Był piękny, owszem, lecz było to piękno, które można podziwiać, ale nie pokochać.

Dziewczyna wystraszyła się – nie wolno tak myśleć; jak coś podobnego w ogóle mogło przyjść jej do głowy? Spojrzała na skrzydlatego przelotnie i zaraz spuściła wzrok. Zdążyła jednak zauważyć, że jest ubrany w długą białą szatę. Gdyby zobaczyła w czymś takim człowieka, uznałaby zapewne, że to koszula nocna, ale ponieważ miała do czynienia bądź co bądź z wysłannikiem

Niebios, doszła do wniosku, że szata brzmi lepiej.

Myśl o koszuli nocnej wyrzuciła czym prędzej z umysłu.

– Podejdź bliżej, dziecko.

Nina zawahała się, ale stojąca za jej plecami matka pchnęła dziewczynę do przodu.

– Nazywasz się Nina, prawda? Urodzona dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku w Stanisławowie?

– Tak. – Zastanawiała się, gdzie anioł ma skrzydła. Za plecami, zwinięte przy oparciu fotela? To chyba byłoby niezbyt wygodne... Nina słyszała kiedyś od koleżanki, że są one jakby mniej materialne od reszty ciała, zbudowane z innej substancji i widać je tylko czasami, gdy skrzydlaty tego chce. Pewnie to było wytłumaczenie. I ciekawe, jakiej płci jest anioł? Nie sposób było tego poznać ani po głosie, ani po twarzy. Równie dobrze można by go wziąć za kobietę o nieco męskim typie urody, jak i za zniewieściałego chłopaka.

O rany, znowu myślała o czymś niestosownym. Co z nią było nie tak?

– Jesteś dobrym dzieckiem? I bardzo kochasz Boga? – pytał anioł, a Nina w duchu jeszcze bardziej się zawstydziała. I wciąż nie potrafiła unieść głowy.

Matka położyła dłonie na jej ramionach i ścisnęła, jakby ponaglając córkę.

– Ja... eee... tak, oczywiście.

Uścisk matczynych dłoni zelżał nieco.

– W takim razie mam dla ciebie niespodziankę. Pojedziesz do miejscowości Markoty nad pięknym jeziorem, zamieszkasz w starym klasztorze i spędzisz tam jakiś czas, bawiąc się i wypoczywając. Potraktuj to jako wakacje. Chciałabyś pojechać na wakacje, prawda?

– Pewnie. – Nina starała się myśleć o czymś odpowiednio wzniosłym i godnym sytuacji, ale jedyne, co jej przychodziło do głowy, to pytanie, czy dałoby się wymyślić jakiś sprytny sposób, by anioł wreszcie użył konkretnej formy gramatycznej: męskiej albo żeńskiej. I dlaczego właściwie ona miałaby jechać na wakacje?

Ostatnie pytanie zadała na głos i natychmiast poczuła, że dłonie matki znów się zaciskają.

– Dobrych dzieci jest mnóstwo – sprecyzowała Nina, zapominając zaprotestować przeciwko nazywaniu jej dzieckiem. – Czy to znaczy, że wszystkie tam pojedą? Do jednego klasztoru? Jak się tam zmieszczą? A dobry to bardzo niejasne określenie. – Narastającą frustrację matki wyczuwała niemal namacalnie, ale gdy już się rozpędziła, nie potrafiła przestać mówić. – Dobry w jakim sensie? Grzeczny? Miły? Szlachetny? Coś innego? Tak czy inaczej, ja nie zasługuję na taką nagrodę – dodała uczciwie i ze stosowną pokorą, postanawiając w duchu, że teraz już NA PEWNO się zmieni i postara się być lepsza. Nie od przyszłego tygodnia, ale od jutra. Kiedy tylko się obudzi, pójdzie do kościoła, nie będzie się wykręcać od zmywania talerzy, dokuczać młodszemu bratu ani wyobrażać sobie, że szkolny woźny jest amerykańskim szpiegiem, i śledzić go na przerwach. I żadnego zastanawiania się nad płcią skrzydlatego czy jego koszulą nocną (ciekawe, czy odpruł koronki...).

Miała wrażenie, że oczy anioła przewiercają ją na wylot, dostrzegając wszystkie drobne grzeszki.

– Jakie mądre dziecko. – Roześmiał się. Powinno go to uczynić ludzkim, ale w jakiś sposób sprawiło, że wyglądał jeszcze bardziej obco. – I jakie skromne.

Ależ oczywiście, że zasługujesz. My potrafimy to ocenić najlepiej. Po prostu zaufaj nam i nie zadawaj więcej pytań. Niech to rzeczywiście będzie niespodzianka. Zapewniam, że okaże się przyjemna, a w Markotach nie spotka cię nic złego.

– Oczywiście, że nie – wtrąciła gorliwie matka Niny. – Mojej córce z pewnością nic takiego nie przysłoby do głowy. Proszę jej wybaczyć, to naprawdę dobre dziecko, tylko czasem bywa... – urwała, a Nina wiedziała, że ostatnie słowo miało brzmieć „przemądrzała”. A może „uparta”?

– To naprawdę dobre dziecko – powtórzyła kobieta. – Ja i moja córka jesteśmy bardzo wdzięczne za twoją łaskę. To wielki zaszczyt. Zrobimy dokładnie tak, jak sobie życzysz i nie będziemy o nic pytać.

Wtedy Nina po raz pierwszy w życiu poczuła, że się za matkę wstydzi. Nikt przed nikim nie powinien się tak płaszczyć. Nawet człowiek przed aniołem.

– No, jesteśmy na miejscu. – Gdy chłop ściągnął koniom wodze, Nina ocknęła się gwałtownie. Głowę miała ciężką, a w ustach całą Saharę. Łakomie spojrzała na butelkę, ale reszta piwa tymczasem zdążyła zniknąć.

– Zeskakuj, panienko – pogonił ją woźnica.

Nina nie tyle zeskoczyła, co zsunęła się z kozła bez większego wdzięku. Była niewyspana, spragniona, a do tego otumaniona upałem. I miała dość. Szarpnęła ze złością walizkę, omal nie odrywając jej ucha.

Dopiero kiedy chłop odjechał, rozejrzała się wokół. Laskowice okazały się niewielką miejscowością, w której nic się chyba nie zmieniło od czasów przedwojennych. Domy stojące wzdłuż dziurawej, zapaskudzonej końskimi odchodami ulicy były niskie i zaniedbane; wyróżniał się spośród nich jedynie sporych



rozmiarów piętrowy budynek, który wyglądał na dworzec. Nina odetchnęła z ulgą – przynajmniej ten problem odpadał.

Problemem pozostało to, że ludzie się na nią gapili.

Uświadomiła sobie, jak wygląda: rozczochrana po nocy spędzonej na polu, ze źdźbłami siana we włosach i oderwaną falbanką od sukienki. Niezbyt trzeźwy chłop mógł nie zwrócić uwagi na jej wygląd, ale tutaj niewątpliwie przyciągała spojrzenia.

Czym prędzej schroniła się w malutkim sklepiku, gdzie kupiła bułkę drożdżową i butelkę oranżady. Zjadła, ignorując zaciekawione spojrzenia sprzedawczycy, a potem, dokładnie w chwili, gdy kobieta otwierała usta, żeby zadać pytanie, zebrała się na odwagę i wyszła z powrotem na ulicę.

W dworcowej toalecie umyła się, uczesała i przebrała w starą, ale za to czystą kraciatą sukienkę. Dziurawe pończochy zdjęła i wyrzuciła, półbuty zmieniła na sandały. Nim wyszła, obejrzała się porządnie w pękniętym lustrze.

Wyglądała teraz o niebo lepiej.

W poczekalni wisiał olbrzymi rozkład jazdy z czarnymi cyframi i literami wymalowanymi na białej metalowej tablicy. Nina odszukała właściwy pociąg – najbliższy odjeżdżał dopiero po czternastej, co oznaczało parę godzin czekania.

Zerknęła do portfela i z przerażeniem stwierdziła, że ma mniej pieniędzy, niż jej się wydawało. A w dodatku jeszcze kupiła bułkę i oranżadę... Trudno, teraz i tak nic na to nie poradzi.

Podeszła do kasy.

– Ile kosztuje bilet do Markotów?

– Dwadzieścia złotych – odparła kobieta obojętnie.

Pod dziewczyną ugięły się nogi.

– A na bilet do której stacji starczyłoby mi pięć?

Tym razem na odpowiedź musiała czekać znacznie dłużej.

– Do Smętowa.

– Niech będzie Smętowo. – Nina wyraźnie czuła, że jej sprytny plan niezwracania na siebie uwagi właśnie wziął w łeb. Smętowo, dobra nazwa. Odpowiadała jej obecnemu nastrojowi.

Odeszła od kasy, odprowadzana podejrzliwym spojrzeniem, ściskając w spoczonej dłoni mały kartonik i kilkadziesiąt groszy reszty. Odrobina rozsądku, która jeszcze jej została, powstrzymała dziewczynę przed tym, żeby zacząć biec.

Jednak nie zmieniło to faktu, że i tak absolutnie wszyscy na dworcu patrzyli w jej stronę. A przynajmniej takie miała wrażenie. Spuściła głowę, usiłując zasłonić twarz włosami, i zaraz została za to ukarana, bo wychodząc z dworca, przeciągnęła walizkę po stopach mężczyzny, z którym mijała się w drzwiach.

Wymamrotała przeprosiny, a mężczyzna burknął coś o niewychowanej młodzieży.

To zdecydowanie nie był dobry dzień. Choć z drugiej strony i tak wypadał lepiej niż wczorajszy.

O wczorajszym Nina nie chciała myśleć.

Ale i tak myślała.

Przez kilka dni poprzedzających wyjazd Niny jej matka wyglądała na prawie szczęśliwą. Nie śmiała się – nawet spotkanie z aniołami tego nie dokonało, ale jej smutna twarz jakby jaśniała wewnętrznym blaskiem. Nina czuła, że okrucieństwem byłoby tę radość mącić, i dlatego nie wspominała o swoich wątpli-

wościach.

Na przykład o niedającym jej spokoju pytaniu, dlaczego właśnie ona. Gdy anioł powiedział, że zasługuje na nagrodę, uwierzyła mu i poczuła się dumna, ale potem im dłużej myślała, tym mniej miało to sensu. Uczyła się dobrze, owszem, była też – no, w większości przypadków – grzeczna i posłuszna. Co z tego? Nastolatków mądrzejszych i miłszych niż ona znalazłyby się tysiące. Dlaczego anioły wybrały właśnie ją? Kiedyś Nina może i była naprawdę dobrym, pobożnym dzieckiem, ale teraz... teraz już nie, myślała, wspominając sprzeczki z matką, zmyślane historyjki i godziny spędzone w kościele na rozważaniach, czy dałoby się gdzieś kupić powieść przygodową tak malutką, że zmieściłaby się w okładkę książeczki do nabożeństwa.

I czemu nie wolno jej było zadawać żadnych pytań? Po co tajemnice, jeśli to rzeczywiście miały być tylko wakacje?

Nina przeżyła te kilka dni jak w transie. Dręczona na przemian ciekawością i wątpliwościami na niczym się nie potrafiła skupić. Wszystko leciało jej z rąk. Wreszcie nadszedł wyczekiwany wtorek i upiornie wczesną porą znalazła się w przedziale pociągu. Była przyjemnie podekscytowana, a w nowej błękitnej sukience czuła się bardzo ładna i bardzo dorosła. O walizkowej awanturze zdążyła już zapomnieć. Miała kupiony wcześniej w Orbisie bilet, a na drogę wielki termos z herbatą oraz stos kanapek z żółtym serem i pomidorem. Matka do znudzenia powtarzała jej rzeczy, o których dziewczyna doskonale wiedziała. Że pociąg planowo powinien być na miejscu krótko po osiemnastej, co oznaczało jedenaście godzin podróży, w czasie której Ninie nie wolno rozmawiać z nieznajomymi ani robić „innych głupstw”.

Że na stacji w Markotach ktoś będzie na nią czekał z samochodem.

Że jeśli zabraknie jej pieniędzy na bilet powrotny, ma natychmiast zdeponować do domu.

Że matka rozmawiała już z konduktorem, który obiecał mieć na młodą pasażerkę oko, i jeśli tylko Nina będzie miała kłopoty, powinna się do niego zwrócić o pomoc.

A przede wszystkim, że Ninie absolutnie nie wolno nikomu zdradzić, dokąd i po co jedzie (na to ostatnie dziewczyna odparła, że jak miałyby zdradzić, po co jedzie, skoro sama tego nie wie, ale matka pominęła jej uwagę milczeniem).

Wreszcie pociąg ruszył z peronu wrocławskiego dworca. Nina wrzuciła walizkę na siatkę i usadowiła się wygodnie. To był pociąg dalekobieżny, więc zamiast twardych ławek miał obite gąbką siedzenia. Przez jakiś czas patrzyła na przemijający za oknem krajobraz, potem wyjęła książkę i zagłębiła się w trzecim tomie przygód hrabiego Monte Christo.

Konduktor, który obiecał od czasu do czasu do niej zaglądać, nie zjawił się ani razu, co przyjęła z radością. Tym bardziej mogła poczuć się jak dorosła.

Była pewna, że nie potrzebuje żadnej opieki i doskonale poradzi sobie sama.

Ponieważ do odjazdu pociągu zostało kilka godzin, nie chciała siedzieć na dworcu – zwłaszcza że kobieta w kasie mogła uznać Ninę za uciekinierkę i zawiadomić milicję. Kręciła się więc po Laskowicach, taszcząc ze sobą ciężką walizkę, bo za każdym razem, gdy zatrzymywała się na dłużej w jednym miejscu, miała wrażenie, że ludzie zaczynają dziwnie na nią patrzeć. W rezultacie trochę czasu spędziła w niewielkim parku, czytając na ławce książkę, a trochę

nad jeziorem, gdzie moczyła obolałe stopy w wodzie. Potem obejrzała zniszczony pod koniec wojny pałac.

Cały czas dręczyły ją wspomnienia.

Wszystko zaczęło się od anioła, ale tak naprawdę dopiero gdy do przedziału wszedł Sławek, nieszczęścia zaczęły sypać się jak groch z rozerwanego worka.

Oczywiście z początku Nina nie wiedziała wcale, że to Sławek. Najpierw był to dla niej tylko bardzo przystojny chłopak, który wsiadł w Lesznie. Nawet w przybrudzonych spodniach, dziurawej koszulce i z plecakiem w ręku wyglądał, jakby przed chwilą zszedł z filmowego ekranu. Był piękny jak anioł, tylko że nie było w nim tej dziwnej obcości. Wręcz przeciwnie, mimo niesamowitej urody wydawał się, no cóż... po prostu bardzo sympatyczny.

– Mogę się dosiąść? – Błyskając w uśmiechu białymi zębami, wskazał miejsce obok Niny, która, onieśmielona, skinęła głową.

– Co czytasz?

Mama wprawdzie jej mówiła, żeby z nikim nie rozmawiała, ale przecież głupio tak siedzieć i się nie odzywać...

– Hrabiego Monte Christo – odparła po chwili walki z samą sobą.

– O, nie znam tego.

– Naprawdę? – Odrobina poczucia wyższości pozwoliła Ninie pokonać onieśmielenie.

– Naprawdę. Jestem Sławek – przedstawił się.

– Nina.

– Dokąd jedziesz?

Jeszcze bardziej głupio byłoby teraz odmówić odpowiedzi...

– Do Markotów – odrzekła. – Do rodziny na wakacje.

– Niesamowite. Ja też. To znaczy – Sławek znowu pokazał w uśmiechu zęby

– nie miałem na myśli, że jadę do rodziny, ale że do Markotów.

– Po co? – wyrwało się Ninie, zanim uprzytomniła sobie, że to niegrzecznie tak wypytywać.

– Takie tam sprawy. – Machnął ręką, a ona nie dociekała. Skoro nie chce mówić, to nie. Najważniejsze, że przez resztę drogi będzie miała dobre towarzystwo.

Dziesięć minut przed odjazdem pociągu Nina wróciła na dworzec. Na peronie drugim była tylko jedna ławka, zajęta przez grubą kobietę, która między nogami trzymała pękatą torbę. Nina usiadła obok na tyle daleko, że nieznajoma nie zwróciła na nią uwagi, a jednocześnie wystarczająco blisko, by ktoś przechodzący obok mógł pomyśleć, że to matka i córka czekające na pociąg.

Przemknęło jej przez głowę, czy aby nie przesadza, ale zaraz skarciła się w myślach – lepszy zbytek ostrożności niż jej brak.

Na peron wszedł milicjant.

Nina zeszywniała. Nie mogłaby się teraz ruszyć, nawet gdyby chciała – strach całkiem ją sparaliżował. Spojrzenie wbiła we własne stopy, a potem skuliła się odruchowo. Niejasno zdawała sobie sprawę, że powinna zachowywać się naturalnie, robić coś, co robią nudzące się na dworcu trzynastolatki, ale kłopot w tym, że nie wiedziała, co to właściwie miałyby być. Gapienie się w dal, czytanie czegoś, obgryzanie paznokci? W głowie miała kompletną pustkę. Tak czy inaczej, nie powinna garbić się i spuszczać wzroku. Jednak z drugiej strony, gdyby milicjant zobaczył przerażenie w jej oczach, z pewnością by

się nią zainteresował.

Miała wrażenie, że nad jej głową wisi wielki znak z napisem: Patrz tutaj.

Milicjant przeszedł leniwie przez peron i zniknął w przejściu podziemnym.

Nina odetchnęła, dopiero teraz uświadamiając sobie, że ze zdenerwowania trzęsą się jej kolana.

Liczyła czas do przyjazdu pociągu i broniła się przed wspomnieniami. A przynajmniej próbowała się bronić, ale one i tak napływały niepowstrzymane jak wzbierająca po deszczu woda.

Przed dziesiątą poranny chłód zniknął już zupełnie i w przedziale zrobiło się tak duszno, że pasażerowie pootwierali okna. Jechali odtąd w przeciagu, który mierzwił włosy i dmuchał w twarze, przynosząc ze sobą letni zapach trawy i lasu. Nina od czasu do czasu zdejmowała buty i stawiała na siedzeniu, by wyjrzeć na zewnątrz. Pęd powietrza zatykał jej wtedy oddech, a drobinki sadzy w każdej chwili mogły wpaść do zmrużonych oczu, ale i tak patrzyła: na pola, które przesuwały się przed nią jak różnobarwne wzory na makatce, i siwą smugę dymu wijącą się na tle błękitnego nieba.

To były najpiękniejsze chwile podróży. Sławek pokazywał jej magiczne sztuczki, a ona na próżno próbowała nadażyć wzrokiem za jego nieprawdopodobnie szybkimi, zręcznymi palcami. Opowiadał także swoje przygody, których miał tyle, że można by obdzielić kilka osób. Był sierotą – rodziców stracił w czasie wojny, a że żadnych innych krewnych nie miał, wychowywał się w państwowych sierocińcach. Z ostatniego uciekł, gdy skończył czternaście lat, i odtąd włóczył się po Polsce. Przez jakiś czas pracował nad morzem jako rybak, potem pojechał w Bieszczady, gdzie zatrudnił się przy wyrębie lasu. Miał

z tego niewielkie pieniądze, dzięki którym żył.

– Powiedziałeś im, że masz skończone osiemnaście lat? – Ninie nie mieściło się w głowie, że można być niewiele starszym od niej i pracować jak dorosły.

– Nie. – Sławek znowu wyszczerzył zęby. – Nie mówili ci rodzice, że brzydko jest kłamać? Powiedziałem tylko, że mogę i chcę pracować, co było prawdą.

– A dokumenty?

– Nie mam dokumentów. – Kolejny uśmiech. – Tak się jakoś złożyło, że zgubiłem te, które mi dali w domu dziecka, a o następne się zatroszczę, jak skończę osiemnastkę.

– I nikt nie chciał od ciebie jakiegoś dowodu albo coś?

– Nie, widać mam taką szczerą twarz.

Ninę właściwie to nie dziwiło. Sławek sprawiał wrażenie znacznie starszego, niż był w rzeczywistości. I nie chodziło tylko o wygląd, ale przede wszystkim o zachowanie. Był pewny siebie i mówił tak, że człowiek odruchowo mu wierzył. Gdyby któregoś dnia strzeliło mu do głowy przedstawić się jako Marsjanin, minęłaby pewnie dłuższa chwila, nim ktokolwiek zakwestionowałby jego słowa.

W ramach rewanzu Nina opowiedziała mu treść Hrabiego Monte Christo, zmyślając finał, którego nie zdążyła doczytać. Gdy zbliżała się do końca, pociąg wtoczył się na dworzec w Poznaniu.

A potem stał tam i stał. Ludzie zdążyli wysiąść i wsiąść, Nina odesłała Dantesę na zasłużony odpoczynek w ramionach wiernej Hayde, a oni wciąż tkwili na dworcu w letnim upale, który przy braku ruchu coraz bardziej dawał się we znaki.



Na peronie jasnowłosy chłopak jadł lody. Po chwili nadciągnęła dziewczynka niosąca dwa rożki: dla siebie i małej siostrzyczki. Ninie zaświtała pewna myśl.

– Jak długo będziemy tu stać? – zapytała przechodzącego pod oknem konduktora.

– Jeszcze z dziesięć minut. Czekamy na pociąg ze Szczecina.

– Wskoczę i kupię nam lody, co ty na to? – zwróciła się do Sławka. –

Gdzieś tu musi być budka.

– Nie zdążysz – zaniepokoił się chłopak.

– Zdążę. Jeśli będzie kolejka, po prostu wrócę.

Wyskoczyła na nagrany słońcem peron i pognała w stronę budynku dworca.

Zręcznie lawirując pomiędzy ludźmi, bagażami i wózkami z płaczącymi dziećmi, przebiegła przez halę główną, po czym dopadła przeszkłonych drzwi, nad którymi wisiała tablica WYJŚCIE DO MIASTA. Budka powinna być za nimi, jednak problem polegał na tym, że jej nie było. Co gorsza, indagowani przechodnie nie mieli pojęcia, gdzie tu można kupić lody. Jakby los sprzysiągł się przeciwko dziewczynie. A czas uciekał, odmierzany wskazówkami wielkiego dworcowego zegara.

Nim znalazła wreszcie budkę, minęły trzy minuty. I kolejne, stracone na bieg przez halę główną. Nina była już spóźniona. Niewiele, może kilkadziesiąt sekund, lecz to wystarczyło. Pędząc podziemnym przejściem, usłyszała gwizd, a gdy pokonała schody, zobaczyła już tylko tył pociągu, który oddalał się, z każdą chwilą nabierając prędkości. Peron był pusty, jakby wymieciony do czysta. Stał na nim jedynie Sławek, który w jednej ręce trzymał swój plecak, a w drugiej walizkę Niny.

Pociąg wtoczył się na stację punktualnie, sapiąc i wypuszczając z komina kłęby pary. Dziewczyna od razu wcisnęła się w najdalszy kąt przedziału. Razem z nią jechała wybierająca się na wakacje rodzina. Dzieci śmiały się i wyglądały przez okno, dorośli jedli kanapki, popijając je herbatą z termosu. Od zapachu gotowanych jajek Nina znów zrobiła się głodna. Potem, w ostatniej chwili przed odjazdem, do pociągu wpadła hałaśliwa grupa młodzieży w harcerskich mundurach i z wielkimi plecakami. Nie byli wiele starsi od Niny.

Mogłabym też pojechać na obóz, pomyślała. Albo na kolonie, albo z rodzicami na wieś czy nad morze. Wszystko jedno. Mogłabym mieć normalne wakacje.

W szybie odbijała się jej twarz z ustami wykrzywionymi jak do płaczu, ale Nina zamrugnęła i udało jej się opanować łzy. Nie chciała, by ludzie w pociągu na nią patrzyli lub, co gorsza, próbowali pocieszać. Poza tym wiedziała, że rozpacz w niczym już teraz nie pomoże.

Przymknęła oczy. Do Smętowa była bezpieczna, a potem... potem się zobaczy. Nie miała siły w tej chwili nad tym myśleć.

W przedziale było gorąco, rozgrzany materiał tapicerki na siedzeniach niemal parzył skórę. Jeden z harcerzy zaczął grać na gitarze, koła pociągu stukotały w monotonnym rytmie...

– Matka mnie zabije – powiedziała Nina, gapiąc się ponuro na plakat oznajmiający „Wykuwamy podstawy socjalizmu. Plan 6-letni”. Lody, na które straciła ochotę, topniały w słońcu, spływając jej po ręce. Skrzywiła się, wyrzuciła je i sięgnęła po chusteczkę, którą otarła dłonie. Sławek objął dziewczynę pocieszającym gestem. Mógł odjechać, nie musiał wysiadać, a jednak to zrobił i –

co więcej – wcale nie wydawał się wściekły. Nina wolałaby chyba, żeby był zły, bo teraz poczucie winy przygniatało ją, jakby ktoś wrzucił jej na plecy kołtwicę. Poczucie winy i złość na samą siebie. Jak mogła być taką idiotką?

– Macie w domu telefon?

– Nie, ale sąsiedzi mają – ożywiła się.

– W takim razie spróbuj zadzwonić, może jakimś cudem ci się uda, a ja pójde sprawdzic, czy jest jakieś sensowne połączenie do Markotów.

Skinęła głową i powlokła się szukać budki. Znalazła ją niemal od razu, ale w słuchawce monotony głos powtarzał tylko „międzymiastowa, proszę czekać”. Nina próbowała kilka razy, wrzucając do automatu kolejne monety, aż wreszcie wygonił ją niecierpliwy syk starszej pani, która czekała w kolejce.

– Jest połączenie, nawet całkiem niezłe – oznajmił Sławek, wróciwszy. –

Przez Bydgoszcz. Na miejscu będziemy koło dziewiątej wieczorem. To tylko trzy godziny później.

– Tobie łatwo mówić, o ciebie nikt się nie martwi – burknęła Nina.

– Chciałbym, żeby ktoś się o mnie martwił, uwierz – odparł tak poważnie, że dziewczynie od razu zrobiło się głupio. I chyba przesadzała. Jej pociąg planowo miał być w Markotach po osiemnastej, a o tej porze urzędy pocztowe są już zamknięte, więc ci, którzy na nią czekają, mogliby wysłać depezę najwcześniej jutro rano. Do tego czasu Nina dawno zdąży dotrzeć na miejsce.

Wtedy jeszcze wierzyła, że wszystko będzie w porządku. I kiedy minęła już pierwsza złość i rozpacz, uznała nawet, że to całkiem niezła przygoda.

Uczucie to towarzyszyło jej, gdy kupowali bilety, a potem czekali na pociąg, popijając oranżadę. I później, gdy jechali do Bydgoszczy i tam się przesiadali.

Prawie do Laskowic. Wtedy pech znowu dał o sobie znać, tym razem znacznie bardziej.

– Bilety do kontroli.

Nina otworzyła oczy. Ile spała? Z pewnością niedługo, nie mogli przecież minąć Smętowa...

A jeśli?

Jeden rzut oka przez okno uświadomił jej, że musiało być późno, bo światło miało już charakterystyczną dla nadciągającego wieczoru czerwonawą barwę.

– Bilety proszę. – Tym razem głos rozległ się bliżej.

Zrobiło jej się słabo. W przedziale nie było jedzącej kanapki rodziny. Naprzeciwko niej siedział starszy mężczyzna ubrany z przedwojenną elegancją.

W ręku ścisnął ozdobną gałkę laski, a dziewczynie przyglądał się z wyraźną ciekawością.

– Minęliśmy Smętowo? – zapytała.

– Dawno temu. Przespała panienka stację?

– Niech to diabli! – wrzasnęła. Odzyskała nagle siły i złapała walizkę. Nie zważając na ścigające ją pełne protestu okrzyki ludzi, których biła bagażem po kolanach, pognęła w stronę drzwi. Z siłą, o jaką sama siebie by nie podejrzewała, szarpnęła blokującą je wajchę, a potem cisnęła walizkę na zewnątrz.

Pęd zimnego powietrza rozwiewał jej włosy, łoskot pociągu był teraz znacznie głośniejszy. Odgłos żelaza uderzającego o żelazo, monotonne tu-dum, tu-dum, które wdzierało się do głowy, tłumiąc myśli.

Wiedziała, że jeśli nie zrobi tego od razu, zabraknie jej odwagi.

Pociąg zwalniał na szerokim łuku zakrętu, ale i tak jak na gust Niny jechał

zdecydowanie zbyt szybko. Omiotła spojrzeniem obłoki na niesamowicie wysokim, odległym niebie i zielen pól rażno umykającą w dal. Trwało to może pół sekundy.

Zamknęła oczy i z desperacją skoczyła.

W ciemności świat fiknął koziołka, a Nina wyciągnęła rękę. Uderzenie o nasyp pozbawiło ją tchu, zapiekła zdzierana z dłoni i kolan skóra, a kiedy dziewczyna zsuwała się po kamienistym zboczu, sukienka podjechała jej do pasa.

Odruchowo zatkała uszy, podczas gdy reszta składu z łomotem przetaczała się nad jej głową.

Potem ostrożnie wstała.

Pociąg niknął w oddali, a Nina była cała. Chyba. W skórę na kolanach powbijały się drobinki żwiru, ręce miała otarte do krwi. Ale mogła chodzić, wdrapała się więc, trochę tylko kulejąc, z powrotem na nasyp i rozejrzała się.

Była to ponura, niegościnna okolica. To, co Nina wzięła za zielone pola, było w rzeczywistości zdradliwie bagnistymi łąkami, nad którymi krążyły roje komarów. Rachityczne brzozy i olchy wyglądały w tym krajobrazie dziwnie nieswojo, skulone nad okami zarosłej rzęsą wody i powykręcane przez wiatr w dziwaczne kształty. W chłodnym, przedwieczornym już powietrzu unosiła się woń gnijących roślin, a pod szarym jak ołów niebem Nina poczuła się bardzo mała i bardzo samotna. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnej ludzkiej siedziby.

Wróciła po walizkę, bo ostatecznie co innego mogła zrobić?

Na wpół bała się, że znajdzie swoje ubrania rozwłóczone po poboczu, a na wpół cieszyła ją taka perspektywa – może wtedy matka kupiłaby jej nową walizkę? Jednak przeklęty bagaż okazał się odporny jak kasa pancerna – leżał

grzecznie pod nasypem, cały i nawet nieodrapany. Nina podniosła go, syknąwszy z bólu, gdy zacisnęła poranioną dłoń na rączce, i powędrowała wzdłuż torów.

Nie miała pojęcia, gdzie jest.

Ani jak daleko do Markotów.

I czy zdoła dotrzeć tam przed zmrokiem.

I przede wszystkim nie miała pojęcia, co zrobi, jeśli się jej nie uda. Nie mogła przecież spędzić kolejnej nocy na dworze. Nie tutaj, gdzie do wyboru miała spanie wśród bagien albo na torach.

Pocieszał ją tylko fakt, że słońce wisiało nisko nad horyzontem, a to znaczyło, że jeśli pociąg nie miał spóźnienia, powinna być blisko celu. Poza tym sen w przedziale na coś się przydał – Nina odzyskała przynajmniej siły i szła teraz szybkim krokiem, nucąc dla dodania sobie odwagi. Skóra zdarta z dłoni wciąż paskudnie piekła, a wspomnienia towarzyszyły dziewczynie jak złe duchy.

Sławek podniósł gazetę, którą ktoś zostawił w przedziale, i zagłębił się w lekturze.

– Prasa kłamie – powiedziała Nina przekornie.

– Wiem. – Chłopak pokazał w przelotnym uśmiechu białe jak śnieg zęby. –

Ale możesz czytać między wierszami, jeśli tylko wiesz jak.

– I co wyczytałeś?

Nachmurzył się.

– Zginął kolejny anioł. Znaleźli go na poboczu drogi gdzieś pod Zakopanem.

Podobno wyglądał strasznie – tylko po twarzy można było jeszcze poznać, że

to nie jest człowiek.

– Wiem. – Nina potaknęła z mądrą miną, przypominając sobie podsłuchany fragment rozmowy. – Zabiło go UB.

– Nie byłbym tego taki pewien. Kiedy ktoś wpadnie w ręce UB, po prostu znika. Oni nie porzucają ciał na poboczu.

– Komu innemu mogłoby zależeć na śmierci anioła?

– To jest dobre pytanie. – Sławek złożył gazetę.

Nina przypomniała sobie później tę rozmowę, jednak w tamtej chwili poczuła tylko gwałtowny przypływ żalu i oburzenia – jej matka miała rację, Bóg powinien ukarać niegodziwców, którzy robią takie rzeczy. Obiecała też sobie w duchu, że będzie się starać, aby anioły mogły być z niej dumne. Do tej pory nie bardzo jej wychodziło, ale to się zmieni.

Sławek, chcąc najwyraźniej odciągnąć uwagę towarzyszki od ponurych myśli, zaczął opowiadać dykteryjki o zwyczajach beskidzkich górali. Nagle urwał w połowie puenty. Nina przez chwilę czekała na dalszy ciąg, a ponieważ chłopak milczał, zmarszczyła zdziwiona brwi.

– Dobrze się czujesz?

Sławek patrzył na nią, ale zdawał się jej nie widzieć. Zbladł i nagle jego piękna twarz skurczyła się ze strachu.

– Musimy zatrzymać pociąg – powiedział.

– Co? – Była to jedyna odpowiedź, na jaką zdobyła się Nina.

– Tam jest człowiek. Zaraz skoczy na tory.

Wstał i energicznie zaczął przeciskać się przez grupę młodych ludzi, którzy zajmowali większą część przedziału. Nina podążyła za nim, powodowana nie

tyle jakąkolwiek rozsądną myślą, ile troską i strachem, że zostanie sama.

Sławek dopadł konduktora i zaczął coś mu klarować, lecz nagle jakby zmienił zdanie. Porzucił zdumionego mężczyznę i przepychał się dalej, zbierając sypiące się na jego głowę przekleństwa. Był zdeterminowany i niesamowicie zwinny, ale nawet ktoś taki nic nie mógł poradzić na zagradzający mu drogę tłum.

Nina próbowała iść za nim, choć było jej znacznie trudniej się przeciskać. Mimo otwartych okien miała wrażenie, że zaraz się udusi, brodacze z plecakiem zasłaniał jej widok, a wisząca na stelażu łyżka omal nie wybiła dziewczynie oka.

Zaraz zemdleję, pomyślała, z trudem chwytając oddech. Nienawidziła tłumu i ciasnych pomieszczeń. Wreszcie w desperacji użyła łokci i przepchnęła się do przodu. W tym momencie konduktor złapał ją za ramię.

– Ty dokąd? Powariowaliście? Następna, co...

– Proszę mnie puścić! – wrzasnęła. – Człowiek chce skoczyć na tory! Trzeba zatrzymać pociąg!

I pociąg zaczął hamować. Gwałtownie, ze świdrującym w uszach piskiem żelaza trącego o żelazo.

Nina poleciała do przodu, wprost na rozłożysty brzuch konduktora, który cudem utrzymał równowagę. Inni nie mieli tyle szczęścia. Ludzie przewracali się jak kostki domina, z siatek spadały bagaże. Cały przedział rozbrzmiewał krzykami bólu i przerażenia. A kiedy pociąg wreszcie stanął i przeraźliwy pisk urwał się jak ucięty nożem, nagła nienaturalna cisza zdawała się jeszcze bardziej wypełniać uszy.

W tej ciszy rozległy się przekleństwa ludzi, którzy zbierali się z podłogi, pojękiwania i gwałtowny płacz dziecka.



Nina wykorzystwała okazję, żeby wymknąć się konduktorowi i odnaleźć Sławka. Siedział niedaleko drzwi z twarzą ukrytą w dłoniach. Nina kucnęła obok.

– Ty zatrzymałeś pociąg?

Pokręcił głową.

– Nawet nie zdążyłem się dostać do hamulca bezpieczeństwa. To motorniczy musiał zahamować, kiedy tamten człowiek skoczył na tory. Spóźniłem się.

– Skąd wiesz? Może jednak przeżył. – Nina miała wielką ochotę zapytać, skąd Sławek w ogóle wiedział, że ktoś zamierza skoczyć na tory, ale to chyba nie był najlepszy moment. Chłopak wciąż na nią nie patrzył i zgarbiony wyglądał, jakby go przygniotło wielkie nieszczęście.

– Jest za późno – powtórzył z uporem i wreszcie oderwał dłonie od twarzy.

Po czole spływała mu strużka krwi.

– Sławek! Jesteś ranny.

– To nic. – Pomacał głowę, po czym zde gustowany obejrzał pokryte lepka czerwienią palce. – Spadła na mnie jakaś walizka.

– Nie jakaś walizka, tylko maszyna do pisania. – Nina rzuciła okiem na leżące obok kolan chłopaka kanciaste pudło. Przedwojenna olympia. Jej matka miała w domu taki sam model. – One są ciężkie. Na pewno dobrze się czujesz?

– Najwyżej będę miał porządnego guza. – Wstał i rzeczywiście wyglądało na to, że nic mu nie jest. – Chodź, musimy wracać. Zostawiłaś nasze bagaże bez opieki.

– A... tamten człowiek?

– Dla niego już nic nie możemy zrobić. – Sławek w oczach miał tyle smutku, że Nina nadal nie miała serca dręczyć go swoją ciekawością.

Tymczasem w pociągu ludzie z ust do ust przekazywali sobie pytania i odpowiedzi. Nina słyszała urywki zdań: „...samobójca na torach...” i „...trzeba czekać...”, „...nie wiadomo, jak długo”, a wreszcie: „wezwać milicję...”.

Zamarła, z wrażenia zabrakło jej tchu. Jak mogła o tym nie pomyśleć? Oczywiście, że skoro pod kołami zginął człowiek, maszynista będzie musiał wezwać milicję, która zacznie wypytywać ludzi w pociągu. Nie, pewnie nie wszystkich, Nina powściągnęła rozszalałą wyobraźnię, podsuwającą jej wizję zbiorowego przesłuchania. Ale przynajmniej tych, którzy mogli coś wiedzieć... A konduktor na pewno przypomni sobie, że pewna nastolatka krzyczała: „Zatrzymać pociąg!” jeszcze przed tym, jak samobójca skoczył na tory.

Matka przed wyjazdem ostrzegła Ninę, żeby nie robiła głupstw. Cóż, było już za późno, dziewczyna właśnie popełniła błąd, i to największy z możliwych – zwróciła na siebie uwagę innych ludzi.

Spojrzała na Sławka.

– Ja... muszę wysiąść – oznajmiła. – Przepraszam, ale... Po prostu muszę, w porządku? Ty możesz zostać. – Nie miała pojęcia, co Sławek zdążył powiedzieć konduktorowi, ale zakładała, że nie było to nic aż tak dziwacznego jak słowa Niny. Chłopak sprawiał wrażenie kogoś, kto nawet w chwilach zdenerwowania myśli rozsądnie. – Poradzę sobie – dodała heroicznie.

– Idę z tobą. – Sławek wziął swój plecak i walizkę Niny. Niedokończona krzyżówka, którą rozwiązywał, spadła na podłogę. – Masz rację, nie możemy tu zostać.

Czyżby jemu też się zdarzało zrobić głupstwo?

Przepchnęli się do wyjścia. Nina, która dotarła do drzwi jako pierwsza, chwy-

ciła blokującą je wajchę i spróbowała ją przekreślić, jednak odporne żelazo ani drgnęło. Sławek odsunął dziewczynę i otworzył drzwi z taką łatwością, jakby usuwał stojące mu na drodze puste kartonowe pudło.

– Hej, dokąd to? – wrzasnął za nimi starszy mężczyzna. – Nie słyszeliście?

Na milicję trzeba czekać!

Sławek wyrzucił bagaże na zewnątrz, wyskoczył, a potem odwrócił się i podał rękę Ninie.

– Zostać mi w pociągu! – pieklił się mężczyzna. – Każdy by chciał sobie wysiąść!

– Szybciej!

Gnali przez łąkę w stronę odległej linii lasu. Cienie były już dłuższe, w powietrzu wyczuwało się przedwieczorny chłód. Nina pomyślała, że mniej więcej o tej porze powinna wysiąść na dworcu w Markotach. Na dalsze rozważania nie miała czasu, bo Sławek narzucił tempo, od którego paliło ją w płucach, a w boku odezwała się kolka. Choć i tak odniosła wrażenie, że chłopak celowo zwalnia, by nie zostawić jej z tyłu. Gdyby był sam, biegłby pewnie znacznie szybciej.

– Już jesteśmy bezpieczni – powiedział, gdy drzewa przesłoniły widok na stojący w polu pociąg. – Zatrzymaj się.

Nina klapnęła na leśną ściółkę. Igliwie było wilgotne, ale miała to gdzieś.

Podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je ramionami. A potem wybuchnęła płaczem.

– I c... co... my... teraz... zrobimy? – Po biegu wciąż jeszcze nie odzyskała oddechu i w tej chwili spazmatycznie łapała powietrze.

Sławek usiadł obok i przytulił ją. Nina rozpaczliwie szlochala mu w koszulkę.

– Znam te tereny – powiedział, kiedy dziewczyna trochę się uspokoiła. – Możemy stąd dojść na stację w Laskowicach, która leży na naszej trasie. Tam złapiemy pociąg do Markotów. Albo nawet wsiądziemy do tego samego, kiedy już milicja skończy przesłuchania.

Nina pociągnęła nosem.

– Nie możemy wsiąść do tego samego. Ten konduktor mnie pozna. Ja...

krzyczałam, że trzeba zatrzymać pociąg, bo ktoś chce skoczyć na tory. Przepraszam – dodała cicho.

– Przesadzasz. – Sławek lekko poczochnął jej włosy. – Nawet jeśli cię pozna, to co? Nie złapie cię przecież i nie zawlecze na najbliższy posterunek.

A jeśli tak? – pomyślała ponuro Nina, ale mimo to poczuła się podniesiona na duchu. Kiedy Sławek mówił, wszystko od razu wydawało się znacznie prostsze.

– Jak daleko stąd do Laskowic?

– Jakieś dwie godziny marszu.

Nina jęknęła.

– Gdy tam dojdziemy, będzie już zupełnie ciemno.

– I dlatego pora się zbierać. No dalej, wstawaj. Poniosę twoją walizkę.

Mrok wokół gęstniał, robiło się też coraz chłodniej. Zerwał się wiatr, który gnał po niebie skłębione chmury, marszczył rzęsę na wodzie i grzechotał liśćmi powykręcanych drzew. W dodatku zaczęło mżyć – drobne, wiszące w powietrzu krople lepiły się do twarzy i sprawiały, że świat jeszcze bardziej pociemniał.

Raz tylko Nina zobaczyła człowieka. Mężczyzna stał w maleńkiej łódce, od-

pychając się żerdzią od dna. Krzyknęła do niego, ale chyba jej nie usłyszał ani nawet nie zauważył.

Szła dalej. Przystanąła jedynie na chwilę, żeby wyjąć z walizki sweter i przeciwdeszczową foliową pelerynę.

Potem z wieczornej szarówki wynurzył się budynek stacji. Nina przyspieszyła kroku, ale zaraz zwolniła, rozczarowana. Na odrapanej tablicy widniała nazwa, która nic jej nie mówiła. W dodatku stacja wyglądała na opuszczoną, okna zabito deskami, a wejście zagradyła kupa wilgotnego gruzu. Nina obesła go dookoła, ale prócz strzępów rozmokłych gazet i kilku zardzewiałych puszek nie znalazła śladu obecności ludzi.

Za to dalej w półmroku majaczyły ciepłe światełka domów. Wioska? Małe miasteczko? Nina miała wielką ochotę wybrać się tam i zapytać o drogę, a może nawet poprosić o podwiezienie. Albo o coś do jedzenia. Przez ten skok całkiem zapomniała o głodzie, ale teraz znów dawał jej się we znaki.

Stchórzyła jednak. Woląca nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby w gęstniejącej ciemności zeszła z drogi i znalazła się na bagnach.

Wędrowała więc dalej wzdłuż torów. Na niebie pojawił się księżyc, który od czasu do czasu przesłaniały pędzące na zachód granatowe chmury. W takich momentach Nina bardziej wyczuwała drogę przed sobą niż ją widziała. Na szczęście podkłady kolejowe pod jej stopami były tak charakterystyczne, że nie sposób było ich z niczym pomylić. Kiedyś bała się ciemności – dawno temu, jeszcze w czasie wojny. Ale potem zapomniała, co znaczy prawdziwy mrok, tak jak zapomniała o zimnie, głodzie i przerażeniu. Jak szybko człowiek przyzwyczajają się do dobrego... Ostatnie lata przeżyła w mieście, gdzie nigdy nie było

tak naprawdę ciemno – zawsze paliła się jakaś latarnia przed domem albo jaśniało światło w oknie czyjegoś mieszkania. Słyszeć też było dobrze znane dźwięki: podzwanianie tramwajów czy kłótnie u sąsiadów, którzy późno kładli się spać. Tu Ninie towarzyszył tylko wiatr i odgłos jej własnych kroków, brzącający dziwnie głucho w pustce. Przestała nawet nucić. Wspomnienia wróciły i ogarnął ją pierwotny lęk człowieka samotnego wobec wychodzących po zmierzchu potworów. Krzewy szeleściły, jakby coś się przez nie przedzierało, poruszone wiatrem gałęzie rzucały niespokojne cienie. Nina szła coraz szybciej, strach dodawał jej skrzydeł.

Było już niemal zupełnie ciemno, gdy usłyszała za plecami gwizd nadjeżdżającego pociągu. Natychmiast skoczyła w bok, straciła równowagę i niezgrabnie, na czworakach, zsunęła się z nasypu. Lokomotywa i wagony minęły dziewczynę z dobrze znanym już łoskotem, blask padający z okien na chwilę wyłowił z ciemności jej skuloną sylwetkę.

A potem pociąg zaczął hamować.

Przed nimi był semafor.

Albo stacja.

Nina wdrapała się z powrotem na nasyp i zaczęła biec. Księżyc akurat wyrzwał zza chmur, ale i tak kilka razy potknęła się i omal nie przewróciła. Mimo to nie zamierzała zwolnić.

Jeśli to naprawdę stacja, może zdoła przy odrobinie szczęścia przejechać bez biletu resztę trasy.

Widziała już budynek, a nawet początek peronu, kiedy pociąg ruszył. Dziewczyna wrzasnęła z rozpaczą i cisnęła walizkę przed siebie.

– Niech to szlag! – zakłęta i rozplakała się. Wtedy, rozmazując płynące po twarzy łzy, zauważyła wiszącą na budynku tablicę z wyraźnie wypisaną nazwą: Markoty. Była na miejscu.

Podniosła walizkę i ruszyła w stronę peronu. Na ławce w jasnej plamie światła siedziała tylko jedna osoba – chłopak mniej więcej w wieku Niny, który kończył właśnie jeść pączka. Całą koszulę miał obsypaną cukrem pudrem. Na widok dziewczyny wytrzeszczył oczy i pośpiesznie oblizał palce.

– To ciebie mam zawieźć do klasztoru? – zapytał i zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: – Masz szczęście, bo już chciałem się zbierać.

Rozdział drugi, w którym Nina poznaje resztę wybranych i zastanawia się, co znaczą słowa: „Nie pozwól mu rano iść do ogrodu”.

Jestem Jacek – przedstawił się chłopak. – Daj, pomogę.

Był przysadzisty, ale poruszał się zaskakująco energicznie jak na kogoś, kogo niewiele dzieliło od nazwania grubym. Gdy wziął walizkę Niny i pognął z nią w stronę wyjścia, dziewczyna ledwo mogła za nim nadążyć.

Przed dworcem czekała stara, poobijana ifa z włączonym silnikiem. Kierowca nie pofatygował się, żeby otworzyć bagażnik, ani nawet nie powiedział słowa, gdy wsunęli się na tylne siedzenie. Nina położyła walizkę na kolanach.

– To daleko? – zapytała.

– Nie, skąd, góra dziesięć minut.

Apatycznie skinęła głową. Samochód ruszył, wycieraczki rozmazywały na szybach coraz większe krople deszczu. Ogrzewanie dmuchało jej w twarz ciepłym powietrzem. Na zewnątrz przemykały ciemniejsze od mroku nocy drzewa, gałęzie od czasu do czasu uderzały o okna i drapały w dach wozu. Jakby-

śmy jechali środkiem lasu, myślała Nina. Jacek poczęstował ją gumowatym, niezbyt smacznym pączkiem. Wołałaby, co prawda, kanapkę, ale i tak była wdzięczna.

Było jej ciepło, głód nie dokuczał aż tak bardzo i tylko poranione ręce wciąż pulsowały tęnym bólem, który wzmagał się, gdy zaciskała dłonie. Mimo to nie miałyby nic przeciwko, żeby spędzić w samochodzie kilka najbliższych godzin. Albo nawet całą noc. Nie spieszyło jej się do spotkania z obcymi ludźmi, którzy będą pytać, dlaczego się spóźniła.

Jacek mówił, a ona słuchała piąte przez dziesiąte.

– ...prosiłem, żebym mógł po ciebie pojechać, bo pomyślałem, że będzie ci różniej niż w towarzystwie tego mruka. To pomocnik pani Celiny, taka złota rączka, ale dogadać się z nim trudno. Na początku myślałem nawet, że jest głuchoniemy, ale nie, umie mówić, tyle że zawsze burczy coś pod nosem.

Kierowca nie zareagował, zupełnie jakby słowa chłopaka do niego nie dotarły. Nina przyjrzała się jego twarzy w lusterku – cerę miał opaloną i chłopską, jak gdyby niedawno oderwano go od pług. Jednak nie wyglądał na tępego.

– Jak tam jest? Znaczą, w klasztorze? Powiedzieli już, co za niespodzianka na nas czeka?

– Nie. Pani Celina, wiesz, ona wszystkim zarządza, mówiła, że musimy czekać, aż zbiorą się wszyscy. A ciebie ciągle nie było. Jeździłem na ten dworzec kilka razy, wiesz? Rano, po południu i wieczorem. Gdybyś nie przyjechała ostatnim pociągiem, to nie wiem, co pani Celina by zrobiła.

– Ja nie przyjechałam pociągiem – sprostowała Nina. – Dogoniłam go na stacji. No, prawie dogoniłam. Wcześniej szłam pieszo. Wyskoczyłam z poprzed-



niego pociągu.

Jacek wytrzeszczył oczy.

– Wskoczyłaś? Poważnie? Po co?

– Nie miałam biletu.

– Ale numer. – W głosie chłopaka zabrzmiał szacunek. – Nic ci się nie stało?

– Nie, tylko kolana i ręce sobie obtarłam. – Pokazała dłonie.

– O rany, paskudnie wyglądają.

– Nie jest tak źle – mruknęła. A potem dodała, nie mogąc się powstrzymać

wobec tak wyraźnego podziwu: – Trzeba wiedzieć, jak to robić. Mnie powiedział ojciec, to kwestia prostej fizyki... Zresztą nieważne.

Umilkła, bo nagle to wymądrzanie wydało jej się głupie i niepotrzebne, a coraz większy podziw w oczach Jacka przestał sprawiać przyjemność. Nina poczuła się nawet nieswojo. Owszem, wyskoczyła z pociągu i owszem, była z tego trochę dumna. Ale chłopak jednak przesadzał. Nina nie była bohaterką, wiedziała o tym nazbyt dobrze.

Z lasu wyszli na biegnącą przez pola drogę. Słońce już zachodziło, podświetlając czerwienią kontury samotnych drzew na horyzoncie. Zerwał się lekki wietrzyk, który szeleścił w łanach zbóż, przynosząc ze sobą woń świeżo ściętej trawy i końskiego nawozu. Od czasu do czasu mijali przydrożne kapliczki ze świętkami, wiejskie domy albo chłopów, którzy sprowadzali z pastwisk krowy. Raz spotkali gromadkę młodzieży wracającą z rzeki albo jeziora. Dziewczyny miały ręczniki zarzucone na ramiona, by chronić bluzki przed kontaktem z mokrymi włosami, chłopcy nieśli zrolowane koce i puste piknikowe kosze. Nie wyglądali na miejscowych, raczej na letników. Nina poczuła ukłucie zazdrości.

Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby wykąpać się, a potem wrócić na kolację i posłuchać radia w ośrodku wczasowym. Jeśli gdzieś tu był ośrodek wczasowy. Nie wyglądało na to po prawdzie, tamci chyba po prostu wynajmowali pokoje u miejscowych gospodarzy. Mniejsza z tym. Pokój w wiejskim domu i tak wydawał się Ninie znacznie bardziej atrakcyjny niż niekończąca, zdawałoby się, wędrówka.

Dwa razy minęli przystanek, ale jedyne w tej okolicy autobusy dawno zdążyły odjechać. Robiło się coraz ciemniej i chłodniej. Sławek zwolnił. Nie wydawał się już tak energiczny jak jeszcze przed chwilą. Może po prostu jest zmęczony, pomyślała, patrząc na jego bladą twarz.

– Zatrzymajmy się, dobrze? – powiedziała. – Muszę wyjąć z walizki sweter.

I się napić.

Czy jej się zdawało, czy Sławek rzeczywiście przyjął tę propozycję z dużą ulgą?

Nina włożyła sweter, a potem, siedząc na walizce, wypila resztę oranżady i zjadła ostatnią kanapkę. zaproponowała połowę towarzyszowi, ale chłopak pokręcił głową.

– Nie jestem głodny. A ty powinnaś oszczędzać. Przed nami kawał drogi.

– W nocy i tak przecież nie będzie chciało mi się jeść. – Nina starannie złożyła zatłuszczony papier i schowała go do kieszeni walizki. – Sławek?

– No?

– Skąd wiedziałeś, że ten człowiek chce się rzucić pod pociąg? Znałeś go?

– Nie, co ty? Po prostu... wiedziałem. – Wzruszył ramionami, krzywiąc się przy tym lekko. A może tylko jej się zdawało, w szarówce nadciągającego

wieczoru nie mogła mieć pewności.

– O rany. Często ci się to zdarza?

– Nino, proszę. – Tym razem wyraźnie zobaczyła, że Sławek się krzywi.

I jest blady. Bardzo blady, jak ktoś śmiertelnie chory. – Daj mi trochę odpocząć, co? Głowa mnie boli.

– Jasne. – Przelotnym gestem dotknęła dłoni chłopaka. – Przepraszam – powiedziała cicho. – To wszystko moja wina. Wszystko przeze mnie.

– Wcale nie – mówił z coraz większym trudem. – Odpocznę tylko i zaraz pójdziemy dalej. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Zamknął oczy, a Nina odsunęła się kilka kroków, nie chcąc mu przeszkadzać.

Potem wyszła na środek drogi i stała tam przez chwilę, patrząc przed siebie i czekając nie wiadomo na co. Do oczu napływały jej łzy, których nawet nie próbowała ocierać. Starła się tylko płakać cicho, żeby Sławkowi, broń Boże, nie przyszło do głowy wstać i zacząć ją pocieszać. I tak miał przez nią dość kłopotów. Przez te kilkanaście godzin wspólnej podróży Nina prawie zdążyła się w nim zakochać. Puchła z dumy, kiedy ludzie w pociągu patrzyli, jak taki niesamowicie przystojny chłopak pomaga jej z walizką i szuka dla niej miejsca. Co prawda, fakt, że traktował ją raczej jak młodszą siostrę, nieco tę radość mącił, ale i tak przecież bardzo go lubiła. I lubiłaby, nawet gdyby był brzydki jak noc. A co najważniejsze, ufała mu, pozwalając, żeby to on podejmował wszystkie decyzje. A teraz nagle role się odwróciły i wyglądało na to, że ona powinna się nim zaopiekować.

Nie była pewna, czy umie.

Objęła się ramionami, bo mimo swetra wciąż drżała z zimna. Sławek, na

wpół leżący na poboczu, z głową opartą o plecak wyglądał tak strasznie samotnie i krucho. Jak dziecko, a nie młody mężczyzna, którego poznała. Nina powtarzała sobie w myślach, że chłopak odpocznie i nabierze sił, a wtedy pój-  
dą dalej. A jeśli nie, jeśli wciąż będzie źle się czuł, to przynajmniej powie Ninie, co ma robić.

Brzmiało to przekonująco, ale dziewczyna i tak dygotała na wieczornym wie-  
trze.

Gdzieś niedaleko szemrał strumyk. Nina zeszła z drogi i kierując się dźwię-  
kiem, znalazła niewielki mostek. Przez jakiś czas bawiła się rzucaniem patyków  
z jednej strony i patrzeniem, jak wypływają z drugiej. Głupia dziecinna zabawa  
wzięta z Kubusia Puchatka. Matka czytała tę książkę Szymkowi, gdy pojechali  
całą rodziną na ich pierwsze (a także jak dotąd jedyne) wakacje do Międzyz-  
drojów. Nina udawała, że takie bajki już jej nie interesują, ale też słuchała.

Pamiętała tamto lato – koszmar wojny został za nimi, teraz świat wydawał  
się wielki i przyjazny, pełen niespodzianek czekających za każdym zakrętem.  
Ojciec w tajemnicy przed matką kupował Ninie zakazane wielkie porcje lodów,  
a ona w zamian nie wspominała nic o piwie, które popijał od czasu do czasu.  
Po południu wygrzewali się na plaży, a wieczorami chodzili na spacerzy albo  
grali w karty. Piasek wytrzepywany z kostiumów kąpielowych, zimne i słone  
morze, muszle zbierane do kieszeni, nawet spalona słońcem skóra – wszystko  
to Nina wspominała z tęsknotą. Nie miałyby nic przeciwko, żeby raz jeszcze  
przeżyć takie wakacje.

Uniosła głowę. Nad nią lśniły srebrem wczesne gwiazdy, a w ostrym, chłod-  
nym powietrzu daleko niosło się szczekanie wiejskiego kundla. Pod linią czar-

nego lasu zapaliło się światło w pierwszej chałupie, potem w drugiej i trzeciej.

Pociemniało już tak bardzo, że rzucanie patyków w wodę straciło sens, Nina wróciła więc do Sławka. Z walizki wyjęła latarkę, którą spakowała jej zapobiegliwa matka.

– Jak się czujesz? – zapytała, a kiedy nie odpowiedział, strach jeszcze mocniej złapał ją za gardło. Delikatnie potrząsnęła ramieniem chłopaka. – Obudź się, proszę. Musimy iść. PROSZE.

Odwrócił się i wymamrotał coś. Nina pochyliła się, ale nie mogła nic zrozumieć. Brzmiało to gorzej, niż gdyby słuchała bełkotu pijaka. Wyrazy zlewały się ze sobą albo były dziwacznie przekręcone. Cofnęła się. W świetle latarki wydawało jej się, że z bladej twarzy Sławka spogląda na nią oko upióra, ale to była źrenica – tak duża, że niemal połknęła tęczę.

– Sprowadzę pomoc, zaczekaj. – Ledwo poznała własny głos, przez ściśnięte gardło przedostało się raczej coś, co przypominało skrzek.

Ścigana strasznym przeczuciem, pognąła przez pole w stronę najbliższej chałupy. Światło latarki, skurczone do maleńkiej plamki, tańczyło dokoła jej stóp.

Wokół pachniało koniczyną – to Ninie utkwiło w pamięci, że pole pachniało koniczyną, a ona pomyślała, że czterolistna przynosi szczęście. I że przyszło jej do głowy, jaka to w tej sytuacji głupia myśl.

Wpadła na wiejskie podwórko, gdzie zapach koniczyny zastąpiła obrzydliwa woń gnoju, dopadła drzwi i zaczęła w nie walić. Przez dłuższą chwilę nikt nie otwierał, choć Nina słyszała śmiechy dzieci, a w oknach paliło się światło.

Wreszcie jej uszu dobiegło człapanie i drzwi uchyliły się nieco. W szparze ujrzała ponurą męską twarz.

– Czego tam?

– Proszę, przy drodze jest chłopak, potrzebuje pomocy, jest ranny, musi go pan zawieźć do lekarza! Proszę! Błagam!

Mężczyzna patrzył na nią nieufnie.

– Jesteście od letników?

– Nie.

– To skąd?

– Co za różnica? – Nina miała ochotę wyciągnąć głupiego chłopca z chałupy i siłą wsadzić na wóz. – On potrzebuje pomocy! Musi jak najszybciej znaleźć się u lekarza!

Z głębi domu dobiegł kobiecy pytający głos. Mężczyzna zamknął drzwi i przez chwilę Nina słyszała odgłosy rozmowy, nie potrafiła jednak rozróżnić słów. Wydawało jej się, że mężczyzna naciska, a kobieta jest nieufna i jakby wystraszona. Dzieci za to umilkły, jakby w ogóle ich nie było. Nina wycierała łzy płynące jej po twarzy.

Wreszcie drzwi otworzyły się ponownie i chłop wyszedł na zewnątrz.

– Dobra, pokaż no tego chorego.

– Musi pan wziąć wóz.

– Najpierw obacze.

– Musi pan...

– Nic nie musza. Idziesz czy nie?

Zagryzła wargi i ruszyła pośpiesznie. Gdy dotarli na miejsce, Sławek wciąż leżał w takiej samej pozycji, w jakiej zostawiła go Nina. Chłop wyjął jej z rąk latarkę, kucnął i poświecił.

– Żyje? – zapytała zduszonym tonem. Sama bała się podejść. Myśl, że mogłaby spojrzeć w twarz martwego chłopaka, była nie do zniesienia.

– Dycha jeszcze. – Chłop podniósł się. – Ide po wóz.

Ninie wydawało się, że minęły całe wieki, nim z mroku wyłoniła się chuda szkapa. Ostrożnie przenieśli Sławka na wóz. Dziewczyna przez cały czas trzymała go za rękę i mówiła jakieś głupstwa. Że już jadą do lekarza, że wszystko będzie dobrze. Powtarzała te słowa bardziej po to, żeby uspokoić samą siebie niż chłopaka. On zdawał się jej w ogóle nie słyszeć. Na początku jeszcze od czasu do czasu odzywał się niewyraźnie, a potem zamilkł zupełnie.

Księżyc i gwiazdy świeciły jasno, lecz i tak musieli jechać wolniej niż w dzień. Nina od czasu do czasu popędzała chłopca, na nim jednak nie robiło to żadnego wrażenia, w końcu więc dała spokój. Skuliła się na wozie i kiwała się apatycznie.

– Co jemu? – Chłopu zebrało się na rozmowę.

– Uderzył się w głowę.

– Spadł skąś?

Nina schowała twarz w ramionach i udawała, że nie słyszy. Nie miała siły ani ochoty wymyślać kłamstw.

Wreszcie dotarli na miejsce. Mała wiejska przychodnia była o tej porze nieczynna, ale gdy chłop zadzwonił, w mieszkaniu na piętrze zapaliło się światło i drzwi otworzył niski łysiejący mężczyzna. Miał rozpiętą koszulę, w ręce trzymał okulary.

– Co się dzieje? Do rana zaczekać nie możecie? – gderał, lecz w jego głosie nie słychać było prawdziwej złości. Ścigany chaotycznym sprawozdaniem Niny

podszedł do wozu, zaświecił Sławkowi w twarz i westchnął.

– Wnieśmy go do środka – powiedział.

Odwróciła głowę w stronę zalanej deszczem szyby. Jej własne odbicie było blade i nie wyglądało na szczęśliwe. Nina wykrzywiła się do niego.

– Nauczysz mnie?

– Czego? – Spojrzała na Jacka.

– No, nauczysz mnie wyskakiwać z pociągu? Zobaczysz, szybko złapię, o co chodzi. – Chłopak tryskał entuzjazmem. – Jestem gruby, ale bardzo zręczny.

– Zwariowałeś?

Jacek stropił się, ale na szczęście właśnie zajechali na miejsce. Nina wysiadła. Jej buty momentalnie zapadły się w błoto, deszcz bębnił o foliowy kaptur peleryny. Przez szum ulewy przebijał odgłos uderzających o brzeg fal. Dziewczyna uniosła głowę i zamrugała, strząsając z rzęs krople. Przed nimi wznosił się klasztor – masywna i kanciasta budowla, która wynurzała się z mroku jak dziób okrętu. Większość okien była ciemna, jednak z otwartych drzwi biło przyjazne światło. I ktoś tam stał, Nina widziała zarys czarnej sylwetki.

– Chodź. – Jacek ponownie złapał jej walizkę. Nina pognąła za nim, zgarbiona pod naporem deszczu, rozchlapując wodę z głębokich kałuż. Gdy wpadli do sieni, buty miała już całkiem przemoczone.

– Witaj, jestem Celina Soszyńska.

Dziewczyna spodziewała się, nie wiedzieć czemu, że „pani Celina” okaże się starszą damą w typie surowej nauczycielki, a tymczasem w progu powitała ją śliczna młoda kobieta. Miała błękitne oczy i jasne rozwichrzone loki, które nadawały jej wygląd niesfornej dziewczynki. Gdy nachyliła się, by uścisnąć



nowo przybyłą, Nina poczuła woń fiołkowych perfum.

– Tak się cieszę, że wreszcie dotarłaś. Jacku, zanieś walizkę do sypialni dziewcząt, a potem biegnij na kolację.

Polecenie „biegnij” chłopak wykonał dosłownie, szybko znikając za załomem korytarza.

Pani Celina pomogła Ninie zdjąć mokrą pelerynę.

– Pewnie chciałybyś się przebrać, prawda? I umyć po podróży? Janino?

– Nina, jestem Nina – odezwała się dziewczyna może odrobinę zbyt ostro.

Uznała jednak, że trzeba uciąć łeb hydrze, nim ktoś wpadnie na Jankę albo, o zgrozo, Jasię.

– W porządku, Nino. Zaprowadzę cię do sypialni.

– Najpierw powinna pani zawiadomić moich rodziców, że już dotarłam. Oni muszą się strasznie martwić. Jest tu telefon?

Pani Celina wyglądała na lekko zakłopotaną.

– Nie zawiadamialiśmy nikogo, że cię nie ma. Mieszka z nami anioł, który potrafi przewidywać przyszłość. Powiedział nam, że dotrzesz bezpiecznie.

Bezpiecznie... Nina poczuła ulgę, wiedząc, że jej rodzice nie odchodzą od zmysłów ze zmartwienia. Ale jednocześnie była też trochę rozczarowana i zła – to ona przez tyle godzin błąkała się samotnie po nieznanymi drogach, głodna i zmęczona, i nikt, absolutnie nikt się o nią nie martwił?

Sypialnia okazała się dużym, wysoko sklepionym pomieszczeniem, które bardziej kojarzyło się z kościelną nawą niż miejscem do spania. Od bielonych wapnem murów biło chłodem, a pod jedną ze ścian stało sześć żelaznych łóżek. Wszystkie zostały już zawłaszczone i oznaczone jako „zajęte”, czy to za

pomocą opartego o poduszkę misia, książki, rozrzuconych na kołdrze ubrań, czy przynajmniej skotłowanej pościeli. Dostrzegła jednak jeszcze jedno, siódme łóżko, umieszczone pod oknem. Ono było puste i wciąż zaścielone z wojskową precyzją, a ponieważ obok stała jej walizka, Nina zrozumiała, że tu będzie spać.

Rozejrzała się, rejestrując jeszcze ustawiony pod ścianą drewniany stół. Wiśnięto nad nim poczerniałe ze starości lustro, a na blacie stała lampa naftowa. Nie było żadnych szaf ani nic w tym rodzaju – dziewczyny wszystkie rzeczy najwyraźniej musiały trzymać w wepchniętych pod łóżka torbach czy walizkach.

– Przebierz się, kochanie, ja nie będę patrzeć. Potem pokażę ci, gdzie jest łazienka, i pójdziemy na kolację. Wszyscy już pewnie siedzą przy stole, ale nie musisz się spieszyć. Zobacysz, będziesz tu szczęśliwa. Dziś pada, więc wszystko może wydawać ci się trochę ponure, ale poczekaj do jutra. Przekonasz się, jak wokół jest pięknie. I wszyscy tu jesteśmy jak rodzina, znajdziesz u nas wielu przyjaciół.

Nina niezgrabnie, sztywnymi palcami, zdjęła przemoczone buty i sukienkę, też tu i ówdzie mokrą. Przez cały czas zaciskała z bólu zęby, a jej dłonie w elektrycznym świetle wyglądały tak, że pośpiesznie odwróciła od nich wzrok. Z kolanami na szczęście nie było tak źle. Z walizki wyjęła spódnicę i bluzkę, które matka przygotowała jej z myślą o niedzielnym wyjściu do kościoła. Cokolwiek czekało ją dziś wieczorem, przynajmniej stawi temu czoło porządnie ubrana.

Gdy zapinała guziki, światło nad jej głową zaczęło mrugać.

– To nic. – Pani Celina odwróciła się. – Czasem tak tu jest. Anioły nie przepadają za elektrycznością. I nie można ich winić, prawda? Wszystkie te wynalazki, prąd, bomby...

Mój Boże, co się stało z twoimi rękami? I kolanami?

– To nic takiego, naprawdę. Przewróciłam się na peronie – skłamała odrucho.

– Moje biedactwo. Musimy to przemyć i zdezynfekować.

W łazience pani Celina posadziła dziewczynę na stojącej pod ścianą ławie.

Nina rozejrzała się. Pomieszczenie utrzymane było w tym samym stylu co sypialnia: wysoki sufit, gładkie białe ściany i kamienna posadzka, od której wiało chłodem. Po jednej stronie szereg ubikacji, po drugiej szeroka metalowa ryna, a nad nią kilka kranów. I... to wszystko?

– Anioły nie lubią też wanien? – zapytała ostrożnie, podczas gdy pani Celina sięgała do wiszącej na ścianie apteczki.

– To klasztor, kochanie. – Kobieta odwróciła się. W jednej ręce trzymała butelkę z ciemnego szkła, a w drugiej bandaż. – Myślę, że właśnie dlatego One – Nina wyraźnie usłyszała wielką literę – go wybrały. Nie przepadają za postępem. A my sami mieliśmy dowód, do czego postępek prowadzi, prawda? W czasie wojny.

– Rzeczywiście, taka wanna to groźna rzecz – przyznała Nina. – Od niej już tylko krok do bomby.

Pani Celina kucnęła przed Niną z buteleczką jodyny.

– Trochę zapieczę, skarbie, ale będziesz dzielna, prawda?

– Mam trzynaście lat, a nie pięć. – Dziewczyna skrzywiła się z niesmakiem.

Piekło jak diabli, ale wytrzymała, choć w oczach pojawiły jej się łzy. Zamru-

gała. Gdy odzyskała ostrość widzenia, zobaczyła, że pani Celina pochyła się nad nią z ciekawością wypisaną na twarzy.

– Powiesz mi, kochanie, co się stało, że się tak spóźniłaś? Zatrzymałaś się gdzieś po drodze?

Nina przymknęła oczy. Zatrzymała się? Tak, w zasadzie można to było i tak określić.

Siedziała w malutkiej poczekalni, gapiąc się bezmyślnie na przybrudzony plakat PCK, który głosił: „Tęp muchy”. Wielkie włochate ćmy obijały się o zawieszoną pod sufitem lampę, przez uchylone okno wpadało nocne zimne powietrze.

Chłop już odjechał, a lekarz za zamkniętymi drzwiami gabinetu badał Sławka.

Z początku czuła ulgę. Potrzebowali dotrzeć do lekarza i dotarli, ktoś dorosły, znający się na rzeczy, zajął się chłopakiem, wszystko więc dobrze się skończy.

Im dłużej jednak czekała, tym szybciej strach powracał. W żołądku czuła twardą kulę, było jej trochę niedobrze, zimno i ciepło jednocześnie. Jakby miała gorączkę. Ręce, które położyła na kolanach, drżały wyraźnie, a nerwy miała tak napięte, że za każdym razem, gdy za zamkniętymi drzwiami rozlegał się szmer, podskakiwała na krześle. Próbowała sobie wyobrazić, że jest gdzie indziej, na przykład w domu, na tapczanie z książką w ręku albo w kinie z koleżankami czy w parku. Gdziekolwiek, choćby na lekcji znieawidzonej łaciny, wyrwana do odpowiedzi przez nauczycielkę, której bali się wszyscy uczniowie w szkole.

Wszędzie, byle nie tu. Próbowała to sobie wyobrazić, ale nie potrafiła.

Kiedy drzwi nareszcie się otworzyły, Nina zerwała się z krzesła. Nogi miała miękkie jak z waty, a jej żołądek zjechał w okolice kolan.

– Panie doktorze, jak on się czuje?

– Trzeba go jak najszybciej zabrać do szpitala. Jak chłopak się nazywa? Nie znalazłem żadnych dokumentów.

– Ma na imię Sławek, nie znam nazwiska.

– I mówisz, że się uderzył w głowę? Gdzie to było?

– W... w pociągu. – Nina zdecydowała się powiedzieć prawdę na wszelki wypadek, gdyby to miało znaczenie dla diagnozy. – Spadła na niego ciężka walizka. Tak mi mówił, mnie przy tym nie było – dodała też na wszelki wypadek.

– A ty, moje dziecko? Co robiłaś sama o tej porze na drodze? Gdzie są twoi rodzice?

– Proszę najpierw powiedzieć, co ze Sławkiem? To przez tę walizkę, prawda?

– Wygląda na to, że tak. Haematoma epidurale, jak sądzę. – Zdjął okulary i czyścił je ręką wciąż rozpiętej koszuli. Bez nich, mrużąc krótkowzroczne oczy, wyglądał na dziwnie bezbronny i jakby zakłopotany. – Rzadki wypadek, zazwyczaj chory traci przytomność od razu po uderzeniu.

– Ale w szpitalu mu pomogą? – naciskała Nina.

Poklepał ją po ramieniu.

– Na pewno zrobią wszystko, żeby wyzdrowiał, moje dziecko. Nic się nie martw. Będzie dobrze.

Nina uwierzyłaby, gdyby nie spojrzała w twarz mężczyzny. Unikał jej wzroku, a ona dopiero teraz zrozumiała, co oznacza to dziwne zakłopotanie.

– Mogę skorzystać z toalety?

– Oczywiście, jest tutaj.

Weszła do kabiny jak lunatyk. Kręciło jej się w głowie, świat wokół wykrzywiał się i rozpływał w gorącu. Chwyliła się brzegu umywalki. Nie zemdleję, powtarzała w myślach, ale nogi trzęsły się pod nią, aż uznała, że jednak wygodniej jej będzie na podłodze. Usiadła więc i przyłożyła czoło do zimnych kafelków. Patrzyła na klamkę w drzwiach i ta klamka zdawała się odpływać, jakby znikwała w długim, ciemnym tunelu... Właściwie to było prawie zabawne... Długi, ciemny tunel...

Ocknęła się, słysząc walenie w drzwi.

– Jesteś tam, dziecko?

– Tak! – odkrzyknęła. – Już wychodzę.

Podniosła się ostrożnie i tym razem nogi jakoś ją utrzymały. Otworzyła drzwi.

– Dobrze się czujesz? – Lekarz wyglądał na poważnie zaniepokojonego.

– Tak, tylko... napiłabym się herbaty.

– Zaraz zrobię. Sporo przeszłaś, co? Nie martw się, odtransportujemy cię do rodziców. A jeśli jest ci słabo, spróbuj trzymać głowę między kolanami.

– Dziękuję, już mi lepiej.

Rzeczywiście było jej lepiej. Na tyle dobrze, że gdy lekarz wrócił do gabinetu, by zaparzyć herbatę, złapała walizkę i wypadła na zewnątrz wprost w jasną od gwiazd noc, gdzie grały świerszcze.

Biegła, nie zwracając uwagi, dokąd właściwie tak pędzi. Byle dalej od wizji przesłuchującej ją milicji, lekarza, który pragnął pomóc, i kłamstw, którymi nie chciała go karmić. I dalej od świadomości, że na kozetce w wiejskiej przychod-

ni umiera ktoś, kogo uważała już za przyjaciela. W którymś momencie uświadomiła sobie, że zostawiła w przychodni latarkę, było jednak za późno, by wrócić.

Przemknęła obok wiejskiego sklepiku i PGR-u. Ludzi nie spotkała, widać wszyscy chodzili tu spać z kurami. Dalej domy były rzadziej rozrzucone, Nina coraz częściej mijala pola i intensywnie pachnące łąki. Zwolniła. W końcu wieś została za jej plecami, a przed nią piętrzyła się teraz czarniejsza od mroku ściana lasu.

Zatrzymała się, padła twarzą w trawę i wybuchnęła płaczem. Gdyby ktoś podszedł do niej w tej chwili i zapytał, co się stało, chyba opowiedziałaby mu wszystko. Co z tego, że w ten sposób naraziłaby na aresztowanie anioła, który wysłał ją do klasztoru, i wszystkich, którzy tam na nią czekali, a także państwa Michalaków, matkę oraz ojca i wreszcie samą siebie? W tej chwili nic jej to nie obchodziło. Chciała tylko, żeby ktoś ją pocieszył, zabrał gdzieś, gdzie jest ciepło, i zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

Nie wiedziała, jak długo płakała, ale gdy w końcu się uspokoiła, gardło miała całe spuchnięte i bardzo chciało jej się pić. Zerwała kilka rosnących na łące liści i zlizwała z nich wieczorną rosę. Pomogło na tyle, że zaczęła myśleć trochę bardziej trzeźwo.

Mogłaby wrócić do przychodni i poprosić o pomoc. Zmyślić coś albo nawet powiedzieć prawdę – że jedzie do Markotów na zaproszenie aniołów. Nie wszyscy przecież donosili na skrzydlatych, prawda? Mnóstwo ludzi pomagało ich ukrywać.

Ale co jeśli lekarz zdecyduje się pójść na milicję?

Wtedy, nawet jeśli rodzinie Niny uda się jakoś wykręcić, matka nigdy jej nie wybaczy. Dziewczyna dobrze o tym wiedziała. Matka nie krzyczała, nie podnosiła głosu, nie karała. To ojciec miał ciężką rękę, ale też szybko o winie zapomniał. Matka nigdy. Nie powiedziała by niczego, tylko patrzyłaby z łagodnym smutnym wzrokiem, który mówiłby: „zawiodłaś mnie”, a tego Nina nie potrafiłaby znieść.

Dla ścisłości, matka wybaczyłaby krzywdę uczynioną sobie, ale nie aniołom. Ona kochała anioły. Dziewczyna czasem zastanawiała się, czy skrzydlaci nie są dla niej ważniejsi niż jej własne dzieci.

Nina kuliła się z zimna, pończochy i dół sukienki miała przemoczone od biegu przez wilgotną trawę. Ale chłód przyniósł ze sobą zaskakującą jasność myśli i gdy siedziała tak na polu pod gęsto rozsianymi gwiazdami, nagle wszystkie chaotyczne pomysły ułożyły jej się w głowie. Teraz dostrzegała wyraźnie, jakie ma możliwości i jakie w razie czego będzie musiała ponieść konsekwencje.

Mogła wrócić do domu, ale wtedy matka miałaby pretensje, że Nina zawiodła, a ponadto dziewczyna w tej chwili była już zdecydowanie bliżej Markotów niż Wrocławia. Na powrót do Wrocławia z pewnością nie starczy jej pieniędzy, a na podróż do Markotów – być może.

W takim razie pojedzie do Markotów. I teraz gdy już podjęła tę decyzję, otwierały się kolejne dwie możliwości.

Mogła poszukać w pobliżu przystanku autobusowego albo dworca, ale po pierwsze, nie wiedziała, czy gdzieś tu coś takiego znajdzie, a po drugie, wiązałyby się to z wypytywaniem ludzi, czego wołała uniknąć. No i nie powinna przecież kręcić się w pobliżu przychodni, gdzie w każdej chwili może spotkać



chętnego do pomocy lekarza.

Mogła też wrócić do miejsca, w którym Sławek stracił przytomność, a potem spróbować dojść do Laskowic. Chłopak kilka razy tłumaczył jej trasę, gdy Nina marudziła i pytała, jak daleko jeszcze. Była pewna, że da sobie radę. Co prawda, zajmie jej to kilka godzin marszu, ale przynajmniej zyska pewność, że kiedy już znajdzie się na dworcu, prędzej czy później złapie tam pociąg jadący prosto do Markotów. No, będzie musiała uważać, przechodząc obok przychodni, ale wystarczy, jeśli przemknie tamtędy wcześniej rano, nim lekarz wstanie.

A na razie potrzebowała miejsca, gdzie mogłaby się choć trochę przespać.

I gdzie byłoby cieplej niż na łące.

Wspomnienia przeleciały Ninie przez głowę w ułamku sekundy. Mogłaby spróbować opowiedzieć pani Celinie o wszystkim, co przeżyła, o całej tej bezradności i przerażeniu. Ale nie wiedziała, czy zdoła znaleźć odpowiednie słowa.

I wcale nie była pewna, czy chce o tym opowiadać.

Dlatego jej relacja była krótka i sucha.

– Spotkałam w pociągu pewnego chłopaka. Był miły, zaprzyjaźniliśmy się.

Potem wysiadłam, żeby kupić lody, i pociąg nam uciekł, więc jechaliśmy przez Bydgoszcz. Tyle że przed Laskowicami na tory skoczył samobójca i miała przyjechać milicja, a ja się wystraszyłam, że będą mnie pytać, gdzie jadę i po co, dlatego wysiadłam, a ten chłopak, Sławek, wysiadł ze mną. On w pociągu uderzył się w głowę i jakiś czas później zasnął, a ja szukałam pomocy i kiedy trafił do lekarza, było już bardzo późno. Spałam na sianie, a rano poszłam na stację w Laskowicach i tam złapałam pociąg do Markotów. I tyle.

– Moje biedactwo. – Pani Celina przytuliła ją. Nina, która nie przepadała za

czułościami, zeszytywniała i odsunęła się lekko, ale kobieta zdawała się tego nie zauważać. – Lekarz pomógł twojemu przyjacielowi?

– Powiedział, że trzeba zabrać go do szpitala. Czy mogłaby pani się dowiedzieć, co z nim? – Nie wspomniała o dręczącym ją przeczuciu, że Sławek może już nie żyć. Jakby samo mówienie o tym mogło zmienić tę możliwość w prawdę.

Pani Celina zakłopotowała się.

– To byłoby trudne, bo pewnie nawet nie wiesz, do którego szpitala trafił.

A obcym osobom nie udziela się informacji o pacjentach. Poza tym nie chcemy przecież zwracać na siebie uwagi, prawda? Ale nie martw się, kochanie, jestem pewna, że twój przyjaciel szybko wróci do zdrowia. Mamy w Polsce znakomitych lekarzy. Dokąd on jechał? Masz może adres jego rodziny?

– Nie, nie znam nawet jego nazwiska. Wiem tylko, że też jechał do Markotów.

Twarz pani Celiny rozjaśniła się.

– Widzisz, kochanie, za kilka dni pewnie spotkasz go w miasteczku. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Obdarzyła dziewczynę jeszcze jednym, niechętnie przyjętym uściskiem.

W głębi duszy Nina czuła się... zlekceważona? Tak, chyba tak. Sławek zasługiwał na więcej niż zdawkowe „wszystko będzie dobrze”. Nie powiedziała jednak nic. Bardzo chciała wierzyć, że spotka jeszcze chłopaka, i na chwilę nawet udało jej się przekonać samą siebie, że tak będzie. Ale złe przeczucia ucichły tylko, a nie zniknęły.

– I pamiętaj, z każdym problemem możesz przyjść do mnie. Absolutnie każ-

dym. Jestem tutaj po to, żeby wam pomagać.

Nina domyślała się już, że pani Celina tak naprawdę wcale nie chce słyszeć o problemach – a przynajmniej nie o problemach poważniejszych niż zdarta z kolan skóra czy kłótnia z koleżanką. Dziewczyna miała podobną z charakteru ciotkę: była to słodka, urocza istota, która wyglądała jak dobra wróżka z dziecięcych marzeń, lecz gdy tylko działo się coś naprawdę złego, od razu wpadała w zakłopotanie i bagatelizowała sprawę bezsensownym „wszystko będzie dobrze”. Jak pani Celina.

– Zapamiętam.

Korytarzem równie bezosobowym, białym i zimnym jak cały budynek przeszły do sali jadalnej, którą pani Celina nazywała „refektarzem”.

– Dzieci, to jest Nina. Nino, to twoi nowi koledzy i koleżanki.

Spojrzało na nią kilkanaście par oczu.

Chciała się cofnąć, ale pani Celina trzymała ją za ramiona, a nawet lekko pchnęła do przodu. Jacek zachęcającym gestem wskazał wolne krzesło obok siebie. Nina podziękowała skinieniem głowy. Odmówili modlitwę i dziewczyna wreszcie mogła sięgnąć po wazę z zupą.

– Czemuś się spóźniła? – Zadane agresywnym tonem pytanie padło z ust chłopaka niewiele starszego od Niny. Był chudy i blady jak gruźlik. Włosy za to, w kontraście z niebieskimi oczami i jasnymi brwiami, miał tak czarne, że wyglądały, jakby je sobie posmarował pastą do butów. Na twarz wystąpiły mu rumieńce, oczy płonęły złością.

– Moja mama zachorowała. – Nina nie miała ochoty opowiadać wszystkiego po raz drugi, a już na pewno nie w sytuacji, gdy patrzyło na nią tyle obcych

osób. – Nic poważnego, ale obie zdecydowałyśmy, że lepiej będzie, jak przyjadę dzień później.

– Istnieje coś takiego jak telefon albo telegram – wytknął czarnowłosey zgrzyliwie. – Tak trudno podać datę i godzinę przyjazdu pociągu?

Jacek otworzył usta – pewnie po to, by oznajmić, że Nina wcale nie przyjechała pociągiem. Dziewczyna przezornie kopnęła go w kostkę i na szczęście nic nie powiedział.

Na nieszczęście czarnowłosey okazał się spostrzegawczy.

– Ona kłamie – zwrócił się do pani Celiny. – Widziałem, jak dawała Jackowi znaki.

Nad stołem zawisło pełne napięcia milczenie. Nina wyczuwała otaczającą czarnowłosego niechęć. Sama zresztą się do niej przyłączyła. Donosiciel, myślała, uparcie wbijając wzrok w pusty talerz. Nie znosiła zwracać na siebie powszechnej uwagi, choć tym razem pocieszał ją fakt, że sympatia zgromadzonej w jadalni młodzieży najwyraźniej była po jej stronie.

Wszyscy czekali na reakcję pani Celiny.

A kobieta wodziła bezradnym spojrzeniem po twarzach podopiecznych.

Wreszcie z kłopotu wybawiła ją wysoka dziewczyna z jasnym warkoczem.

– Kłamie, nie kłamie, co za różnica – oznajmiła flegmatycznie. – Co my, milicja, żeby ludziom przesłuchania urządzać? Do jedzenia się bierzcie, nie do gadania.

– Eliza ma rację. – Pani Celina uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Najwyższa pora wzmocnić siły. Adamie, podasz mi wazę?

– Oczywiście, już służę. – Chłopak gorliwie wyciągnął rękę.

Lizus, Nina dorzuciła kolejny kamyczek do rosnącej w szybkim tempie góry niezbyt przyjemnych epitetów.

Na szczęście zgromadzeni przy stole przestali zwracać na nią uwagę, mogła więc spokojnie sięgnąć po zupę. Była to osobliwa szarozielona breja, która pachniała, jakby zrobiono ją z wodorostów, i mniej więcej tak samo smakowała. Do tego można było sobie wziąć kromkę grubo pokrojonego chleba z masłem.

Zdenerwowanie i smak jedzenia sprawiły, że Nina, jeszcze niedawno głodna jak wilk, teraz ledwo skubała kromkę. Żołądek miała ściśnięty w kulkę, ale jej oczy i mózg pracowały znakomicie, dlatego wykorzystała chwilę spokoju na to, by rozejrzeć się po twarzach współtowarzyszy.

Razem z Niną (nie licząc pani Celiny) było ich trzynaścioro, wszyscy w wieku od dziesięciu do piętnastu lat. Za najmłodszą Nina uznała nieśmiałą Małgosię, na najstarszą natomiast wyglądała flegmatyczna Eliza. Po prawej stronie Niny siedział oczywiście Jacek, a po lewej mniej więcej czternastoletnia dziewczyna w spodniach. Nina patrzyła na nią przez chwilę. Widywała już oczywiście kobiety w spodniach, ale nigdy przy stole.

Dziewczyna zauważyła jej wzrok, wyszczerzyła zęby i wróciła do siorbania zupy.

Dalej siedzieli dwaj chłopcy: jeden patrzył ponuro w talerz i wiosłował łyżką, jakby się bał, że ktoś mu zabierze tę okropną kolację, a drugi bezustannie coś do niego szeptał i chichotał. Pierwszy miał wymiary niewielkiej szafy, drugi był drobny, więc wyglądali razem jak Flip i Flap. Potem dwie bliźniaczki, obie grubościste i ładne, przynajmniej dla kogoś, kto lubi rumianą, wiejską urodę,

ciemnowłosy chłopiec, który osobliwie przypominał żabę, i drugi, tłusty, o twarzy różowej jak skóra świeżo wyparzonego prosięcia.

Potem antypatyczny Adam, a dalej...

Trzynasta osoba przy stole uniosła znad talerza głowę i Nina spojrzała w twarz najpiękniejszej dziewczyny, jaką kiedykolwiek widziała, wliczając w to obejrzone w kinach filmy i przedstawiające księżniczki ilustracje. Oczy koloru najczystszych szmaragdów, cera jak krew z mlekiem, włosy barwy skrzydeł kruka. Gdyby Nina chciała ją opisać, po prostu musiałaby użyć tych wyświechtanych określeń. Bo ta dziewczyna dokładnie tak wyglądała, to nie były żadne metafory. Przy niej śliczna pani Celina miała urodę lalki, a sama Nina, którą ciotka krawcowa nazywała ładniutką panienką, mogłaby uchodzić za brzydkie kaczątko.

– Piękna, nie? – szepnęła sąsiadka Niny, po czym dodała z niejaką satysfakcją: – Ale strasznie głupia.

Satysfakcja była o tyle zrozumiała, że dziewczyna w spodniach urodą nie grzeszyła. Włosy w nieokreślonym kolorze miała ścięte krótko i w dodatku nierówno, jakby fryzura była jej własnym dziełem, twarz natomiast miała szeroką, a nos dla odmiany drobny i zadarty, jak mały kartofelek rzucony na rozległe pole piegów. Nina zauważyła też, że ani ręce, ani spodnie sąsiadki nie są pierwszej czystości. Drugiej zresztą też nie.

Niemniej dziewczyna wyglądała sympatycznie, Nina posłała jej więc ostrożny uśmiech.

– Jedzenie zawsze jest tu tak okropne? – zagadnęła.

– Nie – lakonicznie odparła krótkowłosa. – Zazwyczaj jest gorsze. Przy oka-

zji, jestem Tamara. Moja mama była Rosjanką, stąd takie imię.

– Nina.

– Wiesz, dlaczego tu jesteśmy? Podobno mają tu dla nas jakąś niespodziankę?

– Ja nic nie wiem. Mam do wyboru siedzieć tu albo w domu, to wolę tu.

Nina już miała dociekać, dlaczego, ale pani Celina ten właśnie moment wybrała sobie, by zapytać, jak smakuje zupa.

Nad stołem znów zapadło pełne zakłopotania milczenie, po czym odezwała się nosowym głosem jedna z bliźniaczek.

– Kiej końskie szczynty, psze pani.

Tamara parsknęła śmiechem, a bliźniaczka pośpiesznie zaczęła tłumaczyć siostrę. Przerwał jej żabowaty chłopiec.

– Szanowna pani jej nie słucha – powiedział do wstrząśniętej Celiny. – Jedzenie jest cudności, a że Hela ze wsi, to docenić nie umie. Ja już drugą dokładkę wziąłem, takie dobre.

Łgał tak przekonująco i z tak czarującym uśmiechem na brzydkiej twarzy, że

Nina wbrew świadectwu własnych zmysłów poczuła, że zupa naprawdę jej smakuje. Zresztą prócz prawdomównej Heli nikt nie zamierzał jakoś szczególnie narzekać. W końcu wszyscy byli dziećmi ciężkich powojennych czasów i nie takie paskudztwa zdarzało im się jeść.

I prawie wszyscy pochodzili z ubogich rodzin, to też Nina zauważyła. Potrafiła rozpoznać sukienki z najtańszych materiałów i koszule przerabiane z ubrań starszego rodzeństwa. Jedynym wyjątkiem był tłusty chłopak o różowej twarzy, który nosił zachodnie sztruksowe spodnie i nawet miał zegarek. I może

jeszcze Jacek, on, co prawda, ubranie miał niezbyt czyste i trochę znoszone, ale za to w dobrym gatunku.

Po kolacji pani Celina poleciła młodzieży udać się do „pokoju z kominkiem”, a na Ninę skinęła ręką.

– Chodź ze mną, kochanie. Jest tu ktoś, kto bardzo chce się z tobą zobaczyć.

Weszły na piętro. Tutaj korytarze były bardziej zaniedbane; biel ścian znaczyły brzydkie, szare zacieki, a woń wilgotnego tynku podobna była do zapachu grzybów. Gołe żarówki nad głową Niny mrugały od czasu do czasu.

Pomyślała o wszystkich tych książkach, które czytała, a w których niewinną bohaterkę prowadzono pustymi, mrocznymi korytarzami do zamkniętych drzwi.

Czasem za tymi drzwiami czekała jakaś miła niespodzianka.

Ale najczęściej nie.

Pani Celina uśmiechnęła się, dodając dziewczynie otuchy, po czym wepchnęła ją do niedużego pokoju. Ten, o dziwo, okazał się dość przytulny, w kominku buzował ogień, ściany wyglądały na niedawno odmalowane. Wisiały na nich obrazy o tematyce religijnej, a pod oknem stał głęboki fotel. Pusty, bo anioł siedział na parapecie, spoglądając w zalaną deszczem ciemność.

Odwrócił się dopiero po chwili – piękny jak wszystkie anioły, złotowłosa, o białej skórze, która wydawała się świecić własnym blaskiem, jakby ktoś zapalił świecę w wydrążonej alabastrowej rzeźbie.

– Witaj – powiedział miękkiem głosem. – Jestem Azkiel. Sporo zmartwienia przysporzyłaś pani Celinie.

– Przepraszam. – Nina wbiła wzrok we własne stopy. Czy kiedyś nauczy się



patrzeć aniołom w oczy?

– A wyglądasz na taką grzeczną dziewczynkę. – Czy jej się zdawało, czy skrzydlaty rzeczywiście zachichotał? – A może wcale nie jesteś taka greczna, co?

Nina rzuciła przelotne spojrzenie na Azkiela, który przekrzywił głowę jak ciekawy wróbel.

– Ja... nie wiem.

– Och, mniejsza z tym. – Tym razem była pewna, że jej rozmówca chichocze. – Pamiętaj tylko, że przed nami niczego nie ukryjesz. My wiemy wszystko.

Nieprawda, nie wiedzieliście, którym pociągiem przyjadę, pomyślała Nina buntowniczo. Ani że ostatni kawałek przejdę pieszo.

Było jej gorąco, miała wrażenie, że wzrok anioła przewierca ją na wylot.

Nigdy wcześniej nie czuła się tak bardzo... odsłonięta, jakby rzeczywiście wszystkie jej drobne, głupie sekrety wywleczone zostały na światło dzienne.

Czuła, że musi się jakoś bronić, pomyślała więc, że może Azkiel tylko udaje.

Może po prostu bał się zawiadomić milicję albo rodziców Niny i dlatego zwodził panią Celinę, wmawiając jej, że dziewczyna dotrze do Markotów bezpiecznie.

– Co się stało z twoimi rękami i kolanami?

– Przewróciłam się na peronie. – Nina spojrzała na anioła. Jeśli wcześniej nie udawał, teraz powinien zarzucić jej kłamstwo. Ale on tylko spoglądał z dziwnym uśmiechem, jakby wiedział, ale nie zamierzał zaprzeczać. Dziewczyna poczuła, jak w jej wnętrzu wzbiera gorąco przerażenia. Właśnie próbowała pretestować wysłannika Niebios.

Czemu ona zawsze musi robić takie rzeczy? I to po tym, jak obiecała sobie, że się zmieni?

– Podejdź bliżej. – Azkiel zeskoczył z parapetu i przez chwilę Nina widziała jego skrzydła. Były niematerialne, jakby wykrojono je z tęczowego światła, i tak piękne, że gdy znikły, omal nie krzyknęła z rozczarowania.

Anioł musnął końcami palców jej dłonie i kolana. Jego dotyk był zimny i parzący jednocześnie, jak soplec mocno zmrożonego lodu. A potem ból znikł, choć kiedy Nina przeniosła wzrok na swoje ręce, ślady po zdartej skórze wciąż tam były.

Niepewnie poruszyła palcami i w zdumieniu pokręciła głową.

– Nadchodzi czas cudów – Azkiel uśmiechnął się. – Wasz świat zmieni się bezpowrotnie. Ciesz się, albowiem zostałam wybrana.

– No właśnie... eee... co do tej kwestii... Nie wydaje mi się, żebym ja, no... żebym na to zasługiwała. Nie jestem...

– Decyzja nie należy do ciebie i już została podjęta.

– Dziękuję. – Nic innego nie przyszło jej do głowy. Nie wypadało przecież sprzeczać się z wysłannikiem Niebios.

– Przybyłaś jako ostatnia, teraz jesteście już w komplecie. Bawcie się i bądźcie szczęśliwi, a ja jutro zdradzę, jaką niespodziankę dla was przygotowaliśmy.

Ninie wciąż było wstyd. Za przekleństwa, jakie mamrotała, kiedy szła polną drogą, i nawet za to, że marzyła o zwyczajnych wakacjach. Mało brakowało, a przyznałaby się do tego wszystkiego skrzydlatemu, ale pani Celina ścisnęła jej ramię i popchnęła w stronę drzwi.

Idąc korytarzami, Nina przysięgła sobie (tym razem już na poważnie), że przynajmniej okaże wdzięczność. Przecież to nie wina aniołów, że Sławek został ranny, a ona tyle przeżyła. Jeśli już do kogoś mogła mieć pretensje, to tylko do siebie. Gdyby nie wysiadła z pierwszego pociągu po lody, gdyby nie krzyczała do konduktora: „Człowiek chce skoczyć na tory!”, gdyby szybciej pobiegła po pomoc... Wszystko mogłoby zakończyć się inaczej. To była wina jej głupoty, a nie aniołów. One ją wybrały, choć Nina na to nie zasługiwała i czuła się teraz trochę jak oszustka. Może to była po prostu wielka pomyłka, Nina wcale by się nie dziwiła. Ale może... może anioły dostrzegły w dziewczynie więcej, niż widziała ona sama? Jeśli tak, nie zamierzała ich zawieść. Postara się

być grzeczna i nawet jeśli nie zdoła „dobrze się bawić”, to przynajmniej nie będzie marudzić.

Z tym postanowieniem weszła za panią Celiną do „pokoju z kominkiem”.

Kominek rzeczywiście tam był, wielki i buchający gorącem. Wokół niego na fotelach i na dywanie siedziała młodzież. Tamara skinęła na Ninę, po czym podsunęła jej tacę, na której stał ostatni kubek kakao. Wszyscy pozostali trzymali już takie kubki w rękach.

– Trafiłaś w sam raz na właściwy moment. – Tamara wyszczerzyła zęby. – Staszek zamierza się awanturować.

Staszek to był chłopak w zachodnich ciuchach i z zegarkiem na ręku. Jego twarz, wcześniej różowa, teraz zaczynała przechodzić w purpurę, a jasne nastroszone włosy nadawały mu wygląd rozwścieczonego kanarka.

– Powiedziała pani – zwrócił się do Celiny Soszyńskiej piskliwym głosem – że dowiemy się, po co tu jesteśmy, jak tylko przyjedzie ostatnia osoba. Mamy już komplet, więc żądam wyjaśnień. W przeciwnym wypadku wyjadę najbliższym pociągiem. Mam dość tej wiochy, mogłem jechać z kumplami na Mazury.

Pani Celina uśmiechnęła się uspokajająco i trochę nerwowo.

– Azkiel sam wam wszystko chce wyjaśnić. Proszę tylko o chwilę cierpliwości i z pewnością...

– Powtarza pani to samo od trzech dni – oskarżył ją Staszek. – A ja sobie odmrażam tyłek w tej ruderze. Tu ciągle leje i nie ma nic do roboty. Do bani z takimi wakacjami.

Tamara chichotała rozbawiona, pozostali w większości wyglądali na zakłopotanych albo niepewnych. A Ninie zrobiło się pani Celiny żal. Ta kobieta byłaby idealną opiekunką dla przedszkolaków, które kochałyby ją za miłe usposobie-

nie i śliczne dołeczki w policzkach. Ale z nastolatkami zupełnie sobie nie radziła.

Z pomocą przyszedł jej Adam.

– Jesteś tu na zaproszenie aniołów, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? – powiedział fałszywie uprzejmym tonem. – Rozumiem, że one mają się dostosować do wymagań szanownego pana, tak? Może nawet Bóg powinien wziąć pod uwagę, że wolałbyś być na Mazurach i zmienić swoje plany? W końcu co tam anioły, najważniejsi jesteście ty, twoi kumple i twój zmarznięty tyłek.

Teraz śmiali się już wszyscy, a Staszek poczerwieniał jeszcze bardziej. Pani Celina próbowała załagodzić sytuację:

– To tylko jedna noc, Staszku. Jutro się wszystkiego dowiesz. Zresztą dzisiaj i tak nie ma już żadnego pociągu.

Chłopak opadł na fotel, mamrocząc coś pod nosem.

– On ma rodziców ateistów, wiesz? – Jacek nachylił się do ucha Niny. – Nie mam pojęcia, czemu anioły go wybrały.

Ale dziewczyna myślała o czymś innym.

– Tu jest tylko pani Celina? Mam na myśli, że do opieki nad nami?

– No, jest jeszcze Remigiusz, ten kierowca i złota rączka. I jego siostra, Sylwia, ona gotuje i sprząta. Tyle że oni prawie się nie odzywają. I oczywiście Azkiel, który mieszka na górze. Widziałaś się z nim? Każdy z nas był u niego po przyjeździe. Pytał cię o coś?

– Nie, tylko sprawił, że przestały mnie boleć ręce.

– Mnie pokazał kulę światła. Normalnie jakby w powietrzu unosiła się żarówka. I też nic konkretnego nie chciał powiedzieć.

– Tajemniczy drań, co? – Tamara oparła się o ścianę i przymknęła oczy. Jako

jedyna wydawała się wolna od niecierpliwości, która dręczyła pozostałych.

A może ta jej niedbałość była pozą? – Mnie anioł powiedział, że mam się dobrze bawić, i to mi wystarczy.

Nina piła kakao. Było dobre, tego nawet ich mało utalentowana kucharka nie zdołała zepsuć. Po raz pierwszy od wielu godzin dziewczyna poczuła się... nie, nie szczęśliwa, bo ciągle jeszcze myślała o Sławku, ale przynajmniej spokojna i bezpieczna.

Pani Celina sięgnęła po leżącą na jednym z foteli grubą książkę.

– Poczytajmy przed snem Biblię – zaproponowała. – Ktoś chętny?

Zgłosił się Adam, co Niny nie zdziwiło.

Czarnowłosa chłopak wybrał historię Abrahama oraz Izaaka. Nina nigdy tej opowieści nie lubiła – bo czy nie oznaczała ona, że Bóg woli ludzi ślepo posłusznych, nawet jeśli to posłuszeństwo prowadzi do czynu okrutnego i złego, zamiast tych, którzy zdolni są do samodzielnego myślenia?

Przez chwilę bawiła się, tworząc w głowie inne zakończenie tej historii: w jej wersji Bóg nagradzał Abrahama nie za bezmyślne wykonywanie poleceń, ale właśnie za sprzeciw. Nina, zorientowawszy się, co właściwie robi, pośpiesznie postarała się pozbyć takich myśli i skupić na słowach Adama. Musiała przyznać, że czarnowłosa ma dobrą dykcję i co więcej, talent dramatyczny – w jego ustach biblijna opowieść brzmiała prawie jak słuchowisko radiowe.

Przez jakiś czas Ninie rzeczywiście udało się skoncentrować na Biblii, później jednak myśli dziewczyny zaczęły uciekać w stronę otaczających ją chłopców i dziewcząt. Piękna Lidka słuchała z miną, jakby otworzyło się przed nią niebo, pozostali w większości także wyglądali na przejętych. Jednak Staszek wyraźnie

się nudził, Flip i Flap szeptali coś do siebie (pani Celina z miernym skutkiem karciała ich wzrokiem), a Tamara gapiała się w okno.

W pewnym momencie Nina wyłowiła z rozmowy Flipa i Flapa słowa: „sztuczki magiczne” oraz „przebierają się”. Zdrętwiała. Czy oni naprawdę uważali skrzydlatych za poprzebieranych ludzi? Jakim cudem anioły mogły wybrać kogoś takiego?

Adam skończył czytać i odłożył Biblię. Deszcz bił o szyby usypiająco, rozmowy w pokoju zaczęły przygasać. W końcu pani Celina powiedziała wszystkim „dobranoc”, upomniała, żeby nie siedzieli zbyt długo, i wyszła. Wkrótce potem Eliza zaczęła zaganiać Małgosię do łóżka. Dziewczynka podreptała za nią jak posłuszny piesek, najwyraźniej przyzwyczajona do tego, że starsi nią komenderują. Pozostali też szybko poszli się myć. Nina postanowiła, że poczeka, w końcu wszyscy się przy umywalkach i tak nie zmieszczą.

Udała się do sypialni, położyła się na łóżku i skończyła wreszcie Hrabiego Monte Christo. Potem dziewczyny zaczęły wracać, wyjęła więc z walizki mydło oraz ręcznik i powędrowała do łazienki. Była tam już tylko Lidka, która wpatrywała się w lustro, jakby zobaczyła siebie po raz pierwszy.

Nina stanęła obok i wykrzywiła się do własnego odbicia. Ciekawe, jak to jest być piękną? Ona piękne miała tylko gęste włosy, które lśniły jak świeżo wyłuskane kasztany i których z próżności nie ścinała, choć większość jej koleżanek wolała krótsze fryzury. Ludzie tak często się nimi zachwycali, że dziewczyna doszła do wniosku, iż najwyraźniej reszta nie jest szczególnie godna uwagi. Choć z drugiej strony ta reszta nie była też zła, myślała, krytycznie oceniając twarz w kształcie serca, z szerokim czołem i spiczastym podbródkiem.

Lidka wyciągnęła rękę i dotknęła swojego odbicia. Był w tym geście jakiś nieśmiały, niepewny zachwyty i jakby... niepokój?

– Czy ja jestem piękna? – zapytała.

Nina zdusiła niegrzeczną odpowiedź i zdecydowała się na ironiczną:

– Uroda to rzecz bardzo subiektywna. – Nina lubiła trudne słowa. – Dla kogoś, kto uwielbia obrazy Picassa, pewnie jesteś strasznym brzydactwem. – Lubiła też popisywać się swoją wiedzą na temat sztuki.

Lidka patrzyła tępo. Nina się zlitowała.

– Tak, jesteś piękna. Nikt ci wcześniej tego nie powiedział?

– Nie. – Zabrzmiało to szczerze i tak smutno, że Nina poczuła wstyd. I znowu nie mogła się powstrzymać przed wymądrzaniem. Przeprosiłaby nawet, ale Lidka zdążyła już wyjść.

Zamknęła za nią drzwi, po czym przyciągnęła pod nie drewnianą ławkę.

Zdjęła kapcie. Od szpar w oknach ciągnął deszczowy ziąb, a posadzka była lodowata, ale dziewczyna nie zamierzała się poddać. Zeszłego wieczoru nie kąpała się w ogóle i teraz miała wrażenie, że cała lepi się od brudu. Rozebrała się i pośpiesznie umyła, co wymagało ekwilibrystycznych wyczynów, takich jak wkładanie stóp do umywalni, a kiedy skończyła, stała w kałuży rozchlapanej wody i szczękała z zimna zębami. Czy nie mają tu choćby miski, w której można się umyć, polewając wodą z garneczka?

Postanowiła, że zapyta o to Tamarę przy najbliższej okazji.

Nagle znów dopadło ją uczucie dojmującej samotności, szczególnie wyraźne tu, w tym wielkim, ponurym pomieszczeniu, gdzie człowiekowi towarzyszyła tylko wilgoć starych murów i zapach rdzewiejącego żelaza.



Wytarła się szorstkim ręcznikiem, włożyła koszulę nocną i wróciła do sypialni.

Małgosia leżała już w łóżku obok misia, opatulana właśnie kołdrą przez troskliwą Elizę. Jedna z bliźniaczek czesała drugą, a Lidka grzebała w walizce. Tamara uniosła głowę znad książki i spojrzała na Ninę.

– Miałśmy przed chwilą ciekawą dyskusję na temat tej anielskiej niespodzianki. Małgosia uważa, że skrzydlaci spełnią każdemu z nas trzy życzenia jak w bajce, Lidka, że nas tu wszystkich przerobią na aniołki, Eliza, że zostaniemy misjonarzami czy coś w tym sensie, a bliźniaczki, że wystarczającą niespodzianką są już same wakacje, bo one, biedactwa, wcześniej nigdzie nie wyjeżdżały. Pora, żebyś ty się wypowiedziała. Na czym, twoim zdaniem, polega anielska niespodzianka? Możesz też zgodzić się z którąś z nas. Ja na przykład jestem za bliźniaczkami. Tydzień czy dwa odpoczynku od mojej macochy w zupełności mnie satysfakcjonują.

Nina zakłopotana się. Żaden z tych pomysłów jej nie przekonywał. Na misjonarkę się nie nadawała, na anioła tym bardziej. Trzy życzenia...? Jakie byłyby jej życzenia? Żeby mama wreszcie przestała być smutna, żeby Sławek żył.

I nowa walizka, w końcu altruizm ma swoje granice. Ale to było głupie, tylko dziecko mogło wpaść na coś takiego. Anioły to nie złote rybki.

– Ja... nie wiem.

Rozczarowana Tamara wzruszyła ramionami i wróciła do lektury. Nina wsunęła się pod kołdrę. Myślała. Nie o życzeniach, ale o czymś innym.

Po chwili na jej łóżku usiadła Tamara. W ręce wciąż trzymała książkę – były to, jak Nina zdążyła się zorientować, niemożliwie sfatygowane przygody Sherlocka Holmesa.

– No dalej, mała – powiedziała tak cicho, że pozostałe dziewczyny nie słyszały. – Dawaj. Przecież widzę, że coś ci chodzi po głowie.

– Kiedy ja naprawdę nie wiem, co by to mogła być za niespodzianka. Ale myślałam o czymś innym...

– O czym?

– Dlaczego właśnie nas wybrały? Nie jesteśmy w żaden sposób szczególni.

Przynajmniej ja nie jestem – dodała ucziwie. – Nie znam was długo, ale też wszyscy tu wydajecie się raczej... przeciętni, bez urazy.

Tamara spojrzała na nią przeciągle, jakby z nowym zainteresowaniem.

– Nie jesteś taką idiotką, na jaką wyglądasz – oznajmiła.

Nina pojęła, że to miał być komplement, lecz i tak zrobiło jej się przykro. Tamara musiała to zauważyć.

– No, bez takich min. Po prostu jak cię zobaczyłam przy kolacji w tej okropnie dziewczynskiej spódnicy, to sobie pomyślałam, że jesteś kolejną lalką, jak ta durna Lidka. – Spojrzała przez ramię i jeszcze bardziej zniżyła głos. – Żadnej z tych gęsi nie przyszło to do głowy – dodała, nim oszołomiona Nina zdążyła powiedzieć, że spódnice, pomijając kilty, są dziewczynskie z definicji. – Myślą, że są wyjątkowe, i sikają po nogach ze szczęścia. Jakby rzeczywiście Bogu mogło zależeć na dziesięciolatce, która sypia z misiem, albo na nierozgarniętych bliźniaczkach ze wsi.

– Ale najwyraźniej mu zależy, prawda? Inaczej by nas tu nie było.

Tamara wzruszyła ramionami.

– Na to wygląda. Ale to już nie mój problem.

– Naprawdę cię to nie obchodzi?

– Niespecjalnie. – Wyszczrzyła zęby i ten niedbały, trochę łobuzerski uśmiech przypomniawszy Ninie Sławka. – Z samej ciekawości bym chciała wiedzieć, pewnie, ale jak się nie dowiem, to przeżyję. Mam większe problemy w życiu. No i z drugiej strony, czym się martwić? Tak czy siak, krzywdy nam tu przecież nie robią.

– Ty nie wierzysz w anioły? – zapytała Nina z wahaniem.

– Wierzę, czemu nie. Dlaczego pytasz?

– Nie wydajesz się jakoś szczególnie przejęta.

– A czemu miałabym się przejmować? – Tamara ziewnęła demonstracyjnie.

– Jestem dobra, nie? Może nie biegam codziennie do kościoła, ale też nie robię nikomu krzywdy, więc nie mam się czego bać.

– Gaszę! – krzyknęła od drzwi Eliza. – Jak która będzie chciała w nocy do ubikacji, niech weźmie lampę naftową ze stolika. Światła nie zapalać, bo się wszystkie pobudzimy.

Tamara wróciła do siebie, a sypialnia pogrążyła się w ciemności. Nina długo nie mogła zasnąć. Pod kołdrą było jej ciepło, ale gdy tylko wysuwała stopę poza zagrzane miejsce, zaraz napotykała chłód sztywnej, świeżo wykrochmalonej pościeli. Mrok wokół był gęsty jak melasa i tak absolutny, że straciła rozpoznanie, gdzie jest prawa strona, a gdzie lewa. Jedyнным punktem orientacyjnym było teraz okno, które widziała, jeśli uniosła się lekko na łokciach i spojrzała za siebie. Szary prostokąt zdawał się pływać w morzu ciemności – dosłownie pływać, bo przesuwał się, kiedy Nina patrzyła. Starła się więc nie patrzeć, choć wiedziała, że to tylko złudzenie. Deszcz ustał, lecz wiatr wciąż rozbił o brzeg fale, a na klasztorne mury napierał jak wielkie, posapujące zwierzę.

Jękliwy głos pędzącego przez puste korytarze wichru był chyba najbardziej posępny i samotny dźwiękiem, jaki Ninie zdarzyło się słyszeć. Do tego dołączyło pochrapywanie kręcących się na łóżkach dziewczyn.

„Może nie biegam codziennie do kościoła, ale też nie robię nikomu krzywdy, więc nie mam się czego bać”, powiedziała beztrąsko Tamara, a Nina zastanowiła się, czy to naprawdę wystarczy. Nagle poraziła ją straszna myśl: może skrzydlaci zebrali ich tutaj nie po to, by nagrodzić, ale by ukarać?

Ale nie, to nie miało sensu. Nie byli może najlepsi, ale też przecież nie najgorsi. Poza tym nawet jeśli Nina, Flip i Flap, Tamara czy Staszek zasługiwali na karę, to z pewnością nie zasługiwały na nią mała Małgosia czy pobożna Lidka – no chyba że miały na sumieniu jakieś straszne rzeczy, co Ninie wydawało się nieprawdopodobne.

A może nie chcą nas ani nagrodzić, ani ukarać, może tak naprawdę chodzi im o coś innego?

„Tak czy siak, krzywdy nam tu przecież nie zrobią”, powiedziała Tamara, a Ninie przyszło do głowy proste pytanie. Brzmiało ono:

Właściwie skąd my to wiemy?

Owszem, nigdy dotąd nie słyszała, żeby anioły zrobiły człowiekowi krzywdę.

Ale też niewiele o nich wiedziano. Dlaczego spadły na ziemię? Czemu akurat na terenie Polski i czemu teraz? Czy miały jakieś plany, a jeśli tak, to jakie?

Nina uświadomiła sobie, że właściwie wszystko, co na temat skrzydlatych słyszała, to były wyłącznie domysły opiekujących się nimi ludzi. Jej matka twierdziła na przykład, że anioły zostały zesłane przez Boga, żeby ocalić Polaków od plagi komunizmu, ale po prawdzie, jak dotąd nic w tym kierunku nie

zrobiły. Wręcz przeciwnie, to je trzeba było ratować.

Ratować... Nina przypominała sobie opowieści, które składała cierpliwie z wpadających jej w uszy półsłówek. Anioły wywlekane nad ranem z domów przez ludzi przyjeżdżających w czarnych samochodach, kopane i bite, a potem wiezione na przesłuchanie. Cele, gdzie stało się po kostki w lodowatej wodzie, i tortury. Anioły nie chorowały, lecz ból odczuwały tak samo jak ludzie. I prędzej czy później przyznawały się do wszystkiego. Że działają na szkodę państwa polskiego, że kolaborują z amerykańskimi imperialistami, a przede wszystkim, że tak naprawdę wcale nie są aniołami, bo przecież Bóg nie istnieje. Większość zniknęła potem jak wrzucony w wodę kamień, ale niektórym urządzano pokazowe procesy i rozstrzeliwano.

Nina zawstydziała się, że choć przez ułamek sekundy mogła podejrzewać anioły o złe zamiary, i w duchu poprosiła Boga o wybaczenie. Była człowiekiem małej wiary, to właśnie stanowiło jej problem. W gruncie rzeczy – uświadomiła to sobie nagle i z nieprzyjemnym uczuciem w żołądku – z charakteru bardziej chyba przypominała ojca sceptyka niż matkę. „Chcę wierzyć”, powiedział kiedyś jej tato, „ale co ja poradzę, że wciąż mam wątpliwości?”.

Nina też miała wątpliwości i nie potrafiła powstrzymać się przed zadawaniem pytań, postanowiła jednak, że zwalczy w sobie tę cechę. W końcu gdzie jak gdzie, ale w klasztorze, w towarzystwie anioła, musi jej się udać.

Zamknęła oczy, pogrążając się w przyjemnych wizjach samej siebie za kilka dni. Nina modląca się gorliwie i znajdująca w sobie nieznanie wcześniej pokłady chrześcijańskiej dobroci oraz posłuszeństwa, Nina w kościele, śpiewająca z uduchowioną twarzą. A potem słowa anioła: „Większa będzie radość w niebie

z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia”.

Zasypiała już, kołysana przyjemnymi myślami, kiedy z półsnu wyrwało ją mamrotanie i ciche jęki. Którąś z dziewczyn najwyraźniej męczył koszmar. Stała się to zignorować, ale nie potrafiła – ktokolwiek śnił zły sen, miotał się po łóżku jak człowiek w gorączce.

Małgosia, to musi być Małgosia, Nina uświadomiła sobie, skąd dochodzi odgłos. Dziecko prawie szlochało przez sen.

Co z tą Elizą? Niech się obudzi i uspokoi małą, w końcu ona się o nią najbardziej troszczy. Nina nie miała opiekuńczych instynktów. Z powodu Szymka ludzie od czasu do czasu oczekiwali, że będzie lubiła zajmować się młodszymi dziećmi, ale ona ignorowała wszelkie aluzje. Owszem, z bratem dogadywała się dobrze, ale to wcale nie znaczyło, że miała ochotę zabawiać czy tulić smarkaczy.

Dalej, Eliza, budź się.

Jednak starsza dziewczyna najwyraźniej spała jak kamień. Nina nie mogła dłużej wytrzymać, wstała więc, wymacała kapcie i z rękami wyciągniętymi niczym ślepiec ruszyła w stronę, gdzie, jak miała nadzieję, znajdował się stolik z lampą naftową. Mrok wydawał się jeszcze bardziej gęsty i wrogi. Nina wyobrażała sobie, że w tej czerni czai się ktoś, kto lada moment złapie ją za kostkę. Albo że jej palce trafią na nieruchomą w ciemności zimną twarz.

Trafiła jednak tylko kolanem w stolik, omal nie zrzucając lampy. Zaklęła, namacała pudełko zapalek i potarła jedną o draskę. Dalej było łatwiej. Z naftówką w ręku podeszła do łóżka Małgosi. Dziecko wciąż pojękiwało, na jego czole

lśniły krople potu.

– Obudź się, proszę. – Chwyliła dziewczynkę za ramię. Opadło ją nagle, straszne uczucie déjǎ vu, niedawno tak przecież szarpała Sławka. – Słyszysz, wstawaj!

– Nie pozwól mu iść rano do ogrodu – powiedziała Małgosia.

– Co? – Nina pochyliła się, ale dziewczynka cichła już powoli. Jakby potrząsanie za ramię przegnało zły sen. Albo jakby nigdy żadnego koszmaru nie było, a Nina się przesłyszała.

Ale przecież nie przesłyszała się, prawda?

Małgosia spała spokojnie, oddychając równo przez na wpół otwarte usta.

Nina przed chwilą jeszcze chciała budzić dziewczyny i wołać na pomoc panią Celinę, bo wspomnienie tego, co stało się ze Sławkiem, było zbyt silne. Ale to nie miało przecież sensu. Dziecku zwyczajnie coś nieprzyjemnego się przyśniło, bywa.

Wróciła do łóżka i zamknęła oczy.

Zbudziła się, gdy za oknem było już szaro. Która mogła być godzina? Z pewnością wczesna, bo w klasztorze wszyscy jeszcze spali; w każdym razie nie słyszała żadnej porannej krzątania.

Nie pozwól mu iść rano do ogrodu.

Komu miała nie pozwolić? I czy to polecenie rzeczywiście skierowane było do niej? No i co właściwie znaczyło „rano”? Tak można było określić zarówno świt, jak i wczesne przedpołudnie.

Nina kręciła się jeszcze przez chwilę pod kołdrą, aż wreszcie zrozumiała, że już nie zaśnie. Ubrała się więc pośpiesznie w rzeczy tak zimne, że sprawiały

wrażenie mokrych, i tylnym wyjściem wymknęła się do ogrodu.

Nie padało, ale cały świat zdawał się przesiąknięty deszczem. W powietrzu wisiała wilgoć, z drzew kapała woda, buty odrywały się od ziemi z błotnistymi mlaśnięciami. Niebo zasnuwane było chmurami, a niżej, pod stopami Niny, rozciągało się jezioro, nad którym zalegał gęsty i biały jak śmietana kozuch. Mgła na szczęście nie dotarła na niewielkie wzgórze, na którym położony był ogród – tu tylko gdzieś unosiły się siwe pasma przypominające kłęby pajęczych nici. Nina postanowiła obejść klasztor i przyrzeć mu się w świetle dziennym. Była to ciężka neogotycka bryła, która kiedyś musiała zachwycać urodą, lecz teraz mocno już nadgryzł ją ząb czasu. Południowe skrzydło zawaliło się, czy to pod wpływem starości, czy może dlatego, że spadła na nie zabłąkana bomba. W gruzowisku widać było fragmenty bielonych ścian, wdeptany w błoto wapienny pył zaścielał trawę aż do brzegu powleczonego mgłą jeziora. Nina zręcznie przeskoczyła przez coś, co wyglądało na szczątki jednej z wież. Reszta ogrodu sprawiała lepsze wrażenie, choć warzywnik zarósł chwastami, a drzewa owocowe zdziczały. Niemniej dziewczyna już miała uznać, że ogród jest właściwie całkiem ładny – smutny w swoim zaniedbaniu, ale ładny – kiedy przy północnym skrzydle zobaczyła coś, co sprawiło, że przeszedł ją dreszcz.

Była to kępa uschniętych dębów, gruzłowatych i powykręcanych jak starcze ramiona. Splątane konary tworzyły węzowe kłębowisko, w którym nie sposób było rozpoznać, gdzie kończy się jedno drzewo, a zaczyna drugie, w dodatku pnie oplatało bezlistne zdrewniałe pnącze, z kolcami długimi na palec i ostrymi jak brzytwy. Całość sprawiała odpychające wrażenie, czarna na tle szarego nieba, martwa, a jednak w jakiś sposób wciąż groźna. Kępę otaczał krąg jało-



wej ziemi – nie rosło tam ani jedno źdźbło trawy, ani jeden chwast. Tylko gdzieś leżało kilka szerniałych, zasuszonych liści. Jakby grunt w tym miejscu został zatruty, jakby musiało umrzeć wszystko, co tylko przekroczyło niewidzialną granicę. Nina podeszła bliżej. Na gołej ziemi widniały wyraźnie odciśnięte ślady stóp. Prowadziły wprost w najeżony kolcami czarny gąszcz.

Nie pozwól mu iść rano do ogrodu.

Nina obesła kępę, posuwając się wzdłuż linii kręgu, a kiedy znalazła się z powrotem w punkcie wyjścia, ktoś krzyknął za jej plecami:

– Ej, ty tam! Do domu, ale już!

Odwróciła się, bardziej zdziwiona niż oburzona. Od strony klasztoru zbliżał się Adam, zaczerwieniony z gniewu, z rozwianymi włosami, które upodobiały go do miniaturowej wersji wkurzonego Szopena. Buty i nogawki spodni miał ubrudzone białym wapiennym pyłem.

– Słyszysz, co mówię? Do domu!

– Tak się możesz zwracać do swojego psa – powiedziała Nina. – Czy ja wyglądam na psa?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Dziewczyna wygrała.

– Nie wolno wychodzić na zewnątrz. – Adam zacisnął usta.

– Naprawdę? Kto to powiedział?

– Ja mówię. Wracaj do środka.

– Wrócę, jak ładnie poprosisz. – Uśmiechnęła się. To było głupie, ale dawało jej satysfakcję.

– PROSZE – wycedził chłopak przez zęby.

Uznawszy, że będzie musiało jej to wystarczyć, Nina zignorowała sarkazm

i powędrowała w stronę drzwi. Nie mogła przecież tkwić na tym zimnie wiecz-  
nie, a i tak właściwie miała już wracać.

Przy śniadaniu dowiedziała się, że Staszek zaginął.

Rozdział trzeci, w którym pojawiają się następne tajemnice, ślady biegną w  
jednym kierunku, a obrazy budzą niepokój.

Pewnie wrócił do domu – powiedział Mariusz, wielki, zwałisty chłopak, który  
poprzedniego wieczoru jadł zupę tak, jakby ktoś miał mu ją odebrać. Artur,  
jego chuderlawy kolega, pokiwał energicznie głową.

– Ano. Chciał się urwać, to się urwał.

– Niech się pani nie martwi. – Żabowaty Tymek błysnął czarującym uśmie-  
chem. – Staszek to idiota, zobaczy pani, jeszcze pożałuje, że sobie poszedł.

Pani Celina wyglądała na zmęczoną. Pod oczami miała sine kręgi, grymas na  
bladej twarzy z trudem można było uznać za uśmiech. Nie jadła, lecz tylko roz-  
rywała chleb, siejąc wokół okruszkami.

– Może zapytajmy anioła? – zaproponowała rozsądnie Nina. – Podobno on  
wszystko wie.

Wokół stołu rozległy się aprobujące pomruki, ale pani Celina nie wyglądała  
na zadowoloną z takiego rozwiązania.

– Azkiel... Azkiel ma swoje sprawy i nie można wymuszać na nim odpowie-  
dzi.

Kolejny dowód, że skrzydlaty tylko udaje wszechwiedzę, pomyślała Nina.

Jeszcze wczoraj byłaby z tego zadowolona, ale teraz... teraz trochę się bała –  
wolałaby chyba, żeby opiekował się nimi ktoś, kto rzeczywiście wie wszystko.

Napiła się kawy zbożowej z mlekiem i posmarowała kromkę konfiturą. Ro-

biąc to, nie przestawała obserwować zgromadzonych przy stole. Wyglądało na to, że większość młodzieży się nie przejęła. Jacek i Tymek już zaczęli się spierać, czy anioł powie teraz, co to za niespodzianka, czy może będzie chciał czekać, aż Staszek wróci, Artur dobitnie wyraził, co myśli o władzach umysłowych zaginionego, a Eliza w ogóle o nim nie myślała, tylko postanowiwszy, że podopieczni pani Celiny od dziś będą pomagać w kuchni, sporządzała już listę dyżurów.

– Pomożesz mi, Lidka, co? I ty, Hela.

– Gorków myć nie bede – oznajmiła prawdomówna bliźniaczka. – Nie cierpia tego.

– Karolina?

Druga bliźniaczka nawet się nie odwróciła. Zamyślona, patrzyła przed siebie ze zmarszczonymi brwiami.

– A co, jak on się po ómoku stracił? – powiedziała wolno. – Nie znał przeca drogi na stacje.

– W takim razie go poszukajmy. – Jacek jak zawsze tryskał entuzjazmem.

Pani Celina skinęła głową.

– Macie rację, powinniśmy się rozejrzeć. Ja pojedę samochodem na dworzec, a ty, Jacku, przejdź się do miasta i popytaj. Drogę znasz. Reszta może rozejrzeć się po okolicy. Tylko pamiętajcie, nie oddalajcie się za bardzo! Nie chcemy przecież, żeby ktoś jeszcze się zgubił, prawda?

– Ja pójdę z Jackiem – zadeklarowała Tamara.

– Ja też. – Nina z przerażeniem myślała o liście dyżurów Elizy. Poza tym miała ochotę trochę pozwiedzać.

Wiedziała już, że stacja Markoty znajduje się poza miastem, tak iż ono, klasztor oraz dworzec tworzą jakby trzy wierzchołki trójkąta. W rezultacie do miasteczka szło się inną drogą niż na stację, choć w obu przypadkach była to mniej więcej ta sama odległość – dziesięć minut jazdy samochodem albo godzina pieszo.

– Pójdę z nimi, jeśli nie ma pani nic przeciwko. – Ku zdumieniu Niny odezwał się Adam.

Nie mogła mu zabronić, rzuciła jednak chłopakowi mordercze spojrzenie.

Czemu chciał z nimi iść? Musiał przecież wiedzieć, że nikt nie życzy sobie jego towarzystwa.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, pośpiesznie dopiła kawę i ruszyła do sypialni. Skoro wybierała się do miasta – choćby i zapyziałego – wypadało porządnie się ubrać.

Przeszukała walizkę, odkładając na bok „praktyczne”, bure i pocerowane rzeczy. Miała tylko dwie ładne sukienki: błękitną, w której wyjechała z domu, a która teraz wymagała prania oraz przyszcycia falbanki, i kremową, najbardziej ulubioną. Znalazła ją w kufrze na strychu wśród rzeczy pozostawionych przez dawnych mieszkańców Wrocławia. Koronki spłowiały już nieco, a złamana biel pożółkła tu i ówdzie, ale przedwojenny ciuch wciąż zachwycał staroświecką, subtelną urodą. Matka Niny go nie cierpiała – może ze względu na to, że kiedyś musiał należeć do niemieckiej dziewczynki – lecz Nina pokochała sukienkę od pierwszego wejrzenia. Czuła się w niej jak ktoś z innego, lepszego świata. Dokładnie tak, myślała, wiążąc na plecach kokardę. Jak ze świata, gdzie nie było wojny ani powojennej szarości, gdzie ludzie bawili się wesoło,

a elegancy panowie i panie w długich sukniach jeździli powozami na spacery.

Tamara czekała przed głównym wejściem do klasztoru, siedząc na nieco wilgotnej jeszcze ziemi. Na widok Niny zmarszczyła brwi.

– Żartujesz, prawda?

– Coś nie tak?

Obrzuciła spojrzeniem sukienkę, najdłużej zatrzymując wzrok na wyglądającej zza pleców Niny kokardzie.

– Wyglądasz jak motyl bielinek, któremu skrzydła opadły na tyłek.

– Po prostu jesteś zazdrosna – oznajmiła Nina z godnością. Pojęła już, że uwagami Tamary nie należy za bardzo się przejmować. I nie przeszkadzało jej, że ludzie w miasteczku prawdopodobnie będą dziwnie na nią patrzeć: Nina nie znosiła, gdy ludzie gapili się na nią, kiedy miała coś powiedzieć, ale nie miała nic przeciwko zwracaniu na siebie uwagi nietypowym strojem.

Po chwili dołączył do nich Jacek i razem ruszyli w drogę. Adam szedł kilkadziesiąt kroków z tyłu, z czego wszyscy byli zadowoleni.

Teraz gdy mgła opadła, Nina widziała po drugiej stronie jeziora miasteczko – maleńkie, jakby patrzyła na nie przez odwróconą lunetę, ale wyraźnie rysujące się na tle ciemnej ściany lasu. Ponad czerwone dachy domów wystawała iglica kościoła, niżej leżała przystań rybacka. Droga wiodła łagodnym łukiem wzdłuż brzegu; po lewej stronie ciągnął się bukowy las, a po prawej mijali wielkie szare głazy, niektóre na wpół zanurzone w wodzie, inne wystające z przybrzeżnej trawy jak grzbiety przyczajonych kamiennych drapieżników. Tafla jeziora była ciemna i nieruchoma, zamglone słońce grzało mocno. W dusznym, lepkim powietrzu wisiała zapowiedź burzy.

– To diabelskie kamienie, tak je nazywają miejscowi – powiedział z mądrą miną Jacek, wspinając się zręcznie na jeden z głazów. – Tu jest też gdzieś jaskinia, moglibyśmy jej poszukać któregoś dnia.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Trochę z książek, bo jak tylko się dowiedziałem, że mam tu jechać, zaraz poszedłem do biblioteki, a trochę od miejscowych. Ja przyjechałem jako pierwszy, już w niedzielę, i od tego czasu kilka razy zdążyłem być w miasteczku.

Okazało się, że Jacek wie także mnóstwo innych rzeczy. Na przykład, że Markoty były przed wojną sporą miejscowością letniskową, prawie tak popularną jak nadmorskie uzdrowiska. W miasteczku znajdował się niewielki hotel, a miejscowi zarabiali na wynajmowaniu pokoi. Lecz potem hotel spłonął, i nim zdążono go odbudować, przysła wojna, po której nikt nie miał głowy do turystyki. Hotel niszczał więc coraz bardziej, a młodzi uciekali z Markotów do większych miast. Teraz zostali tu już głównie starsi, tacy, którzy są przywiązani do tej ziemi z dziada pradziada.

– A klasztor? – zapytała Nina, zastanawiając się jednocześnie w duchu, czemu ona nie wpadła na pomysł, żeby pójść przed wyjazdem do biblioteki.

– Założyły go na początku dziewiętnastego wieku franciszkanki. Prowadziły niewielki szpital, wiedzieliście o tym? Nasze sypialnie są właśnie w dawnych salach szpitalnych.

Dziewczyna skinęła głową. To miało sens.

– I co się z tymi franciszkankami stało?

– Nic. – Jacek wzruszył ramionami. – Niektóre umarły, inne przeniosły się do

innych klasztorów. Ten nasz już od paru lat stoi pusty.

– I nikt się nim nie interesuje? – Tamara zmarszczyła brwi. – Dziwne.

– No, trochę dziwne – przyznał Jacek radośnie, wskakując na kolejny kamień. Poślizgnął się i omal nie wpadł do wody, ale w ostatniej chwili odzyskał równowagę i miękko jak kot zeskoczył na trawę. Niny wciąż nie przestawało dziwić, jak ktoś tak... kluchowaty może być jednocześnie tak bardzo zwinny. – Może siostry wykończyła ta wariatka? – Chłopak zachichotał.

– Jaka wariatka? – Nina przyśpieszyła kroku. Adam prawie ich doganiał.

– Przez jakiś czas trzymały w klasztorze wariatkę – wyjaśnił Jacek. – To było jakoś tak krótko po tym, jak z nieba spadły anioły.

– Przecież ten szpital nie był chyba dla umysłowo chorych?

– No nie.

– To skąd wariatka?

Jacek wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem? Powtarzam tylko, co słyszałem od miejscowych. Oni zresztą w ogóle o klasztorze mówią niechętnie.

– Jakby się bali?

– Nie no, coś ty? – Spojrzał na Ninę ze zdziwieniem. – Czemu mieliby się bać? Bardziej jakby... nie chciało im się o nim myśleć czy coś w tym rodzaju.

Pytałem na przykład o tę okropną uschniętą kępę, widziałaś ją? – Dziewczyna skinęła głową. – Ludzie coś tam zaczęli mówić, a potem nagle urywali, zupełnie jakby w trakcie zapomnieli, jak brzmiało pytanie. I w rezultacie dalej nie wiem, czemu te drzewa tak wyglądają.

– A wariatka? – Tamara najwyraźniej nie była zainteresowana stanem roślin-

ności.

– O wariatce też nie bardzo chcieli mówić. Tyle się dowiedziałem, że przyszła do nich, jak już w klasztorze nie było szpitala, ale ludzie z miasteczka z przyzwyczajenia ciągle chodzili do sióstr, jak byli chorzy. A one pomagały, jeśli tylko mogły. No i z tą wariatką przyszedł jakiś krewny, ojciec czy brat. Powiedział, że jest opętana, że mała jakiegoś dziecka nie zamordowała czy coś w tym rodzaju, ale nie chcą jej do więzienia dać. Wtedy siostry się zlitowały i zamknęły kobietę u siebie w celi.

– Zaraz, moment. – Nina zmarszczyła brwi. – To w końcu była szalona czy opętana?

– Może jedno i drugie? Chciałbym kiedyś zobaczyć kogoś opętanego, to musi być coś!

– Nie wydaje mi się, żeby to była taka znowu atrakcja – zwróciła mu uwagę Nina, a Tamara zachichotała:

– Jemu się wydaje, że opętanie to coś w rodzaju gabinetu strachów w wesółym miasteczku.

Jacek stropił się odrobinę.

– Ta kobieta robiła różne dziwne rzeczy – tłumaczył. – Biegała po ogrodzie w samej koszuli nocnej, chowała się w lesie i straszyla dzieci. To by mogło być ciekawe, nie sądzicie? Takie... no wiecie, poznawcze? Malownicze? – Patrzył na dziewczyny, wyraźnie oczekując aprobaty.

Zajęci rozmową, nie zauważyli nawet, że dogonił ich Adam, który wyprzedził Jacka i stanął przed nim, płonąc z wściekłości. Wyglądał tak, że pulchny chłopak cofnął się odruchowo, a Nina skuliła ramiona. Tylko Tamara przyglądała się



całej scenie ze spokojem i wyraźną ciekawością.

– Rzygać mi się chce, jak cię słucham – warknął Adam. – Ple, ple, pleciesz bzdury jak stara przekupka. I masz rozumu nie więcej niż królik. Zająłbyś się czymś pożytecznym, zamiast powtarzać durne plotki. Nic więcej nie umiesz? –

Pchnął Jacka tak silnie, że chłopak zatoczył się do tyłu. – Kretyn! Idiota!

Adam odwrócił się i pomaszerował w stronę miasteczka. Pozostali spojrzeli po sobie niepewnie.

– A temu co? – Zdumiony Jacek potrząsnął głową.

– To opętanie – zawyrokowała Tamara. – Widać jest zaraźliwe. Lepiej się pośpieszmy, będzie padać.

Nina spojrzała w górę i w milczeniu przyznała jej rację. Słońce było dusznym gorącem zza zasłony mgieł, niebo na zachodzie zaczęło już ciemnieć. Zbliżała się burza.

Tamara i Jacek wyrwali do przodu w takim tempie, że Nina z trudem dotrzymywała im kroku. Truchtała z tyłu, coraz bardziej spocona i zdyszana.

– Chodzisz jak dziewczyna – skarciła ją Tamara, odwracając się na chwilę.

– JESTEM dziew... czyną – wysapała Nina.

– To nie znaczy, że musisz być łamagą.

– Ona wyskoczyła wczoraj z jadącego pociągu. – Jacek nieoczekiwanie stanął w obronie Niny. W jego głosie brzmiała duma, niemal jakby to on dokonał tego wyczynu.

– Naprawdę?

Przytaknęła, a ponieważ zwolnili nieco, mogła odzyskać oddech. Tamara pokręciła głową – Nina nie wiedziała, czy miało to oznaczać podziw, coś w rodza-

ju „No, no, kto by się spodziewał”, czy może niedowierzanie.

– Dlatego się spóźniłaś? Bo wyskoczyłaś z pociągu? Bo to o matce to bujda, nie?

– Nie, ja... spotkałam pewnego chłopaka.

– Zaczyna się ciekawie. – Tamara wyszczerzyła zęby.

– To nie tak. – Zaczerwieniona Nina zaczęła się płatać. Czemu oni na nią patrzą? Nie znosiła tego. – On wsiadł w Lesznie i okazało się, że też jedzie do Markotów. Zaprzyjaźniliśmy się...

Dalej już jakoś samo poszło. I w miarę jak Nina się rozkręcała i mówiła coraz bardziej swobodnie, miny jej słuchaczy poważniały.

– Może dałoby się odszukać tego wiejskiego lekarza – zaproponowała Tamara. W klasztorze jest telefon, moglibyśmy zapytać, do jakiego szpitala zabrał Sławka.

– A potem zadzwonimy tam, podamy się za jego rodzinę i zapytamy, jak on się czuje. – Jacek gorliwie kiwał głową. – Coś wymyślimy, nie martw się.

– Kiedy nawet nie wiem, w jakiej miejscowości była ta przychodnia. – Nina pokręciła głową. – Poza tym pani Celina ma rację. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi. Jeśli Sławek wyzdrowieje, sam mnie znajdzie.

Minęła chwila, nim zdołała przekonać Jacka oraz Tamarę, którzy rwali się do pomocy. Chłopak wymyślił nawet, żeby pojechać do najbliższego miasta ze szpitalem w pobliżu Laskowic, zakraść się w przebraniu na oddział i oglądać po kolei wszystkich pacjentów. To było głupie, ale na swój sposób bardzo miłe.

Lepsze niż zdawkowe „wszystko będzie dobrze” pani Celiny.

Tamara zachichotała w pewnej chwili.

– Mamy nie zwracać na siebie uwagi, tak? I dlatego nosisz tę koronkową kieckę?

– To jest coś innego – odparła Nina chłodno, ale w głębi duszy poczuła, że dziewczyna może mieć rację. Jeszcze wczoraj przedwojennej sukienki by nie włożyła w obawie, że rzuci się komuś w oczy. A teraz, kiedy dotarła wreszcie do Markotów, poczuła się bezpiecznie i zapomniała o ostrożności.

Pocieszyła się jednak myślą, że w takich małych miasteczkach ludzie i tak zwracają uwagę na obcych, zauważą więc Ninę niezależnie od jej stroju.

Niebo ciemniało coraz bardziej, jakby rozlewał się na nim wielki granatowy siniec. Wyciągnięte palce burzy sięgały już nad jezioro, słońce wyglądało jak zasnute siwym dymem pożaru. W dusznym powietrzu dał się odczuć zimny powiew, powierzchnia jeziora zmarszczyła się lekko. Pierwsze zabudowania miasta minęli, gdy nad lasem zagrzmiało, na razie jeszcze cicho, a niebo na zachodzie przecięła jaskrawa smuga błyskawicy.

– Zaraz będzie lać, trzeba się spieszyć. – Tamara rozejrzała się. – Dobra, ja biorę lewą stronę ulicy, a wy prawą. Pytajcie ludzi, czy nie widzieli Staszka, zresztą sami wiecie.

Weszła do pierwszego z brzegu sklepu, Jacek zaczepiał ludzi idących chodnikiem. Szło im całkiem nieźle, bo dziewczyna miała konieczny do takiego wypytania tupet, a chłopak nadrabiał energią i zaangażowaniem.

Nina usiadła na ławce przed kościołem i wykorzystała chwilę przed burzą na to, by przyjrzeć się Markotom.

Miasteczko rzeczywiście było niewielkie i zapyziałe, w bruku ziały dziury, a środkiem ulicy wędrowało właśnie stadko gęsi, poganianych przez chłopca

z brzoźową witką w dłoni. Prócz kościoła był tu urząd pocztowy, kilka sklepów pod odrapanymi szyldami, bar mleczny i restauracja Jeziorna, która wyglądała bardziej na mordownię. Najwyższy budynek liczył cztery piętra – przy czym dwa niższe były wyremontowane, a trzecie i czwarte stanowiły ponurą, czarną i wypaloną ruinę, straszącą przechodniów pustymi ślepiami okien. Nina domyślała się, że to ten hotel, o którym mówił Jacek, a którego remont przerwała wojna. Rzeczywiście nie wyglądał zachęcająco. Choć z drugiej strony znajdująca się na parterze hotelu kawiarenka Myśliwska sprawiała lepsze wrażenie niż bar mleczny czy restauracja. Przynajmniej z zewnątrz.

– Ej, ty, księżniczka, może tak ruszysz tyłek i nam pomożesz? – Tamara stała nad Niną. Chwilę później dołączył do niej Jacek.

– Kiedy to nie ma sensu – odparła dziewczyna. Jakim cudem sami tego nie widzieli?

– Mieliśmy przecież pytać o Staszka, pamiętasz? – Jacek poparł Tamarę. – Pani Celina nas prosiła.

– Pamiętam, ale to nie ma sensu.

Jacek już otwierał usta, żeby coś dodać, ale ubiegła go Tamara.

– Zaczekaj. Daj jej powiedzieć, co ma na myśli. No dalej, czemu to wypytywanie nie ma sensu?

Coraz ciemniejsze niebo przecięła błyskawica, chwilę później nad miastem zadudnił grom, brzmiący jakby w chmurach ktoś przetaczał kamienie.

– No bo... – Nina nabrała powietrza. Byle tylko się nie plątać, pomyślała. – ...

bo przecież skoro Staszek chciał wyjechać, to poszedłby od razu na stację, nie do miasteczka. A jeśli nie znał drogi i musiał iść przez miasto, to byłby tutaj bardzo wcześnie. Ja wstałam przed piątą, Eliza i pani Celina niewiele później

i żadna z nas go nie widziała. Znaczy, musiał wyjść z klasztoru o świcie i do Markotów dotarłby... no, najpóźniej o szóstej, miasteczko przez cały czas wi-  
dać, więc nie mógł się nigdzie zgubić. O tej porze to tu przecież było pusto,  
sklepy i urzędy pozamykane. Staszek ewentualnie mógł spotkać kogoś, kto  
szedł na stację, żeby pociągiem jechać do pracy, a ci ludzie wrócą dopiero po  
południu.

– No to po co pani Celina kazała nam o niego pytać? – Jacek pokręcił głową.

– Bo jest głupia – skomentowała Tamara.

– Albo z góry założyła, że niczego się nie dowiemy. Ona wie, że Staszka nie  
znajdziemy, ale chce sprawiać wrażenie, że zależy jej na szukaniu.

Jacek zamrugął, Tamara zmarszczyła brwi. Znów błysnęło. Miasto pociemnia-  
ło, jakby padł na nie olbrzymi cień.

– Chodźmy do kawiarni. – Tamara skinęła głową w stronę Myśliwskiej. – Tu  
zaraz będzie lać jak z cebra, a ona – skinęła głową w stronę Niny – najwyraźniej  
chce powiedzieć coś okropnego. Nie cierpię słuchać okropnych wieści na głod-  
niaka. Ja funduję – dodała, widząc niepewne spojrzenia Jacka i Niny.

Ścigani burzą, pobiegli do kawiarni. Ledwo wpadli do środka i zamknęli za  
sobą drzwi, kiedy o szyby zabębnił deszcz. Nina zamrugnęła, a gdy oczy przy-  
zwyczały jej się do półmroku, zobaczyła, że wewnątrz kawiarenki odpowiada  
nazwie, istotnie było „myśliwskie”. Na ścianach wisały poroża, wypchane gło-  
wy zwierząt i obrazy przedstawiające polowania. Nina odwróciła wzrok od sce-  
ny, na której psy osaczyły niedźwiedzia. Taki wystrój zdecydowanie nie był  
w jej guście, choć jednocześnie musiała przyznać, że kawiarnia ma swój urok.  
Wszystko tu było staroświeckie i naturalne: drewniane albo skórzane, tak by

kojarzyło się z wieczorami spędzonymi przy kominku. Albo z mężczyznami w myśliwskich kurtkach, którzy siedzą w głębokich fotelach i nabijają fajki. Pachniało kawą, kurzem i płynem do czyszczenia drewna. Myśliwska była pusta, tylko za ladą siedziała siwowłosa elegancka pani, która na widok wchodzących uniosła głowę znad książki.

Jacek zamówił wielkie ciastko z kremem i owocami, a Nina najtańszą bezę, uznała bowiem, że nie należy nadużywać hojności koleżanki. Tamara bezczelnie poprosiła o wino.

– Nie sprzedajemy wina nieletnim – odparła zakłopotana pani.

– W takim razie niech będzie kawa. – Dziewczyna odwróciła się do Jacka i Niny i powiedziała niedbale: – Pewnie wina wcale tu nie mają.

Ninie zrobiło się przykro, bo starsza pani musiała to usłyszeć. Uśmiechnęła się więc przepaszająco, a zachęcona tym kobieta, zapytała:

– Przyjechaliście tu na wakacje, prawda? Gdzie się zatrzymaliście?

– My... eee... – Nina szukała ratunku u Jacka, ale on najwyraźniej też miał pustkę w głowie.

Z pomocą przyszła im Tamara.

– W klasztorze – oznajmiła. – Będzie zamieniony w muzeum, mieszka tam teraz nasza ciotka, która jest kustoszem.

– Ach, w klasztorze. – Starsza pani momentalnie straciła zainteresowanie.

Chwilę później siedzieli przy stoliku. Jacek jednym kęsem odgryzł pół gigantycznego ciastka, po czym wytarł umorusaną kremem twarz. Nina spojrzała na Tamarę. Trzeba przyznać, że dziewczyna ma dobry refleks i dużą przytomność umysłu, ale żeby zrobić z pani Celiny kustosza? A co, jak do miasteczka przy-

dą pozostali? Ciotka mieszkająca z kilkunastoma siostrzeńcami i siostrzenicami

– czy tam bratankami i bratanicami – będzie przecież budzić zainteresowanie.

Nina podzieliła się tymi wątpliwościami z Tamarą, ale starsza dziewczyna się nie przejęła.

– To już nie mój problem. – Skrzywiła się przy łyku kawy. – Czy ty się musisz o wszystko martwić?

– Nie będą się interesować. – Jacek wypchał sobie policzki resztką ciastka. – Jak tu byłem wcześniej, to mówiłem tylko, że jestem z klasztoru, i wystarczyło. Lepiej powiedz, skąd ci przyszło do głowy, że nie znajdziemy Staszka.

– Byłam dziś rano przy tych uschniętych drzewach. Tam naokoło jest krąg zupełnie gołej ziemi, widzieliście? – Skinęli głowami. – I tam właśnie zauważyłam ślady. Ktoś podszedł do kępy.

– No i co z tego? – Jacek zamrugął.

– Nie rozumiecie? Widziałam ślady prowadzące DO drzew, ale żadnych takich, które biegingyby w przeciwnym kierunku. Ktoś WSZEDŁ między te drzewa, ale nikt stamtąd nie WYSZEDŁ.

– To niemożliwe. – Tamara zmarszczyła brwi. – Ta kępa jest dość gęsta, fakt, ale przecież nie na tyle, żeby ktoś się w środku schował. Byłoby widać.

– Wiem. – Nina strzepnęła z sukienki resztki bezy.

– Może po prostu ten ktoś się wycofał, idąc tyłem po własnych śladach? – zasugerował Jacek.

– To wcale nie jest takie proste, jak opisują w książkach. Po pierwsze, nigdy nie trafisz butem dokładnie w ślad, zawsze kontury się trochę rozjadą. No i ślady po takim podwójnym przejściu są głębsze.

- A ty od kiedy jesteś taka mądra? – parsknęła Tamara.
- Od jakichś trzydziestu sześciu godzin – odparła Nina ucziwie.
- To po co szłaś z nami do miasta, skoro wiedziałaś, że niczego się tu nie dowiemy?
- Chciałam się przejść. – Nina wzruszyła ramionami. – I nie mówiłam, że w ogóle niczego się tu nie dowiemy, tylko że nie dowiemy się niczego na temat Staszka.
- Mam nadzieję, że to gadanie o śladach to nie jest jakiś dziwaczny rodzaj zemsty? – Tamara patrzyła na nią podejrzliwie. – Jeśli tak, to przepraszam, że nazwałam cię idiotką. Dobra, mogę przyznać: nie jesteś głupią lalką, tylko na taką wyglądasz. Może być?
- Nie wymyśliłam tego.
- Ale mogłaś się pomylić, prawda? – naciskał Jacek. – Nie zauważyłaś śladów, które prowadziły z powrotem. Może zmył je deszcz?
- Padający tylko w jednym miejscu? – Nina potrząsnęła głową. Ale w gruncie rzeczy sama zaczęła mieć wątpliwości. Doskonale przecież wiedziała, że ma skłonności do wyobrażania sobie różnych dziwnych rzeczy... Jak wtedy, gdy podejrzewała woźnego o bycie amerykańskim szpiegiem.

A co, jeśli rzeczywiście przegapiła oczywiste rozwiązanie?

- Może faktycznie coś mi się pomieszało – westchnęła. Wszyscy już zjedli, zebrała więc puste talerzyki i odniosła je do okienka z napisem: Zwrot naczyń. Nad przypiętą pinezką kartką wisiał obraz, schowany w kącie i niewidoczny z głównej sali. Nie pasował tu.

Nie pasował, bo zamiast kolejnej sceny myśliwskiej przedstawiał kępę



uschniętych drzew w klasztornym ogrodzie.

Nina przyglądała się przez chwilę powykręcany konarom, które godziły w szare niebo jak diabelskie widły. Kolce, którymi najeżona była kępa, były dłuższe niż w rzeczywistości, dłuższe i jakby... ostrzejsze, a całość miała odcień czerni tak głęboki, że drzewa i pnącze zdawały się pochłaniać mgliste światło poranka. A może wieczoru? Tak, to zdecydowanie był wieczór, ta posępna chwila, kiedy budzą się cienie, a człowiek dopatruje się w nich różnych niebezpiecznych rzeczy. W bezlistnych gałęziach też wydawało się coś czaić. Nina zmarszczyła brwi. Z dzieciństwa pamiętała rysunki, na których chaotyczne z pozoru kreski układały się w znajomy kształt, jeśli tylko patrzący wiedział, na co zwracać uwagę. Teraz miała nieodparte wrażenie, że ma przed sobą taki właśnie obraz, lada moment ta bezsensowna plątanina zmieni się w coś, czego dziewczyna wcale nie chce oglądać...

Nie zmieniła się jednak – Nina wciąż miała przed sobą zwyczajny ogrodowy widoczek, co prawda, wyjątkowo ponury i odpychający, ale nic więcej.

Podeszła do lady, za którą siedziała siwowłosa kobieta. Zawsze dobrze dogadywała się ze starszymi paniami. Nina, ze swoim zamiłowaniem do przeszłości, długimi włosami, staroświeckimi sukienkami i dobrymi manierami, musiała wydawać im się jakby żywcem wyjęta z przedwojennych czasów.

– Ten obraz, tam w kącie – zaczęła grzecznie – jest bardzo ciekawy, ale zupełnie tu nie pasuje.

Siwowłosa kobieta zakłopotana się.

– Rzeczywiście, ale nie miałam serca go wyrzucić. Malowała go miejscowa artystka, teraz już nie żyje, biedactwo. Podarowała mi obraz na... zaraz...

dwa... nie, trzy lata przed śmiercią.

– Przedstawia klasztorny ogród, prawda?

– Klasztorny? – Kobieta przez chwilę wyglądała na zagubioną. – Ach, tak, rzeczywiście, na obrazie jest Diabelski Krąg. Siostry tak na niego mówiły, a Maura Lewicka mieszkała u nich przez jakiś czas.

– Była zakonnicą? – niewinnie zapytała Nina.

– Nie, ona... cóż, dzisiaj to i tak żadna tajemnica. Była chora psychicznie, a siostry opiekowały się nią przez jakiś czas.

Wariatka, o której mówił Jacek, pomyślała. Obejrzała się – deszcz przestał padać, chłopak i Tamara wyszli już i dawali jej teraz znaki przez kawiarnianą witrynę. Cóż, będą musieli poczekać.

– Interesuję się malarstwem – powiedziała Nina zgodnie z prawdą. – Ale nigdy nie słyszałam o takiej artystce. Była sławna?

– Och, nie, choć niektórzy mówili, że ma wielki talent. Pochodziła z Markotów i miała na imię Maria, zwykła Marysia, ale prosiła, żeby mówić na nią Maura. Od dziecka była ekscentryczna i ciągnęło ją w wielki świat. Wreszcie wyjechała do Warszawy, to było... oj, w trzydziestym czwartym, a może w piętym? Obracała się tam w eleganckim towarzystwie, miała parę wystaw i przez jakiś czas wydawało się, że rzeczywiście zrobi karierę. Ale potem przyszła wojna. – Kobieta potrząsnęła smutno głową. – A ona wróciła tu latem czterdziestego piątego roku całkiem odmieniona. Ty pewnie tego nie pamiętasz, ale tak wtedy czasem bywało. Ludzie za dużo widzieli, tracili swoich bliskich i niektórzy... niektórzy nie mogli tego znieść. Maura uciekła w świat fantazji. Chodziła po lasach albo przesiadywała nad jeziorem, do innych prawie się nie odzywała.

A jeśli, to tylko po to, żeby opowiadać o wychodzących z drzew potworach, które widywała. Dzieci zaczęły się jej bać, a i wśród dorosłych było sporo takich, którzy uważali, że biedna Maura jest opętana. Dlatego któregoś dnia, kiedy próbowała się utopić, zabrali ją nie do lekarza, tylko do... – Kobieta zawiesiła głos i bezradnie potrząsnęła głową, marszcząc brwi.

– Do klasztoru – odpowiedziała Nina. To nie mógł być przypadek: widać anioły rzuciły coś w rodzaju czaru, który sprawiał, że wszystko, co związane z klasztorem, natychmiast umykało ludziom z głów. Rozwiązywało to problem nadmiernego zainteresowania panią Celiną i gromadką jej podopiecznych, ale rodziło też kilka pytań, o których Nina nie miała czasu teraz myśleć.

– Do klasztoru, tak. Siostry przygarnęły ją i zatrudniły oficjalnie jako pomoc kuchenną, choć biedaczka nigdy nawet rosółu ugotować nie umiała. Ale była tam na swój sposób szczęśliwa... Zresztą po co ja ci to opowiadam. To smutna historia, a ty masz jeszcze czas, żeby zaznać w życiu smutku.

– Bardzo mi się podobają jej obrazy – oznajmiła Nina. Chciała jeszcze zapytać, co się stało z Maurą, ale instynktownie wyczuła, że to nie jest dobry moment. Starsza pani mogłaby nabrać podejrzeń. – Są takie... dziwne. Nie wie pani może, gdzie mogłabym obejrzeć ich więcej?

– Jeśli jakieś zostały, to chyba tylko u rodziny Maury. To na ulicy Kamiennej, numer siedemnaście. Pytaj o dom Lewickich, a wszyscy pokażą ci drogę.

– Dziękuję i przepraszam, że zajęłam tyle czasu. – Na zewnątrz zirytowana Tamara bębniła w szybę.

– Nic się nie stało, jak wszyscy starzy ludzie lubię wspominać. Młodych za-zwyczaj to nudzi, więc miło dla odmiany spotkać się z zainteresowaniem.

Nina szła już w stronę drzwi, kiedy odwróciła się pod wpływem impulsu.

– Tu musiało być kiedyś bardzo pięknie, prawda? – Prawie zobaczyła Myśliwską przed dwudziestu laty. Buzujący na kominku ogień, mężczyźni rozsiadający się w fotelach po udanym polowaniu, kobiety w etolach z lisiego futra, strzelające korki od szampana i dźwięk szkła uderzającego o szkło.

Starsza pani uśmiechnęła się smutno.

– Tak, kiedyś było tu bardzo pięknie.

– Rany, coś tam robiła? – parsknęła Tamara, gdy tylko Nina wyszła. – Myśleliśmy już, że nam tu nogi w chodnik wrosną.

– Widziałam obraz namalowany przez tę wariatkę, o której opowiadał Jacek.

Jest na nim Diabelski Krąg. Ta uschnięta kępa tak się nazywa.

– I co z tego?

– Nic – odpowiedziała Nina, bo też istotnie, co z tego wynikało?

Powietrze po burzy było świeże i chłodne, na ulicy rozlewały się kałuże mętnej wody. Nina przeskoczyła jedną z nich.

– Czekamy na Adama? – zapytała.

– Nie musimy. – Tamara wzruszyła ramionami. – Właśnie idzie.

Chłopak dołączył do nich i ruszyli w stronę klasztoru – Adam znowu włókł się z tyłu, a pozostali udawali, że go nie zauważają.

– Jak myślicie, na jakiej podstawie anioły nas właśnie wybrały? – spytała

Nina. – Zastanawialiście się nad tym? Musiały mieć przecież jakieś kryterium.

– Mnie mówili, że to dlatego, bo jesteśmy dobrymi dziećmi – powiedział Jacek, ale zaraz speszył się pod spojrzeniem Tamary.

– I ty im uwierzyłeś?

– Nie z powodu wieku. – Nina wyliczała na palcach. – Nie miejsca zamieszkania, bo ja jestem z Wrocławia, Jacek z Gdańska, a ty, Tamara?

– Warszawa – lakonicznie odparła zapytana.

– Właśnie. Eliza pochodzi spod Kielc, Lidka ze Śląska... Jesteśmy zbieraniną z różnych stron Polski.

– Może z powodu naszych rodzin? Cech charakteru? Upodobań? Spróbujmy je porównać – zaproponował Jacek.

Ale porównanie nic nie dało. Nina miała młodszego brata, Jacek oraz Tamara byli jedynakami. Jacka wychowywała samotnie matka z gatunku tych, które pchają w swoje dzieci niesamowite ilości jedzenia i przez trzy czwarte roku każą im nosić czapkę. Tej nadopiekuńczości Nina się domyśliła, bo chłopak oczywiście nie wyznał tego wyraźnie. Ojcem Tamary był natomiast profesor, który po dwunastu latach wdowieństwa, przekroczywszy sześćdziesiąty rok życia, niespodziewanie ożenił się z dziewczyną niewiele starszą niż jego córka. Upodobania też mieli różne. Nina interesowała się sztuką i lubiła książki przygodowe – zwłaszcza takie, których akcja toczyła się w egzotycznej scenerii, Tamara pasjami uwielbiała kryminały, a Jacek marzył o tym, żeby być harcerzem, i kolekcjonował wiadomości z różnych dziedzin. Wiedział, jak zbudować karmnik dla ptaków, co trzeba zrobić, kiedy człowiek zgubi się w lesie, a nawet jak udzielać pierwszej pomocy. Przy tym była to wiedza wyłącznie teoretyczna. Brak praktyki trochę Ninę zdziwił – fakt, Jacek miał nadopiekuńczą matkę, ale przecież był zręcznym chłopcem, czemu więc nie spróbował wprowadzić choć części tej wiedzy w życie? Nie każdy ma okazję zgubić się w lesie czy udzielać pierwszej pomocy, jednak karmnik mógłby zbudować, skoro intereso-

wały go takie rzeczy. Miała niejasne wrażenie, że to ma znaczenie, że powinna się nad tym zastanowić, ale zanim zdążyła to zrobić, z zamyślenia wyrwał ją pełen zachwytu okrzyk Tamary.

– Patrzcie, tęcza!

Nina uniosła głowę. Nad jeziorem rozpościerał się barwny łuk, którego jeden koniec ginał w rozświetlonej słońcem wodzie, a drugi sięgał aż za las. Wszystkie kolory wydawały się jakby umyte po deszczu, bardziej intensywne i głębsze. Woda miała barwę ciemnego błękitu z drobinkami złota, niebo było o kilka odcieni jaśniejsze, z białymi, puszystymi obłoczkami, a drzewa pyszniły się królewską zielenią.

Nina była dziewczyną z miasta. Nie lubiła błota, komarów, ciemności i wilgoci nieodłącznie kojarzących jej się z naturą. Ale potrafiła docenić piękno, kiedy je widziała.

– Tu jest rzeczywiście całkiem ładnie – przyznała łaskawie.

– Prawda? – Zza pleców dobiegł ją głos. Odwróciła się i zobaczyła Adama, który dołączył do nich niepostrzeżenie. – To najpiękniejsze miejsce na świecie!

Jego twarz rozjaśnił entuzjazm. Chłopak nie wydawał się już ponury ani nadepty, w gruncie rzeczy wyglądał teraz całkiem sympatycznie. Nina poczuła, że to może być moment, kiedy przełamią lody i powiedzą sobie kilka miłych słów.

Jednak w tej chwili coś wysunęło się z kieszeni Adama i upadło na ziemię.

Schylił się błyskawicznie, a gdy wyprostował plecy, jego twarz znów przybrała odpychający wyraz.

– Czego się tak gapicie? – burknął, wkładając przedmiot z powrotem do kieszeni, a potem odwrócił się i pomaszerował w stronę niedalekiego już klasztoru.

ru.

Tamara pokiwała głową.

– To się udziela – oznajmiła. – Szaleństwo trzymanej przez zakonnice wariatki najwyraźniej zostało gdzieś w tych murach i teraz zaraża ludzi.

A Nina zastanawiała się, czemu, u licha, Adam ukrywa przed nimi fakt, że w miasteczku kupił sobie szczoteczkę do zębów.

W klasztornej bramie powitała ich z szerokim uśmiechem pani Celina, która już z daleka machała ręką.

– Chodźcie, chodźcie – wołała. – Już nie trzeba się martwić. Dzwonili do mnie rodzice Staszka, chłopiec właśnie wrócił do domu.

Tamara posłała Ninie spojrzenie mówiące: A widzisz? Jacek pewnie też by to zrobił, ale wyczuł zapach przygotowywanego obiadu i popędził, by sprawdzić, czy uda mu się wyprosić coś do jedzenia. Dziewczyny nie były głodne, ale i tak nie miały nic do roboty, poszły więc za nim. Z kuchni dobiegały okrzyki Elizy, która komenderowała mającymi dziś dyżur bliźniaczkami, każąc im a to obrać ziemniaki, a to dorzucić jeszcze trochę drewna do pieca czy wynieść do ogrodu kompot, żeby przestygł. Sylwia, najwyraźniej już całkiem zdegradowana ze stanowiska królowej kuchni, siedziała na krześle i łuskała groch. Na widok Jacka uniosła głowę. Była bardzo podobna do brata: ta sama szeroka, pozornie tępa twarz i kontrastujący z nią błysk inteligencji w oczach.

– Tego do pomocy nie chcę – warknęła na widok Jacka, pokazując zęby.

Mówiła wyraźniej niż Remigiusz, ale i tak Nina ledwo ją rozumiała. – Ostatnim razem trzy talerze stłukł, wszystko mu z rąk leci.

Poczerwieniały chłopak próbował się tłumaczyć, ale nikt go nie słuchał. Ta-

mara chwyciła Jacka za łokieć i pociągnęła w stronę drzwi.

– Chodź, posiedzimy sobie nad wodą.

– Pamiętajcie, że po obiedzie wszyscy się mają zebrać w pokoju z komin-  
kiem! – krzyknęła za nimi Eliza.

– Myślicie, że anioł wreszcie powie, po co tu jesteśmy? – szepnął Jacek, ale  
Nina tylko potrząsnęła głową, a Tamara wzruszyła ramionami.

Przebrali się w stroje kąpielowe i ruszyli nad jezioro. W miasteczku znajdo-  
wała się niewielka żwirowa plaża, jednak od strony klasztoru brzeg najezony  
był ostrymi głazami, na których ślizgały się stopy. Nina zdjęła buty i stanęła na  
jednym z nich, niepewnie patrząc na lustro wody. Kamień był nagrзany od  
słońca, ale woda wyglądała na zimną. A dziewczyna przypomniała sobie słowa  
pani Celiny, która ostrzegała przed gwałtownie opadającym dnem i prosiła,  
żeby w jeziorze kąpali się tylko ci, którzy potrafią dobrze pływać.

Tymczasem Tamara skoczyła do wody i zanurkowała jak foka. Ona niewąt-  
pliwie potrafiła pływać. Po chwili wynurzyła się i pomachała Ninie i Jackowi,  
którzy wciąż stali na brzegu.

– Na co czekacie?

– Nie umiem pływać – wymruczał chłopak, jeszcze bardziej czerwony niż  
przed chwilą w kuchni. Nina spojrzała na niego ze zdziwieniem, bo przecież  
mieszkał nad morzem, a on odwrócił głowę.

– Nina?

Nina, owszem, pływała nieźle, ale woda budziła w niej niepokój. Nie była już  
ciemnobłękitna – teraz wydawała się prawie czarna, a w promieniach słońca  
połyskiwała jak obsydian. Wyglądało to ładnie, jednak dziewczyna nie potrafiła



pozbyć się wrażenia, że jezioro jest bardzo zimne, głębokie i jakby... głodne.

Jakby czekało tylko, żeby ją połknąć.

Odsunęła od siebie głupie myśli i powoli zsunęła się z kamienia. Momentalnie sparaliżował ją lodowaty chłód, na chwilę zapomniała nawet o oddychaniu.

Przy brzegu woda sięgała jej do pasa. Tamara śmiała się z oddali, a Nina zamknęła z desperacją oczy i popłynęła. Po kilku sekundach przyzwyczała się do niższej temperatury – jezioro nie wydawało się już lodowate, ale tylko przyjemnie chłodne.

– Fajnie, nie? – Tamara podpłynęła bliżej.

– Fajnie – przyznała Nina. Zniknął gdzieś strach, teraz po prostu kąpała się z przyjemnością. Zanurkowała i otworzyła oczy. Woda była przejrzysta i Nina widziała oddalone o kilka metrów dno, na którym leżały porośnięte wodorostami glazy. Glony falowały leniwie, zgniłozielone, miejscami brązowe. Jak długie dziewczęce włosy. Jakby tam, w dole, przemykała szczupła kobieca postać, kryjąc w mokrych splotach bladą twarz.

Ale to oczywiście musiało być złudzenie.

Kiedy wyszły na brzeg, słońce przesłoniły chmury, a Nina zadrżała z zimna.

Czym prędzej owinęła się ręcznikiem. Teraz było dobrze. Dziewczyna rozgrzewała się powoli, obok Tamara zapewniała ponurego Jacka, że nauczy go pływać.

Po chwili od strony klasztoru nadeszła Lidka, jak zawsze cudownie piękna w swojej taniej sukience.

– Obiad gotowy – powiedziała. – Nie słyszeliście gongu?

Jacek momentalnie zerwał się z trawy, Tamara i Nina podniosły się niechętnie.

nie i zaczęły wycierać ręcznikami mokre włosy.

– Serio myślisz, że ta anielska niespodzianka to będzie przerobienie nas wszystkich na skrzydlatych? – zapytała Nina.

– Czemu nie? – Lidka uśmiechnęła się promiennie. – Ja już otrzymałam swoją nagrodę i wiem, co należy z nią zrobić. Jak dorosnę, pójdę do klasztoru.

Odwróciła się i odmaszerowała w stronę wspomnianego budynku, a Tamara zamrugała.

– Udziela się, zdecydowanie udziela. Jak myślisz, jest tu w ogóle ktoś normalny?

– Ja jestem normalna – oświadczyła Nina, ale starsza dziewczyna zachichotała.

– Wcale nie jestem tego taka pewna. Opowiadasz dziwaczne rzeczy o pożerających ludzi drzewach.

Pewnie dzięki staraniom Elizy grochówka była znacznie lepsza niż wczorajszy posiłek, ale i tak nikt nie potrafił skupić się na jedzeniu. Nawet Jacek zrezygnował z dokładki, nawet Tamara, dotąd granitowo spokojna, wyglądała na podekscytowaną.

Po obiedzie wszyscy udali się do pokoju z kominkiem, gdzie czekał już na nich Azkiel. Siedział w fotelu, kontrastując urodą ze starymi, odrapanymi meblami. Uśmiechał się, ale Niny wcale nie podniosło to na duchu. Była dziwnie podenerwowana, jak wtedy, kiedy dostała nagrodę dla najlepszej uczennicy w klasie i miała ją odebrać z rąk dyrektorki na oczach całej szkoły.

Młodzież usiadła wokół Azkiela, a pani Celina stanęła przy jego fotelu. Nina znalazła sobie miejsce na dywanie pod ścianą, podciągnęła kolana pod brodę

i oplotła je ramionami. Serce biło jej mocno, w płucach brakowało tchu. Niemal namacalnie czuła, jak w powietrzu tężeje napięcie.

Anioł powiódł spojrzeniem po zebranych.

– Na pewno jesteście ciekawi, dlaczego was tu zaprosiliśmy, prawda?

Wszyscy energicznie pokiwali głowami. Azkiel uśmiechnął się raz jeszcze i pochylił się w fotelu.

– Być może wiecie – zaczął – że niektórzy z nas mają nietypowe zdolności...

– Na przykład takie jak przewidywanie przyszłości – wtrącił Tymek z mądrą miną.

Anioł posłał mu aprobujące spojrzenie.

– Tak, właśnie takie. I otóż jakiś czas temu przewidzieliśmy narodziny pewnego niezwykłego dziecka, chłopca albo dziewczynki. Szukaliśmy go – albo jej

– przez lata, aż wreszcie wytypowaliśmy trzynaścioro kandydatów, z których każdy mógł być tym właściwym. Jak się pewnie już domyślacie, to właśnie wy.

Wciąż jednak nie potrafiliśmy zdecydować, które to z was. Nasza wiedza i moc, niestety, są ograniczone. Dlatego postanowiliśmy, że zaprosimy was tu wszystkich i będziemy obserwować. A dla ścisłości, ja będę obserwować. –

Uśmiechnął się ponownie. W pokoju było tak cicho, że można by usłyszeć upadającą szpilkę. – A kiedy skończą się wakacje, będziemy już wiedzieć.

Nina obrzuciła spojrzeniem twarze kolegów i koleżanek – wszyscy wyglądali, jakby w ich głowach zapaliły się maleńkie żaróweczki z napisem: O rany, może to ja. Ale większość, mimo błysku w oczach, miała jeszcze dość niepewne miny.

– I co my mamy robić? – zapytała jedna z bliźniaczek.

– Nic szczególnego. Cieszcie się świeżym powietrzem, bawcie się, korzystajcie z wolnego czasu. Po prostu zachowujcie się jak zawsze.

– A to niezwykle dziecko... jakie ono ma być? – Artur zmarszczył brwi.

– Piękne – tym razem odpowiedziała pani Celina, a ponieważ wszyscy odruchowo spojrzeli na Lidkę, poprawiła się szybko: – Piękne w sensie duchowym, niekoniecznie fizycznym, o czystym sercu, wielkiej odwadze i nieskalanej duszy.

– To nie ja – mruknęła siedząca obok Niny Tamara. – Zdecydowanie nie ja.

– Nie możesz tego być pewna, kochanie. – Pani Celina ją usłyszała. – Jesteś jeszcze dzieckiem, nie znasz dobrze sama siebie. Każde z was może być Wybrańcem. I założę się – posłała dziewczynie słodki uśmiech – że w głębi duszy jesteś znacznie miłsza, niż pokazujesz na zewnątrz.

Nieprzekonana Tamara potrząsnęła głową.

Adam wstał i momentalnie wszystkie spojrzenia skierowały się na niego.

– Jeśli to ja – oznajmił z mocą – to przysięgam tu i teraz, że zrobię wszystko, żeby obronić anioły przed złymi ludźmi i walczyć po stronie Boga.

Lizus, pomyślała Nina z niechęcią. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że jego wystąpienie robiło wrażenie.

– Ja też! – O dziwo, podniósł się Mariusz. Po jego wcześniejszych wątpliwościach nie został nawet ślad, w tej chwili chłopak wyglądał, jakby mógł skoczyć dla anioła w ogień.

– I ja! – Artur najwyraźniej też już zapomniał, że niedawno wspominał coś o magicznych sztuczkach i poprzebieranych ludziach.

– Ja też przysięgam.

– Ja również.

– Ja też! – wyrwał się Jacek, a kiedy Nina na niego spojrzała, odwrócił wzrok.

– No co, wiem, że jestem gruby, ale czasem... no wiesz, zdarza się...

Nina wiedziała, bo pomyślała o tym samym. W bajkach zazwyczaj ci na pozor bez szans dostawali nagrodę, najgłupszy i lekceważony syn króla zdobywał królową, a Kopciuszek swojego księcia. Dlaczego więc grubas nie miałby zostać Wybrańcem?

Dlaczego nie mogłaby nim być niczym niewyróżniająca się trzynastolatka z Wrocławia?

Pani Celina rozsyłała uśmiechy, pokazując dołeczki w policzkach, a anioł dziękował lekkim skinieniem głowy. Entuzjazm ogarnął też Ninę, która, co prawda, nie wstała, ale patrzyła na jasne oblicze Azkiela i myślała, że dla kogoś takiego jak on warto walczyć. Jeśli to ja, postanowiła w duchu, anioł się nie zawiedzie.

Rozejrzała się. Z twarzy zebranych w pokoju zniknęła niepewność, teraz wszystkich rozsadzała energia, jakby od razu chcieli walczyć ze złem. Zwalisty Mariusz wypiął pierś, tocząc wokół wzrokiem zdobywcy, zabowaty Tymek podskakiwał niczym rozradowany szczeniak, a twarz Lidki jaśniała takim blaskiem, jakby sam siwobrody Bóg spłynął do niej na chmurce. Nawet Tamara się ożywiła.

Tylko jedna osoba w pokoju zachowała spokój.

Była to Karolina, ta mniej prawdopodobna z bliźniaczek. Wydawała się...

ostrożna, tak, to chyba właściwe słowo. Nie tyle nieufna, co po prostu ostroż-

na. A w porównaniu z rozentuzjasmowaną dzieciarnią sprawiała też wrażenie znacznie starszej i mądrzejszej.

Nina złapała jej wzrok i nagle zawstydziła się swojej gotowości do walki w imieniu anioła. Właściwie przecież nic jeszcze konkretnego nie wiedzieli.

– Czy ktoś ma jakieś pytania?

– Co ten Wybraniec będzie robił? – chciał wiedzieć Jacek, a Nina poparła go w duchu. To była najważniejsza kwestia.

– To, czego sami się już domyśliliście. – Azkiel błysnął w uśmiechu zębami. –

Pomoże nam walczyć z wielkim złem.

– Z komunistami?

– Ze złem jeszcze większym. – Skrzydlaty spoważniał i nagle w pokoju powiało chłodem, a młodzież straciła nieco pewności siebie.

Widząc to, pani Celina pośpiesznie dodała:

– Wybraniec będzie walczył, mając anioły po swojej stronie, a Bóg użyczy mu siły, nie musicie się więc bać.

Nina uznała, że to strasznie wykrętne odpowiedź, ale młodzież w większości wyglądała na usatysfakcjonowaną.

– Jeszcze jakieś pytania? Tak, Nino?

Opuściła uniesioną rękę.

– Anioły rzuciły na klasztor czar, prawda? Dlatego ludzie ciągle o nim zapominają?

– Prawda – pani Celina znów odpowiedziała w imieniu skrzydlatego. – Gdyby nie to, władza ludowa już dawno przerobiłaby go na magazyn albo coś w tym rodzaju.

– Ale skoro anioły mają taką moc, to dlaczego wciąż się ukrywają? Czemu potrzebują pomocy ludzi?

W pokoju zapadła cisza, a pani Celina zmarszczyła brwi. Nina natychmiast uświadomiła sobie, że jej pytanie mogło się wydać dość bezczelne. Zaczerwieniła się.

– To znaczy, ja wcale nie mam nic przeciwko pomaganiu aniołom – zapewniła nerwowo. – Wręcz przeciwnie, bardzo chętnie pomagam... To znaczy pomagałabym, gdybym mogła, ale... – O rany, chyba się pogrążam, pomyślała.

Odetchnęła i skupiła się na najważniejszym: – Po prostu jestem ciekawa.

– Nino, to chyba nie pora na takie pytania, rozmawiamy teraz o innych sprawach.

– Nie, dlaczego, chętnie odpowiem. – Azkiel poprawił się w fotelu. – Fascynuje mnie dociekliwość tego dziecka. Widzisz, Nino, w niektórych miejscach moc aniołów jest większa niż w innych. To jest jedno z nich, bo te ziemie od najwcześniejszych lat należały do chrześcijaństwa. Dlatego mogliśmy sprawić, że ludzie nie będą zwracać na klasztor uwagi i dlatego właśnie tutaj was zaprosiliśmy. Czy taka odpowiedź cię satysfakcjonuje?

– Tak, dziękuję. – Usiadła zaczerwieniona po czubki uszu.

– A co ze Staszkiem? – pisnęła cicho Małgosia gdzieś z tylnego rzędu.

– Cóż, to, że nas opuścił, najlepiej chyba świadczy o tym, że nie jest Wybrańcem, prawda?

Większość zebranych gorliwie pokiwała głowami.

– Jeśli to wszystko, myślę, że możecie się teraz iść bawić. – Pani Celina posłała im pożegnalny uśmiech.

Wychodzili, przepychając się w podnieceniu i przerzucając się domysłami.

Chwilę później Tymek gonił już po korytarzu Małgosię, która uciekała przed nim ze śmiechem, bliźniaczki i Eliza dyskutowały o czymś zawzięcie, a Mariusz i Artur kłócili się, który z nich bardziej pasuje do roli Wybrańca.

Nina, Tamara i Jacek zostali z tyłu. W drzwiach przepuścili jeszcze Lidkę oraz Adama. Piękność potykała się o własne nogi z nieprzytomną miną, a chłopak...

Ninę zdumiał wyraz jego twarzy. Z pewnością siebie Adama nie zostało nic, teraz pupilek pani Celiny patrzył wzrokiem oszołomionego zwierzęcia, za którym zatrzasnęły się drzwi pułapki. Jakby wciąż jeszcze nie wiedział, co właściwie się stało, ale przeczuwał już, że nie było to nic dobrego.

Nina zamarła z otwartymi ustami, a Adam czym prędzej odwrócił głowę – i kiedy ponownie na dziewczynę spojrział, wyraz twarzy znów miał hardy i odpychający.

Co się, u licha, z tym chłopakiem działo?

Może uświadomił sobie, że nie ma szans na bycie Wybrańcem, pomyślała, ale nie była do końca zadowolona z takiej odpowiedzi.

Tamara i Jacek chyba niczego nie zauważyli.

– No to wiemy już wszystko. – Dziewczyna włożyła dłonie do kieszeni spodni. – Przyznaję, myślałam, że ta anielska niespodzianka to będzie coś ciekawszego, ale przynajmniej mam darmowe wakacje. Dobrze i to.

Tym razem jednak jej nonszalancja wyglądała na nieco wymuszoną.

– Jak myślicie, kto z nas ma największe szanse? – zapytał Jacek. – Na kogo stawiacie?

– Na naszą piękną Lidkę, na kogóż by innego? – Tamara wzruszyła ramiona-



mi. – Popatrzcie na jej minę, ona już teraz wygląda, jakby objawiła jej się

Matka Boska.

– A ja myślę, że to Nina.

– Czemu ja? – Dziewczyna pomyślała, że Jacek żartuje, ale chyba nie, bo gapił się na nią z szacunkiem w oczach.

– Wyskoczyłaś z pociągu, a pani Celina mówiła, że Wybraniec ma być odważny.

– Prawdę powiedziawszy, to była jedyna odważna rzecz, jaką w życiu zrobiłam.

– Zawsze to jakiś początek – zachichotała Tamara. – Teraz jeszcze brakuje ci tylko czystego serca i tej, no, kryształowej duszy. Masz je?

– Nie wydaje mi się.

– To na kogo stawiasz?

– Na Małgosię – wypaliła Nina.

– Małgosię? – Tamara zamrugła zdumiona. – Czemu?

– Nie wiem, może dlatego, że jej nikt nie bierze pod uwagę.

Aż do wieczora anielskie rewelacje były głównym tematem rozmów. Dziewczyny co chwilę zbijały się w ciasne gromadki i szeptały do siebie, chłopcy popisywali się zręcznością i siłą. W tym ostatnim celował Mariusz, który znalazł w ogrodzie sękatą gałąź i walił nią w pień karłowatej jabłoni, wrzeszcząc przy tym:

– Zobaczycie, zostanie z was mokra plama, jak już z wami skończę! Brońcie się! Nie macie ze mną szans!

Obok Artur podrzucał do góry mniejszy patyk i łapał go. Był niesamowicie

szybki – nawet gdy patyk spadał daleko, chłopak jakimś cudem już był we właściwym miejscu, zupełnie jakby miał sprężyny w nogach. Jacek przyglądał się temu z fascynacją, a Nina z ciekawością. Tamara najwyraźniej myślała o czymś zupełnie innym.

– Może zagramy w coś? – zaproponowała. – Dość mam gapienia się na tych pajaców.

– W co na przykład? – Nina oderwała wzrok od Mariusza i Artura.

– Cokolwiek. Mamy tu różne gry i całe mnóstwo „zabawek”. Chodź, to ci je pokażemy.

Znajdujące się w jednym z nieużywanych pokoi przedmioty obudziły w Ninie mieszane uczucia. Były tam powyginane rakiety do tenisa i jedna wystrzępiona lotka, kilka gumowych piłek, parę lalek, koń na sznurku i trochę starych, jeszcze przedwojennych gier planszowych. Domyśliła się, że wszystkie te rzeczy zawdzięczają pani Celinie, która wpadła na to, że w klasztorze młodzież może się nudzić. Nina doceniła jej dobre chęci, ale z drugiej strony, o rany... Piłki czy rakiety tenisowe były w porządku, gry mogły się przydać na deszczowe dni, ale widok drewnianego konika na sznurku ją oburzył – przecież czymś takim bawią się pięciolatki! I te lalki... Z całej ich grupy tylko Małgosia jeszcze lubiła lalki.

Kolejny drobny dowód na to, że pani Celina kiepsko sprawdza się w roli opiekunki nastolatków. Ninę to martwiło. Ostatecznie, jak by nie patrzeć, wszyscy tu byli zależni od jej rozsądku i zaradności.

Pod wieczór, korzystając z faktu, że Jacek i Tamara grali w szachy, Nina wymknęła się do ogrodu. Potrzebowała odrobiny samotności, poszła więc w stro-

nę zrujnowanego skrzydła, tam gdzie na brzegu leżały szczątki murów, a trawa była biała od wapiennego pyłu ze skruszonych ścian. Tu rzadko się ktoś zapuszczał.

Usiadła na czymś, co wyglądało jak kawałek wieży, zdjęła buty i zanurzyła bosc stopy w jeziorze. Ciemniało już, zachodzące słońce powoli chowało się za horyzont, ciągnąc po wodzie smugę krwistej czerwieni.

Nina sama nie wiedziała, co właściwie ma o tym wszystkim myśleć. Nie była nawet do końca pewna, czy chce być Wybrańcem. Jej matka by się ucieszyła, o tak, matce taka wiadomość niewątpliwie sprawiłaby radość. Może nawet wreszcie by się uśmiechnęła. Dziewczynie ścisnęło się serce, kiedy to sobie wyobraziła i otarła z oczu łzy. Mama pragnęłaby, żeby jej córka została wybrana przez anioły.

Ale czy chciała tego sama Nina?

Na myśl, że miałyby walczyć z jakimkolwiek złem, choćby małym, zrobiło jej się trochę słabo. Nie sądziła, żeby się do tego nadawała – tamten skok z pociągu to był odruch desperacji, a nie odwagi.

Chyba nie mogła być Wybrańcem. Tamara miała rację, Lidka z tą swoją uduchowioną miną i chęcią pójścia do klasztoru wydawała się doskonałą kandydatką. Albo Mariusz, silny i niezbyt bystry osiłek, idealny Herkules. Po drugiej stronie z kolei byli ci na pozór bez szans: szara myszka Małgosia, pyskata Tamara albo kluchowaty Jacek. Zgodnie z baśniowymi schematami każde z nich mogło okazać się Wybrańcem.

Ale nie Nina, bo ona była taka... pośrodku, ani najlepsza, ani najgorsza kandydatka. Nijaka, jednym słowem.

Westchnęła, przyznając w duchu, że jej życie jak dotąd było nudne. Więcej nawet, sama Nina była raczej nudna. Dobrze się uczyła, pomagała w domu (choć tego nie lubiła), zawsze pamiętała, żeby mówić sąsiadom dzień dobry, lubiła staroświeckie sukienki z mnóstwem koronek, a wieczorami przeglądała z ojcem albumy poświęcone malarstwu – jej tato przed wojną studiował historię sztuki i choć nie zdążył zostać magistrem, pozostało mu zamiłowanie, które zaszczerpił córce.

Nic ciekawego. Nawet wady Niny nie były przesadnie interesujące: ot, trochę zarozumialstwa, upór i skłonność do bujania w obłokach, zwłaszcza w czasie nudnych mszy świętych. Raczej kiepski materiał na bohaterkę.

Był jednak jeden szczegół, który nie pasował do wizerunku posłusznej córki – otóż Nina, odkąd pamiętała, zawsze lubiła czytać książki przygodowe. Takie z wyprawami w egzotyczne kraje, piratami, tajemnicami i mnóstwem sensacji. Powieści dla chłopców, nie dla dziewcząt. Jej matka patrzyła na to z pobłażaniem, uważając, że córka prędzej czy później z takich upodobań wyrośnie, w tej chwili jednak dziewczyna pomyślała, że może to coś więcej.

Może od dawna tkwiło w niej nieświadomione pragnienie przygód. Może to właśnie była jej szansa, żeby taką przygodę przeżyć.

Bo w klasztorze działo się coś dziwnego, tego była pewna. No, prawie pewna. Wcześniej, w przypadku woźnego szpiega i innych, w głębi duszy zawsze wiedziała, że to tylko fantazje, ale teraz... teraz nie. Tym razem przeczucie podpowiadało jej, że ma do czynienia z czymś prawdziwym.

Ślady w Diabelskim Kręgu, a potem ponury obraz w kawiarni, słowa Małgosi, dziwne zachowanie Adama i Lidki... Chwilami miała wrażenie, że każdy tutaj

skrywa jakiś sekret, nawet Jacek i Tamara chyba nie do końca byli z nią szczerzy.

Wstała i roztarła zziębnięte ramiona. Wokół zgęstniały wieczorne cienie, słońce już całkiem schowało się za horyzontem. Pociemniało, ale nie aż tak bardzo, by Nina nie mogła zobaczyć, że sandały ma ubrudzone wapiennym pyłem.

Pomyślała z niechęcią, że będzie musiała porządnie je wyczyścić, a potem coś sobie przypomniała.

Adam, kiedy spotkała go rano w ogrodzie, też miał uwalane białą buty. Musiał tu być, tylko po co?

Nina rozejrzała się – wokół prócz gruzu nie było nic ciekawego. Ona przyszła tu pomyśleć, ale mało prawdopodobne, żeby chłopak przywędrował w ruiny w tym samym celu. Nie o piątej rano, kiedy samotność mógł znaleźć w dowolnym miejscu ogrodu.

Po co on tu łąził?

Rozejrzała się, przeszła tam i z powrotem pomiędzy fragmentami klasztornych murów. Wtem jej wzrok przyciągnęło coś leżącego na trawie. Jakby kawałek kolorowej szmatki, choć w coraz gęstszym mroku nie widziała wyraźnie.

Schyliła się i podniosła... skarpetkę. Była w żółte i czerwone pasy i mogła należeć tylko do jednej osoby – do noszącego zagraniczne ciuchy Staszka. Skarpety wszystkich innych chłopców były bure, jak reszta ich ubrań.

Nina stała i gapiła się na znalezisko. Skąd skarpetka się tu wzięła?

Przez chwilę rozważała, czy powiedzieć o niej Tamarze i Jackowi, ale zrezygnowała. Pewnie znów twierdziliby, że się pomyliła i Adam rano wcale nie miał białego pyłu na butach. A potem znaleźliby jakieś mało wiarygodne wyjaśnie-

nie, na przykład, że kiedy Staszek szedł na dworzec, skarpeta wypadła mu z walizki. Po co jednak miałyby się pchać w ruiny, skoro krótsza droga do bramy prowadziła obok Diabelskiego Kręgu? Albo po prostu mógł wyjść głównym wyjściem, w ogóle nie zwracając sobie głowy przechodzeniem przez ogród.

Zdecydowanie działo się tu coś dziwnego.

Nina spojrzała na klasztorne mury. Teraz, o zmierzchu, wydawały jej się znacznie bardziej posępne niż za dnia. W słonecznym świetle, kiedy wokół rozbrzmiewały głosy chłopców i dziewcząt, uważała, że to całkiem ładna okolica: błękitne jezioro zapraszało do kąpieli, las był pełen przyjaznego chłodu i nawet zarośnięty ogród miał swój melancholijny urok – no, może pomijając kępę uschniętych drzew w Diabelskim Kręgu. Ale i za dnia bywały momenty, kiedy to wszystko się zmieniało, zupełnie jakby ktoś na kilka sekund podmienił przecznicę w rzutniku. Nina dobrze pamiętała chwilę przed kąpielą, gdy jezioro sprawiało wrażenie tak bardzo głębokiego, zimnego i głodnego.

Właśnie tak, głodnego.

Teraz wrażenie wróciło, obejmując już nie tylko jezioro, ale także ogród i klasztorne mury. Wszystko to wydawało się Ninie groźne, jak zatrzaszczująca się wokół niej pułapka.

Po prostu masz zbyt bujną wyobraźnię, skarciła samą siebie. A po zmroku zwyczajne rzeczy wyglądają na straszniejsze. Kiedy wyskoczyła z pociągu i potem szła torami, też myślała, że coś ją ściga, ale nic się przecież nie stało.

Pochyliła się nad jeziorem i końcem palca dotknęła lustra wody, ciemnej i nieruchomej jak rozlana plama oleju. Na powierzchni rozeszły się koncentryczne kręgi, które szybko pochłonęła ciemność. I coś przemknęło w głębinie,

ryba albo srebrzyste odbicie wschodzącego księżyca.

Choć po prawdzie wyglądało to bardziej jak blada ludzka twarz.

Wyobraźnia, pomyślała Nina, zaciskając usta, jednak cofnęła się na wszelki wypadek.

Najważniejsze pytanie brzmiało teraz, czy Staszek naprawdę dotarł do domu.

Wcale nie była tego taka pewna.

Z drugiej strony nie posądzała pani Celiny o kłamstwo. A już na pewno w sytuacji, kiedy w grę wchodziło zaginięcie nieletniego, który został powierzony jej opiece. Wyraz ulgi na twarzy kobiety, gdy powitała Ninę w bramie, był niewątpliwie szczery.

Nie, Nina wierzyła, że pani Celina naprawdę odebrała ten telefon. Ale przecież ktoś mógł ją oszukać, prawda? Zadzwoić i podać się za ojca czy matkę Staszka, a potem powiedzieć, że syn nie może podejść do aparatu i sam się wytłumaczyć, bo, powiedzmy, śpi po wyczerpującej podróży.

Proste.

Nina wzdrygnęła się. Nie miała pojęcia, co ma z tym wszystkim zrobić. Mogłaby pójść do Azkiela, może on by jej wysłuchał. Ale skrzydlaty, mimo całej swojej urody – a może właśnie przez nią – budził w niej nieokreślony lęk. Wyobraziła sobie lekki uśmiech na jego nieskazitelnych ustach i głos mówiący z delikatną nutką ironii: „Fascynuje mnie dociekliwość tego dziecka”.

Nina przełknęła ślinę. Nie, nie miała ochoty widzieć się z aniołem.

Poczekam jeszcze dwa dni, postanowiła tchórzliwie. Jeśli w ciągu tego czasu nie zdarzy się nic dziwnego, to znaczy, że naprawdę przesadzam i wymyślam

niestworzone rzeczy. A jeśli się zdarzy, to może przynajmniej wreszcie będzie miała jakiś dowód.

Nie był to najlepszy plan, ale tylko na taki było ją chwilowo stać.

Rozdział czwarty, w którym Adam w tajemniczych celach chodzi do piwnicy, a Nina, Tamara i Jacek zdobywają klucz.

Następnego dnia Nina zaczęła od tego, że tuż po śniadaniu obeszła od góry do dołu cały klasztor.

Wychodząc z sypialni dziewcząt, skręciła w prawo i ruszyła długim korytarzem. Na niegdyś białych, a teraz poszarzałych ścianach widniały jasne, prostokątne plamy po zdjętych obrazach. Może zakonnice zabrały je ze sobą? Albo miejscowi okradli klasztor, kiedy stał pusty? Nina minęła drzwi do łazienki i drugie, prowadzące do jadalni. Szła w stronę północnego skrzydła, żarówki nad jej głową mrugały, jakby ostrzegając, że lada moment znajdzie się na nieznanym terenie.

Za jej plecami stopniowo milkły głosy młodzieży siedzącej w sali jadalnej, aż wreszcie Ninę otuliła cisza. Tylko o brudne szyby bębniły krople deszczu. Światło poranka było szare i zmętniałe; gdyby nie zapalone na korytarzu lampy, dziewczyna ledwo widziałaby koniec własnego nosa.

Żarówka zgasła, po czym zapaliła się na powrót z cichym elektrycznym pomrukiem. Nina wzdrygnęła się. Stała akurat naprzeciwko wielkich drewnianych i rzeźbionych drzwi z klamką tak ciężką, że musiała uwiesić się na niej całym ciężarem, by choć drgnęła. Wreszcie drzwi otworzyły się, skrzypiąc przeraźliwie.

Za nimi znajdowało się pogrążone w półmroku pomieszczenie, padający z korytarza żółty blask sięgał ledwo na kilka kroków w głąb. Nina weszła, ale na



tyle, na ile mogła to ocenić, wewnątrz nie było nic interesującego. Sala była pusta i zakurzona, pod wysoko sklepionym sufitem wisały szare zasłony pajęczyn.

Rozczarowana dziewczyna wycofała się.

Pozostałe pomieszczenia wyglądały podobnie: pustka i zalegająca na podłodze warstwa miękkiego kurzu, odbijające się od ścian echo i czasem pogryzione przez korniki meble, które rozpadały się pod wpływem wilgoci. Nina podejrzewała, że wszystkie te sale mają jakieś swoje klasztorne nazwy, ale ich nie знаła, wiedziała tylko, że miejsce, gdzie jadali posiłki, to „refektarz”. Wszędzie czuć było zapach starości i zimnych, kamiennych murów. Nic ciekawego, jednak dziewczyna zaczęła doceniać ogrom pracy, jaką ktoś włożył w przygotowanie choć części klasztoru na to, by młodzież mogła w nim mieszkać. Kto sprzątał „pokój z kominkiem”, jadalnię i kuchnię? Kto wybrał jeszcze nadające się do użytku meble i uruchomił generator prądu?

Pewnie Remigiusz i Sylwia, pomyślała, bo nie sądziła, żeby tym wszystkim zajmowała się pani Celina.

W północnym skrzydle Nina znalazła kaplicę, równie zapuszczoną jak reszta klasztoru – ale to miejsce przynajmniej potrafiła rozpoznać, co podniosło ją na duchu. Przez witrażowe szyby w oknach wpadało zabarwione szkarłatem i zielenią światło, nad ołtarzem wisiał wielki drewniany krzyż. Zarówno posadzka, jak i rzeźbione ławy pokryte były grubą warstwą kurzu.

Czemu tutaj nikt nie posprzątał? – zastanowiła się Nina. Przecież można by sądzić, że kaplica będzie pierwszym miejscem, które anioł chciałby doprowadzić do porządku. Moglibyśmy tu przychodzić na wspólne modlitwy albo coś.

Na samą myśl jednak, że miałyby przesiadywać w tym wilgotnym, mrocznym pomieszczeniu, zrobiło jej się nieprzyjemnie. Niektóre kościoły i kaplice miały swój urok, ale ta do nich nie należała.

Nina znalazła schody i wspięła się na piętro. Tu jeszcze mniej było do oglądania, wzdłuż korytarza ciągnął się po prostu rząd ciasnych i ponurych cel.

Przypomniała sobie pokój Azkiela – czy to też była dawna cela? Jeśli tak, musiała należeć do kogoś ważniejszego, na przykład do przeoryszy, bo była zdecydowanie większa, no i znajdował się w niej kominek.

Ciekawe, czy pani Celina też ma taką miłą, ładnie urządzone sypialnię?

Nina przystanąła przed pokojem Azkiela i po chwili wahania zerknęła przez dziurkę od klucza. Skrzydlaty znów siedział na parapecie, zapatrzony w okno i nieruchomy jak marmurowa rzeźba. Nina wstrzymała oddech. O czym on może myśleć?

Anioł odwrócił się i jego srebrzyste oczy spoczęły na drzwiach. Nie mrugał, po prostu patrzył, znów nieruchomy, jakby zmiana pozycji była tylko złudzeniem.

On wie, przemknęło dziewczynie przez głowę. Wie, że tu jestem.

Cofnęła się z mocno bijącym sercem. Przecież nie miała powodu, żeby bać się anioła, prawda? Może i był dziwaczny, ale z pewnością niegroźny.

Cicho odeszła od drzwi i ruszyła dalej. Wyobrażała sobie, jak to miejsce mogłoby wyglądać, gdyby nie było opuszczone. Mury nagrzane ciepłem letniego dnia, na posadzkach złote plamy wpadającego przez okna słońca. Słysząc szmer modlitw i ciche kroki zakonnic, które suną korytarzami w swoich długich jasnych szatach, podobne do duchów. Przez szeroko otwarte okna wpada szcęk ogrodowych nożyc i zapach kwitnących kwiatów. Każdy wie tu dokład-

nie, co będzie robił o tej samej porze jutro, za tydzień, za miesiąc i za rok.

Każdy ma poczucie, że jest dokładnie tam, gdzie powinien być, i czuje unoszącą się nad klasztorem obecność Boga. Jest spokojnie i bezpiecznie.

Nina wyobrażała sobie przez chwilę, że sama jest zakonnica. Czy takie życie by jej się podobało? Może tak, choć z drugiej strony, uznała, było to chyba trochę nudne.

Jednak przynajmniej lepiej już rozumiała Lidkę i jej dziwaczne pragnienie wstąpienia do klasztoru.

Idąc w stronę południowego skrzydła, dotarła w końcu do wielkiej dwukondygnacyjnej biblioteki. Jedna ze ścian się zawaliła i teraz przez wyrwę w murze wdzierał się deszcz, do reszty mocząc już i tak mokre książki. Nina wzięła jedną z nich do ręki, ale papier rozpadł jej się w rękach. Ostra woń pleśni wierciła w nosie.

Jak ktokolwiek mógł pozwolić, żeby książki tak niszczały?

Przeszła wzdłuż rzędów, odczytując te tytuły, które jeszcze można było odczytać. Większość ich była w obcych językach albo po łacinie, której nie znała dobrze. Nieliczne coś dziewczynie mówiły: zielnik ogrodowy i książka poświęcona domowej medycynie, śpiewnik pieśni nabożnych, żywoty świętych.

Nie były to lektury z gatunku tych, które chętnie czytała, ale i tak na widok stanu, w jakim się znajdowały, zabolęło ją serce. Ktoś zdecydowanie powinien się nimi zająć.

I czy przynajmniej część tych dzieł nie była cenna? Im starsza książka, tym więcej warta, tyle Nina wiedziała, ale miejscowi najwyraźniej nie mieli o tym pojęcia, bo inaczej już dawno wynieśliby zawartość biblioteki.

Podeszła do wyrwy w murze i spojrzała w dół. Tuż pod jej stopami mókł w deszczu stary grab. Jeden z konarów był złamany (przez burzę?), ostry, najeżony drzazgami koniec sterczał w górę jak zaostrowany pal. Nina wzdrygnęła się i cofnęła odruchowo. Gdyby teraz pośliznęła się i spadła... nie, zdecydowanie wolała o tym nie myśleć.

Przeniosła wzrok na zasłany fragmentami gruzu ogród. Tam, nad jeziorem, było miejsce, w którym siedziała wczoraj i rozmyślała. A gdzieś z boku dobiegały śmiechy dzieci i po chwili w polu widzenia dziewczyny znalazły się dwie drobne postacie ubrane w peleryny przeciwdeszczowe. Małgosia i Tymek? Chyba tak, uznała Nina, oni byli najmłodszy i najmniejsi. I pewnie tylko im chciało się biegać po deszczu, reszta prawdopodobnie nudziła się w pokoju z kominem.

Zeszła z powrotem na parter i raz jeszcze przewędrowała przez cały klasztor. Minęła jadalnię, sypialnię chłopców, a potem łazienkę.

Okna w korytarzu, który łączył dwa ostatnie pomieszczenia, wychodziły na Diabelski Krąg. To Ninę zaniepokoiło. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak Staszek budzi się nad ranem i nie całkiem jeszcze przytomny drepcze do łazienki, a po drodze spogląda w okno i widzi tam... co?

Na przykład wysoką czarną postać, która stoi przy martwych drzewach, gestami zachęcając chłopaka, by wyszedł na zewnątrz.

Albo jeszcze gorzej – kogoś znajomego i pozornie przyjacielskiego, kto nagle pokazał swoją drugą, przerażającą twarz.

Poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega jej dreszcz. Szła przed siebie, od czasu do czasu losowo otwierając kolejne drzwi, ale nie spodziewając się już,

że znajdzie za nimi coś ciekawego.

Aż trafiła na takie, których otworzyć nie potrafiła.

Spojrzała na nie ze zmarszczonymi brwiami. Drzwi były mniejsze niż pozostałe i zdecydowanie prostsze, bez żadnych rzeźbień. Mogłyby prowadzić do jakiegoś składziku albo czegoś w tym rodzaju. Ale po co zamykać składzik?

Nina przyłożyła oko do dziurki od klucza, lecz wewnątrz panowała ciemność.

Po chwili jednak coś usłyszała. Cichy, szeleszczący dźwięk, jakby odgłos zmęczonych kroków. Ktoś szedł, powłócząc nogami, a po kilku sekundach w mroku zajaśniał mdły płomyk świecy. Dziewczyna wstrzymała oddech, rozdarta pomiędzy chęcią zobaczenia, kto to a pragnieniem natychmiastowej ucieczki. Widziała już niewyraźną postać wspinającą się schodami, które wiodły w dół... do piwnic?

Zaraz potem odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że to tylko Adam. Lecz jednocześnie znowu zdumiała ją zmiana, jaka zaszła w chłopaku, który włókł się, jakby przygniatał go niewidoczny ciężar, a twarz miał ściągniętą zmartwieniem. Cokolwiek znajdowało się w piwnicy, Adam nie chodził tam dla przyjemności. Nina odsunęła się dokładnie w momencie, gdy otworzył drzwi. Widząc ją, zaraz odzyskał animusz i przybrał odpychający wyraz twarzy.

– Znowu się kręcisz, gdzie nie trzeba? – warknął. – Jesteś gorsza niż karaluch, wszędzie cię pełno.

– Nie wiedziałam, że masz takie doświadczenia z karaluchami – odparła uprzejmie, przy okazji zauważając, że chłopak ma przy boku skórzany chlebak. Nosił komuś do tej piwnicy jedzenie czy jak? – Ja nie spotykam ich zbyt często.

– Wynocha, zanim naprawdę się zdenerwuję.

W oczach Adama błysnął gniew, jednak Nina nie mogła oprzeć się wrażeniu, że cała ta wściekłość wyrosła ze strachu. Że w rzeczywistości Adam jest śmiertelnie przerażony tym, że ktoś mógł zejść do piwnicy i zobaczyć, co tam jest. Co, a może kto?

– I co zrobisz, jak się naprawdę zdenerwujesz? – zapytała niewinnie. – Na-skarżysz pani Celinie, a ona spuści mi lanie?

– Powiem aniołowi – sprecyzował. – Naprawdę tego chcesz?

– Anioł nic nie mówił, że nie wolno chodzić po klasztorze – mruknęła Nina, tracąc jednak nieco pewności siebie.

Odwróciła się i odeszła. Adam musiał patrzeć na nią tak intensywnie, że przez cały czas czuła jego wzrok na karku.

Po południu, gdy się roz pogodziło, Nina, Tamara i Jacek poszli do miasteczka. Nina miała ochotę zajrzeć do domu Lewickich i obejrzeć resztę dzieł Maury, jednak nie umiała znaleźć wiarygodnego pretekstu, żeby zostawić kolegów, postanowiła więc ostatecznie, że obrazy mogą poczekać. Za to kupiła w sklepie papierniczym zeszyt, ołówek i temperówkę.

– Będiesz pisać pamiętnik? – zapytała Tamara, lekko unosząc brwi.

– Nie, ja... chcę zapisywać różne... rzeczy.

– Aha, rzeczy. – Starsza dziewczyna pokiwała głową. Jej ton był przesadnie uprzejmy, jakby zwracała się do wariata.

Po podwieczorku Nina znów zauważyła Adama idącego z chlebakiem w stronę drzwi do piwnicy. Poza tym jedynym jeszcze godnym wzmianki wydarzeniem była wizyta mamy Jacka, która przyjechała z Gdańska rozklekotanym

samochodem. Była to pulchna kobieta w żółtej sukience, z wielkimi plamami potu pod pachami i w przekrzywionym kwiecistym kapeluszu na głowie. Wparowała do klasztoru jak pocisk, złapała Jacka i przycisnęła go do bujnej matczynej piersi.

– Jak się masz, kochanie? – zaćwierkała, podczas gdy jej syn wierzgał i na próżno próbował umknąć. – Dobrze cię tu karmią? Nie zimno ci w nocy? Przywiozłam dodatkowy sweter, bo w tych murach strasznie chyba ciągnie... Wiesz, że nikt nie potrafił pokazać mi drogi do tego miejsca? Ten... ten...

– Klasztor – podpowiedziała Tamara, która, stojąc z boku, przyglądała się całej scenie z rozbawieniem. Nina milczała, starając się powstrzymać chichot.

– Klasztor, właśnie, stoi na kompletnym odludziu, kto to wymyślił, żeby w takim miejscu urządzać wczasy dla dzieci?

– Anioł – podsunęła Tamara.

– Ach, anioł, no tak. – Pulchna kobieta zakłopotała się nieco. – Ale czy naprawdę nie mógł znaleźć czegoś lepszego?

Właściwie ona ma rację, uświadomiła sobie Nina. To rzeczywiście jest kiepskie miejsce na wakacje dla grupy młodzieży. Stary, na wpół zrujnowany i wilgotny budynek, gwałtownie opadające dno jeziora, brzeg najeżony ostrymi głazami... Nawet las był zdradliwy, bo podobno całkiem niedawno zgubiło się w nim jakieś dziecko, które znaleziono dopiero po dwóch dniach, wyziębione i wygłodzone.

Pewnie, Nina rozumiała argument o anielskiej mocy, która jest tu silniejsza.

Ale przecież nie było to chyba jedyne takie miejsce w Polsce? I czy z pozostałych nie dało się wybrać niczego sensowniejszego?

Może po prostu Azkiel nie pomyślał na przykład o tym, że ci, którzy nie potrafią pływać, też chcieliby się od czasu do czasu wykąpać w jeziorze. Ostatecznie był aniołem, a anioły niekoniecznie muszą znać się na potrzebach młodzieży.

Albo tak naprawdę nie zależy mu, żebyśmy miło spędzili tu czas. Może chodzi tylko o to, żeby zebrać nas w jednym miejscu, wszystko jedno w jakim.

– O czym tak myślisz? – zainteresowała się Tamara.

– O niczym szczególnym. – Nina potrząsnęła głową.

Mama Jacka wyjechała, wręczywszy wcześniej synowi i jego dwóm koleżankom po wielkim lukrowanym ciastku. Chłopak patrzył, jak samochód znika w lesie, przyskajac spod kół błotnistą wodą. Wciąż nie potrafił spojrzeć dziewczynom w oczy.

– Moja mama... ona... taka już jest... – wymamrotał wreszcie.

– Jest całkiem miła – uznała Nina, gryząc ciastko. – I rozsądna.

– Rozsądna? – Jacek zamrugął.

– Aha. Zwróciła uwagę na coś, na co powinnam sama wpaść.

– Udziela się, udziela – chichotała Tamara, skacząc przez kałuże.

– Co się udziela? Szaleństwo?

– Szaleństwo też. – Starsza dziewczyna zatrzymała się. Nogawki spodni miała uwalane błotem, lecz najwyraźniej nie przejmowała się tym. – Ale miałam na myśli tajemniczość. Wszyscy tu mają jakieś sekrety, zauważyliście? Małgosia i Tymek chowają się po kątach i ciągle coś do siebie szepczą, bliźniaczki gadają już prawie wyłącznie ze sobą albo z Elizą, Mariusz i Artur zajmują się tymi swoimi „ćwiczeniami”, których nie chcą nikomu pokazać, a Lidka patrzy na-



technionym wzrokiem, jakby wiedziała coś, o czym my nie mamy pojęcia.

– Pani Celina nie ma tajemnic – zaprotestował Jacek. – I anioł...

– Och, naprawdę? A te wszystkie wykrętne odpowiedzi, to zło, o którym nie mamy nawet pojęcia, czym jest? Czemu nie powiedział wyraźnie, z czym będzie walczył Wybraniec?

Nina powoli kiwała głową. Tak, jej też przyszły do głowy podobne pytania.

Widocznie kiedy anielski urok przestawał działać, wszyscy myśleli bardziej trzeźwo.

– A Nina ciągle zapisuje coś w tym swoim zeszycie i nie chce nam powiedzieć co – dodała Tamara, patrząc na koleżankę okrągłymi jak guziki oczami.

Przez piegi na jej policzkach ciągnęła się smuga brudu, obcięte na zapałkę włosy i ubłocone workowate spodnie upodabniały ją do żołnierza, który właśnie wyszedł z okopów.

– A wy? – Nina gładko pominęła wzmiankę o zeszycie. – Też macie tajemnice?

Ku jej zdumieniu Jacek odwrócił wzrok i nawet Tamara jakby trochę się zakłopotowała.

Tego wieczoru Nina wyjęła spod poduszki zeszyt i otworzyła go.

SPIS RZECZY DZIWNYCH, biegł przez środek pierwszej strony napis.

Pośliniła ołówek. Co jest w piwnicy, do której chodzi Adam?, zanotowała.

I czemu chłopak miał taką minę?

Może nie ma w tym żadnej tajemnicy, pomyślała. Może szedł do tej piwnicy, no nie wiem, po ogórki kiszzone na kolację albo coś w tym rodzaju. A jego mina? Cóż, każdy czasem ma dziwną minę.

Może Adam cierpi na niestrawność i na sam widok ogórków boli go brzuch?

W dodatku tak swobodnie groził powiadomieniem Azkiela, że musiał chyba chodzić do piwnicy za jego wiedzą. Może nawet na prośbę skrzydlatego? Co by znaczyło, że rzeczywiście nie ma w tym nic podejrzanego.

Westchnęła. Miała już zapisane trzy strony, ale wciąż brakowało jej ostatecznego dowodu.

Z sąsiedniego łóżka patrzyła na nią Tamara.

Nina zamknęła zeszyt i lekko zakłopotana odwróciła się do ściany. Po chwili Eliza zgasiła światło i sypialnia pogrążyła się w mroku.

Tu się naprawdę dzieje coś dziwnego, myślała Nina uparcie. Nie jestem wariatką i nie wymyślam niestworzonych rzeczy. Udowodnię wszystkim, że mam rację.

Noc była pogodna, w okno zaglądał księżyc w pełni jak wielki srebrzysty krąg sera. Z zewnątrz dobiegał cichy plusk fal, kumkanie żab i od czasu do czasu szelest ogrodowych krzewów, który za każdym razem sprawiał, że serce dziewczyny zaczynało mocniej bić. A klasztor jakby ożywał po zapadnięciu zmroku – tu postukiwała okiennica, tam wiatr świszczwał w nieszczelnej rurze, jeszcze gdzie indziej skrzypiała podłoga, przywodząc na myśl odgłos ostrożnych kroków.

Nina wiedziała, że w starych domach to całkiem naturalne dźwięki, ale i tak długo nie potrafiła zasnąć, a kiedy wreszcie udało jej się zapaść w płytki sen, coś ją z niego brutalnie wyrwało.

Ktoś przechodził obok jej łóżka, potknął się i na ułamek sekundy oparł o policzek dziewczyny zimną dłoń.

Poderwała się z sercem łomoczącym na wysokości gardła i rozejrzała, stara-

jąc się przebić wzrokiem księżycowy półmrok.

Pod oknem stała drobna postać w długiej białej koszuli nocnej.

– Małgosia? – zapytała Nina zachrypniętym ze strachu głosem. Tak, to chyba rzeczywiście była Małgosia, nikt inny nie miał tak drobnej sylwetki. Dziewczyna trochę się uspokoiła.

– Co tam robisz? Coś się stało?

Wstała i klaszcząc bosymi stopami o lodowatą posadzkę, podeszła do dziecka. Wyglądało na nieprzytomne, jakby wciąż spało; spod na wpół przymkniętych powiek połyskiwały białka oczu.

Lunatykuje?

Nina odchrząknęła.

– Wracaj do łóżka, jest zimno...

– On tu jest – powiedziała Małgosia.

– Co?

– Już tu jest i będzie pożerał nas po kolei.

– Kto? – Nina chwyciła dziewczynkę za ramiona i potrząsnęła mocno. Dziecko powoli zaczęło się budzić.

– C...co... się stało?

– Mówiłaś coś o kimś, kto będzie pożerał nas po kolei.

Małgosia patrzyła na Ninę wielkimi, nic nierozumiejącymi oczami, w których odbijało się światło księżyca.

– Co?

– Kto tu jest? Powiedziałaś, że ktoś tu jest...

Usta dziewczynki skrzywiły się do płaczu, po policzkach spłynęły łzy. Ona nic nie pamięta, uświadomiła sobie Nina. Chyba powinna teraz objąć Małgosię i uspokoić ją, ale nigdy nie była dobra w takich rzeczach.

– Idź spać – powiedziała więc tylko sztywno, czując się trochę zakłopotana, a trochę jak paskudna świnia. – Coś złego ci się przyśniło.

Małgosia podreptała do łóżka, wciąż pochlipując, a Nina wsunęła się pod kołdrę.

Już tu jest i będzie pożerał nas po kolei.

Co to, u licha, miało znaczyć?

Czuła, jak na piersi siada jej ciężkie, zimne przerażenie. Ledwo mogła oddy-

chać, ciemność wokół zgęstniała, tak że z trudem wciągała powietrze do płuc.

Serce waliło o żebra, jakby miało zamiar je połamać.

To tylko sen, dziecku przyśnił się koszmar, bywa.

A jeśli nie? Przed zniknięciem Staszka Małgosia mówiła przecież coś o ogrodzie...

Nina obracała się w łóżku, coraz bardziej niespokojna i spocona. Udało jej się zasnąć, dopiero gdy za oknami zrobiło się jasno, a i wtedy dręczyły ją złe sny. Nie pamiętała ich po przebudzeniu, wiedziała tylko, że był tam Diabelski Krąg i że coś się w nim czaiło – coś bardzo, bardzo złego.

Lecz w świetle poranka wszystko wyglądało znacznie lepiej. Dziewczyny podnosiły się, ziewając, czesały się i sprawdzały, jaka jest pogoda za oknem.

Eliza przypomniała Lidce i Małgosi, że dziś mają dyżur w kuchni, bliźniaczki planowały wyprawę do miasteczka, a Tamara, pogwizdując, przekopywała walizkę w poszukiwaniu pary w miarę czystych spodni.

Wszystko było tak normalne i uspokajające, że Nina zaczęła wątpić, czy cała ta nocna rozmowa z Małgosią się jej nie przyśniła – w każdym razie dziewczynka zdawała się niczego nie pamiętać i była radosna jak zawsze. Za to Nina po zaledwie kilku godzinach snu czuła się, jakby ktoś przepuścił ją przez wyżymaczkę.

– Wyglądasz jak zdjęta z krzyża – powiedziała Tamara, kiedy obie w łazience szorowały zęby. – Szoś szie ształo? – Wypluła pianę i energicznie wyplukała szczoteczkę.

– Nie wiem. – Nina potrząsnęła głową. – To znaczy nie, wiem – zdecydowała nagle. – Musimy pogadać. Ja, ty i Jacek.

– O, koniec tajemnic?

– Koniec, tylko obiecaj, że się nie będziecie śmiać.

– To zależy, co powiesz, nie? – Tamara wyszczerzyła zęby do lustra, a potem zrobiła minę, śmiesznie marszcząc nos. – Ale nie przejmuj się, ja zawsze byłam uważana za dziwaczkę, a Jacek lubi wariatów, więc wiesz... – Posłała Ninie szeroki uśmiech. – Kto cię zrozumie, jak nie my? Po śniadaniu w altance?

– Po śniadaniu w altance.

Na śniadanie było: ciepły jeszcze chleb, masło, marmolada i wielki dzban gorącej kawy zbożowej z mlekiem. W całym klasztorze pachniało świeżym pieczywem – Sylwia musiała wstać wcześniej i włożyć do pieca kilka (kilkanaście?) bochenków. A może piekła je Eliza? Biorąc pod uwagę fakt, że w cieście nie było zakalca, Nina stawiała na to drugie. Dziewczyna uwielbiała ciepły, chrupiący chleb, ale dziś każdy kęs rósł jej w ustach, aż wreszcie zostawiła na talerzu połowę niedojedzonej kromki i wymknęła się z jadalni, zanim troskliwa pani Celina zdążyła się zainteresować, czy brak apetytu nie jest przypadkiem oznaką choroby.

Usiadła w altance. Mimo wczesnej pory słońce grzało mocno, a ziemia po wczorajszym deszczu prawie całkiem już wyschła. Bzyczały owady, krążąc wokół pachnących kwiatów. Nina zamknęła oczy.

Otworzyła je, gdy usłyszała odgłos kroków na zwirowanej ścieżce. To nadchodziła Tamara, do której po chwili dołączył Jacek.

– No to mów, mała. – Dziewczyna rozsiadła się wygodnie na drewnianej ławie.

Nina znów zmieszała się pod ich wyczekującymi spojrzeniami, a potem za-

częła mówić, na początku niepewnie, później coraz bardziej gładko. Opowie-  
działa o znalezionej w ruinach skarpetce, dziwnym zachowaniu Adama i niepo-  
kojących słowach Małgosi.

Szczerze mówiąc, w dziennym świetle wszystko to brzmiało strasznie głupio.

Jacek patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, a Tamara uniosła lekko brwi.

Z jej miny niewiele dało się wyczytać.

– I co wy na to? – Nina chrząknęła speszona.

– Możemy przeprowadzić śledztwo i dowiedzieć się, co jest grane – zaproponował Jacek, ale jakby z mniejszym entuzjazmem niż zazwyczaj. Chyba jednak trochę się bał.

– Moglibyśmy też... – Nina wzruszyła ramionami – ...wyjechać stąd. Nic nas tu nie trzyma.

– Masz na myśli ucieczkę? – parsknęła Tamara.

– Moim zdaniem to całkiem rozsądna decyzja, jeśli naprawdę jest tu coś, co zamierza nas pożreć – powiedziała Nina, ale ostatnie słowo zabrzmiało tak nie-  
realnie, że sama straciła wiarę w to, co mówi.

– Ja nigdzie nie jadę – oznajmiła Tamara. – Nie mam zamiaru spędzić ostatnich tygodni wakacji z macochą.

– Ja też nie – zdecydował Jacek. – Spotkaliście moją matkę. Jak wrócę do domu, to znowu będę siedział, słuchał z nią radia i chodził do jej okropnych koleżanek... Tu przynajmniej dzieje się coś ciekawego.

– Nina?

Dziewczyna wyobraziła sobie minę matki, gdyby jej powiedziała, że wyjechała z Markotów, bo jeden z chłopców chodził do piwnicy, a małej dziewczyn-

ce coś złego się przyśniło.

– Ja chyba też nie bardzo mogę wrócić – westchnęła. – Moja mama...

– Bije cię? – zapytał ze współczuciem Jacek.

– Nie, smutno patrzy.

– To rzeczywiście fatalnie.

– Znaczy, jak się na mnie zawiedzie – wyjaśniła Nina. – Ona czuła się strasznie dumna, że anioły mnie wybrały.

– Poza tym wszyscy chyba chcemy się dowiedzieć, kim jest Wybraniec, nie?

– uzupełniła Tamara. – Nie mówiąc już o tym, że może nim być jedno z nas.

Nie żebym uważała, że mam szansę, ale Nina, czemu nie?

– W porządku, więc zostajemy – zdecydowała Nina. – Teraz trzeba się jeszcze zastanowić, czy idziemy do pani Celiny albo do anioła, czy próbujemy czegoś się dowiedzieć na własną rękę.

– Na własną rękę – powiedziała Tamara. – Nie obraż się, ale to wszystko brzmi strasznie dziwnie. Tajemnica Zagubionej Skarpetki. Sekret Zamkniętych Drzwi. Jeśli w tej piwnicy faktycznie są tylko konfitury, które pani Celina chroni przed naszym łakomstwem, to zrobimy z siebie idiotów.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę, że ty wierzysz w to, co mówisz – poprawiła starsza dziewczyna. –

Ale może masz po prostu zbyt bujną wyobraźnię. Zdarza się.

– Czyli nam pomożesz? – upewnił się Jacek, a Tamara wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? Tu i tak nic innego nie ma do roboty, możemy więc rozwiązać mroczną tajemnicę piwnicy. Ale nie miejcie do mnie pretensji, jeśli w środku zobaczymy tylko rządę zakurzonych słoików.



– A jeśli zobaczymy coś innego? – zawahał się Jacek. – Coś... groźnego?

– Właśnie, co jeśli tam jest coś niebezpiecznego? – poparła go Nina, myśląc, że pulchny chłopak jest, podobnie jak jego matka, znacznie bardziej rozsądny, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Tamara zmarszczyła brwi.

– Jest i taka możliwość. Ale Adam chodzi tam sam, a na bohatera nie wygląda. Jeśli on potrafi sobie z tym czymś poradzić, to tym bardziej poradzimy sobie my w trójkę.

Jacek skinął głową. Nina miała wątpliwości, ale uznała, że tak czy inaczej, muszą zaryzykować.

Plan był prosty: mieli obserwować Adama, dowiedzieć się, gdzie chowa albo skąd bierze klucz, zdobyć go i wejść do piwnicy.

Jako pierwsza dyżur objęła Nina, bo Tamara już wcześniej obiecała Jackowi, że dziś po śniadaniu będzie uczyć go pływać. W porządku, Nina nie miała nic przeciwko. Wróciła do klasztoru i znalazła Adama – wychodził właśnie z sypialni chłopców, przyciskając do piersi wielką, grubą książkę w płóciennym oprawie. Zmierzał do ogrodu, gdzie usiadł pod gruszą i zagłębił się w lekturze. Mimo iż dzień był ciepły, chłopak nie wiedzieć czemu nosił sweter.

Dziewczyna zajęła miejsce za altanką, tak by mogła widzieć Adama, a jednocześnie żeby on nie widział jej. Czytała pożyczony od Tamary kryminał i od czasu do czasu zerknęła na czarnowłosego.

Adam okazał się wyjątkowo mało interesujący jako obiekt obserwacji. Po prostu siedział, przewracając karty grubej książki, i wyglądało na to, że może tkwić tu aż do obiadu. Nina westchnęła i spróbowała skupić się na perypetiach

Herkulesa Poirota, który rozwiązywał właśnie zagadkę błękitnego ekspresu.

Od upału zaczął morzyć ją sen. Trawa była tak miękka, a gorąco letniego dnia otulało jak puchowa kołdra... Dziewczyna walczyła z opadającymi powiekami. Ze swojego miejsca miała dobry widok także na drzwi wyjściowe, zauważyła więc wybierające się do miasteczka bliźniaczki. Obie były ubrane w białe sukienki i miały kokardy w jasnych włosach. Wyglądały odświętnie, zupełnie jakby szły do kościoła. Czy dziś jest niedziela? Nie, chyba sobota, uznała Nina. O rany, w tym miejscu zupełnie traciło się poczucie czasu...

Chwilę później z klasztoru wyszli Małgosia i Tymek, którzy z minami spiskowców przepadli w dalszej części ogrodu. Jakie sekrety mogą mieć takie dzieci? Może znalazły gdzieś ptasie gniazdo albo coś w tym rodzaju...

Trawa była miękka, a ciepło tak przyjemne...

Nina otworzyła oczy i rozejrzała się niespokojnie. Na szczęście Adam wciąż siedział pod gruszą.

A w alejce naprzeciwko dziewczyny znikali właśnie Mariusz i Artur.

Błyskawicznie podjąwszy decyzję, wstała i poszła za nimi. Adam w najbliższym czasie chyba i tak się stąd nie ruszy, a ona miała teraz szansę wytropić, co kombinują Flip i Flap.

Przystanęli nad brzegiem jeziora, gdzie z wody wystawał wielki szary głaz.

Nad nim zwieszała gałęzie stara jabłoń. Nina przykucnęła za krzakiem bzu – gdyby któryś z chłopców się odwrócił, pewnie by ją zauważył, uznała jednak, że nawet jeśli, to co z tego. Miała takie samo prawo tu być jak oni.

– W porządku, zobaczymy, na co cię stać – powiedział Artur. – Na przykład...

– Rozejrzał się. Nina drgnęła, ale na szczęście wzrok chłopaka zatrzymał się na

jabłoni. – Na przykład spróbuj odłamać ten konar.

Mariusz splunął w dłonie i uniósł je, chwytając rosnącą nad jego głową gałąź, grubą jak ramię dorosłego mężczyzny. Drzewo zadygotało, gdy szarpnął, liście zaszeleściły w proteście, a na trawę posypały się drobne robaczywe jabłka.

Nina patrzyła z niedowierzaniem. Jakim cudem chłopak mógł liczyć na to, że uda mu się złamać taki konar? Ta gałąź była przecież wystarczająco solidna, żeby utrzymać jego ciężar!

Mariusz szarpnął jeszcze raz, a na jego okrągłej twarzy pojawiły się kropelki potu. To niemożliwe, myślała Nina. Fakt, chłopak był wysoki i dobrze zbudowany – może nawet tęgi, ale to nie czyniło go przecież cyrkowym siłaczem!

Drzewo pękło z rozdzierającym trzaskiem i w miejscu, gdzie konar wyrastał z pnia, pojawiła się szpara. Mariusz szarpnął jeszcze raz i gałąź została mu w rękach. Gapił się na liście, najwyraźniej nie wiedząc, co z tym fantem zrobić, a potem cisnął ją w jezioro.

– Znakomicie – pochwalił Artur. – A teraz spróbujmy czegoś trudniejszego...

– Myślisz, że to ja jestem Wybrańcem?

– Jasne, że tak – zapewnił go Flap. Miał twarz złośliwego chochlika, na swój sposób nawet ładną, ale z jakimś nieprzyjemnym błyskiem w oczach. – Jesteś przecież najsilniejszy, a ja tylko najszybszy. W walce bardziej liczy się siła niż szybkość.

Flap pokiwał głową, wyraźnie zadowolony.

Artur wcale nie wierzy w to, co mówi, pomyślała nagle Nina. Tak naprawdę sądzi, że to on jest Wybrańcem, a Mariusza okłamuje, bo ma w tym jakiś cel.

– To może teraz... – Chudzielec rozejrzał się za kolejnym wyzwaniem dla

swego mocarnego towarzysza.

Tym razem jego wzrok dotarł do ukrytej za krzewem Niny.

– A ty tu czego? – warknął. – Nikt cię nie zapraszał.

– Nie wiedziałam, że potrzebuję zaproszenia. – Dziewczyna wyprostowała się, starając przybrać pozę pełną godności. Nie było łatwo, bo nogi jej zeszywniały. – Co robicie?

– Ćwiczymy – odparł Mariusz.

– Żeby występować w cyrku?

– Hej, ona się chyba z ciebie nabija. – Flip odwrócił się w stronę Flapa.

Patrzyła, jak na twarz Mariusza wypełza podejrzliwość – powoli, jakby każda myśl z trudem przebijała się do mózgu.

– Nabijasze się ze mnie? – Zrobił krok w stronę Niny, która natychmiast się wystraszyła. W jej szkole chłopcy przestrzegali niepisanej zasady, że dziewczyn się nie bije, mogła więc sobie na wiele pozwolić. Ale czy Mariusz tę zasadę znał?

– Nie nabijam się, naprawdę – zapewniła pośpiesznie. – To był komplement.

Najsilniejszy człowiek świata występował w cyrku, nie wiedziałeś?

– Nie. Kto to był?

– Nie pamiętam nazwiska. – Żałowała, że nie ma tu Tamary, ona błyskawicznie by coś wymyśliła. – Ale widziałam w gazecie jego zdjęcie.

Mariusz cofnął się, podczas gdy za jego plecami Artur uśmiechał się złośliwie.

Nina zaczęła rozumieć, dlaczego Flip tak schlebia koledze. Sam był chuderlawy i słaby, ale za to trzymał na smyczy wielkie, posłuszne i groźne psisko, które mógł szcuć, na kogo chciał. Wystarczyło tylko psa od czasu do czasu pogła-

skać.

Przełknęła ślinę.

– A tak serio, po co ćwiczyć?

– Najpierw sprawdzamy, na co Mariusza stać, a jak już będziemy znać granice jego możliwości, to zrobimy takie przedstawienie, że wszystkim szczęki opadną.

Przedstawienie polegające na przykład na tym, że chłopak wyrwie z korzeniami drzewo? – chciała zapytać Nina, ale przytomnie ugryzła się w język. Nic dziwnego, że chłopcy tak się z tymi ćwiczeniami ukrywali. Nie chodziło tylko o efekt, ale też pewnie o to, że pani Celina miałaby sporo do powiedzenia w kwestii niszczenia ogrodu.

– Dlatego masz trzymać buzię na kłódkę, rozumiesz? Inaczej Mariusz z tobą porozmawia. – Artur błysnął zębami w kolejnym uśmiechu złośliwego chochlika. – I radzę ci, żebyś była dla niego grzeczna, on jest Wybrańcem.

– Jasne, rozumiem. – Było jej wstyd za samą siebie, ale naprawdę się bała.

Mogłaby powiedzieć Mariuszowi, że Wybrańiec nie powinien się tak zachowywać, wiedziała jednak, że to i tak niczego by nie dało. Ludzie tak już mieli, że w obecności aniołów byli świątobliwi, a potem szybko im przechodziło. Zresztą Nina nie знаła dobrze ani Mariusza, ani Artura – może z ich punktu widzenia grożenie dziewczynom było wręcz chrześcijańskim obowiązkiem. W jej szkole byli chłopcy, którzy uważali, że dobrym uczynkiem jest bicie Żydów, więc i coś takiego by jej nie zdziwiło.

Mogłaby coś powiedzieć, nie powiedziała jednak nic. Jacek się mylił, Nina z całą pewnością nie była odważna.

Wróciła na swoje miejsce, do wciąż niedokończonego kryminału.

A Adam w tym czasie gdzieś przepadł.

Nina zakłęła. Kiedy chwilę później pojawili się Tamara i Jacek, musiała przyznać, że chłopak zniknął jej z oczu.

– Nie mogłabyś być detektywem – skarciła ją Tamara. – Detektyw musi umieć śledzić ludzi. Coś ty robiła, że nawet nie zauważyłaś, kiedy sobie poszedł?

– Ja...

Trzymaj buzię na kłódkę, bo Mariusz z tobą porozmawia.

– ...zasnęłam.

Ostatecznie to, co widziała w ogrodzie, chyba i tak nie miało większego znaczenia. Mariusz był silny, pewnie, ale trudno krzepę chłopaka uznać za coś podejrzanego. Widać po prostu natura wynagrodziła mu siłą niedostatek inteligencji.

– Zasnęłaś? – parsknęła Tamara. – ZASNEŁAŚ?

Nina spuściła głowę zaczerwieniona.

– Mało spałam ostatniej nocy – wymruczała buntowniczo. – Poza tym ja tu siedzę przez cały czas, a wy się bawicie.

– Umieję już pływać – oznajmił Jacek. – Mówiłem, że szybko łapię takie rzeczy?

– Naprawdę umie. – W głosie Tamary słychać było lekkie zdumienie.

Ustalili, że teraz Tamara będzie pilnować Adama, a Nina i Jacek wybiorą się do miasta.

– Zajrzymy do Myśliwskiej? – zaproponowała dziewczyna, kiedy szli wzdłuż

brzegu. Pogoda wciąż była piękna, słońce grzało mocno. Jakby wczorajszy

deszcz i nocne strachy tylko się Ninie przyśniły.

– Podobno nie masz pieniędzy.

– Kupię sobie oranżadę, na tyle jeszcze mnie stać.

– Tak naprawdę chcesz jeszcze pogadać o tej malarce, prawda?

– Nooo... – Nina zakłopotana się.

– Co w niej jest takiego ciekawego? Że namalowała Diabelski Krąg? I co

z tego? Jak by na to nie patrzeć, to jest najbardziej charakterystyczny element

ogrodu i gdybym był malarzem, to pewnie sam bym go namalował. To znaczy

– poprawił się – gdybym lubił takie okropności.

Nina skinęła głową. Jacek właściwie miał rację... Czasem sama zadawała so-

bie pytanie, dlaczego tak ją interesuje Maura Lewicka.

Może dlatego, że na jej obrazie było coś więcej niż tylko uschnięte drzewa.

Jakby artystce udało się uchwycić promieniujące z Kręgu zło i zagrożenie. Jak-

by widziała coś więcej niż inni ludzie.

Nina nie bardzo potrafiła wytłumaczyć to chłopakowi, ale ten na szczęście nie

protestował, kiedy skierowali się w stronę Myśliwskiej. W kawiarni znów było

pusto, starsza pani, z którą Nina rozmawiała ostatnim razem, czytała za ladą

książkę. Na widok wchodzących uśmiechnęła się i wstała. W środku pachniało

świeżo zaparzoną kawą, drewnem i kurzem.

Nina przywitała się i poprosiła o oranżadę, Jacek poszedł w jej ślady. Starsza

pani patrzyła na Ninę ze zmarszczonymi brwiami, jakby jej nie poznawała,

i dopiero po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

– Cieszę się, że znów was widzę. Mieszkacie w... – Znowu zmarszczyła brwi.

– W klasztorze – odpowiedziała dziewczyna, po czym uznała, że najwyższa pora się przedstawić.

– Stefania Bystrzak – zrewanżowała się siwowłosa pani. – Niewiele osób ostatnio do mnie przychodzi, co więc powiecie na to, żebym dorzuciła wam do oranżady dwie bezy gratis?

Bezy były dobre, z jednej strony kruche, z drugiej tłuste od kawowego kremu. Pychota. Nina popiła je oranżadą i podeszła do lady. Nie miała pojęcia, jak zacząć rozmowę, ale pani Stefania ją uprzedziła.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała. – Tak sądziłam, że prędzej czy później wpadniesz, przyniosłam więc z domu kilka szkiców Maury. Dziwne, myślałam o tobie wczoraj wieczorem, a dzisiaj ledwo cię poznałam. Chyba się starzeję...

Nic to. Chciałabyś je obejrzyć?

– Bardzo chętnie.

W związanej sznurkiem teczce znajdowało się pięć rysunków węglem.

Uwiecznione na nich zakonnice pracowały w ogrodzie, cieszyły się letnim dniem nad jeziorem albo szły w stronę miasteczka – Nina poznała rosnącą nad brzegiem charakterystyczną wierzbę, którą mijala po drodze. Ot, obrazki z codziennego życia. Nic niezwykłego, a jednak wyczuwało się, że na szkicach jest coś więcej niż widać na pierwszy rzut oka.

One są obserwowane, pomyślała Nina.

Właśnie o to chodziło. Na każdym szkicu franciszkanki zostały przedstawione z dziwnej perspektywy, jakby śledził je ktoś przycupnięty w krzakach albo skryty w dziupli drzewa. I cienie za ich plecami były zbyt gęste, a kiedy Nina mrużyła oczy, zdawało jej się, że mrok układa się w niepokojące kształty. Nad



szkicami unosiła się wyraźnie wyczuwalna atmosfera zagrożenia.

Przełknęła ślinę.

– Są... niesamowite.

– Prawda? Kiedy człowiek patrzy na te rysunki, aż ciarki go przechodzą.

– Czy Maura była pani przyjaciółką? – Nina kątem oka zauważyła, że znu-  
dzony Jacek wyszedł z kawiarni i teraz kręci się przed kościołem.

– Byłam od niej piętnaście lat starsza, a taka różnica wieku nie sprzyja przy-  
jaźni – odparła pani Stefania. – Zresztą ona nie miała przyjaciół, tylko grono  
adoratorów i ludzi, którzy ją podziwiali. Ale ja wierzyłam w jej talent jeszcze  
wtedy, kiedy Maura była dziewczynką taką jak ty i wszyscy się z jej pasji ma-  
lowania śmiali. Już wtedy mówiłam, że ma zadatki na artystkę, a ona o tym  
nie zapomniała i potem od czasu do czasu dawała mi w prezencie to obraz, to  
znów jakieś szkice. – Uśmiechnęła się smutno. – Nawet pod koniec życia, kie-  
dy szaleństwo niemal całkiem ją opętało, Maura wciąż pamiętała o wdzięczno-  
ści. Była dobrą dziewczyną, choć wielu ludzi mówiło inaczej.

– Jak... – Nina zawahała się, ale chyba nie istniał dobry sposób na zadanie  
tego pytania. – Jak umarła?

– Utonęła w jeziorze. Czasem wypływała łódką, żeby malować z niej brzeg  
jeziora. Za... zakonnice – kobieta zająknęła się lekko, jakby nie była pewna,  
czy używa właściwego słowa – jej na to pozwalały, choć właściwie nie powin-  
ny, bo Maura była szalona i lepiej byłoby ją zamknąć albo trzymać pod stałą  
opieką. Ale ona nie znosiła ścian i potrzebowała samotności, tak jak ryba po-  
trzebuje wody. Wypłynęła więc na jezioro, a potem nadeszła burza, po której  
zakonnice natknęły się na przewróconą do góry dnem łódkę. Ciała nigdy nie

odnaleziono. Smutna historia, moje drogie dziecko, bardzo smutna. – Potrząsnęła głową.

Ciała nigdy nie odnaleziono, myślała Nina, kiedy chwilę później szła wraz z Jackiem w stronę ulicy Kamiennej.

Jeśli nigdy nie znaleziono ciała, to skąd właściwie wiadomo, że naprawdę umarła?

Poczuła, jak mimo letniego słońca nagle ogarnia ją chłód. Może Maura wciąż żyje?

A Adam nosi komuś jedzenie do piwnicy...

Jeszcze wczoraj wyobrażała sobie spokojne życie w klasztorze, a teraz w jej głowie zrodził się zupełnie inny obraz: zakonnice z wściekłymi twarzami ciągną korytarzem opierając się kobietę, wpychają ją do zimnej, ciemnej piwnicy i zamykają na klucz. Jak w Mnichu Lewisa. Nina przełknęła ślinę. Masz za dużą wyobraźnię, skarciła samą siebie. Dlaczego siostry miałyby coś takiego robić?

Zaopiekowały się przecież Maurą, wszyscy w miasteczku tak twierdzili...

Może musiały ją zamknąć? – podpowiedział cichy głosik w głowie. Bo była niebezpieczna dla siebie i innych? Może Maurę naprawdę opętał diabeł, a zakonnice, nie potrafiąc sobie z nim poradzić, postanowiły odizolować nieszczęsną kobietę?

Potrząsnęła kasztanową czupryną i rozejrzała się. Ulica smażyła się w sierpniowej ciszy, powietrze drgało od gorąca. Wokół było dziwnie pusto, tylko przypięty na progu kot odprowadzał ich spojrzeniem oczu, które przypominały dwie srebrne pięciogroszówki. Nina poczuła się, jakby znalazła się na jednym z rysunków Maury. Jakby ktoś ją obserwował. Jakby zaraz miało stać się coś

złego. Ten upał, cisza i pustka nie były naturalne; cały świat zamarł, przyczał się i czekał. Dziewczyna wyobraziła sobie cień skrzydeł niespodziewanie przesłaniających niebo. Prawie je widziała, niemal czuła na ramionach nagły chłód. To się stanie zaraz, już, właśnie teraz...

Ale nic się nie wydarzyło i po chwili dziwne uczucie minęło, jedynie pustka i cisza nadal sprawiały nienaturalne wrażenie. Nina oblizwała spieczone wargi. Wyobraźnia, pomyślała, to wszystko tylko moja wyobraźnia.

Jacek, na początku nastawiony entuzjastycznie do pomysłu wizyty u krewnych Maury, teraz z każdym krokiem zwalniał coraz bardziej, aż wreszcie włókł się już tylko w upale, zgarbiony i nieszczęśliwy.

– Mam wrażenie, że kręcimy się w kółko – wymruczał wreszcie. – Tę budkę z pamiątkami mijaliśmy chyba ze trzy razy...

– Kobieta na rynku powiedziała, że mamy dojść do magła, a potem skręcić w lewo. – Nina rozejrzała się. – Musimy szukać magła.

– Szukamy go od godziny – przypomniał Jacek. – Jeśli zaraz nie zawrócimy, spóźnimy się na obiad.

– Masz stracha, że się zgubimy czy że będziesz głodny? – parsknęła.

Chłopak potrząsnął głową.

– Nie... To znaczy tak, to trochę też. Ale czy ty w ogóle pomyślałaś, co my tym ludziom powiemy? Cześć, interesuje nas wasza zmarła krewna i chcieliśmy obejrzeć jej obrazy.

– Coś wymyślimy – odparła Nina, choć w głębi duszy wiedziała, że Jacek ma rację: trudno im będzie znaleźć wiarygodny pretekst takiej wizyty.

Stanęli właśnie po raz czwarty przed sklepem z pamiątkami. Dziewczyna

z desperacją zamknęła oczy. Wyglądało to tak, jakby wszystkie drogi prowadziły do tego maleńkiego brukowanego placyku, gdzie na środku stała nieczynna już drewniana studnia, a obok niej wznosił się kiosk, czy może raczej coś w rodzaju stylizowanej na ludową chatkę budki, za której szybą widać było statki w butelkach, figurki z muszli i inne drobiazgi – wszystko paskudnie kiczowate i zakurzone. Sklepek był zamknięty, na drzwiach ktoś przybił kartkę z napisem: „Zaraz wracam”, tak brudną, że równie dobrze mogła wisieć tu od miesiąca. Gdzieś z niedaleka dobiegało ciche poskrzypywanie jakby niedomkniętej okiennicy, choć nie było wiatru.

Nina wzdrygnęła się lekko, słysząc odgłos kroków. W ich stronę zmierzał starszy mężczyzna.

– Proszę pana! – Podbiegła do niego. – Czy wie pan, jak dojść do ulicy Kamiennej?

Spojrzał na nich zdziwiony.

– Widzicie szyld magła, tu, o? No więc za nim skręćcie w lewo. To tylko parę kroków.

– Chy... chyba się zgubiliśmy. – Nina poczerwieniała. Jakim cudem nie zauważyli tego szyldu? Przecież przechodzili tędy kilka razy. Jeszcze parę minut wcześniej mogłaby przysiąc, że magła tu nie ma, a żadna z okolicznych uliczek nie nazywa się Kamienna – sprawdzili przecież wszystkie w promieniu chyba pół kilometra.

– O tak, tu się ostatnio ludzie często gubią. – Starszy pan pokiwał głową, a Nina nie miała pojęcia, czy mówi poważnie, czy z nich żartuje.

– Wracajmy – zaproponował nerwowo Jacek, kiedy mężczyzna odszedł. –

Przemyślimy, co powiedzieć rodzinie Maury, i przyjdziemy tu jeszcze raz. Poza tym pani Celina będzie się martwić, jeśli nie zdążymy na obiad.

– W porządku. – Dziewczyna czuła się nieswojo. Próbowwała sobie tłumaczyć, że po prostu przegapili magiel, ale im dłużej o tym myślała, tym mniej wydawało się to prawdopodobne – szyld był duży i świeżo wymalowany, czerwień liter wyraźnie odcinała się od szarości kamienic. I te uliczki, po których kręcili się w kółko. Niezależnie od tego, w którą stronę szli, i tak trafiali zawsze w to samo miejsce.

Tu się ostatnio ludzie często gubią.

Nie, Nina chyba nie znalazłaby w sobie wystarczająco dużo siły, żeby stawić czoło rodzinie Maury. I nie miała ochoty oglądać następnych ponurych i niepokojących obrazów. Nie teraz.

– Wracajmy.

Na obiad rzeczywiście się spóźnili, ale na szczęście tylko kilka minut.

– Przepraszamy – wybąkał Jacek w imieniu swoim i towarzyszki, a pani Celina ruchem głowy poleciła im zająć miejsca za stołem.

– Proszę, żebyście na posiłki przychodzili punktualnie. I tak na wiele wam pozwalałam, więc przynajmniej tego będę wymagać. – Zmarszczyła brwi, ale w jej głosie brakowało stanowczości. Prawdę powiedziawszy, pani Celina wyglądała trochę jak dziewczynka, która próbuje naśladować surową nauczycielkę.

– Zgubiliśmy drogę w miasteczku – wyjaśniła Nina. – Obiecujemy, że to się więcej nie powtórzy.

Usiadła obok Tamary, która spoglądała z triumfalną miną znad talerza paru-

jące kartoflanki.

– Wiem, skąd Adam bierze klucz do piwnicy – szepnęła starsza dziewczyna.

– I wiem, jak go zdobyć.

Rozdział piąty, w którym nadciąga niespodziewana burza, Małgosi nikt nie wierzy, a Nina poznaje sekret piwnicy.

Gdy kończyli obiad, zabrzmiał pierwszy pomruk burzy, a nim Eliza i jej pomocnice zdążyły pozbierać naczynia, w sali jadalnej gwałtownie pociemniało. Nina podbiegła do okna. Słońce znikło za skłębioną, czarną chmurą, która podobna była do skóry zdartej z gigantycznego wilka. Powierzchnia jeziora zmarszczyła się, trawa i kwiaty przygięły do ziemi, jakby niewidzialny olbrzym szedł przez ogród i rozgarniał je stopami. Wiatr z jęklwym odgłosem uderzył w szyby, a potem na moment wszystko ucichło i znieruchomiało.

– Tyle na temat ładnej pogody – odezwała się zza pleców Niny Tamara.

Niebo przecięła błyskawica, a chwilę później huknął grom. Lunęły ciężkie krople, w ogrodzie momentalnie potworzyły się kałuże, na których pękały błotniste bańki powietrza. Wiatr targał liśćmi drzew i gnał w stronę brzegu spienione, skotłowane fale. Odległy las rozmazał się za szarą zasłoną deszczu.

Nina odsunęła się nieco – od nieszczęlnego okna ciągnęło zimnem i wilgocią, która osiadała na policzkach.

– Przy takiej pogodzie chyba powinniście zostać w klasztorze – powiedziała pani Celina lekko zakłopotana.

– Ależ co pani mówi! – zaprotestował od razu Tymek. – Pogoda jest śliczna, tylko deszczyk trochę kropi.

I natychmiast Nina pojęła, że chłopiec ma rację, przecież to nic takiego, ot

lekka mżawka i tyle. Właściwie prawie świeciło słońce...

Wyglądało na to, że pani Celina jest skłonna się zgodzić, lecz w tym momencie wiatr cisnął w okno kolejną falę deszczu i kobieta oprzytomniała.

– Wolałabym, żebyście zostali na miejscu. – Klasnęła w ręce. – Co wy na to, żebyśmy potraktowali tę burzę jako okazję, żeby się lepiej poznać? Może przejdziemy do pokoju z kominkiem i zagramy wszyscy w jakąś grę?

Autorytet pani Celiny musiał jednak działać, bo młodzież – niezbyt, co prawda, chętnie – powędrowała do wskazanego pomieszczenia, gdzie Remigiusz, jakby wiedziony szóstym zmysłem, rozniecał właśnie ogień w kominku. Wkrótce pokój wypełniło przyjemne ciepło. Mężczyzna wymamrotał coś, co od biedy można by uznać za pożegnanie, i wyszedł. Deszcz wciąż bębnił o szyby, młodzież niespokojnie kręciła się w fotelach i na podłodze.

– Proponuję taką grę. – Pani Celina powiodła spojrzeniem po zebranych. – Każdy z nas opowie coś o sobie, a potem pozostali będą zadawać mu pytania. W ten sposób sporo się o sobie nawzajem możemy dowiedzieć. Co wy na to? Odpowiedział jej niezbyt entuzjastyczny pomruk zgody.

– Kto pierwszy? Adam?

No jasne, ktośby inny, pomyślała Nina. Wyglądało na to, że przynajmniej w najbliższym czasie nie wyrwą się z tego pokoju i nie będą mogli szukać klucza. Żeby choć dało się porozmawiać przez chwilę z Tamarą...

Starsza dziewczyna najwyraźniej myślała o tym samym, bo skinęła dyskretnie na Ninę. Obie przesunęły się ostrożnie w stronę najciemniejszego, najbardziej odległego kąta pokoju. Kilka sekund później dołączył do nich Jacek.

– Adam bierze klucz z pokoju pani Celiny – szepnęła Tamara.

– To znaczy, że ona mu ten klucz daje? – Jacek zmarszczył brwi.

– Nie, sam sobie bierze. Widziałam, jak wszedł do pokoju pani Celiny, kiedy jej tam nie było, i wyszedł z kluczem.

– Może mu na to pozwoliła – bąknął chłopak.

– Może... – W głosie Tamary słychać było powątpiewanie.

Tymczasem Adam wyszedł na środek pokoju. Do wątlej piersi tulił tę samą wielką księgę w płócienną oprawie, którą czytał po południu, bijące z kominka ciepło sprawiło, że na jego policzkach wykwitły rumieńce. Czarne jak krucze skrzydła włosy dziwacznie kontrastowały z niebieskimi oczami, a także brwiami i rzęsami, które były tak jasne, że sprawiały wrażenie spłowiałych.

– Lubię czytać poezję – oznajmił, mierząc wszystkich aroganckim spojrzeniem, jakby chciał dodać: w porządku, śmieJCie się, i tak mam was gdzieś.

Nina wysiliła wzrok i z niejakim trudem przeczytała tytuł na trzymanym przez chłopaka tomie – były to dzieła zebrane Słowackiego.

– Mówiłam, że on ma źle w głowie? – mruknęła Tamara.

Nina była skłonna się z tym zgodzić. Sama czytała najróżniejsze rzeczy:

osiemnastowieczne powieści gotyckie, książki z dziedziny historii sztuki, psychologii i kulturoznawstwa, a kiedyś nawet, z braku laku, poradnik 100 rad jak przygotować przetwory na zimę, ale dobrowolna lektura Słowackiego przekraczała jej pojęcie.

– Interesuje mnie zwłaszcza okres romantyczny – dodał Adam już zupełnie niepotrzebnie, a Nina cicho zachichotała, bo chłopak z tym swoim arystokratycznym nosem, szeroko rozstawionymi, ładnymi oczami i bladą cerą, od której na policzkach odcinały się plamy niezdrowej czerwieni, sam wyglądał wy-



pisz, wymaluj jak cierpiący na suchoty poeta. Tyle że poeci, pomyślała, mieli chyba jednak lepszy charakter.

– Dziękuję – uśmiechnęła się pani Celina. – Czy ktoś ma do Adama jakies pytania?

Nikt nie miał, pośpieszyła więc zadać własne:

– Kim będziesz, jak dorośniesz?

– Będę tym, kim zechce uczynić mnie Bóg – odparł, patrząc w twarz pani

Celiny z wiernopoddańczym, psim uwielbieniem, od którego robiło się niedo-  
brze. – Jestem gotów przyjąć wszystko, co dla mnie przygotował.

Świątobliwy lizus, pomyślała Nina, a Tamara nachyliła się do jej ucha:

– Może to, co zezarło Staszka, zezre też Adama? Jak myślisz, mamy szansę?

– Musielibyśmy chyba temu czemuś dopłacić – odparła Nina, zanim zdążyła  
pomyśleć.

Tamara zachichotała, a Ninie mimo wszystko zrobiło się głupio i bardzo nie-  
swojo. Jeśli Staszкови naprawdę przytrafiło się coś złego, to nie był to temat  
do żartów.

Adam wrócił na swoje miejsce. Na środek pokoju wyszedł Artur.

– A co do klucza – Jacek podjął poprzedni temat – musimy po prostu wejść  
do pokoju pani Celiny i go wziąć, tak?

– Aha. – Tamara skinęła głową.

– A gdzie on konkretnie jest? W jakiejś szufladzie czy coś?

– Tego nie wiem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Przecież nie widzę  
przez ściany, nie? Wiem tylko, że Adam wszedł do tego pokoju bez klucza  
i wyszedł z kluczem.

– Skąd wiesz, że wszedł bez? Może miał go w kieszeni?

– Klucz jest na tyle duży i ciężki, że byłoby widać, jak wypycha spodnie – wyjaśniła Nina, a Tamara spojrzała na Jacka z satysfakcją.

– Dokładnie tak, matołku.

Miejsce Artura zajął Mariusz, potem Lidka. Nina zaczęła się denerwować. Nie znosiła takich publicznych wystąpień, od razu robiło jej się niedobrze. Co powie, gdy przyjdzie na nią kolej? Mogłaby wspomnieć, że planuje studiować historię sztuki – co było prawdą, ale pani Celina może spytać też o marzenia. Artura i Mariusza pytała... Jakie były marzenia Niny? O tym, że w wyobraźni pływała po morzach z piratami, lepiej nie mówić. Wiedziała, że zabrzmiałoby to dziecinnie i potem wszyscy by się z niej śmiali. Może powiedzieć, że chciałyby pojechać do Paryża i obejrzeć w Luwrze obrazy impresjonistów? To też było prawdą i brzmiało znacznie bardziej poważnie. Nina uwielbiała impresjonistów, na ich obrazach świat wyglądał jak zaczarowany.

Na środek pokoju wyszła Eliza.

– Chętnie pomagam innym – oznajmiła. – W przyszłości chciałabym pracować jako pielęgniarka albo przedszkolanka. Lubię opiekować się chorymi i dziećmi.

– Cośkiem niedawno żeś godała, że dziecka na nerwy ci działają – wtrąciła Hela.

Eliza poczerwieniała.

– Zmieniłam zdanie, w porządku? Każdemu wolno.

– Czy ktoś ma do Elizy jakieś pytania? – przerwała czym prędzej pani Celina.

Nina zaczęła się pocić. Jeszcze kilka osób i kolejka dotrze do niej. Przełknęła

nerwowo ślinę. Chciałaby, żeby coś się wydarzyło, cokolwiek, byleby nie musiała stawać na środku i opowiadać wszystkim o swoich zainteresowaniach i planach.

Pora na Helę, która wyznała, że jej największym marzeniem jest wyjść za mąż za chłopca z sąsiedztwa, mieć dużo dzieci i codziennie jeść ciastka z kremem.

– Jakies pytania?

– Kiedy urosły ci cycki? – odezwał się Artur, a dziewczyna odparła bez chwili wahania:

– Jak skończyłam dwanoście lat.

Młodzież wybuchnęła śmiechem. Zachichotała nerwowo nawet Nina, chociaż tak naprawdę była bardziej zażenowana niż rozbawiona.

– A co zrobiłaś... – próbował kontynuować chłopak, ale zarumieniona pani Celina przerwała mu ostro:

– Dostyc. To wcale nie jest śmieszne!

– Chciałem tylko się przekonać, czy ona rzeczywiście zawsze mówi prawdę.

– Artur wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu.

Po Heli wstała Karolina. Oznajmiła, że chciałaby, aby wszyscy w jej rodzinie byli zdrowi, żeby ojciec przestał pić, a starszy brat skończył studia (o tym właśnie marzył) i dobrze się ożenił. W przyszłości wybierała się do pracy w fabryce, jak jej ciotka. Wspomniała też o swojej miłości do prawdomównej siostry, którą trzeba chronić.

Karolina mówiła spokojnie, ostrożnie dobierając słowa, i nie wyglądała się jak niektórzy przed nią. Nina porównała ją z Elizą, która była jakby drugą po

pani Celinie opiekunką – to ona ustalała dyżury w kuchni, pilnowała, żeby ście-  
lili łózka i karciała, jeśli ktoś siadał do stołu z brudnymi rękami. Wszyscy jej słu-  
chali, nawet Artur, który za plecami dziewczyny robił śmieszne miny, i Mariusz,  
który polecenia wykonywał z wyraźną niechęcią. Eliza cieszyła się szacunkiem,  
ale mimo całej swojej zaradności i autorytetu była jedną z nich. Natomiast Ka-  
rolina sprawiała wrażenie znacznie starszej, jakby była dorosłą w ciele czterna-  
stolatki. Na co dzień nie rzucało się to w oczy, bo starsza z bliźniaczek trzymała  
się na uboczu i rzadko się odzywała – chyba że do siostry – ale teraz dla Niny  
było to tak oczywiste, że dziwiła się, jakim cudem nie wpadła na tę myśl  
wcześniej.

Następnie wstał Jacek, który zaczął opowiadać o swoim marzeniu, by wstą-  
pić do drużyny harcerskiej. Nina dyskretnie wytarła w sukienkę spocone dłonie.  
Deszcz bił w okno coraz mocniej, jęczący wiatr napierał na framugi, które  
trzeszczały niepokojąco. Szyba spływała wodą, jakby na zewnątrz ktoś stał  
i chlustał na ścianę pełnymi wiadrami. Burza musiała przechodzić tuż nad klasz-  
torem, bo grzmoty zlewały się z jaskrawym światłem błyskawic. Wisząca pod  
sufitem lampa to zapalała się, to znów gasła, a gdy pokój pogrążał się w pół-  
mroku, padający z kominka blask płomieni tańczył na wyciętych z szarości bla-  
dych twarzach.

– Chcesz iść pierwsza, czy wolisz, żebym ja poszła?

– Idź ty – wymamrotała Nina, doskonale świadoma, że tylko odwleka to, co  
nieuniknione i przedłuża mękę oczekiwania. Lepiej mieć to za sobą, pomyślała,  
ale wewnętrzny tchórz miał inne zdanie. Serce biło jej coraz mocniej, a żołądek  
zamienił się w ciasno zaplątany węzeł.

– Nie ma sprawy. – Tamara wyszczerzyła zęby w tym radosnym, zawadziac-  
kim uśmiechu, który tak bardzo przypominał Ninie Sławka. – Ja mogę mówić  
długo. O mojej macosze na przykład. Ona ma dwadzieścia lat, o sześć więcej  
niż ja. I chce się ze mną kumplować. Chodzić po sklepach, przymierzać kiecki  
i obgadywać aktorów grających w jakichś durnych romansidłach. „Nie mogę  
być twoją matką, ale chętnie zostanę przyjaciółką”, tak mówi. Wyobrażasz to  
sobie? Na ostatnie urodziny dostałam od niej buty na obcasie i szminkę.

– Nie brzmi tak źle – wymruczała Nina, wspominając, jak zeszłej wiosny  
umalowała sobie usta pomadką należącą do starszej siostry jednej z koleża-  
nek. W rezultacie ojciec omal nie spuścił Ninie lania, a matka nie odzywała się  
do niej przez cały wieczór.

Jednak Tamara najwyraźniej nie była zainteresowana takimi rzeczami, bo  
tylko parsknęła.

– Nie cierpię jej. To głupia krowa.

Jacek wrócił na swoje miejsce, Tamara wstała.

Niech się coś stanie, myślała Nina z rozpaczą. Ktoś mógłby nagle zasłabnąć  
albo Remigiusz czy Sylwia przyszliby do pani Celiny z jakąś ważną sprawą.

Albo niech wiatr otworzy okno...

Wiatr otworzył okno, które z hukiem uderzyło o ścianę. Szyba rozprysła się  
i w tym momencie zgasło światło, a ciszę pomiędzy dwoma grzmotami wypeł-  
nił wysoki, pełen bólu krzyk. Nina skuliła się, gdy wraz z wiatrem do pokoju  
wdarł się wilgotny ziąb.

Teraz już wszyscy krzyczeli jeden przez drugiego. Pani Celina pytała, czy ni-  
komu nic się nie stało, ktoś zaczął płakać. Chłopcy i dziewczyny wpadali na

siebie i potykali się o meble, w półmroku deszczowego dnia przypominając gromadę spanikowanych cieni. Szkło z rozbitego okna chrzęściło pod butami. Wreszcie błysnął żółty płomień świecy. Sekundę później, jakby powodowana nieodgadnioną złośliwością, zapaliła się lampa.

Jacek zdmuchnął trzymaną w ręku świeczkę, a pani Celina krzyknęła na widok Lidki, której krew spływała z czoła.

– Moje biedactwo! Pokaż, niech obejrzę... Bardzo boli?

– Trzeba jej to opatrzyć. – Eliza wykazała się opanowaniem. – Hela, skocz po apteczkę, a wy wszyscy wynocha, tu jest teraz zimno i pełno szkła.

Poganiana młodzież wyszła z pokoju. Zebrali się w jadalni, gdzie pani Celina posadziła na krześle Lidkę i póki nie było apteczki, chusteczką ścierała jej spływającą po twarzy krew. Nina patrzyła na piękną dziewczynę z przerażeniem.

Ja to zrobiłam? – zastanawiała się. Naprawdę otworzyłam to cholerne okno i skaleczyłam Lidkę? Przecież to niemożliwe, okna nie otwierają się dlatego, że ktoś tego chce. To przypadek, myślała. Nie potrafiła jednak pozbyć się niejasnego poczucia winy.

Starając się o nim nie myśleć, odciągnęła na bok Tamarę i Jacka.

– Teraz mamy szansę – powiedziała. – Jedno z nas może poszukać tego klucza. Pani Celina będzie zajęta Lidką jeszcze przez jakiś czas. A gdyby przyszło jej do głowy pójść do pokoju, pozostała dwójka będzie musiała jakoś ją powstrzymać.

– Mogę udawać, że skręciłem sobie kostkę i strasznie mnie boli. – Jacek jęknął tyleż entuzjastycznie, co mało przekonująco. – Co wy na to?

Dziewczyny patrzyły na niego z powątpiewaniem.

– Lepiej jeśli ja zostanę, a któraś z was pójdzie po klucz – dodał. – No bo...

rozumiecie... Nie wiadomo, gdzie on właściwie jest...

Nina rozumiała. Gdyby pani Celina miała przyłapać kogoś z rękami w jej bieliźnie, to z dwojga złego lepiej, żeby to była dziewczyna.

– W porządku, ja pójdę – westchnęła Tamara, która chyba też zdała sobie z tego sprawę.

Wymknęła się, mijając w drzwiach biegnącą z apteczką Helę.

– Odsuńcie się – poprosiła pani Celina, kiedy stłoczyli się wokół krzesła, na którym siedziała Lidka. – Waszej koleżance nic nie będzie. To tylko skaleczenie, choć mocno krwawi. Już, kochanie, nie martw się, zaraz wszystkim się zajmujemy.

– Trzeba jej to zszyć – odezwał się Jacek. – Inaczej może zostać blizna.

Kobieta spojrzała z niepokojem na Lidkę, która była blada, ale zaskakująco spokojna. Potem przeniosła wzrok na chłopaka.

– Myślisz...? Mogę poprosić Remigiusza, żeby wyprowadził samochód, ale nie wiem, czy przy tej pogodzie dojedziemy do lekarza. Poza tym...

Nie dokończyła, ale Nina i tak wiedziała, co ich opiekunka chciała powiedzieć. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi, przypomniały jej się słowa, które usłyszała pierwszego wieczoru. Nagle ogarnęła ją niechęć do pani Celiny z całą tą jej ostrożnością i niepewnością siebie. A gdyby komuś stało się coś poważnego? Czy wtedy też leczyłaby go w klasztorze, zamiast zawieźć do lekarza?

Lidka musiała wyczuć wahanie opiekunki, bo uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Nie trzeba zszywać, naprawdę. Samo się zrośnie. Nic mi nie dolega.

– Ale szkoda, gdyby miała zostać blizna. Masz taką śliczną buzię.

- Może anioł mógłby pomóc? – zasugerowała Eliza. – Ninie wyleczył ręce...
- Nie wyleczył, tylko sprawił, że przestały mnie boleć – uściśliła dziewczyna.
- Otarcia zostały. Z drugiej strony, brak bólu to już coś.
- Nie martwcie się o mnie – powiedziała Lidka ku zdumieniu Niny niemal pogodnie. – To moja ofiara. Nie warto zwracać Azkielowi głowy takim głupstwem. Poza tym od początku wiedziałam, że to nie może trwać wiecznie.
- Tamara ma rację – wymamrotał w stronę Niny Jacek. – To prawdziwy dom wariatów.

Wtedy w sali jadalnej rozbrzmiał ostry, pełen niepokoju głos Elizy:

- A gdzie Małgosia i Tymek?

Wszyscy jak na komendę rozejrzeli się wokół, ale rzeczywiście – po dwojce najmłodszych nie było śladu.

- Kto ich ostatni raz widział? – zapytała pani Celina.

– W pokoju z kominkiem jeszcze byli – odparła Eliza. – Pamiętam, bo po tym, jak światło się zapaliło, pytałam, czy nic im nie jest. Czyli musieli się wyknąć później, pewnie jak szliśmy do jadalni.

- Myślicie, że poszli do ogrodu? – W głosie jasnowłosej opiekunki brzmiał niepokój.

– Możemy sprawdzić w sypialniach – zaproponował Jacek. – Ale nawet jak wyszli z klasztoru, to niech pani się nie martwi, oni już nieraz chodzili w deszczu. Są zahartowani.

Nina kiwała głową, poświadczając, że to prawda, jednak pani Celina nadal wyglądała na zmartwioną.

- Sprawdzę, czy nie ma ich w którejś sypialni – zaoferowała Eliza.



– A ja zobaczę w ogrodzie. – Jacek już biegł do drzwi, choć Nina rzuciła mu mordercze spojrzenia. – Wezmę coś na deszcz, zresztą pada coraz mniej!

– Uważaj na siebie! – zdążyła zawołać za nim pani Celina.

W jadalni została tylko Nina, bliźniaczki oraz siedząca na krześle Lidka. Pozostali rozbiegli się po klasztorze. Nina słyszała nawoływania, tłumione przez grube mury i szum deszczu.

– Jak się czujesz, kochanie? – Pani Celina pochyliła się z troską nad Lidką.

Obwiązana bandażem głowa upodabniała piękną dziewczynę do rannego żołnierza. – Lepiej?

– Już prawie całkiem dobrze. Ale napiłabym się czegoś, jeśli można.

– Póda do kuchni. – Karolina skierowała się w stronę drzwi, a Hela odruchowo podążyła za siostrą. Nina przysunęła sobie krzesło i usiadła obok Lidki, pani Celina zrobiła to samo. Milczały. W jadalni było chłodno, burza już przeszła, ale deszcz wciąż bębnił w okna.

– Poradzisz sobie przez chwilę sama, Nino? – Pani Celina wstała. – Pójdę tylko do pokoju po sweter.

Serce w panice skoczyło dziewczynie do gardła.

– Kiedy ja... właśnie chciałam z panią porozmawiać... to ważne.

Kobieta zatrzymała się.

– Coś się stało, kochanie?

– Tak, to znaczy... – Och, jak bardzo Nina żałowała, że nie ma tu Tamary.

Ona poradziłaby sobie w takiej sytuacji bez trudu. – Mam... mam problem, a pani mówiła, że z każdym kłopotem mogę przyjść do pani.

– Tak, oczywiście – opiekunka uśmiechnęła się, ale Nina, mimo całego prze-

rażenia, zauważyła, że kobieta jest znacznie bardziej zaniepokojona, niż chciałaby to okazać. Myślami wciąż chyba była przy zaginionych. – O co chodzi?

Przez chwilę Nina rozważała, czy nie zmyślić jakiegoś osobistego problemu – na przykład, że tęskni za rodzicami albo coś w tym rodzaju. Instykt jednak podpowiedział jej, że to nie wystarczy. Jeśli powie coś takiego, pani Celina po prostu poprosi, żeby Nina chwilę zaczekała i pójdzie po ten sweter. Nie, dziewczyna potrzebowała czegoś poważniejszego, czegoś, co sprawi, że ich opiekunka zapomni o ciągnącym od okien chłodzie.

– Myślę, że tu się dzieje coś dziwnego – wypaliła, zanim zdążyła się zastanowić.

Pani Celina zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli?

– Diabelski Krąg... ta uschnięta kępa w ogrodzie... ona jest niesamowita...

I widziałam prowadzące do niej ślady tego ranka, kiedy Staszek zniknął. I Małgosia mówi przez sen dziwne rzeczy... Boję się! – wybuchnęła na koniec, a ponieważ mówiła całkiem szczerze, pani Celina od razu się przejęła.

Usiadła z powrotem i wzięła dziewczynę za rękę. Lidka przyglądała się temu spod na wpół przymkniętych powiek, może zresztą drzemała na krześle. Tak czy inaczej, nawet jeśli słuchała, to nie miała zamiaru się odezwać.

– Uspokój się, kochanie, i powiedz wszystko po kolei.

Nina odetchnęła, a potem opowiedziała o śladach widzianych w Diabelskim Kręgu, nocnych majaczeniach Małgosi i dziwnych obrazach Maury Lewickiej.

O zamkniętych drzwiach piwnicy na szczęście nie wspomniała, powstrzymała ją przed tym odrobina rozsądku, jaka jej jeszcze została.

Pani Celina słuchała, Lidka spała. A może też słuchała? Dłonie pani Celiny były zimne jak lód i drżały lekko.

– Kotku, Staszek bezpiecznie wrócił do domu, pamiętasz? Mówiłam wam o tym. A Małgosi po prostu czasem śnią się koszmary...

Nina patrzyła w wielkie, błękitne oczy ślicznej opiekunki. Ona kłamie, pomyślała z nagłą straszną pewnością. Kłamie, bo wie, że ja mam rację. I jest przerażona.

Gdzieś niedaleko rozległ się krzyk. Pani Celina drgnęła i puściła dłonie dziewczyny. Z korytarza dobiegał tupot nóg i podekscytowane, zaniepokojone głosy.

Po chwili drzwi jadalni otworzyły się z hukiem i do środka wkroczyła przedziwna procesja: przodem szedł Artur, za nim Eliza i Jacek, a na końcu Mariusz, który dźwigał ociekającą wodą Małgosię. Mokre włosy dziewczynki zwisały w strąkach; twarz przyciskała do piersi chłopaka, a drobne ręce kurczowo obejmowały jego szyję.

Pani Celina błyskawicznie znalazła się przy nich.

– Co się stało? Och, moje biedactwo... Jest nieprzytomna? Posadźcie ją tutaj... A może lepiej położyć ją do łóżka?

– Jest przytomna, ale chyba mocno się czegoś wystraszyła – wyjaśniła Eliza.

– Chłopcy znaleźli ją w ogrodzie.

– Pod starą jabłonią – uzupełnił Artur. – Kulila się i cały czas wyła, jakby ją przypalali.

– Ja ją przyniosłem – dodał zupełnie niepotrzebnie Mariusz. – To dla mnie bułka z masłem. Jestem bardzo silny.

Posadzili dziewczynkę na krześle, a pani Celina odgarnęła jej z twarzy mokre

włosy.

– Spójrz na mnie, kochanie, proszę. Czy możesz mi powiedzieć, co się stało?

Gdzie jest Tymek?

Ciałem Małgosi wstrząsał krótki, suchy szloch, który wyglądał prawie jak czkawka. Oczy miała wielkie z przerażenia i na wpół przytomne. Gdy po chwili zjawiły się bliźniaczki z tacą pełną kubków herbaty, pani Celina przysunęła jeden z nich do sinych z zimna warg dziewczynki.

– Napij się, to ciepłe, dobrze ci zrobi... Już lepiej? Widzisz? Nie trzeba tak się bać, nic ci tu nie grozi.

Jednak w głosie kobiety brakowało przekonania.

Eliza poszła do sypialni po koc, który zarzuciła na ramiona dziecka. Małgosia powoli uspokajała się i przestawała drżeć. Wypiła jeszcze kilka łyków herbaty, aż wreszcie jej oczy nabrały przytomnego wyrazu. Powiodła wzrokiem po twarzach kolegów i koleżanek.

– Widziałam w ogrodzie duchy – powiedziała. – Wyszły z drzew. A potem zabrały Tymka.

W pomieszczeniu zapadła nagła cisza i Nina niemal namacalnie poczuła, jak tężeje w niej napięcie. Ktoś wydał zduszony okrzyk, parę osób przeżegnało się odruchowo. W oczach młodzieży pojawił się lęk. Gdzieś w oddali jak na zawołanie zahuczał grom.

Pierwszy przełamał milczenie Artur.

– Bzdury – powiedział z pogardą. – Ona zmyśla. Wszystkie dzieciaki kłamią jak najęte.

– Duchów nie ma – dodała Eliza. – Małgosi musiało się coś przywidzieć.

– Oczywiście, że tak – pani Celina uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Duchy nie istnieją.

Ktoś pociągnął Ninę za łokieć. Odwróciła się i zobaczyła stojącą za nią Tamarę.

– Mam ten klucz – oznajmiła starsza dziewczyna, a potem spojrzała na Małgosię. – Coś przegapiłam?

– Całkiem sporo.

– Przepraszam, że cię zostawiłem. – Jacek podszedł do nich, zdejmując po drodze wojskową pałatkę. – No wiesz, chciałem pomóc i pomyślałem, że sama sobie poradzisz, jeśli trzeba będzie zatrzymać tu panią Celinę.

– Przyznaj się, że w ogóle nie myślałeś – parsknęła Nina, ale ciekawość była silniejsza od gniewu. – Co tam się właściwie stało?

– Tyle, co mówił Artur. Dziewczynka siedziała na deszczu i strasznie płakała. Nic z niej nie mogliśmy wydusić, nawet ruszyć się nie chciała, więc Mariusz wziął ją na ręce. Dopiero tutaj coś powiedziała. Serio myślicie, że Tymka zabrały duchy?

– Duchy? – Tamara zmarszczyła brwi.

– Aha – przytaknęła Nina. – Duchy, które wyszły z drzew. Małgosia tak twierdzi.

– Co za idiotyzm. Nie ma czegoś takiego jak duchy.

Jacek skinął głową, choć nie wyglądał na do końca przekonanego, a z jego oczu wciąż wycierał strach. Nina natomiast... fakt, już wcześniej miała wrażenie, że w klasztorze dzieje się coś dziwnego, ale duchy? Nie wierzyła w nie, odkąd skończyła siedem lat.

Spojrzała na młodzież tłoczącą się wokół Małgosi. Wszyscy wyglądali mniej więcej jak Jacek – z jednej strony wystraszeni, z drugiej pełni wątpliwości.

Przekrzykiwali się nawzajem, a w panującym rozgardiaszu ginął głos pani Celiny, która daremnie próbowała uspokoić podopiecznych.

Nina odetchnęła, starając się zebrać w sobie resztki odwagi, i spojrzała na Tamarę.

– Mówiłaś, że masz klucz.

– Mam. Był w górnej szufladzie biurka, łatwizna.

– Chcesz iść do piwnicy? – Jacek spojrzał na Ninę z niedowierzaniem. – Teraz? Zwariowałaś? Kiedy duchy wychodzą z drzew?

– Przecież w piwnicy nie ma żadnych drzew. Poza tym tak naprawdę teraz mamy największą szansę się wymknąć. W tym zamieszaniu nikt nie zauważy naszej nieobecności. Idziecie?

– Ja tak. – Tamara skinęła głową, a Jacek po chwili wahania zrobił to samo.

– Poczekajcie tylko chwilę, może Małgosia jeszcze coś wie. – Nina podeszła bliżej. Ale dziewczynka nic więcej nie powiedziała, powtarzała tylko w kółko, że duchy wyszły z drzew i zabrały Tymka, aż wreszcie zirytowana Eliza ujęła ją za łokieć i podniosła z krzesła.

– Zabiorę małą do sypialni, żeby się przebrała w suche rzeczy – powiedziała do pani Celiny.

– I daj jej coś na przeziębienie – przypomniała opiekunka. – Na przykład aspirynę, nie pamiętam, gdzie jest...

– W kuchni, w szafce nad zlewem. – Eliza znowu wykazała się kompetencją.

– Tak, oczywiście. – Celina Soszyńska wyglądała na tak zagubioną, że Ninie

mimo wszystko zrobiło jej się żal. – Dziękuję ci, kochanie.

– A my poszukamy Tymka – zadeklarował Mariusz. – Musi być gdzieś w ogrodzie, bo przecież duchy to bujda? – Czekał na potwierdzenie opiekunki, która w końcu przytaknęła z roztargnieniem.

– Tak, oczywiście, Eliza ma rację. Małgosi coś musiało się przywidzieć. Duchy nie istnieją.

– Jakby coś, Tymka też mogę przynieść. Każdego podniosę, taki jestem silny. – Mariusz chyba wybrał zły moment na chwalenie się swoją krzepą, bo nikt nie był zainteresowany jego słowami. Chłopak zachmurzył się i niezadowolony podreptał za Arturem w stronę drzwi. Jacek zrobił ruch, jak gdyby chciał iść w ich ślady, ale Nina chwyciła go za łokieć.

– Ani się waż! – warknęła.

– Oj, no przecież tylko żartowałem. – Jacek poczerwieniał.

Pani Celina powiodła wzrokiem po pozostałych, sprawiając wrażenie, że kogoś wybiera. Wreszcie jej spojrzenie zatrzymało się na bliźniaczkach.

– Czy mogłybyście zaprowadzić Lidkę do łóżka? Chyba powinna trochę wypocząć... Wszystkim nam to by się przydało.

– To my pójdziemy... eee... też wypocząć – oznajmiła Tamara. Nie miało to żadnego znaczenia, bo pani Celina nie zwracała już na nich uwagi. Gdy Nina odwróciła się w progu, zobaczyła jasnowęlosą opiekunkę siedzącą samotnie przy pustym stole. Twarz ukryła w dłoniach i chyba płakała.

Wycofując się, Jacek dyskretnie wsunął do kieszeni jedną ze stojących na szafce świec – w klasztorze było ich pełno, podobnie jak rozsianych wszędzie pudełek z zapałkami.

– Jak myślicie, gdzie jest Adam? – zapytał, kiedy skręcili w korytarz prowadzący w stronę drzwi do piwnicy.

– Nie wiem. – Nina uświadomiła sobie, że nie widziała chłopaka już od dłuższego czasu. – Wszedł z wami, kiedy poszliście szukać Tymka i Małgosi, ale nie wrócił.

– W ogrodzie go nie widziałem. – Jacek pokręcił głową.

– Pewnie siedzi w sypialni i czyta te swoje poezje. – Tamara wzruszyła ramionami, a potem dodała: – Jesteście pewni, że chcecie wejść do piwnicy? Bo wyglądacie, jakbyście mieli stracha.

Zatrzymali się przed zamkniętymi na klucz drzwiami. Nina przełknęła nerwowo ślinę. Tak, miała stracha, Jacek, sądząc po jego minie, też. Tylko Tamara wyglądała na spokojną.

– Jak myślicie, gdzie zniknął Tymek? – zapytał chłopak.

– Nie wiem. – Nina potrząsnęła kasztanową czupryną. – Ale jeśli on się nie znajdzie, to ja chyba wrócę do domu.

– Tchórze – parsknęła Tamara, choć bez pogardy czy złości. – To jak, wchodzimy?

– Wchodzimy – zdecydowała Nina, ale nim włożyła klucz do dziurki, powstrzymał ją Jacek.

– Zaczekajcie, nie możemy tam iść wszyscy. Jedno z nas powinno zostać przy drzwiach na wszelki wypadek i ostrzec pozostałych, jeśli zjawi się pani Celina albo Adam.

– Racja – przyznała Tamara niechętnie. – Ktoś na ochotnika? Ja nie, ja chcę zobaczyć, co jest w tej piwnicy.



– Ja też. – Ciekawość Niny przemogła strach.

– I ja. – Jacek najwyraźniej nie chciał być mniej odważny niż dziewczyny. –

Możemy pociągnąć losy. Kto wyciągnie najkrótszą zapałkę, zostaje przy drzwiach.

– W porządku.

– Zgoda.

Najkrótsza zapałka przypadła Tamarze, która przyjęła wyrok bez protestów, acz z kwaśną miną. Nina przekręciła klucz w zamku, drzwi otworzyły się cicho, jakby zawiasy były niedawno naoliwione. Świeca w ręku Jacka zadrżała.

Długie schody przed nimi prowadziły prosto w ciemność. Na szczęście były szerokie, a sama piwnica sprawiała wrażenie dość obszernej. W ciasnym pomieszczeniu Nina pewnie od razu zaczęłaby się dusić.

Schodząc, myślała, jakie to niesprawiedliwe, że Tamara wyciągnęła najkrótszą zapałkę. Z całej ich trójki to ona najlepiej nadawała się do tego, żeby wchodzić do mrocznych, zimnych piwnic i stawiać tam czoło niebezpieczeństwu.

Skoro jednak wszyscy się na losowanie zgodzili, to trudno.

Potknęła się, a Jacek podtrzymał ją, chwytając za rękę. Palce miał zimne i śliskie od potu, ale mimo to ten dotyk dodał dziewczynie odrobinę otuchy.

Przynajmniej nie ona jedna się bała.

– Wszystko w porządku? – spytał chłopiec. Poruszany nerwowym oddechem płomień świecy rzucał na ścianę drgające cienie, z dołu nie dobiegał żaden, najłżejszy nawet szmer, ale nie była to cisza pustego pomieszczenia, tylko miejsca, gdzie ktoś czeka, przyczajony, wstrzymując oddech.

Wyobraźnia, pomyślała Nina. Cisza nie oznaczała przecież niczego złego,

wręcz przeciwnie. Może rzeczywiście są tu tylko słoiki i tyle. Wizyty Adama w piwnicy wcale nie musiały mieć nic wspólnego z wszystkimi tymi dziwnymi rzeczami, które wydarzyły się ostatnio w klasztorze.

– W porządku. – Nina odetchnęła i z lekką niechęcią puściła dłoń chłopaka. – Pośpieszmy się, lada moment Adam może pójść po klucz.

Schody kończyły się, przechodząc w korytarz z wysokim stropem. Kilka kroków dalej po lewej stronie otworzył się widok na półkolistą, szeroką wnękę, którą od reszty piwnicy oddzielała ciężka krata.

– O rany, chyba rzeczywiście tu kogoś zamknęli... – jęknął na jej widok Jacek, ale Nina potrząsnęła głową.

– To po prostu piwniczka na wino. Czujesz? Jeszcze trochę pachnie. O, tam jest następna.

Wtedy to usłyszeli. Cichy, ledwo słyszalny szmer, jakby coś poruszyło się w mroku.

Coś, a może ktoś.

– Halo? – rzuciła Nina drżącym głosem w mrok. – Jest tu ktoś?

Cisza, w której już teraz wyraźnie słychać było czyjś oddech. Wdech, wydech, wdech, wydech. Jak gdyby oddychała zgromadzona w piwnicy ciemność.

– Maura Lewicka? To ty? Proszę, odezwij się.

– Maura? – szepnął Jacek. – Skąd...

– Ciii...

Nina wyobraziła sobie przerażoną, piękną kobietę, która od lat tkwi zamknięta w wilgotnym, mrocznym lochu. Nigdy nie widziała Maury, ale kobieta była artystką z piętnem szaleństwa, a to oznaczało romantyczną duszę, która

z kolei wiązała się z urodą. We wszystkich czytanych przez Ninę powieściach uwięzione, szalone kobiety zawsze były piękne.

No, przynajmniej na początku.

– Przyszliśmy ci pomóc. – Nina przemogła się i postąpiła kilka kroków naprzód. – Nie musisz się nas bać. – Obok Jacek parsknął nerwowo. Dziewczyna podeszła bliżej drugiej piwniczki na wino. Światło świecy padało teraz na solidne kraty, rzeźbione w motyw liści winorośli.

I na siedzącą za nimi szczupłą postać, która odwróciła w stronę Niny i Jacka twarz tak, że widzieli ją z profilu. To był rzeczywiście bardzo piękny profil, godny dłuta Donatella albo samego Michała Anioła. Porcelanowobiała cera, wielkie, ciemne oko w kształcie podobne do pestki migdała, nieskazitelna linia nosa i czerwień ust.

– Pani Lewicka? – Trzeźwa cząstka umysłu podpowiedziała Ninie, że to nie może być Maura. Ona może i cieszyła się cudowną urodą, ale tak czy inaczej, zaliczałaby się dziś do pań w średnim wieku, a kimkolwiek była siedząca w piwnicy istota, nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia lat.

– Nie jesteś Maurą – dziewczyna stwierdziła fakt. – Tylko aniołem.

Jakby mało było innych dziwnych wydarzeń. Małgosia mówiąca przez sen, zniknięcie Staszka, a potem Tymka, kolorowa skarpetka znaleziona na trawie...

Wspomnienia z kilku ostatnich dni przeleciały Ninie przez głowę. Nie, właściwie nie mogła powiedzieć, że jest zaskoczona. Zamknięty w piwnicy anioł nawet do tego wszystkiego pasował.

Skrzydlaty odwrócił się – druga część jego twarzy była pokryta bliznami ruiną, z wypełnionym ropą kraterem po wydartym oku. Nina krzyknęła, Jacek

cofnął się odruchowo. A anioł wstał i ruszył do kraty. Tego już napięte nerwy nie wytrzymały i dwoje młodych ludzi rzuciło się do ucieczki.

Nina niemal od razu potknęła się i przewróciła. W ostatniej chwili zdążyła osłonić głowę ramieniem, ale ból po upadku i tak odebrał jej na chwilę oddech. Już widziała pochylającego się nad nią anioła, który jakimś cudem przeniknął przez zamkniętą kratę (czy naprawdę była zamknięta?), już czuła jego dłonie zaciskające się na szyi.

Nic takiego się nie wydarzyło.

– Wstań i podejdź tutaj – powiedział skrzydlaty. W jego głosie słychać było zniecierpliwienie. – I nie bój się mnie. Nie zrobię ci krzywdy, przez tę kratę zresztą i tak nie miałbym szans. Nie potrafię przechodzić przez ściany, chcę tylko porozmawiać. Zapalić świeczkę?

– C...co?

– Wygląda na to, że twój kolega ze źródłem światła uciekł. Ja mam świecę, ale nie wiem, czy chcesz, żebym ją zapalał.

– Zapal, proszę. – Nina nerwowo przełknęła ślinę. Z dwojga złego wolała już chyba widzieć tę straszną twarz niż bezustannie wyobrażać sobie, jak w ciemności okaleczony anioł otwiera kratę, a potem podchodzi coraz bliżej i bliżej, wyciągając przed siebie ręce.

W mroku zajaśniało nikłe światelko. Dziewczyna uniosła wzrok, próbując skupić się na pięknej połowie anielskiego oblicza.

– Dlaczego jesteś tu zamknięty? – zapytała.

– Podejdź bliżej.

Gdzieś wysoko skrzypnęły cicho drzwi i na schodach rozległ się odgłos kro-

ków.

– Nina? Nina, jesteś tam? – To Tamara schodziła do piwnicy. Nina odwróciła się, niepewna, czy odpowiedzieć koleżance, czy nadal słuchać skrzydlatego.

– Podejdź tu – syknął, wyraźnie zniecierpliwiony. – Chcę powiedzieć ci coś ważnego, a nie mamy wiele czasu. No już, przecież cię nie zamorduję.

Jego jedyne oko hipnotyzowało, przyciągając Ninę. Ostrożnie zrobiła krok, a potem drugi.

– Nina, odezwij się! – wołała ze schodów Tamara. – Jacek wybiegł na górę, wrzeszcząc coś o jakimś potworze... Jesteś tam?

– Jeszcze bliżej.

Nina niemal dotykała czołem krat. Bolało ją serce, gdy patrzyła na zniszczoną urodę anioła. Jakby widziała wdeptany w błoto kwiat albo ruiny zachwycającego niegdyś pałacu. Byłoby lepiej, gdyby całą twarz pokrywały blizny, wtedy przynajmniej nikt nie wiedziałby, że skrzydlaty wcześniej był piękny. Ale ktokolwiek go okaleczył, zostawił jedną stronę nietkniętą, tak by tym bardziej uderzał kontrast pomiędzy dawną urodą a obecną potwornością. I żeby anioł nigdy nie zapomniał, jak wyglądał niegdyś. To było okrutne – bo Nina nie wątpiła, że ktoś zrobił to celowo.

– Nina? – Głos Tamary zabrzmiał już znacznie bliżej.

Anioł gwałtownym ruchem wyciągnął ręce przez kraty i chwycił nadgarstki Niny. Dziewczyna krzyknęła i szarpnęła się w tył, ale skrzydlaty trzymał mocno. Jego dłonie zaciskały się z siłą żelaznych kleszczy, jakby chciał połamać jej kości. Mocniej i jeszcze mocniej.

– Świat się zmienia – powiedział. – Wróć, jak się dowiesz, co oznacza biały pył na butach.

Krzyknęła jeszcze raz i wtedy anioł puścił. Nina, zataczając się, pobiegła w stronę płonącej na schodach świecy. Nad nią, jak zawieszona w ciemności, widniała wystraszona twarz Tamary.

– Co się stało? Kto tam jest...?

– Chodźmy stąd – wykrztusiła Nina. Nadgarstki wciąż pulsowały bólem. Pomysłała (zupełnie bez sensu w tym momencie), że będzie musiała nosić bluzkę z długimi rękawami, bo inaczej wszyscy zobaczą siniaki.

Przed drzwiami do piwnicy czekał na nich zawstydzony i zgnębiony Jacek.

– Przepraszam – powiedział, kiedy Tamara przekręcała w zamku klucz. – Nie powinienem cię tam zostawić, ale się wystraszyłem. Przepraszam...

– W porządku – wymamrotała, na wszelki wypadek siadając pod ścianą.

Nogi miała jak z waty. Dopiero teraz w pełni dotarł do niej cały strach, jaki przeżyła. – Ja chciałam uciec, ale się potknęłam... Jeśli cię to pocieszy, to na twoim miejscu też bym samą siebie zostawiła.

– Co tam było?

– Anioł. – Nina spojrzała na swoje nadgarstki. Od jasnej skóry odcinały się wyraźnie purpurowe ślady, które w ciągu kilku godzin nabiorą śliwkowego koloru, a w miejscach, gdzie anioł wbił paznokcie, widniały nabiegłe krwią rysy. Poczwała, jak zbiera jej się na płacz. Nie dlatego, że przerażały ją siniaki – bywała gorzej poobijana, choćby zeszłego lata, kiedy spadła z roweru, ale dlatego, że przecież aniołowi współczwała. Żałowała go i nawet wydawało jej się, że rozumie, jak skrzydlaty musi cierpieć, a on ją zaatakował.

Wróć, jak się dowiesz, co oznacza biały pył na butach.

To nie miało sensu, bo przecież Nina doskonale wiedziała, co oznacza ten pył

– że ktoś chodził po ruinach zawalonego skrzydła klasztoru.

– Jest chyba szalony – dodała, ocierając oczy.

– Zrobił ci krzywdę? – zaniepokoił się Jacek.

– To nic takiego, będę tylko miała parę siniaków. – Nina wstała ostrożnie.

Nogi pod nią wciąż drżały, ale na szczęście znikło to okropne wrażenie, że zaraz się przewróci.

– Przynajmniej wiemy teraz, że pani Celina słusznie robi, trzymając anioła w piwnicy, prawda? – powiedział Jacek. – No bo skoro on jest szalony i rzuca się na ludzi...?

Przytaknęła, choć miała pewne wątpliwości. Może anioł nie został zamknięty, bo oszalał, ale odwrotnie, zwariował z powodu zamknięcia? Każdemu w końcu pomieszałyby się w głowie, gdyby miał siedzieć w wilgotnej, ciemnej piwnicy.

Przyznała jednak w duchu, że wersja Jacka brzmi prawdopodobnie, co z kolei znaczyło, że pani Celina jest zdecydowanie bardziej godna zaufania, niż mogłoby się wydawać.

O ile Adam faktycznie brał klucz za jej wiedzę, a nie samowolnie.

Nina westchnęła. Wszystko to było strasznie skomplikowane, aż zaczynała ją boleć głowa. Tak czy inaczej, teraz powinni zadbać o to, żeby klucz wrócił na swoje miejsce.

Odniosła go Tamara, podczas gdy Nina oraz Jacek stali na czatach. W klasztorze panowała cisza – może pozostali wciąż szukali Tymka? Albo, co gorsza, zrezygnowali z poszukiwań. Nina wyobraziła sobie ponurą, zniechęconą grupkę

siedzącej w milczeniu młodzieży. Czy komuś przyszło już na myśl, że on może być następny?

– Tak naprawdę to mógł być wypadek, wiesz. – Jacek najwyraźniej myślał o tym samym. – Mam na myśli zniknięcie Tymka. Ja bym tam Małgosi nie wierzył. Może chłopak po prostu potknął się na jednym z tych kamieni i wpadł do wody.

– To by znaczyło, że on nie żyje – uzupełniła Nina i dla niej samej te słowa zabrzmiały strasznie obco. Nie żyje. Jak ludzie w czasie wojny, jak jej babcia i dziadek. Nie sądziła, że powie tak kiedyś o kimś w jej wieku.

– No, chyba tak... Choć z drugiej strony – dodał optymistycznie – może niepotrzebnie się martwimy, może Tymek już się znalazł, tylko my o tym nie wiemy? Pewnie siedzi teraz w kuchni i wcina kanapkę z dżemem. Właśnie, myślisz, że na podwieczorek dadzą nam dżem? Bo chyba podwieczorek będzie?

Na schodach rozbrzmiał miarowy stukot obcasów, najpierw cichy, potem coraz głośniejszy. Echo pośpiesznych kroków odbijało się od kamiennych ścian. Nina spojrzała ze strachem na Jacka, a ten odruchowo pociągnął ją w stronę wnęki wykuszowego okna. Ukryci bezpiecznie, patrzyli jak zza załomu korytarza wyłania się jasnowłosa kobieca postać. Pani Celina szła ze spuszczoną głową, a w całej jej postawie było tyle przygnębienia, że Nina od razu zrozumiała. Tymek się nie odnalazł.

– Musimy ją zatrzymać – szepnął gorączkowo Jacek, ale Nina chwyciła go za łokieć.

– Czekał, ona nie idzie do siebie, tylko do Azkiela. – Odetchnęła z ulgą, ale zaraz ogarnęła ją ciekawość.



– Poczekaj tutaj.

Nim chłopak zdążył zaprotestować, podeszła do drzwi anielskiego pokoju i zajrzała przez dziurkę od klucza. Azkiel trzymał panią Celinę za ręce, a ona patrzyła na niego z zachwytem, jakby objawił jej się sam Bóg. Trwali tak nieruchomo, niczym wyrzeźbione figury.

Gdy Nina odsunęła się, Tamara właśnie wyszła cicho z sąsiedniego pokoju.

Cała trójka zbiegła w dół schodami i dopiero tam pozwolili sobie w pełni odechnąć.

– Strasznie długo cię nie było – marudził Jacek. – Ile czasu może trwać włożenie klucza do szuflady?

– Znalazłam w tej szufladzie jeszcze listę z naszymi nazwiskami i przejrzałam ją – odparła Tamara bez najmniejszego wstydu. – Myślałam, że będzie tam zaznaczone, kto z nas ma największe szanse być Wybrańcem albo coś w tym sensie. Ale nie, na liście są tylko imiona, nazwiska oraz godziny przyjazdu na dworzec. Wygląda na to, że pani Celina niewiele o nas wiedziała, nim tutaj przyjechaliśmy.

– Myślicie, że podwieczorek będzie? – Jacek wrócił do poprzedniego tematu. Podwieczorek był, prawdopodobnie dzięki przedsiębiorczości Elizy, która stała na wysokości zadania. Kiedy weszli do jadalni, na stole stał już wielki dzban parującej herbaty, obok taca z kubkami i talerz kanapek z masłem oraz dżemem. Młodzież miny miała ponure, ale pani Celina była zaskakująco spokojna. Po kobiecie, która przy tym samym stole płakała rozpaczliwie z twarzą ukrytą w dłoniach, nie pozostał nawet ślad.

– Zanim zaczniemy jeść, chcę powiedzieć kilka słów – oznajmiła, wstając. –

Wiem, że wszyscy martwicie się o swojego kolegę, ale zapewniam was, że zrobię wszystko, żeby go znaleźć. Poprosiłam już Remigiusza, żeby przygotował samochód, za kwadrans pojedę do miasta i zawiadomię milicję. Z pomocą miejscowych przeczесzemy całą okolicę. Wy wciąż możecie szukać w pobliżu, proszę tylko, żebyście nie wchodzili do lasu i nie zbliżali się zanadto do brzegu jeziora. I nim zapadnie zmrok, chcę, żeby wszyscy byli z powrotem w klasztorze. Bez żadnych wyjątków. Nie o zmroku, tylko nim zapadnie zmrok, rozumiecie? Nie wolno wam też wychodzić w czasie deszczu. – Powiodła wzrokiem po zebranych wokół stołu i wyraz jej twarzy złagodniał nieco. Westchnęła. – Nie robię tego wam na złość. Tymkowi przydarzył się straszny, tragiczny w skutkach wypadek, rozumiecie to, prawda? Być może chłopiec zabłądził w czasie burzy, a może wpadł do jeziora. Tak czy inaczej, wykazał się nieostrożnością, a to jest niebezpieczna okolica. Jeśli jednak wszyscy będziemy przestrzegać reguł, nikomu nic więcej się nie stanie. Obiecuję.

Młodzież kiwała głowami, najwyraźniej przekonana pewnością pani Celiny.

Tylko mała Małgosia ośmieliła się zaprotestować:

– Tymka zabrały duchy – powtórzyła uparcie. Miała zapuchnięte oczy, a wygięte w podkówkę usta drżały.

Pani Celina uśmiechnęła się do niej łagodnie.

– Nie ma czegoś takiego jak duchy, kochanie.

– Zabrały go duchy, bo on był Wybrańcem, tak jak ja. Oboje umiemy czarować, mogę wam wszystkim pokazać – patrzyła wyzywająco, choć na końcach jej rzęs wisały już kolejne łzy. – Sprawię, że cukierniczka będzie fruwać, chcecie?

– Latająca cukierniczka – parsknął Artur. – Pewnie że chcemy. Nie krępuj się, mała. Pokaż nam, jak wygląda prawdziwa magia.

Małgosia wpatrywała się przez chwilę w naczynie, ale nic się nie wydarzyło.

Wreszcie ktoś – chyba znowu Artur – zachichotał, a pozostali zawtórowali mu śmiechem. Dziewczynka wybuchnęła płaczem, Eliza objęła ją opiekuńczym gestem i zaczęła pocieszać.

Przypuszczalnie ten właśnie incydent przekonał większość, że pani Celina ma rację – Tymkowi zdarzył się straszny wypadek, a duchy nie istniały. Nina pomyślała, że to okrutne, ale zgromadzona przy stole młodzież nie wyglądała na smutną – byli wystraszeni i dezorientowani, owszem, ale nie smutni. Znali Tymka ledwo kilka dni i tylko Małgosia zdążyła się z nim zaprzyjaźnić.

Ponad stołem padały zadawane szeptem pytania i spekulacje:

- Myślicie, że się utopił w jeziorze?
- Gdyby nie wychodził z klasztoru...
- A jakby tak poszukać w lesie?
- Może połamał nogi, a burza zagłuszyła jego krzyki?

Nina ze spuszczoną głową w milczeniu żuła kromkę z dżemem, kiedy nagle poczuła, że ktoś na nią patrzy. Było to wrażenie na tyle intensywne, że momentalnie uniosła wzrok.

Siedzący naprzeciwko Adam gapił się w nadgarstki dziewczyny, na których purpurowe ślady zaczynały powoli sinieć.

Nina obciągnęła rękawy bluzki, a Adam odpowiedział dokładnie takim samym ruchem, ściągając niżej rękawy czarnego swetra.

Swetra, który, jak dobrze pamiętała, nosił nawet w słoneczny, letni dzień.

Czyżby Adama spotkała ta sama przykra przygoda co Ninę?

Cóż, jeśli tak, nie zamierzała go jakoś szczególnie żałować. Poczwała się jednak pod spojrzeniem chłopaka nieswojo. Jeśli on rzeczywiście rozpoznał ślady na rękach Niny, to wiedział już, że była w piwnicy. Wiedział i mógł komuś o tym powiedzieć, na przykład pani Celinie albo – co gorsza – Azkielowi.

Nina czuła, jak z każdą chwilą traci resztki i tak niezbyt wielkiego apetytu. Skłamię, jeśli zapytają mnie o siniaki, postanowiła. Powiem na przykład, że zsuwałam się z kamienia do wody, a Jacek trzymał mnie za rękę. To będzie brzmiało dość prawdopodobnie.

– Dobrze się czujesz, Nino? – zapytała pani Celina. – Niewiele zjadłaś.

– Kupiliśmy sobie w miasteczku wielką paczkę ciastek – odparła dziewczyna bez namysłu i zaraz tego pożałowała. Wspominała przecież opiekunce, że ma niewiele pieniędzy. W duchu jęknęła, starając się ignorować zdziwione spojrzenie Jacka.

Na szczęście pani Celina nie skojarzyła jednego z drugim, bo tylko skinęła głową, najwyraźniej zadowolona z odpowiedzi.

– Czy mogę odejść od stołu?

– Tak, proszę. Tylko pamiętaj, nie wychodź na zewnątrz, jeśli będzie padać.

Nie padało, więc Nina z czystym sumieniem udała się do ogrodu. Wiatr strącał z gałęzi krople, które przedzierały się przez listowie z cichym, niepokojącym szmerem – niepokojącym, bo brzmiało to tak, jakby w koronach drzew buszowały niewidzialne, ale doskonale słyszalne, istoty. W błotnistych kałużach odbijało się zamglone słońce, na zmierzwionej przez wichurę trawie pełno było mokrych liści. Niektóre już zaczynały brązowieć i skręcać się na brzegach. Idzie je-

sień, pomyślała Nina, schylając się. Ale na razie wciąż jeszcze było lato; nasiąknięta deszczem ziemia parowała w ciepło, ptaki śpiewały, a wokół ocalałych po burzy kwiatów krążyły owady.

Pod starą jabłonią, tam gdzie chłopcy znaleźli Małgosię, Nina natknęła się na martwą srokę. W pierwszej chwili pomyślała, że ptaka strącił wiatr, ale nie – wyglądało to tak, jakby jakiś drapieżnik skręcił mu kark, a potem wgryzł się w miękkie podbrzusze. Na trawie wokół widać było ślady krwi, których nie zdążył zmyć deszcz. Ptak miał oczka czarne i okrągłe jak paciorki, a sztywne łapki celowały pazurkami w niebo. Nina kucnęła i ostrożnie dotknęła miękkich piór na łebku, starając się jednocześnie nie patrzeć na wielką, szarpaną ranę, która otwierała się na sroczym brzuchu. Zrobiło jej się nagle strasznie smutno. Ptaki nie powinny umierać w ten sposób.

A dzieci nie powinny znikać, tak jak zniknął Tymek.

Chodziła po lasach albo przesiadywała nad jeziorem, do innych prawie się nie odzywała. A jeśli, to tylko po to, żeby opowiadać o wychodzących z drzew potworach, które widywała.

Widziałam w ogrodzie duchy. Wyszły z drzew. A potem zabrały Tymka.

Wokół krople wciąż szeleściły w koronach drzew. Nina wstała. Nadal nie była pewna, czy wierzy pani Celinie, czy też nie.

Kobieta mówiła z taką pewnością siebie, że trudno było podejrzewać ją o kłamstwo, zwłaszcza że ich jasnowłosa, śliczna opiekunka nie należała przecież do ludzi, którzy potrafiliby oszukiwać, patrząc przy tym prosto w oczy.

Chyba że Nina się myliła. Albo pani Celinie ktoś wmówił, że Tymka spotkał wypadek, a to wcale nie była prawda.

Azkiel, z którym kobieta rozmawiała przed podwieczorkiem? Ninie zrobiło się zimno. Nie, niemożliwe. Przecież anioły nie kłamią, prawda? Samo myślenie o czymś takim było złe.

Wzdrygnęła się. Naprawdę bardzo, bardzo chciała, żeby pani Celina miała rację: Tymek zgubił się w czasie burzy albo pośliznął na brzegu, a nikomu innemu nie groziło niebezpieczeństwo – pod warunkiem, że będą przestrzegać reguł.

Tyle że wciąż miała wątpliwości.

Nie patrząc nawet, dokąd idzie, dotarła do Diabelskiego Kręgu. Stała przez chwilę, gapiąc się w bezruchu na uschłe drzewa i krąg jałowej ziemi. Jej serce ścisnął nagły, chłodny strach – całe to miejsce wyglądało jakby należało do innej rzeczywistości, znacznie bardziej mrocznej i zimnej niż reszta ogrodu.

W koronach martwych dębów gromadziły się cienie, choć do wieczora było da-

leko, a kolce ciernistego pnącza wydawały się dłuższe i jakby ostrzejsze niż ostatnio. Na szczęście na ziemi nie widać było żadnych śladów, ale to o niczym

nie świadczyło, odciski butów mógł zmyć deszcz.

Odwróciła się, bo nagle odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje, ale za nią

nie było nikogo. Wróciła więc do wpatrywania się w Krąg.

Czy jej się wydawało, czy rzeczywiście Diabelski Krąg był większy?

Cofnęła się, nerwowo oblizując suche wargi. To małe, zgniłe jabłko wcześniej chyba leżało poza Kręgiem, a teraz znajdowało się w środku.

Odsunęła się jeszcze bardziej, nie spuszczając wzroku z drzew, schyliła się i – wciąż popatrując na kępę kątem oka – podniosła z ziemi kamień. Potem zbliżyła się ostrożnie i położyła go na granicy Kręgu.

A następnie, słysząc odgłos odpalanego przed klasztorem silnika, odwróciła

się i pobięła.

– Czy mogłabym pojechać z panią do miasteczka?

Celina Soszyńska odkręciła szybę ify.

– Ależ kochanie, przecież dziś już tam byłaś.

– Tak, ale muszę jeszcze... – Instynkt ostrzegł Ninę, żeby nie wspominała o telegramie do rodziców. Pani Celinie mogłoby się to nie spodobać. – Muszę... jeszcze coś kupić. Mogę jechać? Nie będę przeszkadzać, obiecuję.

– Wizyta na milicji może mi zająć sporo czasu.

– Poczekam.

Pani Celina nie wyglądała na zachwyconą, widać jednak nie znalazła wystarczająco sensownego powodu, żeby odmówić, bo otworzyła drzwi i zaprosiła Ninę do wnętrza ify. Samochód ruszył. W lusterku dziewczyna widziała szeroką, chłopską twarz Remigiusza. Przelotnie pomyślała o nim i o Sylwii, jego siostrze. Oboje sprawiali wrażenie nieomal upośledzonych umysłowo: odzywali się bardzo rzadko, a jeśli już, mówili chrapliwie i z wyraźnym wysiłkiem. Nie mieli też, o ile Nina mogła stwierdzić, żadnych własnych przyjemności czy zainteresowań – kiedy nie pracowali, wygrzewali się po prostu na słońcu albo węszyli w ogrodzie, jakby spodziewali się tam znaleźć nie wiadomo co. A jednocześnie polecenia spełniali szybko i sprawnie. Cechował ich pewien rodzaj służalczej inteligencji graniczącej momentami wręcz z jasnowidzeniem, bo zdarzało im się z wyprzedzeniem odgadywać życzenia pani Celiny.

Kim oni byli? Gdzie ich opiekunce udało się znaleźć służących tak doskonale idealnych?

– Dlaczego naprawdę chcesz jechać do Markotów? – głos pani Celiny wyrwał

Ninę z zamyślenia.

– Ja... – Kolejny raz przyszło jej pożałować, że nie jest Tamarą. Ona błyskawicznie znalazłaby odpowiedź. – Chcę kupić ołówek.

– Ołówek?

Nina przekląła samą siebie. Najwyraźniej nie miała zdolności do kłamania, ale nie pozostawało jej nic innego, jak tylko brnąć dalej.

– Piszę coś w rodzaju pamiętnika i właśnie ołówek mi się skończył.

Pani Celina popatrzyła na nią uważnie, z powagą i jakby lekkim smutkiem.

Nina zaczerwieniła się, ale wytrzymała jej spojrzenie i ostatecznie to kobieta pierwsza odwróciła twarz.

– Rozmawiałam o tobie z Azkielem – powiedziała.

– Na... naprawdę? – Myśl, że skrzydlaty zniżał się do rozmawiania o kimś tak mało znaczącym jak Nina była przyjemna, choć jednocześnie niepokojąca. Czy mogło to oznaczać, że dziewczyna jest jednak Wybrańcem?

– Nazywa cię „cichą wodą”. – Pani Celina roześmiała się bez śladu prawdziwej wesołości. – I mówi, żebym na ciebie uważała.

Nina milczała. „Cicha woda” oznaczała kogoś, kto jest pozornie spokojny i grzeczny, ale w rzeczywistości ma swoje plany i potrafi zaskoczyć jakimś nieoczekiwanym wybrykiem. Czy takie określenie do niej pasowało?

Doszła do wniosku, że tak, i westchnęła. Nie żeby jej to jakoś szczególnie przeszkadzało, ale Wybraniec na pewno nie byłby „cichą wodą”.

A jaki powinien być?

Odważny, pomyślała, to na pewno. Poza tym uczciwy, zaradny i silny. Powinien opiekować się dziećmi i przeprowadzać staruszki przez jezdnię, zupełnie



jak pionierzy w radzieckich filmach.

Nina już miała zachichotać, kiedy coś przyszło jej do głowy. Na chwilę zamarła, zmrożona strasznym podejrzeniem, ale zaraz potrząsnęła kasztanową czupryną. Nie, to było przecież niemożliwe.

Ifa zatrzymała się w miasteczku.

– Sklep papierniczy jest po lewej stronie – powiedziała pani Celina. – Pośpiesz się, bo zaraz go zamkną. Spotkamy się tutaj, przy samochodzie. Jeśli mnie nie będzie, poczekaj. Mam nadzieję, że nie przyjdzie ci do głowy wracać pieszo?

– Nie przyjdzie. – Nina energicznie pokręciła głową. Przez całe to kłamanie czuła się naprawdę winna i chciała teraz wykazać maksimum dobrej woli. – Będę czekała, jak długo będzie trzeba.

Weszła do sklepu i kupiła ołówek, który mogłaby pokazać później pani Celinie. Potem powędrowała w stronę poczty, licząc po drodze ostatnie drobne w portfelu. Nie było ich dużo, ale na wysłanie telegramu powinno wystarczyć. Poczte już zamykano, zdążyła w ostatniej chwili. Pani w okienku z bardzo niezadowoloną miną podała Ninie blankiet.

– Tu wpisać treść – warknęła, stukając ołówkiem w rząd kropek.

Nina po chwili namysłu napisała: ZBRAKŁO MI PIENIĘDZY NA POWRÓT. Proste i – jak miała nadzieję – skuteczne. Kiedy zapłaciła, w portfelu zostało ostatnie pięć groszy. Teraz nie stać jej było nawet na oranżadę w Myśliwskiej.

Wyszła na zewnątrz wprost w popołudniowe letnie słońce. Spacerowała trochę po rynku, potem usiadła na ławce przed kościołem. Przez cały czas nie traciła z oczu zaparkowanej niedaleko ify, z tkwiącym w środku Remigiuszem. Męż-

czyzna drzemał na siedzeniu, a Nina wróciła myślami do dziwnego rodzeństwa.

Kim oni są?

Kolejny sekret.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że dziewczyna wcale nie miała pewności, czy chce wracać do domu. Owszem, bała się i bywały chwile, kiedy najchętniej pognałaby z powrotem do rodziców i spędziła resztę wakacji zwinięta bezpiecznie w fotelu z książką na kolanach. Ale jednocześnie intrygowały ją tajemnice klasztoru i wiedziała, że jeśli teraz ucieknie, to już do końca życia będzie się zastanawiać, kto okazał się Wybrańcem i co się właściwie tu działo. Będzie wyobrażać sobie samą siebie w roli wyjaśniającej wszystkie zagadki bohaterki i żałować, że zabrakło jej odwagi, by tę rolę odegrać.

A teraz, w słońcu i wśród kręcących się po rynku ludzi, niebezpieczeństwo wcale nie wydawało się tak poważne. Nikomu nic się nie stanie, jeśli będziemy przestrzegać reguł, powiedziała pani Celina, a Nina, mimo całej swojej nieufności do opiekunki, w to akurat była gotowa uwierzyć.

Nina uświadomiła sobie, że Staszek zniknął o świcie albo jeszcze przed nim, a Tymek w czasie burzy. Czy ciemność i deszcz były niebezpieczne?

Z niepokojem przyjrzała się wiszącemu nisko słońcu, które z każdą minutą stawało się coraz bardziej purpurowe. Cienie były już wyraźnie dłuższe, temperatura spadła o kilka stopni. Dziewczyna zadrżała. Jeśli pani Celina się nie pośpieszy, wieczór zostanie ich w miasteczku.

Pół godziny później opiekunki nadal nie było widać, a mrok zgęstniał już tak bardzo, że w miasteczku zapłonęły pierwsze światła.

Zapłonęły i zaraz zgasły.

Starszy mężczyzna, który akurat przechodził obok ławki Niny, przystanął

i pokręcił głową.

– Znowu ta przeklęta awaria – mruknął.

– Często się to zdarza? – zapytała nieśmiało dziewczyna.

– Och, od kilku dni ciągle. Światła gasną, potem się zapalają, potem znowu gasną. Chyba w elektrowni coś nawala.

Nina nerwowo przełknęła ślinę. Miała paskudne przeczucie, że nie ma to nic wspólnego z żadną elektrownią.

Latarnia nad jej głową zapłonęła ciepłym, żółtym blaskiem, a chwilę później rozjaśniły się też okna kamieniczek, które otaczały rynek. Nim jednak dziewczyna zdążyła poczuć ulgę, miasteczko na powrót pogrzyżyło się w wieczornym półmroku.

Jak u nas, jak w klasztorze, myślała Nina. Siedziała na ławce z nogami podciągniętymi pod brodę i z całej siły starała się nie wpadać w panikę. Tu jej przecież nic nie groziło. Ciemność czy nie, była przecież wśród ludzi, a do klasztoru wróci z panią Celiną.

Rynek pustoszał, ostatni przechodnie śpieszyli do domów, posyłając zdziwione spojrzenia dziewczynie, która wciąż tkwiła na ławce. Nina mogłaby wrócić do ify i poczekać w środku razem z Remigiuszem, ale szczerze mówiąc, samotność wydawała jej się lepsza niż towarzystwo mrukliwego, dziwaczego mężczyzny. Kościelne dzwony wybiły porę wieczornej mszy. Po chwili u wylotu jednej z uliczek pojawiła się pani Celina – dziewczyna poznała ją po jasnej, dość długiej sukience, która wyraźną plamą odcinała się od mroku, i po charakterystycznym stukocie obcasów odbijającym się echem na pustym już niemal ryn-

ku.

Nina wstała i z ulgą pobiegła do samochodu.

– Przepraszam, że zabrało mi to tyle czasu – powiedziała pani Celina.

– Ale zawiadomiła pani milicję, prawda?

– Tak, oczywiście. – Nie patrzyła Ninie w oczy. – Nie musisz się niczym martwić, kochanie.

Kłamie, pomyślała dziewczyna, kiedy ifa ruszyła. Nie była na milicji, pewnie w ogóle nie zawiadomiła nikogo o zaginięciu Tymka.

Ale cóż mogła zrobić? Zarzucić opiekunce kłamstwo? To było nie do pomyslenia, Ninę nauczono, że dzieci nie sprzeciwiają się starszym. Co prawda, ona sama za dziecko już się nie uważała, ale wiedziała, że dorośli patrzą na to inaczej. Gdyby zaczęła się awanturować, opiekunka potraktowałaby ją po prostu jak rozhisteryzowaną małolatę. A dziewczyna przecież nie miała żadnych dowodów...

Cicha woda, myślała Nina, patrząc na pnie buków, które w światłach samochodu przemykały poboczem jak zjawy. Jestem cichą wodą, nie sprzeciwiam się otwarcie, ale swoje wiem i w razie czego potrafię działać. To może mało bohaterskie i niegodne Wybrańca, ale trudno, to właśnie ja.

Za nimi w miasteczku znów zgasło światło.

Rozdział szósty, w którym do klasztoru przybywa milicja, a Nina dostaje anonimowy list i domyśla się, co znaczy biały pył na butach.

Sierżant Pawlak był wysokim mężczyzną z końską twarzą i szarą cerą. Jego skóra wyglądała na o numer za dużą – zwisała pod brodą i zbierała się w fałdach, jakby kiedyś był znacznie grubszy, a potem gwałtownie schudł. Na

opuszkach palców miał żółte ślady po nikotynie, mundur nie był pierwszej świeżości. Mimo to milicjant sprawiał dość sympatyczne wrażenie.

– Kto z was najlepiej znał zaginionego Tymoteusza Zielińskiego? – zapytał młodzież zgromadzoną wokół stołu w jadalni.

Jedenaście par oczu patrzyło na niego w milczeniu; nikt nie odważył się pierwszy odezwać. Przez uchylone okno wraz z podmuchami zimnego powietrza wpadały okrzyki ludzi, którzy pod komendą drugiego milicjanta przeczesywali bosakami dno jeziora. Była z nimi pani Celina, jej sopran bez trudu przebił się przez grube głosy mężczyzn.

Karolina wstała i zamknęła okno.

– Na pewno ktoś z was przyjaźnił się z nim bardziej niż inni, prawda? – spróbował jeszcze raz sierżant Pawlak. – Kto to taki?

– Małgosia. To znaczy, Małgorzata Grzesiak. – Eliza najwyraźniej uznała, że skoro już została nieformalną przywódczynią ich małej grupki, wypada jej się odezwać.

Wszystkie spojrzenia momentalnie skierowały się w stronę zwiniętej na krześle dziewczynki, która kołysała się lekko, wpatrzona w ścianę.

– A, ta mała od duchów. – W głosie milicjanta zabrzmiało lekceważenie i Nina pomyślała, że chyba jednak nie jest on tak sympatyczny, jak jej się wydawało. – A ktoś starszy?

Czemu nie zapytacie anioła? – miała ochotę powiedzieć. On podobno wie wszystko. Ale oczywiście pani Celina wymogła na nich obietnicę, że nie wspomną przy milicjantach ani o skrzydlatym, ani o tym, po co tu przyjechali. Mówcie tylko o ważnych rzeczach, dodała, bo panowie z milicji nie mają czasu na

głupstwa.

Nina w myślach przetłumaczyła sobie jej słowa: żadnego gadania o diabelskich kręgach, nocnych majaczeniach czy dziwnych obrazach.

– Ze starszych to chyba nikt... – zawahała się Eliza. Drzwi za jej plecami skrzypnęły i do jadalni wśliznęła się pani Celina. Dwie czy trzy osoby odwróciły się, ale większość nawet jej nie zauważyła; zbyt byli zajęci wpatrywaniem się w sierżanta Pawlaka jak w jakieś cyrkowe dziwowisko, trochę straszne, a trochę fascynujące.

– A czy ktoś w ogóle coś o tym chłopaku wie? Gdzie się najchętniej bawił? Dokąd lubił chodzić?

Nina wciąż miała ochotę wspomnieć o Azkielu. To byłoby jak rzucenie bomby w sam środek pokoju, idealna zemsta za te wszystkie godziny strachu. Chciała zrobić pani Celinie na złość, bo nadal jej nie ufała. Co prawda, dziś rano, gdy z miasteczka na rowerach przyjechali sierżant Pawlak i komendant Wilk, Nina mocno się zdziwiła, bardziej zdumiona byłaby chyba tylko wtedy, gdyby pod klasztor zajechał na swych saniach sam Dziadek Mróz. Musiała wówczas przyznać, że przynajmniej w jednej kwestii się pomyliła – ich opiekunka rzeczywiście zawiadomiła milicję o zaginięciu Tymka. Nie zmieniło to jednak faktu, że wciąż mnóstwo rzeczy przed nimi ukrywała, Nina była tego pewna.

Odwróciła się w stronę pani Celiny, która posłała jej prośące spojrzenie, jakby domyślała się, co dziewczynie chodzi po głowie. Nina przez chwilę czuła podłą, wstrętą satysfakcję – jak by na to nie patrzeć, los opiekunki był teraz w jej rękach i wystarczyłoby jedno słowo, aby jasnowłosa kobieta spędziła resztę życia w więzieniu. A potem Ninie zrobiło się wstyd, że w ogóle mogła

o czymś takim pomyśleć. Poza tym to byłoby nie tylko złe, ale też głupie – bo mówiąc o aniele, naraziłaby przy okazji samą siebie i swoją rodzinę.

– On nie chodził daleko, najczęściej bawił się z Małgosią w ogrodzie – oznajmiła po chwili namysłu Eliza.

Sierżant Pawlak westchnął, chyba zdając sobie sprawę, że niczego więcej się nie dowie.

– Ale mógł wyjątkowo pójść gdzieś dalej, prawda? Na przykład do lasu. –

Młodzież przytaknęła bez przekonania, a sierżant wielką kraciatą chustką otarł czoło. Pocił się, choć w jadalni nawet po zamknięciu okna wciąż było chłodno.

– Musimy więc przeszukać najbliższą okolicę i jezioro. Istnieje także możliwość, że źle się czuł w tym... w... klasztorze i przy najbliższej okazji po prostu uciekł.

Pani, złociutka, się ze mną zgodzi?

„Pani złociutka”, czyli Celina Soszyńska, podeszła bliżej. Była spokojna, ale dziwnie zgaszona, jakby wycofała się w głąb siebie, tam gdzie nikt i nic nie mogło jej dosięgnąć. Skinęła głową.

Milicjant z roztargnieniem poklepał ją po plecach.

– I niech się pani, złociutka, tak bardzo nie przejmuj, jestem pewien, że to nie pani wina. Pani na pewno jest wspaniałą opiekunką, ale dzieciaki w wieku tego chłopaka mają dziwne pomysły.

Celina Soszyńska posłała sierżantowi nędzną imitację swego uroczego uśmiechu i już miała coś odpowiedzieć, kiedy z krzesła zerwała się Małgosia.

– On nie uciekł! – krzyknęła. – On potrafił czarować i ja też umiem. Jesteśmy Wybrańcami!

W jadalni zapadła cisza, w której można by usłyszeć dźwięk upadającej

szpilki. Wszyscy nagle odwrócili wzrok, ni stąd, ni zowąd zainteresowani własnymi butami albo widokiem za oknem.

Zapyta o Wybrańca czy nie zapyta?

Jednak sierżant albo uznał, że to kolejny produkt dziecięcej fantazji, albo też anielski czar nadal działał. Biorąc pod uwagę fakt, że mężczyzna nie zainteresował się nawet kwestią, skąd w opuszczonym klasztorze tyle młodzieży, Nina bardziej wierzyła w drugą możliwość. Obaj milicjanci, a także ludzie, którzy przyплыnęli z miasteczka pomagać w poszukiwaniach, wyglądali na dość zagnębionych i czasem milkli w połowie zdania, jakby zapominali, po co właściwie tu się zjawili.

– Jesteśmy Wybrańcami – upierała się Małgosia. – Anio...

Pani Celina błyskawicznie znalazła się przy niej i ścisnęła dziewczynkę za ramię.

– Dość tego, kochanie. Panowie nie mają czasu, żeby słuchać głupstw.

– Racja, lepiej niech pani zabierze dzieciaka gdzieś, gdzie się uspokoi.

Gdy pani Celina z Małgosią wyszły, odezwał się Jacek:

– Pan pozwoli nam pomóc w poszukiwaniach, prawda? My znamy teren, możemy się przydać!

– Właśnie, chcemy pomóc! – poparł go Artur, a zaraz potem Mariusz i Adam.

Dziewczyny ograniczyły się do energicznego kiwania głowami.

– Zgoda, pod warunkiem, że wasza opiekunka nie będzie miała nic przeciwko.

– Nie będzie – zapewniła Eliza.

– I obiecacie, że nie odejdziecie daleko.



Odpowiedział mu chór potakujących głosów.

– Ja zorganizuję grupę – zaofiarowała się Eliza. – Mariusz i Artur przeszukają las wzdłuż drogi do miasteczka, Adam i Jacek pójną drugim brzegiem jeziora, a bliźniaczki w stronę stacji kolejowej. Ja i Lidka pójdziemy prosto, tam gdzie las jest najbardziej gęsty.

– Czemu wy macie iść w najbardziej gęsty las, a nie my? – zapytał z pretensją Mariusz. – Jesteście tylko dziewczynami, nawet jak znajdziecie Tymka, to nie zdołacie go przynieść. Ja bym dał radę.

– Czemu ja mam iść z Adamem? – odezwał się Jacek i jednocześnie Tamara:

– A co ze mną i Niną?

– Wy macie dyżur w kuchni, nie pamiętacie? Śniadania Sylwia przygotowuje sama, ale przy pozostałych posiłkach jej pomagamy. Taka była umowa.

– Dyżur w kuchni? – Twarz Tamary wyraźnie się wydłużyła.

Eliza parsknęła:

– Jak nie wierzycie, to sobie sprawdźcie, lista wisi na drzwiach.

Tamara wzruszyła ramionami, nie zamierzając zniżać się do sprawdzania, ale

Nina podbiegła do kartki. Faktycznie – dziś przypadał dyżur jej oraz Tamary.

Zupełnie o tym zapomniała.

Coś jeszcze zwróciło jej uwagę.

– Hej, a czemu na tej liście nie ma Jacka?

– Sylwia nie chce go widzieć w kuchni. Podobno potłukł jakieś cenne talerze czy coś.

– Jacek nie tłucze talerzy – zaprotestowała lojalna wobec kolegi Nina. Chło-

pak miał różne wady, ale niezgrabność do nich nie należała.

– Pogadaj o tym z Sylwią.

Tamara i Nina patrzyły przez okno, jak spod klasztoru rozchodzą się w różne strony grupki młodzieży. Dzień był pochmurny, ale nie padało. Jeszcze nie.

Krótkie włosy chłopców i dłuższe dziewcząt powiewały na ciągnącym od jeziora wietrze. Bliźniaczki oraz Eliza na wszelki wypadek włożyły peleryny przeciwdeszczowe, Adam miał latarkę, a z kieszeni koszuli Jacka wystawał papier, w który niewątpliwie opakowana była ściągnięta ze śniadania kanapka. Nina przelotnie zastanowiła się, czy chłopak już wtedy wiedział, że pójdą szukać Tymka, czy po prostu chomikował jedzenie, kiedy tylko miał okazję.

Tak czy inaczej, grupa poszukiwawcza wyglądała całkiem nieźle i Nina poczuła przelotne ukłucie żalu, że nie może z nimi iść. Miło było wyobrazić sobie, że znajduje w lesie rannego Tymka i zostaje bohaterką...

Uświadomiła sobie, że dokładnie tak myślą wszyscy pozostali. Te poszukiwania były jak konkurs na Wybrańca: okaże się nim ten, kto znajdzie Tymka, bo w końcu była to doskonała okazja, żeby Wybraniec się wykazał. Dlatego Eliza chciała iść w najbardziej gęsty las – to było najbardziej bohaterskie.

– Myślisz, że znajdą Tymka? – zapytała Tamara.

– Nie, tak naprawdę to nie – odparła Nina z ociąganiem, rezygnując z miłej wizji.

– Nadal uważasz, że tu się dzieje coś dziwnego?

– W piwnicy siedzi stuknięty anioł, dla ciebie to nie jest dziwne?

– Miałam na myśli te zniknięcia. Najpierw Staszek, teraz Tymek... Myślisz, że coś ich zabrało, nie?

Nina wolno skinęła głową.

– Coś, co mieszka w ogrodzie?

Kolejne kiwnięcie.

– A oni idą wykazywać się bohaterstwem do lasu – zachichotała Tamara.

– My idziemy obierać ziemniaki.

– Życie jest ciężkie, mała. – Tamara klepnęła młodszą dziewczynę w plecy.

Ponieważ jednak do owego obierania miały jeszcze trochę czasu, wyszły najpierw do ogrodu, gdzie na brzegu sterczała wysoka sylwetka sierżanta Pawlaka, a obok niższa, bardziej krępa postać komendanta Wilka. Na wzburzonym jeziorze chygotały się łódki, w których stali ludzie bosakami sondujący dno.

Wiał coraz silniejszy wiatr, spienione fale bezustannie spychały łódki w stronę brzegu. Ludzie z bosakami z trudem utrzymywali równowagę na szeroko rozstawionych nogach i wrzeszczeli do siebie, próbując przekrzyczeć wiatr, który wciskał im w usta ich własne słowa wraz z kroplami bryzgającej wokół wody.

Nina przyglądała się temu przez chwilę, a potem szepnęła do Tamary:

– Zaraz wracam! – I pobiegła w głąb ogrodu.

Stała przed uschniętą kępą i poszukała wzrokiem kamienia, którym poprzedniego dnia zaznaczyła granicę martwego Kręgu. Kamień był, owszem, tyle że teraz leżał na jałowej ziemi, a granica przesunęła się o dobrych kilka centymetrów.

Diabelski Krąg się rozrastał.

Nina znalazła kolejny kamień, położyła go na obwodzie powiększonego koła i wróciła do Tamary.

– Nic tu nie ma! – krzyknął z łódki mężczyzna w gumiakach i pogryzionym

przez mole swetrze. – Z drugiej strony też już sprawdzaliśmy!

Dno zazgrzytało o kamień i łódka przybiła do brzegu. Mężczyzna wyskoczył na jeden z wielkich nadbrzeżnych głazów i pośliznął się na mokrej powierzchni, ale zdołał utrzymać równowagę.

– Nie ma szans, żeby chłopak tu się utopił, panie władzo – oznajmił. – Chyba że od wczoraj prądy gdzieś go zniosły, ale całego jeziora i tak nie damy rady przeszukać, za głębokie jest. Trzeba by posłać po nurków z Gdańska.

Komendant Wilk skinął głową, a sierżant Pawlak dopiero teraz zauważył stojące obok dziewczyny.

– A wy nie poszłyście z innymi?

– Mamy dyżur w kuchni – odparła Tamara z ponurą miną.

– Kuchnia, świetnie – ożywił się człowiek w gumiakach. – Co na obiad?

Głodny jestem jak diabli.

Tamara rzuciła rozpaczliwe spojrzenie Ninie, która bezradnie pokręciła głową.

Czy oni wszyscy – a w przybyłej z miasteczka grupie było kilkunastu mężczyzn i parę kobiet – spodziewali się, że zostaną tu na obiedzie?

Do Niny z oporami docierała myśl, która chwilowo przynajmniej wystraszyła ją bardziej niż wszystkie rozrastające się diabelskie kręgi świata.

Owszem, spodziewali się.

– Musimy poszukać pani Celiny. – Nina dyskretnie odciągnęła Tamarę na bok.

Sprawdziły najpierw w jadalni, potem w pokoju z kominkiem, gdzie wezwany z miasteczka szklarz wstawiał właśnie nową szybę, a wreszcie w sypialni pani Celiny. Opiekunki nigdzie nie było.

Tamara ruchem głowy wskazała drzwi do pokoju Azkiela.

– Myślisz, że tam jest? – Nina uniosła brwi.

– No a gdzie? Chyba że siedzi w ogrodzie, ale nie wydaje mi się. Za zimno.

Tamara podeszła do drzwi i zapukała, najpierw cicho, potem mocniej.

Z wnętrza rozległo się niewyraźne: proszę.

Dziewczyny weszły do anielskiego pokoju. Pani Celina spoczywała w fotelu, a Małgosia przysiadła obok na poręczy, z głową opartą o ramię opiekunki. Obie wyglądały na spokojne i odprężone. Azkiel jak zawsze przycupnął na parapecie i patrzył przez okno, ale Nina z jakiegoś powodu była przekonana, że jeszcze

przed chwilą trzymał panią Celinę i Małgosię za ręce.

– Coś się stało, kochane? – zapytała jasnowłosa kobieta. Anioł nawet się nie odwrócił, lecz Nina mimo to czuła się obserwowana, zupełnie jakby miał oczy z tyłu głowy.

– Milicjanci i ci, którzy szukają Tymka, chcą tu zostać na obiedzie – oznajmiła Tamara.

– Znakomity pomysł – rozjaśniła się pani Celina. – To dobrzy ludzie, trzeba im wynagrodzić trud.

– Tak, ale my nie wiemy, co ugotować dla trzydziestu osób...

– Ugotujcie cokolwiek, na pewno sobie poradzicie. Sylwia wam pomoże.

Dziewczyny z kwaśnymi minami wyszły z pokoju.

– Co teraz? – zapytała Tamara. – Ja umiem tylko zrobić jajecznicę...

– Jakoś damy sobie radę. Nie cierpię gotowania, ale przy mamie sporo się nauczyłam. – Myśli Niny już biegły w inną stronę. – Jak myślisz, co on jej robi?

– Azkiel pani Celinie?

– Aha.

– Nie wiem, a co miałby robić?

– Zauważyłaś, że czasem pani Celina jest wystraszona i zmartwiona, a czasem spokojna i pewna siebie? I czasem umie kłamać, a czasem nie? Moim zdaniem to właśnie przez anioła. On ją w jakiś sposób... zmienia.

– Masz na myśli hipnozę czy coś w tym rodzaju?

– Albo anielskie czary – uściśliła Nina.

– Możliwe... – Tamara zmrużyła oczy, po czym ożywiła się, gdy nowa myśl wpadła jej do głowy. – A jeśli to próba?

– Próba?

– Może tak naprawdę ani Staszкови, ani Tymkowi nic się nie stało, może siedzą teraz gdzieś w bezpiecznym miejscu i śmieją się z nas. Azkiel i pani Celina mogli zaaranżować ich zniknięcie, bo chcieli przekonać się, jak reagujemy w takich sytuacjach. Sprawdzić, czy będziemy dzielni, czy nie. Coś w tym rodzaju.

– Taki test na Wybrańca? I Małgosia opowiadająca o duchach to też część próby?

– Czemu nie? – Tamarze wyraźnie się ten pomysł podobał. – Pewnie to wszystko to tylko gra i nikomu tak naprawdę nic nie grozi.

Nina skinęła głową, nie czuła się jednak przekonana. To brzmiało zbyt dobrze, by było prawdziwe.

Rozmawiając, zeszyły do kuchni, gdzie przy wielkim, rozgrzanym piecu drzemała Sylwia. Gdy dziewczyny otworzyły drzwi, uniosła powieki, ale zaraz wróciła do zwierzęcej bierności. Czy tę kobietę kiedykolwiek coś interesowało?

Nina zerknęła do spiżarni. Było to suche, chłodne i mroczne pomieszczenie, gdzie pod sufitem wisiały pajęczne sieci, a jedyną żarówkę oblepiała gruba warstwa kurzu. Na półkach leżały worki mąki, cukru, fasoli oraz grochu, a także jajka w proszku, krąg żółtego sera i trochę konserw, w drewnianych skrzynkach piętrzyły się warzywa i owoce, natomiast kamionkowe naczynia zawierały masło, wędzony boczek i słoninę. W rogu stały jeszcze beczka kiszonej kapusty i bańka gęstej, wiejskiej śmietany. Nina wiedziała, że pani Celina jeździ po mleko do zaprzyjaźnionego gospodarstwa, a reszta zapasów została tu zgromadzona jeszcze przed przyjazdem młodzieży. Była to część polityki „nierzucania

nia się w oczy”, o której często mówiła jasnowłosa opiekunka. W miarę możliwości unikać wizyt w miasteczku, zwłaszcza samochodem. Nie było w tym nic dziwnego, w Markotach ludzie odwykli już trochę od turystów, a z miejscowych mało kto mógł sobie pozwolić na auto, więc każdy pojazd mechaniczny, nawet stara ifa, zwracał uwagę.

– Zupa? – zapytała Tamara, spoglądając znad ramienia Niny.

– Zupa – westchnęła Nina.

Gęste, zawiesiste i pożywne zupy jedli codziennie, bo mięso było drogie i trudno dostępne, a inne potrawy z kolei zbyt pracochłonne. Raz tylko na drugie danie dostali jeszcze pierogi ze śliwkami i śmietaną.

– Kapuśniak?

– Może być. – Nina skinęła głową. – Wolisz obierać ziemniaki czy jabłka?

– Ziemniaki.

– To ja obiorę jabłka. – Nina z niechęcią spojrzała na zebrane w ogrodzie owoce, które były małe, poobijane i częściowo robaczywe. Ale na kompot powinny się nadać.

Znalazła miskę na obierki i drugą na obrane już jabłka, wyjęła z szuflady nożyk i przysunęła sobie stołek do pieca. Nie było jej zimno, ale gorąco ognia działało uspokajająco. Cała kuchnia zresztą wydawała się tak cudownie bezpiecznym miejscem – była duża i staroświecka, ze ścian zwisały tu patelnie, warząchwie, tasaki i inne przedmioty, których przeznaczenia dziewczyna nawet nie знаła, a na półkach stały rządkiem wielkie, przedwojenne słoje. Kiedyś, sądząc po obrazkach, musiały zawierać różne egzotyczne przyprawy, ale teraz były puste (Nina z ciekawości zajrzała do jednego czy dwóch).



Wyobraziła sobie, jak kuchnia musiała wyglądać, kiedy w klasztorze miesz-

kały zakonnice. Zapach ziół wiszących pod wysokim sufitem, kiełbasy i szynki suszące się nad ogniem... Czy siostry lubiły przychodzić tu na kubek herbaty

i plotkować przy starym, drewnianym stole, który służył jako stolnica do walcowania ciasta na makaron? A może nie wypadało im zajmować się tak przyziemnymi rzeczami jak plotki?

Tak czy inaczej, musiało to być całkiem sympatyczne miejsce, uznała Nina, a potem jej wzrok padł na Tamarę, która ze zmarszczonymi brwiami przerabiała ziemniaki na równe kostki, okrawając je po kolei z sześciu stron.

– Co ty wyprawiasz?

– Obieram ziemniaki, a co?

– Nie tak! Patrz. – Nina zademonstrowała, jak należy to robić. – Poważnie nigdy w życiu nie obierałaś ziemniaków?

Tamara wzruszyła ramionami.

– Nie. U nas gotuje gospoia albo moja macocha, jak chce się popisać.

– Macie gospoie? – Nina wytrzeszczyła oczy. Gospoie kojarzyły jej się wyłącznie z dawno minionymi latami przedwojennymi, no i wcześniej nigdy nie przyszło jej do głowy, że Tamara może być bogata. Nie wyglądała na to.

– Strasznie burżujskie, nie? – Starsza dziewczyna zachichotała. – Tato powiedział, że mam się w szkole do tego nie przyznawać. Ile tych ziemniaków ma być?

– Nie wiem. – Ninie przemknęło przez myśl, żeby zapytać Sylwię, ale to chyba nie miało sensu. – Skrzynka powinna wystarczyć.

A co, jeśli nie wystarczy? Albo jeśli zupy wyjdzie za dużo i pani Celina będzie miała pretensje o marnowanie jedzenia?

Czuła, jak znów ogarnia ją panika, ale z całą siłą woli, na jaką było ją stać, nakazała sobie spokój. Z panikowania nic dobrego nikomu nie przyjdzie.

– Skrzynka wystarczy – powtórzyła, starając się, żeby w jej głosie zabrzmiała pewność, jakiej wcale nie odczuwała.

– Moja macocha by cię polubiła – oznajmiła Tamara. – Jesteś ładna, lubisz nosić sukienki, umiesz gotować i zawsze masz czyste paznokcie. Byłaby tobą zachwycona.

Nina nie wiedziała, czy to miał być komplement, czy nie, więc na wszelki wypadek się nie odezwała. Dopiero po chwili, kiedy milczenie się przedłużało, powiedziała niepewnie:

– Ale za to ty chyba miałaś mnóstwo przygód...

– Przygód? – Tamara uniosła brwi, a Nina lekko się zaczerwieniła. Co mogła poradzić na to, że ubrana w chłopięcy strój dziewczyna kojarzyła jej się z bohaterkami powieści? Tamara na pewno nie robiła wszystkich tych nudnych rzeczy, jakie kazano robić Ninie. Ona wyglądała na kogoś, komu przygody po prostu się przydarzają.

– Jesteś odważna i nosisz spodnie jak chłopak i... i...

– Nie miałam żadnych przygód – zachmurzyła się Tamara, a Nina wyczuła, że nie powinna więcej pytać.

Tajemnice, pomyślała. Każdy tu ma jakieś tajemnice, nawet Tamara i Jacek, który mimo całej swojej zręczności w pierwszy dzień pobytu potłukł Sylwii cenne naczynia.

Na myśl o Sylwii wzrok dziewczyny powędrował pod okno, gdzie siedziała teraz kobieta. Siedziała i – jakżeby inaczej – nic nie robiła.

– Może obierzesz jabłka, a ja pomogę Tamarze z ziemniakami? – zaproponowała Nina.

Sylwia przytaknęła ochoczo. Jak to się dzieje, że ona właściwie jest chętna do pracy, a jednocześnie nigdy niczego nie robi z własnej inicjatywy?

– Mogę zadać ci parę pytań? – Nina czuła się trochę dziwnie, mówiąc po imieniu do dorosłej osoby, ale pani Celina podkreślała, że tak właśnie powinni zwracać się do Sylwii i Remigiusza. Oni są przyzwyczajeni, powiedziała.

Kolejne kiwnięcie.

– Jesteś stąd? Znaczą, urodziłaś się w Markotach?

– Tak.

– A, hmm, gdzie mieszkacie? Ty i twój brat?

– Różnie. Tu i tam. U ludzi.

– U ludzi?

– No. Ludzie nas trzymają i dają jeść. My pracujemy.

– A co robicie?

– Pilnujemy.

Pilnujemy? Nina, która spodziewała się dość oczywistej odpowiedzi: „Pomagamy w gospodarstwie”, nieco się zdziwiła.

– Czego?

– Wszystkiego. – Wargi kobiety uniosły się, odsłaniając zęby. Sylwia reagowała tak na widok Jacka, a także na wszystkich, którzy nieostrożnie obchodzili się z zastawą czy próbowali wynieść coś z kuchni bez pozwolenia. Niedawno Nina była świadkiem, jak Elizie spadł na podłogę spodeczek. Nie stłukł się ani nawet nie wyszczerbił, jednak Sylwia od razu poderwała się z krzesła z miną,

jakby miała zamiar dziewczynę udusić.

Dziwaczna kobieta.

– A, hmm – o co by tu jeszcze zapytać – od dawna mieszkasz w klasztorze?

Pomagałaś pani Celinie tu sprzątać?

– Robiłam wszystko, co trzeba. Ja i Remigiusz.

– To znaczy, że musicie nieźle znać klasztor. Byłaś może... – Tamara rzuciła

Ninie ostrzegawcze spojrzenie, ale rozpędzona dziewczyna nie mogła się po-

wstrzymać – ...w piwniczce na wino?

– Tam jest anioł. Zamknięty.

Nina ze zdumieniem pokręciła głową. Co jak co, ale tego się nie spodziewa-

ła. I pomyśleć, że rozwiązanie zagadki piwnicy było tak blisko – tylko że niko-

mu nie przyszło do głowy porozmawiać z Sylwią.

– Widziałaś go?

– Nie, czułam.

– Czowałaś?

– On śmierdzi strachem. Wszyscy tu śmierdzą strachem.

Nina spojrzała na Tamarę, która wymownym gestem narysowała kółko na

czole. Szaleństwo się udziela, jej wargi ułożyły się w bezgłośne słowa.

– Czemu tam siedzi? Kto go zamknął? Kim on w ogóle jest? – Nina natych-

miast zarzuciła Sylwię pytaniami, okazało się jednak, że kobieta niczego więcej

nie wie.

Kiedy zupa gotowała się już w trzech wielkich garach, a obok bulgotał kom-

pot, Tamara poszła do sypialni, po czym wróciła z książką. Zwinęła się na krze-

śle przy stole i pogрузyła w lekturze, demonstrując najwyższą obojętność wo-

bec wszystkich kapuśniaków świata. Nina miała ochotę zrobić to samo, ale poczucie obowiązku nie pozwalało jej spuszczać z oczu pieca.

Musiała przyznać, że mimo niechęci do gotowania jest z siebie jednak trochę dumna. Wcześniej tylko pomagała mamie, a teraz proszę – udało jej się pokierować Tamarą oraz Sylwią i przygotować cały obiad. Zupa, na ile można to było ocenić, smakowała dobrze i było jej dokładnie tyle, ile trzeba. Chyba. Ale o to martwić się będzie ewentualnie później.

Uspokojona w kwestii jedzenia, zerknęła na tytuł czytanej przez koleżankę książki. Tajemniczy przeciwnik, pewnie znowu jakiś kryminal. Tamara przywiozła ich chyba z pięć, a może nawet więcej, wszystkie potwornie wymiętoszone, z plamami po jedzeniu i pozaginanymi rogami. Nina przeczytała do tej pory Studium w szkarłacie, Błękitny Express oraz Hotel na wybrzeżu i zaczynała powoli rozumieć, o co chodzi w pracy detektywa.

Ciekawe, czy ona sama też by tak umiała?

Problem w tym, że Sherlock Holmes czy Herkules Poirot mieli łatwiej. Po pierwsze, nie byli trzynastolatkami, których nikt nie traktował poważnie. Po drugie, dedukowali na podstawie konkretnych dowodów: plam wosku, śladów błota czy resztek popiołu. Nina nie miała niczego takiego, w klasztorze działy się dziwne rzeczy, ale to wszystko było tak bardzo ulotne. Może Staszek naprawdę wrócił do domu, a Tymek zgubił się gdzieś w lesie? Nina nie ufała już nawet własnej pamięci: czy ślady w Diabelskim Kręgu rzeczywiście prowadziły tylko w jedną stronę? A nocne słowa Małgosi? Możliwe przecież, że dziewczynka jedynie mamrotała coś przez sen, a wystraszona Nina wyobraziła sobie, że bezsensowny bełkot ma złowieszcze znaczenie. Nawet kamień zaznaczający

granicę Diabelskiego Kręgu wcale żadnym dowodem nie był, bo ktoś go mógł przesunąć albo po prostu przez nieuwagę kopnąć.

Poza tym były jeszcze bezustannie gasnące światła – najpierw tylko w klasztorze, a teraz też w miasteczku, fakt, że Nina i Jacek nie potrafili znaleźć drogi do domu Lewickich, dziwne obrazy Maury czy osobliwe zachowanie Remigiusza i Sylwii... Pojedynczo każdą z tych zagadek dawało się łatwo wyjaśnić, ale wszystkie razem składały się na mocno niepokojące wrażenie, że w klasztorze dzieje się coś złego.

Z irytacją potrząsnęła kasztanową czupryną. Za każdym razem, kiedy już była czegoś pewna (na przykład że Staszek wcale nie wrócił do domu albo że pani Celina nie poszła na milicję), zdarzało się coś, co tę pewność niszczyło, sprawiając jednocześnie, że Nina znowu wychodziła na dziewczynę o zbyt bujnej wyobraźni – taką, która z nudów wymyśla niestworzone rzeczy.

Może naprawdę wymyślała?

Nie, stwierdziła w duchu, to nie moja wyobraźnia. Wciąż jednak brakowało jej konkretnego, namacalnego dowodu. Do tej pory wszystko to, co mogłoby za dowód uchodzić, albo z czasem zniknęło (jak ślady w Diabelskim Kręgu), albo też oparte było na niepewnej pamięci Niny (jak słowa Małgosi). Jedynie zamknięty w piwnicy stuknięty anioł nie zamierzał zniknąć i niewątpliwie był konkretny oraz namacalny. Jak na gust Niny nawet za bardzo.

I znów powracały pytania, na które bardzo chciała znać odpowiedź. Kim był okaleczony anioł? Czemu zamknięto go w piwnicy i kto go zamknął? Pani Celina? Azkiel? Może skrzydlaci pokłócili się o coś, ale jeśli tak, to o co? Co mogło być tak ważne, że jedna ze stron konfliktu skończyła uwięziona w lochu?

Potarła palcami siniaki wokół nadgarstków. Przemknęło jej przez głowę, czy nie warto do piwnicy wrócić – anioł, stuknięty czy nie, mógł sporo wiedzieć o tym, co dzieje się w klasztorze. Stchórzyła jednak. Na samą myśl, że miałaby znów spojrzeć w tę straszną twarz, robiło jej się niedobrze, a skrzydlaty nawet za kratami wydawał się groźny.

Wróć, jak się dowiesz, co oznacza biały pył na butach.

Co to miało znaczyć? I czy anioł naprawdę był niebezpieczny? Sylwia twierdziła przecież, że „on śmierdzi strachem”.

Że wszyscy tu śmierdzą strachem.

Nina westchnęła, tym razem na tyle głośno, że Tamara podniosła wzrok znad czytanej książki.

– Coś nie tak?

– Trzeba wynieść kompot do ogrodu, żeby się przestudził. – Dziewczyna rozsądnie uznała, że jeśli skupi się na przyziemnych sprawach, może nie będzie się tak bardzo bać. Ta metoda działała, aczkolwiek z każdą godziną coraz słabiej.

– Jasne, zaraz ci pomogę.

Godzinę później do klasztoru zaczęły ściągać pierwsze grupki poszukiwaczy i już po ich twarzach Nina z daleka rozpoznawała, że nie natrafili na żaden ślad Tymka. Stojącej przy oknie dziewczynie ścisnęło się serce. Co innego spodziewać się, że chłopaka nie znajdą – bo przecież tego właśnie się spodziewała – a co innego na własne oczy zobaczyć te ponure i zniechęcone miny. Gdy w klasztorze znalazła się ostatnia para, czyli Mariusz i Artur, którzy w milczeniu pokręcili głowami, Nina omal się nie rozplakała.

Obiad zaczął się w posępnej atmosferze – wszyscy zrozumieli, że stało się coś nieodwracalnego i tragicznego. Nikt już chyba nie wierzył, że kiedykolwiek uda się znaleźć Tymka. Stopniowo jednak pod wpływem ciepła i dobrego jedzenia humory młodzieży polepszyły się. Chłopcy opowiadali o niebezpieczeństwach, na jakie byli narażeni podczas poszukiwań, dziewczyny z większą skromnością dawały do zrozumienia, że one też wykazały się odwagą, przechodząc przez rwące potoki czy zaglądając do ciemnych i wilgotnych jaskiń. Nina słuchała tego wszystkiego ze spuszczoną głową. Jej nastroju nie poprawił nawet fakt, że zupa była smaczna i starczyło dla wszystkich. Po raz kolejny miała wrażenie, że tak naprawdę na Tymku zależało tu tylko Małgosi, inni, jeśli czegoś żałowali, to jedynie tego, że nie okazali się Wybrańcami. Dla ścisłości, Nina musiała uczciwie przyznać, że też nie była do chłopca jakoś szczególnie przywiązana (rozmawiali ze sobą wszystkiego chyba ze trzy razy), ale ona przynajmniej bała się tego, co zniknięcie Tymka mogło oznaczać, i dlatego całe to przechwalanie się przy stole budziło w niej bezsilną złość. Oni wszyscy są głupi, myślała, w milczeniu mieszając łyżką kapuśniak, podniecają się tym, że ktoś tam wpadł po kolana w wodę, widział dzika albo podarł sobie spodnie na przewróconym drzewie, a nie dostrzegają, że w klasztorze dzieje się coś złego. Czemu są tak ślepi? Nina z irytacją potrząsnęła głową. Nawet Jacek i Tamara chwilowo ją opuścili, bo rozentuzjasmowany chłopak licytował się z Arturem (Pajaki? Ja mało nie nadepnąłem na zmiję!), a Tamara była zbyt beztroska, żeby czymkolwiek się przejmować.

Po obiedzie pani Celina znowu złamała swój zwyczaj nierzucania się w oczy i wyjechała samochodem wraz z Remigiuszem. Wróciła w porze podwieczorku,



przywożąc wielkie pudło ciastek. Na ich widok Nina poczuła, jak złość wraca – jakby słodczyce miały sprawić, że zapomną o Tymku. O tym, że chłopiec albo leży gdzieś ranny i z każdą mijającą godziną ma coraz mniejsze szanse na przeżycie, albo już jest martwy... albo, albo stało się z nim coś tak strasznego, że nawet nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Ciastko, kochanie? – Pani Celina zachęcającym gestem podsunęła Ninie pudło.

– Nie mam ochoty. – Dziewczyna zacisnęła usta i spojrzała wyzywająco.

Mnie tym nie kupisz, pomyślała. Jednak w miarę jak słodczy ubywało, z każdą chwilą coraz bardziej żałowała decyzji. Ciastka wyglądały naprawdę pysznie, szczególnie te z kruchym spodem, górą kremu i jagodami. Dokładnie takie najbardziej lubiła.

Wreszcie Nina, czując się jak paskudna zdrajczyni, zjadła ostatnie ciastko.

Było bardzo słodkie i rosło jej w ustach, jakby usiłowała przełknąć kopiastrą łyżkę cukru. Najpierw poczuła lekkie mdłości, a potem zachciało jej się płakać.

Pani Celina patrzyła na nią ze współczuciem, i to było jeszcze gorsze.

Po podwieczorku przeszli do pokoju z kominkiem, gdzie czekała następna

niespodzianka, a mianowicie radio, duże i w kształcie podobne do pękatej szafki. Ciekawe, czy pani Celina pojechała po nie aż do Gdańska? Bo przecież

w Markotach chyba czegoś takiego by nie kupiła? Młodzież natychmiast stłoczyła się wokół drewnianego pudła, a Nina, nadal z ponuro zaciśniętymi ustami,

usiadła w fotelu przy świeżo wstawionej szybie. Pogoda na zewnątrz nie zmieniła się od rana, wciąż było wietrznie i pochmurno, jakby zaraz miało za-

cząć padać. Nina, która jeszcze przed chwilą rozważała wyprawę do Markotów,

teraz uznała, że lepiej będzie, jak zostanie w klasztorze. Pani Celina ostrzegała przed deszczem, a choć dziewczyna była prawie pewna, że niebezpieczeństwo kryje się w ogrodzie, a nie na drodze do miasteczka, to... no cóż, była to tylko PRAWIE pewność. Nina wołała w czasie słoty mieć dach nad głową.

Pani Celina próbowała złapać jakąś stację, ale z urządzenia płynęły tylko dziwaczne, wysokie dźwięki brzmiące tak, jakby ktoś torturował chomika.

– Nie rozumiem – mruzczała kobieta. – Radio jest zupełnie nowe, powinno działać...

Kilku chłopców zaproponowało, że oni spróbują coś z tym zrobić, ale drewniane pudło najwyraźniej uparło się przy swoim i niezależnie od kręcenia gałkami, pukania w obudowę, a nawet grzebania w mechanizmie wydobywało z siebie wciąż te same denerwujące piski.

Pani Celina poddała się po chwili i powiodła zakłopotanym wzrokiem po twarzach zawiedzionej młodzieży.

– Przepraszam – powiedziała. – Może jutro uda mi się je wymienić...

Światło nad jej głową zgasło, a Nina ni stąd, ni zowąd pomyślała: Świat się zmienia. Może fakt, że urządzenia elektryczne się psują, był pierwszą oznaką tej zmiany.

Wobec braku radia pani Celina przyniosła i rozdała gry planszowe oraz talie kart. O dziwo, nikt nie protestował i nie próbował wymknąć się z pokoju z kominikiem. Nina, Tamara i Jacek zajęli miejsce niedaleko okna. Najpierw grali w bierki, potem w pokera na zapałki. W bierki nieodmiennie wygrywał chłopak, który ze zręcznością prestidigitatora wyciągał trójzęby z samego dołu stosu, a poker był żywiołem Tamary, która blefowała bez mrugnięcia okiem. W ich

towarzystwie Nina czuła się jak ostatni nieudacznik. Czy ona naprawdę nie potrafiła niczego innego, jak tylko wymyślać niestworzone rzeczy?

Tamara zgarnęła kolejną porcję zapalek, spojrzała na zegar, a potem na Ninę.

– Za chwilę musimy się zbierać. Z podwieczorkiem nam się upiekło, ale kolację trzeba zrobić.

– Ja też chyba będę musiał iść – westchnął Jacek. – Pani Celina poprosiła mnie i Adama, żebyśmy pozbierali rzeczy Tymka i zanieśli je do jej pokoju.

– Ciebie i Adama? – Tamara uniosła brwi. Adam siedział niedaleko, jak zawsze sam i jak zawsze z wielkim tomem poezji na kolach. Dziewczyna najwyraźniej nie przejmowała się, że może ją usłyszeć. – Od kiedy jesteście w takiej komitywie?

– On nie jest najgorszy – zakłopotał się Jacek. Najwyraźniej nie śpieszyło mu się, żeby spełnić polecenie opiekunki, i Niny to nie dziwiło. Wyobraziła sobie pakowanie walizki Tymka, a później wynoszenie jej z sypialni. Było w tym coś ostatecznego, znak, że chłopak nie należy już do ich grona i nigdy tu nie wróci. Zostanie po nim tylko puste, równo zaścielone łóżko. Ciekawe, czy patrząc na nie wieczorem, chłopcy będą myśleć o zaginionym koledze?

Nina przełknęła ślinę, w oczach znowu stanęły jej łzy.

Ale przecież trzeba to zrobić, prawda? To jak pozbywanie się rzeczy kogoś, kto umarł...

Zgarbiona patrzyła na rozrzucone obok kart bierki. Trójzęb, harpun, bosak.

Ludzie przeczesujący bosakami dno jeziora w poszukiwaniu ciała.

Wróc, jak się dowiesz, co oznacza biały pył na butach.

Wyprostowała się, oczy jej zabłyśły.

– Musimy wyjść do ogrodu – powiedziała.

– Teraz? – zdziwiła się Tamara. – A co z kolacją?

– Do diabła z kolacją.

– To mi się zaczyna podobać. – Starsza dziewczyna wyszczerzyła zęby. – Jacek, idziesz z nami? Nie wiem, co Nina knuje, ale sądząc po jej minie, może to być coś ciekawego.

– A jak będzie padać? Przecież mamy wtedy nie wychodzić.

– Zbiera się na deszcz od rana i jeśli do tej pory nie zaczęło padać, to już nie zacznie – oznajmiła Nina i na chwilę udało się jej przekonać nawet samą siebie.

Wymknęli się z pokoju (na szczęście zajęta lekturą opasłego romansu pani Celina nie zwróciła na nich uwagi), a potem wyszli do ogrodu. Nina spojrzała na ciężkie od deszczu chmury, których brzegi płonęły purpurą zachodzącego słońca. Rozkołysane wiatrem jezioro miało ciemną, niemal czarną barwę i tylko w jasnych grzywach fal odbijały się czerwone refleksy, jakby ktoś dodał do wody odrobinę krwi. Było chłodno, prawie już jesienno. Niosące wilgoć podmuchy strącały z drzew pierwsze liście, a w powietrzu wisiała zapowiedź kolejnej ulewy.

– Idziemy do Diabelskiego Kręgu? – próbowała zgadnąć Tamara.

– W drugą stronę. – Nina zapięła sweter. – Do zrujnowanego skrzydła.

Wiem, co oznacza biały pył na butach.

Starsza dziewczyna uniosła brwi, ale na szczęście tym razem nie wspomniała nic o szaleństwie, które się udziela. Potrząsnęła tylko głową i krzyknęła na

wiatr, a szum fal i szelest liści zagłuszyły jej głos.

Nina poprowadziła przyjaciół w miejsce, gdzie przed kilkoma dniami siedziała na szczątkach zawalonej wieży i rozmyślała. Tamara rozejrzała się, podczas gdy Jacek, najwyraźniej się popisując, skakał po gruzowisku i uciekał przed falami.

– Co chcesz znaleźć? – zapytała starsza dziewczyna. – Ludzie z miasteczka przeszukali już jezioro w tym miejscu.

– Tak, ale oni szukali c... ciała. – Nina zająknęła się. Okropnie było mówić tak o Tymku. Nagle to, że prawie chłopaka nie знаła, przestało mieć znaczenie i znowu musiała walczyć z napływającymi do oczu łzami. To było takie... potwornie niesprawiedliwe.

Odetchnęła i udało jej się opanować.

– My będziemy szukać czegoś mniejszego i twardszego – dodała. – Nawet jeśli ludzie z miasteczka zahaczyli o to bosakiem, mogli pomyśleć, że trafili na zwykły kamień.

– Aha, a co to takiego?

– Bagaż Staszka – wyjaśniła cierpliwie. – Jeśli naprawdę ktoś... albo coś... zabrało chłopaka, a pani Celina chciała to przed nami ukryć, trzeba było coś zrobić z jego bagażem. Nie uwierzylibyśmy, że wrócił do domu, gdyby w sypialni została walizka. A Adam był tu tego ranka, kiedy zniknął Staszek. Za-uważałam, że miał buty i nogawki całe uwalane białym pyłem, ale nie wiedziałam wtedy, co to znaczy. Teraz myślę, że pani Celina kazała Adamowi ukryć gdzieś walizkę Staszka, a on ją wziął i utopił w jeziorze. Z tej strony, bo zdawał sobie sprawę, że tu nie będzie się nikt kąpał.

– To ma sens. – Jacek, którego wreszcie dopadła jedna z fal, zrezygnował z zabawy i podszedł do dziewczyn. Mokre buty zostawiały ślady wyraźnie odcisnięte w białym pyłe. – Tylko jak my tę walizkę znajdziemy? Musielibyśmy chyba zanurkować... – Spojrzał na jezioro, a potem z powrotem na Tamarę i Ninę, po czym energicznie pokiwał głową. – Ja mogę to zrobić, jeśli chcecie. Pływam już bardzo dobrze.

– Będziemy się zmieniać – orzekła rozsądnie Tamara. – W zimnej wodzie nikt z nas nie wytrzyma długo.

Ruszyli do klasztoru po kostiumy kąpielowe. Nina w duchu żywiła nadzieję, że nim przyjdzie jej kolej, Tamara albo Jacek znajdą walizkę. Wchodzenie do zimnego jeziora było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła. No, może nie ostatnią, jeszcze niżej na liście było spotkanie z aniołem z piwnicy. Powiedzmy więc, że prawie ostatnią.

Dziewczyny zastawiły krzesłem drzwi pustej o tej porze sypialni i zaczęły się przebierać. Nina na kostium kąpielowy włożyła sukienkę, a Tamara spodnie i bluzkę, obie wzięły też ciepłe swetry. Bieliznę Nina wepchnęła do torby z rzeczami do prania, po czym schyliła się, żeby wyjąć z walizki ręcznik. Gdy się prostowała, jej wzrok padł na leżący na łóżku, pożyczony od Tamary kryminał. Spomiędzy stron wystawała kartka białego papieru.

Nina, która była prawie pewna, że niczego takiego do książki nie wkładała, podniosła ją i otworzyła. W środku był list.

Anonimowy list, napisany zgodnie z wszelkimi regułami drukowanymi, koślawymi literami, które wyglądały, jakby nadawca, chcąc jeszcze bardziej ukryć charakter pisma, trzymał pióro w lewej ręce.

JESLI NIE CHCESZ SKOŃCZYĆ JAK STASZEK I TYMEK, TRZYMAJ SIĘ Z DAŁA  
OD DIABELSKIEGO KRĘGU O ŚWICIE, ZMIERZCHU I W CZASIE DESZCZU.

– Co tam masz? – Tamara z ciekawością zajrzała Ninie przez ramię. – O cholera... Kto to napisał?

– Nie mam pojęcia. – Nina potrząsnęła głową.

– To jest ostrzeżenie czy groźba?

– Nie wiem...

– Miejmy nadzieję, że to pierwsze. To by znaczyło, że masz tu kogoś, kto się o ciebie martwi.

Nina przypomniała sobie, jak stała na granicy Diabelskiego Kręgu. Miała wtedy wrażenie, że ktoś ją obserwuje, ale kiedy się odwróciła, nikogo nie było.

– Jeśli tak, to czemu po prostu mi o tym nie powiedział?

– Może jest nieśmiały? – Tamara zaśmiała się. – Taki cichy wielbiciel.

Nieprzekonana dziewczyna włożyła kartkę z powrotem do książki, a książkę na wszelki wypadek schowała do walizki. Zastanawiała się, czy list nie mógłby być dowodem, że w klasztorze jednak dzieje się coś złego, ale chyba nie – gdyby pokazała go pani Celinie, opiekunka powiedziałaaby pewnie, że ktoś stroi sobie z Niny brzydkie żarty.

Wróciły nad brzeg jeziora, gdzie czekał już na nie Jacek. Kiedy Nina opowiedziała mu o anonimie, oczy chłopaka natychmiast rozbłysły.

– Możemy porównać charakter pisma i dowiedzieć się, kto go napisał. Nawet jak ktoś używa drukowanych liter, da się to chyba poznać?

– Tu nie ma raczej wielu okazji do pisania – zwróciła mu uwagę Nina. – Mu-

siałbyś podchodzić po kolei do każdego i prosić go, żeby napisał na kartce parę słów, a to by wyglądało podejrzenie.

– Coś wymyślimy. – Jacek niezmiennie tryskał optymizmem i energią. – Na przykład zabawę w kończenie wierszy. Wiecie, jedna osoba pisze na kartce pierwszą linijkę, druga drugą i tak dalej. Jak namówimy panią Celinę, to ona zmusi wszystkich pozostałych.

– Walizka – przypomniała Tamara.

– A tak, jasne. – Jacek rozebrał się do spodenek kąpielowych. Na ramionach miał gęsią skórkę, ale dzielnie wszedł do wody i po chwili zakryła go toń jeziora. Dziewczyny przykucnęły na brzegu, wpatrując się z niepokojem w miejsce, gdzie zniknął. Fale były coraz większe, wiatr ciskał im w twarze krople wody. Nina zdążyła pomyśleć, że może powinny opasać Jacka liną, żeby w razie czego mogły go wyciągnąć, kiedy chłopak wynurzył się, parskając jak foka.

– Na dole niewiele widać, muszę macać rękami – oznajmił. – Ale chyba nic prócz gruzu tam nie ma.

– Może poszukamy jutro, jak będzie jaśniej... – Nina przeniosła wzrok na wyglądający zza chmur półokrąg czerwonego słońca, które powoli zbliżało się do linii horyzontu.

– E, teraz nie ma sensu przerywać. I tak już jestem mokry. – Jacek znowu zniknął pod wodą. Dziewczyny czekały na niego, przesuwając się od czasu do czasu wzdłuż brzegu. Ninę znów opadły wątpliwości. Może nie miała racji, może żadnej walizki tu nie było. Ciekawe, czy Jacek i Tamara bardzo się wściekną, kiedy okaże się, że kazała im marznąć na próżno?

Dziesięć minut później Tamara zmieniła zsiniałego Jacka. Chłopak wycierał



się, szcękając zębami, a Nina patrzyła w ciemną toń wzburzonego jeziora. Za

chwilę przyjdzie jej kolej. Musiała przyznać, że obleciał ją strach, nie tylko z powodu zimna, ale też tego, co mogło znajdować się pod wodą.

Jak daleko było do zmierzchu?

Tamara wynurzyła się, przetarła oczy i wysmarkała nos.

– Jest walizka – powiedziała. – Chyba.

– Umiesz ją wyciągnąć? – ożywiła się Nina, a Jacek doskoczył do brzegu na jednej nodze, bo na drugą właśnie wciągał nogawkę spodni.

– Nie bardzo. Ktoś przywiązał do niej kamień, a ja nie potrafię tego cholera stwa rozplątać. Tam rzeczywiście mało co widać.

– Może wystarczy przeciąć sznurek? – zaproponował Jacek. – Kto ma nóż?

Nikt nie miał.

– Noże są w kuchni – powiedziała z powątpiewaniem Nina. – Ale jak ja tam wejść, to będę musiała już zostać i zabrać się do kolacji.

– A mnie Sylwia wyrzuci – uzupełnił Jacek. – Za każdym razem na mój widok wygląda tak, jakby miała zacząć gryźć.

Wydawało się więc, że noże chwilowo przynajmniej są niedostępne.

– Mam pomysł. – Jacek wciągał przez głowę golf i przez chwilę jego głos brzmiał głucho, stłumiony grubym materiałem. – Tamara przywiąże do walizki nasz własny sznurek, a potem wyciągniemy całość na brzeg. Wicie, i walizkę, i kamień, i co tam jest. W trójkę damy radę.

Nina pobiegła po sznurek. Nie musiała szukać, w ogrodzie pomiędzy drzewami rozciągnięta była cienka linka, na której w pogodne dni wieszano się pranie.

Chwilę trwało, zanim, klnąc na swoje krótkie paznokcie, rozplątała zasupłane wokół gałęzi węzły. Gdy wróciła, zanurzona do pasa w wodzie Tamara podska-

kiwała energicznie.

– Ej, nie chlap. – Nina cofnęła się pół kroku.

– Zimno jak cholera – burknęła starsza dziewczyna. – Chcesz się zamienić?

– Nie, dzięki. – Nina na wszelki wypadek cofnęła się jeszcze trochę. – Świetnie sobie radzisz, naprawdę.

Ściskając w ręku jeden koniec sznurka, Tamara zniknęła pod wodą. Nie miałyby sensu się zamieniać, skoro wystarczy tylko ten sznurek przywiązać, Nina usprawiedliwiała się sama przed sobą.

– Jest. – Tamara wyszła na brzeg. Nina natychmiast podała jej ręcznik i dygocząca z zimna dziewczyna owinęła się nim szczelnie. Ponad materiałem wystawał tylko czubek nosa i oczy, w których było widać... strach?

Co tak ją przeraziło?

Nina nie miała czasu, żeby nad tym się zastanowić, bo Tamara zawiązała ręcznik pod szyją, po czym wskazała leżący na trawie koniec sznurka.

– Dobra, ciągniemy.

– Na raz, dwa, trzy – powiedział Jacek. – Raz, dwa, trzy!

Szarpnęli wszyscy razem. Cokolwiek znajdowało się w wodzie było ciężkie, jakby próbowali wyciągnąć na powierzchnię zdechłego wieloryba. Na czole Jacek pulsowała żyła, Tamara poczerwieniała niczym burak. Nina czuła, jak cienka linka wrzyna jej się w dłoń. Zacisnęła zęby.

– Jeszcze raz! Już chyba to mamy!

Woda zakotłowała się, jakby coś wielkiego podpłynęło pod powierzchnię.

Już-już mieli to zobaczyć, kiedy fala wielkości owczarka bryznęła pianą

w twarz Niny. Dziewczyna odruchowo puściła linkę, by przetrzeć oczy, a Jacek

i Tamara sami nie potrafili utrzymać ciężaru wyciąganego CZEGOŚ. COŚ opadło z powrotem na dno.

– Niech to szlag – powiedziała z filozoficznym spokojem Tamara.

– Przepraszam – wymamrotała Nina. – Może zostawimy to do jutra?

Nie kierowało nią tylko współczucie dla zziębniętej, wciąż jeszcze ubranej w mokry kostium kąpielowy Tamary. Tak naprawdę bała się tego, co znajdują w jeziorze. Niedawno marzyła o konkretnym dowodzie, a teraz, kiedy prawie miała go w rękach, ogarnął ją strach. Wolałaby pożyć jeszcze trochę w nieświadomości.

Lecz Tamara i Jacek wcale jej nie słuchali.

– Zaraz to wyciągniemy, tylko dajcie mi się przebrać – powiedziała starsza dziewczyna, po czym dodała, marszcząc brwi: – Myślicie, że jak zdejmę kostium i włożę spodnie na goły tyłek, to będzie w porządku?

Jacek i Nina czekali, podczas gdy Tamara przebierała się za krzakiem róż.

Nie odeszła daleko – nie musiała, bo wieczorny mrok zgęstniał już na tyle, że z odległości kilkunastu kroków niczego nie było widać. Nina z niepokojem obserwowała zapadający zmierzch. Powinni być teraz w środku, w klasztorze. Palić kolację, za którą pewnie nieźle im się oberwie, ale pani Celina ostrzegła ich przecież, żeby wracali przed zmrokiem.

Kolejna fala liznęła stopy Niny. Woda była czarna jak diabelska smoła, tylko przez środek biegł wysrebrzony księżycem pas. O dziwo, chmury z nieba zniknęły, choć wiatr wciąż dał jak wściekły, szarpiąc długie włosy Niny. Odsunęła się od brzegu z mocno bijącym sercem. Co takiego wystraszyło w jeziorze Tamara?

Dziewczyna wróciła w wyraźnie lepszym humorze.

– Dobra, ciągniemy jeszcze raz. Tylko się pośpieszmy, bo zaczynam być po-  
rządnie głodna. Myślicie, że ktoś za nas zrobił tę kolację, czy ciągle czekają, aż  
my przyjdziemy?

Nina i Jacek nie odpowiedzieli, skupieni na wysiłku. Nina zapała się nogami  
w ziemię, linka znów wrzynała się w delikatną skórę dłoni. Tym razem jej nie  
puszczę, myślała uparcie. Nie puszczę cię, cholero jedna. Nawet o tym nie  
myśl.

Na powierzchnię powoli wynurzył się kłęb, w którym dopiero po chwili rozpo-  
znała walizkę połączoną z solidnych rozmiarów kamieniem. Jedno przywiązane  
było do drugiego kilkumetrowym sznurkiem, tak że całość wyglądała jak oplą-  
tana pajęczą siecią. Wszystkim zrzędył miny.

– Jak my to rozwiążemy? – Jacek pokręcił głową.

Rozwiązali wreszcie, posługując się częściowo zębami, a częściowo paznok-  
ciami, jednak nim zdolali oddzielić kamień od walizki, zrobiło się całkiem ciem-  
no.

Chłopak wrzucił kamień z powrotem do wody, a walizkę podniósł.

– Chodźmy do klasztoru. Tu i tak już nic nie widać.

Nie dbając o odpowiedź, pognął przodem. Nina poczekała, aż trochę się od-  
dali, po czym chwyciła Tamarę za łokieć.

– Widziałaś coś pod wodą, prawda? Coś, co cię wystraszyło?

– Niczego nie widziałam – burknęła starsza dziewczyna.

– Co tam było? – nalegała Nina. – Maura mówiła...

– Maura miała nierówno pod sufitem – ucięła Tamara.

W jednym z nieużywanych pomieszczeń otworzyli walizkę. Jacek pochylił się nad nią ze świecą – ubrania w środku śmierdziały mułem i zaczynały gnić, ale można było jeszcze rozpoznać ślady dawnych jaskrawych barw.

Tylko Staszek nosił tak kolorowe ciuchy.

– Co teraz? – zapytała Nina. W blasku świecy widziała twarze Tamary i Jacek, obie blade, z niepewnymi minami. Pomyślała, że chyba nie tylko ona wołałaby, żeby nigdy tego bagażu nie znaleźli.

– No, teraz pani Celina będzie musiała nam parę rzeczy wyjaśnić... – powiedziała wolno Tamara, wciąż wpatrując się w zawartość walizki.

– Pójdiesz do niej? – zapytała Nina z nadzieją, ale ku jej rozczarowaniu przyjaciółka pokręciła głową.

– To był twój pomysł, więc ty idź. – Zamknęła walizkę i podała ją Ninie, która odruchowo chwyciła śliską i mokrą rączkę w dotyku podobną do ślimaka.

Obrzydliwość. W dodatku gdy tylko to zrobiła, poczuła, że po pierwsze, woda z walizki ścieka jej na nowe pończochy, a po drugie, teraz już nie ma innego wyjścia, jak tylko pójść do pani Celiny.

– Ale pani Celina pewnie będzie już ze wszystkimi w jadalni... – spróbowała jeszcze, choć bez większego przekonania.

– Tym lepiej – zdecydowała Tamara. – Jak zapytasz przy wszystkich, co znaczy ta walizka, nie będzie cię mogła zbyć byle czym. Dasz radę, mała. – Poklepała Ninę po plecach. – Jakby coś, będziemy za tobą, ale to przedstawienie należy do ciebie.

I tak pięć minut później Nina wkroczyła do jadalni, w ręku trzymając bagaż, z którego wciąż kapła woda. Wszystkie oczy momentalnie skierowały się na

nią. Dziewczyna zatrzymała się w milczeniu. Na stole stała już kolacja: odgrzane resztki zupy z obiadu i kopiaste talerze kanapek z wojskową konserwą.

Nina, która bardzo nie chciała myśleć, co za chwilę ją czeka, skupiła się na drobiazgach – na przykład na tym, że jedzenie zawdzięczają niewątpliwie zapobiegliwej Elizie i że pani Celina ma bardzo niezadowoloną minę.

Stojąca z tyłu Tamara trąciła Ninę łokciem.

Raz kozie śmierć, pomyślała dziewczyna i zanim strach na dobre zdążył odebrać jej zdolność ruchu, rzuciła gnijącą walizkę na stół.

Rozdział siódmy, w którym wszyscy padają ofiarą czarów, a Nina oskarża anioła i ucieka w noc.

No proszę, kto by pomyślał, że masz takie wyczucie dramatyizmu – zachichotała Tamara pół godziny później, kiedy siedzieli w pokoju z kominkiem. Sylwia przyniosła tacę z kubkami kakao i teraz młodzież popijała gorący napój, nasłuchując wyjącego za oknem wiatru.

– Dramatyzm – parsknęła Eliza. – Też coś. Cały obrus upaprała jakimś świństwem. Jutro go będzie prać.

– W porządku, wypiorę obrus – zgodziła się Nina pokornie. Jeszcze przed chwilą w jej stronę sypał się grad pytań, a teraz w pokoju z kominkiem zapadła cisza. Dziewczyna skuliła się w fotelu. Dlaczego oni tak na nią patrzą?

– Chcę do domu. – Małgosia wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać. – Boję się.

Eliza objęła ją opiekuńczym gestem, a Lidka spojrzała na Ninę. Zarumieniona z gniewu dziewczyna, jeśli to w ogóle było możliwe, zdawała się jeszcze piękniejsza, nie zmieniał tego nawet bandaż wciąż obwiązany wokół głowy.

– Widzisz, co narobiłaś? Przez ciebie dziecko się boi.

– Pani Celina powiedziała, że anioł zaraz przyjdzie i wszystko nam wyjaśni. –

Jacek próbował załagodzić sytuację, ale nikt go nie słuchał.

– Mój ojciec pasem by ze mnie skórę zdarł, jakbym przy kolacji zrobił coś takiego. – Flip spojrzał na Ninę, a potem przeniósł wzrok na Flapa. – Nie, Mariusz? Co o tym myślisz?

– Porządne lanie jeszcze nikomu nie zaszkodziło. – Zwalisty chłopak błyskawicznie połapał się, co powinien odpowiedzieć. Może wcale nie był taki tępy, jak się mogło zdawać.

– To jak, dołożymy jej? – Artur wyszczerzył zęby. – Mamy chwilę, zanim Azkiel się zjawi. Możemy potem powiedzieć, że potknęła się na schodach. Co wy na to? Nie zrobimy jej dużej krzywdy, tylko trochę uszkodzimy.

Brzmiało to jak głupi żart, jednak zmrużone oczy chłopaka pełne były złości.

Na szczęście nikt nie kwapił się, żeby podjąć wyzwanie.

– Wolelibyście nic nie wiedzieć? – Nina spróbowała się zbuntować, ale Adam zaraz warknął pogardliwie:

– Wolelibyśmy, żebyś następnym razem pomyślała, zanim coś zrobisz.

Hela gorliwie pokiwała głową, jej bliźniaczka posłała Ninie pełne wyrzutu spojrzenie, a Eliza podsumowała:

– Rozpuszczony bachor z ciebie i tyle. Od początku nic tylko wymyślasz bzdury.

– Znalazłam walizkę Staszka w jeziorze, to mają być bzdury? Jak to wyjaśnisz?

– Niczego nie muszę wyjaśniać. To głupoty. Po prostu głupoty i tyle! – W gło-

sie Elizy zabrzmiała nuta hysterii. – Poczekamy na anioła, a on się z twoimi pomysłami rozprawi.

– Pomódlmy się – zaproponowała Lidka. – Za Ninę i jej nieśmiertelną duszę.

Żeby Bóg uwolnił ją od wpływów szatana.

Nina spojrzała na Jacka, ale chłopak odwrócił wzrok. On też miał nadzieję, że skrzydlaty wytłumaczy obecność bagażu w jeziorze i znów wszystko będzie dobrze? Tak, chyba tak... A Tamara, zamiast pomóc przyjaciółce, obserwowała całe zamieszanie z wyraźną ciekawością.

Nina poczuła się strasznie samotna. Zwinęła się w fotelu w jeszcze mniejszy kłębek, słuchając odmawianego przez Lidkę, Adama, bliźniaczki i Elizę różańca.

Nie rozplaczę się, powtarzała w myślach. Nie rozplaczę się.

Dopiero po chwili odważyła się rozejrzeć. Artur gapił się, jakby w wyobraźni wizualizował sobie obraz Niny, z której drą pasy, a do twarzy Mariusza przyłgał głupkowaty uśmieszek, lecz pozostali nie mieli odwagi spojrzeć jej w oczy. Nina czuła promieniującą od nich niechęć zmieszaną z wyraźną niepewnością i jeszcze bardziej wyrazistym lękiem. Głos modlącej się Heli załamał się po chwili i dziewczyna wybuchła płaczem. Zaraz zawtórowała jej Małgosia, a ręce Karoliny drżały, gdy próbowała uspokoić siostrę bliźniaczkę. Jednak się boją, pomyślała Nina z satysfakcją. Nawet agresja Artura wydawała się mocno podszyta lękiem.

Dziewczyna rozkoszowała się przez chwilę wizją samej siebie w roli Kasandry, której przepowiednie wreszcie się ziściły. Eliza przepraszająca Ninę za to, że nazwała jej pomysły „bzdurami”, Artur i Mariusz przybiegający, żeby prosić o radę. „Pomóż nam, proszę. Tylko ty zauważyłaś, że w klasztorze dzieje się



coś złego, my byliśmy ślepi i za głupi, żeby to widzieć”. Adam przyznający, że jest zapatrzonym w czubek własnego nosa idiotą i lizusem...

Nina poruszyła się niespokojnie w fotelu. A co, jeśli oni NAPRAWDĘ będą prosić ją o radę i pytać, co teraz mają zrobić? Przecież ona nie miała zielonego pojęcia, jak się z całej tej sytuacji wyplątać! Nic poza ewentualnym powrotem do domu nie przychodziło jej do głowy. Co gorsza, jeśli nie mogą ufać Azkielowi, jeśli anioł nie jest po ich stronie... Nina bała się o tym myśleć. Jak sobie poradzić z tak potężnym przeciwnikiem? Jak w ogóle można przeciwstawić się wysłannikowi Boga? Powiedzmy, że skrzydlaty wejdzie tu w tej chwili i powie, że wszystko jest w porządku, a oni powinni iść spać. Co wtedy? Nina była pewna, że większość młodzieży grzecznie uda się do łóżek i nie będzie zadawać żadnych pytań.

Ze zdenerwowania rozboleł ją brzuch. W pamięci wciąż miała gwałtownie pobladłą twarz pani Celiny, która wpatruje się w leżącą na stole walizkę. A potem jej dziwnie spokojny, wyprany z emocji głos.

– Idźcie do pokoju z kominkiem i zaczekajcie tam na mnie i na Azkiela. On wszystko wam wyjaśni. Sylwia posprząta po kolacji, a potem przyniesie wam kakao.

Wychodząc, rzuciła Ninie spojrzenie pełne bólu i smutku. Nina starała się myśleć o kłamstwach, jakimi pani Celina ich karmiła, ale przed oczami wciąż miała to właśnie spojrzenie i czuła się przez nie tak strasznie, paskudnie winna, jakby uderzyła małego kotka.

Gdy stojący na kominku zegar wybił jedenastą, do pokoju wszedł Azkiel. Za nim cicho wsunęła się pani Celina, która stanęła z boku. Żarówka nad głowami

młodzieży znów zamrugała, zgasła, po czym rozjaśniła się na powrót.

– Zapalmy może świece – zaproponował skrzydlaty swobodnym tonem. –

Tak będzie lepiej. Nigdy nie ufałem elektryczności.

Adam i Jacek zakrzętnęli się i już po chwili cały pokój oświetlały wyłącznie ciepłozłote płomienie świec oraz padający z kominka purpurowy blask. W innych okolicznościach wyglądałoby to bardzo ładnie, ale teraz ruchliwe cienie podkreślały tylko malujący się na twarzach lęk.

Azkiel nie przejmował się tym w najmniejszym stopniu. Usiadł w fotelu, który gorliwie zwolnił dla niego Adam, i rozejrzał się. Jego wzrok na chwilę zatrzymał się na Ninie, a dziewczyna spróbowała odpowiedzieć hardym spojrzeniem – ale to ona pierwsza odwróciła głowę.

Co ja wyprawiam? – jęknęła w duchu, zdjeta nagłym przerażeniem. Naprawdę podejrzewam anioła o to, że chce nas skrzywdzić?

– Pani Celina opowiedziała mi, co się stało – oznajmił skrzydlaty. – Cóż, może to i dobrze. Prędzej czy później musielibyście poznać całą prawdę. Przyznaję, na samym początku waszego pobytu postanowiliśmy z panią Celiną, że w miarę naszych możliwości będziemy utrzymywać was w nieświadomości. Uznaliśmy, że jesteście zbyt młodzi, aby obciążać was taką wiedzą. Ale jesteście też przecież kandydatami na Wybrańców, powinno więc starczyć wam odwagi, żeby znieść to, co teraz powiem.

Nina wstrzymała oddech. Wiatr na zewnątrz umilkł, jakby nawet on nasłuchiwał.

– Wasza koleżanka ma rację – oznajmił Azkiel. – Staszek nie wrócił do domu, a Tymek nie utonął w jeziorze ani nie zgubił się w lesie. Obaj zostali po-

rwani.

Nina usłyszała krótki, urwany szloch – tym razem chyba Karoliny. Poza tym w pokoju panowała cisza jak w kościele podczas podniesienia.

– Stracili ufność w Boga i pozwolili, by diabeł zdobył do nich dostęp. A Zły wykorzystał okazję i zabrał nie tylko ich dusze, ale też ciała. Jest tu od kilku dni. Krąży wokół, starając się dopaść Wybrańca, bo się go boi, rozumiecie?

Diabeł wie, że Wybraniec może go pokonać i dlatego chce rozprawić się z nim jak najszybciej, zanim Wybraniec pojmie, jak wielką mocą dysponuje. Dlatego obawiam się, że Staszka i Tymka straciliśmy na zawsze. Przysięgam jednak, że nikt więcej nie dostanie się w szpony Złego, jeśli tylko będziecie ufać Bogu.

Wtedy diabeł pozbawiony jest siły i nie może tknąć was nawet końcem palca.

Możecie śmiać mu się prosto w twarz, a on będzie tylko bezsilnie przeklinał.

Wyobrazacie to sobie?

Odpowiedziało mu kilka niepewnych uśmiechów, a Nina raz jeszcze jęknęła w duchu. Bardzo, bardzo chciała wierzyć Azkielowi, ale problem w tym, że nie wierzyła i zamiast ufności czuła tylko strach, który oblepiał ją jak zimne, oślizłe błoto. Rozejrzała się i z ulgą dostrzegła, że jednak nie jest sama. Karolina miała wątpliwości wypisane na twarzy, Małgosia i Hela wciąż chlifały, a Tamara patrzyła na skrzydlatego sceptycznie.

– A teraz podejdźcie do mnie po kolei, abym mógł wam użyczyć mojej siły.

Kto pierwszy?

Adam zerwał się z podłogi i podszedł do anioła, który chwycił chłopaka za rękę i spojrzał mu w oczy. Po chwili pupilek pani Celine wrócił na swoje miejsce wyraźnie uspokojony i pewniejszy siebie.

Po nim przyszła kolej na Małgosię, potem na bliźniaczki, Elizę, Artura, Mariusza, Lidkę, Tamarę i Jacka. Za każdym razem wyglądało to tak samo. Azkiel chwycił chłopaka czy dziewczynę za ręce i ścisnął je mocno; twarze tak potraktowanych krzywiły się, ale zaraz miejsce bólu zajmowała ulga. Odchodzili pozbawieni wątpliwości oraz strachu, szczęśliwi i pewni, że nic im w klasztorze nie grozi. Tylko skrzydlaty wyglądał na coraz bardziej wyczerpanego, pod koniec widać było, że z trudem zmusza się do uniesienia rąk.

Nie chcę, pomyślała Nina, patrząc na radosną, spokojną Tamarę. Nie pójdę do niego.

Została już tylko ona i wzrok Azkiela nieuchronnie zatrzymał się na jej twarzy.

– Nino? Teraz ty, proszę.

– Nie trzeba, naprawdę. Ufam Bogu, więc nic mi nie grozi...

– Nino, podejdź tu.

Nie znalazła żadnego argumentu, który pozwoliłby jej odmówić, podniosła się więc i podeszła do anioła. Miała wrażenie, że do każdej stopy uwiązano jej kilogramowe ciężarki, zimny błotnisty strach wciąż oblepiał ją tak, że nie słyszała ani nie widziała niczego – tylko Azkiela, który patrzył na nią jak hipnotyzujący ptaka wąż.

Wszystko mi jedno, powtarzała w myślach.

Uklękła przed aniołem i podała mu dłonie. Myślała, że nie będzie miał siły (wyglądał bardzo źle, gdyby był człowiekiem, spływałby chyba potem), lecz on złapał ją za ręce i ścisnął, jakby chciał zmiażdżyć kości. Zupełnie jak skrzydlaty w piwnicy, przemknęło Ninie przez myśl. Już miała krzyknąć, kiedy Azkiel ją puścił.

Odsunęła się, masując nadgarstki.

Anioł uśmiechnął się.

– Teraz lepiej, prawda? Obiecujecie, że nie straciecie ufności w Boga?

– Obiecujemy – odpowiedział mu chór głosów. Przyłączyli się do niego wszyscy, nawet Tamara i Jacek. Ich zdrada zabolęła Ninę najbardziej, lecz jednocześnie niespodziewanie dodało jej to odwagi.

– Jak możecie mu wierzyć? – wybuchnęła. – Przecież on was okłamuje! Od początku was oszukują, on i pani Celina chcą, żebyśmy tu wszyscy po kolei zginęli! Skończymy jak Staszek i Tymek! To coś pożre nas, tak...

– Dość tego. – Pani Celina chwyciła ją za ramię i ścisnęła. Anioł przyglądał się Ninie z ciekawością i zmarszczonymi brwiami. – Chodź, zaprowadzę cię do mojego pokoju. Musisz trochę ochłonać.

– Pomogę pani. – Adam zerwał się z podłogi i złapał dziewczynę z drugiej strony. Wrzasnęła i wyrwała się, ale w tym momencie wpadła wprost na Mariusza, który ją unieruchomił. Ramiona chłopaka przypominały dwie żelazne sztaby, jakby dostała się w imadło. Nina nie miała szans.

– Lepiej ja to załatwię, proszę pani. – Bez najmniejszego trudu podniósł wierzgającą dziewczynę i wyniósł z pokoju. Pani Celina i Adam podążyli za nimi.

W sypialni opiekunki Mariusz puścił Ninę, po czym potoczył wokół dumnym wzrokiem.

– Mówiłem, że jestem bardzo silny?

– Tak, Mariuszu, dziękuję ci za pomoc. – Pani Celina uśmiechnęła się. – A ty, Nino, zostaniesz tutaj, póki się nie uspokoisz.

– Lepiej zamknąć ją na klucz – dodał Adam. Nina popatrzyła na niego morderczym wzrokiem. Gdyby był tu tylko on oraz pani Celina, być może zdołałaby uciec, ale niestety, od drzwi dzieliła ją zwalista sylwetka osiłka Flapa.

– Racja. – Pani Celina dotknęła policzka Niny. O dziwo, na jej twarzy malowała się szczerza troska, ale dziewczyna i tak odsunęła się, jakby po jej skórze spacerował pająk. – Wiem, że teraz nie zdajesz sobie z tego sprawy, kochanie, ale niedługo zrozumiesz, że robię to dla twojego dobra. Będę niedaleko, w pokoju anioła, a ty spróbuj się uspokoić i odpocząć trochę.

Gestem wyprosiła obu chłopców, po czym wyjęła z zamka klucz. Ona naprawdę zamierzała Ninę tu zamknąć.

– Nie! Nie może pani tego zrobić! – krzyknęła dziewczyna. – Proszę! Błagam. Rzuciła się do drzwi, lecz było za późno – klucz zgrzytał już w zamku po drugiej stronie.

Nina została uwięziona.

Natychmiast zaczęła czuć, że brakuje jej tlenu. Pokój wcale nie był ciasny, lecz sama świadomość, że nie może z niego wyjść, sprawiła, że dziewczyna wpadła w panikę. Podbiegła do okna i otworzyła je na oścież, łapczywie wciągając w płuca zimne, wilgotne powietrze. Lepiej, trochę lepiej.

Nina wybuchnęła płaczem, łzy na jej twarzy mieszały się z kroplami deszczu, który padał do pokoju. Dlaczego życie jest takie niesprawiedliwe? Dlaczego? I czemu wszyscy są tak głupi, nawet Tamara i Jacek dali się nabrać aniołowi, a teraz tu umrą, umrą, umrą...

Ze złości kopnęła ścianę. Raz i jeszcze raz. O dziwo, pomogło bardziej niż płacz, Nina już po kilku minutach uspokoiła się na tyle, że mogła jaśniej my-

śleć.

Czy istniał jakiś sposób, żeby wydostać się z tego pomieszczenia?

Wsunęła głowę pod kurtynę deszczu i spojrzała w dół. Niestety, niżej był tylko gładki mur. Kilkanaście metrów gładkiego, klasztornego muru, bez gzymsu, na którym można by postawić stopy, bez rynny, po której dałoby się zejść.

Nina przez chwilę rozważała podarcie prześcieradła na pasy i związanie ich w linę, ale stchórzyła. W powieściach przygodowych ta metoda zawsze działała, dziewczyna jednak nie była pewna, czy to samo sprawdzi się w prawdziwym życiu. Co gdyby węzły nie wytrzymały albo prześcieradło się podarło? Cienkie płótno nie wydawało się przystosowane do utrzymania czterdziestu kilo. A jeśli Nina spadnie, w najlepszym razie połamie sobie nogi.

Gdzieś z daleka dobiegł cichy pomruk grzmotu, nad jeziorem łysnęła błyskawica. Kolejna burza, jeszcze tylko tego brakowało. Jacek, który przeczytał chyba wszystko, co możliwe na temat Markotów, mówił, że to w tej okolicy normalne. Jakiś nietypowy układ terenu sprawiał, że burze zdarzały się tu zdecydowanie częściej niż w innych rejonach kraju, zwłaszcza pod koniec lata. Jak teraz.

Rozcierając zziębnięte ramiona, Nina cofnęła się od okna i kucnęła przy kominku, w którym tlił się żar. Dorzuciła kilka szczap i poruszała pogrzebaczem, aż płomień wystrzelił w górę, a drewno zajęło się ogniem. Dym palonej gruszy miał zapach jesiennego ogniska, takiego z pieczonymi ziemniakami i kiełbaskami. Dziewczyna obiad ledwo tknęła, potem zapchała żołądek ciastkiem, a kolacji nawet nie miała okazji zjeść. Nie była jednak głodna. Czuła, jak pokój kurczy się za jej plecami. NAPRAWDĘ to czuła, niemal widziała ściany prze-

suwające się, by zamknąć Ninę w pułapce. Bliżej i jeszcze bliżej. Ciężar kamiennych bloków lada moment ją zmiażdży, w płucach zabraknie powietrza... Podeszła do okna, odetchnęła kilka razy głęboko, po czym wróciła na środek pokoju i rozejrzała się. Umieszczone nad kominkiem lustro ukazywało jej własną twarz – bladą, z mokrymi włosami lepiącymi się do policzków i zapuchniętymi od płaczu oczami. Ale była też w tych oczach determinacja, która Ninie się spodobała. Zmieniłam się, pomyślała. Jeszcze przed tygodniem w takiej sytuacji pewnie zwinęłaby się w kłębie i zajęła płaczem, a teraz proszę – rozważa szanse ucieczki.

Otwarte okno przywracało jej poczucie bezpieczeństwa. Nina nie potrafiła go zamknąć, choć trzęsła się z zimna.

Kręciła się przez jakiś czas po pokoju, lecz nie znalazła nic interesującego.

Na toaletce leżały kobiece drobiazgi: pędzel ze śladami pudru, szminka, cienie do powiek... Ciekawe, po co pani Celinie to wszystko, przecież w tej głuszy nie musi się chyba malować? Na krześle wisiał zwiewny szal, pod łóżko opiekunka wsunęła sandałki ze śladami błota. W sypialni unosił się delikatny zapach kwiatowych perfum, których nie zdołała stłumić woń płonącego w kominku drewna.

Do szafy nie zaglądała – od dzieciństwa uczono ją, że grzebanie w cudzych rzeczach jest bardzo niegrzeczne i teraz nie potrafiła się przemóc. Zerknęła tylko do górnej szuflady biurka, gdzie leżał znajomy klucz. Wzięła go i schowała do kieszeni spódnicy. Jeśli uda jej się stąd wydostać, zejdzie do piwnicy i powie oszpeconemu aniołowi, że wie, co oznacza biały pył na butach. Nie bała się już, bo coraz silniej podejrzewała, że uwięziony wcale szalony nie jest.

Trzeba było jeszcze tylko znaleźć sposób na ucieczkę.



Nina podeszła do drzwi i obejrzała je dokładnie. Były solidne, z dębowego drewna. Klucz oczywiście tkwił w zamku od zewnątrz. W książce, którą niedawno czytała, główna bohaterka wysunęła gazetę przez szparę pod drzwiami, wypchnęła klucz, który spadł na gazetę, a potem wciągnęła go do środka. Jednak Nina nie miała gazety, a co gorsza, pod drzwiami nie było szpary. Widocznie sposoby dobre w przygodowych powieściach niekoniecznie sprawdzały się w życiu.

Zastanowiła się, czy jeśli zacznie wołać, ktoś ją usłyszy i przyjdzie uwolnić. Na kogo mogłaby liczyć? Na Tamarę? Jacka? Oni byli zaczarowani przez anioła i pewnie już spali. Jeśli zacznie wrzeszczeć, prędzej przybiegnie tu pani Celina, która każe dziewczynie się uspokoić.

Nina czuła, że znowu zbiera jej się na płacz. Najbardziej bolało wspomnienie Jacka i Tamary, których uważała już za przyjaciół. Nie będę o tym myśleć, postanowiła. Teraz musiała skupić się na wydostaniu się z pokoju.

Mogłaby zacząć krzyczeć, a potem powiedzieć pani Celinie, że musi iść do ubikacji. Wtedy chyba ją wypuszczą, prawda? Po drodze znalazłaby sposób, żeby uciec.

Pomruk burzy zabrzmiał znacznie bliżej, ciemność za oknem zapłonęła ja-skrawobłękitnym światłem błyskawicy.

Czy anioły przez przypadek wybrały jedno z najbardziej burzliwych miejsc w Polsce? Nina wątpiła w to. Co z kolei oznaczało, że całe to gadanie o pierwszych chrześcijańskich ziemiach też było kłamstwem.

Spróbowała sobie przypomnieć, co wie ze szkoły o chrystianizacji Polski. Nie było to łatwe, Nina, co prawda, lubiła historię, jednak ograniczoną niemal wy-

łącznie do historii kultury – wiedziała, jak w dawnych czasach ludzie się ubierali, co jedli i jakie mieli zwyczaje, ale daty i wydarzenia polityczne jakoś nigdy nie chciały trzymać się jej głowy. W dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku był chrzest Polski, tyle pamiętała, potem powstało pierwsze biskupstwo w Gnieźnie. Trochę daleko od miejsca, gdzie teraz się znajdowali.

A jeśli anioł skłamał, mówiąc o chrześcijańskich ziemiach, jeśli tak naprawdę guzik go obchodziło, czy dawniej byli tu poganie, czy nie, to może wcale nie był aniołem?

Od tej myśli Ninie aż zakręciło się w głowie. Skuliła się. Przez chwilę miała wrażenie, że niebo zaraz się otworzy i trafi ją piorun rozwścieczonego Boga. Czekwała, mijały straszne, pełne napięcia sekundy. Jedna, druga, trzecia.

Może powinna paść na kolana i błagać o wybaczenie...

Lecz myśl, która raz przyszła jej do głowy, nie pozwalała się tak łatwo stamtąd wyrzucić. I nic przerażającego się nie stało. Choć burza szalała wokół, Nina w klasztorze była bezpieczna.

Po chwili pozwoliła sobie odetchnąć z ulgą.

Już wcześniej powinna zauważyć, że coś jest nie tak. Dziś była niedziela, a anioł nawet nie wspomniał o pójściu do kościoła. No dobrze, to jeszcze można było zrozumieć, może w niebie do kościoła się nie chodziło. Albo zapomniał o tym w zamieszaniu, tak jak zapomniała pani Celina i jej podopieczni. Lecz skrzydlaci używali słowa magia, co było już podejrzane. Bóg i święci czynili cuda, a nie posługiwali się magią, czary zarezerwowane były dla szatana i pogańskich istot, które według słów księży były kimś w rodzaju pomniejszych diabłów.

Jeśli jednak anioły nie są aniołami, to kim? Nina czuła, jak z każdą chwilą robi jej się coraz zimniej. Chodziła tam i z powrotem, by chociaż trochę rozgrzać zlodowaciałe ciało – i przez cały czas starała się nie tracić z oczu okna na dłużej niż kilka sekund. To było nie w porządku, miała przecież tylko trzynaście lat. Ktoś powinien tu być, najlepiej dorosły, który powiedziałby jej, co robić i uratowałby ją, Tamarę oraz Jacka. Ktoś, komu mogłaby zaufać. Jednak nie było nikogo.

Tylko skrzydlaty w piwnicy.

Był zamknięty, co oznaczało prawdopodobnie, że z jakiegoś powodu popadł w konflikt z panią Celiną i Azkielem – a to mogło uczynić go sojusznikiem Niny. Burza przybierała na sile, wiatr wpadał do wnętrza pokoju i jęcząc, napierał na zamkniętą połówkę okna, a błyskawice raz po raz rozjaśniały błękitem ciemność. Przez zalaną deszczem szybę nic nie było widać. Nina zamknęła oczy, wsłuchując się w ryk wichury i szum fal ciskanych na kamienisty brzeg. Jak wczoraj, gdy nagle okno się otworzyło. Otworzyło się, ponieważ Nina tego chciała?

Deszcz był niebezpieczny, bo wtedy ożywał Diabelski Krąg, ale kiedy padało – a zwłaszcza w czasie burzy – mogły dziać się także inne rzeczy, prawda? Niekoniecznie złe. Na przykład mogła działać magia. Nina przypomniała sobie Małgosię uparcie twierdzącą, że jest Wybrańcem i potrafi czarować. Co jeśli wcale nie zmyślała? Może czary udawały się w czasie deszczu, ale kiedy dziewczynka chciała się nimi popisać później, ulewa akurat ustała i dlatego nic z tego nie wyszło.

Chcę, żeby drzwi się otworzyły, myślała Nina. Chcę, żeby się otworzyły.

Wyobraziła sobie klucz przekręcający się w zamku. Teraz powoli się obraca.

Ale klucz ani drgnął.

Zirytowana z sapnięciem usiadła na łóżku. Co jest grane? Przecież była tak pewna swojej teorii...

Jeszcze raz.

Chcę, żeby drzwi się otworzyły. Chcę, żeby...

Czuła moc przechodzącej nad klasztorem burzy. Mogłaby przysiąc, że to właśnie to – powietrze było inne, naelektryzowane i jakby gęstsze, magia mrowiała w końcach palców. Nina skupiła się na myśli o drzwiach, wszystko inne przestało się liczyć.

Otworzyły się z hukiem jak wcześniej okno, a siła czaru omal nie wyrwała ich z futryny. Dziewczyna porwała z szafki świecę, zapaliła ją i wypadła na ciemny korytarz. Czy hałas kogoś zaalarmował? Jeśli tak, nie miała wiele czasu.

Nie mogła się jednak powstrzymać i raz jeszcze odwróciła głowę, rzucając spojrzenie na drzwi, ledwo już widoczne w mroku. O rany, pomyślała, naprawdę mi się udało. Może ja jednak jestem Wybrańcem? A wcześniej okazałam się jedyną osobą, na którą czar anioła nie zadziałał... Czy to właśnie jest wytłumaczenie?

Nie chciała w to wierzyć, teraz przede wszystkim dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu Lidki. Nina pragnęła, żeby okno się otworzyło, a Lidka zapłaciła za to paskudną blizną. Jeśli tak miała wyglądać moc Wybrańca, to dziewczyna

nie była pewna, czy jej chce.

Klasztor był pograżony we śnie, pod wysokim kamiennym sklepieniem rozbrzmiewał tylko stukot butów schodzącej po schodach Niny. Było zbyt ciemno,

żeby biec. Jedną rękę przesuwała po poręczu, w drugiej trzymała świecę. Płomień roztaczał ciepłozłoty krąg światła, za którym panowała nieprzenikniona czerń. Dziewczyna starała się stąpać jak najciszej, ale w starych murach każdy krok brzmiał niczym wystrzał armatni. Po namyśle zatrzymała się, postawiła świecę na stopniu i zdjęła buty – teraz, co prawda, posadzka ziębiła ją w stopy, ale przynajmniej mniejsze było ryzyko, że pobudzi wszystkich wokół.

Na palcach przemknęła obok ciemnej i milczącej sypialni dziewcząt. Przyszło jej do głowy, czy nie wejść do środka i nie obudzić Tamary, ale wiedziała, że to kiepski pomysł. Anielski czar pewnie wciąż działał.

Gdy Nina znalazła się przed drzwiami piwnicy, świeca w jej ręku zadrżała i gorąca kropla wosku kapnęła na dłoń. Dziewczynie się wydawało, że już się nie boi anioła, ale to nie była prawda. Na myśl o wyłaniającej się z mroku przerażającej twarzy wciąż cierpła jej skóra.

Trudno, pomyślała, zaciskając usta. Skoro dotarła do tego miejsca, trzeba było iść dalej. Poza tym co innego miałyby zrobić? Oszpecony anioł był jedyną istotą w promieniu kilku kilometrów, której mogła obecnie zaufać.

Być może.

Wsunęła klucz w zamek i przekręciła ostrożnie. Drzwi otworzyły się i Nina weszła w piwniczny, wilgotny mrok, w którym wciąż unosił się zapach wina.

– Czy już wiesz, co oznacza biały pył na butach? – dobiegł ją z dołu cichy głos.

– Wiem. – Zatrzymała się przed anielską celą. Skrzydlaty stał przy kracie, światło świecy wydobywało z mroku szpetotę jego twarzy. Nina wzdrygnęła się i kolejna kropla wosku spadła na jej rękę. Jak wcześniej, tak i teraz spróbo-

wała patrzeć wyłącznie na piękną połowę anielskiego oblicza. – Więc... więc...

Przez chwilę miała absurdalne wrażenie, że anioł powie głosem nauczycielki polskiego: „Nie zaczyna się zdania od więc”. Z jej ust wydobył się krótki, nerwowy chichot. Weź się w garść, upomniała samą siebie i odetchnęła, a potem opowiedziała o odnalezieniu walizki Staszka. Kiedy mówiła, coś ją tknęło.

– Skąd w ogóle wiedziałeś, że widziałam Adama? Zaraz, czekaj... – Nina przypomniała sobie scenę z wczorajszego dnia: oto stoi w piwnicy, a przez jej głowę przelatują wspomnienia różnych dziwnych rzeczy, które zauważyła w klasztorze. Czy pomyślała wtedy o pyle na butach Adama?

Tak, chyba tak.

Umiesz czytać w myślach, prawda?

Anioł zaśmiał się i odpowiedział:

– No proszę, jaka bystra jesteś.

– Wszyscy to potraficie? – zapytała Nina już na głos. Zdecydowanie wołała, gdy anioł nie odpowiadał na jej myśli, było to zbyt niesamowite wrażenie.

– Tylko niektórzy. Pozostali potrafią też inne ciekawe rzeczy.

– Na przykład przewidują przyszłość?

– W ograniczonym zakresie, owszem. Wiesz, co znaczy ograniczony zakres?

– Nie jestem głupia – parsknęła Nina.

– Nie, chyba rzeczywiście nie jesteś – zgodził się uprzejmie.

– Czemu cię tu zamknęli? Zrobiłeś im coś złego? Kim jesteś?

– Dużo pytań. – Skrzydlaty wzruszył ramionami. – Nie mogłabyś najpierw mnie wypuścić? Nie, zgaduję, że nie. Masz pewnie tylko klucz do piwnicy, ale nie do kraty. Przez tę kratę chłopak wsuwa mi jedzenie, wyobrażasz sobie?

Dobrze, że jem bardzo mało i nic ze mnie nie wylatuje drugą stroną, bo z wyniesieniem stąd wiadra byłby kłopot. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu w połowie uroczym, a w połowie paskudnym.

Nie wylatuje drugą stroną? – pomyślała Nina. A, znaczy, że nie musi chodzić do ubikacji. Praktyczne, jeśli siedzi się w lochu. Albo i niepraktyczne, zależy jak na to patrzeć. On nie mógłby uciekać metodą „straszenie chce mi się sikać”.

Nina przypomniała sobie, że skrzydlaty słyszy jej myśli, i czym prędzej skupiła się na czymś innym.

– Wypuszczę cię, jeśli tylko znajdę klucz, obiecuję. Ale najpierw powiedz, czemu cię tu zamknęli.

– Bo jestem przynętą.

– Przynętą? – Zmarszczyła brwi. – Na to, co wychodzi z Diabelskiego Kręgu?

Anioł skinął głową.

– Widzisz, mówiłem, że jesteś bystra.

– A... kim jesteś poza tym? Bo tak naprawdę nie aniołem, prawda?

– Nie. – Nina poczuła gwałtowny przypływ ulgi, ponieważ w głębi duszy wciąż bała się gniewu Boga. Gdyby skrzydlaci mimo wszystko okazali się prawdziwymi wysłannikami Niebios, nie wiedziałyby, co robić. – Ale ty i tak nie potrafiłabyś zrozumieć naszej prawdziwej natury.

– Czemu nie? Sam przecież przed chwilą powiedziałeś, że jestem bystra.

Nagle wzdrygnęła się nerwowo. Czy jej się zdawało, czy rzeczywiście skrzypnęły drzwi od piwnicy?

– Jesteśmy... – zaczął anioł.

– Ciii...

Tak, nie myliła się. Ktoś ostrożnie schodził po schodach. Serce momentalnie skoczyło jej do gardła i Nina poczuła się jak schwytana w pułapkę mysz. Rzuciła rozpaczliwe spojrzenie aniołowi, który wzruszył ramionami.

– Przypuszczałem, że długo sobie nie porozmawiamy. Taki widać mój los – dodał filozoficznie. – Nie żebym przepadał za małymi dziewczynkami, ale lepsze takie towarzystwo niż żadne. A teraz podejdź bliżej, bo mam ci coś ważnego do powiedzenia. Pośpiesz się, ona już po ciebie idzie.

– Ona?

– Celina, któżby inny? Wiedziałaś, że twoja opiekunka lubi sobie czasem wyobrazić, że jest chrześcijanką rzucaną na pożarcie lwom? Dobrze, nie? – Kłapnął zębami, aż Nina odsunęła się odruchowo. – Myślisz, że ja nadawałbym się na lwa?

– Nino? – zabrzmiał od strony schodów kobiecy głos. – Jesteś tu, prawda?

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytała Nina.

– Bliżej.

– Nnie...

– Och, nie mamroc pod nosem. Tamto to była konieczność, dręczenie małych dziewczynek nie należy do moich ulubionych rozrywek.

O dziwo, Nina uwierzyła i zapomniała nawet oburzyć się o tę małą dziewczynkę. Podeszła do kraty.

– Wiem, co ci chodzi po głowie – szepnął anioł. – Chcesz stąd wyjechać i wrócić do domu. Ale to nic nie da. Pułapka już się zatrzasnęła, Bestia odnajdzie cię, nawet jeśli uciekniesz na koniec świata. Jedyna szansa to zostać tutaj, gdzie jest Wybraniec. Tylko on może cię ochronić. Rozumiesz? Ucieczka ni-



czego nie zmieni.

Ciemność u wylotu korytarza pojaśniała. Odgłos kroków rozbrzmiewał coraz bliżej, Nina już czuła zapach kwiatowych perfum, już widziała smukłą sylwetkę w żółtej plamie blasku.

Zdmuchnęła świecę, przycisnęła plecy do szorstkiej ściany i wstrzymała oddech.

– Nino, nie utrudniaj tego, proszę. Wrócisz ze mną na górę i porozmawiamy rozsądnie, dobrze? Jesteś już dużą dziewczynką, nie powinnaś zachowywać się jak dziecko.

No proszę, z małej dziewczynki właśnie awansowałam na dużą, pomyślała Nina. Już za moment pani Celina znajdzie się przy celi anioła i oczywiście Ninę zauważy, tu nie było się gdzie ukryć. Za chwilę delikatna kobieca dłoń spadnie na jej ramię, zaciskając palce... Prawie to czuła. Czuła i wiedziała, że kiedy ten moment nastąpi, sparaliżuje ją bezruch, jakby była schwytanym w sidła królikiem.

– Chodź, kochanie, pora wracać. – Pani Celina wyciągnęła rękę.

A Nina, której jakimś cudem wcale nie sparaliżował bezruch, schyliła się i przemknęła pod jej ramieniem. Smukłe palce ześliznęły się po bluzce dziewczyny i nie zdążyły niczego chwycić. Biegła. Przez chwilę drogę oświetlała jej trzymana przez opiekunkę świeca, ale dalsza część piwnicy ginęła w ciemności. Wtedy zwolniła. Szła teraz z wyciągniętymi przed siebie rękami jak ślepiec. Za plecami usłyszała ciche „Och, do licha!” – najsilniejsze pewnie przekleństwo, na jakie potrafiła zdobyć się pani Celina.

Nina domyśliła się, że opiekunka musiała wykonać zbyt gwałtowny ruch i jej

świeca zgasła. A właściwie nie domyśliła się – w tej chwili nie bardzo miała czas na myślenie – po prostu przemknęło jej to przez głowę gdzieś pomiędzy:

„O rany, zaraz się o coś potknę” i „Gdzie te cholerne schody?”.

Widziała już drzwi – zawieszony wysoko w ciemności prostokąt jaskrawego blasku. Najwyraźniej na klasztornym korytarzu ktoś zapalił światło. Nina omal się nie przewróciła, kiedy jej stopa trafiła na pierwszy stopień. Ale dalej było łatwiej. Im wyżej wchodziła, tym schody były lepiej oświetlone, a dziewczyna przyspieszała. Wreszcie, zdyszana, wypadła na korytarz, rozejrzała się i wciąż biegnąc, skręciła w stronę nieużywanej części klasztoru.

Pędziła przed siebie bez żadnego planu, bez żadnej myśli – byle dalej od pani Celiny. Klasztor w jej wyobraźni zmieniał się w gotycki labirynt krętych korytarzy, gdzie od kamiennych murów odbijało się echo pośpiesznych kroków. Dziewczynie towarzyszył cień, wydłużony i dziwacznie chudy w żółtoszarym blasku zakurzonych żarówek. Czasem światło gasło i wtedy przystawała w ciemności, nasłuchując odgłosów pogoni. Jak na razie nie usłyszała nic prócz łomotu własnego serca i pulsowania krwi w skroniach, ale i tak wiedziała, że ją ścigają.

Dotarła do prawego skrzydła – miała teraz do wyboru wspiąć się schodami na piętro albo wejść do kaplicy.

Na piętrze mógł czekać anioł.

Nina wybrała kaplicę.

Ledwo zamknęła za sobą drzwi, gdy osunęła się na podłogę, objęła ramionami kolana i oparła na nich czoło. Myślała, że się rozplacze, ale łzy jakoś nie chciały przyjść, dziewczyna tylko trzęsła się cała – jeśli musiałaby wstać, chyba

nie dałaby rady tego zrobić.

Łzy wreszcie popłynęły i Nina łkała przez jakiś czas, kołysząc się jak przerażone dziecko. Wyobrażała sobie, że ktoś teraz do niej przychodzi, pociesza ją i zapewnia, że wszystko będzie dobrze. W książkach przygodowych tak to działało – zawsze kiedy bohater znajdował się w sytuacji, zdawałoby się, bez wyjścia, przybywał ktoś, kto mu pomagał. A dziewczyny miały się jeszcze lepiej, one tylko płakały albo mdlały, co wystarczyło, żeby jakiś dzielny i przystojny młodzieniec ruszył im na ratunek.

Nina przetarła oczy i wysmarkała nos w chusteczkę, która stanowczo domagała się zmiany na nową. Wyglądało na to, że nie ma co liczyć na pomoc przystojnego młodzieńca. Nieprzystojnego zresztą też. Co gorsza, zza drzwi dobiegał odgłos kroków i coraz wyraźniejsze, coraz bliższe nawoływania. Nadciągała pogoń.

Wstała, pokonawszy opór mięśni i wciąż niepewnie trzymając się na miękkich nogach, obrzuciła spojrzeniem drzwi. W zamku tkwił klucz.

Przekręciła go nie bez wysiłku, bo zamek trochę już zardzewiał. Ale dała radę. Potem cofnęła się i oparła plecami o ławkę. Kolana pod nią wciąż drżały.

Pani Celina szarpnęła klamkę, a kiedy drzwi ani drgnęły, zapukała.

– Jesteś tam? Bądź rozsądna, proszę cię. Co ty wyprawiasz, kochanie? Jeśli czegoś się boisz, możemy przecież o tym porozmawiać. No już, nie bądź głupią dziewczynką i otwórz.

Nina rozejrzała się. W kaplicy panował półmrok – wiszący pod sufitem kandelabr z brudnymi żarówkami zamiast świec dawał ledwo tyle światła, żeby zobaczyć ołtarz, konfesjonał i kilka pierwszych ławek. Posadzka pokryta była

grubą warstwą kurzu, w której widniały jeszcze ślady dziewczyny z poprzedniej wizyty. Nad ołtarzem wisiał krzyż. Chrystus twarz miał wykrzywioną w męce, a spod cierniowej korony płynęła krew, która w żółtoszarym, mętnym świetle wyglądała dziwnie realnie. Deszcz spływał po witrażowych szybach, a przez dziurę w jednej z nich wpadały zimne podmuchy wiatru.

– Nino, otwieraj albo zmuszona będę wyważyć drzwi!

Pani Celina naradzała się przez chwilę. Kto tam z nią był? Ninie wydawało się, że słyszy głos Mariusza. Czy chłopak był wystarczająco silny, żeby wyłamać drzwi?

Cofała się wzdłuż najbliższej ołtarza ławki, aż wreszcie jej plecy dotknęły przeciwległej ściany. Po lewej stronie miała teraz konfesjonał, a nad głową witrażowe okno z pękniętą szybą. Zimny wiatr szarpał jej włosy, na karku osiadały drobinki wilgoci. Ktoś załomotał w drzwi.

Muszę uciekać, pomyślała Nina. Jeśli nie ucieknę, ona znów zamknie mnie w pokoju, a tego nie zniosę.

Ale okna były tak wysoko...

Na szczęście prócz ławek w kaplicy znajdowały się także ustawione po bokach ołtarza krzesła. Nina przeniosła jedno z nich pod pękniętą szybę. Z krzesła wdrapała się na potwornie zakurzony daszek konfesjonału (miała przy tym nieprzyjemne uczucie popełnianego właśnie świętokradztwa), a stamtąd mogła już sięgnąć okna. Tu zasuwą była jeszcze bardziej zardzewiała niż zamek przy drzwiach, ale desperacja dodała Ninie sił i po chwili skrzydła witraża rozchyliły się jak płatki kolorowego kwiatu, wpuszczając do kaplicy deszcz.

Zadygotała pod wpływem chłodu, ulewa momentalnie zmoczyła jej twarz

i przód bluzki. Burza już chyba przeszła, ale wciąż lało jak z cebra. Dziewczyna patrzyła w pluskającą i szemrzącą za oknem ciemność. Zadrzała.

Łup, łup – dobijała się pani Celina. A może Mariusz? Tak, zdecydowanie Mariusz, bo solidne drewno trzeszczało pod naporem brutalnej siły. Jak długo drzwi zdołają wytrzymać?

Nina znalazła się właśnie między przysłowiową Scyllą a Charybdą. Z jednej strony deszcz i mrok, z drugiej perspektywa zamknięcia w pokoju.

Deszcz i ciemność nie są niebezpieczne same w sobie, pomyślała. To Diabelski Krąg jest groźny, kiedy pada. Jeśli go ominę, nic mi się nie stanie.

Pomyślała o ścianach, które zbliżają się z każdą chwilą coraz bardziej i bardziej. O okropnym uczuciu duszenia, kiedy człowiek desperacko wciąga w płuca resztki powietrza. Ninę ocaliło otwarte okno, możliwe jednak, że za drugim razem pani Celina zadba o to, by zaryglować okiennice.

Wyskoczyłam z jadącego pociągu, skok z kaplicy nie może być gorszy.

Zamknęła oczy i zanurkowała w mokrą noc.

Gdy wylądowała na prawej nodze, jej kostkę przeszła długa, rozgrzana igła bólu. Dziewczyna krzyknęła. Deszcz natychmiast przemoczył ją do suchej nitki, wstrętne zimne strumyki pociekły za kołnierz po ciepłej skórze pleców. Ostrożnie próbowała stanąć na prawej stopie – udało się, choć trochę jeszcze bolało.

Najpierw kuśtykała, ale potem zdołała pobiec w stronę klasztornej bramy.

W ogrodzie nie było tak ciemno, jak sądziła, mrok pojaśniał tu od padającego z okien światła. W elektrycznym blasku strugi deszczu połyskiwały metalicznie jak miliony cienkich drutów łączących niebo z ziemią, a rozświetlony klasztor przypominał bożonarodzeniową choinkę. Gdzieś w odległym zakątku umysłu

Niny pojawiło się pytanie, czy ta iluminacja nie obudziła aby chłopców i dziewcząt, a jeśli tak, to czy wszyscy teraz jej szukają? Nie miała jednak czasu ani chęci, żeby zastanawiać się nad takimi rzeczami.

Mijała właśnie Diabelski Krąg.

Nieodparty impuls kazał jej skrócić. Tylko zerknę z daleka, myślała, to przecież nie może zaszkodzić? Przypominało to ochotę, żeby dotykać końcem języka bolącego zęba albo drapać strup – Nina wiedziała, że nie powinna tego robić, cała się trzęsła z zimna i strachu, a jednak wciąż szła w stronę Kręgu. Widziała już uschnięte dęby, które odcinały się jeszcze głębszą czernią od mroku deszczowej nocy. I coś było pod nimi, jakaś postać, gruzłowata, poskręcana i kolczasta jak same drzewa, a jednak w przerażający sposób ludzka. Wyciągała przed siebie ramiona, jakby chciała zagarnąć w nie cały klasztor, palce miała cienkie i niesamowicie długie.

Nina potknęła się i przewróciła, zimne błoto oblepiło jej twarz. Wstała i wytarła się rękawem mokrej bluzki. Ten upadek otrzeźwił ją, toteż zawróciła i nie oglądając się więcej, pobiegła w stronę bramy. O tej porze była zamknięta, ale dziewczyna bez trudu wspięła się na kutą metalową kratę i zeskoczyła z drugiej strony. Za jej plecami wiatr poniosł wołanie:

– Nino, Nino wracaj!

Gnała w kierunku miasteczka. Potem zwolniła, kiedy zabrakło jej tchu, a w boku odezwała się kolka. Dopiero teraz naprawdę poczuła, jak bardzo jest zimno. Przeraźliwy chłód docierał w najgłębsze partie ciała, czuła go w sercu i w brzuchu, gdzie zamieniał wnętrzości w lodowate, poskręcane supełki. Szczękała zębami, kuląc się pod naporem ulewy. Mokre ubranie kleiło się

wstrętnie, oblepiając ją jak druga skóra.

Do miasteczka miała godzinę drogi.

Deszcz przechodził w mżawkę, a zza chmur od czasu od czasu wyglądał księżyc. Nie dawał wiele światła, ale przynajmniej tyle, żeby nie iść w całkowitej ciemności. Na początku Nina nie myślała o niczym, po prostu chciała oddalić się od klasztoru. Potem skupiła się na myśli o pani Stefanii. Ona była miła i na pewno nie odmówi pomocy.

Nina przyśpieszyła.

Ale przecież o tej porze Myśliwska będzie już zamknięta, prawda?

Dziewczyna zwolniła.

Która mogła być godzina? Minęła chyba północ, co oznaczało, że w miasteczku większość ludzi już spała. Czynna była może jakaś apteka czy otwarty do późna bar... I posterunek, oczywiście. Nina w tej chwili poszłaby nawet na milicję. Pani Celinie należała się kara za wszystko, co zrobiła, a milicjanci potrakują młodzież chyba łagodnie? Ostatecznie nie można winić nastolatków za to, że rodzice kazali im tu przyjechać.

Myśl o rodzicach odezwała się w żołądku Niny nieprzyjemnym skurczem. Jej ojciec i matka mogli pójść do więzienia za pomoc w ukrywaniu anioła. Lecz teraz dziewczyna była gotowa podjąć i takie ryzyko. Mama i tata rozumieją, że nie miałam innego wyjścia, tłumaczyła sobie.

Potrzebowała miejsca, gdzie mogłaby się ogrzać, wysuszyć i zjeść coś ciepłego, a potem przeczekać noc. Rano wszystko wyglądałoby lepiej, była tego pewna. Znalazłaby panią Stefanię i porozmawiała z nią szczerze, a ona już by coś wymyśliła.

Bestia odnajdzie cię, nawet jeśli uciekniesz na koniec świata. Jedyna szansa to zostać tutaj, gdzie jest Wybraniec.

Nina nie mogła wyjechać z Markotów.

I nie mogła zostać w klasztorze.

Nie będę o tym teraz myśleć, postanowiła twardo.

I kolejny problem: co, jeśli nie znajdzie żadnego miejsca, gdzie mogłaby przeczekać noc? Wtedy pozostałoby jej pukanie do drzwi obcych ludzi, z nadzieją, że ktoś otworzy i się nad nią zlituje. Mogłabym pójść na plebanię, pomyślała. Wiedziała, gdzie jest kościół, a ksiądz przecież nie odmówi pomocy mokrej, zmarzniętej i głodnej trzynastolatce.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

Skupiła się na wyobrażaniu sobie płonącego w kominku ognia, ciepła i suchych ubrań. Na grubym, włochatym kocu, w który mogłaby się zawinąć aż po czubek nosa, i kubku gorącej zupy w ręce. Myśl o tym wszystkim prawie znowu doprowadziła ją do płaczu. Przyśpieszyła jeszcze kroku, bo tylko tak mogła się rozgrzać. Ile już przeszła? W tej deszczowej nocy zupełnie traciła poczucie czasu i odległości. Ale przynajmniej nie mogła się zgubić, droga do miasteczka była prosta i wiodła cały czas wzdłuż brzegu jeziora. Nina słyszała huk fal rozbijających się o brzeg...

Dla ścisłości słyszała go jeszcze przed chwilą, ale teraz już nie.

Nagle przerażenie ścisnęło jej serce. Zatrzymała się i wytężyła słuch, ale jej uszu dobiegał tylko monotony plusk deszczu i szum wiatru w koronach drzew.

Nic więcej.

Zgubiłam się? Jakim cudem?



Skręciła w prawo, gdzie powinno być jezioro. Zaraz trafię na jeden z tych wielkich nadbrzeżnych kamieni, uspokajała się. Albo nawet wejdę do wody. Ale nic takiego się nie stało, Nina wpadła tylko na szorstki, mokry pień buka, który nagle wyrósł przed nią z ciemności.

Gdzie ja jestem?

Serce biło jej, jakby miało wyskoczyć z piersi, oczy rozszerzyły się w panice. Powoli, z oporami docierało do niej, że chyba rzeczywiście się zgubiła. Odetchnęła, starając się uspokoić i przypomnieć sobie, czy wiodący do miasteczka trakt skręcał gdzieś w którymś momencie. Kłopot w tym, że Nina nigdy nie zwracała na to uwagi... Pani Celina ani nikt z młodzieży nie wspominali, że jest tu jakaś inna droga, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Może przez przypadek weszła na ścieżkę wydeptaną przez drwali albo coś w tym rodzaju. Jeśli zawróci, trafi z powrotem nad jezioro, nie mogła przecież odejść daleko.

Odwróciła się i niemal natychmiast potknęła o wystający korzeń. Z trudem utrzymała równowagę. Droga w tym miejscu była wąska – o wiele węższa, niż powinna być. I te korzenie... Trakt do miasteczka, owszem, usiany był mniejszymi i większymi kamieniami, ale żadnych wystających korzeni tam nie widziała. Jakim cudem wcześniej nie zauważyła, że idzie w złą stronę? Nina posuwała się naprzód z wyciągniętymi przed siebie rękami, na wszelki wypadek, gdyby znowu miała się potknąć. Buty zapadały się w grząską ziemię, a szarpane wiatrem gałęzie od czasu do czasu biły ją po twarzy mokrymi liśćmi. Zahańczyła stopą o kolejny korzeń i tym razem nie dała rady utrzymać równowagi. Upadła na kolana, podpierając się rękami. Błoto było zimne, a wstrętne, drobne krople siekły jej kark, jakby na skórę spadało tysiąc małych ostrzy.

Krzyknęła:

– Na pomoc! Niech mi ktoś pomoże, proszę! Pomocy!

Nikt jednak jej nie usłyszał, a od tych wrzasków tylko ochrypła. Nie miała już nawet siły płakać. Wstała i ruszyła naprzód, zataczając się jak ślepiec, coraz bardziej spanikowana. Przypomniała sobie opowiadane przez chłopców historie o dzikach, wilkach i żmijach, które spotkali w czasie poszukiwań Tymka. Większość pewnie była zmyślona, ale część mogła być prawdziwa. Czy żmije wychodzą, kiedy pada? I jaskinia, Nina pamiętała, że przy stole ktoś wspominał o jaskini, do której wszedł, żeby sprawdzić, czy nie ma tam Tymka. Gdyby zdołała ją znaleźć, mogłaby schronić się przed deszczem i przeczekać jakoś do rana. Był sierpień przecież, w sierpniu nawet w zimne, mokre noce ludzie nie zamarzają.

Prawda?

Potknęła się, tym razem nie o korzeń, ale po prostu ze zmęczenia. Nogi coraz bardziej odmawiały jej posłuszeństwa. Kiedy upadła, nie potrafiła już wstać, zwinęła się tylko pod drzewem, kryjąc głowę w ramionach. Żałowała, że uciekła z klasztoru.

Lecz było za późno.

Kiedy uniosła twarz, miała wrażenie, że ciemność przed nią pojaśniała srebrem. Jakby cienkie teraz strugi deszczu zebrały się w jednym miejscu, tworząc istotę, której przezroczyste, wodne ciało odbijało słaby blask księżyca. Istota była wysoka i wiotka, a jej smukłe palce przypominały zrobione z lodu noże.

Duchy wyszły z drzew i zabrały Tymka.

– Halo? Kim jesteś? Proszę, nie rób mi krzywdy! Potrzebuję pomocy! Proszę!

Nina przed chwilą sądziła, że jest zbyt wyczerpana i przemarznięta, by jeszcze czegoś się bać. Ale teraz zmieniła zdanie. Ogarnął ją straszny, pierwotny lęk – to coś przed nią było gorsze niż zimno i błędzenie w ciemności po lesie. Było... tak bardzo obce.

I zbliżało się do niej.

Wstała, czepiając się drzewa. Chciała uciekać, ale istota była szybsza. Szybsza i zwinna niczym mknący po górskich kamieniach strumień, cała srebrzysta, jakby zrobiono ją z wody i metalu. Na swój sposób nawet piękna, z dziesiątkami ostrych zębów, które błyszczały w szeroko otwartych ustach.

Rozdział ósmy, w którym Nina wyjeżdża, a potem wraca, obrazy budzą jeszcze większy niepokój i poznajemy prawdę o Sławku.

Nina otworzyła oczy.

I zaraz je zamknęła.

Cofnęła się odruchowo, jej plecy trafiły na twardą skałę, a ręka na coś, co w dotyku przypominało drobne kości. Krzyknęła i skuliła się. Mokre, zimne ubranie wciąż lepiło się jej do skóry, ciałem wstrząsały dreszcze, a zęby szczerkały tak bardzo, że lada moment mogła odgryźć sobie język. Ale przynajmniej już na nią nie padało.

– Nnnnie, p... proszę – powiedziała.

– Nie boiii sssie. – Głos nie miał w sobie nic ludzkiego. Przypominał szum wody wylewającej się z rynny i dźwięk kapiących kropeł. Gdyby deszcz nauczył się mówić, pewnie tak właśnie by to brzmiało. A Nina jakimś cudem rozumiała każde słowo.

Powoli uniosła powieki. Otaczał ją mrok rozjaśniony tylko zielonkawym blaskiem leśnego próchna. W tym nikłym, fosforyzującym świetle ujrzała ściany jaskini tak niskiej, że gdyby stanęła wyprostowana, uderzyłaby pewnie głową w strop. Potem zerknęła w dół i zobaczyła, że siedzi pośród kości. Były tam maleńkie czaszki ptaków, myszy, lisów i chyba zajęcy spoglądające na nią czarnymi oczodołami. Jedne pożółkły ze starości, inne lśniły bielą, jakby niedawno wylizano je do czysta. Na niektórych widać było jeszcze ślady mięsa. Całe mnóstwo kości, morze szkieletów, w których Nina mogłaby brodzić po kostki.

Krzyknęła, rzucając się do tyłu i uderzyła potylicą w skałę. Zabolało.

Ciemność naprzeciwko niej zbulgotała, jakby ktoś przetykał zlew.

– Nie boiii sssie – znów ten sam, nieludzki głos. – Nie jessscccc dzieciaaaa...

Dzieciaaaa za duzaaa... Jesssccc ptakaaa i myszaaa i zajeeecaaa... Ptakaaa dooobra, najleszaaa... Krew cieplaaa, grzaaaccc wodaaa...

– K...Kim jesteście?

Ciemność zafalowała i zachlupotała. Nina widziała już wodną istotę. Nie było to łatwe, bo jej ciało stapiało się z mrokiem, jeśli jednak człowiek wiedział, czego się spodziewać, zaczynał dostrzegać delikatne przebłyski srebra i miejsca, gdzie na przezroczystej skórze załamywało się światło.

– Myyy wodaaa z drzewaaa, życcc w drzewaaa, wychodziiii w deszczaaa...

Nie robiii krzywdaaa ludziaaa...

Nina nerwowo przełknęła ślinę, przypominając sobie znaną w ogrodzie martwą srokę. Czy ją też zabiły te istoty? Czy rzeczywiście zabijały tylko ptaki i drobne zwierzęta, a nie ludzi? I co z Tymkiem?

Ostatnie pytanie zadała na głos.

Wodna istota znowu zachlupotała – Nina miała wrażenie, że ten odgłos oznacza coś w rodzaju irytacji czy może zniecierpliwienia.

– Dzieciaaaa isssccc samaaa... Isssccc z namaaa... Potem my isssccc swoja drogaaa, a dzieciaaa swojaaa... Nie krzywdziiii dzieciaaa...

Nina nie była pewna, czy ma w to uwierzyć. Tymek z własnej woli zostawił Małgosię, poszedł za mieszkającymi w drzewach „duchami”, a potem, kiedy już się z nimi rozstał, dopadła go Bestia z Diabelskiego Kręgu?

Może tak.

A może nie.

Nina nie potrafiła teraz myśleć. Wciąż dygotała z przeraźliwego zimna i bała się – choć nie aż tak bardzo, jak jeszcze przed chwilą. Wodna istota chyba rzeczywiście nie chciała zrobić jej krzywdy.

I przynajmniej jeden klocek układanki wskoczył na swoje miejsce.

– Maura Lewicka was widziała – powiedziała. – Opowiadała o was ludziom, ale nikt jej nie wierzył. W jeziorze też mieszkają istoty takie jak wy, prawda?

– Nie znacc człowiekaaa Mauraaa... W jezioraaa naszaaa siostraaa, niesmia-laaa chowacc przed ludziaaa...

– Pomożecie mi, prawda? Muszę się ogrzać... Można rozpalić tu ogień? Proszę, ja zaraz zamarznę...

Istota plusnęła z wyraźnym oburzeniem.

– Nie ogniaaa nieee, nie lubiii ogniaaa ogniaaa i wodaaa i drzewaaa nieee...

– Ale mnie jest zimno! – krzyknęła dziewczyna z rozpaczą. – Chcecie, żebym

dostała zapalenia płuc i umarła? Proszę, muszę się ogrzać, proszę...

Rozplakała się, trochę z nadzieją, że to zmiękczy lodowe serce wodnej istoty, a trochę dlatego, że po prostu musiała. Przez cały czas trzęsła się i kulila, starając się zachować w przemarzniętym ciele choć maleńką iskierkę ciepła.

Lecz ciepła już dawno nie było, teraz Nina miała wrażenie, że sama zmienia się w sopel. A kiedy od wejścia do jaskini zawiewał wiatr, zimno było tak przenikliwe, że bolało, jakby ktoś ciął jej wewnętrzną brzytwą.

– Neeee placzee neeee neeee, nie ma cooo placzee. Nie ma ogniaaa nie ma placzee. Spiii...

– Ale...

– Spiii.

Ciemność wyciągnęła do Niny połyskującą srebrem rękę. Dziewczyna przez chwilę czuła się, jakby zanurkowała w jeziorze. Obraz przed jej oczami rozmył się, dźwięki docierały do uszu przytłumione. A przede wszystkim nie mogła oddychać. Szarpnęła się w panice, ale woda była wszędzie, jak gdyby nagle wypełniła całą jaskinię. Nina chciała krzyżeć, ale ku jej zdumieniu gładka, zimna dłoń – jakimś cudem jednocześnie miękka i twarda – zamknęła jej usta.

– Spiii – powtórzyła istota.

I Nina zasnęła.

Kiedy się obudziła, otaczało ją miękkie, przytulne ciepło pościeli. SUCHEJ pościeli. Rozkoszowała się nim przez jakiś czas. Nie otwierała oczu. Jeszcze w półśnie przeczuwała, że to, co zobaczy wokół siebie, wcale jej się nie spodoba. Leżała więc, przeciągając się od czasu do czasu, ale sen nieubłaganie odpływał, a Ninę ogarniał coraz większy niepokój. Pod kołdrą było duszno, dziew-

czyna czuła, jak mocno bije jej serce i zaczyna brakować tchu. Mimo to wciąż zaciskała powieki. Nie chciała myśleć ani się budzić. Pragnęła spać.

– Nino, kochanie, jak się czujesz?

Głos pani Celiny. Dziewczyna zwinęła się w jeszcze ciaśniejszy kłębek.

– Nie śpisz już, prawda? Chciałam tylko zapytać, czy coś ci dolega...

– Tak – burknęła i zaraz tego pożałowała.

– Boli cię coś?

– Chyba... chyba mam gorączkę.

– Zaraz przyniosę termometr.

Nina otworzyła oczy i wypełzła spod kołdry. Tak jak podejrzewała, znajdowała się w pokoju pani Celiny i spała w jej łóżku. Za oknem było już jasno, deszcz ustał. Z ogrodu dobiegały głosy bliźniaczek i Elizy, w tle słychać było Artura. Zegar stojący na kominku wydzwonił dziewiątą.

Pani Celina zjawiła się, niosąc w ręku termometr. Na sam widok jej uśmiechniętej twarzy Nina poczuła, jak do gardła podchodzi jej paskudna, czerwona fala złości. Miała ochotę wrzeszczeć i zdrapać ten uśmiech paznokciami.

– No już, kochanie, zaraz zobaczymy, co ci dolega. Nie wyglądasz źle.

Strasznie nas w nocy wystraszyłaś, kiedy tak nagle wypadłaś w deszcz. Wszyscy się martwiliśmy. Ale wyobraź sobie, że dziś rano Karolina znalazła cię leżącą na progu, tak po prostu. Sama wróciłaś? Jeśli tak, czemu nie weszłaś do środka? Drzwi przez cały czas były otwarte.

Pani Celina szczebiotała, a Nina starała się siedzieć spokojnie, gdy zimny termometr wsuwał się pod jej pachę. Najgorszy jednak był dotyk opiekunki – za

każdym razem, kiedy jasnowłosa kobieta muskała jej czoło końcami palców albo głaskała po policzku, Nina walczyła, żeby się nie cofnąć.

– Dziwne, masz zupełnie normalną temperaturę. Jesteś pewna, że czujesz się źle?

– Tak.

Lecz Nina wcale nie czuła się źle. Chciała być chora, chciała mieć gorączkę i leżeć teraz półprzytomna w łóżku. I spać, najlepiej spać. Wtedy inni byliby za nią odpowiedzialni, a ona sama nie musiałaby się już martwić ani zastanawiać, co robić. Problem jednak w tym, że zawsze była odporna na przeziębienia.

Kiedyś podczas szkolnej wycieczki w góry całą klasę złapał deszcz, wszyscy przemokli i przemarzli, tylko Nina nawet nie dostała kataru. Innego dnia chłopcy zdjęli jej na boisku płaszcz i natarli śniegiem tak, że wracała do domu z płaszczem, w mokrej sukience. Był luty, minus dziesięć stopni. Matka straszyla ją wtedy zapaleniem płuc, ale dziewczyna jak gdyby nigdy nic poszła następnego dnia do szkoły.

– Coś cię boli, kochanie?

– Tak, głowa. – W ostatniej chwili powstrzymała się przed powiedzeniem, że brzuch, bo wtedy mogłaby nie dostać śniadania. A Nina była przeraźliwie głodna, pusty żołądek niemal przykleił jej się do kręgosłupa.

– Mam nadzieję, że to przejdzie. – Pani Celina poczęstowała podopieczną pięknym uśmiechem. – Nie martw się, kochanie, wszystko będzie dobrze. Tylko nie strasz już nas tak więcej, proszę. Jesteśmy tutaj, żeby się tobą opiekować i chcemy, żebyś czuła się dobrze...

– Tak, wiem. Jesteśmy jedną, wielką szczęśliwą rodziną. Kłopot w tym, że



ta rodzina z dnia na dzień staje się coraz mniejsza.

– Jeśli chodzi ci o Staszka i Tymka...

– Nie chcę tego słuchać.

– Oni...

– Nie chcę tego słuchać! – Nina rzuciła się na łóżko i naciągnęła kołdrę na głowę.

– Kochanie...

– Nie jestem „kochanie”! – Miała niejasne wrażenie, że to, co robi, jest bardzo dziecinne, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Pani Celina poklepała ją delikatnie po wystającym z pościeli ramieniu.

– Może poczujesz się lepiej, kiedy porozmawiasz z przyjaciółmi. Tamara i Jacek czekają za korytarzu.

– Nie chcę z nimi rozmawiać.

– Co ty opowiadasz, kochanie. Zobaczysz, to ci dobrze zrobi.

Opiekunka wyszła, wpuszczając jednocześnie Tamarę i Jacka. Chłopak sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego, a dziewczyna... dziewczyna wyglądała jak zawsze, z tym swoim zawadiackim uśmiechem i w przybrudzonych spodniach.

Nina poczuła, jak boleśnie ściska się jej serce. Dałaby wszystko, żeby tu byli Tamara i Jacek, ale PRAWDZIWI Tamara i Jacek, a nie ci z czarowani przez Azkiela.

A może anielska magia już przestała działać?

Nina obrzuciła przyjaciół ostrożnym spojrzeniem. Przestała? Jednak nie – Tamara byłaby spokojna chyba nawet w środku huraganu, ale Jacek zdecydowanie powinien być bardziej wystraszony. W końcu mieszkał w domu, gdzie dwie

osoby ostatnio zniknęły, a on był następny w kolejce.

– O rany, ale numer – powiedziała Tamara. – Naprawdę zwiłaś w środku nocy, zemdlłaś i leśne duchy przyniosły cię na rękach?

– Leśne duchy? – Nina zamrugła.

– Tak mówi Karolina, podobno je widziała. To prawda?

– Niezupełnie. – Nina nie była pewna, czy nocne wydarzenia po prostu jej się nie przyśniły. Naprawdę rozmawiała z wodnymi istotami, które mieszkały w drzewach i pożerały ptaki? W świetle dnia rozmowa w jaskini wydawała się koszmarem zrodzonym ze strachu i zmęczenia.

– Wiedziałam, że zmyśla. – Tamara przysiadła na skraju łóżka. – A teraz opowiadaj, co się stało.

– Po co w ogóle uciekałaś? – wtrącił się Jacek.

– Po nic. – Nina czuła, jak w jej oczach gromadzą się łzy. Lada moment rozryczy się jak dziecko. – Moglibyście... moglibyście przynieść mi coś do jedzenia? Jestem strasznie głodna.

– Jasne. – Dla takich potrzeb Jacek zawsze miał zrozumienie.

Gdy wyszli, Nina odwróciła się do ściany i wybuchnęła szlochem. Płakała długo, aż rozboleło ją gardło. Potem leżała, tępo wpatrując się w sufit. Tamara i Jacek nie wracali. Może ze śniadania nic nie zostało i teraz kombinowali, co jej przynieść. A może w ogóle im na niej już nie zależało. Wszystko jedno.

I tak przecież wszyscy tu po kolei zginą, pożarci przez Bestię z Diabelskiego Kręgu.

Wszystko jedno, wszystko jedno, powtarzała, jakby rytm tych słów mógł zagłuszyć strach.

Potem jednak przyszedł jej do głowy anioł w piwnicy i to wreszcie skłoniło dziewczynę, żeby wstać. Wytarła oczy, znalazła chusteczkę i wysmarkała nos. W lustrze mignęła jej ponura, opuchnięta od płaczu twarz i szopa rozczochranych włosów. Na krześle leżało jej własne, złożone w kostkę ubranie. Ciekawe, kto je przygotował? I kto w nocy przebrał Ninę w koszulę nocną?

Pewnie pani Celina, wzdrygnęła się lekko.

Sięgnęła do kieszeni spódnicy, a kiedy nie znalazła w niej klucza, otworzyła szufladę biurka. Klucz był tam, gdzie zawsze.

– Rodzice ci nie mówili, że brzydko jest zabierać cudze rzeczy?

Podskoczyła odruchowo i odwróciła się. Azkiel wszedł tak cicho, że nie usłyszała nawet otwieranych drzwi, a teraz stał w progu, przyglądając się jej z ciekawością.

– Ja...

– Jego już nie ma w piwnicy.

– Wcale nie chciałam iść do piwnicy!

– Naprawdę? To po co ci ten klucz?

Nina milczała z zaciśniętymi ustami.

– Ubierz się. Zejdę z tobą na dół i udowodnię ci, że mam rację.

– Nie chcę schodzić na dół.

Azkiel spojrzał tylko na Ninę i dziewczyna poczuła, że wszelki opór jest bezsensowny.

– Zaczekam za drzwiami.

Ubrała się i wyszła na korytarz. Azkiel skinął na nią ręką.

Zeszli schodami do holu, a potem skrzydlaty poprowadził ją w stronę drzwi

do piwnicy. Nina przypomniała sobie, jak całkiem niedawno pokonywała tę samą trasę w ciemności, ze świecą w ręce. Teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Był jasny dzień i na posadzce kładły się ciepłe plamy słonecznego światła. Przez okna wpadał śpiew ptaków i okrzyki chłopców, którzy w ogrodzie grali w piłkę. Wszystko to stanowiło dziwny kontrast z samopoczuciem Niny.

Azkiel wziął od dziewczyny klucz, otworzył drzwi, a potem wyjął z kieszeni długiej szaty świecę i zapalił ją. Gestem zaprosił Ninę w ciemność.

– Nie chcę tam iść. – Spróbowała raz jeszcze.

Skrzydlaty czekał po prostu, patrząc, aż wreszcie Nina poddała się i ruszyła schodami w głąb piwnicy. Mrocznym, zakurzonym korytarzem przeszli do celi, w której jeszcze niedawno przebywał oszpecony anioł.

Teraz była pusta, klucz tkwił w kracie od zewnętrznej strony.

– Widzisz? – powiedział Azkiel. – Już go tu nie ma.

– Nic mnie to nie obchodzi. – Nina jeszcze bardziej zacisnęła usta. Mogłaby zapytać, gdzie w takim razie jest, ale przecież i tak nie dostałaby odpowiedzi.

Nic mnie to nie obchodzi, powtórzyła tym razem w duchu, na wypadek gdyby Azkiel też czytał w myślach.

I wiem, że wcale nie jesteście aniołami.

Skuliła się, czekając na wybuch gniewu, ale rysy pięknej twarzy nawet nie drgnęły. Nina odetchnęła i wyprostowała się.

– Skoro już to sobie wyjaśniliśmy, możesz iść pobawić się z koleżankami i kolegami. Jest piękna pogoda, korzystajcie z niej, póki czas.

Patrzyła jeszcze przez chwilę na anioła (który wcale aniołem nie był, ale nie

wiedziała, jak inaczej go nazwać). Jego oczy przypominały dwa przezroczyste, oszlifowane przez strumień kamienie, w których odbijało się światło świecy. Jak wcześniej, tak i teraz Nina pierwsza odwróciła wzrok. Poszła do kuchni, gdzie znalazła Tamarę.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała starsza dziewczyna. – Właśnie miałam do ciebie iść. Ze śniadania nic nie zostało, ale zrobiłam owsiankę, może być?

– Jasne. – Nina apatycznie skinęła głową i usiadła za stołem. Jeszcze wczoraj, kiedy razem z Tamarą gotowały kapuśniak, była w tej kuchni całkiem szczęśliwa. Rany, jak to się wydawało dawno temu.

Zamieszała owsiankę i spróbowała. Potrawa była okropna, przesolona i przypalona.

– No to teraz opowiadaj. – Tamara ponagliła Ninę. – Co się stało w lesie?

– Nic takiego. Uciekłam, potem zgubiłam się w ciemności, przewróciłam się i straciłam przytomność. – Nie było sensu wspominać o wodnych istotach. Tamara i Jacek i tak już uważali ją za wariatkę.

– Tak po prostu? – Tamara uniosła brwi. – A może przystojny leśniczy odnalazł cię i przyniósł z powrotem na rękach?

– Może. – Nina nie była w nastroju do żartów. Prawdę powiedziawszy, nie miała też ochoty na rozmowę z Tamarą. Przez cały czas czuła ponurą, tępą złość, jakby to była wina przyjaciółki, że została zaczarowana przez anioła.

Miała ochotę potrząsnąć nią, aż starsza dziewczyna przestanie głupio szczerzyć zęby i zacznie się bać tak samo jak Nina – bo Nina była przerażona i bardzo samotna w tym strachu.

– Strasznie ponura jesteś – skomentowała Tamara. – Po co właściwie uciekałaś? Anioł przecież wszystko nam wytłumaczył.

– Taaa, jasne. – Nina czuła, jak z minuty na minutę traci resztki apetytu. Zamieszała bez przekonania owsiankę. Dotarła już do miejsca, gdzie potrawa była najbardziej przypalona, i teraz od zapachu przewracał jej się żołądek.

– Chyba pójdę do ogrodu.

Gwałtownym ruchem odłożyła łyżkę na stół i wyszła, nie czekając na odpowiedź. Czuła, jak Tamara odprowadza ją zdziwionym spojrzeniem, ale nie odwróciła się.

W ogrodzie od razu skierowała się do Diabelskiego Kręgu. Kamień, którym

ostatnim razem zaznaczyła granicę, leżał oczywiście wewnątrz koła, na mar-  
twej ziemi. Nina nie mogła już wmawiać sobie, że znowu ktoś go przypadkiem  
kopnął.

Diabelski Krąg się rozszerzał i jeśli nadal będzie rósł w takim tempie, za parę  
dni sięgnie klasztoru. Choć nie, niezupełnie, Nina zmarszczyła brwi. Na prze-  
szkodzie stała mu śliwa, jej pień dzieliło od granicy Kręgu ledwo parę centy-  
metrów. Może Krąg będzie musiał zwolnić, żeby strawić najpierw drzewo.

Może.

– Nino?

Drgnęła. Przez to wszystko zrobiła się okropnie nerwowa, każdy dźwięk po-  
wodował, że serce natychmiast skakało jej do gardła. Lecz kiedy się odwróciła,  
zobaczyła tylko panią Celinę.

– Rozmawiałam o tobie z Azkielem. – Kobieta uśmiechnęła się smutno. –

Oboje widzimy, że źle się u nas czujesz i jest nam z tego powodu bardzo przy-  
kro. Ale nie chcemy do niczego cię zmuszać, kochanie. Dlatego jeśli wolisz  
wrócić do domu, odwiozę cię na dworzec. Tego właśnie pragniesz?

Nina odwróciła głowę. Niedaleko Artur i Mariusz grali w piłkę, a znad brzegu  
jeziora dobiegał plusk wody i wesołe okrzyki bliźniaczek. Tamara i Jacek wyszli  
z klasztoru – oboje mieli ręczniki zarzucone na ramiona, a na sobie stroje ką-  
pielowe. Widząc Ninę, zwolnili, chłopak jej pomachał.

– Przyjdź potem do nas! – zawołał. Uśmiechał się, ale w jego głosie słychać  
było lekkie wahanie. Tamara pewnie już mu opowiedziała o dziwactwach przy-  
jaciółki.

Wszyscy zachowywali się tak, jakby byli zwyczajnymi nastolatkami – takimi,

którzy mogą beztrudno bawić się i cieszyć życiem w piękny, letni dzień. Nina bardzo chciała do nich dołączyć. Chciała, ale przecież nie mogła, bo ona знаła prawdę.

– Tak – powiedziała. – Chcę wyjechać.

Pani Celina skinęła głową.

– W takim razie spakuj się i przyjdź do mnie, kiedy już będziesz gotowa.

Będę w pokoju Azkiela. Pociąg odjeżdża o dziesiątej, akurat na niego zdążymy.

– Nie mam pieniędzy na bilet.

– Nie szkodzi, pożyczę ci. Chyba że potrzebujesz więcej czasu, żeby się pożegnać? Wtedy mogłabyś jechać wieczorem...

– Nie chcę się z nikim żegnać.

W sypialni Nina zaczęła metodycznie pakować swoją starą znienawidzoną walizkę. Z sąsiednich łóżek przyglądały się temu Eliza i Lidka.

– Wyjeżdżasz? – Eliza zmarszczyła brwi.

– Tak.

– To bez sensu – pouczyła ją Lidka z wyższością. – Powinnaś mieć ufność.

Azkiel...

– Azkiel jest wredną świnią – warknęła Nina. – I... i mordercą. Pomijając już fakt, że nawet nie jest aniołem. A wy słuchacie go jak stado baranów. Właśnie tak: jesteście jak prowadzone na rzeź owce.

Lidka otworzyła usta, ale nim zdążyła coś powiedzieć, wtrąciła się Eliza.

– Daj spokój – wzruszyła ramionami – niech jedzie. Jedna mniej, tym lepiej dla nas.

Nina zostawiła spakowaną walizkę przy łóżku i powędrowała na piętro. Przed



pokojem anioła zatrzymała się. Z wnętrza dobiegał szmer cichej rozmowy.

Dziewczyna przyłożyła ucho do drzwi, ale drewno było zbyt grube, żeby rozróżnić słowa, więc po chwili namysłu weszła do sąsiedniej, nieużywanej celi i otworzyła tam zakurzone okno. Wychyliła się ostrożnie, uważając na brudny parapet. Tak jak się spodziewała, skrzydlaty u siebie też otworzył okno – był przecież piękny, letni poranek – i teraz doskonale słyszała rozmowę.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, Celino – mówił Azkiel. – A jeśli to ona?

– To nieszczęsne dziecko jest całe przerażone – protestowała kobieta. – Obawiam się, że nigdy nie odnajdzie w sobie wystarczającej dozy ufności. Najwyraźniej łaska boska nie ma do biedaczki dostępu.

– A jednak. – Czy Ninie się zdawało, czy w głosie anioła rzeczywiście zabrzmiała nuta ironii? – Z nich wszystkich właśnie ona myśli najbardziej samodzielnie, jest inteligentna i nawet dość odważna, a to przecież cechy Wybrańca.

– Nina straszy inne dzieci – upierała się pani Celina. – Nie winię jej, rozumiesz, przez co przechodzi, ale to ma na nie zły wpływ. Przez nią mogą stracić łaskę.

– Nie ująłbym tego w ten sposób, ale, owszem, pewnie masz rację. Może rzeczywiście lepiej będzie, jak wyjedzie.

– Pójdę zobaczyć, czy już się spakowała.

Nina odskoczyła od okna (nie zdążyła nawet go zamknąć) i wybiegła na korytarz, a gdy pani Celina stanęła w progu anielskiego pokoju, spróbowała zrobić minę, jakby dopiero co tu przyszła.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Schodząc po schodach, rozważała to, co udało jej się usłyszeć. A więc pani Celina również wierzyła w bzdury o ufności i pewnie nie miała pojęcia, że anioły tak naprawdę nie są wcale aniołami. W pewnym sensie była ofiarą tak samo jak Nina i reszta młodzieży, jednak dziewczyna nie potrafiła jej współczuć.

A Azkiel sądził, że Nina może być Wybrańcem... Mało prawdopodobne, uznała, ale mimo wszystko zrobiło jej się przyjemnie – zwłaszcza kiedy przypominała sobie słowa: „myśli najbardziej samodzielnie, jest inteligentna i nawet dość odważna”.

Wrzuciła walizkę do bagażnika ify i usiadła z tyłu obok pani Celiny. Remigiusz jak zawsze prowadził w milczeniu, a Nina nie odwróciła się, kiedy klasztor został za jej plecami. Pomyślała tylko o Tamarze i Jacku.

Wiedziała, że będzie za nimi tęsknić. I przede wszystkim się o nich martwić.

Potem spróbowała skupić się na tym, co czeka ją w domu. Będzie mogła wreszcie zwinąć się z książką w ukochanym fotelu, a mama przygotuje na obiad coś, co Nina lubi najbardziej – na przykład pierogi ze śliwkami albo ryż na mleku z cynamonem. Jej rodzice nigdy nie byli zbyt wylewni, ale matka okazywała swoją miłość przez gotowanie, a ojciec tym, że zabierał córkę na spacer i kupował jej wszystko to, co zabraniała jeść matka. Problemy takie jak kwestia, co właściwie miałyby powiedzieć rodzicom (i przede wszystkim: czy uwierzą w jej opowieść?) świadomie pomijała. Nie chciała się nad nimi zastanawiać, w pociągu będzie miała na to mnóstwo czasu. Teraz wołała myśleć o tym, że do końca wakacji został jeszcze ponad tydzień – mogłaby wylegiwać się w łóżku i codziennie wychodzić z Agnieszką, koleżanką ze szkoły. Były w tym samym wieku, ale Agnieszka wyglądała znacznie poważniej, tak że cza-

sem nawet wpuszczano ją do kina na filmy dla dorosłych. Agnieszka opowiadała potem dziewczynom z klasy te filmy, ale Nina nie bardzo jej wierzyła, odkąd dowiedziała się, że w jednej ze scen Rio Grande John Wayne występuje całkiem goły. Agnieszka miała też trzech braci, którzy myszkowali po ruinach, szukając poniemieckich hełmów, broni czy niewypałów. We Wrocławiu, osiem lat po zakończeniu wojny, wciąż było sporo miejsc, w których domy straszyły pustymi oczodołami okien i na wpół zburzonymi ścianami ze śladami po kulach. Albo nawet miejsc, gdzie domów w ogóle nie było i gdzie chodziło się wąskimi ścieżkami pomiędzy zwałami gruzu. Nina od czasu do czasu też tam bywała, choć rodzice surowo jej tego zabraniali. Lubiła spacerować po ruinach. Wyobrażała sobie wtedy, jak Wrocław wyglądał przed wojną, a w jej głowie powstawały dawne budynki i całe dzielnice.

Wyglądało na to, że najbardziej ekscytującą i niebezpieczną rzeczą, jaką do tej pory w życiu zrobiła, było skakanie po gruzach tak, by nie ubrudzić sobie przy tym sukienki. Czy to było to, co ludzie nazywali ironią losu?

Potem, choć wcale tego nie chciała, zaczęła myśleć o mniej przyjemnych rzeczach. Wyobraziła sobie samą siebie, jak idzie wieczorem do kuchni napić się mleka i podskakuje nerwowo przy każdym, najcichszym nawet szmerze.

Jak czyta w fotelu i nagle zaczyna podejrzewać, że COŚ stoi za jej plecami.

Dzień za dniem przeżywane w strachu przed ciemnością nocy i cieniem czającym się w rogu pokoju, przed szelestem liści za oknem i odgłosem kroków na klatce schodowej. Nina żyłaby jak ktoś, nad czyją głową zawieszono miecz Damoklesa, czekając tylko, aż ostrze wreszcie spadnie. Na razie, co prawda, Bestia jest uwięziona w Diabelskim Kręgu, ale wkrótce wyrwie się na wolność,

to może stać się w każdej chwili. I dlatego Nina każdego wieczoru zasypiać będzie w przekonaniu, że może się już nie obudzić i każdego ranka otworzy oczy ze świadomością, że ten dzień może być jej ostatnim.

Pułapka już się zatrzasnęła, Bestia odnajdzie cię, nawet jeśli uciekniesz na koniec świata.

Samochód jechał leśną drogą, a drzewa rozmazywały się Ninie przed oczami.

Łzy spływały ciurkiem po policzkach, na wargach czuła słony smak. Pani Celina wyciągnęła rękę, żeby pocieszyć dziewczynę, ale ona odsunęła się odruchowo.

Nie chciała współczucia opiekunki, z całą pewnością nie jej. Upał lepił do pleców Niny materiał sukienki, a siedzenia samochodu były tak gorące, że niemal parzyły. Pani Celina odkręciła szybę i przez otwarte okno wpadał zapach lasu i rozgrzanej słońcem drogi. Wakacje, myślała Nina. Dlaczego ja nie mogę mieć normalnych wakacji?

Samochód zatrzymał się przed dworcem i Remigiusz wziął walizkę dziewczyny.

Do odjazdu pociągu zostało dziesięć minut, na peronie czekało już dwóch starszych mężczyzn i rodzina z dzieckiem. Dorośli taktownie odwracali wzrok od

zalanej łzami twarzy Niny, ale chłopczyk gapił się na nią z wyraźną ciekawo-

ścią, aż wreszcie matka szarpnęła syna za ramię, schyliła się i szepnęła mu coś do ucha.

Pani Celina skierowała się w stronę kasy.

Powrót do domu przypominał w tej chwili chowanie głowy w piasek, Nina

zdawała sobie z tego sprawę. Nie grzeszyła zbyt dużą odwagą, ale właściwie nie

była też tchórzem – i zawsze uważała, że kiedy nadciąga niebezpieczeństwo,

lepiej je zawczasu widzieć. Kiedy pielęgniarka w przychodni robiła jej zastrzyk,

nigdy nie odwracała głowy, a u dentysty nie zamykała oczu, bo czekanie

w ciemności ze świadomością, że wiertło jest coraz bliżej, było gorsze niż widok tego wiertła. Jeśli teraz ucieknie, cała jej przyszłość będzie takim właśnie czekaniem w ciemności. A jeśli Wybraniec pokona Bestię z Diabelskiego Kręgu – co przecież jest prawdopodobne – Nina nawet się o tym nie dowie. Bezpieczna i jednocześnie niezdająca sobie z tego sprawy, do końca życia będzie umierać ze strachu.

Uszu Niny dobiegł przeciągły gwizd i po chwili pociąg, posapując, wtoczył się na stację. Z komina lokomotywy ulatywały czarne kłęby dymu, które na tle błękitnego nieba tworzyły znak przypominający do złudzenia pytajnik. Jechać czy nie jechać, Nina zachichotała nerwowo. Tuż przed wakacjami matka zabrała ją do teatru na Hamleta, ale dziewczynie sztuka się nie podobała. Za dużo tam było ponurości i ludzi, którzy z niezbyt jasnych powodów koniecznie chcieli pozabijać innych ludzi.

Duża liczba morderstw pewnie spodobałaby się Tamarze, pomyślała Nina i na wspomnienie przyjaciółki znów ścisnęło jej się serce. Co teraz będzie z Tamarą? I z Jackiem? Zaczarowani przez anioła nie mieli nawet tej odrobiny ochrony, jaką Ninie dawał zrodzony ze strachu rozsądek.

Z pociągu wysiadło kilka osób, w tym para turystów z plecakami i namiotami, najwyraźniej zamierzająca biwakować nad jeziorem. Wsiedli za to dwaj starsi mężczyźni i rodzina z małym dzieckiem. Chłopczyk przez cały czas odwracał się w stronę Niny, patrząc na nią oczami wielkimi jak spodki. Zazdrościła mu. Dobrze byłoby mieć sześć lat i nie martwić się niczym poza tym, że rodzice nie kupią jej lodów albo w podróży skończą się cukierki. Bycie dzieckiem oznaczało, że inni decydują za ciebie. Miła rzecz, bo dziewczyna sama nie potrafiła

podjąć decyzji. Czuła się tak, jakby nogi wrosły jej w peron. Bardzo chciała znaleźć się w pociągu, w drodze do domu. Pragnęła, żeby mama ją przytuliła – choć Nina zazwyczaj nie przepadała za czułościami, a ojciec zabrał na spacer do parku Szczytnickiego. Mogła mieć to wszystko już za kilkanaście godzin, jednak nie ruszyła się z miejsca.

Bo przecież w głębi duszy wiedziała, że nie będzie żadnego przytulania ani spaceru, prawda? Jej matka... Nina wyobraziła sobie minę matki, gdy ta dowie się, że Nina uciekła z klasztoru, ponieważ straciła wiarę w anioły.

– Nino? – Pani Celina ponagliła dziewczynę.

– Ja... ja chyba jednak nie pojedę. Czy może pani oddać bilet w kasie?

– Tak, chyba tak. – Kobieta westchnęła. – Jesteś pewna?

– Jestem – odparła Nina z przekonaniem, którego wcale nie czuła. Chciała, żeby pociąg już odjechał. Wtedy byłoby za późno na zmianę zdania, a dziewczyna przestałaby czuć tę okropną ochotę, żeby rzucić się w otwarte drzwi przedziału.

Pani Celina skinęła głową konduktorowi, który zagwizdał i wskoczył na stopień ruszającego pociągu. Za późno, myślała Nina, w której wszystko się wyrywało, by popędzić za znikającymi w dali wagonami.

– Przepraszam za kłopot – powiedziała, bo mimo całej niechęci do opiekunki czuła się winna. – Mam nadzieję, że uda się pani odzyskać pieniądze za bilet.

– Nie martw się tym, kochanie. Cieszę się, że z nami zostajesz.

Naprawdę? A co z psuciem innych? – pomyślała Nina, ale nie powiedziała nic.

Poprosiła tylko, żeby mogła wrócić pieszo, idąc przez miasteczko.

– Ależ kochanie – zaprotestowała natychmiast pani Celina – to są dwie go-

dziny drogi, godzina stąd do Markotów i później godzina do klasztoru.

– Dam sobie radę.

– Zawieziemy cię przynajmniej do miasteczka. – Oczy opiekunki pytały

z niepokojem: Co ty znowu knujesz? Ale Nina dzielnie wytrzymała jej wzrok.

– Dziękuję.

Ledwo samochód wjechał między pierwsze zabudowania Markotów, natych-

miast się zepsuł. Najpierw silnik zaczął wydawać z siebie podejrzone odgłosy:

parskał, prychał i rzeził jak stary astmatyk, potem autem kilka razy szarpnęło

i stanął w miejscu. Remigiusz wysiadł, pani Celina i Nina poszły w jego ślady –

w rozgrzanym wnętrzu auta było zdecydowanie zbyt duszno, a w dodatku tro-

chę tam śmierdziało smarami oraz benzyną. Dziewczyna patrzyła przez chwilę,

jak Remigiusz grzebie pod maską samochodu, warcząc pod nosem przekleń-

stwa. Potem przeniosła wzrok na rząd jednorodzinnych domków, które stały

wzdłuż ulicy. Były kolorowe jak pudełka, a przy każdym z nich znajdował się

maleńki, zadbany ogródek. W jednym z takich ogródków poskrzypywała cicho

huśtawka, na której siedziało dziecko, z innego dobiegał szczęk ogrodowych

nożyc. Była to chyba bardzo spokojna dzielnica.

Nina poruszyła się lekko. Żar lał się z nieba, jakby był środek lipca, a nie ko-

niec sierpnia, dziewczyna spływała potem i zaczynała już żałować, że ze wzglę-

du na podróż włożyła pończochy. Tylko kałuże błotnistej wody przy krawężniku

przypominały o niedawnym deszczu.

– To ja już pójdę – powiedziała, myśląc o pieniądzach, które być może będą

do odebrania na poczcie. – Chyba nie ma sensu, żebym tutaj czekała...

– Idź, kochanie. – Pani Celina uśmiechnęła się z roztargnieniem. – My sobie

poradzimy. Tylko nie spóźnij się na obiad!

Gdy Nina odeszła kilkanaście kroków, do samochodu podszedł młody mężczyzna. Zwolniła i odwróciła się, ale i tak nie usłyszała dokładnie, co nieznajomy powiedział Remigiuszowi. Chyba że jego samochód też się zepsuł, w sklepie rybnym wysiadła lodówka, a magiel został zamknięty z powodu awarii.

A może Ninie tylko się zdawało i tak naprawdę mówił o czymś zupełnie innym.

Świat się zmienia, pomyślała. Odebrała na poczcie pieniądze, a potem ruszyła w stronę ulicy Kamiennej, popijając po drodze oranżadę z butelki. Było upalnie, zupełnie jak wtedy, gdy ostatnim razem szła tą drogą. Tylko że wtedy był z nią Jacek, a teraz została sama.

Ja się nie gubię, myślała uparcie, gdy po raz kolejny znalazła się na niewielkim placu ze studnią, tuż obok zamkniętego sklepiku z pamiątkami, na którym wisiała dokładnie ta sama zakurzona kartka. Jakby czas się zatrzymał.

Jakby miasteczko ożyło i zamieniło się w labirynt rozgrzanych słońcem, wymarłych ulic, po których tylko od czasu do czasu przemykali ludzie z oszołomionymi twarzami i zagubionym wzrokiem. A centrum tego labiryntu stanowił dom Lewickich, Nina była tego pewna.

Ja się nie gubię, powtórzyła. No, chyba że w ciemności albo kiedy nie znam drogi, a tu już przecież byłam. Jeśli raz przejdę jakąś trasę, zawsze trafiam z powrotem i umiem czytać mapy. Mam dobrą orientację w terenie, tak mówi mój ojciec. Dlatego teraz pójdę tą ulicą powoli, rozglądając się uważnie, a ty mnie przepuścisz. Zobaczę szyld magla i skreczę w ulicę Kamienną, zamiast znowu trafić na ten cholerny plac.

Jasne?



Miasteczko wokół niej milczało, ale Nina wyczuwała jego opór, zupełnie jakby miała do czynienia ze świadomym, choć na razie pogrążonym w półśnie stworzeniem. Szła wolno, tak jak zapowiedziała, przesuając dłonią po chropowatych murach niewysokich kamieniczek. Szeptem czytała szyldy: krawiec, zakład fotograficzny, repasacja pończoch. Było sennie i cicho, z mieszkań nie dolatywały dźwięki radia ani odgłosy rozmów. Tylko zielony ptak w powieszonoj przy oknie klatce wydawał z siebie chrapliwe skrzeczenie i trzepotał skrzydłami, patrząc na Ninę oczami jak paciorki.

Magiel, z tego co Nina pamiętała, powinien być gdzieś między repasacją pończoch a maleńkim sklepem spożywczym.

Nie oszukuj, upomniała miasteczko. Wiem, że to właśnie tutaj.

Markoty niechętnie ustąpiły, Nina zobaczyła wreszcie szyld magla i mogła skręcić we właściwą uliczkę. Teraz wystarczyło tylko znaleźć numer siedemnaście, gdzie mieszkali Lewiccy. Dotarła do małego domku, który stał wciśnięty między dwa większe budynki niczym dziecko między rodzicami. Był stary i zaniedbany, z ram okien odłaziła farba, dach straszył brakującymi dachówkami, a ściany porósł bluszcz. Nina pchnęła furtkę ogrodu, w którym unosiła się bągienna woń lilii i gnijących w wodzie roślin.

Furtka skrzypnęła. Nad gankiem widać było latarnię z częściowo zbitą szybą, na której ocalała część numeru domu: 7. Jednak dziewczyna była pewna, że to jest właściwie miejsce. Maura musiała wychowywać się właśnie tutaj, wśród tej bujnej, na wpół zdziczałej zieleni. Nina bez trudu mogła wyobrazić sobie Maurę, jak siedzi przy oczku wodnym i z wysuniętym językiem szkicuje motyle nad gęstym kożuchem rzęsy.

Co ja im powiem?

Zatrzymała się przed drzwiami i opuściła uniesioną już dłoń. Dzwonka nie było, nad gankiem wisiała tylko dziwaczna ozdoba z drutu i pożółkłych od starości ptasich kości, na których widok dziewczyna wzdrygnęła się lekko. Kości poruszały się leniwie, choć nie było wiatru.

Jacek miał rację, nie mogę przecież tak po prostu powiedzieć: Hej, pozwólcie mi pooglądać obrazy waszej zmarłej krewnej.

Nie wiedząc, co robić, zastosowała metodę, która sprawdziła się już w przypadku walizki – czyli uniosła dłoń i zapukała, nim zdążyła się rozmyślić. Potem odsunęła się z mocno bijącym sercem. Po drugiej stronie rozległo się człapanie i po chwili drzwi uchyliły się lekko.

Otworzyła usta, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, szczęknął zdejmowany łańcuch, drzwi otworzyły się szerzej i w progu stanęła zgarbiona staruszka. Na widok Niny jej pomarszczoną jak suszone jabłko twarz rozjaśnił uśmiech.

– Wejdź, czekałam na ciebie.

– Ale... ale ja... – Dziewczyna była przekonana, że kobieta bierze ją za kogoś innego.

– Przyszłaś obejrzeć obrazy, tak?

– Tak...

– No to wchodź, na co czekasz? Stefcia mi o tobie opowiadała i mówiła, że przyjdiesz. Myślałam, że będziesz wcześniej, od miesiąca już czekam.

Miesiąca? Przed miesiącem Niny w ogóle tu nie było, nie mówiąc już o tym, że nie знаła wtedy Stefci, czyli pewnie pani Stefanii z kawiarni Myśliwska. Jed-

nak nie sprostowała pomyłki.

– Wchodź, wchodź.

W domu było dość chłodno, choć szeroko otwarte okno wpuszczało sierpniowy upał. Drobiniki kurzu wirowały podświetlone słońcem; pachniało pastą do podłóg, świeżo wykrochmaloną pościelą i drożdżowym ciastem. Lecz spod tych radosnych, jasnych zapachów przebijał nikły smrodek starości, który zawsze kojarzył się Ninie z wiekowymi ludźmi. Jakby woń kulek na mole, przepoconych ubrań i brudu gromadzącego się w szparach między deskami.

– Napij się herbaty? – Staruszka człapała już w stronę kuchni.

– Nie, dziękuję.

– A może kompotu? Mleka? Mam jeszcze resztę ciasta...

– Kompot będzie w sam raz. – Nina nie była spragniona, bo wypila butelkę oranżady, pojęła jednak, że jeśli znowu odmówi, gospodyni będzie tak długo proponować kolejne rzeczy, aż wreszcie jej gość na którąś się zgodzi.

– Mam na imię Nina. To znaczy, tak naprawdę Janina, ale wszyscy nazywają mnie Niną.

– Moja Marysia kazała na siebie mówić Maura. – Staruszka krzątała się w niewielkiej kuchni. Wszystkie szafki pomalowano tu w wielkie polne kwiaty: maki, chabry i margarytki. Nina zastanowiła się przelotnie, czy było to jedno z młodzieńczych dzieł Maury, czy może gospodyni też miała artystyczne zdolności. – Dziwne, obce imię. Cudzoziemskie, ale jej się podobało i nim skończyła czternaście lat, nie odwracała się nawet, jak ktoś wołał za nią Marysia. Proszę,

z moich jabłek.

Kompot był dobry, słodki i jednocześnie lekko kwaskowaty. Orzeźwiający.

– Chodź, pokażę ci jej zdjęcie. Chcesz je obejrzyć, prawda?

– Tak. – Nina nie miała sumienia odmówić. Zresztą rzeczywiście chętnie zobaczyłaby, jak wyglądała kobieta, którą tak często sobie wyobrażała. O obrazach przypomni staruszce później.

Gospodyni podreptała do sypialni, w której królowało wielkie, zarzucone pierzynami łóżko. Okno było zamknięte, przez szpary pomiędzy zaciągniętymi zasłonami wsuwały się ostre sztychy światła. Panował tu półmrok, a chłód wyczuwało się jeszcze wyraźniej niż w pozostałych pomieszczeniach. Nina pomyślała, że to zimno charakterystyczne dla starych kamiennych domów, które nigdy, nawet w najgorętsze dni lata, nie nagzewają się porządnie i zawsze pozostaje w nich cień zimowego mrozu. Klasztor też był takim miejscem.

Staruszka zdjęła z kominka oprawione w srebrną ramkę zdjęcie i podała je Ninie. Potem rozsunęła zasłony. Słońce buchnęło z okna jak krew z rozerwanej tętnicy – Nina musiała się odwrócić, gdy jaskrawy blask zakłuł ją pod powiekami.

– To jedyne zdjęcie dorosłej Maryśki, jakie mam. Te z Warszawy przepadły w czasie wojny, a potem, kiedy wróciła, nie pozwalała już się fotografować. – Starsza pani uśmiechnęła się smutno. – To przysłała mi w liście wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. Napisała: „Ja i moje dzieciątko pozdrawiamy cię, Warszawa też jest pełna czarów”. Nic więcej, tylko to jedno zdanie.

W ten sposób się dowiedziałam, że właśnie zostałam babcią.

Nina z jakiegoś powodu wyobrażała sobie Maurę Lewicką jako brunetkę o cygańskim typie urody, ale kobieta na zdjęciu bardziej przypominała Norweżkę czy Szwedkę. Była wysoka, miała szerokie ramiona, które kojarzyły się z uprawianiem sportów, i włosy jak puch dmuchawca – bardzo jasne i bardzo

lekkie, tak że otaczały jej głowę puszystą aureolą. Dziecko na jej rękach nosiło małą, białą sukienkę i uśmiechało się bezzębnymi dziąsłami. Nina chciała zapytać, co się z nim stało, ale stchórzyła. Może dziewczynka też umarła, jak jej matka? Bo ten dom nie wyglądał przecież, jakby mieszkała w nim nastolatka.

– Piękna – powiedziała grzecznie. Czuła, że to właśnie należy zrobić, choć nie była pewna, czy mówi prawdę. Figurę Maura Lewicka miała kanciastą, a twarz pociągłą, z szeroko rozstawionymi oczami i wąskimi ustami. Tak naprawdę chyba nie była piękna, ale miała w sobie pewien urok i przede wszystkim wyczuwało się w niej siłę. Nie wyglądała na wariatkę, która skończyła utopiona w jeziorze.

Co więcej, twarz artystki wydawała się Ninie w pewien sposób znajoma.

Gdzieś już widziała tę jasną cerę, na której blade usta ledwie odznaczały się ciemniejszą linią, i arystokratyczny, lekko garbaty nos.

Skąd ja znam tę twarz?

Potrząsnęła głową, nie potrafiąc sobie przypomnieć.

– Napijesz się czegoś? Herbaty? Może mleka? Albo kompotu?

– Ale... – Nina odstawiała zdjęcie z powrotem na kominek. – Już piłam kompot. Bardzo smaczny, naprawdę.

– Kompot? Tak, nie ma problemu, zaraz ci naleję.

Nina czuła się coraz bardziej nieswojo, lecz kiedy starsza pani wręczyła jej kolejną szklanekę, uśmiechnęła się z przymusem. Upiła łyk.

– Bardzo dobry – pochwaliła, choć z mniejszym entuzjazmem niż wcześniej.

– Czy mogłabym teraz zobaczyć obrazy Maury?

– Obrazy, tak, oczywiście. Chodź ze mną.

Staruszka poprowadziła ją na poddasze do niewielkiego, słonecznego pokoiku, który wyglądał wypisz, wymaluj jak pokój Ani z Zielonego Wzgórza.

A przynajmniej tak Nina zawsze go sobie wyobrażała. Nad łóżkiem wisiał słomkowy kapelusz z niebieską wstążką, w wazonach stały kruche bukiety zasuszonych kwiatów, a tapeta miała wzór w różyczki. Jakby czas się tu zatrzymał na początku wieku, w atmosferze niewinnej dziewczęcości. Wrażenie psuły tylko oparte o ścianę obrazy. Było ich nie więcej niż dziesięć, wszystkie obrócone tyłem. W powietrzu unosił się jeszcze lekki zapach farby i terpentyny – a może Ninie tylko się zdawało?

– To jej dziecięcy pokój – powiedziała starsza pani niepotrzebnie. – Jak Marysia wyjechała do szkoły w Warszawie, niczego w nim nie ruszałam, a potem, kiedy wróciła, ona z kolei nic nie chciała zmieniać. Mówiła, że tylko w tym miejscu czuje się bezpieczna. Bezpieczna, właśnie tak, jakby gdzie indziej coś jej groziło. Później wstawiłam tu jej obrazy, te które zostały.

– Dużo ich sprzedała? – zainteresowała się Nina.

– Większość porzadawała. – Staruszka potrząsnęła głową. – Najpierw w Warszawie, potem tutaj. Moja córka nie miała głowy do interesów. Obejrzyj obrazy, jeśli cię to interesuje, śmiało. Ja nigdy nie przepadałam za tym, co Maryśka malowała. To nie bardzo do kobiety pasuje, takie życie artysty. Byłam przeciwna jej wyjazdowi do Warszawy, ale ona, jak się na coś uparła, zawsze musiała postawić na swoim. A skoro już Bóg dał jej talent, czy nie mogła malować ładnych, przyjemnych rzeczy?

Nie, chyba nie, pomyślała Nina, odwracając pierwszy obraz. Potem zrobiła to

samo z drugim i kolejnymi. Ustawiała je pod ścianami pokoju jak w galerii.

– Mamy tu tyle pięknych krajobrazów, słońca, kwiatów – mówiła gospodyni.

– A ona nic tylko te swoje ponuractwa... Od dziecka taka była, niby wesoła jak szczygiełek i szczebiotliwa, taka pewna siebie, zdrowa i silna. Zawsze pierwsza w sportach i zręczniejsza od niejednego chłopca. Ale miała czarne myśli. Tak to nazywała, kiedy przychodziła do mnie wieczorem. „Mamo, znów mam czarne myśli”. Uroiła sobie na przykład, że w drzewach żyją zrobione z zimnej wody potwory, które pożerają ptaki i inne małe stworzenia, bo od ich krwi robi im się na chwilę ciepło. Mówiłam jej: „Maryś, skoro tak cię to przygnębia, po co sobie takie paskudztwa wyobrażasz?”. A ona na to: „Muszę. Męczą mnie, aż je namaluję, wtedy na moment dają mi spokój”. I zawsze powtarzała, że te stwory można zobaczyć tylko o świcie, zmierzchu albo gdy pada deszcz. A najlepiej w czasie burzy. Wtedy na chwilę otwierają się drzwi pomiędzy naszym światem a ich. Nie wiem, po co wymyślać takie rzeczy, skoro chodziło tylko o namalowanie obrazu.

Bo ona ich wcale nie wymyślała, dla Niny było to oczywiste. Maura Lewicka potrafiła po prostu dostrzec to, czego zwyczajni ludzie nie zauważali, umiała zajrzeć pod podszewkę codzienności i zobaczyć tam magię, a także niewypowiedzianą grozę.

Jedno i drugie było na jej obrazach. Dziewczyna oglądała je, obejmując się rękoma, jakby drżała z zimna. I naprawdę czuła chłód mimo wpadającego przez okna słońca, radosnego śpiewu ptaków w ogrodzie i uspokajającego zapachu drewna.

Wszystkie obrazy przedstawiały klasztor, Markoty albo najbliższą okolicę. Na

pierwszym z nich nad jeziorem zachodziło słońce, niebo płonęło purpurą, a wiatr szarpał gałęzie nagiego buka. W plątaninie czarnych konarów dostrzec można było zarys przyczajonej sylwetki – coś się tam znajdowało, ukryte i na wpół widoczne, jak czyhający w zaroślach drapieźnik. Na drugim obrazie drzewne istoty były już doskonale widoczne: siedziały kręgiem wokół martwego królika i rozrywały go na strzępy swymi lodowymi szponami. Krew kapiała im z ust, barwiąc czerwienią skórę koloru wody. Trzeci obraz przedstawiał miasteczko – domy były tam nienaturalnie stłoczone i nachylone do siebie, jakby... spiskowały? Tak, właśnie tak, uznała Nina. Domy spiskowały, podczas gdy ludzie przemykali chyłkiem ulicami, zgarbieni i dziwnie maleńcy w porównaniu z przytłaczającymi ich ciemnymi murami. I czwarty obraz, tym razem przedstawiający to, co kryje się pod powierzchnią jeziora. W rozproszonym, przesianym przez wodę blasku słońca jasnowłosa kobieta opadała na dno. Miała bladą twarz i zamknięte oczy; albo była nieprzytomna, albo już martwa. A z dna wyciągały się po nią długie, nieludzkie ręce, zbyt szczupłe i o zbyt wielu stawach, z palcami falującymi niczym wodorosty. Był to dziwny, ponury obraz, zwłaszcza biorąc pod uwagę sposób, w jaki zginęła Maura. Jakby przewidziała własną śmierć i zawczasu ją namalowała, pomyślała Nina.

Piąty obraz ukazywał dwoje dzieci przy klasztorze. Księżyc w pełni oświetlał ich woskowoblada skórę i podkreślał sztywność rysów twarzy. Wyglądały jak zmarli, jak ożywione trupy. Chłopiec kuczał na trawie, dziewczynka odwracała się przez ramię, patrząc na mury klasztoru. Ręce mieli brudne aż do łokci, jakby przed chwilą jeszcze ryli paznokciami w ziemi, ale coś im przeszkodziło. Za nimi, w tle, majaczyły pełne grozy sylwetki dębów w Diabelskim Kręgu. Obraz



budził niepokój, choć Nina nie miała pojęcia, co właściwie miałby przedstawiać.

Jednak największe wrażenie zrobiło na niej inne malowidło – był na nim Diabelski Krąg i dziewczynka w białej sukience, stojąca tuż przy granicy koła. Wyglądała jak zahipnotyzowana, a na jej delikatnej twarzyczce malował się lęk. Mimo to najwyraźniej nie potrafiła oderwać wzroku od poskręcanych drzew i wręcz czuło się, że jeszcze chwila, a emanująca z nich mroczna siła wciągnie dziecko w głąb Kręgu. Jeszcze kilka sekund i dziewczynka zrobi krok naprzód, potem kolejny i następny, aż znajdzie się w uścisku gruzłowatych, martwych konarów, a wtedy ostre, długie ciernie wbiją się w jej ciało, delikatna skóra spłynie krwią, oczy zostaną bezlitośnie wykłute. Miało się niemal ochotę wyciągnąć ręce i powstrzymać ją, krzycząc: „Nie, proszę, nie idź tam!”.

Nina wzdrygnęła się i odsunęła. Z ulgą przeniosła wzrok na dwa ostatnie obrazy. Te w porównaniu z pozostałymi były całkiem wesołe, przedstawiały bowiem parę psów (o ile Nina знаła się na rasach, były to owczarki niemieckie) ubranych w ludzkie stroje i usługujących na dwóch łapach. Na pierwszym obrazie zwierzęta miały wykrochmalone koszule, chusteczki w butonierkach i cylindry nasadzone na łby, a w łapach trzymały tace z jedzeniem, które podsuwały rodzinie rozłożonej na trawie podczas pikniku. Na drugim obrazie jeden z psów, przebrany za lokaja, otwierał drzwi przed wchodzącym do domu mężczyzną, a drugi czekał już, żeby odebrać od przybysza płaszcz i kapelusz.

– Bardzo udany przykład surrealizmu – powiedziała Nina z mądrą miną. –

Inne obrazy wyglądają bardziej na ekspresjonizm, ale te dwa to już czysty surrealizm.

– Skoro tak twierdzisz. – Staruszka nie wykazała zainteresowania, ku lekkie-

mu rozczarowaniu Niny, która chciała, żeby gospodyni zapytała ją, skąd zna takie terminy jak ekspresjonizm czy surrealizm.

– Pani córka miała wielki talent.

Kobieta uśmiechnęła się smutno.

– W gazetach też tak pisali. Że wielki talent, że nadzieja polskiego malarstwa. I co jej z tego przyszło? W końcu pomieszało się biedaczce w głowie od wymyślania tych wszystkich okropnych rzeczy.

– Przykro mi. – Nina czuła się coraz bardziej skrępowana. Chciała już wyjść na słońce, znaleźć się z dala od tego domu, gdzie starsza pani tkwiła omotana żałobą i samotnością jak mucha w pajęczej sieci.

– Ale powiem ci coś w sekrecie. – Oczy gospodyni błysnęły konspiracyjnie, uśmiech stał się bardziej chytry. – Ja wiem, że Maryśka nie umarła. Nie naprawdę. Oni tylko chcą, żebym w to wierzyła, a ja udaję, że tak jest, ale swoje wiem. Moja dziewczynka żyje i kiedyś do mnie wróci. Już niedługo. Codziennie piekę dla niej ciasto, jej ulubione, ze śliwkami. Żeby było świeże, jak przyjdzie. Ona podchodzi czasem pod dom, słyszę nocami, jak chodzi po ogrodzie, ale kiedy ją wołam, nie odzywa się. Jednak już niedługo przyjdzie, wiem o tym. Może jutro. Tak, na pewno jutro. Trzeba upiec świeże ciasto.

– Ja... ja w takim razie już pójdę. Nie będę pani więcej przeszkadzać.

Nina z ulgą zostawiła za sobą dom i zaniedbany ogród. Dopiero na ulicy, w pełnym słońcu, wreszcie odetchnęła, a gęsia skórka z jej ramion zniknęła.

Myślała o starszej pani piekącej ciasto dla córki, która leży martwa na dnie jeziora. Bo przecież Maura Lewicka była martwa, prawda? Nie żyła, a jej matce z żalu i poczucia osamotnienia pomieszało się w głowie, tak jak wcześniej po-

mieszało się w głowie Maurze. Możliwe zresztą, że szaleństwo w tej rodzinie było dziedziczne.

Z drugiej strony ciała Maury nigdy nie znaleziono...

Tak, ale przecież gdyby żyła, wróciłaby po prostu do domu. Nie miałyby powodu, żeby nocami krążyć po ogrodzie i uciekać na dźwięk głosu matki. No, chyba że całkiem już zwariowała, ale w takim przypadku prędzej czy później ktoś by ją znalazł. Osoba tak bardzo szalona nie przeżyłaby sama w lesie.

Chyba.

Nina tłumaczyła to sobie, ale słowa starszej pani wciąż rozbrzmiewały jej w uszach: „Ona podchodzi czasem pod dom, słyszę nocami, jak chodzi po ogrodzie, ale kiedy ją wołam, nie odzywa się. Jednak już niedługo przyjdzie, wiem o tym”.

Potrząsnęła głową, by się ich pozbyć. Pół godziny później siedziała już w Myśliwskiej naprzeciwko pani Stefanii. Kobieta piła kawę, a Nina jadła ciastko. Poza nimi dwiema kawiarnia była pusta. Ciekawe, czy w ogóle ktokolwiek tutaj bywa? Jednak Nina nie zastanawiała się nad tym długo. Miała ważniejsze problemy.

Po drodze ułożyła sobie wszystko, co chciała powiedzieć pani Stefanii, tak że teraz nie plątała się i nie jąkała. Czuła jedynie, że z każdym zdaniem jej historia brzmi coraz mniej prawdopodobnie. Końcówkę wyszeptała niemal błagalnym tonem. W jej głosie słychać było rozpacz i desperację, które ją samą przygnębiały. Stefania Bystrzak była ostatnią szansą Niny, a wyglądało na to, że starsza pani za chwilę oskarży dziewczynę o robienie sobie żartów i wyprosi ją z kawiarni. Albo, co gorsza, uzna, że Nina zwariowała, i pobiegnie po leka-

rza.

Jednak kobieta nie zrobiła nic takiego, zmarszczyła tylko brwi.

– Nie zmyśliłaś tego, prawda?

– Nie, ja... naprawdę...

– Wierzę ci. – Westchnęła ciężko. – Choć nie jest to łatwe. Może jednak,

hm... źle zinterpretowałaś pewne fakty?

– Ma pani na myśli, że tak naprawdę w klasztorze nie dzieje się nic złego,

a to wszystko ja sobie tylko wyobraziłam?

– Coś w tym rodzaju. Nie miałam nic złego na myśli, po prostu dzieciom

w twoim wieku zdarza się czasem...

– Nie jestem dzieckiem! A Staszek i Tymek zniknęli naprawdę, tego przecież

nie mogłam sobie wyobrazić. Azkiel sam przyznał, że zabrał ich diabeł. A drugi

anioł powiedział, że wcale aniołami nie są...

– Stop, dziecko, stop. – Pani Stefania potarła skronie. – Już to wszystko mó-

wiłaś. Zastanawiam się właśnie, co możemy w tej sytuacji zrobić. Jeśli zawi-

domimy milicję, prawdopodobnie zabiorą was wszystkich do domów, ale za to

wasi rodzice będą mieć poważne kłopoty z powodu kontaktów z aniołami.

Mogą nawet pójść do więzienia, a tego byśmy nie chcieli, prawda?

– Nie... – Nina spuściła głowę. Myślała o matce i jej smutnych, pełnych wy-

rzutu oczach. – Dlatego przyszło mi do głowy, że mogłybyśmy porozmawiać

z księdzem.

– Z księdzem? – Pani Stefania wyglądała na ubawioną tym pomysłem, po-

tem jednak spoważniała. – W sumie czemu nie, księża powinni znać się na

aniołach, prawdziwych czy też nie.

Ksiądz Ambroży był mężczyzną średniego wzrostu, ani grubym, ani chudym, o gładko ogolonej, pozbawionej wieku twarzy. Równie dobrze mógł mieć trzydzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Wyróżniała go tylko łysina na czubku głowy i lekko odstające uszy, poza tym był doskonale nijaki. Pani Stefani słuchał w skupieniu, z trudną do zinterpretowania miną.

Nina zwinęła się w fotelu zadowolona, że tym razem nie ona musi mówić.

Małymi łyżkami piła gorącą jeszcze herbatę i bez przekonania skubała kawałek makowca – jedno i drugie przyniosła gospodyni księdza, a Nina, choć nie miała na nic ochoty, i tym razem nie śmiała odmówić. Słowa pani Stefani przepływały obok niej, jakby opisywały historię kogoś zupełnie obcego. Albo jakby kobieta czytała sensacyjną książkę. Czy na pewno to wszystko mi się przydarzyło? – myślała Nina, znowu przytłoczona nierealnością całej tej opowieści.

Brzmiała jak kłamstwo, choć była prawdą.

Przymknęła oczy. Mimo napiętych nerwów ogarniała ją senność, którą wzmagala jeszcze panująca na plebanii duchota. Zasłony przy zamkniętych oknach przesiąknięte były zapachem tytoniu, zegar z kukułką tykał monotonnie. Czy Nina spóźni się na obiad? Pewnie tak.

Otworzyła oczy i powiodła spojrzeniem po książkach na półkach. Były to grube, ciężkie tomy w skórzanych okładkach. Biblia? Tomy kazań albo żywoty świętych? Nina chętnie podeszłaby bliżej i sprawdziła tytuły, ale zabrakło jej odwagi, przeniosła więc wzrok na stół i przez chwilę gapiła się bezmyślnie na okrągłe plamy na dębowym blacie. Wyglądały jak ślady po filiżankach kawy czy herbaty, tak wżarte w drewno, że nie dało się ich usunąć.

Pani Stefania skończyła mówić, ksiądz chrząknął lekko i tęsknym wzrokiem

popatrzył na leżącą na komodzie fajkę.

– Ma pani coś przeciwko, żebym zapalił?

– Jestem przeciwniczką tytoniu. – Pani Stefania spojrzała surowo i mężczyzna z żalem zrezygnował.

– Dobrze więc, spróbujmy to jakoś uporządkować. Janina – ksiądz Ambroży od początku ignorował prośbę dziewczyny, by mówić do niej Nina – twierdzi, że anioły nie są wcale aniołami, lecz diabelskimi istotami, które znają magiczne sztuczki i za pomocą czarów uwodzą dzieci, by potem rzucić je na pożarcie mieszkającej w drzewie Bestii. Tak?

– Nie. – Nina zaczerwieniła się. Ksiądz wszystko przekreślił. – To znaczy trochę tak, ale niezupełnie...

– To wszystko brzmi zbyt fantastycznie, by w to uwierzyć. – Duchowny konsekwentnie nie zwracał uwagi na Ninę, jakby nie istniała. – Pani jest przekonana, że to dziecko mówi prawdę?

– Tak – odparła pani Stefania z taką prostotą i pewnością siebie, że dziewczyna polubiła ją jeszcze bardziej.

– A przynajmniej coś, co ona uważa za prawdę – podkreślił ksiądz, rzucając jeszcze jedno tęskne spojrzenie w stronę fajki. – Wygląda jednak na to, że mamy związane ręce. Z tego, co Janina mówiła, wynika, że w... tym miejscu... klasztorze dzieci przebywają z własnej woli i co więcej, za zgodą rodziców.

– Rodzice Staszka i Tymka raczej nie zgodzili się na to, żeby coś pożarło ich synów – powiedziała Nina wyzywająco. Pani Stefania rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie, a potem przeniosła wzrok na księdza.

– Dziewczyna ma rację – oznajmiła spokojnie. – Milicjanci mogą być pod

wpływem... no cóż, nazwijmy to roboczo anielską magią. Podobnie ci wszyscy ludzie, którzy szukali Tymka. Słyszał ksiądz, żeby ktoś plotkował o zaginięciu chłopca? Właśnie, ja też nie, a przecież Markoty są małym miasteczkiem, tu wszyscy wszystko wiedzą. Ja sama widziałam, jak rano w stronę... klasztoru wypływa łódkami grupa ludzi i widziałam, jak po południu wracali, ale nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, co się stało. Wtedy to wydawało się takie zwyczajne i zupełnie nieciekawe. Wszyscy chyba w pewnym sensie jesteśmy pod wpływem anielskich czarów. Ludzie wzięli udział w poszukiwaniach, a potem natychmiast o wszystkim zapomnieli. Tak samo jak milicjanci pewnie zapomnieli powiadomić rodzinę tego nieszczęsnego dziecka. Rodzice Tymka mają prawo wiedzieć, co się stało, rodzice drugiego chłopca też.

– W porządku – duchowny westchnął – wezmę jutro rower i sprawdzę, co się tam dzieje. Dziś nie mam czasu, muszę jeszcze odwiedzić chorego.

– Nie może ksiądz jechać do klasztoru! – Nina wyprostowała się tak gwałtownie, że omal nie wylała herbaty, którą trzymała w ręce. – Anioł księdza zaczaruje jak wszystkich innych!

– Ciebie nie zaczarował, prawda? A ja pochlebiam sobie, że mam trochę więcej siły woli niż trzynastoletnia dziewczynka. Nie martw się, diabelskie sztuczki nie robią na mnie wrażenia. Muszę tam jechać, trudno przecież, żebym zaczął działać tylko na podstawie słów smarkuli, której coś mogło się przywodzić.

Nina chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała i zacisnęła tylko usta. Pani Stefania rzuciła jej jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie.

– To nie ma sensu – gorączkowała się dziewczyna, kiedy wyszły z plebanii. –

Anioł rzuci na niego czar! Ksiądz pojedzie tam i wróci, i jak wszyscy inni będzie uważał, że w klasztorze nie dzieje się nic złego! A my znowu zostaniemy sami z tym... tym czymś i to...

– Uspokój się. – Pani Stefania ścisnęła ją za ramię. – Może niekoniecznie, w końcu ksiądz powinien umieć obronić się przed magią. A tymczasem my próbujemy inne metody, zgoda?

– Jakie... metody? – chlipnęła Nina.

– Możesz skontaktować się z rodzicami? Macie telefon?

– My nie, ale nasi sąsiedzi mają i czasem pozwalają nam z niego korzystać.

Tylko że moja mama... moja mama raczej uwierzy aniołom niż mnie. A tata...

– Nina urwała. Ojciec dla świętego spokoju zazwyczaj zgadzał się z matką, ale w tym przypadku może będzie inaczej? – Tata mógłby pomóc... – przyznała z wahaniem.

– Wolisz sama z nim porozmawiać, czy ja mam to zrobić?

– Lepiej niech pani porozmawia. Pani szybciej uwierzy.

– Racja.

Pani Stefania usiadła na ławce przed kościołem, wyjęła z torebki notesik i zapisała numer.

– To może potrwać – ostrzegła. – Na rozmowę międzymiastową długo się czasem czeka, a w dodatku tutaj telefony ostatnio strasznie się psują.

– Wiem.

– Jeśli uda ci się jakimś sposobem zdobyć adresy albo numery telefonów in-

nych dzieci, z ich rodzicami też postaram się skontaktować. Jak mówiłam, oni mają prawo wiedzieć, co tu się dzieje.

– Spróbuję. – Nina skinęła głową.



– A na razie proponuję, żebyś została u mnie. Mam niewielkie mieszkanie nad kawiarnią, zmieścimy się w nim obie. Co ty na to? Bo nie ma sensu przecież wracać tam, gdzie grozi ci niebezpieczeństwo.

– Muszę wrócić. – Dziewczyna potrząsnęła kasztanową czupryną. Bardzo chciała zostać u pani Stefanii, pomagać jej w kawiarni i jeść pyszne ciastka.

Lecz to byłoby właściwie to samo, co ucieczka do domu. Nie wiedziałyby, co się dzieje w klasztorze i wciąż tylko czekałyby, aż dopadnie ją Bestia z Kręgu.

Spróbowała zrobić dzielną minę, ale nie bardzo jej wyszło.

– Mnie tak naprawdę nie grozi tam niebezpieczeństwo – powiedziała. – To znaczy mam na myśli, że grozi mi mniej niż innym. Ja wiem, czego unikać i boję się, więc jestem ostrożna.

– A twoi przyjaciele nie są? – domyśliła się pani Stefania. – I chcesz ich chronić?

– Przynajmniej mogę spróbować. – Nina wzruszyła ramionami. Wypadło to raczej bezradnie niż nonszalancko, co miała zamiar osiągnąć.

– Jesteś pewna, że chcesz tam wrócić?

– Tak. – Wcale nie była, ale nie chciała niepotrzebnie martwić sympatycznej kobiety.

– Uważaj więc na siebie. I pamiętaj, że w każdej chwili możesz do mnie przyjść, nawet w środku nocy. – Pani Stefania przytuliła dziewczynę i ucałowała w czoło.

– Dziękuję.

Nina ruszyła w stronę klasztoru. Raz tylko się obejrzała – pani Stefania wciąż stała pośrodku rynku, na jej twarzy malował się lęk.

Na obiad oczywiście się spóźniła. Pani Celina posłała dziewczynie znad talerza spojrzenie bardziej niespokojne niż potępiające, jakby chciała zapytać:

Gdzie byłaś? Znowu chcesz narobić nam wszystkim kłopotów? Ale nic nie powiedziała. Za to Tamara parsknęła cicho:

– Może byś mi tak powiedziała, co ty wyprawiasz, co? Znikasz gdzieś

w nocy, potem się pojawiaasz, potem znowu znikasz, a pani Celina przywozi twoją walizkę... To jakiś nowy rodzaj gry czy jak?

– Nie. – Nina zaczerwieniła się. Cała jej złość na przyjaciółkę minęła, teraz

czuła się winna, że rano chciała uciec, zostawiając Tamarę i Jacka na pastwę Bestii z Kręgu. – Chciałam wyjechać, ale się rozmyśliłam, a potem... potem by-

łam w miasteczku. Ale już nigdzie się nie wybieram.

– Cieszę się.

Nina uniosła głowę znad talerza. Jacek z zapalem pałaszował obiad, od czasu do czasu rzucając dziewczynie zaciekawione spojrzenia.

– Po co byłaś w miasteczku? – zapytał między jedną łyżką zupy a drugą.

– Zobaczyć obrazy Maury.

– Trafiałaś do jej domu?

– Aha.

– I jak? Jest na tych obrazach coś ciekawego?

– Niespecjalnie. Klasztor, Diabelski Krąg, takie tam. Same ponure rzeczy.

Skinął głową, jakby chciał powiedzieć: Tego się właśnie spodziewałem.

– Będziemy budować tratwę z żaglem – zmienił temat. – Przyłączysz się?

– Tak – odparła Nina. – Bardzo chętnie.

Dlaczego nie? – pomyślała. Nie mogła przecież ciągle tylko czekać, aż coś złego się stanie.

Po obiedzie przynieśli na brzeg znalezione w szopie stare deski, a Jacek wytrzasnął skądś młotek i pudełko gwoździ.

– Najpierw musimy zrobić szkielet – powiedział.

Szkielet polegał na tym, że zbili cztery deski w czworokąt, tworząc ramę, do której zaczęli przybijać kolejne deski. Jackowi i Tamarze szło to całkiem zgrabnie, Nina pomagała, jak umiała, choć jej gwoździe zakrzywiały się, a dziewczyna miała wrażenie, że lada moment walnie młotkiem we własny palec.

Wciąż było gorąco, nawet nad wodą nie czuło się powiewu chłodu. Nina spływała potem, śmiała się trochę za głośno i żartowała zbyt desperacko, nawet gdy zaczęły ją boleć ręce. Tak bardzo chciała, żeby to wszystko było prawdziwe – radość, kiedy przybili ostatnią deskę, głupie docinki, gdy zastanawiali się, czyjego prześcieradła użyć jako żagla. Cieszyła się każdą z tych chwil, tak jak skazaniec cieszy się swoim ostatnim obiadem – z rozpaczliwą determinacją i świadomością, że więcej takich momentów nie będzie. Wciąż miała wrażenie, że bierze udział w oszustwie, choć bardzo starała się udawać, że tak nie jest.

Czasem czuła się tak, jakby wszystko wokół niej: ogród, gdzie intensywnie pachniały róże i jezioro połyskujące błękitem w promieniach słońca, było teatralną dekoracją z dykty, za którą czyha Bestia z Diabelskiego Kręgu. Jej obecność kładła się zimnym, długim cieniem na tym pięknym dniu i psuła smak każdej chwili szczęścia.

Jacek przyniósł długi, w miarę prosty konar, a Tamara z kuchni ostry nóż, wyproszony czy może zwinięty ukradkiem, gdy Sylwia nie patrzyła. Za jego pomocą oczyścili konar z kory i przybili do niego w poprzek dwie krótsze gałęzie, do których przywiązali prześcieradło. Całość wyglądała trochę krzywo i nie-

zbyt przypominała prawdziwy żagiel, ale Jacek i tak był dumny ze swojego dzieła. Tamara jednak patrzyła na nie sceptycznie.

– A jak chcesz to przymocować do tratwy? – zapytała.

Chłopak stropił się, bo tego najwyraźniej nie przemyślał.

– Zrobimy dziurę w deskach i włożymy tam maszt? – zaproponowała Nina bez większego przekonania.

– Jasne, z przedziurawienia dna dużo ci przyjdzie – zachichotała Tamara.

Przez chwilę jeszcze dyskutowali nad odpowiednią metodą, ale nikt nie znalazł dobrego rozwiązania, więc w końcu Jacek zepchnął na jezioro samą tratwę, a potem na nią wskoczył. Zbite w czworobok deski zanurzyły się lekko, jednak utrzymały jego ciężar.

– Chodźcie! – krzyknął chłopak.

Tamara dołączyła do niego od razu, Nina się zawahała. Tratwa powoli nabierała wody, a Tamara i Jacek z trudem utrzymywali równowagę na chybotałej powierzchni.

A co mi tam, pomyślała Nina, odbiła się od przybrzeżnego kamienia i skoczyła. Jacek chwycił ją za łokieć, dziewczyna krzyknęła. Jej stopy pośliznęły się na mokrych deskach i poleciała w tył razem z wciąż trzymającym ją chłopakiem. Wpadli do jeziora w plątaninie rąk i nóg, Nina na plecy, Jacek za nią. Chciała jeszcze krzyknąć, ale zachłysnęła się, woda zagarnęła rozgrzaną słońcem skórę, przejmując lodowatym chłodem aż do kości. Nina kopnęła na oślep, a Jacek przyłożył jej łokciem w żebro. Wreszcie rozdzielili się i dziewczyna wypłynęła na powierzchnię, kaszląc i parszając. Przetarła oczy, odsunęła mokre włosy, po czym złapała się brzegu tratwy, na której chichotała Tamara. Z drugiej

strony na deski drapał się już Jacek. Nina nawet nie próbowała iść w jego ślad, tylko podpłynęła do brzegu i w ociekającej wodą sukience oraz mokrych sandałach wygramoliła się na wielki kamień.

Nim zdążyli się przebrać i wysuszyć na słońcu włosy, była pora podwieczorku. Prześcieradło, nieco wymiętoszone, wróciło na łóżko, tratwa kołysała się przy brzegu na łagodnych falach.

– Moglibyśmy zamocować ją do dna i zrobić pomost, z którego skakałoby się do wody – zaproponował Jacek. – Potrzebowalibyśmy tylko łańcucha i ciężkiego kamienia.

– Kamieni tu pełno, ale skąd weźmiesz łańcuch? – Tamara wyciągnęła się wygodnie na trawie i zmrużyła oczy przed słońcem, które coraz bardziej zniżało się w stronę zachodu.

Dyskutowali, podczas gdy Nina patrzyła na jezioro. Znowu myślała o Bestii z Diabelskiego Kręgu. Jej cień był wszędzie, psuł każdą radość.

– Obiecujcie mi coś – powiedziała nagle. Tamara i Jacek umilkli, a Nina zaczerwieniła się pod ich spojrzeniami. – Że... że w czasie deszczu, o zachodzie słońca i o świcie nie będziecie się zbliżać do Diabelskiego Kręgu. Proszę.

– Ale anioł... – zaczął Jacek.

– Nieważne, co anioł. – Nina spłoszyła się jeszcze bardziej, tym razem ze złości. Zacisnęła pięści, starając się uspokoić. Gdyby teraz zaczęła krzyczeć, Tamara i Jacek i tak nie zrozumieliby, o co jej chodzi. – Zróbcie to po prostu dla mnie, dobrze? Co wam szkodzi? Obiecujecie?

– W porządku – mruknął Jacek, a Tamara wzruszyła ramionami:

– Jak tam chcesz.

– Przysięgnijcie – nalegała Nina. – Na życie waszych matek.

– Ja nie mam matki.

– No to na życie ojca.

Spełnili jej prośbę, ale Nina nie była zadowolona. Jak długo potrwa, zanim o przysiędze zapomną? Jacek przynajmniej trochę się przejął uroczystością takiej obietnicy, ale Tamara nawet nie wzięła jej poważnie. Co ja mam robić? – myślała, czując, że znowu zbiera się jej na płacz. Nie chciała beczeć w obecności przyjaciół, wstała więc gwałtownie.

– Pójdę po sweter, zimno mi – skłamała bez sensu, bo przecież wciąż jeszcze było gorąco, ale żadna inna wymówka nie przyszła jej na myśl.

Tamara i Jacek, zajęci problemami z tratwą, skinęli jej w roztargnieniu głowami.

Nina biegła w stronę klasztoru, walcząc z zaciskającymi się na gardle kleszczami. Łzy przesłaniały jej widok, tak że mężczyznę dostrzegła dopiero, gdy na niego wpadła.

– Ej, dokąd to? Coś się stało?

Sierżant Pawlak prowadził rower drogą wiodącą od bramy do wrót klasztoru.

Ninie gwałtownie zabiło serce. Wytarła łzy.

– Nic się nie stało. Wie pan może coś o Tymku? Dlatego pan przyjechał, tak?

Bo Tymek się znalazł?

– Tymek...? – Milicjant szukał w pamięci imienia, a szalona, bezsensowna nadzieja Niny od razu zgasła. – Nie, przykro mi. Przyjechałem w innej sprawie.

Muszę... muszę zobaczyć się z kobietą, która tutaj mieszka.

– Panią Celiną?

– Taak. – Wciąż sprawiał wrażenie zagubionego. Stał na środku drogi ze zmarszczonymi brwiami, najwyraźniej usiłując sobie przypomnieć, po co właściwie przyjechał. Wreszcie sięgnął do kieszeni munduru i wyjął stamtąd złożony na pół kawałek papieru. Rozłożył go. Kartka chyba przywróciła mu pamięć, bo uśmiechnął się z ulgą i jednocześnie lekkim zakłopotaniem.

– Wyobraź sobie, że miałem tu przyjść już kilka dni temu, ale zawsze jakoś wypadało mi to z głowy. Dziwne, prawda?

– Dziwne – przyznała Nina. Stojąc z boku, miała doskonały widok na trzymaną przez milicjanta kartkę. Była na niej plątanina kresek, w której rozpoznała mapę okolicy. Na dole widniał napis: stacja PKP, a na górze: klasztor. Pismo było charakterystyczne, niektóre litery były drukowane, inne natomiast normalne, za to powiększone, tak żeby wielkością dorównywały tym drukowanym. Wyglądało to mniej więcej tak:

STaCja

i

KlaSZTOr

Nina знаła to pismo. Widziała je już wcześniej, tylko gdzie...?

Przypomniała sobie i nagle zmroziło ją przecucie nadciągającego nieszczęścia.

– S...skąd pan ma tę kartkę? – zapytała, ale sierżant Pawlak już szedł w stronę głównego wejścia. Nina podążyła za nim. Mężczyzna oparł rower o klasztorny mur. Przy drzwiach spotkał Adama, który oczywiście natychmiast zaoferował pomoc i zaczął prowadzić gościa schodami na piętro.

Poszła za nimi, trzymając się w bezpiecznej odległości. Potem, ukryta

w okiennej wnęce, poczekała, aż milicjant wejdzie do pokoju pani Celiny, a Adam wróci na dół. Wtedy wypróbowaną już metodą pobiegła do celi znajdującej się obok sypialni opiekunki, otworzyła okno i wychyliła się.

Głosy dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia były tak wyraźne, że słyszała każde słowo.

– Znalaziono przy nim tylko tę kartkę, nic więcej, nie miał nawet dokumentów – mówił sierżant Pawlak. – Dlatego chciałem zapytać, czy pani go może знаła? Bo ta mapka oznacza przecież, że wybierał się właśnie tutaj, prawda?

– Niekoniecznie – odparła pani Celina lekko drżącym głosem. – To stary, za-  
bytkowy klasztor, może chłopiec chciał go zwiedzić?

– Tak, jest też taka możliwość. A pani by pewnie wiedziała, gdyby brakowało któregoś z pani podopiecznych.

Celina Soszyńska skwitowała niezbyt udany żart wymuszonym śmiechem.

– Z pewnością tak.

Nina zacisnęła dłonie na parapecie, aż zbieleły jej palce. Czowała się tak, jakby otworzyła się pod nią przepaść, w którą spadała i spadała. Zakręciło jej się w głowie.

– Co się z tym chłopcem stało? – Głos pani Celiny był stłumiony, jakby docierał do Niny przez warstwę wody.

– Zmarł w szpitalu, niestety – odparł milicjant. – I nikt nie wie, kim on był.

Może ktoś rozpozna go ze zdjęcia w gazecie.

– Mam nadzieję. Biedaczysko.

Nina puściła wreszcie parapet. „Zmarł w szpitalu” – słowa sierżanta Pawlaka odbijały się w pustce, która nagle ją wypełniła. W ustach czuła miedziany



smak rozpaczy.

Zmarł w szpitalu.

Biedaczysko.

Jakimś cudem Ninie było gorąco i zimno jednocześnie, a szok otulał ją jak miękka wata. Dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia słowa brzmiały coraz mniej wyraźnie, widok za oknem rozmazywał się przed oczami. Dziewczyna miała jeszcze na tyle przytomności umysłu, żeby odsunąć się od parapetu i usiąść pod ścianą. Tkwiła tak przez chwilę zwinięta w kłębek, kołysząc się lekko. Potem wstała. Świat nadal wyglądał normalnie: słońce świeciło, z ogrodu dobiegał śpiew ptaków i wesołe okrzyki taplających się przy brzegu bliźniaczek. Tyle tylko że to wszystko było okrutnym, ponurym żartem.

Nina zeszła do Tamary i Jacka, którzy wciąż siedzieli nad brzegiem.

– Jednak nie włożyłaś swetra? – zainteresował się Jacek.

– Nie.

– Zastanawiamy się właśnie, kto jest Wybrańcem. – Tamara odrzuciła głowę w tył i zachichotała. Każdą nutę tego śmiechu Nina odczuwała, jakby ktoś wbił jej we wnętrzości nóż, a potem przekręcał go, żeby sprawić jeszcze większy ból. – No bo teraz, kiedy mamy na karku Bestię z Diabelskiego Kręgu, Wybrańiec powinien nas bronić, nie? Najwyższa pora, żeby się ujawnił i zrobił z nią porządek.

– Jesteś blada jak ściana – zwrócił uwagę Jacek. – Coś się stało?

Tak, pomyślała Nina. Nawet nie wiecie, jak bardzo złego.

– Nina? – ponagliła ją Tamara. Wciąż jeszcze się uśmiechała, ale na widok twarzy przyjaciółki nawet w jej oczach pojawił się cień niepokoju. – Jak my-

ślisz, kto jest Wybrańcem?

– Nikt – odpowiedziała Nina. Po jeziorze sunęła popychana wiatrem żaglówka, która z daleka wyglądała jak dziecinna zabawka. Słońce powoli zachodziło, barwiąc wodę czerwienią w odcieniu krwi. – Nikt nie jest Wybrańcem. On nie żyje.

Rozdział dziewiąty, w którym Nina zostaje detektywem i zwiedza Gdańsk, a na końcu zdarza się coś, czego nikt nie przewidział.

Chłopiec, którego spotkałaś w pociągu, był Wybrańcem? Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – Pani Celina zmarszczyła brwi, lecz w jej oczach pojawił się niepokój.

Nina zacisnęła usta. Stała w pokoju opiekunki niczym uczennica wezwana do gabinetu dyrektorki. Za plecami wyczuwała obecność Tamary i Jacka, ale niewiele jej to pomagało.

Pani Celina patrzyła wyczekująco. Nie mówiła już „kochanie”, co było widocznym znakiem, że jej sympatia dla Niny z godziny na godzinę maleje.

– W... widziałam mapkę, którą sobie narysował. To jego pismo, poznałam je, bo w pociągu rozwiązywał krzyżówkę i wpisywał hasło. A sierżant Pawlak powiedział mi, że Sławek zmarł w szpitalu... – Nina wolała nie przyznawać się, że podsłuchiwała.

– To jeszcze nie czyni go Wybrańcem, kochanie. – Tym razem „kochanie” wróciło, ale więcej w nim było nerwowego napięcia niż czułości. Pani Celina się bała. – Poza tym po co byłaby mu mapka? Remigiusz wyjeżdżał po każde dziecko na stację.

– Wiedziałyby pani, gdyby go pani znała tak jak ja. On taki po prostu był.

Zaradny, przygotowany na każdą okoliczność. Pewnie znalazł w przewodniku turystycznym mapkę i odrysował ją sobie na wszelki wypadek, gdyby musiał iść pieszo. Poza tym on... no, był odpowiednią osobą. Tak jak pani mówiła. Zaopiekował się mną, kiedy tego potrzebowałam, okazał się miły, dzielny, silny i w ogóle. Jak prawdziwy bohater. I był... – Nina chciała powiedzieć „piękny”, ale powstrzymała ją przed tym resztki instynktu samozachowawczego. Dopiero by się z niej nabijali, gdyby nazwała jakiegoś chłopaka „pięknym”. – Powinam domyślić się wcześniej – oznajmiła zamiast tego, potrząsając głową. – Sławek miał wszystkie cechy Wybrańca, jechał do Markotów i w dodatku nie powiedział mi po co. Nie chciał tego zdradzić, zupełnie tak samo jak ja. Już wtedy powinnam zacząć coś podejrzewać, ale byłam strasznie głupia. A potem raz przyszło mi do głowy, że on może być Wybrańcem, tylko uznałam, że to bez sensu, bo przecież w klasztorze miało być trzynaście osób, i było.

– Nino, wszystkie dzieci, które miały do klasztoru przyjechać, przyjechały.

Uważasz, że nie potrafię liczyć do trzynastu?

– Pani miała tylko nasze nazwiska i godziny przyjazdu, prawda? Nic więcej?

– Tamara za plecami Niny dyskretnie dała jej kuksańca, ale pani Celina na szczęście nie zwróciła uwagi na to, skąd dziewczyna wie takie rzeczy.

– Tak, rzeczywiście, gdy anioły poprosiły mnie o pomoc, dostałam od nich taką listę... – Kobieta zawahała się.

– Właśnie. Gdyby ktoś zajął miejsce Sławka, nawet by się pani nie zorientowała.

– Czekaj, Nina, to trochę bez sensu – wtrąciła Tamara. – Skoro ktoś zajął miejsce Sławka, powinien przecież posługiwać się jego imieniem i nazwiskiem,

nie? A my tu żadnego Sławka nie mamy.

– Myślałam o tym. Może Sławek na przykład używał drugiego imienia, bo pierwszego nie lubił? Niektórzy tak robią. A ten, kto się pod niego podszył, nie wiedział o tym, więc przedstawił się pierwszym imieniem. Ja nie znałam nazwiska Sławka, a pani pewnie nie ma na tej liście drugich imion.

Celina Soszyńska westchnęła.

– Na wszystko masz odpowiedź, co? Ale zastanów się przez chwilę: po co ktoś miałby podszywać się pod Sławka? I skąd wiedziałby, po pierwsze, jakim pociągiem chłopak ma przyjechać, a po drugie i najważniejsze, że Sławek nie dotrze do Markotów? Przecież to był wypadek, sama tak mówiłaś. Nieszczęśliwy, tragiczny wypadek, którego nikt nie mógł przewidzieć.

– Może zamiast Sławka przyjechał diabeł – odezwał się milczący do tej pory Jacek. – Ten sam, który czai się teraz w kępie uschniętych drzew i który porwał Staszka i Tymka. Diabeł przecież wie różne rzeczy?

W pokoju zapadło milczenie i jakby powiało chłodem. Nawet Tamara wyglądała na wystraszoną tą myślą. Nina objęła się jeszcze ciaśniej ramionami. Ze zdenerwowania znowu rozboleł ją brzuch i było jej trochę niedobrze. Długo zastanawiała się, czy powiedzieć pani Celinie o tym, co odkryła, ale nie miała innego wyjścia. Nie ufała opiekunce, jednak tylko ona i Azkiel mogli powstrzymać to, co działo się w klasztorze.

– Teraz kiedy Wybraniec nie żyje, nie ma już kto nas bronić. Azkiel... Azkiel sam musi się zająć Bestią z Kręgu i ją pokonać. On to potrafi, prawda? – Spojrzała błagalnie na opiekunkę. Czymkolwiek był ten... ten eksperyment, który sprowadził młodzież do klasztoru, nie powiódł się i nie było sensu go dalej cią-

gnąć. Pani Celina i skrzydlaty musieli to rozumieć. Po prostu musieli. Bo przecież nie dopuszczą do tego, żeby znikali tu wszyscy po kolei, i to zupełnie na darmo?

Kobieta odetchnęła, zbierając siły. Przymknęła oczy, a kiedy je znowu otworzyła, na jej twarzy malowała się pewność, jakiej wcześniej tam nie było.

– Posłuchajcie mnie. Po pierwsze, gdyby któreś z was rzeczywiście było diabłem w przebraniu, anioł potrafiłby go rozpoznać. Zły, owszem, krąży w pobliżu, ale z pewnością nie jest jednym z nas. Po drugie, Nino, ja rozumiem, że Sławek był miły i pomógł ci, kiedy tego potrzebowałaś. Spotkałaś kogoś, polubiłaś, a potem patrzyłaś, jak on umiera. Przeżyłaś wielki wstrząs i dlatego jesteś cała roztrzęsiona. Ale proszę, nie siej z tego powodu paniki wśród innych. To zupełnie naturalne, że sympatyczny, przystojny chłopiec wydał ci się kimś niezwykłym. Bo był przystojny, prawda?

– Taak... – Nina ku własnej irytacji poczuła, że się rumieni.

– No właśnie, a bycie Wybrańcem to coś więcej niż uroda i chęć pomocy dziewczynie, zwłaszcza tak ładnej jak ty. – Pani Celina uśmiechnęła się i dotknęła policzka Niny, która zacisnęła usta, ale się nie odsunęła. – Uwierz mi, jestem od ciebie trochę starsza i wiem. Oczywiście, jeśli jednak chcesz wyjechać, zawsze mogę zawieźć cię na stację. Zdażymy jeszcze na wieczorny pociąg.

Nina w głowie miała mętlik, bo bardzo chciała pani Celinie wierzyć (przecież to możliwe, że Sławek był zwykłym chłopakiem, a ona tylko zadurzyła się w nim jak głupia), jednak z drugiej strony wszystko w niej krzyczało: Niech się pani obudzi! Nie widzi pani, co Azkiel z nami wszystkimi robi?

– Wolę zostać – wykrztusiła, a Tamara dała jej sójkę w bok.

– Tak trzymaj, mała. Zobaczysz, diabeł nie jest tak straszny, jak go malują.

– Tylko pamiętaj, Nino – w głosie pani Celiny zabrzmiała twardsza nuta – jeśli zostajesz, nie chcę więcej żadnych awantur ani straszenia innych dzieci.

– N... nie będzie awantur.

– Świetnie, cieszę się, że to rozumiesz, kochanie. – Kobieta uśmiechnęła się, a Ninę na widok tego uśmiechu zalała fala złości tak silna, że niemal odebrała jej oddech. Gdyby teraz opiekunka chciała jej dotknąć, zaczęłaby chyba wrzeszczeć.

Odetchnęła i spróbowała się uspokoić.

– Ale znajdzie pani przynajmniej fałszywego Sławka? Może wystarczy...

– Zrobię, co będę uważała za stosowne, Nino.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Ona wie, pomyślała dziewczyna. Wie, że jedno z nas nie jest tym, za kogo się podaje, ale nie zamierza nic z tym zrobić.

Odwróciła się w stronę drzwi. Gdy wychodzili, pani Celina jeszcze ją zawołała:

– Nino, zaczekaj chwilkę.

– Tak?

– Moim zdaniem powinnaś przemyśleć wyjazd. Widzę, jak bardzo się tu męczysz, dlaczego więc nie wrócisz do domu?

– Wolę zostać – powtórzyła Nina uparcie. Fakt, że opiekunka chce się jej pozbyć, sprawił tylko, że utwierdziła się w swoim postanowieniu.

– Jak chcesz. – Pani Celina westchnęła. – Oczywiście to twoja decyzja.

Na korytarzu Nina dogoniła Tamarę i Jacka, a potem klapnęła ciężko na

schody. Przyjaciele usiedli po jej bokach.

– Naprawdę uważam, że za bardzo się tym wszystkim przejmujesz... – bąknęła Tamara.

– Możemy razem odnaleźć fałszywego Sławka, jeśli chcesz. – Jacek zapalił się do nowego projektu.

– Właśnie – poparła go Tamara. – Bardzo dobrze wydedukowałaś, gdzie może być walizka Staszka. Byłby z ciebie świetny detektyw. My możemy być twoimi Watsonami.

– Co to jest watson? – zainteresował się Jacek, a starsza dziewczyna parsknęła:

– Nieważne, wyjaśnię ci później. To jak, Nina, przestaniesz mieć taką ponurą minę i zajmiesz się tą sprawą?

Nina zrozumiała, że oni proponują jej zabawę w detektywów na pocieszenie, tak jak choremu dziecku daje się cukierka, żeby nie marudziło. O rany, gdyby to nie było takie okropne, to mogłoby nawet być zabawne.

– Nina?

I tak przecież muszę tu wytrzymać jakiś czas, myślała. Aż pani Stefania i mój tato czegoś nie wykombinują. Dwa, może trzy dni, potem będę mogła wrócić do domu. Poza tym Nina przyznała sama przed sobą, że mimo całego strachu jest jednak ciekawa, kto podszywa się pod Sławka. W teorię diabła nie bardzo wierzyła, Azkiel, co prawda, nie był tak naprawdę aniołem, ale z pewnością dysponował mocą i gdyby Bestia z Kręgu rzeczywiście udawała jednego z chłopców, skrzydlaty potrafiłby ją chyba rozpoznać?

A jeśli nie diabeł, to kto? I przede wszystkim po co?

- Jasne, mogę zająć się tą sprawą – westchnęła. – Kupcie mi tylko jeszcze fajkę i czapkę z daszkiem, a będzie ze mnie Sherlock Holmes jak się patrzy.
- Widzisz, zaczynasz odzyskiwać poczucie humoru. – Tamara wyszczerzyła zęby. – Zastanówmy się, który z chłopaków może być fałszywy?
- Niewielu mamy kandydatów – zwrócił uwagę Jacek. – Tylko Adam, Mariusz i Artur.
- Czemu nie ty? – zachichotała Tamara.
- Jacek raczej odpada. – Nina usiadła wygodniej. Przyjaciele mieli rację – kiedy zajmowała myśli czymś innym, przestawała się tak bardzo bać.
- Czemu?
- Bo widzieliśmy jego matkę, a ona przecież poznałaby własnego syna. Znaczący, na upartego jestem w stanie uwierzyć, że fałszywy Sławek wynajął jakąś kobietę, żeby udawała jego matkę, ale nikt chyba nie zadawałby sobie aż tyle trudu.
- Dzięki, Nina.
- No dobrze, Jacek odpada. Czyli kto? – Tamara wyciągnęła nogi i odchyliła się do tyłu, opierając plecy o stopień powyżej.
- Mariusz to tępy osiłek – rozważała Nina. – Jeśli udaje, to musi być genialnym aktorem. Artur z kolei jest wredny i śliski jak wąż, co by pasowało, ale nie jestem pewna, czy fałszywy Sławek nie starałby się jednak udawać kogoś miłszego. To samo z Adamem.
- Chłopak ma beznadziejny charakter, fakt – przyznała Tamara.
- Adam dziwnie się czasem zachowuje i wie najwięcej z nas wszystkich o tym, co się tutaj dzieje. Tak myślę. Gdybym miała teraz wybierać, chyba



stawiałabym na niego. Jest najbardziej podejrzany.

– W książkach zawsze przestępcą okazuje się ten, kto jest najmniej podejrzany – przypomniała Tamara.

– Czyli Mariusz? – upewnił się Jacek.

– Na to wygląda. – Nina przytaknęła z wahaniem. Tak naprawdę nie przekonywała jej do końca żadna z tych trzech kandydatur. Miała wrażenie, że jest w tym wszystkim coś, czego na razie nie dostrzegają.

– Lepiej, żebyście nie wspominali nikomu o Sławku – zastrzegła. – Niech ten, kto się pod niego podszywa, myśli, że jest bezpieczny, bo my niczego nie podejrzewamy.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a Nina od czasu do czasu zerkała w umieszczone na półpiętrze okno. Im bardziej blask słońca stawał się czerwony, tym częściej milkła i plątała się w zdaniach. Wreszcie wstała.

– Muszę na moment pójść do ogrodu – oznajmiła.

– Iść z tobą? – zaproponował Jacek.

– Nie, ja... muszę pomyśleć. – Nina po raz kolejny nie wykazała się talentem do znajdowania wymówek.

– Następne tajemnice? – Tamara uniosła brwi. – Nie zamierzasz chyba znowu zwać, co?

– Nie, jasne, że nie. Wrócę niedługo.

– Niech ci będzie. Chodź, Jacek, zagramy przed kolacją w karty. Zakład, że cię ogram?

– Zawsze mnie ogrywasz, to się już robi trochę nudne.

Tamara i Jacek skierowali się w stronę pokoju z kominkiem, a Nina wyszła

na zewnątrz. Znalazła już wcześniej miejsce przy drzewie morwy, skąd miała dobry widok na uschniętą kępę, a jednocześnie nie była zbyt blisko. Usiadła na trawie i podciągnęła kolana pod brodę. Diabelski Krąg znowu się powiększył i dotarł już do pnia śliwy. Niedaleko widziała Mariusza, który pokazywał Małgosi siedzącego na gałęzi ptaka i tłumaczył coś. Ninę uderzyło, że chłopak jest cierpliwy i łagodny, zupełnie jak nie on. Nawet się uśmiechał, podczas gdy Małgosia słuchała, wyraźnie przejęta. W Mariuszu musiały obudzić się opiekuńcze instynkty, gdy niósł dziewczynkę na rękach, bo od tamtej pory traktował ją trochę jak młodszą siostrę – ale tylko gdy Artura nie było w pobliżu, bo kiedy Flip się pojawiał, Flap natychmiast znów stawał się gburowatym, milkliwym osiłkiem.

Wracajcie do środka, poganiała ich w myślach. Nie widzicie, że słońce zaraz zacznie zachodzić? No już, wynoście się stąd.

Wreszcie chłopak i dziewczynka ruszyli w stronę klasztoru, a Nina mogła odetchnąć z ulgą. No, może względną ulgą, bo nadal zerkała nerwowo w stronę Diabelskiego Kręgu, a strach budził nieprzyjemne uczucie w jej żołądku.

Co będzie, jeśli kogoś rzeczywiście przyciągnie moc Kręgu? Nina rzuci się na niego z okrzykiem „Ani kroku dalej”? Małgosię pewnie zdołałaby zatrzymać, bo dziewczynka była drobna i mała, ale co z chłopcami? Albo z postawną Elizą, na oko znacznie silniejszą niż Nina?

A sama Nina, czy zdoła oprzeć się mocy Kręgu, jeśli ten zacznie ją wzywać?

Uschnięta kępa na tle purpurowej tarczy słońca wyglądała, jakby stała w ogniu. Poskręcane konary miały kolor głębokiej czerni. Była to czerń wnętrza studni, gdzie nie dociera żaden promień światła, czerń wypalanej gwiazdy rzu-

conej w czerwień kosmicznego paleniska. Nina mrużyła powieki, a jej obolałe od światła, zażawione oczy dostrzegały dziwne rzeczy – konary zdawały się drgać, drgały i wiły się jak węże, by przybrać kształt...

Nie, nie będę w tamtą stronę patrzeć.

Odwróciła się z mocno bijącym sercem. Czuła, jak łomocze jej w piersi: ŁUP, ŁUP, a Diabelski Krąg odpowiadał niczym echo. Jakby między konarami również uderzało wielkie, purpurowoczarne serce, kurczące się i rozkurczające w jednostajnym rytmie. ŁUP, ŁUP. Nina miała ochotę podejść tam i sprawdzić, co to takiego, tylko kilka kroków...

Nie.

Zacisnęła spocone dłonie w pięści i spróbowała skupić myśli na czymś innym.

Na przykład na tym, czy istnieje możliwość, że to Nina właśnie jest Wybrańcem.

Sporo faktów na to wskazywało, ale kłopot w tym, że ona sama wcale Wybrańcem się nie czuła. I nie była bohaterką, tylko wystraszoną trzynastolatką, która tkwiła w ogrodzie, pilnując, by nikt więcej nie wszedł do Diabelskiego Kręgu, ponieważ nie istniał absolutnie nikt inny, kto mógłby się tym zająć.

Poza Niną wszyscy zostali zaczarowani przez Azkiela. Gdyby w klasztorze znalazła się choć jedna przytomna osoba, dziewczyna natychmiast i z wielką radością przerzuciłaby na nią odpowiedzialność, co raczej nie podpadało pod kategorię bohaterskiego czynu. Była pewna, że gdyby na jej miejscu siedział tu teraz Sławek, nie trząsłby się jak spocona mysz w dziurze, przy której czatuje kot. W dodatku pewnie miałby już plan, jak się z całej tej matni wywinąć i pokonać Bestię.

Lecz to Nina potrafiła otwierać okna oraz drzwi siłą woli. I jedynie na Ninę nie zadziałała anielska magia. A skrzydlaty nazwał ją „najbardziej samodzielnie myślącą” z całej trzynastki...

Na myśl, że miałyby być Wybrańcem, poczuła się jednocześnie przerażona i podekscytowana.

Zacisnęła pięści mocniej, aż paznokcie wbiły się w skórę. Krąg wzywał ją i zarazem odpychał. Było to dziwne uczucie przypominające to, jakiego doznała pewnego dnia na widok wielkiego włochatego pająka, kiedy z jednej strony wzdrygnęła się z obrzydzeniem, a z drugiej coś nieodparcie ciągnęło ją, żeby przyjrzeć się bliżej paskudnemu stworzeniu.

Tylko kilka kroków, zobaczę jedynie, czy płatanina konarów naprawdę układa się w jakiś kształt, czy tylko mi się wydaje...

Nie, nakazała samej sobie surowo i żeby zająć czymś myśli, zaczęła nucić cicho pod nosem piosenki. Wkrótce moc Kręgu osłabła. A więc Nina mogła nad nią zapanować. To trochę ją uspokoiło.

– Bu! – Ktoś wrzasnął za jej plecami.

Poderwała się z sercem w gardle i odwróciła. Za nią stał szeroko uśmiechnięty Artur.

– Ty idioto! Odbiło ci?

– Boimy się, co? – Chłopak szczyrzył zęby. – Nie siedź tutaj, bo zaraz coś wylezie z drzew i odgryzie ci nogi przy samym tyłku. Chap, chap. – Kłapnął szczękami, a potem roześmiał się głośno.

– Kretyn! – Pchnęła go w pierś. Furia dodała jej sił i chłopak upadł na trawę z wyrazem oszołomienia tak wielkim, że Nina musiała zachichotać.

Poderwał się zaraz, cały czerwony.

– Nie pozwalaj sobie – warknął.

– Bo co, poszczujesz mnie swoim łańcuchowym psem?

– Jeśli będę chciał, Mariusz załatwi cię lepiej niż wszystkie diabły świata, więc uważaj. Zakład, że potrafiłby wyrwać ci rękę i nawet się przy tym nie spocić?

– Zakład, że bez swojego psa jesteś tylko małą, wstrętną glistą?

Artur skrzywił się i na chwilę jego ładna twarz elfa stała się odpychająca.

– Mogę znacznie więcej niż ten pacan – wysyczał. – Jeszcze się przekonasz.

Tak naprawdę to ja jestem Wybrańcem, nie Mariusz.

– W życiu bym na to nie wpadła – oznajmiła Nina, ale ironia najwyraźniej do chłopaka nie dotarła.

– Zobaczysz. – Odsunął się. – Jeszcze się przekonasz. Wszyscy się przekonacie.

Zniknął w gęstniejącym mroku, a Nina potrzebowała chwili, żeby się uspokoić. Teraz kiedy złość minęła, poczuła, że drżą jej kolana, lecz kiedy przypomniała sobie minę siedzącego na trawie chłopaka, wybuchnęła nerwowym śmiechem.

Wybraniec, też coś.

Poczekwała, aż słońce całkiem zajdzie i wróciła do klasztoru. Do kolacji zostało jeszcze trochę czasu. Mogła pójść do pokoju z kominkiem, gdzie Tamara i Jacek grali w karty. Albo mogła zrobić coś innego.

Znalazła świecę oraz pudełko zapalek i skierowała się w stronę drzwi do piwnicy. Może dzisiejszego ranka pani Celina i Azkiel usunęli okaleczonego anioła

tylko na chwilę, żeby zademonstrować Ninie puste pomieszczenie, a potem przenieśli więźnia z powrotem?

Nie zaszkodzi spróbować.

Jednak piwnica wciąż była pusta. Nina właściwie się tego spodziewała, ale i tak poczuła się zawiedziona, a ciężar samotności jeszcze bardziej ją przyniósł. Gdyby tylko mogła przez chwilę porozmawiać z kimś, kto nie jest zaczarowany... Była oczywiście pani Stefania, ale daleko, a Nina potrzebowała sprzymierzeńca tutaj, w klasztorze.

Może okaleczony anioł wciąż gdzieś tu był? Powiedział, że jest przynęta, a przynęty się nie wyrzuca – chyba że przestaje być potrzebna. Czy pani Celina i Azkiel pozbyli się więźnia (przez „pozbyli się” Nina rozumiała „pozwolili mu odejść”, o gorszych ewentualnościach nie chciała myśleć)? Jeśli tak, w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin musiało wydarzyć się coś, co sprawiło, że przynęta stała się bezużyteczna. Jeśli nie, anioł wciąż przebywał w klasztorze, tylko uwięziony w innym miejscu.

Ze świecą w ręku obeszła budynek, zaglądając do opuszczonych pomieszczeń i cel. Nie miała wielkich nadziei – gdyby anioła zamknięto po prostu na piętrze czy na parterze, jego krzyki prędzej czy później zwróciłyby czyjąś uwagę, dlatego wątpliwe, by pani Celina i Azkiel tak ryzykowali. Może więc trzymali więźnia poza klasztorem, ale gdzieś niedaleko?

W jaskini? Jacek wspominał, że są tu jaskinie, a Nina sama w jednej była, choć nie potrafiłaby tam teraz trafić.

Tak czy inaczej, w klasztorze okaleczonego anioła nie znalazła. W jednej z zakurzonych cel natknęła się za to na bagaże Tymka i Staszka – te ostatnie

cuchnęły zgnilizną tak bardzo, że nie przegapiłaby ich nawet w całkowitej ciemności.

Kucnęła obok i położyła świecę na podłodze. Mokre, rozpadające się rzeczy Staszka przejrzała szybko i z lekkim obrzydzeniem. Nic ciekawego nie znalazła poza legitymacją szkolną – jednak druk rozmazał się tak bardzo, że nie dało się nawet przeczytać nazwiska, a namokłe zdjęcie mogło przedstawiać jakiegokolwiek chłopaka w zbliżonym wieku. Z walizką Tymka miała więcej szczęścia, bo niemal od razu w wewnętrznej kieszeni odkryła złożoną na pół kartkę papieru z wypisanym drukowanymi literami numerem. Telefon? Chyba tak. Tymek był na tyle mały, że rodzice prawdopodobnie nie ufali mu, że zdoła zapamiętać tych kilka cyfr. Przed dwoma laty jedenastoletnia Nina wyjeżdżała na wakacje z bardzo podobną kartką.

Złożyła papier i schowała go do kieszeni, po czym poszła prosto na kolację, bo przez grube ściany klasztoru słyszała już stłumiony dźwięk gongu.

Pani Celiny w jadalni nie było. Adam przeprosił w jej imieniu i powiedział, że opiekunka nieco się spóźni. Potem poprowadził modlitwę. Nina klepała znane jej słowa bezmyślnie, wciągając już nosem zapach kanapek, których stos piętrzył się na talerzu. Większość była z żółtym serem, ale na samej górze leżały dwie kromki z kielbasą, której resztką została z wczorajszego wieczoru. Nina przełknęła ślinę. Była głodna, jakby nie jadła od dwóch dni.

Skończyli modlitwę i dziewczyna sięgnęła po kromkę z kielbasą. Drugą wziął Mariusz. Artur szepnął mu coś do ucha, a potem spojrzał na Ninę i uśmiechnął się złośliwie.

– Ej, ty – powiedział Flap swoim ponurym tonem. – Kielbasa jest moja.

– Niby czemu? – zdziwiła się Tamara, a Nina zamarła z kanapką przy ustach.

Przeczuwała nadciągające kłopoty.

– Bo jestem mężczyzną, i to dużym. Potrzebuję siły i muszę jeść mięso. Wy jesteście chude baby, wam wystarczy ser.

Tamara parsknęła lekceważąco.

– Nie przejmuj się nim, Nina – powiedziała. – To idiota.

– Kiełbasa jest moja. – Mariusz zmrużył oczy. Była w nim jakaś ponura, tępa zaciekłość, która nie pozwalała dziewczynie wbić zębów w kanapkę. – Oddawaj albo sam po nią pójde.

– A wtedy będziesz miała problem – zachichotał Artur.

Nina powiodła wzrokiem po zebranych wokół stołu. Prócz Tamary nikt nie zamierzał stanąć w jej obronie, nawet Jacek stchórzył i jadł ze wzrokiem wbitym w talerz. Wyczuwała ich niechęć – Adam, Eliza i Hela gapili się na nią jak na pluskwę, Lidka miała świętoszkowatą minę, a Karolina chyba trochę Ninie współczuła, ale też nie zamierzała się odezwać. Tylko Małgosia wyglądała, jakby nie wiedziała, co się dzieje. Jak oni śmieli tak patrzeć? Nina poświęcała się i pilnowała tego cholernego Kręgu, a oni... oni...

– Jestem mężczyzną – powtórzył Mariusz. – Jak nie zjem mięsa, będę głodny.

– Kiedy człowiek jest głodny, organizm zaczyna zużywać tłuszcz – pouczyła go Nina. – W twoim przypadku zapasów starczy na jakieś pół roku, więc nie musisz się martwić.

Ktoś cicho zachichotał, chyba Tamara.

Flap patrzył na Ninę, a dziewczyna prawie widziała trybiki obracające się



w jego mózgu.

– Ona się z ciebie nabija – podpowiedział Flip.

– Jasne, bo Mariusz sam by na to nie wpadł – parsknęła Nina. Podszyta rozpaczą wściekłość dodawała jej odwagi, miała w nosie nawet to, że wszyscy się na nią gapią. – Jest na to za tępy.

Mariusz wstał, a Nina skuliła się odruchowo. Był od niej znacznie wyższy i pewnie dwa razy cięższy. Gdyby dobrze się rozpędził, wprasowałby ją w ziemię jak walec drogowy, nawet tego nie zauważając. O rany, przeżyła spotkanie z drzewnymi istotami i nie pozwoliła wciągnąć się do Kręgu tylko po to, żeby teraz pokonał ją przerośnięty mięśniak z powodu kanapki z kiełbasą?

– Nina, oddaj mu tę kromkę – powiedziała zniecierpliwiona Eliza, jakby zwracała się do rozkapryszzonego pięciolatka. – Nie bądź dzieckiem.

Pewnie że cała ta awantura była kompletnie idiotyczna, z tym Nina była skłonna się zgodzić. Ale dlaczego właśnie ona miała ustąpić?

Mimo złości doszła jednak do wniosku, że właściwie jako mądrzejsza powinna to zrobić, kiedy niespodziewanie odezwał się Adam.

– Obżarstwo to grzech – powiedział, wpatrując się w Mariusza świdrującymi niebieskimi oczami, które na tle bladej twarzy wydawały się niemal granatowe. – Wymuszanie na innych jedzenia też, dlatego będę wdzięczny, jeśli teraz zajmiesz się własnym talerzem i przestaniesz interesować się tym, co mają inni.

Nie wiadomo, czy Flap by go posłuchał, ale w tej chwili na szczęście do jadalni weszła pani Celina.

– Coś się stało? – zapytała.

– Tak, Mariusz próbował zmusić Ninę, żeby oddała mu swoją kanapkę.

– To prawda, Nino?

– Tak – przyznała niechętnie. A już prawie zaczęła Adama lubić, w końcu stanął w obronie jej kolacji. Lecz potem znowu wylazł z niego donosiciel. Ninę zawsze uczono, że takie sprawy należy załatwiać między sobą, zamiast od razu biec z jęzorem do nauczyciela czy opiekuna.

– Porozmawiam z Mariuszem później. Teraz jedzcie.

Jednak Nina straciła apetyt. Nie przez głupie żądania Flapa, bo to była dziecinada, ale dlatego, że tak naprawdę dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że prócz Tamary i Jacka nikt jej tu nie lubi. Gdyby wyjechała albo może nawet zginęła w Kręgu, pewnie by się z tego ucieszyli. I to czemu? Bo próbowała uświadomić innym, że grozi im niebezpieczeństwo?

Gryzła chleb, z trudem przepychając kęsy przez ściśnięte gardło.

Po kolacji Jacek, Tamara i Nina siedzieli jeszcze przez jakiś czas w pokoju z kominkiem, lecz Nina była roztargniona i milcząca. Przegrywała we wszystkie gry, nawet najprostsze, a kiedy przyjaciele pytali, co się z nią dzieje, potrząsała tylko głową. Ciągle nasłuchiwała, czy na zewnątrz nie zaczyna padać, ale na szczęście wieczór był pogodny.

Tej nocy mimo zmęczenia nie spała wiele. Przewracała się na łóżku, pogrążona w półśnie, z którego wrywał ją każdy głośniejszy dźwięk. Śnił jej się pomruk nadciągającej burzy, który narastał powoli jak warkot gigantycznej bestii i niósł ze sobą zapowiedź grozy. Budziła się wtedy cała spocona, z łomoczącym sercem i uczuciem suchości w ustach. Dwa razy wstawała, żeby zapalić lampę naftową i sprawdzić godzinę na zegarze.

Druga w nocy.

Wpół do czwartej.

Wstała przed piątą, gdy ciemność za oknem lekko poszarzała. Raz jeszcze zapaliła lampę, włożyła zimne, sztywne ubranie i dygocząc, wymknęła się z sypialni. Trawa w ogrodzie była mokra od rosy i Nina pożałowała, że nie wzięła niczego, na czym mogłaby usiąść, było jednak za późno, żeby zawrócić. Słońce już wynurzało się zza horyzontu. Dziewczyna przykucnęła pod drzewem morwy i tak jak wieczorem zaczęła nucić w głowie piosenki. Oczy jej się kleiły, a zmęczenie powoli brało górę nad zinnem i strachem.

Jak długo to wytrzymam? – zastanawiała się, czując ponagląjący zew Diabelskiego Kręgu. Owszem, mogła oprzeć się jego mocy, ale prędzej czy później pokona ją zwykły brak snu.

Łydki jej zdrętwiały, wstała więc i przez chwilę chodziła w kółko, starając się rozgrzać i rozruszać mięśnie. Ogród budził się do życia, w gałęziach coraz głośniejsz świergotały ptaki, a w pewnym momencie spod nóg Niny umknęła mała jaszczurka. Na jeziorze zawarczał silnik łodzi motorowej. Słońce wznosiło się jak anioł z ognistym mieczem, którego blask przegania cienie. Niebo poróżniało na wschodzie, a potem zblękitniało, ciemność bladła coraz bardziej, aż wreszcie został już tylko mrok przyczajony w konarach Diabelskiego Kręgu.

Nina rzuciła mu ostatnie spojrzenie. Tak jak przypuszczała, krawędź martwej strefy dotarła do pnia najbliższego drzewa i tam się zatrzymała. Krąg nie powiększał się, zajęty pożeraniem stojącej mu na drodze przeszkody. Liście śliwy już lekko zbrązowiały, ale wyglądało na to, że młoda, zdrowa roślina nie podda się tak łatwo. Nina dotknęła kory, jakby próbując dodać drzewu siły. Dzięki

niemu zyskali trochę czasu, pytanie tylko: ile?

Potem wróciła do klasztoru. Wszyscy jeszcze spali, zdjęła więc tylko buty i w ubraniu wsunęła się pod kołdrę. Niemal natychmiast zapadła w sen, który (tak jej się wydawało) trwał może kilka minut.

– Wstawaj, Nina. Spóźnisz się na śniadanie.

Niechętnie otworzyła oczy. Słońce świeciło w okna, w sypialni krzątały się dziewczyny, które wkładały spódnice, zapinały bluzki i czesały włosy. Przy jej łóżku stała Tamara.

– No już, bo prześpisz cały dzień. O cholera – zmarszczyła brwi – spałaś w ubraniu? Czy wychodziłaś gdzieś w nocy?

– Ja tylko... na chwilę... – Ninie plątał się język. Głowę miała ciężką i jakby wypchną watą, a pod powiekami piasek. Chciało jej się pić. – To nic ważnego. Musiałam tylko...

– Tak, wiem. Pomyśleć w ogrodzie samotnie albo coś w tym rodzaju. – Tamara skrzywiła usta. Nina uciekła spojrzeniem w bok, a w jej żołądku odezwało się mdlące uczucie pustki. – Nie chcesz mówić, to nie, twoje tajemnice, twoja sprawa. Szczerze mówiąc, mam gdzieś, dokąd łazisz po nocach. Ale nie traktuj mnie jak idiotki, bo tego nie lubię.

– Przepraszam... – wymamrotała Nina, bo nic innego nie przyszło jej do głowy, ale Tamara już szła w stronę drzwi.

Nina wyskoczyła z łóżka i ubrała się. Nie będę płakać, powtarzała sobie i tym razem udało jej się powstrzymać łzy. Śniadanie zjadła w milczeniu, kryjąc twarz pod rozpuszczonymi włosami. Kawa zbożowa, chleb z masłem. Konfitury już się chyba skończyły. Wmuszała w siebie kolejne kęsy, bo wiedziała, że po-

trzebuje sił, ale była zbyt zmęczona, żeby czuć głód. A dzisiaj rano zapięła pasek spódnicy o jedną dziurkę bliżej. Jeśli tak dalej pójdzie, po wakacjach będzie chuda jak patyk. Zakładając optymistycznie, że w ogóle z wakacji wróci. Nie będę o tym myśleć, postanowiła, czując, jak kawałek chleba staje jej w gardle. Jacek o coś pytał, ale odpowiadała półsłówkami i tak bezsensownie, że w końcu wzruszył ramionami i odwrócił się od niej. Za to Adam cały czas się na nią gapił, aż poczuła się nieswojo. Czego on mógł od niej chcieć? Czekał na podziękowanie za to, że zeszłego wieczoru ocalił jej kanapkę czy jak?

Po śniadaniu od razu wymknęła się do miasteczka. Miała poczucie winy, bo nie powiedziała Tamarze i Jackowi, dokąd idzie. Musiała jednak tak zrobić, gdyż w przeciwnym wypadku zechcieliby pewnie do niej dołączyć, a na to nie mogła przecież pozwolić. Są pod wpływem anielskiej magii, nie wolno im ufać, tłumaczyła sobie, maszerując w kierunku Markotów, lecz na wspomnienie skrzywionych ust Tamary oraz Jacka odwracającego się przy śniadaniu w żołądku Niny znów odezwało się mdlące uczucie. Co będzie, jeśli straci dwie ostatnie osoby, które jeszcze traktowały ją przyjaźnie?

Nie będę o tym myśleć, powtarzała jak mantrę, starając się utrzymać równe, szybkie tempo. Ostatnio było mnóstwo rzeczy, o których nie chciała myśleć.

Gdy dotarła do Markotów, zegar na wieży kościelnej wybijał godzinę dziewiątą. Pani Stefania, która otwierała właśnie kawiarnię, zawahała się na widok Niny, a potem się uśmiechnęła.

– Witaj – powiedziała, przytulając ją mocno. – Tak się cieszę, że jesteś cała i zdrowa.

Zaraz potem spoważniała.

– Niestety, nie mam dobrych wiadomości – westchnęła. – Byłam wczoraj na poczcie, ale powiedzieli mi, że wszystkie telefony są zepsute i nie wiadomo, kiedy je naprawią. Mam jednak inny pomysł. Rozmawiałam już z sąsiadem, który obiecał pożyczyć samochód, mogę więc pojechać do Gdańska i stamtąd zadzwonić. Wybierzesz się ze mną? To tylko czterdzieści minut jazdy, zdążymy przed twoim obiadem, a w drodze powrotnej podrzucę cię pod klasztor. Co ty na to?

Nina miała wielką ochotę jechać. Wyobraziła sobie gwarne, piękne miasto, w którym mogłaby choć na chwilę zapomnieć o czającym się w klasztorze niebezpieczeństwie. I morze. Zobaczyłaby znowu morze, które bardzo lubiła. Spojrzała w niebo. Było błękitne, bez najmniejszej nawet chmurki. Dziś chyba nie będzie padać.

– Tak, bardzo chętnie pojedę. Przy okazji, mam jeszcze numery telefonów Tamary i Tymka.

– Znakomicie. Zobaczymy, czy uda nam się skontaktować z ich rodzinami.

Pożyczony od sąsiada samochód okazał się starą, poobijaną półciężarówką, w której czuło się woń kur czy może gęsi. Pani Stefania od razu otworzyła okna, a Nina usiadła na fotelu pasażera. Smród na początku jej przeszkadzał, lecz potem przykry zapach wywietrzał i dziewczyna mogła się skupić na mijającym krajobrazie. Pani Stefania prowadziła pewnie, zupełnie jak mężczyzna.

Miała na sobie brązową spódnicę do kolan, praktyczne buty na płaskim obcasie i dużą skórzaną torbę. W kawiarni sprawiała wrażenie po prostu sympatycznej i eleganckiej starszej pani, jednak za kierownicą zmieniała się – była teraz bar-

dziej energiczna i... twarda, tak, to chyba właściwe słowo. Jak prawdziwy dobry sojusznik.

Wkrótce Ninę zmorzył sen. Kiedy się obudziła, półciężarówka stała zaparkowana przy ruchliwej ulicy. Dziewczyna poruszyła się niespokojnie. Kark miała zeszywniały i w pierwszej chwili wystraszyła się, widząc puste miejsce kierowcy. Zaraz jednak zauważyła, że zatrzymały się przy budynku poczty. Najwyraźniej pani Stefania poszła zadzwonić.

Nina czekała cierpliwie. Po raz pierwszy od wielu godzin czuła się naprawdę nieźle. Wypała się, było ciepło i świeciło słońce, a wokół niej wrzało zwyczajne miejskie życie. Tramwaje podzwaniały wesoło, dzieci marudziły, dopraszając się lodów albo pójścia na plażę, a dziewczęta wyglądały lekko i radośnie w letnich, kolorowych sukienkach. Tylko stojąca pod sklepem kolejka psuła nieco obraz wakacyjnej idylli, ale nawet ona wydawała się teraz Ninie swojska i sympatyczna.

Dziewczyna przymknęła oczy. Wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy anielska magia przestanie działać i nagle wszyscy w klasztorze zorientują się, co Nina dla nich zrobiła. Pewnie zaczną ją przeproszać, a ona wtedy okaże wielokoduszność i powie: „Nie mam pretensji, przecież to nie wasza wina, że zostaliście zaczarowani”.

Miłą wizję przerwał powrót pani Stefanii. Miała ściągniętą smutkiem twarz. – Nie udało mi się dodzwonić do sąsiadów twoich rodziców, Nino – powiedziała. – Przykro mi. Ale za to skontaktowałam się z ojcem Tamary i postarałam się wytłumaczyć mu, jak wygląda sytuacja, a on obiecał, że zaraz wsiądzie w samochód i za parę godzin tutaj będzie. Mam nadzieję, że nam pomo-

że. Sądząc po tym, co mówił, to rozsądny i bardzo inteligentny człowiek.

Ojciec Tamary był profesorem, a profesorowie niewątpliwie zaliczali się do mądrych ludzi.

Nina skinęła głową, czując, jak w jej serce wlewa się otucha. Tak, profesor zdecydowanie powinien coś wymyślić. Nie żałowała nawet, że pani Stefania nie rozmawiała z tatą. Może to i lepiej, że rodzice Niny nie będą w to wszystko zamieszani.

Kobieta wsunęła się na fotel kierowcy. Uśmiechnęła się, jakby chciała dodać Ninie odwagi.

– Podjedziemy teraz do centrum, dobrze? Byłaś już kiedyś w Gdańsku? Nie?

W takim razie pokażę ci fontannę Neptuna, a potem znajdziemy jakąś miłą kawiarnię i zjemy lody. Ja stawiam. A, i jeszcze jedno. Pozwolisz zrobić sobie zdjęcie?

– Zdjęcie? – Nina zamrugła.

– Tak, zwykłe zdjęcie. – Pani Stefania wyglądała na lekko zakłopotaną. Samochód ruszył. – Widzisz, ja też jestem pod wpływem anielskiej magii. Wczoraj mało brakowało, a zapomniałabym iść na pocztę i zadzwonić, a dziś rano, kiedy cię zobaczyłam, przez moment nie mogłam skojarzyć, kim jesteś, dopiero po chwili wszystko sobie przypomniałam. Dlatego twoje zdjęcie mogłoby pomóc.

– Jasne, nie ma sprawy.

– Proponuję też umówić się tak, że jeśli po zmroku znajdziesz się w kłopotach, wejdiesz na piętro w klasztorze i zapalisz światło w pomieszczeniu, którego okna wychodzą na jezioro, wszystko jedno w jakim. Znasz sygnał SOS?

– Trzy kropki, trzy kreski i znowu trzy kropki.



– Dokładnie tak. Trzy krótkie błyski, potem trzy długie i ponownie trzy krótkie. Z okien mojego pokoju widzę światła palące się w klasztorze, zauważę więc twój sygnał. I dam ci latarkę, na wszelki wypadek, gdyby elektryczność wysiadła. Mam ją teraz w torbie: to duża, porządna latarka, najmocniejsza, jaką udało mi się kupić.

– Dziękuję – powiedziała Nina dość oszołomiona. Dlaczego jej nie przyszło coś takiego na myśl?

– Jeśli będziesz potrzebować pomocy w dzień, spróbuj wywiesić przez okno coś dużego i widocznego.

– Prześcieradło? – Ninie przypomniał się powiewający na wietrze żagiel niedoszłej tratwy. Szkoda, że nie udało im się jej zbudować.

– Znakomicie, prześcieradło powinno się nadać. Będę jak najczęściej patrzeć w okna klasztoru i jeśli tylko zobaczę sygnał, natychmiast wezmę samochód i do ciebie przyjadę.

– Może pani z niego korzystać, kiedy pani chce? Znaczy z auta?

– Mogę. – Pani Stefania uśmiechnęła się pokrzepiająco. – Co prawda, tylko do czwartku, ale tyle przecież wystarczy. Nie sądzę, żebyście musieli spędzić w klasztorze więcej czasu. A najpewniej już dzisiaj znajdziemy rozwiązanie i jutro wszyscy będziecie bezpieczni.

Jej słowa podniosły Ninę na duchu. Czwartek wypadał pojutrze – nawet gdyby rzeczywiście mieli zostać w klasztorze tak długo, potrafiłaby to wytrzymać.

Dwie noce, dwa dni.

Dam radę, pomyślała.

– Oczywiście zawsze możesz zmienić zdanie i zatrzymać się u mnie. Byłoby mi bardzo miło.

– Chciałabym, ale muszę zostać w klasztorze.

Resztę przedpołudnia spędziły bardzo miło, jedząc lody i oglądając gdańskie kościoły – a przynajmniej te, które odbudowano już po wojnie. Nina od czasu do czasu popisывała się znajomością architektury, bez większego problemu odróżniając gotyk od renesansu, a ten z kolei od baroku. Pani Stefania była pod wrażeniem, podczas gdy dziewczyna puchła z dumy. Może i nie potrafiła grać w karty ani przybić porządnie gwoździa, ale przynajmniej wiedziała, co to jest nawa, a co transept. Podczas leniwego spaceru wyobrażała sobie, że pani Stefania jest jej ciotką, do której przyjechała na wakacje. Po obiedzie wybiorą się razem nad morze, wieczorem pochodzą jeszcze po mieście, patrząc, jak na Długim Targu zapalają się latarnie, a jutro Nina będzie pomagać w kawiarni.

Z marzeń wyrwał ją widok studia fotograficznego. Na szybie widniał napis: Błyskawiczne wywoływanie zdjęć, w środku była tylko kobieta z małą, może dwuletnią dziewczynką, którą portretowano właśnie na tle niezbyt czystych pluszaków. Pani Stefania i Nina czekały cierpliwie, a kiedy przysła jej kolej, dziewczyna usiadła na stołeczku. Fotograf błysnął fleszem. Zdjęcie rzeczywiście było gotowe szybko, ale nie wyszło dobrze. Nina wyglądała na nim na starszą, miała podkrążone oczy i smutną, wychudzoną twarz z kośćmi policzkowymi odznaczającymi się pod skórą jak groty strzał.

Ja naprawdę tak wyglądam? – zastanawiała się. Osoba na fotografii wydawała jej się obca i jednocześnie godna współczucia, aż Nina miała ochotę objąć ją i pocieszyć.

Dopiero godzinę później, gdy wracały do samochodu, pomyślała o Tymku.

Przecież pani Stefania miała rozmawiać z jego rodzicami. Jak Nina mogła o tym zapomnieć? Zajadała lody i siedziała nad morzem, podczas gdy gdzieś w Kędzierzynie (bo stamtąd pochodził Tymek) rodzice opłakiwali zaginionego syna.

Jak mogła zapomnieć?

– Rozmawiała pani z rodzicami Tymka, prawda? – zapytała, kiedy samochód ruszył. Wspomnienie pełnej smutku twarzy pani Stefanii paliło ją wstydem. Nie pomyślała nawet, skąd ten smutek się wziął. Za bardzo była zajęta wizją ojca Tamary, który przyjeżdża do Markotów i uwalnia Ninę oraz jej przyjaciół z pułapki klasztoru.

– Z jego matką. – Stefania Bystrzak spojrzała w lusterko i zgrabnie wyprzedziła furmankę. – To był numer do zakładu, gdzie pracuje, długo musiałam czekać, aż ją zawołają. Biedna kobieta, nie jestem pewna, ile z moich wyjaśnień zrozumiała. Najpierw mnie oskarżyła, że robię sobie okrutne żarty, potem zaczęła krzyczeć, a wreszcie się rozplakała.

– Uwierzyła pani?

– Nie wiem, chyba niezupełnie. Na jej miejscu też bym nie uwierzyła. Ale była przerażona, a ja mam wyrzuty sumienia. Takie rzeczy najlepiej mówić w cztery oczy.

– Co ona teraz robi?

– Mama Tymka? Nie wiem, naprawdę nie wiem. – Pani Stefania westchnęła.

A jeśli w rozpaczy pobiegnie na milicję? – odezwał się w Ninie tchórzliwy głosik.

Trudno, odpowiedziała sama sobie. Na to i tak nic nie poradzimy.

Co zrobiłaby mama Niny, gdyby pewnego dnia obca osoba powiedziała jej, że Nina zaginęła w tajemniczych okolicznościach? Wpadłaby w histerię? Wsiadła do pociągu i pojechała szukać córki? Postawiła na nogi wszystkie możliwe służby bezpieczeństwa niezależnie od tego, jakimi konsekwencjami by to groziło?

– Opowiadała mi trochę o Tymku... – Pani Stefania docisnęła pedał gazu.

Przed nimi była szeroka, pusta szosa. Po prawej i lewej stronie ciągnęły się pola zżętej pszenicy, nad którymi krążyły wrony. Upał wisiał nisko nad ziemią, Nina czuła go mimo otwartych okien. Z jej czoła spłynęła kropla potu. W miejscu, gdzie droga zbiegała się na horyzoncie, niebo wyglądało jak zalane atramentem. – Niewiele z tego zrozumiałam, bo pani Zielińska przez cały czas płakała. Tyle tylko, że to bardzo miły chłopiec o dużej wyobraźni, taki, który ciągle coś zmyśla, ale nikt mu nie wierzy.

Nina milczała. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak to jest, kiedy człowiek dostaje wiadomość, że jego dziecko zaginęło. Czy Tymek był jedynakiem? Chyba tak, w każdym razie dziewczyna nie pamiętała, żeby kiedykolwiek wspominał o rodzeństwie. To musi być okropne, tak stracić syna. Nie wiecieć, co się z nim stało, i cały czas czekać na wiadomość, że odnalazł się żywy albo że został znaleziony martwy. Godziny czekania zmieniające się w dni, dni przechodzące w miesiące, a te z kolei w lata. Kiedy ludzie godzą się ze stratą i zaczynają zapominać?

Chyba nigdy, pomyślała. Pewnie łatwiej pogodzić się ze śmiercią niż z takim zniknięciem. Umarli przynajmniej nie cierpią, a Tymek wciąż może krzyczeć z bólu, wołając rodziców, którzy nigdy mu nie pomogą, bo nawet nie wiedzą,

gdzie go szukać.

– Nino, dobrze się czujesz?

– Taaak.

Nieprawda, nie czuła się dobrze. Pęd powietrza wciskał jej w gardło ciężką, przedburzową duchotę, błękit nieba zmieniał się stopniowo w złowrogą siność.

– Nie martw się, może przejdzie bokiem – pocieszyła ją pani Stefania, ale ona też miała niepewną minę.

Nadciągała burza. Może jeszcze dziś następna osoba zniknie.

– Proszę jechać szybciej. Proszę!

– Nino, jadę najszybciej, jak tylko mogę. Twoim przyjaciołom nic nie przyjdzie z tego, że wylądujesz w szpitalu.

Z rozpaczą zamknęła oczy. Jeszcze trzydzieści kilometrów, jeszcze dwadzieścia pięć. Szybciej, szybciej, poganiała w myślach półciężarówkę.

Jeśli ktoś ma zniknąć, niech to będzie Mariusz, Artur albo Adam, ale nie moi przyjaciele. To było podłe, jednak nie potrafiła powstrzymać się przed takimi myślami.

– Zdamy, już niedaleko – uspokajała ją pani Stefania.

Dwadzieścia kilometrów, piętnaście. Nina zaczynała się odprężyć. Wyglądało na to, że faktycznie zdążą przed burzą.

Jej myśli znowu pobiegły w stronę Tymka. Miły chłopiec o dużej wyobraźni, taki, który ciągle coś zmyśla, ale nikt mu nie wierzy. Obracała słowa w głowie, a ich sens z wolna do niej docierał. Czy takie określenie pasowało do Tymka, jakiego znała Nina? Tego samego chłopca, który na widok ulewy mówił: „Ależ skąd, pogoda jest piękna” i wszyscy, nawet pani Celina, natychmiast byli goto-

wi wyjść do ogrodu?

– Na pewno pani Zielińska użyła takich właśnie słów: „zmyśla, ale nikt mu nie wierzy”?

Pani Stefania skinęła głową.

– Tak. Reszty nie rozumiałam dobrze, ale to owszem.

Bez sensu. Przecież matka powinna znać własne dziecko.

W oddali zahuczał grom. Nina miała wrażenie, że ich półciężarówka wjeżdża w długi, ciemny tunel pod wiszącymi nisko skłębionymi chmurami, które niemal całkiem przysłoniły słońce. Ich brzegi podświetlone były na czerwono, jak-

by po niebie płynęła rzeka ognistoczarnej lawy. Dwanaście kilometrów, dziecięć. Zdażymy, pocieszała samą siebie.

A jeśli Tymek, którego znała Nina, nie był wcale tym samym Tymkiem, o którym mówiła pani Zielińska? Wcześniej, rozważając, kto mógłby zająć miejsce Sławka, Nina nawet nie wzięła pod uwagę dwójki zaginionych chłopców – ale właściwie czemu nie? Powiedzmy, że fałszywy Tymoteusz Sławomir (szkoda, że pani Stefania nie zapytała, jak Tymek miał na drugie imię...) przyjechał do klasztoru, a potem upozorował własne zniknięcie i...

Nie, to też bez sensu. Tymek nie mógł zająć miejsca Sławka, bo Sławek był sierotą. Poza tym do niego również nie pasował opis „coś zmyśla, ale nikt mu nie wierzy”. Obaj chłopcy potrafili być bardzo przekonujący niezależnie od tego, co mówili. Bez sensu, bez sensu, powtarzała Nina, czując, jak zaczyna boleć ją głowa. Osiem kilometrów, pięć.

Poza tym najpierw przecież zniknął Staszek.

Staszek, o którym tak naprawdę nikt niczego nie wiedział, bo zaginął, nim ktokolwiek zdążył go dobrze poznać.

Staszek, Sławek. Stanisław. Jeśli ktoś ma na imię Stanisław, może równie dobrze używać imienia Staszek, jak i Sławek.

Jasna cholera.

Samochód zatrzymał się przed klasztorną bramą, Nina otworzyła drzwiczki i wyskoczyła.

– Latarka! – zawołała za nią pani Stefania. Nad jeziorem znowu przetoczył się grom. Zerwał się wiatr, pierwszy potężny oddech burzy, która deptała im po piętach. Niebo miało kolor nabrzmiałego od krwi sińca, ciemność spadała na

świat jak czarny welon.

Nina wzięła latarkę.

– Pójdę z tobą – powiedziała pani Stefania. Jej twarz ściągnięta była lękiem, oczy w półmroku połyskiwały bielą.

– Nie! – wykrzyknęła impulsywnie Nina. Nie zniosłaby widoku jej jedynej sojuszniczki zaczarowanej przez anioła. – Poradzę sobie, naprawdę. Byłam już wcześniej przy Kręgu i nic się nie stało.

– Pamiętasz, co ci mówiłam?

– Tak.

– W takim razie biegnij.

Pobiegła, nie oglądając się za siebie.

Zaczęło padać, nim dotarła na swoje miejsce pod drzewem morwy. Strugi wody spadły z nieba, jakby ktoś w górze przechylił gigantyczną wannę. Dziewczyna w jednej chwili przemokła do suchej nitki i zdążyła jeszcze tylko schować pod bluzkę latarkę – nie wiedziała, czy coś to pomoże, ale nie miała czasu, by zanieść ją do klasztoru. Skuliła się pod naporem siekącego deszczu. Na szczęście tym razem przynajmniej nie było tak zimno jak w nocy. To nie potrwa długo, pomyślała z nadzieją, burze zawsze szybko przechodzą. Potem od razu pójdę się przebrać i pobiegnę na obiad.

Liście morwy chroniły trochę przed ulewą, ale na Ninę i tak ciągle kapało, a zimne strumyczki ściekały jej za kołnierz. Zastanowiła się przelotnie, czy nie pobiec do altanki, gdzie miałyby przynajmniej porządny dach nad głową, ale nie – stamtąd nie widziałyby dobrze Kręgu.

Martwe dęby rozmazywały się za szarą zasłoną deszczu. Nina czuła ich zew,



obrzydliwy i pociągający zarazem. Lecz tym razem nie musiała śpiewać piosenek, żeby się przed nim obronić, jakby z każdego wygranego starcia wychodziła silniejsza. Kilka razy nawet zebrała się na odwagę i spojrzała w sam środek Kręgu, tam gdzie czarne jak diabelska smoła konary wiły się, przybierając na wpół ludzką, na wpół zwierzęcą postać. Szybko jednak odwracała głowę. Wolała śledzić wzrokiem obszar pomiędzy klasztorem a martwą strefą – tamtędy musiał przejść każdy, kogo wezwałaby Bestia. Innej drogi nie było, bo przejście od strony jeziora zagradzał szpaler gęstych kolczastych krzewów.

Rzut oka na Krąg, rzut oka poza jego granice. Na razie wszystko w porządku.

Nina kuciała, skulona pod drzewem w mokrym ubraniu. Ile to jeszcze potrwa? A co, jeśli w klasztorze wszyscy już siedzą przy stole i jedzą obiad? Żałowała, że nie zapytała pani Stefanii o godzinę. I nie pomyślała o zabraniu foliowej peleryny.

Rzut oka na Krąg...

Ktoś tam był.

Nina poderwała się. Niemożliwe, musiało jej się zdawać, przecież nie mogła nikogo przeoczyć, chyba że przeszedł obok niej niewidzialny albo umiał fruwać.

Wyteńczyła wzrok. Pośrodku Kręgu tkwiły splecione ze sobą pnie uschniętych dębów, a bliżej... bliżej rozmazana w deszczu widniała ludzka sylwetka.

– Wracaj! – wrzasnęła Nina w panice. – Wracaj natychmiast!

Wyskoczyła spod drzewa i pobiegła w stronę Kręgu. Tylko kilkanaście kroków, potem zatrzymała się gwałtownie. Instynkt podpowiadał, że nie może przekroczyć granicy martwej strefy.

– Nie wolno tam iść! – krzyczała na całe gardło. Co teraz mam zrobić? – tłukła jej się w głowie rozpaczliwa myśl. Nie mogło być mowy o pomyłce, w Kręgu rzeczywiście ktoś był, ktoś niewysoki i drobny... Małgosia?

I druga sylwetka, tym razem wyższa i potężniejsza. Cholera, co jest grane?

Jakim cudem... Jednak Nina nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Mrugała, by pozbyć się wody z rzęs, ale i tak nie widziała wyraźnie, deszcz bębnił jej w głowę, aż czuła jego uderzenia pod czaszką. Obie postaci poruszały się, idąc w stronę drzew. Zew był głośniejszy i jakby... bardziej zadowolony, Krąg mruczał teraz radośnie, niemal jak drapany za uchem kot. Jakby wiedział, że lada moment w sidła wpadnie następna ofiara.

– Małgosia, wracaj natychmiast! Bo osobiście spiorę ci tyłek!

Wejść do Kręgu na chwilę, tylko kilka kroków... Tylko żeby ich przyprowadzić, zaraz przecież wrócimy...

Nie. Jeśli to zrobię, już nigdy się stamtąd nie wydostanę.

– Wracajcie, wy cholerni kretyni! – Od wrzasków zaczęła chrypnąć. Gdyby miała pod ręką kamień, rzuciłaby nim w majaczące za kurtyną deszczu postaci, by zwrócić ich uwagę. Ale jak na złość w pobliżu żadnego kamienia nie było, ten, którym Nina zaznaczała granicę Kręgu, dawno już znalazł się wewnątrz martwej strefy.

Zamrugła. Sylwetki w deszczu były teraz większe i wyraźniej zarysowane.

To nie Małgosia, lecz niski, szczupły chłopiec. I drugi wyższy, tęgi. Obaj wydawali się Ninie znajomi.

Nagle strach złapał ją za gardło i cofnęła się gwałtownie. Jakim cudem widziała ich coraz lepiej zamiast gorzej? Przecież oddalali się od niej, a nie przy-

bliźali. A jeśli nie? Jeśli chłopcy nie zmięzali w stronę uschniętej kępy, tylko

Z NIEJ WŁAŚNIE WYSZLI?

Nina wrzasnęła z czystej grozy, bo gdy tylko przyszło jej to do głowy, od razu nabrała pewności, że tak właśnie jest. Cofnęła się jeszcze bardziej, pośliznęła na błocie i klapnęła w rozmiękłą ziemię. Wciąż krzyczała, próbując odpełznąć niezgrabnie do tyłu. Chłopcy byli już na tyle blisko, że Nina wreszcie ich rozpoznała, widziała charakterystyczne sylwetki, za chwilę zobaczy twarze i wtedy nie będzie już żadnych wątpliwości...

Staszek i Tymek wrócili do klasztoru.

Rozdział dziesiąty, w którym Nina nie potrafi powstrzymać się przed zadawaniem pytań, traci przyjaciół, ale za to poznaje sekret Adama.

Ale przecież musicie pamiętać coś z tego, co się z wami działo. Cokolwiek? – naciskała Nina.

Siedzieli wokół stołu w jadalni. Tymek i Staszek zajadali resztki z obiadu; młodszy chłopak był przebrany we własne, suche rzeczy, a starszy w spodnie i koszulę pożyczone od Mariusza. Nina przy piecu suszyła swoje długie, gęste włosy. Pozostali najpierw zarzucili cudownie ocalonych pytaniami, a teraz już tylko gapili się na nich okrągłymi oczami. Małgosia nie odstępowała Tymka na krok i od czasu do czasu łapała go za łokieć, jakby chciała się upewnić, że jej przyjaciel wciąż tu jest. Burza już przeszła, ale deszcz nadal dzwonił o szyby. – No, pamiętam, że się zgubiłem. – Staszek wiosłował łyżką, jakby od kilku dni niczego nie jadł. Może zresztą faktycznie nie jadł. Zupa ściekała mu po brodzie na koszulę, twarz miał w kolorze wosku z kościelnej świecy, ale niewątpliwie był cały i wyglądało na to, że prócz niezdrowej bladości nic mu nie dolega.

– Gdzie się zgubiłeś? W ogrodzie, w lesie?

– A co to ma do rzeczy? – Tymek dolał sobie zupy i wziął następną kromkę.

On też był blady, jak gdyby przez ostatnie pół roku nie oglądał słońca.

– Właśnie, Nina, daj im w spokoju zjeść – wtrąciła się Eliza.

– Chcę tylko wiedzieć, co się stało.

– Wrócili, to jest najważniejsze. – Pani Celina uśmiechnęła się. – Tak bardzo się o was martwiliśmy...

– Myślałam, że potwór cię zjadł – powiedziała Małgosia cicho. Broda jej za-  
drżała, a w wielkich niebieskich oczach pojawiły się łzy.

– Jak znaleźliście się z powrotem w ogrodzie?

– Było ciemno, wyszliśmy z ciemności.

– Jakiej ciemności?

– Nino! – Tym razem głos pani Celiny zabrzmiał bardziej karcąco.

– Jej się wydaje, że jest detektywem – zachichotała Eliza. – Ma zeszyt,  
w którym zapisuje dziwne rzeczy. Tak to nazywa: „Spis rzeczy dziwnych”.

I wiecie, jakie jest pierwsze zdanie? „Sylwia nie potrafi gotować”.

Zaśmiali się wszyscy, nawet Tamara i Jacek. Nina poczuła, jak płoną jej po-  
liczki.

– Nie wolno ci tego czytać! To moje prywatne sprawy!

Eliza wzruszyła ramionami.

– Zostawiłaś zeszyt na łóżku, to zerknęłam. Wcale nie mam zamiaru czytać  
tych głupot.

– To nie są głupoty. Sylwia... Sylwia... – Nina zaplątała się. Jak im to wytłu-  
maczyć? Sylwia powinna była umieć gotować, bo wszystkie kobiety, z wyjąt-

kiem może tych naprawdę bogatych, lepiej lub gorzej to potrafiły. A Sylwia pochodziła z małego miasteczka. Niemożliwe, aby dożyła czterdziestu lat, nie wiedząc, ile soli sypie się do zupy albo że na końcu do garnka należy włożyć warzywa, które najszybciej miękną. Nina mogłaby to wyjaśnić, jednak ze zdenerwowania zabrakło jej słów. W dodatku znów wszyscy na nią patrzyli, a ona jękała się coraz bardziej.

– Nie przejmuj się tak strasznie. – Tamara poklepała Ninę po plecach. – Zabawa w detektywa jest fajna, ale trochę z nią przesadzasz.

– To nie jest zabawa! – krzyknęła dziewczyna z rozpaczą. – Naprawdę was nie obchodzi, gdzie oni byli ani jak wrócili?

– Na wyjaśnienia będzie jeszcze czas – oznajmiła pani Celina. – Teraz po prostu świętujemy to, że chłopcy są cali i zdrowi. Ty nie jesteś z tego powodu szczęśliwa? Przecież to twoi koledzy, Nino.

Złapana w pułapkę dziewczyna poczerwieniała jeszcze bardziej. Oczywiście, że była szczęśliwa, niedawno przecież martwiła się o Tymka i jego rodziców. Prawie płakała na myśl, że chłopak może już nie żyć albo cierpieć nie wiadomo gdzie, podczas gdy jego matka i ojciec odchodzą od zmysłów z rozpaczą. Nie zmieniało to jednak faktu, że wolałaby wiedzieć, gdzie Staszek i Tymek byli i jakim cudem nagle znaleźli się w Diabelskim Kręgu.

– Jestem szczęśliwa... – wymamrotała, ale zabrzmiało to nieprzekonująco nawet dla niej.

Powiodła wzrokiem po zebranych w jadalni, szukając ratunku. Lecz wszyscy patrzyli na nią jak na podłą, nieczułą egoistkę, która zamiast cieszyć się, że jej koledzy żyją, urządza sobie ich kosztem głupie zabawy. Tamara pokręciła lekko

głową z rozbawieniem i dezaprobatą, Jacek odwrócił się zakłopotany. Przesadzasz, mówiły z naganą oczy Elizy, bliźniaczek, a nawet Lidki... Artur gapił się na Ninę triumfalnie, jakby chciał powiedzieć: No proszę, nareszcie wyszło, jaka z ciebie wariatka. Tylko na twarzy Adama zobaczyła coś innego niż niechęć. Adam się bał. Więcej – wyglądał na śmiertelnie przerażonego, było to tak oczywiste, że Ninę zdumiało, jakim cudem nikt prócz niej tego nie dostrzega. Ich spojrzenia się spotkały i ułamek sekundy później chłopak znów wyglądał jak zawsze, z odpychającą miną i wyższością wypisaną w lekkim skrzywieniu ust.

O co tu chodzi? – zastanawiała się Nina.

– To nie jest zabawa... – powtórzyła cicho. A potem głośniej: – Wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo! Jak możecie tego nie widzieć? Znikniemy...

– Jakbyś nie zauważyła, ci zniknięci właśnie się znaleźli – powiedział z ironią Adam. W jego głosie brzmiała pewność siebie, aż Nina prawie uwierzyła, że musiało jej się coś przywidzieć. Niemożliwe, by ten sam chłopak jeszcze przed chwilą umierał ze strachu. – I wygląda na to, że wszystko z nimi w porządku.

– Właśnie, Nina – odezwała się Eliza. – Jak się ma teraz twoja teoria? Ta o tajemnicach i diable, który siedzi w uschniętych drzewach?

– Moja teoria ma się świetnie. – Nina wytrzymała jej wzrok. – Chyba że wyjaśnisz, gdzie Staszek i Tymek byli i jakim cudem wrócili. I czemu niczego nie pamiętają?

Eliza parsknęła, ale nic więcej nie powiedziała.

– Nie ma żadnego diabła w uschniętych drzewach – wtrąciła pani Celina. –

To, co nazywacie Kręgiem, to po prostu miejsce, gdzie ziemia jest niedobra,

więc nic na niej nie rośnie. Nie ma w tym żadnej tajemnicy.

– Krąg się rozrasta!

– Nino...

– Widziałam, jak się powiększa, jak pani to wytłumaczy?

– Nino, posłuchaj mnie.

– Widziałam...

– Nino!

Dziewczyna zamilkła i przełknęła ślinę.

– Pamiętasz, jak się umawialiśmy, kiedy postanowiłaś tu zostać?

– T... tak.

– No więc?

Nienawidzę cię, pomyślała Nina z pasją, patrząc na panią Celinę. Wszystko mi jedno, czy anioł też cię z czarował, czy nie. Nienawidzę cię.

– Żadnych więcej awantur.

– Dokładnie tak. Jeśli będziesz się awanturować, odeślę cię do domu. Nie chcę tego – głos kobiety złagodniał – ale będę musiała. Rozumiesz mnie, prawda? Chyba że sama zdecydujesz się wyjechać...

Nina potrząsnęła głową i wymamrotała coś pod nosem.

– Wyjdiesz do ogrodu? – Małgosia szarpnęła Tymka za rękaw.

– Czemu nie – odparł, lecz w jego głosie nie było entuzjazmu. Chłopiec wydawał się przygaszony i dziwnie milkliwy. Może jednak był chory? Pani Celina powinna zabrać Staszka i Tymka do lekarza, ale wątpliwe było, czy to zrobi.

– Deszcz pada – zwróciła im uwagę Eliza.

– E nie, tylko trochę kropi. Pogoda jest całkiem ładna.

Pogoda jest całkiem ładna.

Coś bardzo podobnego powiedział Tymek w dzień swojego zniknięcia i wtedy zrobił to tak przekonująco, że Nina sama nabrała ochoty, żeby wyjść i cieszyć się słońcem, choć przecież ulewa biła w okna. A teraz... teraz jego słowa zabrzmiały po prostu głupio.

– Nie bądź idiotą, Tymek. – Eliza widać odniosła podobne wrażenie. – Na zewnątrz leje jak z cebra.

– To może zagramy w statki?

– Nieee... chyba pójdę sobie trochę poleżeć. – Tymek odsunął talerz. Staszek poszedł w jego ślady. On też mało mówił i wydawał się rozkojarzony, jakby myślami przebywał w zupełnie innym miejscu.

– Iść z tobą? – Małgosia zerwała się z krzesła.

– Zostaw go, kochanie. – Pani Celina powstrzymała dziewczynkę. – Tymek i Staszek są zmęczeni, potrzebują odpoczynku.

Małgosia patrzyła za wychodzącym z jadalni chłopcem, a na jej szczupłej, dziecięcej twarzy widać było niepokój.

Ninę niespodziewany powrót Staszka i Tymka bardziej chyba wystraszył, niż ucieszył. Wcześniej w pewien sposób przyzwyczała się do myśli, że jej koledzy i koleżanki po kolei będą znikać w Diabelskim Kręgu. To było niebezpieczeństwo okropne i przerażające, ale przynajmniej znane. A teraz zdarzyło się coś nowego i Nina tej nowości się bała. Czy Krąg wypluł Staszka i Tymka, bo chciał okazać łaskawość?

Z jakiegoś powodu nie sądziła, że to jest właściwa odpowiedź.

Zerknęła na Adama, żeby sprawdzić, czy jemu też coś podobnego przyszło



do głowy, ale chłopak wciąż był nadęty jak żaba. Ninie rzucił tylko pogardliwe spojrzenie, po czym demonstracyjnie zaczął zbierać ze stołu talerze (jeśli ja tego nie zrobię, nie zrobi tego nikt, mówiła jego pełna pretensji mina). Eliza postanowiła mu pomóc, za nią poszły bliźniaczki i Lidka.

Co ja mam zrobić? – zastanawiała się Nina. W pierwszej chwili pomyślała nad tym, żeby nadać sygnał SOS, ale co właściwie powiedziałyby potem pani Stefanii? Że się wystraszyła, bo chłopcy wrócili cali i zdrowi? Bez sensu... Zresztą gdyby teraz powiesiła w oknie prześcieradło, i tak tylko nasiąknęłoby deszczem, a z miasteczka nawet nie byłoby go widać. Tak czy inaczej, musiała czekać do wieczora albo aż przestanie padać.

Może do tego czasu coś się wyklaruje.

Albo ksiądz odwiedzi klasztor, przez księdza mogłaby przekazać wiadomość pani Stefanii. Jeśli jednak nie zjawił się do tej pory, to pewnie już nie przyjedzie. Widać całkiem o Ninie zapomniał. Trudno, może to i lepiej. Dziewczyna nie wątpiła ani przez chwilę, że anioł zaczarowałby księdza, a ona tylko miałaby większe kłopoty.

Odetchnęła, starając się opanować mdłości. Potem rozejrzała się – Tamara gdzieś przepadła, ale Jacek tkwił przy oknie, zapatrzony bezmyślnie w siąpiący deszcz.

– Jacek?

– No?

– Pomożesz mi w czymś?

– Jasne – powiedział, ale w jego głosie zabrzmiało lekkie wahanie, a spojrzeniem wciąż uciekał w bok.

– Mówiłeś, że tu gdzieś są jaskinie, prawda? Myślisz, że dałoby się je znaleźć?

– Jaskinie? – Oczy Jacka błysnęły. Nareszcie się zainteresował. – Pewnie tak.

A co?

– Myślę, że w jednej z tych jaskiń może być anioł, ten okaleczony, który wcześniej był w piwnicy.

– Po co ci on? Przecież to wariat.

– Może tak, a może nie. Tak czy inaczej, chciałabym z nim porozmawiać.

– To zabawa, prawda? – Jacek spojrzał na nią podejrzliwie.

– Zabawa, tak – przyznała Nina, czując, jak ściska jej się serce. – Poszukamy?

– Teraz? Przecież pada.

– Coraz słabiej, za chwilę pewnie całkiem przestanie. – Nina zastanowiła się przelotnie, czy nie powinna pilnować Kręgu, ale skoro Staszek i Tymek wrócili, to chyba nie było już sensu. Zresztą powiedziała prawdę, deszcz stopniowo ustawał.

– Dobra, możemy poszukać jaskini.

Nim wyszli z klasztoru, ulewa przeszła w lekką mżawkę. Nina naciągnęła na głowę kaptur foliowej peleryny i spojrzała w niebo. Przejaśniało się. Słońce już wyglądało zza skłębionych chmur, światło odbijało się w kroplach deszczu i kałużach błotnistej wody.

– Jacek?

– Co takiego?

– Wiem, że uważacie mnie za wariatkę. Ale chcę tylko... no, żebyście wie-

dzieli, że ja to robię, bo się o was wszystkich martwię.

– Szukasz jaskini, bo się o mnie martwisz?

– To też. – Nina poczerwieniała. Czemu tak trudno jej wyjaśnić, co ma na myśli? – Ale inne rzeczy też. Na przykład to, co pani Celina nazywa awanturowaniem się. Robię to, bo się o was boję, rozumiesz mnie, prawda?

– Pewnie. – Jacek odwrócił się i ruszył w stronę lasu. Nina poszła za nim.

Bardzo chciała uwierzyć, że w jego głosie zabrzmiało prawdziwe zrozumienie, ale nie potrafiła okłamać samej siebie.

Weszli w las. Z drzew kapała woda, ciężki od deszczu mech ugiął się pod ich stopami. Wszystko było mokre i lśniące: bukowe liście, wystające spod ziemi korzenie i wielkie ciemnozielone paprocie. Nina poczuła się nieswojo w ciszy, przerywanej tylko szmerem kropli spadających z gałęzi, ale dzielnie szła za Jackiem. Chłopak poruszał się tak, jakby od urodzenia mieszkał w lesie.

– Musimy iść na południowy wschód – wyjaśnił. – Tak było w przewodniku.

Jaskinia znajduje się na południowy wschód od klasztoru w odległości pięćdziesięciu metrów.

– W porządku, może być południowy wschód.

Ciekawe, czy to ta sama jaskinia, do której ja trafiłam? – zastanawiała się

Nina. Chyba nie, uszłam przecież więcej niż pięćdziesiąt metrów. Nie była jednak pewna. Tamtej nocy straciła zarówno poczucie czasu, jak i kierunku – a to ostatnie nie zdarzało jej się często.

– W tym lesie niedawno zgubiło się dziecko, wiesz o tym? – zagadnął Jacek.

– Wiem, pani Celina nas ostrzegła. – Nina rozejrzała się niespokojnie, a potem spojrzała na własne nogi. Sandałki oblepiało błoto, stopy miała brudne aż

po kostki. Na wystającym spod peleryny brzegu spódnicy widniało kilka ciemnych smug. Może Tamara miała rację z tym noszeniem spodni?

Dotarli do wąskiego strumyka. Jacek zręcznie przebiegł po kamieniach na drugą stronę, po czym odwrócił się w stronę Niny.

– Uwaga! – powiedział, ale było za późno, bo dziewczyna już chlupnęła w zimną wodę. Zakłęta i wygramoliła się na brzeg. Cóż, teraz przynajmniej nogi miała czyste. Zdjęła kaptur, pod którym zaczęła się pocić. W lesie było duszno, woda z ziemi i drzew parowała w coraz cieplejszym powietrzu.

– Już niedaleko – pocieszył ją Jacek. – Jaskinia musi być gdzieś tutaj.

– Jak ty to robisz?

– Co?

– Chodzisz po lesie jak Indianin, a przecież urodziłeś się w mieście. Spędzałeś wakacje na wsi czy jak?

– Nie, po prostu, no wiesz... dużo czytam. O Indianach i traperach, i takich tam.

– Ja dużo czytam o piratach, ale dzięki temu nie potrafię huśtać się na watach z kordelasem w zębach.

– Może mam naturalny talent? – W oczach Jacka widać było zakłopotanie.

Coś ukrywał, ale co?

– Serio czytasz książki o piratach? – Zmienił temat.

– Pewnie. Uwielbiam je.

– Oni się nie myli, wiesz – chłopak zachichotał. – Piraci śmierdzieli i mieli popsute zęby.

– Piraci nie powinni być czyści, tylko malowniczy – odparła Nina, której wro-

dzony romantyzm walczył z równie wrodzonym rozsądkiem. Jasne, że wiedziała, jacy NAPRAWDĘ byli piraci, nie była dzieckiem, któremu fantazja myli się z rzeczywistością, ale przecież mogła ich sobie wyobrażać jak chciała, prawda? Książki to książki, a życie to życie.

– Malowniczy pirat, któremu cuchnie z ryja. – Jacek wyszczerzył radośnie zęby. – Może jeszcze chciałabyś, żeby cię pocałował?

– Jesteś idiotą, wiesz o tym? – Prychnęła, popychając chłopaka, który bez problemu utrzymał równowagę i odskoczył tylko, śmiejąc się jak wariat. Tak naprawdę Nina nie była zła. Ta głupia rozmowa w pewien sposób poprawiła jej humor. Była taka... zwyczajna – no i dziewczyna zdecydowanie wołała Jacka, który się z niej nabija niż Jacka, który milczy jak zaklęty.

Mijali wystające z leśnej ściółki wielkie głazy narzutowe, ale nigdzie nie było widać wejścia do jaskini.

– Na pewno dobrze zapamiętałeś? – upewniła się Nina. – Może to nie było pięćdziesiąt metrów, tylko sto pięćdziesiąt? Albo dwieście pięćdziesiąt? I nie południowy wschód, tylko na przykład północny zachód?

– Północny zachód wypada akurat na jeziorze.

– Fakt.

– Patrz, jest!

Mało brakowało, a przegapiliby jaskinię, która przesłonięta była gęstymi krzakami malin. Jacek odsunął je, posykując, gdy kolce wbijały mu się w skórę. Dalej znajdowało się coś, co w pierwszej chwili można było wziąć za kolejny wielki głaz, tyle że pod nim otwierała się szeroka może na pół metra szpara. Nina kucnęła i zajrzała do środka. Wiało stamtąd zimnem i stęchlizną.

- Hej, jest tam ktoś? – zawołała, ale odpowiedziała jej cisza. Dziewczyna wstała.
- Trzeba wejść do środka – powiedziała niepewnie.
- A jeśli tam coś jest? No, nie wiem, jakieś zwierzę na przykład? – W oczach Jacka zobaczyła niepokój.
- Ale może tam też być anioł, nieprzytomny albo ranny. Musimy mu pomóc.
- No to wchodź. – Po minie Jacka widać było wyraźnie, że anioła boi się tak samo jak nieznanego zwierzęcia albo nawet bardziej.
- Lepiej ty to zrób.
- Czemu ja?
- Ja mam na sobie spódnicę.
- No i co z tego?
- Nie życzę sobie, żebyś oglądał mój tyłek – odparła chłodno Nina.
- Jakby mi zależało – parsknął Jacek.
- Poza tym boję się. – Spróbowała innej strategii. – I jestem dziewczyną.
- Naprawdę pozwolisz, żeby dziewczyna włąziła w ciemne, niebezpieczne miejsce, a ty się będziesz tylko przyglądał?
- To wreszcie podziałało. Jacek opadł na kolana i wpełzł do jaskini. Nina patrzyła na niego z niepokojem. Było jej wstyd, ale tylko trochę. Gdyby się zaklinowała w tym wąskim przejściu... nie, wołała o tym nie myśleć.
- Nic tu nie ma – zawołał. Jego głos był przytłumiony, jakby mówił z wnętrza butli. – Tylko jakieś zdechłe zwierzę... Fuj, śmierdzi padliną!
- Wyłaź.

Jacek wpełzł z jaskini. Nawet cofając się na czworakach w niezbyt eleganc-

kiej pozycji, był znacznie bardziej zwinny, niż Nina kiedykolwiek mogłaby być.

Jak on to robił? Wstał, otrzepał spodnie z liści i ziemi. Na jego twarzy widać było ulgę.

– Żadnego anioła – zakomunikował. – Ale jest jeszcze jedna jaskinia, trochę bardziej na północ. Możemy tam pójść. – Teraz gdy strach minął, Jacek znowu prezentował niespożyte pokłady energii.

– Musimy wracać na podwieczorek. Poza tym dwa kilometry to za daleko.

– Czemu?

– Anioł powiedział, że jest przynętą, a przynęty raczej nikt nie trzymałby w odległości dwóch kilometrów.

– Przynętą na co?

– Na Bestię z Kręgu. – Nie powinna była tego mówić, bo chłopak oczywiście zaraz odwrócił głowę.

– Nie ma żadnej Bestii – powiedział. – Tamara uważa, że masz za dużą wyobraźnię.

– Lepsza za duża niż za mała – mruknęła Nina, ale i tak zrobiło jej się przykro. Nawet Tamara była przeciwko niej?

Do klasztoru wrócili w nie najlepszych humorach. Dziewczyna od razu poszła się przebrać. W sypialni nikogo nie było, mogła więc zamknąć drzwi i zdjąć spódnice. Stopy i łydki miała brudne, a pod warstwą błota widniały ciemnoczerwone, piekące pręgi – ślady po kolcach krzaków malin. Oto efekty kontaktu z przyrodą, pomyślała smętnie, dochodząc do wniosku, że las, co prawda, jest bardzo piękny i tajemniczy, ale znacznie lepiej wypada na obrazach niż w naturze.

Sięgnęła po ostatnią czystą spódnicę i w tym momencie z walizki wypadła kartka. Nina schyliła się po nią z mocno bijącym sercem.

Następny anonim?

IDŹ DO PANI CELINY I POWIEDZ JEJ, ŻE JEDNAK ZDECYDOWAŁAŚ SIĘ WYJECHAĆ. A POTEM STĄD UCIEKAJ, PÓKI MASZ JESZCZE SZANSE.

Były to te same niepewne, nakreślone jakby lewą ręką litery co w pierwszym liście.

Uciekaj, póki masz jeszcze szansę.

Siedziała na łóżku, patrząc, jak słowa tańczą jej przed oczami, gdy ktoś szarpnął klamką sypialni.

– Chwileczkę! – zawołała Nina. Jej własny głos zabrzmiał chrypliwie, obco.

Ubrała się pośpiesznie i otworzyła drzwi. W progu stała Tamara.

– Czemu się zamykasz? – zapytała.

– Chciałam się przebrać. Patrz. – Nina pokazała przyjaciółce anonim.

– E tam, głupie żarty. – Starsza dziewczyna wzruszyła ramionami. – Idziesz na podwieczorek?

– Tak, zaraz... zaraz pójdę.

Schowała list do walizki, a potem powędrowała w stronę łazienki, gdzie umyła nogi. Lustro nad umywalkami odbijało jej przygnębioną twarz. „Głupie żarty”. Słowa Tamary bolały tak jak wcześniejsze lekceważenie Jacka. Ciekawe, czy w ogóle Nina tu kogoś obchodziła? Czy ktokolwiek by po niej płakał, gdyby zginęła w Diabelskim Kręgu?

Czując, że za chwilę sama się rozplacze, włożyła głowę pod zimną wodę i trzymała ją tam przez chwilę. Potem poczuła się odrobinę lepiej i znowu po-



myślała o ojcu Tamary. Pewnie był już w drodze, kierując się w stronę Markotów.

Ciekawe, co Tamara zrobi, kiedy się dowie, że dałam pani Stefanii numer telefonu do jej taty, a ona do niego zadzwoniła?

Pewnie się wścieknie, uznała trzeźwo Nina. Doszła jednak do wniosku, że właściwie nieszczęśliwie ją to obchodzi. Trudno, skoro nikt nie chciał jej pomóc, musiała radzić sobie sama.

Mogła czekać z założonymi rękami, aż ktoś przyjedzie ją ocalić albo próbować coś zrobić. Na przykład znaleźć anioła, jeśli wciąż gdzieś tu był, albo odkryć, kto zajął miejsce Sławka. To pierwsze nie wyszło, bo pomysł z jaskinią okazał się niewypałem. Może jednak uda się to drugie?

Nina wyszła z łazienki i skręciła w stronę sypialni chłopców. O tej porze (na wielkim ściennym zegarze dochodziła właśnie piąta) nie było tu nikogo, wszyscy siedzieli już przy stole w jadalni.

Dziewczyna schyliła się i z poczuciem winy wyciągnęła spod łóżka starą, poprzecieraną na rogach walizkę. Należała do Mariusza, sądząc po wypisanych atramentem inicjałach M.A. Nina otworzyła ją. W środku pełno było przepoconych rzeczy i brudnych skarpetek, od których zapachu zrobiło się jej niedobrze.

Z obrzydzeniem zanurzyła rękę w kłębowisku ubrań i po chwili wyłowila pocztówkę. Była na niej dziewczyna siedząca okrakiem na krześle, goła jak ją pan Bóg stworzył. Na głowie miała mnóstwo jasnych loczków i uśmiechała się głupio do aparatu, prezentując białe zęby, które – podobnie jak czerwone rumieńce – były prawdopodobnie dziełem nie tyle natury, co fotograficznego retuszu.

Nina odłożyła zdjęcie, czując, jak policzki płoną jej żywym ogniem. Gdyby

Mariusz ją teraz przyłapał, chyba by ją zabił.

Sięgnęła po następną walizkę i otworzyła ją. Na wierzchu leżała koszula Artura, Nina poznała ją po plamie, która powstała, gdy Mariusz przypadkiem wylał na kolegę kakao. W porządku, sprawdźmy Artura. Nina z coraz większym poczuciem winy wsunęła dłonie pod ubrania złożone w równą kostkę. Rozkład jazdy, zaczęty list do rodziców (Mamo, nie uwierzysz, jak ci opowiem, co teraz potrafię... tu tekst się urywał), parę zmiętych papierków po cukierkach, wyszczerbiony grzebień... Już miała się poddać, kiedy jej palce trafiły na mały prostokątny kartonik.

Legitymacja szkolna. Na zdjęciu widniał niewątpliwie Flip, choć młodszy i z fryzurą, która eksponowała lekko odstające uszy. Nazwisko: Wierzgoń. Imiona: Artur Łukasz.

Wyglądało na to, że Artur jest prawdziwym Arturem – chyba że dokument został sfałszowany, w co Ninie nie bardzo chciało się wierzyć.

Podeszła do łóżka, na którym spoczywał wielki tom dzieł zebranych Słowackiego. Ciekawe, co ukrywa najbardziej podejrzany z chłopaków? – pomyślała, schylając się po kolejną walizkę.

Jednak jej zawartość była zaskakująco skromna. Jeden sweter, dwie zmiany bielizny, spodnie i koszula – wszystko znoszone, aż Ninie zrobiło się żal, zwłaszcza gdy zobaczyła krzywo przyszyte guziki i skarpetki z dziurami na piętach. Czy Adam naprawdę nie miał nikogo, kto zadbałby o jego garderobę, żadnej troskliwej mamy czy babci? I czy jemu się wydawało, że przyjechał tu na weekend, że wziął tak mało rzeczy? Potrząsnęła głową. Legitymacji ani żadnych innych dokumentów nie znalazła, wsunęła więc walizkę z powrotem pod

łóżko i po chwili wahania sięgnęła do dzieł zebranych Słowackiego. Wiersze pełne były podkreśleń, a marginesy zabazgrane wykrzyknikami i notatkami.

Bać się to umierać każdego dnia po trochu, widniało pod jednym z wierszy.

Były w tych słowach rozpacz i lęk tak wielkie, że Nina poczuła przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz.

Odłożyła książkę z poczuciem, że zrobiła coś bardzo niewłaściwego – to było jak zagłądanie do czyjegoś pamiętnika albo podsłuchiwanie intymnych zwierzeń.

Bać się to umierać każdego dnia po trochu.

Zerknęła na zegar, który wskazywał pięć po piętej. Miała kilka minut, zanim będzie musiała biec – już i tak spóźniona – na podwieczorek. Rozejrzała się.

Bagażę Tymka przeszukała wczoraj, a walizka Staszka gniła gdzieś w ciemnym kącie.

Został Jacek.

Nina zawahała się, bo sama przecież wykluczyła Jacka z grona podejrzanych. Ale teraz już niczego nie była pewna.

Tylko rzucę okiem, usprawiedliwiła samą siebie. Detektywi muszą czasem robić takie rzeczy dla dobra śledztwa.

Wysunęła spod łóżka walizkę Jacka i otworzyła...

– Co tu robisz?

Gdyby za jej plecami zabrzmiał wystrzał z karabinu, nie zrobiłby większego wrażenia. Nina podskoczyła i odwróciła się. W progu sypialni stał Adam, wzdając spojrzeniem od otwartej walizki do dziewczyny i z powrotem.

– Co tu robisz? – powtórzył.

Później uświadomiła sobie, że przecież łatwo było znaleźć przekonującą wypowiedź – wystarczyło na przykład powiedzieć, że Jacek prosił ją, żeby przyniosła mu coś z walizki. Proste i niewymagające dalszych tłumaczeń. Lecz w tej chwili Nina czuła tylko pustkę w głowie i, co gorsza, wiedziała, że na twarzy ma wypisaną winę.

– Grzebiesz w naszych rzeczach? – Adam zmarszczył brwi. – Kto ci na to pozwolił?

– Ja... ja... myślałam, że jesteście na podwieczorku... – Spojrzała na zegar, mając przy tym niejasne wrażenie, że pogrąża się zamiast usprawiedliwiać.

Uświadomiła sobie nagle, że przecież nie słyszała wzywającego na posiłek gongu.

– Ten zegar źle chodzi, nie wiedziałaś o tym? Śpieszy się dziesięć minut. Podwieczorek jeszcze się nie zaczął.

Jasna cholera, pomyślała Nina bezradnie. Gdyby zamiast Adama był tu na przykład Mariusz – bez towarzystwa Artura – może zdołałaby go przekonać, żeby nikomu nie wspomniał o tym incydencie. Lecz z Adamem nie pójdzie tak łatwo.

– Posłuchaj, ja...

Jednak zanim zdążyła wymyślić coś przekonującego, w drzwiach sypialni stanął Jacek.

– Idziecie... – zaczął, po czym zamilkł na widok min Adama i Niny. – Co się dzieje?

Nie mów mu, błagała Adama wzrokiem. Proszę cię, nic mu nie mów.

Ale oczywiście powiedział.

– Nina właśnie grzebała w twoich rzeczach. I w moich pewnie też, założę się, bo ta książka inaczej leżała na łóżku.

– To prawda? – Jacek zmarszczył brwi.

– Ja...

– Och, zapewne nie miała nic złego na myśli – zadrwił Adam. – Nina prowadzi śledztwo, bo przecież jeden z nas jest straszną Bestią z Kręgu, czy nie tak? Jacek poczerwieniał, jakby za chwilę krew miała mu trysnąć z policzków.

Podszedł do Niny i zatrzaskał wieko wciąż otwartej walizki.

– Nie zbliżaj się więcej do moich rzeczy! – warknął, z oburzenia połykając końcówki wyrazów.

– Ale...

– I nie odzywaj się do mnie!

W drzwiach sypialni tłoczyło się coraz więcej zwabionych awanturą osób, a Adam każdemu wyjaśniał, co się stało. Nina widziała bliźniaczki, Lidkę, Elizę, Tamarę... U tej ostatniej poszukała wzrokiem wsparcia, ale starsza dziewczyna tylko pokręciła głową.

– Tym razem naprawdę przesadziłaś – oznajmiła. – Ty chyba rzeczywiście masz źle w głowie.

– Chcę wam pomóc, nie rozumiecie? – wrzasnęła Nina, tracąc panowanie.

– Grzebiąc w naszych walizkach? – Tamara wzruszyła ramionami.

Nina wybiegła, roztrącając tkwiący w progu tłumek. Już na korytarzu rozpłakała się i pędziła dalej na oślep, z twarzą zalaną łzami. Wypadła do ogrodu i schroniła się w altance, gdzie zwinęła się w kłębek. To było tak cholernie niesprawiedliwe! Dlaczego wszyscy byli tu tak ślepi, tak bezmyślni... Chciała

umrzeć, chciała, żeby wszyscy umarli...

Uspokoiła się, dopiero gdy zaczęła chrypnąć. Wstała i wytarła nos. Przez jakiś czas kołysała się jeszcze, obejmując kolana ramionami i pochlipując cicho. Wyobrażała sobie swój własny pogrzeb, na który przychodzi pani Celina, Jacek, Tamara i inni.

– Mieliśmy rację – ze smutkiem kręci głową Tamara – powinniśmy byli jej posłuchać.

– Wtedy wszystko inaczej by się skończyło – przytakuje Jacek.

Kilkanaście minut później, gdy Nina wreszcie przestała płakać, do altanki przyszła Eliza. W rękach trzymała tacę z pączkiem i szklanką kompotu.

– Pani Celina kazała mi cię znaleźć i przynieść to. – Ton głosu dziewczyny nie pozostawiał wątpliwości, że z własnej woli by tu nie przyszła. – Masz. – Postawiła tacę na stoliku.

Nina odwróciła się demonstracyjnie.

– Stroimy fochy, co? Moja matka zawsze mówiła, że na fochy najlepsza jest praca. Weź się do czegoś przydatnego, to zaraz ci przejdzie. Możesz umyć podłogę na korytarzu.

– Och, zamknij się – nie wytrzymała Nina. – Mam ważniejsze rzeczy na głowie.

– Jasne, bo ty jesteś panna mądralińska, księżniczka od wykrywania potworów, a nie od porządków. – Eliza drwiła, ale w jej głosie brzmiała uraza. – Tyle ci z tego przyszło, że teraz wszyscy uważają cię za wariatkę. I ciekawe, co powiedziałby Azkiel, jakby się dowiedział, jak się do mnie zwracasz, co?

– Azkiel nie jest prawdziwym aniołem. Wiedziałabyś o tym, gdybyś czasem

myślała o czymkolwiek innym niż listy zakupów, garnki i brudne szmaty.

Usta Elizy zadrgały, dziewczyna odwróciła się i odeszła. Ninie zrobiło się głupio. Ostatecznie to Eliza dbała, by nie zabrakło im jedzenia, pilnowała porządku i dyżurów w kuchni, ona zawsze wiedziała, gdzie co jest i co trzeba zrobić, kiedy ktoś się skaleczy albo boli go brzuch. Była znacznie lepszą organizatorką i opiekunką niż pani Celina i gdyby nie ona, klasztor już dawno pogrążyłby się w chaosie. A jednocześnie trudno było Elizę polubić. Ta dziewczyna była tak upiornie praktyczna i rozsądna... Nina doskonale mogła ją sobie wyobrazić za dziesięć, dwadzieścia lat, jak z tą samą chłodną, pozbawioną wyobraźni kompetencją strofuje pielęgniarki w szpitalu czy prowadzi ochronkę dla dzieci.

Gdyby Eliza okazała się Wybrańcem, Nina czułaby się chyba osobiście urażona. Z dwojga złego wolałaby już Adama czy Artura – oni przynajmniej, przy wszystkich swoich wadach, mieli odrobinę fantazji, podczas gdy osobowość Elizy była równie interesująca co deska do prasowania.

Muszę wytrzymać do jutra, pocieszała się Nina. A może ojciec Tamary i pani Stefania przyjadą po nią już dziś?

Podniesiona na duchu tą myślą wypila kompot i zjadła pączka, a potem wyszła z altanki, kierując się w stronę bramy. Po drodze minęła Diabelski Krąg. Stali tam Staszek i Tymek. Nic nie robili, po prostu tkwili przy granicy martwej strefy, lecz było w nich coś, co od razu przyciągało wzrok. Może bezruch, może to, że chociaż nie otwierali ust, wydawali się... porozumiewać w jakiś sposób? Tak, chyba tak. I Ninę uderzył fakt, że odkąd obaj chłopcy wrócili, trzymali się przez cały czas razem – gdzie znalazł się jeden, tam zaraz w pobliżu był drugi. Znow pomyślała o tym, by wywiesić z okna sygnał SOS. Jednak rozsądek

kolejny raz odpowiedział, że przecież nie ma powodu.

Poza tym prawdopodobnie pani Stefania i tak przyjedzie już dziś.

Nina wyszła za bramę i usiadła przy drodze. Żałowała, że nie wzięła ze sobą książki, ale do klasztoru nie chciała wracać, bo oznaczałoby to możliwość spotkania z Jackiem, Tamarą czy kimś innym, kogo wcale nie miała ochoty widzieć. Ciekawe, kto się wygadał, Jacek czy Tamara? Nina podejrzewała chłopaka, bo to on wyskoczył z pomysłem, że fałszywy Sławek może być Bestią z Kręgu. Musiał o tym komuś wspomnieć, a wkrótce potem wszyscy się dowiedzieli, że Nina szuka w ich małej grupce potwora... Cóż, teraz to i tak nie miało znaczenia.

Siedziała, z nudów od czasu do czasu rzucając na drogę drobne kamienie. Kilka razy wydawało jej się, że słyszy warkot nadjeżdżającego samochodu, ale zawsze okazywało się, że to złudzenie. Minuty mijały, czas płynął leniwie jak krew sącząca się z rany. Nina wróciła do anonimowego listu. Kto go napisał? W porządku, myślała, oddychając głęboko. Spróbujmy rozważyć wszystkich po kolei. Może coś z tego wyjdzie.

Pani Celina? Nie, z pewnością nie, ona przecież nie pisałaby o sobie w trzeciej osobie. Staszek i Tymek też odpadali, bo nie było ich, gdy przyszedł pierwszy anonim, a Nina zakładała, że autorem obu była jedna i ta sama osoba.

Małgosia? Te drukowane litery wyglądały na dzieło kogoś starszego niż dziesięciolatka. Bliźniaczki mówiły gwarą, mało prawdopodobne więc, by potrafiły pisać czystą polszczyzną, zwłaszcza że z języka polskiego miały słabe oceny (któraś z nich kiedyś o tym wspomniała). Eliza robiła błędy ortograficzne, na jej liście dyżurów słowo „kuchnia” napisane zostało przez „ó”. Mariusz nie spra-



wiał wrażenia kogoś, kto potrafiłby sformułować jedno pełne, poprawne zdanie. Artur był niewątpliwie inteligentniejszy, ale też chyba miałby z tym problemem.

IDŹ DO PANI CELINY I POWIEDZ JEJ, ŻE JEDNAK ZDECYDOWAŁAŚ SIĘ WYJECHAĆ. A POTEM STĄD UCIEKAJ, PÓKI MASZ JESZCZE SZANSE.

Żadnych błędów ortograficznych, prawidłowa gramatyka, przecinki tkwiące tam, gdzie powinny być. To musiał napisać ktoś, kto nie ma kłopotów z językiem polskim, komu pisanie łatwo przychodzi i kto dużo czyta...

Prócz niej dużo czytali tylko Tamara i Adam. Tamarę Nina wykluczyła, ostatecznie gdyby dziewczyna chciała jej coś powiedzieć, mogła to zrobić normalnie, bez bawienia się w anonimy.

Został Adam – ale po co ulubieniec pani Celiny miałby pisać do Niny anonimowe listy?

Nie znajdując na to odpowiedzi, potrząsnęła głową i poruszyła się niespokojnie. Trawa, na której siedziała, była jeszcze lekko wilgotna. Która mogła być godzina? Słońce powoli zbliżało się do horyzontu, cienie był wyraźnie dłuższe i węższe. Nadciągał wieczór.

Jednak nim zapadł zmrok, niebo zasnuło się chmurami i zaczął padać drobny, irytujący kapuśniaczek. Nina skuliła się. Wytrzymam, pomyślała, wracając do posępnych myśli o zapaleniu płuc, śmierci i pogrzebie, na którym wszyscy wreszcie zrozumieliby, jak bardzo ją skrzywdzili. Rozsądek natomiast podpowiadał, że skoro Ninie nie dała rady nocna ulewa, to tym bardziej nie rozchoruje się od mżawki w środku letniego dnia.

Droga wciąż była pusta, samochodu ani widu, ani słyhu.

Wreszcie pokonał ją chłód i wilgoć sącząca się za kołnierz. Wstała i pobiegła w stronę klasztoru. Pech polegał na tym, że nie miała już czystych, suchych rzeczy, w które mogłaby się przebrać, skierowała się więc w stronę pokoju z kominkiem. Może wystarczy, jeśli po prostu wyschnie przy ogniu.

Lecz kominek był zimny, a co gorsza – stał przy nim Adam. Nie zauważył jej, bo Nina cofnęła się odruchowo. Już miała odejść, ale zaintrygowała ją mina chłopaka, który z napięciem, mrużąc oczy, wpatrywał się w palenisko, na którym leżał przygotowany stos drewna.

Co on wyprawia?

Ogień buchnął tak nagle, że Nina odskoczyła z lekkim okrzykiem. Adam odwrócił się w jej stronę, podczas gdy ona nie potrafiła oderwać wzroku od płomieni, które błyskawicznie zaczęły pożerać polana.

– Ogrzej się, wyglądasz jak zmokła kura – burknął, po czym wyszedł, pozostawiając zdumioną Ninę samą. Dziewczyna kucnęła przy ogniu. Nie widziała w ręku Adama zapalek, zresztą żeby uzyskać taki efekt, musiałby chyba oblać drewno benzyną i dopiero potem podpalić.

Magia? Adam rozniecał ogień siłą woli? Czemu nie, skoro Nina potrafiła w ten sposób otworzyć drzwi... Ale to by znaczyło, że podobne zdolności nie mają nic wspólnego z byciem Wybrańcem, bo przecież dwie osoby nie mogły być Wybrańcami, prawda?

A jeśli Wybrańcem był po prostu Adam?

Siedziała przez jakiś czas przy ogniu, a potem wstała i przeszła do sypialni.

Tamara leżała na łóżku, czytając. Na widok przyjaciółki podniosła wzrok, ale nie odezwała się ani słowem. Nina chciała coś powiedzieć, jednak zrezygnowa-

ła. Jaki to miało sens?

Zabrała „Spis rzeczy dziwnych” oraz ołówek i wróciła przed kominek. Aż do kolacji czytała własne zapiski, od czasu do czasu dodając coś i podsycając ogień. Pierwszym zdaniem, jakie zanotowała na temat Adama, było: „Usiłował przed nami ukryć, że w miasteczku kupił szczoteczkę do zębów”. Drugim: „Ma czarne włosy, niebieskie oczy i jasne brwi”. Eliza pewnie by się śmiała, nazywając to głupotami, lecz Nina miała nieodparte wrażenie, że właśnie takie drobne, na pozór nic nieznaczące fakty mają znaczenie. W nich kryła się odpowiedź.

Gdy zabrzmiał gong, wstała i ruszyła do jadalni, przyciskając „Spis...” do pierśi jak najcenniejszy skarb. Zatrzymała się w drzwiach. Jacek rzucił jej mordercze spojrzenie, które wyraźnie mówiło: „Tylko spróbuj obok mnie usiąść”, a Tamara odwróciła głowę. Nina miała ochotę pobiec do sypialni, schować się pod kołdrą i płakać aż do rana. To jednak oznaczałoby wizytę pani Celiny, która pytałaby pełnym niepokoju głosem: „Dobrze się czujesz, kochanie?”. A może nie, może nawet pani Celiny już nie obchodziło samopoczucie Niny. Wszystko jedno. Prędzej czy później i tak będzie musiała stawić czoło byłym kolegom i koleżankom.

– Zdecyduj się, wychodzisz czy wchodzisz? – warknął Adam, mijając ją w progu.

Zacisnęła usta, weszła do jadalni i rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś, od kogo promieniowałaby najmniejsza niechęć. Lidka? Ona jak zawsze miała minę świętobliwej cnotki. Adam oczywiście odpadał. Bliźniaczki? Hela nie lubiła Niny, ale Karolina bywała od czasu do czasu dla niej miła. I Małgosia, która na nie-

chęć nie miała już miejsca, bo całą ją wypełniało jej własne, prywatne nie-szczęście.

– Mogę? – Nina wskazała wolne krzesło między Karoliną a Małgosią.

– Siadej. – Starsza z bliźniaczek skinęła głową. – Słyszałam, żeś się poswa-rzyła z Tamarom i Jackiem?

– Oni mnie nienawidzą... – poskarżyła się Nina.

– E, zgniawali się, ale im przeńdzie.

– Nie chcą nawet ze mną rozmawiać.

– Poczkej trocha, a potem przeproś, to obaczysz, że ci wybaczą.

– Skąd wiesz? Może będą mnie nienawidzić już do końca świata?

Karolina spojrzała z rozbawieniem, a Nina poczuła się nagle bardzo dziecin-

na. W towarzystwie starszej z bliźniaczek wszyscy chyba czuli się podobnie,

przy niej nawet zaradna Eliza traciła pewność siebie, a wielki Mariusz sprawiał

wrażenie małego chłopca. Co ta dziewczyna w sobie miała? Ninę znów uderzy-

ło, że wydawała się starsza, niż była naprawdę. Zupełnie jak Sławek, pomyśla-

ła nagle. On też był nad wiek dojrzały.

Może Karolina okaże się sojuszniczką, której Nina potrzebowała?

– Chciałam... Chciałam cię o coś zapytać... – wymruczała, patrząc jak Flip

i Flap wnoszą tace z talerzami kanapek i dzbanami parującej herbaty. – Mogę?

– No.

– Ty nie uważasz, że powrót Staszka i Tymka jest dziwny?

– Stracili się kejsik, a potem znaleźli, czemu tu się dziwować?

– Nie interesuje cię, gdzie byli i czemu tego nie pamiętają?

– Trocha tak, ale jak sami nie pamiętają, to nam przeca nie powiem.

– A jeśli...

– Nie cuduj, potym ino swary z tego som. Jakby co było nie tak, anioł by z tym porzondek zrobił.

Rozczarowana Nina spuściła głowę. Do jadalni weszli Tymek i Staszek, którzy zajęli miejsca obok siebie. Małgosia drgnęła lekko.

– Tymek już mnie nie lubi – szepnęła cicho.

– Przejdzie mu, zobaczysz. – Nina powtórzyła słowa Karoliny, ale zabrakło jej pewności siebie bliźniaczki. Poza tym to, co mogło być prawdziwe w odniesieniu do Tamary i Jacka, wcale nie musiało sprawdzić się w przypadku Tymka. Tamara i Jacek po prostu się na Ninę obrazili, a Tymek...

Tymek się zmienił.

Ninie zrobiło się żal dziewczynki. Od początku w ich niewielkiej społeczności potworzyły się różne grupki. Flip trzymał się z Flapem, Karolina oczywiście z Helą, Eliza z Lidką (co swoją drogą było dziwne, bo jedna była kwintesencją przyziemności, a druga wręcz przeciwnie), Tymek z Małgosią, a Nina z Tamarą i Jackiem. A teraz i Małgosia i Nina zostały same.

Sama. Nina czuła, jak ciężar tego słowa przygniata jej barki. Gdyby znalazła kogoś, z kim mogłaby porozmawiać... Ale przecież wszyscy byli zaczarowani przez anioła.

Nie, nie wszyscy. Adam chyba nie był. Tylko on i Nina się bali.

Po kolacji Eliza pomogła Flipowi i Flapowi posprzątać ze stołu, a pozostali przeszli do pokoju z kominkiem. Tamara znowu zaproponowała Jackowi pokera, pani Celina i Adam czytali, Lidka grała z bliźniaczkami w jakąś grę planszową, a Tymek i Staszek po prostu siedzieli, gapiąc się w ścianę. Małgosia próbo-

wała z nimi rozmawiać, wróciła jednak po chwili i z nosem zwieszonym na kwintę usiadła w kącie. Nina dołączyła do niej, żalując, że nie potrafi znaleźć słów, które pocieszyłyby dziewczynkę.

Co ja mam zrobić? – zastanawiała się desperacko. Od czasu do czasu spoglądała na Adama, szukając w nim przerażonego chłopaka, który na marginesie napisał: „Bać się to umierać każdego dnia po trochu”. Lecz ulubieniec pani Celiny wydawał się całkowicie spokojny, jakby nie obchodziło go nic poza trzymaną na kolanach książką.

A przecież Nina nie mogła się mylić. Jak mawiał Sherlock Holmes: „Gdy wyeliminuje się wszystko, co niemożliwe, reszta musi być prawdą, choćby nawet wydawała się niewiarygodna”.

Zamknęła oczy i odetchnęła, zbierając siły. Trudno, pomyślała, raz kozie śmierć. Gorzej przecież i tak nie będzie.

Wstała i przeszła przez pokój. Parę osób odwróciło się w jej stronę, ktoś szepnął ze zdziwieniem, gdy podeszła do fotela Adama. Odchrząknęła. Śledzące ją spojrzenia paliły w kark.

– Chciałabym... chciałabym z tobą porozmawiać – powiedziała.

– No to mów. – Adam nie pofatygował się nawet, żeby unieść głowę znad książki.

– Nie tutaj. W jakimś innym, spokojnym miejscu. – Teraz już wszyscy się na nią gapili, czuła to wyraźnie. Co ona wyprawia?

– Po co?

– Bo wiem, kim jesteś.

Tym razem przynajmniej na nią spojrział – i czy jej się zdawało, czy rzeczy-

wiecie w oczach Adama zauważyła błysk niepokoju?

– No, kim jestem? Straszny potworem z Kręgu? Diabłem, który chce was wszystkich pożreć?

Z tyłu ktoś zachichotał. Tamara? Chyba tak, ale Nina nie chciała teraz o tym myśleć.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– No to kim? I skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że mogę być kimś innym?

Z powodu szczoteczki do zębów, pomyślała. I twoich włosów. Zdarza się, że bruneci mają niebieskie oczy, ale jasne rzęsy w połączeniu z czarnymi włosami to bardzo rzadki przypadek. I wściekłeś się naprawdę tylko jeden jedyny raz – gdy Tymek w drodze do miasteczka opowiadał o trzymanej przez zakonnice „wariatce”. A potem nazwałeś Markoty najpiękniejszym miejscem na świecie. Odwróciła się, wyrwała ze „Spisu...” pustą kartkę, po czym napisała na niej jedno zdanie. Złożony kawałek papieru podała Adamowi.

Przeczytał, schował kartkę do kieszeni i wstał. Nina odetchnęła z ulgą. A więc miała rację.

To jedno zdanie brzmiało: Jesteś synem Maury Lewickiej.

Rozdział jedenasty, w którym Nina śpi z nożem pod poduszką i przekonuje się, do czego może służyć sól.

Coś ty zrobił z włosami?

Adam, który tak naprawdę Adamem wcale nie był, przeczesał palcami bujną czuprynę w kolorze węgla.

– Zafarbowałem – przyznał niechętnie. – Starą farbą, jeszcze z czasów, kiedy babcia walczyła z siwizną. Jedno opakowanie w domu zostało. Bałem się,

że będzie przeterminowana, ale widać nie była.

– Jak się tutaj znalazłeś? I skąd wiedziałeś, że Sławek nie przyjedzie?

– Nie wiedziałem. To był ślepy traf, szczęście, jeśli tak to można nazwać. –

Skrzywił się. – Podejrzywałem, że w klasztorze dzieje się coś złego, i chciałem to sprawdzić. Długa historia.

Siedzieli na szerokim parapecie w jadalni. Światło od czasu do czasu gasło, więc w końcu Nina wyłączyła je zupełnie i zapaliła świecę, która stała teraz między nimi na spodeczku. Ciepły blask ognia odbijał się w szybie, o którą dzwonił deszcz, i podkreślał cienie pod oczami Adama. Pozbawiony aroganckiej miny chłopak wydawał się przygnębiony i jakby bardziej kruchy.

Drzwi do jadalni skrzypnęły. Ktoś zajrzał do środka i wycofał się z chichotem.

Na korytarzu rozległy się szepty, a potem tupot.

– Myślisz, że w końcu im się znudzi? – zapytała Nina.

– Nie sądzę – wymamrotał Adam ponuro. – Myślałby kto, że przyszedliśmy się tu całować.

Nina uznała, że ciemność na zewnątrz jest bardzo interesująca, i przez chwilę wpatrywała się mozaikę spływających po szybach kropel. Deszcz wystukiwał na szkło monotony, jesienny rytm.

– Skąd wiedziałeś, że jestem synem Maury?

Odwróciła się.

– Przez tę szczoteczkę do zębów. Myślałam, że kupiłeś ją w miasteczku, ale nie, ty po nią po prostu poszedłeś do domu, prawda? I bałeś się, że ktoś z nas zgadnie, że mieszkasz w Markotach, więc ją schowałeś. Do tego strasznie się wściekłeś, kiedy Jacek nazwał Maurę „wariatką”, a potem powiedziałeś, że



Markoty to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Nie obraż się, tu jest całkiem ładnie, ale nazwać to miejsce „najpiękniejszym” mógłby chyba tylko ktoś, dla kogo są to rodzinne strony.

Skinął głową.

– Urodziłem się w Warszawie, ale tu zawsze był mój dom.

– I widziałam zdjęcie twojej matki – dodała. – Z twarzy jesteś do niej podobny, tylko zmyliły mnie te czarne włosy. No i jeszcze to, że na zdjęciu było niemowlę ubrane w coś podobnego do sukienki, dlatego na początku mi się wydawało, że Maura miała córkę, nie syna. Potem dopiero skojarzyłam, że przecież małe dzieci ubiera się tak niezależnie od płci.

– Ale nieźle udawałem, prawda? – Błysk w oczach ożywił na chwilę ponurą, zmęczoną twarz.

– Genialnie. Jeśli nie jesteś naprawdę taki wredny, to musisz być świetnym aktorem.

– JESTEM dobrym aktorem. Zawsze byłem. – Przez usta Adama przemknął cień uśmiechu. – Odziedziczyłem to chyba po ojcu, mamie się raz wymknęło, że występował w teatrze, ale nic więcej nie chciała powiedzieć. Mniejsza z tym. A co do tej wredności, to samo jakoś wyszło – przyznał z ociąganiem. – Bałem się strasznie przez cały czas i wolałem z nikim nie rozmawiać, zwłaszcza że nie wiedziałem nic o tym Adamie, którego udawałem. Ani gdzie mieszka, ani kim są jego rodzice, nic. Gdybym zaczął zmyślać, prędzej czy później z czymś bym się zdradził. Najłatwiej było trzymać się z boku i być na tyle nieprzyjemnym, żebyście sami nie chcieli mieć ze mną do czynienia.

– A pani Celina? Z nią przecież musiałeś rozmawiać?

– Za każdym razem, kiedy pytała o coś związanego z rodziną, robiłem smutną minę i dawałem do zrozumienia, że ciężko mi o tym mówić.

Nina parsknęła śmiechem

– Sprytne. I ona się na to nabrała? No tak, pani Celina wygląda na taką...

Ku jej zdziwieniu znowu się zachmurzył.

– Wcale nie jest „taką”, cokolwiek przez to rozumiesz.

– Oj, no już nic nie mówię. I rozumiem, czemu musiałeś być taki paskudny.

Ale lizusostwo? Donoszenie? Nie przesadziłeś trochę?

Zacisnął usta i odwrócił się w stronę okna. Nina westchnęła.

– Jak ty właściwie masz na imię? Tak naprawdę?

– Hubert.

– A te anonimowe listy, które do mnie pisałeś? Chciałeś mnie nastraszyć?

– Ostrzec, nie nastraszyć.

– Czemu tylko mnie?

– Bo najpierw tylko ty kręciłaś się przy Diabelskim Kręgu, a potem... – Po-

trząsnął głową. – Potem wiedziałem, że ostrzeganie innych nie ma sensu, bo

przecież i tak by nie wyjechali. Pomyślałem więc, że dobrze byłoby, gdyby

choć jedna osoba wyszła z tego żywa. Szkoda, że mnie nie posłuchałaś.

– O czym ty mówisz? – W głosie Niny zabrzmiała nuta paniki.

– Nie bądź naiwna. – Spojrzał na nią z góry, a ona poczuła się, jakby na mo-

ment wrócił dawny Adam. – Przecież to oczywiste, że wszyscy tu zginiemy.

– Nonsens. Musimy wytrzymać jeszcze tylko do jutra. Wtedy przyjedzie po

nas ojciec Tamary i pani Stefania.

– Jaka pani Stefania? I czemu ojciec Tamary miałby przyjeżdżać?

Opowiedziała mu wszystko, ale chłopak nie wyglądał na przekonanego.

– To nic nie da. Przyjadą, a anioł też ich zaczaruje.

– Właśnie że nie. Pani Stefania wie o niebezpieczeństwie. Zobaczysz, ojciec Tamary coś wymyśli. To mądry człowiek. Profesor. Jutro o tej porze wszyscy będziemy w drodze do domów.

Wzruszył ramionami. „Skoro tak twierdzisz”, mówił jego gest, ale w oczach nie było nadziei. Nina niespodziewanie poczuła złość. Liczyła na sojusznika, na kogoś, kto ją wesprze, a zamiast tego dostała takiego... wstrętnego pesymistę.

Odetchnęła, starając się uspokoić.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała, ale jej wesołość zabrzmiała sztucznie. „Wszystko będzie dobrze” – tak mówiła pani Celina, a Nina jej nie wierzyła. Dziewczyna poczuła się nieswojo. Jeszcze tylko jedna noc, powtarzała sobie.

– Swoją drogą masz jakiś pomysł, dlaczego tylko my nie zostaliśmy zaczarowani? – zapytał Hubert.

– Nie domyśliłeś się?

– Nie. Ty wiesz?

– Wiem. No pomysł, co my mamy ze sobą wspólnego?

– Nikt nas tu nie lubi?

– To też. – Zarumieniła się lekko. Dlaczego musiał jej o tym przypominać? –

A poza tym oboje rozmawialiśmy z aniołem z piwnicy. Ciebie też chwycił za rękę, prawda?

Przytaknął.

– Myślałem, że połamie mi kości.

– No właśnie. A potem coś podobnego robił Azkiel, kiedy przyniosłam walizkę, a on wszystkich zaczarował. Skrzydlaci muszą... no nie wiem, wpływać ja-  
koś na ludzi przez dotyk czy coś. I wygląda na to, że jeden anioł uodpornił nas  
w ten sposób na magię drugiego anioła.

– O tym, że anioły potrafią wpływać na ludzi, wiem od dawna.

– Może to działa w ten sposób, że im mocniej cię taki anioł ściśnie, tym sil-  
niejszy jest jego wpływ? – rozważała Nina. – To by wyjaśniało, czemu wcze-  
śniej pani Celina od czasu do czasu zachowywała się jeszcze zwyczajnie, bała  
się i w ogóle, a teraz już nie. Teraz nawet gdyby Bestia z Kręgu zeżarła nas  
wszystkich na jej oczach, nadal pewnie twierdziłaby, że to niegroźny wypadek.

– Myślisz, że ona... że oni wszyscy już nigdy nie będą normalni?

– Nie wiem... Nie, myślę, że prędzej czy później im przejdzie. Pani Celina za-  
wsze wracała do siebie. Pamiętasz? Gdy zaginął Staszek była spokojna, potra-  
fiła nawet skłamać i powiedzieć, że wrócił do domu. A potem, po zniknięciu  
Tymka, siedziała w jadalni przerażona i zrozpaczona.

– Problem w tym, że kiedy oni się opamiętają, będzie za późno – oznajmił  
Hubert.

Nina postanowiła twardo, że nie da się sprowokować jego posepnym wi-  
zjom.

– Zamiast marudzić, powiedz, czego się dowiedziałeś od anioła z piwnicy. Bo  
przecież musieliście rozmawiać, kiedy nosiłeś mu jedzenie?

– Ciągle tylko powtarzał, że mam zapytać panią Celinę, po co tu naprawdę  
jesteśmy. I że świat się zmienia. I śmiał się ze mnie. – Zaczerwienił się, nie  
wiadomo: z gniewu czy ze wstydu.

– I co, zapytałeś?

Pokręcił głową.

– Bałem się, że zaczniesz mnie podejrzewać.

A poza tym i tak pewnie nie dowiedziałabyś się od niej prawdy, uzupełniła w myślach Nina.

– Mnie anioł z piwnicy też powiedział, że świat się zmienia. I że nie mogę stąd uciec, bo Bestia wszędzie mnie dopadnie.

– Mnie nic takiego nie mówił. – Hubert zmarszczył lekko brwi.

– W takim razie, dlaczego, na litość boską, nie zwiąłeś?

Przez twarz chłopaka przemknął grymas bólu.

– Domyśl się, skoro jesteś taka sprytna.

Anioł mnie okłamał? – zastanawiała się Nina, wspominając rozmowę

z oszpeconym skrzydlatym. Dziwne, tyle rzeczy przyjmowała z nieufnością, ale w to, że Bestia dopadnie ją wszędzie, od razu uwierzyła. I nigdy nie wątpiła, że jedno z nich jest Wybrańcem – może dlatego, że wspominał o tym zarówno

Azkiel, jak i anioł z piwnicy.

– A jeśli anioły nas oszukały także w innych kwestiach? – spytała, dziwiąc się własnej naiwności. – Może ten Wybraniec to bujda, pretekst, żeby nas wszystkich tu zatrzymać...

– Nie, z Wybrańcem to akurat prawda. Trochę podsluchiwałem i wiem, że anioł z piwnicy jest czymś w rodzaju przynęty na Bestię z Kręgu. Ona ma zabrać nas po kolei, aż wreszcie zagrożenie sprawi, że Wybraniec się ujawni. Jakoś tak. Pani Celina nie miała o tym pojęcia, dowiedziała się dopiero później, a wtedy była już pod wpływem Azkiela. Naprawdę myślisz, że chłopak,

którego udawałem... ten Adam...

– Sławek, on używał imienia Sławek.

– Niech będzie Sławek. Naprawdę myślisz, że był Wybrańcem?

– Jacek ci to powiedział?

– Nie, Jacek mówił tylko, że podejrzewasz jednego z nas o bycie Bestią z Kręgu. To o Wybrańcu podsłuchałem, kiedy pani Celina rozmawiała z Azkielem.

– Myślę, że był. – Nina westchnęła. – Próbowałam w to nie wierzyć, wma-  
wiałam sobie, że ja mogę być Wybrańcem albo któreś z was... Wiesz, że  
umiem czarować? Otwieram okna i drzwi samą siłą woli.

– Ja siłą woli rozpałam ogień, i co z tego? Większość nas w ten czy inny spo-  
sób czaruje. Małgosia i Tymek na pewno, widziałem kiedyś, jak siedzieli na  
deszczu w ogrodzie i sprawiali, że różne przedmioty zaczynały latać. Lidka  
i bliźniaczki chyba też coś potrafią, ale nie wiem co. Nikt się przesadnie takimi  
mocami nie chwali, bo boi się zbląźnić jak Małgosia.

– Zwłaszcza że te moce czasem działają, a czasem nie – uzupełniła Nina.

Może to właśnie było wyjaśnienie niepokojącego wrażenia, że w klasztorze  
każdy coś ukrywa? Dzieciaki zaczynały podejrzewać, że mają magiczne zdol-  
ności, ale mówiły o nich tylko najbliższym przyjaciołom, bo coś takiego wyda-  
wało się zbyt dziwaczne i niepewne, by od razu chwalić się wszystkim. Nina  
potrafiła to zrozumieć, ostatecznie ona sama nikomu nie wspomniała o otwar-  
tych siłą woli oknie czy drzwiach. A jednak wciąż nie do końca była przekona-  
na, wciąż mogłaby się założyć, że poza taką czy inną magią młodzież z klasz-  
toru ukrywa coś jeszcze.

– I Artur – dodała, przypominając sobie jego zaczęty list do matki oraz słowa chłopaka, który chwalił się, że umie znacznie więcej niż Mariusz. – Artur chyba też ma moc.

– Magia nie ma nic wspólnego z byciem Wybrańcem. Potrafimy czarować, bo świat się zmienia, tyle wiem. A co do Wybrańca... Jeśli on naprawdę nie żyje, wszystko stracone. Rozumiesz to, prawda? Nie ma kto pokonać Bestii.

– Możemy przed nią uciec – upierała się Nina. – Znaleźć sposób, żeby się ukryć.

– Nawet jeśli ty się ukryjesz, to co z innymi? Zostawisz ich tu wszystkich? Oni nie odejdą dobrowolnie, bo wciąż są zaczarowani przez Azkiela.

– A on wciąż wierzy, że Wybrańiec żyje. – Nina jęknęła. – Gdybym tylko potrafiła go przekonać, że jest inaczej, wtedy może by nas puścił, znalazł jakiś inny sposób na Bestię...

– Azkiela trudno będzie przekonać, bo go tu nie ma.

– Nie ma? Jak to nie ma?

– Zniknął gdzieś przed południem. Pani Celina twierdzi, że niedługo wróci, ale może znowu ją oszukał.

Tak więc wyjaśniło się, czemu skrzydlaty nie zainteresował się niespodziewanym powrotem Staszka i Tymka. Nina ukryła twarz w dłoniach. Wszystko stracone, w uszach rozbrzmiewały jej słowa Huberta.

A może nie? Może teraz, kiedy anioła zabrakło, zaczarowani szybciej wrócą do normalności?

– Nie rozumiem tylko – ciągnął chłopak – czemu Azkiela zupełnie nie obeszło, że jedno z nas jest kimś innym, niż powinno być. Ja mało nie zemdlałem,

kiedy się dowiedziałem o twoim odkryciu. Myślałem, że już po mnie, bo zaraz się zorientują, kim jestem.

– A ja się nie dziwię. – Nina oderwała ręce od twarzy. Tylko spokojnie, powtarzała w myślach. Z paniki nic dobrego nie przyjdzie. – Pomyśl. Zebrali tu trzynaście osób z nadzieją, że jedna z nich jest tą właściwą, która pokona Bestię. Potem się dowiedzieli, że któreś z nas zostało podmienione. I co mieli zrobić? Zmarłego nie potrafili ożywić, mogli mieć tylko nadzieję, że Sławek nie był jednak Wybrańcem. W sumie szanse na to były jak jeden do trzynastu, a nie sądzę, żeby Azkiela obchodziło, że w klasztorze znalazła się obca osoba. Dlaczego miałby się tym przejmować? On jest bardzo pewny siebie, nie przyszłoby mu do głowy, że zwykły nastolatek może stanowić zagrożenie dla jego planu.

– I miał rację, prawda? – W głosie Huberta zabrzmiała gorycz. – Nie mógłbym zaszkodzić Azkielowi, nawet gdybym chciał. Nikogo nie uratuję, ani siebie, ani was.

– Oj, przestań. Mówiłam, że coś wymyślimy. Szkoda, że nie nadałam sygnału SOS, mogłabym przynajmniej porozmawiać z panią Stefanią...

– Jakiego sygnału?

Nina wyjaśniła.

– Możemy zrobić to teraz – powiedział Hubert, gdy skończyła mówić. – Pójdziemy na piętro i zapalimy światło...

– To nic nie da. Za bardzo pada, w takim deszczu z drugiego brzegu jeziora niczego nie będzie widać.

– Fakt.

Nina skuliła się. A gdyby tak poszła do miasteczka? Do pani Stefanii, tylko na



jedną noc? Tym razem nie zgubiłaby się w ciemności, była tego pewna. Miała przecież latarkę...

– Jeśli myślisz o ucieczce, ja nie idę z tobą. – Chłopak najwyraźniej odgadł jej myśli.

– Zostanę. – Nina potrząsnęła głową. – W końcu to jeszcze tylko jedna noc.

– Jedna noc, którą trzeba przeżyć – oznajmił ponuro.

– Przeżyć? Bestia z Kręgu przecież nikogo już chyba nie zabierze, skoro wypuściła Staszka i Tymka...

– A zastanawiałaś się choć przez chwilę, DLACZEGO ich wypuściła?

– Owszem, ale na razie nic mi nie przyszło do głowy. Ty wiesz?

– Domyślam się. – Hubert pochylił się w stronę Niny. Oczy płonęły mu posępnym blaskiem, na bladej twarzy pojawiły się rumieńce. – Może po to, żeby

POZABIJALI NAS WSZYSTKICH, KIEDY ZAŚNIEMY?

– Z... zwariowałaś – wykrztusiła.

– Widziałaś przecież, jak oni się zachowują. Są inni, nie możesz temu zaprzeczyć. Bestia prawie na pewno przeciągnęła ich na swoją stronę. Może zorientowała się, że za dużo czasu zajmuje jej odławianie nas po kolei, wysłała więc swoich agentów, żeby załatwili sprawę...

– Przestań. – Nina zatkała uszy. – Nie chcę tego słuchać!

– Poczekają, aż zaśniemy, a wtedy wstaną i...

– Nie chcę tego słuchać! Mam dość twoich pomysłów!

Drzwi do jadalni skrzypnęły i pojawiła się w nich pani Celina.

– Co tu się dzieje? Nino, czemu krzyczysz?

Dziewczyna milczała z zaciśniętymi ustami. Opiekunka westchnęła.

– Idźcie spać, już późno.

Gdy wyszła, Nina spojrzała na Huberta oczami rozszerzonymi z przerażenia.

– Nie pójdę teraz spać. Nie m... mogę.

– Nie martw się, będę czuwał przez całą noc i nie pozwolę, żeby Staszek i Tymek zrobili komuś krzywdę. – Sięgnął do kieszeni i ku zdumieniu dziewczyny wyjął nóż. – Masz. Ukradłem go z kuchni. Jest ostry, w razie czego będziesz mogła się bronić...

– Nie chcę żadnego noża! Upadłeś na głowę?

– Bierz! – Siłą otworzył jej zaciśniętą pięść i wcisnął w nią chłodną metalową rączkę. Nina wzdrygnęła się. Czuła się, jakby trzymała jadowitego węża. Wnętrze dłoni miała śliskie od potu i cała się trzęsła.

– Nie chcę! Nie mogę... nie potrafiłabym... – Na myśl, że miałyby wbić nóż w Tymka albo w Staszka, robiło jej się słabo. – Poza tym ty potrzebujesz go bardziej, w końcu śpisz z nimi w jednej sypialni.

– Wezmę z kuchni drugi, nie martw się. To tylko tak na wszelki wypadek, nie będziesz musiała go używać. Mówiłem ci, że będę czuwał przez całą noc i jeśli zajdzie taka potrzeba, obronię cię. Nawet gdybym miał poświęcić życie.

Nina zamrugnęła. Mimo przerażenia zaczynało do niej docierać, że chłopak chyba trochę przesadza... Poświęci życie? Czego on się, u licha, naczytał?

– A to ja podobno mam słabość do dramatyzowania – wymamrotała.

Pani Celina raz jeszcze zajrzała do jadalni.

– Jeszcze tu jesteście? Mówiłam, że macie iść spać.

– Schowaj nóż! – syknął Hubert.

Nina powlokła się do sypialni. Dziewczyny leżały już w łóżkach, ale na widok

wchodzącej zaraz się ożywiły.

– Jak się udała randka z naszym potworem? – zagadnęła Eliza, a Hela zachichotała.

– Dajcie jej spokój – odezwała się Lidka ze świętoszkowatą miną. – To nie wina Niny, że straciła łaskę.

Nina podeszła do łóżka, czując, jak nóż ciąży jej w kieszeni swetra. Musi go schować, ale przecież nie teraz, kiedy wszyscy na nią patrzą... Zdjęła więc tylko sweter, schyliła się i wepchnęła go pod łóżko. Po chwili, człapiąc po posadzce bosymi stopami, podeszła do niej Tamara.

– O czym tyle czasu gadaliście?

Nina wyprostowała się.

– Myślałam, że się do mnie nie odzywasz.

– E tam, czy ja mam pięć lat, żeby się obrażać? Jacek, ten to dopiero jest wściekły. – Tamara zachichotała. – No, ale ma powód, nie? I przyznaję, że ja się też wkurzyłam w pierwszej chwili.

– Powiedziałaś, że mam źle w głowie... – burknęła Nina.

– Często to ludziom mówię. – Tamara wyszczerzyła zęby. – A ty jesteś strasznie przewrażliwiona. No już, opowiadaj.

Nina przez chwilę czuła pokusę, by wszystko jej wyznać. Ale jaki to miałoby sens? Tamara śmiałaby się z pomysłu, że Staszek i Tymek wrócili, żeby ich wszystkich wymordować, a w dodatku mogłaby pod wpływem anielskiej magii wygadać, kim naprawdę jest Adam.

– Nie mogę. Uwierz mi, naprawdę bardzo chciałabym ci powiedzieć, ale nie mogę.

– Jak chcesz. – Tamara wzruszyła ramionami i wróciła do łóżka. Nina patrzyła na nią z żalem, ale mimo wszystko czuła się odrobinę lepiej. Przyjaciółka się do niej odzywała, a to już coś.

W łazience, myjąc się pośpiesznie, rozważała słowa Huberta. A co, jeśli miał rację? Jeśli Staszek i Tymek wrócili, żeby ich zabić?

Z jednej strony zdążyła się już połapać, że syn Maury to melancholik i pesymista, który wszędzie dopatruje się dramatu. Z drugiej strony... z drugiej strony było to przecież możliwe, prawda?

Wróciła do sypialni, wśliznęła się do łóżka i poczekała, aż Eliza zgasi światło. Potem wychyliła się i w ciemności wymacała sweter, a następnie nóż. Wsunęła go pod poduszkę, znów czując ukłucie wstrętu. Nóż był zimny i wydawał się prawie... żywy, jakby trzymała w ręku uspioną na razie bestię, która lada moment obudzi się i zacznie kąsać.

To była najgorsza noc w życiu Niny.

Leżała wpatrzona szeroko otwartymi oczami w ciemność i wyteżała słuch, czekając na dźwięk kroków dobiegających z korytarza i skrzypnięcie drzwi.

A potem dwie sylwetki cicho wsuwające się do sypialni... Nina nie chciała o tym myśleć, ale nie potrafiła przestać. Umierała ze strachu za każdym razem, gdy któraś z dziewcząt przewróciła się na łóżku albo zachrapała, bolał ją żołądek i dręczyły mdłości, a kiedy wstała, żeby pójść do łazienki, zorientowała się, że przesiąkniętą potem koszulę nocną mogłaby wykręcić niczym mokre pranie.

Minuty rozciągały się w godziny, a godziny wlokły się jak dni. Deszcz na zewnątrz dawno już umilkł, dziewczyna trzęsła się skulona pod kołdrą. Czasem zmęczenie brało górę nad przerażeniem i wtedy zasypiała na ułamek sekundy,

jakby spadała w głęboką, ciemną studnię. Zawsze jednak budziła się gwałtownie, z myślą, że może ONI już tu są, już nad nią stoją... Sen przypominał omdlenie, aż sama czasem nie wiedziała, czy zasypia, czy może traci przytomność. W pewnym momencie zsunęła się z łóżka i usiadła na podłodze, by zimno posadzki trochę ją otrzeźwiło. Kołysała się lekko, obejmując kolana rękami, i w myślach powtarzała: Nie wolno mi spać, nie wolno mi spać. Od czasu do czasu sięgała też pod poduszkę, choć nie była pewna, czy dotyk noża przynosi jej ulgę, czy wręcz przeciwnie – wprawia w jeszcze większe przerażenie. Raz wstała, by podejść do rzucającej się na łóżku Małgosi. Dziecko znowu mówiło przez sen.

– Przyjdzie do nas po ścieżce zrobionej z soli – powtarzało. – Przyjdzie do nas po ścieżce zrobionej z soli.

W Ninie zamarło serce. Co to mogło znaczyć?

Wróciła do łóżka na uginających się pod nią nogach. Słowa Małgosi brzmiały jej w uszach, nabierając coraz bardziej złowrogięgo znaczenia.

Ścieżka z soli...

Wreszcie, gdy ciemność za oknem zaczęła lekko szarzeć, Nina nie potrafiła już bronić się przed zmęczeniem i zapadła w ciężki, niespokojny sen.

Sen, z którego wyrwał ją czyjś dotyk. Szczupła dłoń zatkała jej usta, a dziewczyna szarpnęła się w panice, wytrzeszczając oczy.

– Nie krzycz, proszę. To ja, Hubert.

– C...co się stało? – wybełkotała, kiedy już ją puścił. Chłopak pochylał się nad łóżkiem, w jednej ręce trzymając świecę. – Czy...

– Spokojnie, wszyscy żyją. Ale Staszek i Tymek wyszli do ogrodu, więc cię

obudziłem. Musimy iść za nimi.

– Przez ciebie dostanę zawału serca – wymamrotała Nina, schylając się po buty. Drżącymi jeszcze rękami zawiązała sznurowadła. Ubieraniem się nie kłopotowała, włożyła tylko sweter na koszulę nocną. Obecność Huberta dodała jej odwagi. Po pierwsze, nie była już sama, a po drugie, noc powoli się kończyła. Jeśli nie zabili nas do tej pory, to już chyba nie zabiją, pomyślała optymistycznie. Poza tym sam fakt, że wreszcie miała do zrobienia coś poza kuleniem się ze strachu, sprawił, że lepiej się poczuła.

– Która godzina? – zapytała, gdy cicho wyslizgiwali się z sypialni.

– Nie wiem, chyba po czwartej.

Świt, pomyślała. Ciekawe, czy Staszek i Tymek specjalnie czekali, aż słońce zacznie wstawać, żeby się wymknąć?

Dotarli do tylnych drzwi, otworzyli je i stanęli zakłopotani na widok kłębiącej się przed nimi mgły. Ogród wyglądał jak zalany połyskującym srebrzyście mlekiem. Nina wyciągnęła rękę i jej palce momentalnie znikły w zimnej białej chmurze.

– Nie możemy tam teraz iść – powiedział Hubert. – W takiej mgle nie znajdziemy Staszka i Tymka.

– Albo, co gorsza, znajdziemy, kiedy wejdziemy im na plecy – uzupełniła Nina. – Co teraz?

– Możemy usiąść na schodach w holu. Stamtąd będziemy mieć widok na korytarze prowadzące do obu sypialni i na piętro.

– Na wszelki wypadek, gdyby wrócili do klasztoru i jednak zdecydowali się nas zamordować? Albo panią Celinę?

– Nigdy nic nie wiadomo – obruszył się Hubert, ale widać było, że i on coraz mniej wierzy w to, że ze strony Staszka i Tymka grozi im bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Mimo to usiedli na schodach, a chłopak położył sobie na kolanach nóż. Nina swojego zapomniała, co, szczerze mówiąc, przyjęła bardziej z ulgą niż niepokojem.

– Możesz opowiedzieć, jak się tu znalazłeś – powiedziała.

– Teraz?

– Czemu nie? I tak nie mamy nic lepszego do roboty.

– W porządku. – Hubert skinął głową, a Nina owinęła się ciaśniej swetrem, bo od kamiennych schodów ciągnęło chłodem. – Od czego by tu zacząć...

– Najlepiej od początku.

– Czyli chyba od Warszawy. – Hubert nie wychwycił ironii. – W takim razie niech będzie Warszawa. Tam się urodziłem. Ojca nie znałem, a mama nigdy nie powiedziała mi, kim on jest. Nie tęskniłem za nim, byliśmy szczęśliwi we dwójkę, a przynajmniej tak mi się wydaje, bo niewiele z tamtego okresu pamiętam. Moje pierwsze wyraźne wspomnienie to lipiec czterdziestego czwartego roku, kiedy mama postanowiła wysłać mnie do Markotów.

– Tuż przed wybuchem powstania?

– Aha. Nie wiem, czy wiedziała, co się będzie w Warszawie działo, czy miała tylko przeczucie. Nie mam pojęcia. Pamiętam tylko, że siedziałem na krześle w kuchni i płakałem, kiedy ona pakowała walizkę. Nie chciałem jechać, a jeśli już, to żeby mama pojechała ze mną. Ale ona zawsze stawiała na swoim.

Wsadziła mnie więc do pociągu. Miałem sześć lat i kartkę na szyi, na której

wypisana była nazwa stacji i adres domu babci w Markotach. Na drogę dosta-  
łem też herbatę w butelce i chleb z marmoladą. Pamiętam, że czułem się  
okropnie, jak... jak bagaż wysłany do krewnych albo coś w tym rodzaju. Przez  
całą drogę płakałem. W Markotach na dworcu odebrała mnie babcia, która  
okazała się całkiem miłą, ale ja długo nie mogłem wybaczyć mamie tego, co  
zrobiła. Następnym razem zobaczyłem ją już po wojnie. Wyszliśmy z babcią na  
stację, a mama wysiadła z pociągu. Od początku uderzyło mnie, że była ja-  
kaś... inna, jakby szczuplejsza, starsza, bardziej zmęczona i zagubiona. Nie  
umiem tego inaczej nazwać. Do dziś pamiętam tę scenę: mama stoi na pero-  
nie wśród potrącających ją ludzi i rozgląda się wokół, jakby nie bardzo wie-  
działa, gdzie się znalazła. Już wtedy miałem przeczucie, że stało się coś złego.  
Później było jeszcze gorzej. Mama nie mogła spać, każdej nocy słyszałem, jak  
krąży za ścianą niczym zwierzę w klatce. Tam i z powrotem, tam i z powrotem.  
Jej obrazy stawały się coraz bardziej mroczne, a kiedy z nią rozmawiałem,  
czasem milkła w połowie zdania i siedziała jak zepsuta lalka. Potem się oży-  
wiała, ale nie pamiętała już, o czym wcześniej mówiła. Sąsiedzi zaczęli się  
skarżyć, że nocami przechodzi przez płot do ich ogrodu. Raz znaleźliśmy ją  
rano nad jeziorem, w nocnej koszuli i bosą, z poranionymi stopami. Innego  
dnia ubrała się ni stąd, ni zowąd w swoją najlepszą wizytową sukienkę, włoży-  
ła buty na obcasach i wzięła torebkę, a potem powiedziała mi, że jedziemy na  
wycieczkę. Wsiedliśmy do pociągu i wysiedliśmy kilka stacji dalej. Był paździer-  
nik, wokół ani żywej duszy, tylko puste pola, rozmokłe drogi i kraczące na  
drzewach wrony. Mama pruć przed siebie jak pancernik przez rżyska i błoto,  
w które zapadały się obcasy jej pantofli. Ja starałem się za nią nadążyć, ale



nie potrafiłem, podbiegałem więc tylko od czasu do czasu i ryczałem, cały usmarkany. Potem usiadła zupełnie nagle, jakby ożywiająca ją energia zniknęła w jednej sekundzie. Siedziała na mokrej, zeschniętej trawie i też zaczęła płakać, a ja stałem nad nią i czułem się tak strasznie bezradny, bo nie wiedziałem, co się dzieje ani co powinienem teraz zrobić.

– Byłeś dzieckiem – przypomniała Nina. – Każde dziecko byłoby przerażone w takiej sytuacji.

– Wkrótce potem – Hubert nawet nie zwrócił na nią uwagi – spróbowała się zabić i na szczęście moja babcia ją znalazła, a nie ja. Ja pamiętam tylko, że do domu przychodzili różni ludzie, którzy szeptali między sobą, a mnie zawsze wypraszali z pokoju. Mama leżała u siebie, taka milcząca i blada. „Jest chora”, mówiła babcia, ale ja wiedziałem, że to nie choroba, nie taka prawdziwa, z której można wyzdrowieć. W końcu wylądowała w klasztorze u zakonnice, które obiecały się nią zająć. I tam jakby... uspokoiła się trochę. Odwiedzałem ją codziennie, czasem spacerowaliśmy razem nad jeziorem, a czasem po prostu siedzieliśmy w ogrodzie. To były szczęśliwe dni, choć wiedziałem, że mama nigdy nie będzie taka, jak przedtem. Stopniowo jednak coś zaczęło się zmieniać, tak powoli, że z początku nawet tego nie zauważyłem. Najpierw pojawił się jeden anioł, co nie wydało mi się niczym dziwnym, bo w końcu dlaczego skrzydlaty nie miałby się tu ukrywać? Potem drugi i trzeci... A zakonnice odchodziły. Nie było w tym niczego tajemniczego, jedne zmieniały klasztor, inne umierały ze starości, a jedna uciekła z miejscowym organistą. Niestety, nowych nie przybywało i w końcu zorientowałem się, że w klasztorze nie ma już żadnej zakonnicy, tylko same anioły. A one nie pozwalały mi widywać się

z matką. Twierdziły, że moje wizyty ją przygnębiają i wytrącają z równowagi, ale ja wiedziałem, że nie o to chodzi. Przychodziłem więc nadal i kręciłem się w pobliżu, próbując zajrzeć przez okna i choć na chwilę zobaczyć mamę. Raz ją dostrzegłem, pamiętam, siedziała wtedy przy stole w jadalni, a nad nią stało chyba z pięć czy sześć aniołów. Wyglądała jakby spała albo była nieprzytomna, tak że jeden musiał podtrzymywać ją na krześle, podczas gdy inni szeptali między sobą. Wystraszyłem się, bo moja mama była taka krucha i słaba, a skrzydlaci... skrzydlaci sprawiali wrażenie, jakby chcieli coś ukryć. Nie zauważyli mnie na szczęście, a ja pobiegłem do domu i aż do rana nie mogłem zasnąć. Dwa tygodnie później mama się utopiła.

– Jesteś pewien? To znaczy... – Nina zaczerwieniła się gwałtownie. – Nie gniewaj się, ale jesteś pewien, że ona rzeczywiście nie żyje? Twoja babcia mówiła o niej, jakby miała w każdej chwili wrócić.

– Babci po śmierci mamy pomieszało się w głowie. – Chłopak zacisnął usta.

– Zdarza się, że całkiem traci poczucie czasu, a to jej gadanie, że mama chodzi po ogrodzie, to bzdury, ja nigdy niczego nie słyszałem. Co jak co, ale gdyby mama żyła, na pewno by do mnie przyszła. Przede mną przecież by się nie ukrywała.

– Przepraszam...

– Nic nie szkodzi – wymamrotał. – Babcia karmi takimi głupotami każdego, kto tylko chce słuchać. I czasem też takich, którzy wcale nie chcą.

– Powiedz, jak ci się udało zająć miejsce Sławka.

– Przez przypadek, już mówiłem. Najpierw, gdzieś na początku sierpnia, zauważyłem, że w opuszczonym klasztorze ktoś zamieszkał. Dwie osoby, męż-

czynna i kobieta. Robili tu porządki. Czasem przyjeżdżała do nich czarna ifa jeszcze jedna kobieta. Zaintrygowało mnie to, więc obserwowałem klasztor...

– Byłeś odporny na czar?

– Wygląda na to, że tak. Nie wiem, czemu, może dlatego, że ja w kółko o klasztorze myślałem? Ten czar działa tak, że jeśli się na tej myśli skupisz, to pamiętasz, ale wystarczy, że cię coś rozproszy, i od razu zapominasz. A ja po śmierci mamy miałem obsesję i przychodziłem tu codziennie.

– Brzmi sensownie – uznała Nina.

– Potem pomógł mi kolega, który mieszka przy stacji, bo jego ojciec jest zawiadowcą. Pewnego ranka powiedział, że na stacji w Markotach wysiadają jakieś dzieciaki, po które zawsze przyjeżdża ten sam czarny samochód. Samochód już kojarzyłem, więc od razu się zainteresowałem i następnym razem, kiedy na dworcu wysiadły bliźniaczki, obserwowałem je z okna mieszkania Piotrka. Widziałem, jak podchodzi do nich Remigiusz, jak pyta je o coś, a one kiwają głowami. Wyglądało na to, że ani on nie zna ich, ani one jego. Wtedy wpadłem na pewien pomysł, dość rozpaczliwy, ale naprawdę byłem mocno zdesperowany.

– Pomyślałeś, że jeśli staniesz na dworcu z walizką, jakbyś dopiero co wysiadł z pociągu, to Remigiusz zabierze cię do klasztoru?

– Dokładnie tak. Nie miałem nadziei, że ta pomyłka będzie trwać długo, byłem pewien, że wszystko się wyda, gdy tylko dotrzemy do klasztoru. Ale zależało mi na tym, żeby choć na chwilę tu zajrzeć. Dlatego spakowałem do walizki byle co i połowy rzeczy pozapominałem, w tym tej cholernej szczoteczki do zębów. Zafarbowałem włosy, żeby moje podobieństwo do mamy nie rzucało

się tak bardzo w oczy. Potem poszedłem na dworzec i czekałem na pierwszy poranny pociąg. Nie miałem szczęścia, bo nikt nie wysiadł i czarna ifa się nie pojawiła. Wróciłem po południu, ale wtedy z pociągu wysiadła Eliza, a Remigiusz najwyraźniej czekał na dziewczynę, bo na mnie nawet nie zwrócił uwagi. Wieczorem znowu nie było ify. Następnego ranka spóźniłem się trochę i zanim dotarłem na dworzec, minął mnie samochód wiozący jakiegoś chłopaka. Powoli traciłem nadzieję, postanowiłem jednak spróbować jeszcze raz i wtedy stał się cud. Tkwiłem z walizką na peronie, kiedy podszedł do mnie Remigiusz i wymamrotał: „Adam Nawrocki?”, a ja skinąłem głową. Potem zapytał jeszcze o jakąś Ninę, ale odpowiedziałem, że żadnej Niny w pociągu nie było. Wsiadliśmy do ify i pojechaliśmy. Byłem przekonany, że kiedy tylko znajdziemy się na miejscu, ktoś, kto zna tego Adama, zaraz zorientuje się, że ja nim nie jestem. Ale nic takiego się nie stało. Pani Celina przywitała mnie i oprowadziła po klasztorze. Czuję się, o rany... jak ktoś, komu odroczone wyrok śmierci. Lecz ten wyrok ciągle nade mną wisiał i przez kilka następnych dni umierałem ze strachu, bo przecież prawdziwy Adam mógł przyjechać w każdej chwili. Dopiero potem trochę się uspokoilem.

– Pani Celina musiała szybko ci zaufać, skoro wiedziałaś o aniele w piwnicy.  
– Starałem się zasłużyć na jej zaufanie. – Przez twarz Huberta znów przemknął grymas bólu. – Cały czas czułem się okropnie, bo przecież ją oszukiwałem. I podsłuchiwałem, kiedy tylko mogłem, starając się dowiedzieć, co tu jest grane. Tak się zorientowałem, że Azkiel nie dba o to, czy ktoś z nas zniknie w Kręgu, czy nie – on od początku liczył się z tym, że będą ofiary. Strach przed Bestią miał sprawić, że ujawnią się zdolności Wybrańca, mówiłem ci. Dopiero

po zniknięciu Tymka, kiedy pani Celina strasznie płakała, Azkiel pozwolił jej ostrzec nas przed wychodzeniem w czasie deszczu, o świcie i o zmierzchu.

– Jednego nie rozumiem. – Nina wyprostowała zdrętwiałe nogi. – Po co była ta szopka z wzywaniem milicji? Azkiel mógł od razu po zniknięciu Tymka wezwać wszystkich do pokoju z kominkiem, a potem nas zaczarować.

– Bo takie czarowanie jest dla niego strasznie męczące.

– Bardziej niż sprawienie, że milicjanci i ludzie z miasteczka zapomną o Tymku? – W głosie Niny zabrzmiało powątpiewanie.

– Bardziej. Na miasteczko już wcześniej rzucono czar. Z tego, co wiem, zrobiło to kilkunastu skrzydlatych, bo jeden nie dałby rady. Azkielowi łatwiej było pomanipulować trochę przy tym czarze, niż wpływać na każdego z nas po kolei.

– A twoja babcia nie martwi się przypadkiem, gdzie jesteś? – Nina zmieniła temat i zaraz tego pożałowała, bo przecież wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

– Ona czasem w ogóle zapomina, że istnieję. Mówię poważnie, zdarzało jej się już nakryć do stołu tylko na jedną osobę albo kupić jedną bułkę na śniadanie. Czasem czuję się, jakbym był niewidzialny albo coś. A jeśli akurat o mnie pamięta, to niewiele ją obchodzi, gdzie jestem i co robię. Kiedy wróciłem po szczoteczkę, powiedziałem, że wyjeżdżam na parę dni, może na tydzień do ciotki na wieś. Bywa, że jeżdżę do niej latem i pomagam w gospodarstwie. To wystarczyło.

Nina skinęła głową, wspominając z nieprzyjemnym uczuciem w żołądku dom, w którym nie było śladu po obecności nastoletniego chłopaka. Jak to jest wychowywać się w takim miejscu? Z babcią, dla której najważniejsza jest

zmarła córka, a nie żywy wnuczek?

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk otwieranych drzwi. Podskoczyli oboje.

– Wracają – wyszeptał Hubert.

Chwilę później, ukryci w niszy okiennej, obserwowali, jak Staszek i Tymek idą w stronę sypialni. Wciąż byli ubrani w pizamy, stopy mieli bose i oblepione ziemią, a dłonie brudne, jakby grzebali w błocie.

Co oni robili w ogrodzie?

Zniknęli w sypialni, do której po chwili ostrożnie zbliżył się Hubert. Uchylił drzwi i zajrzał.

– I co? – niespokojnie szepnęła Nina za jego plecami.

– Leżą w łóżkach.

Poczekali jeszcze kwadrans, ale nic się nie zmieniło. Wyglądało na to, że

Staszek i Tymek po swojej tajemniczej wyprawie po prostu położyli się spać.

Nina podeszła do okna na korytarzu. Na zewnątrz było już prawie jasno, mgła opadła.

– Wyjdziemy do ogrodu?

Hubert w milczeniu skinął głową.

Oboje, kierowani tym samym instynktem, od razu poszli w stronę Diabelskiego Kręgu. Nina była pewna, że jeśli Staszek i Tymek coś kombinowali, to właśnie tam. Lecz Krąg wyglądał jak zawsze, nie wydawał się ani większy, ani mniejszy, a wokół nie widać było żadnych śladów.

– Nie rozumiem – mruknęła, po czym odwróciła się do Huberta.

– Idę do Markotów – oznajmiła.

– Teraz?

– Czemu nie? Jest jasno i zdążymy wrócić przed śniadaniem. A nawet jak

nie, to co z tego?

– Po co tam chcesz iść?

– Muszę porozmawiać z panią Stefanią i z ojcem Tamary, jeśli już przyjechał.

Może oni będą mieli jakiś pomysł, o co w tym wszystkim chodzi. – Przez głowę przemknęła jej nieprzyjemna myśl, że będzie musiała wyrwać panią Stefanię ze snu, ale stłumiła ją. To nie był czas na przejmowanie się takimi drobiazgamami. Wierzyła zresztą, że kobieta nie będzie miała o to pretensji.

– Idę z tobą.

Nina wróciła do sypialni i ubrała się jak najciszej. Hubert czekał na nią przy klasztornej bramie. W powietrzu wyczuwało się jeszcze nocny chłód, ziemia przesiąknięta była deszczem, a blask wiszącego nisko na horyzoncie słońca nieśmiało przedzierał się zza skłębionych białych chmur. Pachniało lasem i zimnym błotem. Nina lubiła wstawać wcześniej rano, bo kojarzyło jej się to z czymś niezwykłym, letnim wyjazdem czy przygodą, a poza tym świat o świącie był tak bardzo inny – świeży i wymyty, jakby czekał, drzemiąc, na ludzi, którzy za chwilę go zapełnią. Tym razem jednak nie miała ochoty cieszyć się porankiem. Pod powiekami czuła piasek, jej głowę wypełniała wata. Najchętniej wpełzłaby do łóżka, owinęła się kołdrą i spała aż do końca świata, nieważne, czy wokół grasowałyby potwory, czy nie. Ze zmęczenia plątały jej się nogi i kilka razy omal nie potknęła się na prostej drodze, na szczęście Hubert zawsze zdążył ją podtrzymać. Dziewczyna zastanawiała się, jak on to wszystko znosi. Nie wyglądał na silnego, był szczupły, drobny i – szczerze mówiąc – z tą swoją bladą cerą sprawiał wrażenie raczej chorowitego, a jednak znacznie dłu-

żej niż Nina wytrzymawał nieznośnie napięcie nerwowe i brak snu.

Do Markotów dotarli przed wpół do siódmej i tu Ninę spotkało pierwsze tego dnia wielkie rozczarowanie.

Pani Stefanii nie było w domu.

Nina dzwoniła i pukała, aż otworzyły się drzwi naprzeciwko i stanęła w nich rozczochrana, zaspana kobieta w szlafroku.

– Nie ma jej – burknęła. – Wyjechała wczoraj wieczorem i jeszcze nie wróciła. Przestańcie tak walić, na litość boską.

Dziewczyna wyszła z klatki schodowej i ciężko opadła na schodki przed zamkniętą kawiarnią. Stopnie były wilgotne od deszczu, ale nic jej to nie obchodziło. Hubert usiadł obok, ludzie śpieszący do pracy rzucali im od czasu do czasu pełne ciekawości spojrzenia, jednak nikt się nie zatrzymał. Nina zwiesiła głowę.

– Może niedługo wróci – powiedział Hubert niepewnie. – Poczekajmy chwilę.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Oparła się o framugę i przymknęła oczy.

Chwilę później już spała.

Śniła jej się Maura Lewicka idąca drogą pod drzewami, z których opadały jesienne liście. Na gałęziach siedziały kruki, niebo było granatowe jak przed burzą. Maura niosła starą, przedwojenną walizkę obwiązaną sznurkiem i płakała.

– Przyjdę do ciebie po ścieżce zrobionej z soli – powiedziała.

Nina ocknęła się. Głowę miała ciężką, jakby ktoś napełnił ją kamieniami, a w ustach czuła suchość. Pośpiesznie wytarła wargi, bo miała wrażenie, że zaczęła ślinić się przez sen.

– Nie ma sensu dłużej czekać. – Hubert usiadł obok niej. – Możemy zostawić



jej kartkę. Jak wróci, to ją przeczyta i do nas przyjedzie.

– Skąd masz kartkę? I ołówek?

– Kiosk naprzeciwko jest już otwarty. Ołówek kupiłem, a kartkę wyprosiłem.

Ty napiszesz czy ja?

– Mogę ja.

Pośliniła końcówkę ołówka i pośpiesznie nakreśliła na kawałku papieru parę zdań.

Staszek i Tymek wrócili, ale zachowują się dziwnie. Nie wiemy, co o tym myśleć. Oni wychodzą do ogrodu o świcie i wracają brudni, jakby grzebali w ziemi. Proszę, niech pani przyjedzie.

Po namyśle dopisała jeszcze:

Boję się.

– Może być?

– Chyba tak. – Hubert skinął głową. W tym momencie ulicą przejechał... pojazd, jakby skrzyżowanie roweru z małym parowozem. Nina otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Miała wrażenie, że jeszcze śni.

– Czy ty... widziałeś to samo?

– Rower na parę? Taaak, widziałem.

– Co to, u licha, było?

– Nie wiem, ale anioł powiedział, że świat się zmienia, pamiętasz? Może stąd takie wynalazki. Idziesz czy zostajesz? Jeśli chcesz, mogę wrócić sam, a ty zaczekaj na panią Stefanię.

– Idę. – Nina wstała. Nogi pod nią trochę się uginały i była słaba jak chory kociak. – Nie dodał, że na lepsze, prawda?

– Co?

– Anioł. Nie powiedział, że świat zmienia się na lepsze?

– Nie, z tego, co pamiętam, to nie.

Wlekli się drogą prowadzącą do klasztoru. Było coraz cieplej, wkrótce Nina zdjęła sweter i przewiązała się nim w pasie.

– Czy ścieżka zrobiona z soli coś ci mówi? – zapytała.

– Z soli? Nie, czemu?

– Małgosia znowu w nocy mówiła przez sen. Sól z niczym ci się nie kojarzy?

– Tylko z doprawianiem jedzenia. No i zdaje się, że jest przydatna przy egzorcyzmowaniu demonów.

– Poważnie?

– Podobno, nigdy nie próbowałem.

Milczeli przez jakiś czas. W Ninie walczyła chęć pochwalenia się swoją wiedzą z lekkim zakłopotaniem. W końcu chęć zwyciężyła.

– Wiem, czemu nie zviałeś z klasztoru – powiedziała.

– No? – Hubert uciekł wzrokiem w bok, co tylko upewniło ją, że ma rację.

– Z powodu pani Celiny, tak? – Nina czuła się coraz bardziej głupio. – Dlatego ciągle jej bronisz i dlatego byłeś taki paskudny. Bo chciałeś się jej przypodobać?

– Ona nie jest niczemu winna. – Przyśpieszył kroku, tak że ledwo za nim na-  
dążała.

– Jest od ciebie starsza co najmniej o sześć lat...

– Siedem. I co z tego? – Rzucił jej posępne, gniewne spojrzenie.

– Nic. Już nic nie mówię. – Ostatecznie to nie moja sprawa, pomyślała.

Zdążyli akurat na śniadanie. Jacek nadal się nie odzywał, ale Tamara pozwoliła Ninie usiąść obok siebie. Dziewczyna była zbyt zmęczona, żeby jeść, skubała więc jedynie chleb, obojętnie wysłuchując docinków na temat swojej przyjaźni z Adamem. Tylko na Tamarę zerkiała z niepokojem – bała się, że przyjaciółka znów będzie pytać, gdzie Nina podziewała się przed śniadaniem. Jednak Tamarę zaprzętała inna kwestia.

– Pani Celina jest zła – zachichotała. – Podobno Staszek i Tymek nanieśli do łóżek mnóstwo błota i teraz będzie trzeba prać pościel. Jak myślisz, może oni też szwendają się gdzieś w nocy?

– Może. – Nina patrzyła na stojącą na stole solniczkę.

Sól. Ziemia i błoto. Staszek i Tymek wracający do sypialni z dłońmi ubrudzonymi aż po nadgarstki. Ich woskowe twarze tak podobne do twarzy dzieci z obrazu Maury, które grzebały w ziemi przy granicy Diabelskiego Kręgu.

Ale przecież przy Diabelskim Kręgu nikt nie kopał, w przeciwnym razie Nina zauważyłaby to na pewno.

Krąg napotkał przeszkodę, przestał się rozrastać i zaraz potem jak na zawołanie pojawili się Staszek oraz Tymek.

Sól i ziemia.

Sól sypie się na ziemię, żeby nic na niej nie wyrosło.

Poderwała się gwałtownie. Wszyscy natychmiast na nią spojrzeli, a w oczach zgromadzonej przy śniadaniu młodzieży było wypisane wyraźnie: „Znowu jej odbija”.

– Czy... czy mogę odejść od stołu? – zapytała.

– Tak, Nino, możesz. – Pani Celina sprawiała tego ranka wrażenie zmęczonej

i zniechęconej. Czyżby anielska magia powoli przestawała działać?

Nina nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Zauważyła jeszcze tylko pytające spojrzenie Huberta i wypadła z jadalni. Biegła w stronę kuchni.

– Sylwio, czy ostatnio... – Zatrzymała się w progu. Kucharka patrzyła na nią złym, udręczonym wzrokiem, na jej szerokim czole perlił się pot. – Czy ostatnio nie zginęła ci może sól?

– Cały worek – kobieta warknęła. Naprawdę warknęła, to nie była żadna metafora. Z głębi jej gardła wydobywał się chrapliwy dźwięk jak odgłos zepsutego motoru. Nina cofnęła się odruchowo, czując, jak włosy stają jej dęba. – I noże. Dwa noże zginęły. Wara od moich rzeczy!

Wściekły warkot przybrał na sile. Dziewczyna odwróciła się i uciekła z kuchni.

Co ją napadło? – zastanawiała się, pędząc w stronę ogrodu. Chwilowo jednak odłożyła tę kwestię na bok i zajęła się Staszkiem oraz Tymkiem. Obaj chłopcy niewątpliwie się zmienili i pod pewnymi względami nie myśleli już jak normalni ludzie. Najlepszy dowód, że kiedy nocą wychodzili na zewnątrz, nie przyszło im do głowy, żeby włożyć buty, a potem przed powrotem do łóżek nie umyli nawet nóg. Nie byli jednak chyba głupi. Mogli mieć na tyle sprytu, żeby spróbować oszukać Ninę. Dziewczyna spodziewała się, że będą kombinować coś przy Diabelskim Kręgu, więc trzymali się od niego z daleka.

Na razie.

Stała w ogrodzie i przymknęła oczy, starając się przypomnieć sobie plan klasztoru. Do ogrodu prowadziły trzy wyjścia: jedno, z którego wszyscy korzystali, drugie zamknięte naглуcho w zrujnowanym skrzydle i trzecie, którego używała od czasu do czasu Sylwia, gdy szła po jabłka czy śliwki na kompot.

Trzecie drzwi wychodziły niemal dokładnie na Diabelską Kępę.

Nina pobiegła w tamtą stronę z duszą na ramieniu.

Tak jak oczekiwała, przy progu trzecich drzwi zaczynał się wąski pas gruntu, z którego gołymi rękami wydarto trawę. Ziemia bieliła się w tym miejscu od soli, a ścieżka, choć na razie mierzyła jakieś kilkanaście kroków, wyraźnie prowadziła w stronę niedalekiego Kręgu. Jeszcze jedna, góra dwie noce i Diabelski Krąg połączy się z klasztorem.

Oni robią przejście, pomyślała Nina. Przejście dla Bestii z Kręgu, która nie może chodzić po niczym, co jest żywe. I po prostu byli wystarczająco sprytni, by zacząć pracę nad ścieżką od drugiej strony.

Rozdział dwunasty, w którym wszystko wraca do poprzedniej formy – i ma to bardzo złe skutki.

Co teraz? – zapytała Nina. W pierwszym odruchu spróbowali skopać sól ze ścieżki, ale niewiele to dało. Część białego pyłu zmieszała się już z ziemią, a poza tym, sól czy nie, na ścieżce jeszcze przez jakiś czas nic nie wyrośnie.

– Powstrzymamy ich niezależnie od ceny, jaką przyjdzie nam zapłacić – oznajmił Hubert posępnym tonem męczennika.

Siedzieli nad jeziorem, niedaleko Tamara i Lidka opalały się na kocach. Tamara nosiła wyzywający kostium kąpielowy, który ładnie podkreślał jej zgrabne nogi, Lidka natomiast miała na sobie staroświecki, bury strój z nogawkami sięgającymi połowy uda. Wyglądała w nim jak własna babcia. Nina nie po raz pierwszy zastanowiła się, czemu taka piękność nie potrafi się ubrać. Z powodu braku pieniędzy? To nie było wystarczające wyjaśnienie, bo przecież biedne dziewczyny umiały sobie radzić. W każdej rodzinie znalazła się jakaś krewna

czy zaprzyjaźniona krawcowa i trochę rzeczy z dobrego materiału, które można przerobić. Rodzice Niny też nie byli bogaci, a przecież Nina miała kilka ładnych, porządnych sukienek.

Tamara podchwyciła wzrok przyjaciółki, podniosła się z koca i podeszła do niej.

– Nadal interesują cię tajemnice? Jeśli tak, dorzuć do swojej kolekcji to, że ktoś włamał się do szopy na narzędzia. Remigiusz strasznie się z tego powodu ciskał, myślałam, że komuś głowę odgryzie.

– Szopy na narzędzia? Przecież ona jest pusta. – Obie doskonale o tym wiedziały, bo niedawno szukały tam z Jackiem desek na budowę tratwy.

– Wiem. Tym bardziej dziwne, nie? Jak myślisz, sprawa nadaje się dla detektywa?

Nina spojrzała na nią uważnie. Tamara w kostiumie kąpielowym, z wilgotnymi, rozczochranymi włosami wyglądała jak uosobienie siły, beztroski i pewności siebie, ale w jej oczach widać było niepokój.

– Może.

– No to zostawiam was, żebyście to sobie obgadali.

Kiedy Tamara wróciła do Lidki, Hubert spojrzał na Ninę.

– Po co ktoś miałby się włamywać do szopy na narzędzia?

– Nie mam pojęcia. Zresztą zastanowimy się nad tym później, teraz trzeba wymyślić sposób, jak powstrzymać Staszka i Tymka. Masz jakiś pomysł?

– No nie wiem, może następnym razem, kiedy wyjdą do ogrodu, rzucimy się na nich...

– Rzucimy się na nich? RZUCIMY?

– Czemu nie? – Hubert nachmurzył się.

– Tymek jest drobny, ale Staszewi nie da rady żadne z nas. Z drugiej strony... – Zastanowiła się. Powiedzmy, że Staszek i Tymek wymykają się z klasztoru, a Nina oraz Hubert próbują ich powstrzymać. Wybuch awantury, pani Celina się budzi i odsyła całe towarzystwo do łóżek. To mogłoby pomóc, choć na krótką metę. – Myślisz, że oni mogą budować ścieżkę tylko o świcie, zmierzchu albo w czasie deszczu? – zapytała.

– Nie wiem, chyba tak. Dziś wyszli dopiero nad ranem.

– To i tak niewiele nam daje. Teoretycznie moglibyśmy pilnować ścieżki, tak

jak ja wcześniej pilnowałam Kręgu, ale nie damy rady tego robić przez cały czas. Poza tym samo wrywanie trawy nie podpada przecież pod nic groźnego, Staszek i Tymek mogą powiedzieć pani Celinie, no, nie wiem, że chcą wypielić ogródek albo coś w tym rodzaju. Ona się zgodzi, a my oberwiemy za to, że im przeszkadzamy. Nie, to nie ma sensu... – Zniechęcona Nina potrząsnęła głową.

– Moglibyśmy zabrać im sól.

– Sól można kupić i w miasteczku. Ale owszem, jakiś pomysł to jest. Może dzięki temu zyskamy więcej czasu.

– Zróbmy to od razu. – Hubert się poderwał.

Idąc w stronę klasztoru, Nina zerknęła na prześcieradło wiszące w oknie jednej z cel na drugim piętrze. Czy pani Stefania zauważyła już sygnał SOS? Nina miała nadzieję, że tak, i przez cały czas nasłuchiwała warkotu samochodu nadjeżdżającego od strony miasteczka.

Kuchnia była pusta, przemknęli więc od razu do spiżarni. Na jednej z półek stał otwarty worek, w środku na dnie było trochę soli. Nina przypomniała sobie, ile białego pyłu widzieli na ścieżce, i jęknęła.

– Ten worek ma trzy kilo. Jeśli Staszek i Tymek ukradli drugi taki, tylko pełny, to znaczy, że mają jeszcze gdzieś schowany spory zapas. To na nic, zabranie soli nic nam nie da.

– Możemy znaleźć ten ich zapas.

Drzwi kuchni skrzypnęły i Nina drgnęła nerwowo.

– Sylwia – wyszeptwała.

– No to co?

– Ona się dziwnie dziś zachowuje...



Kobieta stanęła w progu. Na widok Niny i Huberta jej oczy zwęziły się,

a górna warga uniosła, odsłaniając zęby.

– Co tu robicie? – warknęła.

– My... nic... – jąkała się Nina.

– Pani Celina kazała nam sprawdzić, czy nie brakuje soli, bo jeśli tak, to dokupi w miasteczku. – Chłopak przybrał wyniosłą i pewną siebie minę Adama.

Na Sylwii mina nie zrobiła wrażenia.

– Wynocha! Nie chcę was tu widzieć. I jak złapię tego, co mi rzeczy kradnie, gardło mu rozerwę!

Hubert nadał się i przez chwilę wyglądało na to, że serio spróbuje stawić czoło rozwścieczonej kobiecie, lecz Nina, odzyskawszy przytomność umysłu, pociągnęła go za łokieć. Pobiegli.

– Co... ją... napadło? – wydyszał chłopak, gdy zatrzymali się przed jadalnią.

– Nie mam pojęcia. – A przecież Nina miała niejasne wrażenie, że powinna wiedzieć, rozwiązanie tkwiło w jej umyśle jak słowo na końcu języka.

– I co z tą solą? – Hubert najwyraźniej uznał, że nie będzie sobie Sylwią chwilowo zaprzętał głowy. – Może poszukamy zapasu Staszka i Tymka?

– Gdzie?

– W sypialni?

– Nie wydaje mi się, żeby trzymali tam trzykilowy worek. Ale możemy sprawdzić.

Jednak w sypialni niespodziewanie natknęli się na Staszka i Tymka. Mimo że była ładna pogoda, obaj chłopcy leżeli na łóżkach i gapili się w sufit. Nina i Hubert zatrzymali się gwałtownie w progu, Staszek odwrócił głowę. W jego

oczach błysnęło coś nieprzyjemnego.

– Przyszliście przeszukać nasze rzeczy? – zapytał.

– Co? – Nina desperacko starała się znaleźć jakąś wymówkę. – Nie, skąd...

– Jeśli tak, to śmiało. – Wstał. – Chcesz zajrzeć pod łóżko? Tymek, pokaż jej swoją walizkę.

Młodszy chłopak również się podniósł i kopnął w stronę Niny bagaż.

– Możesz otworzyć – powiedział, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

Oni wiedzą, przemknęło jej przez myśl. Wiedzą, po co tu przyszliśmy.

Wycofała się, ciągnąc za sobą Huberta. Wyszli z powrotem do ogrodu i zrezygnowani usiedli nad jeziorem. Nina objęła kolana rękami. Co teraz, u licha, mieli zrobić?

– Może pani Stefania zaraz przyjedzie – powiedziała po chwili z niepewną nadzieją.

– Może – przytaknął Hubert, ale w jego głosie nie było przekonania. – A jeśli nie... Może spróbujemy wciągnąć Staszka i Tymka w pułapkę?

– Jak? Oni nam nie ufają. Wiedzą, że my wiemy, kim oni są.

– Racja. – Chłopak położył się na trawie. Pod oczami miał głębokie cienie i Nina pomyślała, że musi być znacznie bardziej zmęczony, niż chce to przyznać. Ona zresztą też była wyczerpana. Spojrzała w stronę widocznego na drugim brzegu miasteczka. Maciupeńkie kamieniczki rysowały się wyraźnie na tle błękitnego nieba, Nina wypatrzyła nawet sznur z praniem, przeciągnięty od okna do okna. Przy molo kołysały się łódki przypominające dziecięce zabawki. Pani Stefanio, gdzie pani jest? – zapytała w duchu. Nie widzi pani, że potrzebujemy pani pomocy?

Myśli Niny zaczęły krążyć wokół szopy na narzędzia. Tam nic nie było, ale

przecież Staszek i Tymek nie musieli o tym wiedzieć. Co więc spodziewali się znaleźć?

Odpowiedź była prosta: w szopie na narzędzia zazwyczaj są narzędzia.

Dziewczyna ożywiła się.

– Chyba mam pomysł, tylko będziemy potrzebować kogoś, komu Staszek i Tymek zaufają. Na przykład Tamary.

– Ona jest pod wpływem anielskiej magii – przypomniał Hubert.

– Ale czar słabnie. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Naprawdę chcesz zaryzykować?

– Chyba nie mamy innego wyjścia.

Zaczekali na moment, gdy Lidka poszła się kąpać, po czym Nina dyskretnie skinęła na Tamarę. Dziewczyna uniosła brwi i podeszła do nich.

– Co tam? Potrzebujecie pomocy w rozwiązywaniu tajemnic?

– Coś w tym rodzaju – przyznała Nina. – I lepiej chodźmy tam, gdzie nikt nas nie będzie widział ani słyszał.

– Brzmi poważnie. – Tamara zachichotała.

Poszli w stronę zrujnowanego skrzydła, gdzie usiedli na szczątkach zawalonej wieży. Tamara rozejrzała się. Nawet w pełnym słońcu to miejsce miało w sobie coś niesamowitego, wydawało się smutne i jakby... oddalone od reszty ogrodu.

Aż trudno było uwierzyć, że kilkadziesiąt kroków dalej pozostali członkowie ich niewielkiej grupki kąpią się, opalają lub grają w piłkę.

– No, atmosfera w sam raz stosowna do wyjawiania strasznych tajemnic.

Dalej, mówcie.

Nina spojrzała na Huberta, a Hubert na Ninę.

– Lepiej ty zacznij – powiedziała dziewczyna.

– Czemu ja?

– Bo tobie to lepiej wyjdzie.

– Skąd wiesz?

– Masz zdolności aktorskie, pamiętasz?

– Zdecydujcie się – parsknęła Tamara.

Hubert odetchnął i zaczął mówić, a Nina dyskretnie obserwowała Tamarę, która kręciła się na swoim miejscu. Dziewczyna próbowała nadrabiać miną, ale wyraźnie czuła się niepewnie.

– Podsumujmy – zaproponowała, gdy chłopak umilkł. – Twierdzicie, że Bestia specjalnie wypuściła Staszka i Tymka, bo Krąg natrafił na przeszkodę i nie mógł się już rozszerzać?

– Aha – zgodziła się Nina.

– A Staszek i Tymek to coś w rodzaju brygady, która ma zadanie tę przeszkodę ominąć i zbudować ścieżkę?

– Mniej więcej.

– I tą ścieżką wysypaną solą Bestia wejdzie do klasztoru?

Nina przytaknęła, a Tamara potrząsnęła głową.

– Zdajecie sobie sprawę, jak wariacko to brzmi? Może wszystko ma jakieś zwyczajne wyjaśnienie?

– Na przykład jakie? Podaj choć jedno sensowne wytłumaczenie tego, że Staszek i Tymek wychodzą w nocy i gołymi rękami wrywają trawę.

– Naprawdę ich widzieliście?

– Widzieliśmy, jak wychodzą i jak wracają potem cali ubrudzeni ziemią.

A rano trawa była wyrwana – odparł ucziwie Hubert.

– To szaleństwo – wymamrotała Tamara, po czym spojrzała na Ninę. – Cemu nie powiedzieliście mi tego wcześniej?

– Bo byłaś zaczarowana przez anioła, tak jak wszyscy prócz mnie i Huberta.

– Teraz już nie jestem?

– A boisz się?

– Tak, chyba tak – przyznała z niechęcią.

– To znaczy, że czar słabnie.

Przeniosła wzrok na Huberta.

– A ty jesteś synem Maury Lewickiej, nie żadnym Adamem? I tak naprawdę nie jesteś palantem?

Chłopak nieoczekiwanie poczerwieniał.

– Co do pierwszego tak, a co do drugiego, to nie ja powinienem oceniać, prawda?

Tamara wyszczerzyła zęby w przelotnym uśmiechu, ale zaraz spoważniała.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, chcecie, żebym znalazła Staszka i Tymka i wspomniała im niezobowiązująco, że w piwnicy widziałam narzędzia ogrodnicze?

Nina skinęła głową.

– Oni ich szukali. Tak myślę. Bo inaczej, po co ktoś miałby włamywać się do szopy? Widocznie mają dość wyrywania trawy rękami.

– Ale jak niby mam o tym wspomnieć „niezobowiązująco”? Hej, ładny mamy dzień, a przy okazji wiecie, że w piwnicy widziałam ostatnio motykę i grabki.

– Coś wymyślisz – powiedział Hubert. – Jesteś inteligentna, dasz sobie radę.

– Bierzesz mnie pod włos? – Tamara uniosła brwi. – Ale w porządku, założmy, że rzeczywiście dam sobie radę. Co potem? Mam wejść do piwnicy za nimi i zamknąć ich tam? Czy wy trochę nie przesadzacie? Pani Celina będzie wściekła, jak się o tym dowie...

– Nie dowie się. A w razie czego ja wezmę winę na siebie. Powiem, że cię namówiłem, że to był zakład albo coś takiego i że ty tylko powiedziałaś o tych narzędziach, a ja zamknąłem drzwi.

– Taki jesteś szlachetny?

– Nic im się nie stanie – zapewniła pośpiesznie Nina. – Zamkniemy ich najwyżej na parę godzin, dopóki nie przyjedzie pani Stefania. – O ojcu Tamary na razie wolała nie wspominać. – Przyniesiemy im jedzenie i w ogóle. Jakoś musimy ich powstrzymać. Chyba że masz lepszy pomysł?

– Możemy poczekać, aż czar przestanie działać i pomyśleć nad tym z panią Celiną.

– Wtedy może być za późno.

– Nie podoba mi się to... – Tamara wciąż miała minę pełną wątpliwości.

– Nikomu się nie podoba. – Hubert wzrokiem męczennika zapatrzył się w dal.

Dziewczyna westchnęła.

– No dobrze, a skąd pewność, że wejdą do tej piwnicy we dwóch? Może pójdzie tylko jeden.

– Oni wszystko robią razem.

– Poza tym jednemu człowiekowi ciężko wynieść kilka narzędzi – dodała Nina.

– A co z kluczem?

– Mówiłem już, że wezmę go z pokoju pani Celiny – tłumaczył Hubert cierpliwie.

– Nie, nie mam na myśli klucza do drzwi, tylko do tej kraty, za którą siedział anioł.

– Teraz kiedy skrzydlatego nie ma, klucz jest w zamku. – Nina przypomniała sobie swoją ostatnią wizytę w piwnicy.

– Dobra, niech wam będzie. – Tamara potrząsnęła głową. – Choć mam wrażenie, że mogę tego żałować.

– W porządku, to ja idę po klucz. – Chłopak wstał.

– Racja, lepiej to zrobić od razu. – Tamara też się podniosła, po czym spojrzała na Ninę. – Ty zostań w ogrodzie. Możesz udawać, że się opalasz albo coś w tym rodzaju. Nie kręć się po klasztorze, bo Staszek i Tymek nabiorą podejrzeń.

– Ale...

– Nie martw się, my sobie ze wszystkim poradzimy – zapewnił Hubert. –

Możesz tymczasem się zastanowić, gdzie jest anioł z piwnicy.

– Już się zastanawiałam – mruknęła Nina. – I nic mi nie przyszło do głowy.

Gdzie wy byście schowali anioła?

– Martwego czy żywego? – Tamara raz jeszcze uniosła brwi.

Nina patrzyła, jak idą w kierunku wejścia do klasztoru. Jeszcze niedawno tak bardzo chciała, żeby ktoś zdjął z niej odpowiedzialność, a teraz wcale nie czuła ulgi. A co, jeśli Tamarze się nie uda? – myślała przez cały czas. Jednak przyjaciółka miała rację: lepiej, żeby Staszek i Tymek nie widzieli Niny, bo mogą za-

czyć coś podejrzewać. Hubert potrafił ukrywać swoje uczucia, ale Nina nie, z jej twarzy pewnie od razu wszystko można by wyczytać.

Ruszyła w stronę altanki, wzięła koc i zaniosiła go nad jezioro. Leżąc, słuchała głosów Lidki i Heli, które grały w badmintona. Było ciepło, sennie. Nina westchnęła i przekręciła się na brzuch. Wciąż nie potrafiła przestać myśleć o Tamarze, która być może w tej chwili rozmawiała ze Staszkiem i Tymkiem. Nawet zakładając, że jej się uda, tyle jeszcze problemów czekało na rozwiązanie.

Gdzie się podział Azkiel?

Czemu pani Stefania nie przyjeżdża?

Gdzie jest oszpecony anioł z piwnicy?

Co się dzieje z Sylwią i Remigiuszem?

Najpierw Nina skupiła się na pani Stefanii. Dlaczego się nie pojawiła? Może z drugiego brzegu jednak nie widać wywieszzonego w oknie prześcieradła.

A może dopadł ją Azkiel i zaczarował albo zrobił coś gorszego...

Dziewczyna poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Nie, nie wolno tak myśleć. Skąd Azkiel miałby wiedzieć o pani Stefanii? Pewnie kobietę coś po prostu zatrzymało, najprawdopodobniej właśnie w tej chwili pracowała z ojcem Tamarą nad rozwiązaniem problemu i dlatego nie mogła przyjechać.

A co z oszpeconym skrzydlatym? Gdzie można ukryć anioła?

Martwego czy żywego?

To był głupi dowcip, ale Nina nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Tamara nieświadomie powiedziała coś ważnego. Czy niedawny więzień został zamordowany przez Azkiela? Może tak, może jako przynęta wystarczy martwe ciało – w takim przypadku skrzydlaty mógł znajdować się gdziekolwiek, choćby zako-



pany w ogrodzie, bo przecież zmarli nie muszą oddychać.

Martwego czy żywego?

Zmarli nie muszą oddychać.

Szukając anioła, obeszła cały klasztor; była w piwnicy i w pomieszczeniach gospodarczych, sprawdziła wszystkie cele i sale, których przeznaczenia w ogóle nie знаła. Zajrzała nawet do schowka na miotły. Czy jednak na pewno nie pominęła żadnego miejsca? Nina miała niejasne wrażenie, że o czymś zapomniała, że coś jeszcze powinno tu być...

Ogarniała ją coraz większa senność, zmęczenie wygrywało z niepokojem.

Chwilę później już spała.

Obudziła się, gdy ktoś potrząsnął ją za ramię. Nad nią pochylała się Lidka, już nie w babcinym kostiumie, ale w workowatej, burej sukience.

– Obiad – powiedziała lakonicznie.

Nina wstała. Dźwięk gongu niósł się daleko w letnim powietrzu, niebo wciąż było jasne, bez śladu chmur. Ten widok nieco ją uspokoił, bo brak deszczu oznaczał, że wciąż mają czas do wieczora, jeśli Tamarze się nie udało.

Pobiegła w ślad za oddalającą się Lidką.

Przy stole siedzieli już wszyscy prócz Staszka, Tymka i Tamary. Nina rzuciła pytające spojrzenie Hubertowi, który lekko, prawie niezauważalnie pokręcił głową. Czy to miało znaczyć „nie wiem”, czy „nie udało się”? Dziewczyna usiadła ze ściśniętym żołądkiem. Chwilę później do jadalni weszła Tamara.

Sama.

I posłała Ninie pokrzepiający uśmiech.

Nina odetchnęła z ulgą.

– A gdzie Staszek i Tymek? – zapytała pani Celina, wodząc wzrokiem po zebranych wokół stołu. – Czy ktoś ich widział?

Nina natychmiast poczuła, że się rumieni. Spuściła wzrok, winę miała wypisaną na twarzy. Na szczęście nikt chyba tego nie zauważył.

– Może znowu się zgubili – odparła bezczelnie Tamara.

– Trudno, nie będziemy na nich czekać. Najwyżej powiem Sylwii, żeby zostawiła coś dla nich w kuchni.

Zmówili modlitwę i sięgnęli po jedzenie. Korzystając z zamieszania przy nalewaniu zupy pomidorowej, Tamara pochyliła się do ucha Niny.

– Wszystko w porządku – szepnęła. – Siedzą w piwnicy. Zaniosę im potem kanapki i kompot.

– Dzięki.

Nina spróbowała zupy. Była dobra, widać dziś przypadał dyżur kogoś, kto umiał gotować. Elizy? Możliwe, choć Nina już się pogubiła.

Uniosła głowę i ostrożnie zerknęła na panią Celinę. Ręce opiekunki drżały lekko, kiedy podnosiła do ust łyżkę. Od czasu do czasu rzucała też niespokojne spojrzenia w stronę pustych miejsc Staszka i Tymka, a wtedy na jej twarzy widać było wyraźny lęk. Pozostali również sprawiali wrażenie zaniepokojonych. Artur mówił nieco zbyt głośno, Mariusz milczał jeszcze bardziej zaciekle niż zwykle, bliźniaczki czasami szeptały coś do siebie, rozglądając się wokół nerwowo, a Eliza ni stąd, ni zowąd obsztorcowała wystraszoną Małgosię za jakieś głupstwo. Tylko dwie osoby przy stole zachowały spokój: Jacek, który nie widział świata poza własnym talerzem (wspomniał kiedyś, że pomidorowa to jego ulubiona zupa), i Lidka, którą najwyraźniej chroniła jej ufność w Boga.

Nina coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że ma rację – czar przestawał działać.

– Sylwia powiedziała mi, że zginął jej worek soli – zaczęła pani Celina w pewnym momencie. – Czy ktoś coś o tym wie? Nie? Lidko?

– Widziałam worek soli. W ogrodzie, schowany w krzakach z tyłu altanki.

Lotka mi tam wpadła.

– Czemu nic nie powiedziałaś?

– Nie wiedziałam, że ktoś ukradł sól z kuchni. – Spojrzenie pięknej dziewczyny było szczere i ufne, a jej spokój sprawiał, że pani Celina pokręciła tylko głową. Nina za to parsknęła w duchu – to było podobne do Lidki, zobaczyć coś dziwnego i nawet przez chwilę się nad tym nie zastanowić. Może jej się zdało, że Bóg umieścił worek w krzakach w jakimś tajemniczym bożym celu?

Gdy skończyli jeść, Hubert podszedł do Tamary i Niny.

– Musimy zabrać tę sól – szepnął.

– Teraz to przecież i tak nie ma znaczenia, nie? – Tamara poszukała wsparcia u Niny, ale dziewczyna potrząsnęła kasztanową czupryną.

– Hubert ma rację, zabierzmy ją na wszelki wypadek.

Sól z tyłu altanki znaleźli łatwo, gorzej było z wyciągnięciem jej z krzaków.

Tamara, klnąc, szarpała worek, a kolczaste gałęzie ostrokrzewu darły jutową tkaninę.

– Nie tak, połowa się wysypie! – syczała nad jej ramieniem Nina.

– Ostrożnie! – ostrzegał Hubert.

Zaaferowani nie zauważyli, że podeszła do nich pani Celina.

– Co robicie?

Odwrócili się gwałtownie, Tamara puściła worek.

– Chcieliśmy zanieść sól do kuchni – wyjaśnił Hubert.

– Lepiej ja to zrobię. – Kobieta spoglądała na nich podejrzliwie.

Hubert już miał zaprotestować, ale zamilkł, gdy Tamara rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Pani Celina schyliła się, zgrabnie wyciągnęła worek z krzaków i wyprostowała się, trzymając go tak, by sól nie sypała się z dziur.

– Trudno, wyrzucimy sól później. – Tamara patrzyła w ślad za oddalającą się opiekunką.

– Taaa, a Sylwia odgryzie nam głowy, kiedy nas przyłapie w spiżarni... – wymamrotała Nina. Miała potem przypomnieć sobie te słowa i bardzo ich żałować. Jednak wtedy było już za późno.

– Co robimy? – zapytał Hubert. – Ktoś ma jakiś pomysł?

– Ja chyba coś wymyśliłam. – Nina usiadła na trawie. Teraz gdy się wyspała, umysł miała znacznie jaśniejszy. – Zastanawiałam się, gdzie może być anioł z piwnicy, i tak mi przyszło do głowy, że może podchodzimy do problemu z niewłaściwej strony...

– Podchodzimy do problemu z niewłaściwej strony? – Tamara usiadła obok. –

Rany, ty się naprawdę wciągnęłaś w te kryminały!

– Mów dalej – Hubert nie zwrócił na nią uwagi.

– Wcześniej szukałam miejsca, gdzie można by uwięzić człowieka, znaczy, jakiegoś pokoju, schowka, czegoś w tym stylu. Ale anioł nie jest człowiekiem.

– I co to zmienia? – Tamara nie wyglądała na przekonaną. – Ma przecież taką samą wielkość.

– Ale inną fizjologię, na przykład niewiele je i niczego nie wydala. Pomyśla-

łam więc, że może anioły też inaczej oddychają. Może wystarczy im jeden oddech na dzień albo wcale nie muszą oddychać. I mogą być znacznie bardziej wytrzymałe niż ludzie.

– Co z tego wszystkiego wynika? – Tamara zmarszczyła brwi.

– To, że można je zamknąć w miejscu, które zabiłoby człowieka. Tak się zastanawiam... – Nina odwróciła się do Huberta. – Gdzie są pochowane zakonnice z tego klasztoru? Gdzieś tutaj? Bo wątpię, żeby pogrzeby chodziły do miasteczka, to trochę daleko.

– Pod kaplicą jest krypta, raz tam byłem. – Oczy chłopaka rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu. – Myślisz, że ktoś zamknął anioła w trumnie?

– No.

– W porządku, możemy sprawdzić. – Tamara wstała. – Prowadź.

Wejście do krypty znajdowało się w najciemniejszym kącie kaplicy, tak że Nina nawet nie miała do siebie pretensji, że wcześniej je przegapiła. Tamara zapaliła świecę, Hubert otworzył drzwi. Z wnętrza powiało stęchłym, zimnym powietrzem. Zapach ziemi, kamieni i ciemności. Nie pójdę tam, pomyślała w nagłej panice Nina, ale Tamara i Hubert już znikali w mroku. Odetchnęła więc, starając się uspokoić rozdygotane nerwy, i ruszyła za nimi.

– Czuję się jak w Zagładzie domu Usherów – mruknął chłopak.

– Co to? – zapytała Tamara.

– Opowiadanie Edgara Allana Poeego – wyjaśniła Nina. – O mężczyźnie, którego siostrę pochowali żywcem w rodzinnej krypcie, a on siedział w pokoju i z przerażeniem nasłuchiwał, jak dziewczyna idzie do niego, wyłamując kolejne drzwi. Zawsze się zastanawiałam, czemu nie mógł jej po prostu otworzyć.

Hubert posłał jej znad świeczki spojrzenie pełne wyrzutu.

– Wtedy nie byłoby gotyckiej atmosfery.

Nina chciała jeszcze coś powiedzieć, ale potknęła się na stopniu. W gruncie rzeczy nawet chłopaka rozumiała, ona też lubiła gotycką atmosferę – no, przynajmniej wtedy, kiedy nie groziło jej wybicie sobie przez nią zębów.

Zeszli do nisko sklepionej sali, płomień świecy wyłowił z mroku kanciasty kształt pierwszej trumny. Potem drugiej i trzeciej. Były ciężkie, z lakierowanego drewna, z imionami zmarłych zakonnic wypisanymi złotymi literami. Marmurowe anioły patrzyły na Ninę z ciemności mlecznymi oczami. Dziewczyna przeknęła ślinę. Dopiero teraz w pełni do niej dotarło, co zamierzają zrobić. Tamara chyba też to zrozumiała, bo wzdrygnęła się nagle.

– Chcecie otworzyć trumnę? Naprawdę? A jak tam będą tylko zwłoki?

– Ciiicho... – Hubert przyłożył palec wolnej ręki do ust. Trzymana w drugiej ręce świeca zadrżała.

W krypcie rozlegało się ciche stukanie.

– Co to? – szepnęła Nina zbielełymi wargami.

– Anioł. Chyba. Potrzymaj świecę.

Podszedł do najbliższej trumny i przyłożył ucho do wieka. Po chwili wyprostował się i pokręcił głową.

– To gdzieś stamtąd. – Tamara podbródkiem wskazała odległy kąt krypty.

Nina denerwowała się coraz bardziej. Świeca w jej ręku drżała, wosk kapał na skórę. A co, jeśli naprawdę otworzą trumnę z nieboszczykiem? Albo – na samą myśl zdrętwiała – ktoś wejdzie teraz do kaplicy i zatrzaśnie drzwi...

– Dobrze się czujesz? – zapytała Tamara.

– Tak. Nie. Nie wiem. Chyba nie przepadam za zmarłymi.

– Za zmarłymi nikt nie przepada. – Dziewczyna uśmiechnęła się.

Hubert przyłożył ucho do wieka następnej trumny.

– To chyba tutaj – oznajmił. – Posłuchajcie.

Nina oddała świecę Tamarze i schyliła się, niechętnie idąc w jego ślady. Lakierowane drewno było zimne i zakurzone, tak że w dotyku przypominało porośnięty mchem kamień. Dziewczyna zadrżała i już miała się wyprostować, kiedy to usłyszała – powolne, miarowe stukanie w wieko.

– Słyszysz?

– Tak.

– To jak, otwieramy?

– T...tak, chyba tak. Tylko jak to zrobimy? Te wieka wyglądają na cholernie ciężkie.

– Poradzimy sobie. – Tamara postawiła świecę na sąsiedniej trumnie i chwyciła jeden ze złożonych uchwytów. – Na raz, dwa, trzy?

– Na raz, dwa, trzy – przytaknął Hubert, sięgając po uchwyt z drugiej strony.

– Wy ciągniecie, a ja pcham.

Szarpnęli, wieko drgnęło i przesunęło się odrobinę. Nina przysięgłaby, że waży z tonę, a poza tym zdecydowanie brakowało im czwartej osoby, która mogłaby pchać razem z Hubertem. Choć chłopak, jak na takiego chudzielca, i tak radził sobie zdumiewająco dobrze.

– Gdyby padał deszcz, potrafiłbym je podnieść – wysapał. – Dzięki magii mogę wtedy sprawiać, że przedmioty ważą mniej.

– Serio? – zapytała Tamara.

– Tak było z kamieniem, który przywiązałem do walizki Staszka. Dziwiłem się wtedy, czemu jest taki lekki, i dopiero potem skojarzyłem, że to z powodu świtu. Umiem też rozpalać ogień siłą woli. A ty co potrafisz?

– Nic – burknęła Tamara.

– Ja otworzyłam okno, kiedy Lidka została ranna – przyznała Nina. – Naprawdę nie chciałam nikomu zrobić krzywdy...

– Eee tam, nic dziewczynie nie jest. – Tamara zlekceważyła jej poczucie winy. – Tej szramy nawet nie widać, jak ją przesłoni włosami. Jeszcze raz?

– Jeszcze raz.

– Raz, dwa, trzy!

Wiekło znów drgnęło, a przez powstałą szparę wysunęła się dłoń. Nina pisnęła cicho, Tamara się wzdrygnęła.

– Ciągnijcie! – krzyknął Hubert.

Pociągnęli i wkrótce z trumny wygramolił się anioł. Nina i Hubert widzieli go już wcześniej, ale Tamara nie, i teraz dziewczyna cofnęła się gwałtownie, nagle pobladła.

– Nic się nie bój. – Usta skrzydlatego rozciągnęły się w upiornym uśmiechu.

– Jeszcze żyję.

Zatoczył się, ale Hubert zdążył go podtrzymać. Dopiero teraz Nina zauważyła, że anioł nie tylko ma zmasakrowaną twarz, ale także kuleje, a jedno z jego ramion umieszczone jest wyżej niż drugie. Zdeformowane ciało skrywał luźny sweter i workowate robocze spodnie. Gdyby nie piękna połowa twarzy, nikt nigdy by nie zgadł, że to skrzydlaty.



– Czy... czy Azkiel wciąż tu jest?

– Nie, już go nie ma – odpowiedział Hubert.

Anioł ciężko usiadł na brzegu otwartej trumny.

– No to mamy przerąbane – oznajmił.

– Co takiego?

– Jesteśmy zgubieni – przetłumaczyła Nina na użytek Huberta. Miała bardzo złe przeczucia.

– Czemu? – W oczach Tamary widać było lęk. – Przecież to dobrze. Jak Azkiela nie ma, to jego czar przestaje działać i wszyscy możemy stąd uciec.

– Właśnie, czar... przestaje działać... wszystko... wraca do poprzedniej formy...

Wszystko wraca do poprzedniej formy.

Nina zrozumiała. Remigiusz i Sylwia, którzy w domach ludzi pilnował

i wszystkiego, ich wcześniejsze posłuszeństwo, a potem nagle dziwna wrogość.

I obrazy malowane przez Maurę. Dlaczego nie dostrzegła tego wcześniej? Przecież odpowiedź miała tuż przed oczami.

Pani Celina idąca z workiem soli w stronę kuchni.

Nina spojrzała na Huberta.

– T... trzeba ratować panią Celinę. Jak Sylwia ją zobaczy...

– To co?

– Nie rozumiesz? Sylwia mówiła, że jeśli przyłapie jeszcze kogoś w spiżarni, rozerwie mu gardło. I ona **NAPRAWDĘ MOŻE TO ZROBIĆ**.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że Remigiusz i Sylwia nie są ludźmi – dopowiedział zmęczonym głosem anioł.

Hubertowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pognał w ciemność, nie zabierając nawet świecy. Tamara pobiegła za nim. Nina usłyszała jeszcze przekleństwo, gdy jedno z nich przewróciło się na schodach.

– A ty? – Anioł spojrzał na Ninę.

– Ja jestem tchórzem. – Odwróciła wzrok, a skrzydlaty poklepał ją po ramieniu.

– Od początku wiedziałem, że będziemy do siebie pasować. Pomóż mi wstać.

Minęło kilka upiornie długich minut, nim wyszli z krypty, i kilka następnych, które poświęcili na dotarcie do kuchni. Nina podtrzymywała znacznie cięższego od niej anioła, czując się jak w koszmarnym śnie, kiedy człowiek próbuje biec, ale coś przytrzymuje go w miejscu. Już z daleka usłyszała wibrujący w powietrzu krzyk przerażenia. A potem drugi. I wściekłe warczenie.

Na korytarzu minął ją pędzący Artur, chwilę później Eliza. Oboje zatrzymali się gwałtownie w progu kuchni.

– Zostaw ją! – wrzeszczał Hubert. – Tamara, weź krzesło! Uderz go krzesłem! Siad, spokój!

Nina osunęła się pod ścianą i ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła tam wejść, po prostu nie mogła. Obok szlochała wystraszona Małgosia, pozostali, zwabieni krzykiem, nadbiegali z różnych stron klasztoru. To moja wina, myślała Nina, wszystko moja wina. Powinnam była wiedzieć.

Skulona, przyciskała dłonie do uszu, ale i tak słyszała każde słowo i każdy krzyk.

– Zostaw! – Tym razem stanowczy głos Mariusza i cichy, przejmujący skowyt

bólu, a potem wybuch spanikowanych głosów.

– Trzeba zatamować krew! Ktoś wie, jak to się robi? Przenieśmy ją! Nie, nie wolno ruszać... Pani Celino, niech pani coś powie...

Nina wstała na uginających się nogach. Wszyscy tłoczyli się w progu kuchni i krzyczeli jeden przez drugiego. Nina zajrzała ponad ramieniem Heli.

Na podłodze leżała zalana krwią pani Celina, obok niej spoczywało ciało owczarka niemieckiego, dokładnie takiego, jakiego namalowała Maura. Nina widziała oba obrazy, jakby je miała przed oczami. Owczarki w liberii lokajów, noszące tace i otwierające przed człowiekiem drzwi. Czemu nie? Czy może istnieć lepszy sługa niż pies, oddany i posłuszny, choć pozbawiony inicjatywy? Ale zwierzę potrafi ugryźć, gdy cierpi, Nina wiedziała o tym aż nazbyt dobrze. Jej wujek miał wyżła, który został potracony przez wóz i trzeba go było dobić. Lecz wcześniej Nina chciała się jeszcze z ulubieńcem pożegnać, podeszła więc do niego i pogłaskała, a wtedy pies ją ugryzł. Mocno, aż do krwi. Mała Nina płakała, bo nie wiedziała, co się stało, przecież wyżeł zawsze ją lubił. „On się boi”, powiedział wtedy ojciec, „boi się i bardzo go boli, dlatego cię ugryzł”.

Sylwia też się bała i cierpiała, gdy z powrotem zaczęła zmieniać się w zwierzę. A ponieważ wytresowano ją, by pilnowała rzeczy, jej złość zwróciła się przeciwko tym, których podejrzewała o kradzież.

Krew, tyle krwi...

– Hej, tylko mi tu nie mdlej! – rozległ się głos Tamary. – Jeszcze tego brakowało.

Kuchnia wirowała Ninie przed oczami, krew rozmazała się w czerwoną plamę. Ktoś krzyczał, że trzeba dzwonić po lekarza, Hubert tłumaczył, że telefon

jest zepsuty. Dziewczyna poczuła, że osuwa się na podłogę, ale na szczęście

Tamara ją złapała i posadziła pod ścianą. Zgodnie z zapamiętaną radą Nina włożyła głowę między kolana i spróbowała skupić się na oddychaniu. Wdech, wydech, wdech, wydech. Trochę pomogło.

– A to kto? – rozległ się kolejny krzyk, chyba Karoliny.

– Anioł – powiedział anioł. – Miło mi. Niestety, nie umiem jej pomóc, moja moc to czytanie w myślach, a nie leczenie.

– Anioły som piękne...

– Przyzwyczajaj się, bo będziesz mnie widzieć do końca życia. Nie żeby było ono jakoś szczególnie długie.

Małgosia wybuchła jeszcze głośniejszym szlochem, a Lidka bez powodzenia próbowała ją uspokoić. Tamara gdzieś zniknęła, pozostali krzyczeli, domagając się wyjaśnień albo żeby ktoś zawołał Azkiela. Hubert drżącym głosem oznajmił, że anioła nie ma i nie wiadomo, kiedy wróci. Nina na chwilę uniosła głowę.

Zimną krew zachowali tylko Eliza i, o dziwo, Jacek, który, jak się okazało, znał się na udzielaniu pierwszej pomocy. Co prawda, tylko teoretycznie, ale jednak wystarczyło. On, lekko zielony na twarzy, instruował dziewczynę, ona sprawnie darła na pasy własną sukienkę i tamowała krew płynącą z ran pani Celiny.

Nina, która obserwowała ich przez otwarte drzwi kuchni, czuła się kompletnie niepotrzebna. Krew, tyle krwi... A ona tylko sprawiała kłopoty, mdlejąc w najbardziej dramatycznych sytuacjach.

Z powrotem włożyła głowę między kolana.

Chwilę później wróciła Tamara, pochyliła się nad Niną i położyła jej na karku zmoczoną, zimną szmatkę.

– Lepiej?

– Uhm. Co z panią Celiną? – Nina spojrzała na przyjaciółkę. Piegi na jej szerokiej twarzy wydawały się ciemniejsze niż zwykle, podkreślając bladość skóry.

– Żyje, ale straciła sporo krwi. Powinna jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

– A pies?

– Pies? Martwisz się teraz o psa?

Nina wzruszyła ramionami.

– To nie była jego wina. On bardzo cierpiał. A właściwie ona.

– No to już nie cierpi, bo Mariusz zabił ją jednym ciosem pięści. To było... dość niesamowite.

– Ktoś jeszcze jest pogryziony?

– Hubert, ale tylko w rękę. Nic mu nie będzie, no, chyba że pies był wściekły. Ja zasłoniłam się krzesłem.

– Skond tu się wzięł pies? – Tym razem zabrzmiał wysoki, piskliwy głos Heli.

– To Sylwia – wyjaśniła Nina. – Sylwia była zamienionym w człowieka owczarkiem, a kiedy czar anioła przestał działać, zmieniła się z powrotem w psa. Remigiusz pewnie też.

– Co ty pitolisz? – Druga z bliźniaczek wytrzeszczyła oczy. – A to kto?

– Anioł – oznajmił anioł. – Miło mi.

Stopniowo wszyscy gromadzili się wokół Niny i kalekiego skrzydlatego.

– To twoja wina. – Eliza zacisnęła szczęki. Miała na sobie tylko zakrwawioną halkę, ale nikt nie zamierzał się z niej śmiać. – Nie wiem, co zrobiłaś, ale jestem pewna, że to twoja wina!

– Nic nie zrobiłam! – wrzasnęła Nina, odzyskując siły. – Próbowałam was wszystkich ostrzec, ale nie słuchaliście! Co miałam zrobić? No, powiedz, co miałam zrobić?

Otoczały ją ponure, oszołomione twarze. Czar przestał działać ostatecznie, w tej chwili wszyscy już byli przerażeni. Nina wciąż krzyczała, wyrzucając z siebie strach, złość i poczucie winy. Hubert, blady jak ściana, przyciskał do brzucha zranioną rękę, Lidka tuliła Małgosię.

– Nie ma sensu się kłócić – powiedział rozsądnie Jacek. – Teraz musimy pomyśleć, jak zawieźć panią Celinę do lekarza.

– Skoro nasz kierowca biega na czterech łapach, to nie będzie łatwe – odezwał się zgryźliwie Artur.

– Ktoś potrafi prowadzić samochód? – Jacek rozejrzał się.

– Umiem jeździć traktorem – przyznała Karolina.

– Jo tyż – zawtórowała jej Hela. – Ale nie wim, czy to starczy...

– To nie może być takie trudne, skoro pies sobie radził. – Jacek najwyraźniej zaczynał odzyskiwać optymizm. – Musimy ją jakoś przenieść do samochodu, najlepiej na kocu albo coś...

– Lidka, leć po koc do sypialni – komenderowała Eliza, znowu obejmując dowodzenie. Nina nigdy jej nie lubiła, ale była pod wrażeniem sprawności, z jaką działała dziewczyna. – Adam, pokaż tę rękę.

– Nazywam się Hubert – oznajmił chłopak, ale w panującym rozgardiaszu nikt nie zwrócił na to uwagi. – I nic mi nie jest.

– Bzdura. Pokaż.

Chwilę później zjawiała się Lidka z kocem. Eliza, Jacek i Mariusz ostrożnie

podnieśli panią Celinę i ułożyli na prowizorycznych noszach. Gdy ją wynosili, Nina patrzyła na twarz nieprzytomnej opiekunki. Była blada i wyglądała jak dziecko, jak śpiące, niewinne dziecko. Dziewczyna nie potrafiła już czuć do niej niechęci.

– Przepraszam – szepnęła. – Cokolwiek złego o tobie mówiłam czy myślałam, przepraszam. I mam nadzieję, że wyzdrowiejesz.

Potem weszła do kuchni i starając się nie patrzeć na wielką plamę krwi, poszła do martwego psa. Ciało Sylwii wciąż jeszcze było ciepłe, sierść miękka i gładka. Z twojego powodu też jest mi przykro, pomyślała Nina. Pewnie nikt cię nie zapytał, czy chcesz być człowiekiem, prawda?

Do samochodu wsiadły bliźniaczki – jedna za kierownicę, a druga obok, oraz Hubert, który wsunął się na tylne siedzenie przy pani Celinie. Trzymał ją za rękę, co chyba tylko Nina zauważyła.

Hela przekręciła kluczyk w stacyjce i samochodem szarpnęło.

– Spokojnie – powiedział Jacek, zaglądając do ify przez okno. – Spróbuj jeszcze raz.

– I pamiętajcie, lekarza znajdziecie... – zaczęła Eliza, ale przerwał jej Hubert.

– Wiem, gdzie w Markotach jest lekarz.

Tym razem samochód ruszył i po chwili zniknął za bramą. Wszyscy odprowadzali go spojrzeniem.

– A gdzie jest Tymek? – zapytała nagle Małgosia. – I Staszek?

Tamara chrząknęła.

– Wyjaśnimy to później.

Eliza kazała Lidce wytrzeć krew w kuchni, a Arturowi i Mariuszowi wynieść

martwego owczarka.

– Trzeba by go zakopać, ale nie wiem, gdzie jest łopata, więc na razie dajcie go do szopy na narzędzia. Potem możecie sprawdzić, czy drugi pies nie kręci się gdzieś w pobliżu. Tylko uważajcie na siebie.

– Ja się nie boję – oznajmił Mariusz. – Jestem tak silny, że jednym ciosem mógłbym powalić konia.

– Konie nie rzucają się ludziom do gardeł – wymamrotała Nina. Miała przy tym szczerą nadzieję, że Remigiusz jest już daleko stąd, biegnąc w stronę miasteczka czy w inne miejsce, gdzie ktoś go przygarnie i się nim zaopiekuje.

Tymczasem anioł niepostrzeżenie odłączył się od stojącej przed klasztorem grupy i poszedł w stronę altanki. Nina po chwili wahania ruszyła za nim.

– Okłamałeś mnie – powiedziała, siadając obok skrzydlatego na ławce. –

Wtedy, kiedy powiedziałaś, że nie mogę stąd wyjechać, bo Bestia wszędzie mnie dopadnie. Tak naprawdę mogłam stąd wyjechać i nic złego by się nie stało, prawda?

Przytaknął.

– Bestii zależy na mnie, nie na was. Wy byliście – skrzywił się – powiedzmy, że miłym dodatkiem do głównego posiłku.

– Ale dlaczego skłamałeś?

Spojrzał na nią swoim jednym okiem. Było piękne, złotożółte jak topaz.

– Bo nie chciałem umierać sam, a towarzystwo małej dziewczynki jest lepsze niż żadne. Czy taka odpowiedź ci wystarczy?

Nina zacisnęła usta.

– Wystarczy mi wiadomość, że wszyscy możemy stąd bezpiecznie wyjechać.



– W myślach już prowadziła obliczenia: najbliższy pociąg odjeżdżał za dwie godziny, do tego czasu bliźniaczki zdążą zawieźć panią Celinę do lekarza i zostawić ją tam. Tamara pewnie wróci z ojcem samochodem, Hubert powędruje do babci, a reszta w kilku turach zabierze się ifą na dworzec. Wkrótce wszyscy będą w drodze do domów.

Wszyscy z wyjątkiem Tymka i Staszka... Nina poczuła nagłe ukłucie bólu w sercu. Jak rodzice Tymka zareagują na zmienionego syna? Och, zresztą mniejsza z tym, dlaczego w końcu ona ma się zawsze martwić? Powie pani Stefani, gdzie są chłopcy, i niech kobieta zdecyduje, co z nimi zrobić.

Właśnie, przed wyjazdem trzeba jeszcze pożegnać się z panią Stefanią...

Anioł patrzył na dziewczynę, aż poczuła się nieswojo. Całkiem zapomniała, że on potrafi czytać w myślach.

– Wyjedziecie, jeśli się wam uda – powiedział.

– Co to znaczy: jeśli się uda?

– Po prostu.

– Wybraniec nie żyje, zginął w wypadku, jeszcze zanim przyjechał do klasztoru.

– No to tym bardziej mamy przerąbane.

– Ale to nie ma znaczenia, bo Krąg nie może się rozrastać, a my zamknęliśmy w piwnicy chłopców, którzy próbowali zbudować ścieżkę od klasztoru do Kręgu.

– To mamy trochę mniej przerąbane.

Nina zirytowała się.

– Ty naprawdę nie możesz nam w niczym pomóc, co?

Anioł oparł głowę o ścianę altanki i przymknął oko.

– Niespecjalnie – przyznał.

Minęło dwadzieścia pełnych napięcia minut, w czasie których Nina wróciła do siedzącej na trawniku przy bramie grupy i mniej więcej wyjaśniła, co wydarzyło się w klasztorze. Tamara знаła już fakty, a Jacek to, czego nie wiedział, przyjął dość spokojnie. Oboje wspierali Ninę, gdy zaczynała plątać się i jąkać. Do pozostałych prawda docierała opornie, niektóre rzeczy Nina musiała powtarzać po dwa albo i trzy razy. Jeszcze niezupełnie wierzyli, ale przynajmniej już nie uważali jej za wariatkę.

Mariusz i Artur bez trudu pogodzili się z tym, że anioły nie są wcale aniołami.

– Od początku podejrzewałem, że to jakiś kant – oznajmił Flip, a Flap przytaknął gorliwie. Za to Lidka i Małgosia się zbuntowały.

– Anioły są prawdziwe – oznajmiła dziewczynka. – One czynią cuda.

– Oczywiście, że tak, kochanie – potwierdziła Lidka. – Bóg je zesłał, bo widział, jak Polska cierpi.

– Jeśli anioły nie są aniołami, to kim? – poparła ją Eliza.

– Nie wiem, jego zapytaj. – Nina wskazała siedzącego w altance skrzydlatego. Dziewczyna parsknęła, wstała i podeszła do niego. Wróciła po chwili z niepewną miną.

– Mówi, że są rasą kosmicznych wędrowców podróżujących między gwiazdami.

– Czyli mam rację, to anioły. – W głosie Lidki brzmiała pewność siebie tak niezachwiana, że Nina nie miała siły się spierać.

– Nieważne, czy to anioły, czy nie – odezwał się Jacek rozsądnie. – Ważne,

że jeden z nich chciał nas tu wszystkich pozabijać. Dlatego nie możemy im ufać.

– A temu możemy? – Eliza mruknęła, wskazując ruchem głowy skrzydlatego w altance.

Mariusz i Artur za to nie chcieli przyjąć do wiadomości, że Wybrańiec nie żyje.

– Ja jestem Wybrańcem – oznajmił Flap. – Jestem najsilniejszy, a Wybrańiec musi mieć krzepę. To ja. – Spojrzał na Flipa, najwyraźniej oczekując potwierdzenia, ale chudy chłopak roześmiał się tylko nieprzyjemnie.

– Jakby taki tłuś miał być Wybrańcem, to ja bym się chyba obwiesił. Stary, bez urazy, mówiłem tak tylko, bo cię potrzebowałem, w porządku? Ale teraz pora, żeby wszyscy wiedzieli, że Wybrańcem jestem ja. Umiesz czarować? Nie?

No widzisz, a ja umiem. Mam moc.

– Ja też potrafię czarować – pisnęła Małgosia.

– I ja – dodała Lidka.

Mariusz tymczasem poczerwieniał na twarzy i wyglądało na to, że za chwilę rzuci się na dawnego przyjaciela. Nina z rozpaczą zamknęła oczy. Naprawdę miała tego dość.

A Eliza, jak to Eliza, zajęła się praktycznymi kwestiami.

– Dajcie mi klucz do piwnicy – powiedziała do Tamary i Niny.

– Po co? – Tamara spojrzała na nią hardo.

– Bo nikt tu nie będzie nikogo zamykał bez mojej zgody. Jak nie ma pani

Celiny, ja tu rządę. Dawajcie klucz.

– Żebyś mogła wypuścić Staszka i Tymka?

– Wypuszczę ich, jeśli uznam to za stosowne.

– Chyba żartujesz...

– Daj jej klucz, Tamara – odezwała się zmęczonym głosem Nina.

– Ale...

– Daj jej ten cholerny klucz.

Naburmuszona Tamara sięgnęła do kieszeni. Eliza skinęła głową i zajęła się uspokajaniem Mariusza oraz Artura.

– Czemu dałaś jej klucz? – szepnęła Tamara. – A jak wypuści Staszka i Tymka?

– Nie sądzę. Ona chce tylko mieć poczucie, że wszystko kontroluje – odparła Nina również szeptem. – Tak myślę. Jest zbyt rozsądna, żeby otworzyć te drzwi.

Jednak w gruncie rzeczy Nina zdawała sobie sprawę, że sporo ryzykują. Czy oddała klucz, bo naprawdę wierzyła, że Eliza nie uwolni chłopców, czy po prostu nie miała już sił na kolejną kłótnię?

Chyba jedno i drugie, uznała.

Wstała i usiadła na trawie nieco dalej od hałaśliwej grupy. Po chwili dołączył do niej Jacek.

– A więc Tamara pomogła ci zamknąć w piwnicy Staszka i Tymka? – zapytał z lekką pretensją w głosie. – Czemu mnie nie poprosiłaś? Ja bym sobie z tym bez problemu poradził.

– Ty, zdaje się, byłeś na mnie ciężko obrażony – wytknęła Nina.

– No wiesz, miałem powód.

– Ja też miałam powód, żeby przeszukać twoją walizkę, nie robiłam tego dla

przyjemności. Niemniej – uznała, że nie zaszkodzi wyciągnąć ręki na zgodę – przykro mi, jeśli to coś pomoże.

– W porządku, już mi przeszło.

Nina uznała, że to jedyne przeprosiny, na jakie może liczyć. Nikt nie będzie błagał jej o wybaczenie, jak sobie wcześniej wyobrażała. Cóż, najwyraźniej musi to jakoś przeżyć.

– Czyli to już koniec, tak? – upewnił się Jacek. – Odwozimy panią Celinę do lekarza i wynosimy się stąd?

– Aha – przytaknęła Nina. – To koniec.

Wyciągnęła się na trawie i przymknęła oczy. Za półtorej godziny będzie w drodze do domu. A może pojedzie wieczornym pociągiem zamiast popołudniowym? Tak, wieczorny byłby chyba lepszy, miałyby więcej czasu, żeby porozmawiać z panią Stefanią. Polubiła starszą kobietę... Ciekawe, co ją zatrzymało? Czemu nie przyjechała do klasztoru?

W Ninie znów odezwały się złe przeczucia. Powinna się cieszyć i naprawdę tak było, ale... ale nie do końca. Powinna też podejść teraz do kalekiego anioła i wypytać go o wszystko. Tyle było rzeczy, które chciała wiedzieć... Kim są skrzydlaci, skąd się wzięli w Polsce, czy to oni sprawiają, że świat się zmienia i dlaczego to robią? I czy Bestia jest jednym z nich? Jednak wciąż tkwiła w miejscu, a anioł siedział samotnie w altance. Bo gdyby Nina zaczęła z nim rozmawiać, nieuchronnie w którymś momencie musiałoby paść pytanie, co miał na myśli, mówiąc: „Wyjedziecie, jeśli się wam uda”.

Nina bała się odpowiedzi.

Gdy chwilę później na drodze rozległ się warkot silnika, wszyscy nerwowo

unieśli głowy. Nina wstała i podeszła do reszty młodzieży, Jacek poszedł w jej ślady.

– Wracają – powiedziała Eliza.

– Trochę za wcześnie. – Na twarzy Jacka malował się niepokój.

Nina nieświadomie zacisnęła dłonie w pięści tak mocno, że paznokcie wbiły jej się w skórę.

Samochód zatrzymał się na podjeździe, ale nikt się nie ruszył, nikt do niego nie podszedł. Młodzież gapiła się tylko na ifę jak zahipnotyzowana. Jakbyśmy już wtedy wiedzieli, pomyślała później Nina. Jakby wszyscy, nie tylko ona, mieli te same złe przeczucia.

Pierwszy wysiadł Hubert z twarzą mokrą od łez.

– Nie mogliśmy dojechać do miasteczka – powiedział. – Kręciliśmy się tylko w kółko, rozumiecie? Jak w pętli. Ruszaliśmy i za chwilę znów widzieliśmy klasztor. To bez sensu, nigdy się stąd nie wydostaniemy. Nie wydostaniemy się stąd, a pani Celina umrze.

Rozdział trzynasty, w którym Nina poznaje odpowiedź na wszystkie pytania z wyjątkiem najważniejszego.

Wiedziałaś, prawda? – zapytała Nina oskarżycielskim tonem. – Od początku wiedziałaś, że się stąd nie wydostaniemy.

– Podejrzywałem – przyznał anioł ze znużeniem.

Od powrotu bliźniaczek minęło kilka godzin i zaczynało się już powoli ściemniać. Przez ten czas Mariusz i Tamara, namówieni przez Elizę, spróbowali dotrzeć do miasteczka pieszo, a Jacek podjął ryzykowną próbę przepłynięcia jeziora w pław. Nic to nie dało, wszyscy troje wrócili najdalej po dwudziestu mi-

nutach.

– To czary – oznajmił Jacek, kiedy już wyszedł na brzeg, ociekając wodą. –

Przez pewien czas wszystko wyglądało zwyczajnie, płynąłem w stronę Markotów i w ogóle, a potem zacząłem się jakimś cudem od nich oddalać. Normalnie jakby coś mnie ciągnęło do tyłu, tym bardziej, im mocniej machałem rękami i nogami, aż wreszcie wylądowałem z powrotem tutaj.

– Myśmy mieli coś podobnego – powiedział Mariusz. – Nieważne, jaką drogę wybieraliśmy, i tak prędzej czy później wracaliśmy do klasztoru.

Nina tymczasem zajęła się szukaniem anioła, który przepadł gdzieś po powrocie bliźniaczek. Znalazła go dopiero teraz, siedzącego samotnie nad brzegiem jeziora.

– Czy mógłbym dostać szklanek wody? – zapytał skrzydlaty.

– A odpowiesz na wszystkie moje pytania?

Spojrzał z ironią.

– Rozumiem, że jeśli nie odpowiem, nie dostanę nic do picia?

Dziewczynie zrobiło się głupio; anioł tyle przeszedł, a ona próbowała go szantażować.

– Nie, jasne, że nie. Zaczekaj chwilę.

Pobiegła w stronę klasztoru, a potem skierowała się do pokoju z kominkiem.

Tam siedzieli wszyscy, skupieni wokół stolika, na którym stał dzbanek parującej herbaty. Podwieczorku nie było i wyglądało na to, że nie będzie też kolacji, ale nikogo to nie obchodziło. Zmęczona płaczem Małgosia przysypiała na ramieniu Elizy, bliźniaczki obejmowały się pocieszająco, a Lidka cichym, monotonnym głosem odmawiała różaniec. Musiało to działać na nerwy Arturowi, bo

kiedy Nina weszła, chłopak zerwał się właśnie z fotela.

– Zamknij się wreszcie – warknął, a potem skierował płonące złością oczy w stronę Niny: – Ty nas w to wpakowałaś, to teraz ty nas wyciągnij.

Tamara pokręciła z dezaprobatą głową, Jacek drgnął, wciąż tępo wpatrując się w trzymany w rękach kubek. Wszyscy mieli blade, ściągnięte strachem twarze, na wielu policzkach widniały ślady łez. Pani Celina leżała na kocu w rogu pokoju, obok niej tkwił Hubert jak wierny, stróżujący pies. Dziwne, ale pozostali starali się z uporem nie patrzeć w tamtą stronę, jakby unoszące się nad jasnowłosą kobietą widmo śmierci było zaraźliwe.

– Znalazłam anioła – powiedziała Nina.

– Świetnie. – Głos Artura ociekał jadem. – W takim razie niech on nas stąd wyciągnie. Wszystko mi jedno, które z was to zrobi.

– On nie wie, jak się stąd wydostać.

– To jaki z niego pożytek?

– Może dzięki niemu dowiemy się czegoś, co nam pomoże. – Nina podeszła do stolika i napełniła kubek herbatą. – Powiem mu, żeby tu przyszedł, wtedy wszyscy z nim porozmawiamy.

– Chyba cię pokręciło – obruszył się Artur. – Od widoku tej paskudnej gęby chce mi się rzygać. Chcesz z nim gadać, to gadaj, ale z daleka ode mnie.

– Artur ma rację – poparła chłopaka Eliza. – On straszy Małgosię.

Nina z powątpiewaniem spojrzała na śpiącą dziewczynkę. Co z tego, że anioł jest brzydki? Przecież to nie jego wina. I skoro ona mogła się przyzwyczaić do widoku jego twarzy, pozostałym też by się to udało, gdyby tylko spróbowali.

Nie miała jednak czasu ani ochoty, żeby się kłócić, wzięła więc tylko drugi



kubek z herbatą i powiodła spojrzeniem po zebranych w pokoju.

– Ktoś idzie ze mną?

– Ja pójdę. – Podniosła się Tamara.

– I ja. – Jacek też wstał.

Dołączyły do nich jeszcze bliźniaczki i Mariusz. Eliza postanowiła zostać z Małgosią, która bała się anioła, a Lidka wołała odmawiać różaniec (Nina podejrzewała, że brzydota nieznanego burzy jej pojęcie o wysłannikach Niebios i dlatego dziewczyna nie chce skrzydlatego widzieć). Artur najwyraźniej chętnie by z nimi poszedł, bo ciekawość aż go paliła, ale było mu chyba głupio zmienić zdanie i ostatecznie zdecydował, że zostanie.

– Hubert? – Nina popatrzyła na skulonego w kącie chłopaka, który potrząsnął tylko głową, odgarniając spadające mu na oczy włosy. Poruszał się sztywno, niepewnie, bandaż na jego ręce przesiąkł krwią, a w napiętych mięśniach twarzy wyczuwało się cierpienie. Nie tylko pani Celina potrzebowała tu pilnej wizyty u lekarza.

Dziewczyna westchnęła.

Anioł czekał na nich tam, gdzie go zostawiła. Nina kucnęła obok i podała mu kubek.

– Uwaga, gorąca – powiedziała.

Skrzydlaty podziękował lekkim skinieniem. Młodzież usiadła na trawie, słońce zachodziło za ich plecami, zostawiając na jeziorze czerwoną smugę.

– Kim jesteście? – zapytała Karolina. – Tak naprowde?

– Jak masz na imię? – odezwał się jednocześnie Jacek.

– Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw?

– Imię – zdecydowała Nina. – Musimy cię przecież jakoś nazywać.

– Mojego prawdziwego imienia i tak nie zdołalibyście wypowiedzieć, a to anielskie zawsze uważałem za wyjątkowo głupie. Dlatego możecie się do mnie zwracać, jak chcecie.

– Może Czarek? – zaproponował Mariusz. – Mój dziadek miał kiedyś psa, który tak się nazywał.

– Wasilij? – rzuciła Tamara.

Bliźniaczki były za Juliuszem, który z jakiegoś powodu wydawał im się chyba bardzo romantyczny, a Jacek nie wiedzieć czemu wymyślił Amadeusza.

– Quasimodo – wyrwało się Ninie.

Zapadła niezręczna cisza. Tamara poruszyła się lekko.

– Może jednak coś innego...

Anioł machnął ręką.

– Może być, choć wolałbym kogoś, kto nieco lepiej skończył. – Upił łyk herbaty, a potem spojrzał na zdumioną Ninę. – Zapomniałaś, że umiem czytać w myślach?

– Kim jesteście? – powtórzyła Karolina.

– Rasą gwiazdnych wędrowców, mówiłem wam. Gdy podróżujemy w kosmicznej pustce, nie mamy formy, ale kiedy gdzieś osiadziemy, przybieramy konkretny kształt, którego nie możemy już zmieniać. W tym świecie zdecydowaliśmy się na piękne istoty ze skrzydłami, bo odczytaliśmy w waszych umysłach, że komuś takiemu zaufacie. Ludzie w większości to idioci, bez urazy.

Jacek poczerwieniał.

– Nie jesteś, wiesz, zbyt anielski...

– Dostosowujemy się do potrzeb ludzi. Oni oczekują od nas mówienia o Bogu i cnotach, a my im to dajemy. Ja odwykłem, bo od dawna nikt się po mnie takiego gadania nie spodziewa. Raczej daleko mi teraz do anielskiej urody. – Quasimodo uśmiechnął się z goryczą.

– Ludzie różnie sobie wyobrażają anioły – rozważała Tamara. – Niektórzy myślą, że to takie pulchne, latające dzieci... Czy to znaczy, że gdzieś są anioły w formie tłustych niemowląt ze skrzydełkami?

– Mam nadzieję, że nigdzie w pobliżu – wzdrygnął się Quasimodo.

– A magia? – Nina zmarszczyła brwi. – To wasza sprawka, że świat się zmienia, a my potrafimy czarować?

Skrzydlaty przytaknął.

– Problem w tym, że nie każde miejsce jest dla nas równie odpowiednie.

Żeby żyć, potrzebujemy czegoś, co wy nazywacie magią, tylko w jej otoczeniu czujemy się dobrze. Wasz świat jest dla nas zbyt racjonalny, jednak zdecydowaliśmy się tu osiedlić, bo uznaliśmy, że możemy go zmienić.

– I po to wam potrzebna była Maura Lewicka? – Nina zawahała się. Kolejne elementy układanki wskakiwały na swoje miejsce. Hubert opowiadający o tym, jak pewnego wieczoru zobaczył swoją matkę w otoczeniu aniołów, obrazy Maury...

– Myliłam się – powiedziała. – Myślałam wcześniej, że Maura spotykała dziwne istoty, które malowała, ale to nieprawda. Ona je wymyśliła.

– Skąd wiesz? – Jacek chwilowo stracił zainteresowanie aniołem i spojrzał na Ninę.

– Bo wcześniej nikt prócz Maury tych istot nie widywał, a potem nagle za-

częli je widywać wszyscy. Ja, Małgosia, Karolina, nawet Tamara dostrzegła coś w jeziorze. Jedyne wyjaśnienie jest takie, że te istoty wcześniej nie istniały i żyły tylko w wyobraźni Maury, a aniołowie... aniołowie w jakiś sposób wyciągnęli jej z głowy wizję magicznych Markotów i wcielili ją w życie. To nie obrazy powstały na podstawie świata, ale odwrotnie, świat został stworzony na podstawie obrazów. Mam rację? – Zerknęła na anioła, który skinął głową.

– Mogliśmy przekształcić wasz świat według naszych wyobrażeń, ale wtedy ludzie przeżyliby szok, bo nagle znaleźliby się w zupełnie obcym otoczeniu – powiedział z ociąganiem. – Dlatego wykorzystaliśmy waszych malarzy, poetów czy innych artystów. Maura była jedną z nich. Uznaliśmy, że świat stworzony na podstawie wyobraźni kogoś z waszego gatunku łatwiej wam będzie zaakceptować.

– Wielkie dzięki – parsknęła Tamara, a Mariusz zamruczał:

– A kto w ogóle pozwolił wam majstrować przy naszym świecie?

– Nikt – przyznał skrzydlaty. – Jednak obawiam się, że na to nic nie poradzicie. Proces się rozpoczął i żaden człowiek nie zdoła go powstrzymać.

Tamara już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale Nina ścisnęła ją za ramię. To nie był czas na kłótnie.

– A magia? – zapytała pośpiesznie. – Czy każdy może czarować?

– Zależy. Magia, przynajmniej ta tutejsza, to kwestia instynktu. Racjonalne myślenie przeszkadza w jej wykorzystaniu. Im mniej logiczna i rozsądna jesteś, tym większą masz szansę nauczyć się czarować.

– I dlatego z naszej grupy czary najpierw zaczęły wychodzić Małgosi i Tymkowi? Bo są najmłodszy i dlatego myślą najmniej racjonalnie?

Quasimodo zachichotał.

– Biorąc pod uwagę twoją logikę, nie wróżę ci magicznej kariery.

– Zaraz, czekajcie – wtrącił się Jacek. – Powiedziałaś „tutejsza magia”, tak?

Czy to znaczy, że istnieją jakieś inne?

– Kilkanaście różnych rodzajów, bo każdy z wykorzystanych przez nas artystów miał inną wizję. Na przykład w pewnym miasteczku w Bieszczadach...

– Bieszczady zostawimy sobie na później – ucięła Nina. – Teraz powiedz, po co wam był Wybraniec?

– Żeby walczyć z Przeciwnikiem, po cóż by innego? – Widząc niepewne miny rozmówców, Quasimodo westchnął. – W porządku, zacznę od początku. Kiedyś, dawno temu, żyliśmy w jednym świecie z rasą, którą nazywaliśmy Przeciwnikami. Toczyliśmy z nimi wojnę. Trwało to długo, według waszej rachuby tysiące lat. Okresy pokoju stawały się coraz krótsze, w bitwach ginęły miliony istnień. Wykrwawialiśmy się w tych zmaganiach, aż wreszcie, widząc, że nie ma innego wyjścia, przedstawiciele obu stron zdecydowali się zawrzeć rozejm na dość dziwnych warunkach. Otóż wspólnymi siłami udało im się rzucić na obie rasy potężny czar, dzięki któremu Przeciwnicy nie mogą widzieć, słyszeć ani wyczuć nas, a my nie możemy widzieć, słyszeć ani wyczuć ich. Rozumiecie już, do czego zmierzam?

Nina przymknęła oczy.

– To trzeci taki przypadek – mówi sąsiadka. – Ciało znaleźli na poboczu drogi.

A potem Nina i Sławek w pociągu, chłopak podnosi wzrok znad czytanej gazety...

– Zginął kolejny anioł – oznajmia. – Znaleźli go na poboczu drogi gdzieś pod Zakopanem. Podobno wyglądał strasznie – tylko po twarzy można było jeszcze poznać, że to nie jest człowiek.

Uniosła powieki.

– Do tego, że im udało się złamać ten czar, a wam nie?

Przez usta Quasimoda przemknął uśmiech pełen uznania.

– Otóż to. Oczywiście my też próbowaliśmy złamać czar, ale udało nam się osiągnąć tylko tyle, że z jakiegoś powodu czujemy, kiedy niedaleko umiera

Przeciwnik. Trochę kiepsko, nie? Nie ocaliło nas to przed byciem ofiarami prześladowań. Przeciwnicy ścigają nas wszędzie, gdzie tylko się udajemy, i mordują bez litości. To naprawdę paskudne kreatury, w porównaniu z nimi komuniści są gromadą niewinnych dzieciaczków, które stać tylko na wrywanie muchom skrzydełek. Gdy pojawiliśmy się w waszym świecie, wiedzieliśmy, że prędzej czy później Przeciwnicy i tutaj dotrą, dlatego postanowiliśmy się przygotować.

– Oni już tu są. – Nina podniosła na Quasimoda wzrok. – Te anioły, które ostatnio ginęły... Okaleczone... To nie była robota UB, tylko Przeciwników, tak? A wy chcecie, żeby Wybraniec zabijał waszych wrogów? Bo on może ich zobaczyć?

– Wybrańcy, jest ich więcej. Chłopak, którego poznałaś w pociągu, nie był jedyny.

– Więcej, to znaczy ilu? – zainteresował się Mariusz.

– Kilku, z tego, co wiem. Niewielu, bo Przeciwnicy też nie są liczni. Mają nad nami nieuczciwą przewagę, dlatego nigdy nie atakują w większej grupie. To śliskie dranie, które zamiast otwartej walki wolą wysłać paru skrytobójców.

Spodziewaliśmy się ich, więc od razu, gdy tylko wylądowaliśmy u was, aniołowie obdarzeni największymi mocami ruszyli na poszukiwanie odpowiednich dzieci.

– Czyli jakich? – Hela wyglądała, jakby z trudem nadażała za słowami anioła.

– Dzieci, które łatwo przyszłoby nam zmienić za pomocą magii. Dodać im odwagi, siły i takich tam. Urody też – to akurat było wyjątkowo głupie, ale jeden z nas wymyślił, że skoro według ludzkich wyobrażeń prawdziwy bohater powinien być piękny, to nasi Wybrańcy też tacy będą. Niedojrzałym człowiekiem łatwiej jest manipulować, ale nie każde dziecko nadaje się do tego równie dobrze. Kłopot polegał na tym, że anioł, który zrobił Wybrańca ze Sławka, zmarł, zanim zdążył przekazać reszcie, kogo właściwie wybrał. Nie, anioła nie zabił Przeciwnik, zginął z rąk UB. To się nazywa ironia losu, co? Był jednym z najpotężniejszych, jednak nawet on nic nie mógł poradzić na czaszkę rozwaloną kulą z pistoletu. A my dopiero z jego notatek dowiedzieliśmy się, że miał na oku trzynaścioro kandydatów.

– Postanowiliście więc ściągnąć całą trzynastkę do miejsca, gdzie jedno z nich będzie musiało pokonać Przeciwnika, czy tego chce, czy nie – dopowiedziała Nina złudnie spokojnym tonem. – Pozostałą dwunastkę spisaliście na straty.

– Ja nie. – Quasimodo zapatrzył się ponuro w jezioro. – Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Gdyby to ode mnie zależało, nie byłoby tu ani mnie, ani was.

– Bo jesteś przynętą?

– Bo jestem przynętą. Widzicie, Przeciwnicy nigdy nie odpuszczają. Gdy ofia-

ra wymknie im się z rąk, zrobią wszystko, żeby ją dopaść. A ja jednemu z nich uciekłem. Połamał mi wszystkie kości i zmasakrował pół twarzy, ale i tak zdołałem jakimś cudem się wyrwać. Dobrzy ludzie znaleźli mnie na polu pod Krakowem i zawieźli do szpitala. Leżałem tam jako człowiek, niezidentyfikowana ofiara napaści, bo nikomu nie przyszło do głowy, że mogę być aniołem. Byłem przecież taki paskudny. – Anioł skrzywił się lekko. – Lekarz nie zorientował się nawet, kiedy z badań zaczęły wychodzić mu dziwne rzeczy. Wolał wierzyć, że szpitalny sprzęt się psuje, zamiast przyjąć do wiadomości, że mam cokolwiek wspólnego z tymi pięknymi, świetlistymi istotami, które budzą w nim zachwyty. A ja miałem tam przynajmniej trochę spokoju, tyle że potem znalazł mnie Azkiel i zabrał tutaj. Jak możecie się domyślać, niespecjalnie byłem w stanie stawić opór.

– Ale czemu Przeciwnik ukrywa się w Diabelskim Kręgu? – Mariusza dręczyło kolejne pytanie. – Czemu nie może chodzić po niczym, co jest żywe?

– Bo Maura tak to sobie wymyśliła? – Quasimodo wzruszył ramionami. – Tutaj panują reguły gry wymyślone przez Maurę Lewicką i wszyscy im podlegamy. Ja, wy i Przeciwnik też. Idę o zakład, że Maura, jak to artystka, wyobrażała sobie niestworzone rzeczy na temat tego kręgu jałowej ziemi. Na przykład, że mieszka tam diabeł, który pożera dzieci i inne takie. A Przeciwnik w rolę tego diabła wszedł, bo nie miał innego wyjścia.

– Czemu miałby nie mieć wyjścia?

– Od momentu, kiedy zaczęliśmy zmieniać świat, wszystko w Markotach i w okolicy dąży do tego, żeby być jak najbliższe tego, co wymyśliła Maura, a w tej rzeczywistości nie ma miejsca dla czegoś takiego jak Przeciwnik. Jest



miejsce dla aniołów, owszem, dlatego między innymi wybraliśmy Maurę, ale nie dla podstępnego łotra z kosmosu. Przeciwnik musiał więc przybrać formę czegoś, co Maura wymyśliła.

– I wybrał diabła.

– I wybrał diabła. – Skrzydlaty uśmiechnął się krzywo. – Jakże adekwatnie, nieprawdaż?

– Wykorzystaliście nas – powiedziała Nina, kręcąc powoli głową. Dziwne, ale nawet nie potrafiła wpaść w gniew. Może była na to zbyt zmęczona i przerażona. W brzuchu czuła tępe pulsowanie, jakby ktoś ją tam uderzył, głos jej drżał, jednak nie płakała. Obok Tamara i Mariusz zaciskali dłonie w pięści, do Jacka też już chyba dotarła prawda. Tylko bliźniaczki wciąż jeszcze wyglądały na oszołomione. – Ludzie wam zaufali, a wy nas wszystkich wykorzystaliście. Kim my dla was jesteśmy? Mięsem armatnim? Jak mogliście? Nikogo z nas nie zapytaliście o to, czy chcemy walczyć z jakimś potworem... I Małgosia. Jak mogło wam w ogóle przyjść do głowy narażanie takiego dziecka?

– Tu przyznaję, nie jesteśmy bez winy. Nie sądziliśmy, że Przeciwnicy zjawią się tak szybko, myśleliśmy, że mamy jeszcze kilka lat, w czasie których Wybrańcy zdążą dorosnąć.

– A więc nie jesteście dobrzy, tylko źli? – Jacek patrzył na anioła z niedowierzaniem.

Na twarzy Quasimoda pojawił się niesmak.

– Nie rozczarowujcie mnie, bo już zacząłem was uważać za całkiem bystre dzieciaki. Nie jesteśmy źli ani dobrzy. Chcemy po prostu przeżyć, jak wszyscy.

– Naszym kosztem – dodała Nina.

– Jeśli chcesz to tak ująć, to owszem. I nie żeby mi nie imponował twój pragmatyzm, ale to, o czym teraz myślisz, nic nie da.

Dziewczyna wytrzymała jego wzrok.

– O czym myślisz, Nina? – zapytał Jacek.

– O tym, żeby rzucić mnie na pożarcie Przeciwnikowi, skoro zależy mu na mnie, a nie na was – wyjaśnił uprzejmie Quasimodo. – Niezły pomysł, ale, niestety, nieskuteczny. Bariera nie zniknie, dopóki Przeciwnik nie zostanie pokonany, a zabić go może tylko jedno z was.

– Już raz mnie okłamałeś.

– Owszem, ale teraz mówię prawdę. Zresztą pomysł sama. Azkielowi nie zależy na mojej śmierci – gdyby tak było, dawno wrzuciłby mnie do Kręgu. Nie, on chce, żeby Przeciwnik się wydostał i żebyście go zabili.

– To Azkiel zbudował tę barierę? Żeby zatrzymać nas w jednym miejscu z Bestią? Żebyśmy musieli z nią walczyć?

– Owszem.

– Ale my nie potrafimy! – krzyknęła Nina, na co Hela wybuchnęła gwałtownym płaczem. – Wybraniec nie żyje, mówiłam ci.

– Trochę za późno na przekonanie Azkiela, nie sądzisz?

– Trza uciekać chet do lasa, tam Bestyja nos nie znańdzie – zaproponowała nerwowo Karolina.

– I zamieszkamy w tym lesie do końca życia? – parsknęła Tamara. – Sami, bez jedzenia, bez dachu nad głową?

– Bariera zniknie po śmierci Bestii – tłumaczył Quasimodo. – Azkiel to drań, owszem, ale nie zależy mu przecież na tym, żebyście skonali tu z głodu czy coś

w tym rodzaju. Puści was, kiedy zabijecie Bestię.

– A jeśli nic nie zrobimy? – Nina zacisnęła usta.

– Bariera nie powstrzyma Bestii na zawsze. – Anioł wzruszył ramionami. –

Możecie czekać, aż uda jej się przebić, ale to może potrwać.

– A do tego czasu rzeczywiście umrzemy tu z głodu albo ona nas wszystkich

pożre dla rozrywki – uzupełniła dziewczyna.

Anioł nie zaprotestował.

– Może ludzie z miasteczka zdołają nas jakoś wyciągnąć. – Mariusz zawahał

się. W jego głosie brakowało przekonania.

– Musisz nam pomóc – upierał się tymczasem Jacek. – Znasz Bestię, przecież

ona pochodzi z twojego świata. Musi być na nią jakiś sposób.

– Wcale jej nie znam. Przeciwnicy są tacy sami jak my, to znaczy w każdym

ze światów przyjmują inną formę i podlegają innym prawom. Nie mam poję-

cia, jak ona tutaj wygląda ani w jaki sposób można ją zabić.

– Ale i tak nam pomożesz, prawda? – Chłopak zmarszczył czoło, reszta pa-

trzyła na skrzydlatego z nadzieją. – No wiesz, w walce.

– Ja tej Bestii, jak ją nazywacie, nawet nie widzę – tłumaczył Quasimodo

cierpliwie. – Na nic się wam nie przydam. W moim towarzystwie będziecie tyl-

ko bardziej zagrożeni, bo ona przecież poluje na mnie.

Dopiero teraz dotarło do nich w pełni, że ze strony anioła NAPRAWDĘ nie

mogą spodziewać się żadnej pomocy. Skrzydlaty mówił o tym już wcześniej,

lecz wszyscy wciąż mieli nadzieję – w końcu Quasimodo był istotą magiczną

tak jak Bestia, no i niewątpliwie zaliczał się do dorosłych, a oni przywykli do

tego, że starsi mówią im, co trzeba zrobić.

Nina zamknęła oczy. To była ironia losu. Znali już odpowiedzi na wszystkie pytania z wyjątkiem najważniejszego.

Jak pokonać Bestię?

– Co z ciebie za pożytek? – Mariusz splunął na ziemię. Tamara wciąż zaciskała dłonie w pięści, w jej zmrużonych oczach widać było wściekłość.

– Ja, tak czy inaczej, jestem za tym, żeby jednak rzucić go na pożarcie – powiedziała. – Nawet jeśli nie pomoże, to przynajmniej nie zaszkodzi.

– Chodźcie. – Nina łagodnie chwyciła przyjaciółkę za łokieć. – Musimy wracać do pozostałych i zastanowić się, co dalej.

W pokoju z kominkiem powitał ich szept modlącej się Lidki i ponure miny Elizy, Huberta oraz Artura.

– I co? – zapytał Flip. – Wiecie już, jak nas stąd wydostać?

– Wiemy – powiedziała Nina. – Wystarczy, że zabijemy Bestię.

Po czym, unikając pytań, podeszła do Huberta. Za jej plecami wybuchła wrzawa.

– Co z nią? – Nina kucnęła obok pani Celiny.

– A jak to wygląda? – Hubert skrzywił lekko usta.

– Nie może być tak źle. – Nie znała się na medycynie, ale na logikę w przypadku poważnych ran decydujące powinny być pierwsze godziny. Jeśli kobieta nie wykrwawiła się do tej pory, to już jej to chyba nie groziło? Z drugiej strony Nina musiała przyznać, że opiekunka nie wygląda dobrze – oddychała płytko, wciąż nieprzytomna, a jej skóra była blada, zimna i lepka od potu.

– A jak ty się czujesz?

– Ze mną wszystko w porządku. – Chłopak skłamał dzielnie.

– Uspokójcie się! – krzyczała tymczasem Tamara. – Tak, wiem, skrzydlaty to drań i sama bym mu chętnie przyłożyła. Ale teraz musimy pomyśleć, co zrobić z Bestią.

– Mamy trochę czasu – dodał Jacek, który zdążył już odzyskać odrobinę optymizmu. – Dopóki Staszek i Tymek są zamknięci, nic nam nie grozi.

Artur rzucił niecenzuralne przekleństwo, kilka osób wymamrotało coś bez przekonania.

Hubert potrząsnął ze smutkiem głową.

– My może i mamy czas – powiedział. – Ale pani Celina nie. Ona umrze, Nino, jeśli szybko nie dostanie się do szpitala.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. – Poklepała chłopaka po plecach, czując się przy tym podle, jak oszustka. Hubert na szczęście nie patrzył jej w oczy.

Wstała i podeszła do stolika z herbatą.

– Powinniśmy się modlić – mówiła właśnie Lidka. – Jeśli pójdziemy drogą z modlitwą na ustach, bariera się rozstąpi i będziemy mogli wrócić do domów.

– W życiu nie słyszałem większych idiotyzmów – skomentował Artur.

Lidka poczerwieniała i wróciła do odmawiania zdrowasiek.

– Mówiłem, żebyś się zamknęła! – wrzasnął chłopak, wyrywając jej z rąk różaniec. Paciorki rozsypały się po podłodze i potoczyły z wesołym turkotem jak ziarnka grochu.

– Zostaw ją, Artur – powiedziała po chwili Eliza. – Ona się boi, jak my wszyscy.

– Ja się nie boję – oznajmił ponuro chłopak. – Ja tylko chcę, żebyśmy my-

śleli rozsądnie.

– W porządku, no to, myśląc rozsądnie, co proponujesz? – zapytała Nina.

– Upić się – zachichotała Tamara. – W piwnicy może znajdzie się jakieś wino.

Artur milczał, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć. Z kłopotu wybawił go Jacek.

– Jeśli mamy tu pozostać jakiś czas, musimy sprawdzić, ile zostało nam jedzenia, a potem podzielić je na racje i jeść najpierw to, co szybko się psuje.

Była to pierwsza sensowna propozycja, jaka padła.

– I jeszcze nasze moce – dodała Nina. – Najlepiej od razu przyznajmy się, co kto potrafi. Magia może się nam przydać w walce z Bestią.

– Ja niczego nie umiem – mruknął Jacek.

– Może umiesz, tylko jeszcze tego nie wiesz – pocieszyła go Nina. – A wy?

Bliźniaczki – podobnie jak Małgosia – potrafiły sprawiać, że lekkie przedmioty unoszą się w powietrzu, jednak żadna z nich nie panowała nad tą zdolnością na tyle, żeby uznać ją za broń. Hubert i Artur siłą woli wzniecali ogień, a Lidka oznajmiła, że jej modlitwa ma wielką moc, co Nina przyjęła sceptycznie.

Mariusz pochwalił się, że przylatują do niego dzikie ptaki.

– Ale – dodał od razu – nie mogę być pewny, prawda? Raz mi się udało wieczorem przywołać stado drozdów, ale może to był przypadek.

Nina skinęła głową. To był właśnie kłopot z mocami ujawniającymi się tak rzadko, że nie mieli nawet szansy, by porządnie je przetestować.

Najciekawsza jednak okazała się umiejętność Heli, która twierdziła, że panuje nad pogodą.

– Moga zrobić dysc albo mgłę, albo takie tam. Ale ino we wieczór, jak dnieje

abo...

– Kiedy pada – dokończyła Nina. – Chcesz powiedzieć, że umiesz sprowadzić deszcz, ale potrzebujesz w tym celu deszczu?

Ktoś roześmiał się cicho, a Hela spojrzała na Ninę ze złością.

– Lepiej pójde do spiżarni sprawdzić zapasy. – Eliza zażegnała rodzącą się kłótnię. – Jacek, idziesz ze mną? Przy okazji możemy zrobić coś do jedzenia.

Wrócili pół godziny później, niosąc talerz kromek chleba ze śmietaną i cukrem. Nina sądziła, że nikt nie jest głodny, ale chleb zniknął zaskakująco szybko. Po kolacji Eliza i bliźniaczki zabrały się do sprzątanania – przy świecach, bo światło znowu zgasło – a Mariusz przyniósł drewno, żeby rozpalić w kominku.

Nina podeszła do Jacka.

– Czy ty nie znasz przypadkiem alfabetu Morse’a? – zapytała.

– Pewnie, że znam. A co?

– Bo pomyślałam, że skoro jest już ciemno, możemy spróbować nadać światłem sygnał SOS.

– Myślisz, że pani Stefania da radę przejechać przez barierę?

– Nie, co ty, gdyby mogła, dawno by tu była. – Nina ani przez chwilę nie wątpiła w starszą kobietę. – Ale może będziemy potrafili w skrócie powiedzieć jej, co się z nami dzieje.

– W porządku, spróbujmy. – Jacek zapalił się do nowego pomysłu.

Dołączyła do nich Tamara i w trójkę wymknęli się z pokoju, po czym ruszyli na piętro, po drodze zabierając jeszcze z sypialni dziewcząt latarkę. Jacek na jej widok mruknął z uznaniem.

– Niezła, światło będzie widać na drugim brzegu.

Na piętrze Tamara od razu skręciła w stronę pokoju pani Celiny, a Nina zatrzymała się niepewnie.

– Nie moglibyśmy... nadać sygnału z innego miejsca?

– Po co z innego? – zdziwiła się Tamara. – Tu jest przynajmniej czysto, nie ma kurzu. Oj, nie bądź taka przewrażliwiona. Pani Celina nie miałaby nic przeciwko.

Nina nie była tego taka pewna – wchodzenie do tego pokoju teraz, kiedy jego właścicielka leżała na parterze ciężko ranna i kto wie, może nawet umierająca, wydawało się nie w porządku. Nie powiedziała jednak nic.

W sypialni pani Celiny panowała przygnębiająca atmosfera opuszczenia. Od zimnego kominka bił chłód, światło latarki wyłowiło z ciemności rozłożoną na biurku książkę, w której tkwiła zakładka zrobiona z zaszuszonego maku. W powietrzu unosił się nikły zapach perfum. Jakby lokatorka pokoju niedawno stąd wyszła, żeby już nigdy nie wrócić, pomyślała Nina, wzdrygnąwszy się lekko. Nie bądź przewrażliwiona, skarciła samą siebie.

Jacek tymczasem oparł latarkę o parapet i otworzył okno. Po drugiej stronie jeziora Markoty rysowały się czarnym kształtem na tle rozgwieżdżonego nieba.

Miasteczko było ciemne, w ani jednym oknie nie paliło się światło. Jak wczoraj i przez kilka ostatnich nocy.

– Co mam nadać? – zapytał chłopak.

– Możesz zacząć po prostu od SOS – zaproponowała Nina.

Jacek podniósł latarkę do okna. Trzy krótkie błyski, trzy długie i znowu trzy krótkie.

Czekali, w napięciu wbijając wzrok w przeciwległy brzeg, jednak nic się nie



działo.

Jacek nadał sygnał jeszcze raz, a potem kolejny. Nina objęła się ramionami.

Letnia noc była ciepła, ale dziewczyna i tak drżała. Proszę, powtarzała w myślach. Pani Stefanio, odezwij się. Chcę tylko wiedzieć, czy nic ci nie jest.

– Może oni tam nie mają latarki? – zapytał Jacek. – A skoro wyłączyli im światło, to nie potrafią teraz nadać sygnału.

– Pani Stefania na pewno by o czymś takim pomyślała – odparła Nina, ale nawet w jej głosie pojawił się cień wątpliwości. Co jeśli chłopak ma rację?

I przyszło jej do głowy, że tak naprawdę wcale nie wiedzą, czy starsza kobieta zna alfabet Morse’a. Może kojarzyła tylko jeden, najpopularniejszy sygnał, czyli SOS.

Nie mieli jednak innego wyjścia, jak tylko próbować, i wreszcie ich cierpliwość została nagrodzona. W jednym z ciemnych okien błysnęło światło.

– Spójrzcie! – krzyknął Jacek.

– Nie ciesz się jeszcze, może to wcale nie pani Stefania – zmitygowała go Tamara.

– To musi być ona! Patrzcie, nadaje wiadomość...

Istotnie, światło gasło, a potem zapalało się w naprzemiennych długich i krótkich błyskach.

– Co mówi? – pytała podekscytowana Nina. – Wszystko u niej w porządku?

– Czekaście... nie tak szybko... o rany, zgubiłem się. – Jacek jęknął. – Znam alfabet Morse’a, tylko...

– Teoretycznie, wiemy – dokończyła Tamara.

– Poproś panią Stefanię, żeby nadawała wolniej – zaproponowała Nina.

– Już, a wy znajdziecie mi kartkę i coś do pisania.

Obie dziewczyny rzuciły się w stronę biurka, ale to Tamara była szybsza.

Z triumfem podała Jackowi papier listowy i ołówek. Chłopak rozłożył kartkę na parapecie i przy świetle latarki zaczął zapisywać sekwencje błysków.

– Jest tam pani Stefania i profesor Chelman, który pyta, co z Tamarą...

– Mój ojciec? – zdumiała się dziewczyna. – Nina, wezwałaś mojego ojca?

– Nooo tak... Gniewasz się?

Tamara westchnęła.

– Nie, w sumie to chyba nie. – Odwróciła się do Jacka. – Powiedz papie, że u mnie wszystko w porządku.

– Mówią, że nie mogą do klasztoru dojechać – poinformował po chwili Jacek.

– Powiedz im o barierze. I o tym, że wydostaniemy się stąd, jak pokonamy

Bestię.

– Tego ostatniego lepiej nie – mruknęła Tamara. – Jeszcze mój ojciec zawału dostanie.

Dyskusja na światła trwała przez jakiś czas, aż w pewnym momencie Jacek zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem... Oni mówią, że do Markotów przyjechało... wojsko?

– Wojsko? – bezmyślnie powtórzyła Nina.

– UWAGA – DZIWNE – WYDARZENIA – WEZWANE – WOJSKO – przeliterował

Jacek. To chyba znaczy, że wojsko przyjechało, żeby zbadać, co się dzieje

w Markotach. Nie rozumiem, czemu mamy uważać? To chyba dobrze, że przyjechało wojsko? Może oni dadzą radę przebić się przez barierę?

– Nie bądź idiotą – warknęła Tamara. – Wiesz, co wojskowi zrobią z bandą

magicznie uzdolnionych dzieciaków? Pozamykają nas wszystkich w laboratorium i będą testować.

– Albo pokroją, żeby zobaczyć, czy mamy w środku coś innego niż zwykli ludzie – uzupełniła ponuro Nina. – Nie mówiąc już o tym, że będziemy przesłuchiwać już choćby dlatego, że zadawaliśmy się z aniołem. A wszyscy wiemy, co oznacza przesłuchanie przez wojsko.

– Ja nie wiem – zaprotestował Jacek.

– Będą cię bić – oznajmiła Tamara. – I polewać zimną wodą. I świecić w oczy ostrym światłem. Wystarczy?

– I nigdy już nie wrócisz do domu – dodała Nina.

– Wy tak poważnie? – Chłopak potrząsnął głową.

– Prawie. – Nina postanowiła być uczciwa. – Może by nas puścili za jakiś czas. I może bylibyśmy w miarę dobrym stanie. Z naciskiem na „w miarę”.

– Dobra, w takim razie będziemy musieli pomyśleć, jak ominąć wojsko, kiedy bariera zniknie.

– Jeśli bariera zniknie – mruknęła Nina. – Tak czy inaczej, Bestia to teraz nasz najważniejszy problem. Nad wojskiem możemy zastanawiać się później.

Tamara i Jacek zgodzili się z nią bez słowa.

W tym momencie na korytarzu rozległ się stukot szybkich, nerwowych kroków. Nina drgnęła, bo taki pośpiech nie wróżył nic dobrego.

– Kej żeście som? – Głos należał do jednej z bliźniaczek. – Nina? Jacek? Tamara?

– Tutaj. – Chłopak otworzył drzwi, do których podeszła Karolina ze świecą w ręku.

– Pójdźcie na dół, Artur chce Lidkę zatłuc.

– Co? – Oczy Jacka zrobiły się okrągłe jak spodki. Nina za jego plecami jęknęła cicho w duchu.

– Chce jom zatłuc – powtórzyła dziewczyna. – Jape darł, że Lidka to tyn diobeł, co w drzewie siedzi. Pójdźcie, ino w dyrdy.

Pobiegli, podczas gdy Karolina chaotycznie tłumaczyła, co się stało. Nina zrozumiała z tych wyjaśnień tyle, że w pewnym momencie, kiedy oni byli na piętrze, w drzwiach pokoju z kominkiem stanęła Lidka ubrana jak do wyjścia, z walizką w jednej ręce i torebką w drugiej.

– Udowodnię wam, że dzięki modlitwie można przejść przez barierę – oznajmiła. – Zobaczycie. Jeśli ktoś chce, może iść ze mną.

Wtedy Artur znowu wpadł we wściekłość. Popchnął dziewczynę, przewracając ją na podłogę, torebka Lidki otworzyła się i wypadły z niej różne rzeczy. Chłopak schylił się, podniósł coś, a potem...

– Potym to jus cołkiem zdurniał – dokończyła, posapując Karolina.

Wpadli do pokoju w chwili, gdy Artur szarpał się z Hubertem. Małgosia płakała, reszta młodzieży przyglądała się skulonej na podłodze Lidce, która bez powodzenia wycierała krew płynącą z rozbitego nosa. Całe ręce i twarz miała umazane na czerwono, lewe oko już zniknęło pod opuchlizną.

Ninę uderzyło, że nikt nie próbował jej pomóc, tylko Hubert starał się powstrzymać Artura.

– Co się tu dzieje? – zapytała, ale jej pytanie utonęło w głośnym płaczu Małgosi i wrzaskach chłopaka, który usiłował się wyrwać.

– Przestańcie! – Tamara, jak się okazało, dysponowała znacznie donośniej-

szym głosem, na którego dźwięk Małgosia przestała wreszcie zawodzić, a Artur znieruchomiał.

– Chcę wam uratować skórę – powiedział ze złością. – Bo wy tylko gadać potraficie. Puszczaj, kretynie! – Uwolnił się wreszcie z uścisku Huberta, odetchnął, a potem podniósł z podłogi niewielki kartonik.

– Co tu się dzieje? – zapytała Nina.

– Lidka to demon – oznajmił Mariusz. – Chce nas wszystkich pozabijać, więc musimy załatwić ją pierwsi.

Hela przytaknęła. Eliza wydawała się mieć wątpliwości, ale i ona nie zamierzała Lidki bronić.

– O czym wy mówicie? – Głos Niny niebezpiecznie zbliżał się do granicy hysterii.

– Patrz. – Artur wcisnął jej w rękę kartonik, który okazał się legitymacją szkolną. – Mówiłaś, że ktoś tu nie jest tym, za kogo się podaje, tak? I że wśród nas ukrywa się demon. No więc go masz, proszę bardzo.

– Wszystko pokręciliście! – krzyknęła z rozpaczą. – To nie tak. Ja nigdy...

– Patrz – z naciskiem powtórzył Artur.

Spojrzała na legitymację. Imię i nazwisko się zgadzało: Lidia Galik, lecz na zdjęciu był zupełnie ktoś inny.

Fakt, że osoba ta trochę Lidkę przypominała – obie miały ten sam owalny kształt twarzy, podobne rysy i identyczne fryzury, jednak nastolatka ze szkolnej fotografii była mniej ładna, jakby zdjęcie przedstawiało brzydszą siostrę ich koleżanki. To, co u Lidki zachwycało urodą, u drugiej dziewczyny wydawało się zwyczajne. Była to twarz nijaka, pozbawiona harmonii i tego nieuchwytnego

„czegoś”, co decyduje o pięknie.

– Kto to jest? – Zdumiona Nina przenosiła spojrzenie z legitymacji na Lidkę i z powrotem.

– Ja – chlipnęła leżąca na podłodze dziewczyna. – Przysięgam! Na tym zdjęciu jestem ja!

– Jakim cudem... – Ninie coś świtało, myśl na razie odległa, ale ważna, o tym dziewczyna była przekonana. – Jakim cudem możesz wyglądać na zdjęciu tak, a na żywo inaczej?

– Może ma dobry makijaż – powiedział Artur, ale żart nikogo nie rozbawił.

Nina schyliła się i podała Lidce chusteczkę do nosa, którą dziewczyna wytarła krew.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem! To się stało w nocnym pociągu, kiedy jechałam do Markotów.

Ja... przez całe życie byłam brzydka, a bardzo chciałam być ładna i ciągle się o to modliłam, i wtedy... wtedy Bóg mnie wysłuchał i obdarzył łaską. Po prostu... poszłam wieczorem do toalety w przedziale, żeby się umyć przed snem, i spojrzałam w lustro, i... i zobaczyłam, że jestem piękna. Naprawdę! Nie okłamywałabym was. Tak bardzo się bałam, że któregoś ranka się obudzę i znowu będę wyglądać jak przedtem, i nie mogłam w to uwierzyć, i dopiero potem zrozumiałam, że Bóg chce, żebym mu tę urodę oddała, i wtedy...

– Uważasz nas za kretynów? – rzucił Artur z pogardą.

– To rzeczywiście brzmi idiotycznie – dodała Eliza. – Nawet magia nie potrafi sprawiać takich cudów. No i po co Bóg miałby dawać urodę akurat tobie?

– To prawda. – Głos Lidki był udręczony, pełen pasji. Dziewczyna wciąż wy-

dmuchiwała krew z nosa, ale nie zamierzała odstąpić o krok od swojej wersji.

– Możecie nie wierzyć...

– Ja ci wierzę – powiedziała Nina, zdumiewając tym nawet samą siebie.

– Następna kretyńka – parsknął Artur.

– Nina, to przecież niemożliwe – wtrąciła się Tamara, mówiąc łagodnie, jakby zwracała się do wariata.

– Zamknijcie się! – Nina podniosła dłonie do uszu. – Dajcie mi chwilę pomyśleć!

– Ale... – Tym razem odezwał się Jacek.

– Cisza! Ja myślę.

O dziwo, nikt więcej się nie odezwał, co później – znacznie później, gdy Nina miała już czas myśleć o takich głupstwach – nappełniło dziewczynę niejaką dumą. Być może nie była w klasztorze zbyt lubiana, ale przynajmniej jej procesy myślowe budziły szacunek.

Lidka, która pewnego wieczoru z brzydkiego kaczątka zmieniła się w oszałamiającą piękność.

Jacek jeszcze niedawno tłukący naczynia Sylwii, Jacek ze swoją wiedzą „teoretyczną” i brakiem praktyki, który dziwnie kłócił się z jego zręcznością.

Dlaczego chłopak o tak zwinnych palcach nigdy nie spróbował zbudować karmnika dla ptaków, skoro się takimi rzeczami interesował? Czemu nie zapisał się do harcerstwa, jeśli tego pragnął?

Jacek, który lepiej chyba się czuł w towarzystwie dziewczyn, co było cechą charakterystyczną wszystkich tych grubych, niezgrabnych chłopaków, z których koledzy się śmiali...

Tamara, odważna, niebojąca się niczego Tamara, której wcześniej nic ciekawego się nie przytrafiło.

Eliza, która zgodnie ze słowami prawdomówniej Heli tuż po przyjeździe do klasztoru deklarowała, że nie lubi opiekować się dziećmi ani chorymi, by potem zmienić zdanie o sto osiemdziesiąt stopni.

I Tymek, uroczy Tymek, który potrafił przekonać każdego, że lejący się z nieba deszcz oznacza piękną pogodę, a o którym jego własna matka powiedziała „nikt mu nie wierzył”.

I to wrażenie, że w klasztorze każdy coś ukrywa – chodziło o magię, owszem, ale nie tylko o nią.

Odetchnęła. „Od kiedy jesteś taka mądra?”, zapytała Tamara przed tygodniem (rany, jak to dawno było), na co Nina odparła: „Od jakichś trzydziestu sześciu godzin”, nie wiedząc nawet, że trafia w sedno.

– Chcę was o coś zapytać – powiedziała wolno. – Tylko obiecacie, że nie będziecie kłamać.

– Pytaj – rzuciła Tamara swobodnie, choć jej oczy pozostały czujne. Reszta odpowiedziała mniej lub bardziej chętnymi skinieniami. Artur zacisnął usta, ale się nie odezwał.

– Czy... zaraz, kiedy to było... tydzień temu, we wtorek późnym wieczorem coś się w was zmieniło?

Milczeli, nikt nie chciał mówić jako pierwszy.

– Tamara?

Przez chwilę zdawało się, że dziewczyna nie odpowie, w końcu jednak prze mogła się i powiodła po zebranych zaczepnym wzrokiem.



– Wszyscy uważacie, że jestem odważna, nie? Ale nie zawsze tak było. Przez większość mojego życia byłam strasznym tchórzem. Wszystko mnie przerażało: pająki, ciemność, psy, nawet szybka jazda samochodem. A kiedy miałam odezwać się do kogoś obcego, zaczynałam się trząść i pocić. Tragedia, mówię wam. Ale nadrabiałam miną. Im bardziej byłam wystraszona, tym większego twardego zgrzywałam, choć w środku robiło mi się słabo. Aż tamtego wieczora, to było zaraz po przyjeździe do Markotów, jakby... to wszystko, co tylko udawałam, stało się prawdą, rozumiecie? Nagle poczułam, że mam gdzieś to, że ludzie mogą się ze mnie śmiać, i nie bałam się już mówić głośno, co myślę. Nie bałam się niczego.

Nina podziękowała jej skinieniem głowy.

– Jacek?

– Byłem ofermą, w porządku? – Chłopak poczerwieniał. – Zwykłą, tłustą ofermą, która przewraca się na prostej drodze i tłucze naczynia, a jak gra w piłkę, to nigdy nie trafia do celu. A potem... to się zmieniło. Dalej, co prawda, byłem gruby, ale nagle okazało się, że jestem też niesamowicie zręczny, zupełnie jakby moje mięśnie same wiedziały, co robić. Nawet nie musiałem o niczym myśleć.

– Eliza?

Najstarsza dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Wcześniej nie lubiłam zajmować się dziećmi, a teraz lubię. Co w tym dziwnego? Ludzie się zmieniają.

– Hela?

– Dawniej nie wiedziałach, że trza zawsze godać prowde, a teraz wim.

– Karolina?

Druga z bliźniaczek bezradnie pokręciła głową.

– Nagle poczułaś się dorosła, prawda? – pomogła jej Nina. – Zupełnie, jakbyś w ciągu paru chwil przestała być dzieckiem i postarzała się o kilka lat. To musiało być dla ciebie strasznie dziwne.

– Przywykłam – mruknęła Karolina.

– Artur?

– Domyśl się, jak taka mądra jesteś.

– W porządku, założę się, że nie zawsze byłeś szybki. A Mariusz nie zawsze miał taką siłę.

– I co z tego wszystkiego wynika? – parsknął chudy chłopak.

– To, że tydzień temu, we wtorek wieczorem, zmarł Sławek – chłopak, który był dokładnie taki, jaki Wybraniec powinien być, czyli piękny, odważny, silny, zręczny, szybki, prawdomówny, opiekuńczy i obdarzony siłą przekonywania, a także bardzo dojrzały jak na swój wiek.

– A my tak jakby odziedziczyliśmy te cechy po jego śmierci? – Tamara pierwsza odważyła się powiedzieć na głos to, o czym wszyscy już pewnie myśleli.

– Tak, chyba tak. Macie inne wytłumaczenie?

– I mnie się dostała odwaga? A Lidce ta jego nieziemski uroda?

– Owszem.

– Szczęściara – mruknęła Tamara.

– No nie wiem, przecież jak ona wróci teraz do domu, to rodzona matka jej nie pozna – zaprotestował rozsądnie Jacek, na co Tamara trochę poweselała.

– A ja jestem bardzo silny – powiedział wolno Mariusz, po czym powtórzył, delektując się każdym słowem: – Bardzo silny.

– Jeśli się starasz, żeby to zabrzmiało skromnie, spróbuj jeszcze raz – parsknęła Nina.

– A ty, Nina – Artur zmrużył lekko oczy – jesteś teraz inteligentna?

– Inteligentna byłam już wcześniej – obruszyła się dziewczyna. – Teraz jestem jeszcze bardziej.

Zdawała sobie jednak sprawę, że to nie do końca prawda. Dawna Nina nie była głupia, ale brakowało jej... spostrzegawczości? Tak, to chyba było to. Nina sprzed tygodnia wyobrażała sobie różne rzeczy, ale tak naprawdę nigdy w życiu nie zwróciłaby uwagi na przykład na obsypane białym pyłem buty Huberta, nawet gdyby spadły jej na głowę.

– I co nam to wszystko daje? – Artur nadal był sceptyczny. – Moja szybkość czy siła Mariusza mogą się przydać w walce z Bestią, ale jak nam niby ma pomóc, że ona – wskazał siedzącą na podłodze dziewczynę – jest piękna, a Hela mówi prawdę?

– Nie wiem – przyznała Nina. – Chyba nawet aniołowie nie przewidzieli, że coś takiego się stanie. Tak myślę. Oni też nie do końca panują nad wszystkimi tymi magicznymi zmianami. Quasimodo mi powiedział.

– Quasimodo? – zdziwiła się Eliza.

– Anioł, tak go nazywamy, bo...

– Mniejsza o to – zirytował się Artur. – Tylko gadamy, a tak czy inaczej, ciągle jesteśmy w punkcie wyjścia i nie mamy za cholere pomysłu, jak się stąd wydostać.

Z tym akurat musieli się zgodzić.

O szyby zadzwoniły pierwsze krople deszczu. Wszyscy zamilkli nagle, popatrząc na siebie nawzajem z niepokojem. Wreszcie Mariusz jako pierwszy przełamał bezruch i dołożył drewna do kominka, a Eliza pomogła wstać Lidce.

– Przepraszam – powiedziała. – Przez chwilę naprawdę wierzyłam, że jesteś demonem. Od tego wszystkiego nam się już w głowach miesza, to dlatego.

Jakbym chwilę pomyślała, wiedziałabym, że to bzdura. Chodź, pomogę ci się umyć.

Co jak co, ale Eliza jednak miała klasę.

Bliźniaczki poszły tymczasem do kuchni i wróciły z kubkami napełnionymi do połowy kakao.

– Reszta mlyka, trza pić, bo skiśnie – oznajmiła Hela.

Chwilę później do pokoju wsunęła się cicho Lidka, z już umytą twarzą i w świeżej bluzce. Wargi miała opuchnięte, wokół oka rozlewał się wielki krwawofioletowy siniec. Dziewczyna usiadła przy kominku i objęła kolana ramionami. Artur zachowywał się, jakby nic się nie stało, a ona nawet nie patrzyła w jego stronę.

Nina usiadła obok.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję. – Twarz Lidki rozjaśniła się. – Już wybaczyłam Arturowi.

– Mam nadzieję, że nie zostaną ci żadne blizny...

– To nie ma znaczenia. Bóg obdarzył mnie urodą i jeśli zechce mi ją odebrać, oddam moje piękno z radością.

– W zasadzie urodę masz nie od Boga, tylko od przybyszy z kosmosu. Zna-

czy, pośrednio, przez Sławka.

– Anioły to Boże stworzenia. Jakkolwiek je nazwiesz, są częścią Jego planu.

Nina nie wierzyła, że gdzieś tam daleko w kosmosie Bóg stworzył rasę dziwaczych istot po to, by pewnego dnia jedna dziewczyna stała się ładna, a druga bystra. To było... zdecydowanie zbyt ekscentryczne jak na jej gust.

Choć może i trochę Lidce zazdrościła, ostatecznie ich piękna koleżanka była w tej chwili jedyną osobą, która zachowywała względny spokój. Najwyraźniej ufność w siłę modlitwy nieźle chroniła przed strachem.

Pani Celina ocknęła się na chwilę, a Hubert wykorzystał to, żeby napić ją odrobiną wody. Kobieta rozkaszała się. Oczy miała zapadnięte i wielkie w bladej twarzy, jej ręce ścisnęły rękaw chłopaka, tak jak tonący mógłby trzymać się liny.

Nina odwróciła wzrok.

Według Jacka mieli jedzenia wystarczająco dużo, by przeżyć trzy, cztery dni, może nawet tydzień, jeśli będą oszczędzać (Nina nie wierzyła, że będą). Tydzień, pomyślała. Nie mieściło jej się w głowie, że mogliby zostać w klasztorze jeszcze tak długo. Dla pani Celiny oznaczałoby to pewną śmierć, a dla Huberta być może zakażenie i w konsekwencji amputację.

Niech to szlag.

Eliza zaproponowała, żeby w coś zagrać, ale nikt nie miał ochoty. Bliźniaczki przyniosły z sypialni koce i rozłożyły je przed kominkiem, Małgosia drzemała, zwinięta w fotelu. Wybiła jedenasta, lecz nikt nie miał ochoty być pierwszym, który pójdzie do sypialni. Razem przynajmniej w niewielkim stopniu czuli się bezpieczni.

Nina wpatrywała się w ogień, kołysząc się lekko. Ona też była zmęczona, ale nie mogłaby zasnąć.

Wpół do dwunastej.

Bliźniaczki szeptały coś do siebie, Jacek ukradkiem zajadał kostki cukru, a Artur i Mariusz siedzieli z ponurymi minami, starając się unikać nawzajem swojego wzroku.

Dwunasta.

Lidka wreszcie przestała się modlić, Tamara po raz kolejny wróciła do tej samej strony sfatygowanego kryminału, który usiłowała czytać. Eliza wstała i zapytała, czy ktoś chce herbaty, ale nikt jej nie odpowiedział.

Mariusz podsycił ogień.

Godzina duchów, pomyślała Nina, i niemal w tym samym momencie na korytarzu rozległy się kroki.

Twarze natychmiast ściągnęły się strachem, w oczach błysnęła panika. Małgosia obudziła się i przytuliła do Elizy, która objęła ją opiekuńczym gestem.

Wszyscy wpatrywali się w drzwi jak zahipnotyzowani, wzrokiem, jakim kura mogłabym spoglądać na wypełzającego z koszyka węża.

Drzwi skrzypnęły i w progu stanął Quasimodo.

Nina omal nie roześmiała się z poczucia ulgi, jednak poważna mina anioła nie wróżyła niczego dobrego.

Skrzydlaty powiódł wzrokiem po zebranych w pokoju.

– Mówiliście, że zamknęliście chłopaków, których opętała Bestia, tak?

– Staszka i Tymka, owszem – odparła Tamara, bo nikt inny nie kwapił się odezwać. – Są w piwnicy, a co?

– W takim razie kto chodzi po klasztorze?

– Co takiego? – Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe jak denka szklanek.

– Widziałem dwóch chłopców, jednego dużego i grubego, drugiego małego i chudego. To oni?

Tamara skinęła głową w oszołomieniu.

– Ktoś ich wypuścił? – zapytała zdławionym głosem Eliza, a Jacek jako pierwszy pomyślał o tym, co najważniejsze.

– Musimy pilnować, żeby nie przedłużyli ścieżki!

Tamara poderwała się i wypadła z pokoju, za nią pobiegli Artur i Mariusz, a po chwili wahania też Jacek. Nina nie ruszyła się z miejsca. Ogarnęło ją paraliżujące poczucie bezradności. Kuliła się tylko, zaciskając pięści i powtarzając szeptem: Proszę, proszę. Nie wiedziała przy tym, kogo ani o co prosi. Żeby ścieżka wciąż była niedokończona? Żeby ktoś przybył im na ratunek? Żeby to wszystko okazało się tylko złym snem, z którego się obudzi?

Tamara i chłopcy wrócili kilka minut później. Nina nie musiała pytać, wystarczył rzut oka na ich twarze.

Staszek i Tymek przedłużyli ścieżkę aż do Kręgu.

Co oznaczało, że Bestia może w każdej chwili wejść do klasztoru.

Rozdział czternasty, w którym zjawia się Bestia i przylatują ptaki.

Nie krzyczcie, proszę! – zawołała udręczonym głosem Małgosia. W oczach miała łzy, usta jej drżały. To trochę otrzeźwiło pozostałych.

Eliza objęła dziewczynkę ramieniem.

– Nie bój się, słoneczko, nic złego się nie dzieje – zapewniła, ale w jej słowach brakowało przekonania.

Artur odruchowo skoczył do drzwi i przekręcił klucz.

– Co teraz? – Oczy Heli były rozszerzone z przerażenia.

– Musimy się przenieść do ogrodu. – Jacek trzymał fason, choć widać było, że przychodzi mu to z trudem. – Tam będziemy bezpieczni, skoro Bestia nie może chodzić po niczym, co jest żywe.

– Pada. – Tamara spojrzała w okno. – I jest zimno. Jak długo wytrzymamy na zewnątrz w deszczu i zimnie? W nocy? Z ranną kobietą?

– Możemy zamknąć się w szopie na narzędzia. Tam pewnie też jest chłodno, ale przynajmniej będziemy mieć dach nad głową. I nie panikujcie! Panika nic



nam nie da.

Hela jak na zawołanie wybuchnęła gwałtownym płaczem.

– Umrzemy tu wszyscy – chlipała, podczas gdy Karolina próbowała bezskutecznie ją pocieszać.

– Przede wszystkim – Artur zmrużył oczy, patrząc na Quasimoda – musimy wyrzucić tego tu. Bestia go szuka, póki tutaj jest, nikt z nas nie będzie bezpieczny. No już, wynocha, cudaku!

Oszpecony anioł skinął głową z mieszaniną smutku i drwiny, po czym ruszył w stronę wyjścia.

– Nie! – krzyknęła Nina. Jeszcze niedawno sama myślała o takim rozwiązaniu, ale teraz wydawało się to niewybaczalnym okrucieństwem. – Nie możemy tak po prostu go wyrzucić!

– Czemu nie? – odezwała się Eliza. – Nie znamy go, nic mu nie jesteśmy winni. Dlaczego mamy się z jego powodu narażać?

– Lepiej żeby zginął on niż my. – Mariusz też wykazał się praktycznym myśleniem.

Nina spojrzała na Tamarę i Jacka, szukając pomocy. Jednak dziewczyna wzruszyła tylko ramionami, a chłopak odwrócił wzrok.

Sprzeciwił się jedynie Hubert.

– To nieludzkie – powiedział. – Nina na pewno coś wymyśli, a wtedy wszyscy poradzimy sobie z Bestią.

– Jeśli on stąd nie zniknie, Nina nie będzie miała wiele czasu na myślenie.

Quasimodo odwrócił się jeszcze w stronę Niny.

– On ma słuszość – powiedział, po czym skłonił się lekko. – Ale mimo

wszystko dziękuję.

Przekręcił klucz w zamku i wyszedł, a Nina pod wpływem impulsu pobiegła za nim.

– Przepraszam – szepnęła, w duchu zastanawiając się: Co ja wyprawiam?

Klasztor był cichy i posepny, deszcz bębnił w szyby, echo kroków odbijało się od kamiennych ścian. Czy Bestia była już w środku? Nina niemal namacalnie czuła, jak za jej plecami narasta złowrogi cień. Co ja wyprawiam? – powtórzyła w duchu. Dawno wszyscy powinniśmy być w ogrodzie.

– Przecież was wykorzystaliśmy, już nie pamiętasz? – W oczach Quasimoda pojawiła się drwina. – Tak często zmieniasz zdanie?

– Jestem dziewczyną, mam prawo być niekonsekwentna – bąknęła.

– Powiniennem teraz pewnie powiedzieć, że dam się zeżreć Bestii i w ten sposób was ocalę, co? Obawiam się jednak, że szlachetność nigdy nie była moją mocną stroną.

Nina zacisnęła usta. Czy rzeczywiście na to liczyła? Że anioł poświęci dla nich życie?

Cóż, byłoby to jakieś wyjście, podpowiedział głosik w jej głowie, a skrzydlaty uśmiechnął się przelotnie.

Zmusiła się, żeby przełknąć złość.

– W ogrodzie... w ogrodzie powinieneś być bezpieczny.

– Za to mokry i przemarznięty, tak? – Wyszczrzył zęby. – Nie martw się, ja potrafię o siebie zadbać. A wy?

– My mamy cechy Wybrańca. Tak jakby... odziedziczyliśmy je po jego śmierci. Wiedzieliście, że coś takiego może się stać?

– Nie, nie wydaje mi się, żeby to było w planach. – Wzruszył ramionami. –

Magia nas samych czasem zaskakuje.

– Tak myślałam. – Nina skinęła głową.

– Wracaj do środka. – Quasimodo wskazał drzwi, zza których nerwowo wyglądał Jacek.

– Nina!

– Już idę!

Chciała powiedzieć coś mądrego na pożegnanie, ale nie wiedziała, co by to mogło być. Uważaj na siebie? Nie daj się zjeść?

Quasimodo posłał jej jeszcze jedno kpiące spojrzenie, odwrócił się i odszedł.

W pokoju z kominkiem Mariusz i Eliza przenosili właśnie panią Celinę na koc.

Hubert próbował pomagać, choć z niesprawną ręką niewiele mógł zrobić.

– Nie możemy tak wyjść na zewnątrz – denerwowała się Eliza. – Weźmiemy po drodze peleryny, dzięki temu unikniemy przeziębienia.

– I zostaniemy bardzo zdrowymi zwłokami – mruknęła Nina, na co starsza dziewczyna rzuciła jej potępiające spojrzenie.

– Przeciwdeszczowe rzeczy wiszą przy drzwiach, nie musimy daleko chodzić, żeby je zabrać. – Jacek pogodził obie strony.

– Łapcie koc – komenderowała Eliza. – Karolina, ty bierzesz lampę, a Jacek latarkę. Wolniej, bez paniki!

– Ja bym ją zostawił. – Artur spojrział na panią Celinę. – Przecież widać, że długo nie pociągnie, a tylko tracimy przez nią czas.

Hubert jednym skokiem znalazł się przy chudzielcu i zdrową ręką uderzył go w twarz. Artur upadł z wyrazem oszołomienia w oczach. Wszystko wydarzyło

się tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować. Dopiero po chwili Eliza wrzasnęła:

– Przestań, na litość boską, co ty wyprawiasz?

Hubert oddychał ciężko, rumieńce na jego bladych policzkach wyglądały jak gruźlicze wypieki. Dłonie wciąż miał zaciśnięte w pięści. Artur mrużył z wściekłością oczy i przez chwilę wyglądało na to, że rzuci się na chłopaka, ostatecznie jednak splunął tylko krwawą śliną i otarł usta.

– Idioci – powiedział z pogardą. – Chcecie umrzeć z powodu tej półżywej baby, to proszę, wolna droga. Ja mam zamiar żyć.

Wstał, a Eliza złapała za łokieć Huberta, który wyglądał, jakby miał zamiar przyłożyć Flipowi jeszcze raz.

– Chodźmy – powiedziała. – Nie mamy czasu.

Artur szedł pierwszy, nadal z zaciętym, ponurym wyrazem twarzy. Za nim podążali Mariusz, Eliza, Jacek i Tamara, którzy nieśli koc z panią Celiną. Nina szła jako jedna z ostatnich, oglądając się od czasu do czasu niespokojnie.

– Nie biegnijcie! – upominała resztę grupy Eliza. – Ostrożnie! Jacek, trzymaj mocniej ten koc! I cisza, nie gadać!

– Sama wrzeszczysz – burknął Jacek.

Nina obejrzała się na ciemny korytarz za plecami. Czy jej się zdawało, czy przemknął tam jakiś cień? Przyśpieszyła kroku. Bestia nie będzie nas ścigać, tłumaczyła sobie. Ona chce przecież dopaść Quasimoda.

Była to okropna myśl, ale jednak w jakiś sposób pocieszająca.

Światło na korytarzu zamrugało i zgasło, z czyichś ust wyrwał się zdławiony okrzyk. Małgosia znowu zaczęła płakać. W ciemności słychać było ciężkie, prze-

rażone oddechy, Ninie krew pulsowała w skroniach.

– Spokojnie – głos Elizy drżał. – To nic takiego, tu światło zawsze gaśnie. Jacek, zapal latarkę!

Chłopak mamrotał pod nosem, coś uderzyło o podłogę i dopiero po chwili snop jaskrawego światła rozciął ciemność. Ruszyli dalej. Z wieszaków przy drzwiach zdjęli przeciwdeszczowe peleryny i pałatki, po czym z ulgą wypadli (nie biegnijcie, powtarzała Eliza, ale mało kto już jej słuchał) na zewnątrz, kierując się w stronę szopy na narzędzia.

Szopa, na szczęście, była obszerna, tak że kilkanaście osób zmieściło się w niej bez większego trudu. Nina strategicznie zajęła miejsce przy zakurzonym oknie, Mariusz podparł wyłamane drzwi starym trójnogim stołem. Koc z panią Celiną został położony na ziemi i Hubert natychmiast pochylił się nad kobietą, by sprawdzić, czy nie zaszkodziła jej niezbyt delikatna metoda transportu.

Przez szparę w oknie napływały podmuchy niosące ze sobą krople deszczu. Eliza trzymała lampę naftową, która wydobywała z mroku oszołomione, wystraszone twarze.

Nina zerknęła ostrożnie na kształt rysujący się pod brezentową płachtą w ciemnym kącie szopy. Pies, a dla ścisłości trup psa, który niegdyś był Sylwią. Dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę. Wyglądało na to, że wszyscy prócz niej zdążyli zapomnieć, że ciało nieszczęsnego zwierzęcia jest właśnie tutaj. Może to i dobrze, jeszcze tego brakowało, żeby Małgosia czy Hela zaczęły histeryzować na widok martwego owczarka. Nina pociągnęła nosem – zwłoki na szczęście nie śmierdziały, w szopie czuć było tylko kurz i wilgotne trociny. Potem przeniosła wzrok na resztę grupy. Wyglądało na to, że chwilowo są bezpieczni,

bo szopę otaczał trawnik, jednak wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie mogą tu długo zostać.

– Trza uciekać het, do lasa – powtarzała Hela z uporem.

– Nie! – zaprotestował Hubert gwałtownie. Nina odwróciła się i spojrzała na niego. Oczy chłopaka płonęły. – To niczego nie da, prędzej czy później i tak będziemy musieli zmierzyć się z Bestią. A przecież można ją pokonać, bo inaczej anioł by nas tutaj nie zostawił...

– Azkiel wciąż miał nadzieję, że jedno z nas jest Wybrańcem – przypomniała Nina.

– Co z tego? Sławek mimo wszystko był tylko człowiekiem. A skoro jeden człowiek miał pokonać Bestię, tym bardziej możemy pokonać ją my. Jest nas jedenaścioro, no, dziesięcioro, nie licząc Małgosi. Chcecie powiedzieć, że w dziesięć osób będziemy gorsi niż jeden chłopak? Ja jestem gotów walczyć. – Powiódł dumnym spojrzeniem po zziębniętej i nieszczęśliwej gromadce. – Nawet gdybym miał poświęcić życie...

Mariusz tymczasem dopytywał się, kto właściwie wypuścił Staszka i Tymka.

– Małgosia, widziałach jom pod piwnicom jak szlach ze sklonkami do kuchni

– powiedziała Hela.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na dziecko, które tuliło się do Elizy.

Dziewczyna odsunęła je lekko.

– Małgośka? To prawda?

– Jasne, że prawda – rzucił z pogardą Artur. – Kto inny miałby ich wypuścić?

Nikt poza nią nie miał powodu, to ona się kumplowała z Tymkiem.

– Sprawdź, czy masz klucz – poradziła Nina.

Eliza sięgnęła do kieszeni.

– Nie mam, ktoś go zabrał. – Podejrzliwie spojrzała na Małgosię. – Przez cały czas siedziałaś blisko mnie... Powiedz prawdę, otworzyłaś piwnicę? Nie musisz się bać, nie będziemy na ciebie źli.

– Ja będę – warknął Artur.

– To nie ja! – krzyknęła dziewczynka. – Ja tylko podeszłam do drzwi i... i słuchałam, bo myślałam, że usłyszę Tymka, ale wcale tam nie weszłam! Nawet jakbym miała klucz, tobym nie weszła! Ja się boję Tymka, on jest teraz dziwny!

– Cicho już, cicho – uspokajała ją Eliza.

– Nie ma znaczenia, kto otworzył te drzwi – powiedział Hubert. – Stało się, nic na to poradzimy.

– Jasne, dzieciak może nas właśnie wszystkich pozabijał, ale nie, nie miejmy mu tego za złe, przecież co się stało, to się nie odstanie – parsknął Artur. – Jak ja bym ją sprzął...

– Spróbuj tylko tknąć Małgosię! – oburzył się Mariusz.

– Przestańcie! – Nina podniosła dłonie do uszu. – Proszę, przestańcie!

– Nina ma rację – poparła ją Tamara. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

– Co teraz? – zapytał cicho Jacek.

– Teraz Nina coś wymyśli – oznajmił Artur. – Ona jest przecież najmądrzejsza.

Spojrzenia młodzieży natychmiast skierowały się w stronę Niny. Prócz Artura, w którego głosie brzmiała wyraźna ironia, wszyscy patrzyli na dziewczynę z na-

dzieją. Tak, to zdecydowanie była nadzieja, zachłanna i desperacka. W gruncie rzeczy chyba nawet chudy Flip liczył na to, że Nina NAPRAWDĘ coś wymyśli.

A przecież to nie miało sensu! Nie mogli wymagać od niej, żeby ot tak, po prostu znalazła sposób na pokonanie potwora z innego świata!

– Nie potrafię! – krzyknęła. – Nie tak od razu! Ja muszę mieć czas!

– No to masz, mniej więcej tyle, ile tutaj wytrzymamy – skomentował Artur.

– Więc lepiej się pośpiesz.

Hubert uściśnął jej ramię.

– Wiem, że dasz radę. Jeśli ktoś może wymyślić sposób na pokonanie Bestii, to tylko ty.

Tamara i Jacek gorliwie pokiwali głowami.

– Usiądź koło pani Celiny i spokojnie pomyśl, a my nie będziemy ci przeszkadzać – zaproponował Hubert.

Oni zupełnie oszaleli, myślała Nina, kuląc się obok nieprzytomnej opiekunki.

Po prostu kompletnie im odbiło. Czy ja jestem wróżką, żebym знаła wszystkie odpowiedzi?

Chcę wrócić do domu, jęczała w duchu, czując, jak w jej oczach zbierają się łzy. To wszystko było jak koszmarne sen, z którego nie można się obudzić. Myśli Niny pobiegły do rodziców. Jak będą się czuli, kiedy ona umrze? Wyobrażała sobie swój własny pogrzeb, pochylonego nad grobem, posiwiałego ojca, zapłakaną matkę, która trzyma za rękę smętnego Szymka... Od tego wszystkiego na dobre się rozszłochała.

– O rany, tylko nie to – mruknęła Tamara, która nagle znalazła się u jej boku. – No już, nie płacz.



– Kiedy... ja naprawdę... nie wiem... co mam wymyślić.

Jacek dołączył do dziewczyn.

– Ale możesz się nad tym zastanowić. Słuchaj, Hubert ma rację, jeśli ktoś może znaleźć sposób na Bestię, to tylko ty. Ona musi mieć słaby punkt.

– A jeśli nie ma?

– To nie pozostanie nam nic innego, jak tylko rzucić się na nią z gołymi rękami – oznajmił Hubert, dołączając do pozostałej trójki.

Nina otworzyła usta i zaraz je zamknęła. To brzmiało jak idiotyczny żart, ale

– co gorsza – wcale nim nie było. Dziewczyna nie wątpiła, że syn Maury Lewickiej jest w stanie zrobić dokładnie to, co powiedział.

Miała wrażenie, że wszyscy wokół postradali zmysły.

Myśl, Nina, myśl, nakazała samej sobie.

Na co liczył Azkiel? Na Wybrańca, oczywiście. Sławek był silny, szybki, zręczny i tak dalej. Tylko czy wszystkie te cechy naprawdę były wystarczające, żeby pokonać istotę nie z tego świata? Jeśli chcesz walczyć z wilkiem czy niedźwiedziem, to prawdopodobnie przegrasz, ale przynajmniej wiesz, że możesz spodziewać się kłów i pazurów. A w przypadku Bestii nikt niczego nie wiedział. Ani w jaki sposób ona atakuje, ani jaką ma broń, ani nawet jak wygląda. Do licha, skoro to była istota z kosmosu, to mogła mieć sześć szczęk i po dziesięć pazurów na trzydziestu łapach. Mogła pluć jadem albo zabijać myślą, nawet nie podchodząc do ofiary. Albo jeszcze coś innego, co człowiekowi nie przysłoby do głowy...

– A gdzie jest Lidka? – zapytała nagle Eliza.

Rozejrzeli się – istotnie, dziewczyny z nimi nie było. Nina jęknęła w duchu.

Miała przemożne uczucie déjǎ vu. Tak samo było wtedy, gdy Lidka została ranna, a Tymek i Małgosia zniknęli w ogrodzie.

– Pewnikiem bestyja jom po ćmoku chapsła – oznajmiła ponuro Karolina, na co Hela pisnęła wysokim, histerycznym głosem.

– Spokój! – nakazała Eliza. – Lidka musiała sama się od nas odłączyć. Szła ostatnia, prawda?

Nina skinęła głową. Rzeczywiście, przez jakiś czas widziała za sobą piękną dziewczynę, a potem... potem już nie. Dlaczego nie zwróciłam na to uwagi? – wyrzucała sobie. W klasztorze myślała tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć do wyjścia, nic innego jej nie obchodziło.

– O ile zakład, że ta idiotka poszła po walizkę i idzie teraz w stronę bariery?

– Artur skrzywił się pogardliwie. – Z modlitwą na ustach i w ogóle.

– Musimy ją powstrzymać. – Eliza odsuwała już stolik tarasujący drzwi. –

Kto idzie ze mną? Mariusz? Jacek? Och, nie róbcie takich min, nie wracamy do klasztoru. Artur ma rację, Lidka pewnie pójdzie drogą do miasteczka. Trzeba ją zawrócić, nie ma sensu, żeby dziewczyna pałętała się gdzieś po ciemku i mokła. Artur?

Chłopak zacisnął usta, wrzucił ramionami i odwrócił wzrok – chyba jednak było mu trochę wstyd.

– A jeśli Lidkę naprawdę porwała Bestia? – odezwała się cicho Małgosia, na co Artur parsknął tylko.

– Wtedy raczej jej już nie pomożemy – trzeźwo ocenił Jacek.

– Ja mogę wrócić do klasztoru – zaoferował Hubert. – Nie boję się.

– Ja też się nie boję – pośpieszył z zapewnieniem Mariusz.

– Nikt nie wraca do klasztoru – Eliza zakończyła temat. – To zbyt niebezpieczne. Hubert, ty zostań, i tak już wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Poza tym ktoś musi zająć się panią Celiną. Karolina i Hela niech pilnują Małgosi. Eliza, Jacek, Tamara oraz Mariusz wyszli na zewnątrz. Nina po chwili wahania dołączyła do nich. Deszcz przechodził w mżawkę, światło w oknach klasztoru zapalało się i gasło. Wyglądało to upiornie, jakby budynek żył i mrugał do nich. Dziewczyna z trudem odwróciła wzrok.

Rozdzielili się. Tamara i Jacek pobiegli w kierunku głównego wejścia, a Eliza z Mariuszem w stronę wiodącej do miasteczka drogi. Nina została na środku trawnika i szczerze mówiąc, czuła się trochę głupio. To bez sensu, myślała, obejmując się rękami, bo zimny wiatr przenikał ją mimo swetra i peleryny. Krople deszczu uderzały w kaptur, buty dziewczyny zapadały się w błoto. Lidki z pewnością tu nie ma, jest jeszcze w klasztorze albo już na drodze do miasteczka. Nie pęta się przecież po ogrodzie. W takim razie, co ja tutaj robię? – Lidka!!! – niosło się w ciemności wołanie. – Lidkaaa!!! Wraaacaj!!!

Nina też wrzasnęła, ale bez przekonania.

Odruchowo, jakby jej stopy miały własną wolę, kierowała się w stronę Diabelskiego Kręgu. Myślami wciąż była przy Lidce. Może to, co robiła piękna dziewczyna, wcale nie było takie głupie? W końcu fakt, że na Polskę spadła banda skrzydlatych oszustów, nie oznaczał wcale, że gdzieś tam nie istnieją PRAWDZIWI aniołowie. Możliwe więc, że modlitwa naprawdę mogła pomóc. Z drugiej strony, myślała Nina, podnosząc wzrok w stronę zasnutego chmurami nieba (szybko spuściła głowę, bo deszcz padał jej do oczu), Bóg wcale nie kwapił się, żeby pomagać komukolwiek. Jeśli W OGÓLE istniał. Przed dziesię-

cioma laty na froncie zginęło trzech braci jej matki, a czwarty, najmłodszy, umarł w obozie koncentracyjnym. To dlatego mama Niny nigdy się nie śmiała.

Dziewczyna potrząsnęła głową – czy miała prawo wymagać, żeby Niebiosy interweniowały w sprawie grupki wystraszonych dzieciaków, jeśli nie zrobiły nic, by ocalić ludzi masowo mordowanych w czasie wojny?

Nie, pomyślała, poradzimy sobie sami albo... albo nie. Tak czy inaczej, nie będzie żadnego dorosłego przybywającego z odsieczą ani cudownej pomocy ze strony Niebios. Byli zdani tylko na siebie.

Poczuła, jak w jej środku otwiera się wielka mdląca otchłań. Nigdy jeszcze ciężar samotności i strachu nie był tak nieznośny jak w tej właśnie chwili, gdy wlokła się, otulona ciemnością, w siąpiącym deszczu.

Jakim cudem mieli zwyciężyć Bestię, skoro niczego o niej nie wiedzieli? – wróciła do rozmyślań, które przerwało jej pytanie o Lidkę. Walka z czymś takim wydawała się z góry skazana na porażkę. Co poradzą siła, szybkość czy zręczność na moce nie z tego świata?

I aniołowie musieli zdawać sobie z tego sprawę – dlaczego więc nie wyposażyli Wybrańca w dodatkowe, niezwykle umiejętności?

A może właśnie wyposażyli? Myśl zaświtała pod czaszką Niny i zaraz zgasła, stłumiona nagłym przypiływem lęku.

Dziewczyna stała przed Diabelskim Kręgiem. Kępa na pozór wyglądała jak zawsze – oto grupa ponurych, uschniętych drzew, które majaczą w deszczowym mroku. A jednak... jednak coś się zmieniło i to właśnie zaniepokoiło Ninę, choć dopiero po chwili uświadomiła sobie, na czym właściwie zmiana polega.

Krąg nie wyglądał już groźnie, nie wyczuwało się promieniującego od niego

zła. Teraz to było tylko skupisko martwych drzew, brzydkich i posepnych, ale nic więcej. Cokolwiek w Kręgu mieszkało, zniknęło.

A raczej przeniosło się w inne miejsce.

Nina odwróciła się i pobiegła do szopy.

– Nie znaleźliśmy Lidki – mówiła właśnie zniechęcona Eliza. – Pewnie jest już w drodze do miasteczka.

– Albo Bestia faktycznie ją zeżarła – uzupełnił Artur, na co Tamara wrzasnęła z furją:

– Zamknij się!

Wyglądało na to, że wszyscy bez wyjątku mają już nerwy w strzępach.

– Musimy wrócić do klasztoru – oznajmił Hubert, jednak nie nalegał, kiedy Eliza twardo powiedziała „nie”. Być może nawet decyzja starszej dziewczyny sprawiła mu ulgę.

Prawda jest taka, myślała gorzko Nina, że jesteśmy śmiertelnie przerażeni.

Czy Lidka naprawdę szła teraz w kierunku miasteczka? Jeśli tak, była najbardziej bezpieczna z nich wszystkich, a Nina miała tylko nadzieję, że czarnowłosa piękność nie zapomniała zabrać jednej z silnych latarek, które znajdowały się w kuchennej szufladzie. Inaczej czekało ją to samo, co niedawno Ninę, czyli błądzenie w ulewie i mroku.

A jeśli nie, jeśli Lidka nadal tu była... Nina zadrżała.

– Bestia tam jest... – powiedziała cicho. – W klasztorze.

– Nie możesz tego wiedzieć – nie dowierzał Jacek.

– Mogę. – Nie miała siły tłumaczyć, na czym opiera swoją pewność.

– Pójdziemy do klasztoru tylko wtedy, kiedy będziemy mieć plan – dodała

Eliza, co nie zabrzmiało zbyt optymistycznie. – Nina, wymyśliłaś coś?

– Taak... chyba tak.

Wpatrywali się w nią jak głodujący od miesiący ludzie w ostatnią kromkę chleba. Nina wzdrygnęła się lekko i zepchnęła w głąb umysłu wątpliwości. Musiała mieć rację.

– Nina? – ponagliła ją Eliza. – Wiesz, jak pokonać Bestię?

– Nie – odparła, a potem, zanim miny otaczających ją chłopców i dziewcząt wydłużyły się, dodała: – Ale wiem, kto wie.

– Kto?

Przez krótką chwilę rozkoszowała się władzą, choć jednocześnie wpatrzone w nią oczy sprawiały, że czuła się nieswojo.

– Małgosia.

– Małgosia? – Tamara zdumiała się, a dziecko, słysząc swoje imię, spojrzało na Ninę niespokojnie.

– Jasne, że Małgosia. Te wszystkie cechy Wybrańca, siła, szybkość i reszta, nie byłyby warte funta kłaków, gdyby nie zdolność Małgosi.

– Ja potrafię tylko czarować – powiedziała cicho dziewczynka.

– A poza tym jeszcze umiesz przewidywać przyszłość. Jak Sławek, który wiedział, że na tory rzuci się samobójca.

– Bzdura – ucięła szorstko Eliza. – Z Małgoški jest taki jasnowidz, jak ze mnie primadonna. Wiedziałabym, gdyby coś takiego umiała.

– Bo ona przewiduje przyszłość, tylko kiedy śpi, w nocy słyszałam ją już kilka razy. Nie wiem, czemu, może Małgosia jest no... w jakiś sposób za mała na swój dar albo coś w tym rodzaju. Może za parę lat będzie umiała używać go

normalnie, jak Sławek. Nieważne. Teraz liczy się to, że dzięki niej możemy się dowiedzieć, jak pokonać Bestię.

– Zmyślasz – oskarżył ją Artur.

– Wcale nie. Pierwszej nocy, kiedy tu przyjechałam, Małgosia mówiła coś o niechodzeniu do ogrodu o świcie, a zaraz potem zniknął Staszek. A później powiedziała, że Bestia przyjdzie do nas ścieżką zrobioną z soli.

– Jo tyż zech Małgośke słyszała – przyznała Hela. – Mamrała cosik o tym, że Jacek i Staszek wrócom. I potym rychtyk wrócili.

– Czemu o tym nikomu nie powiedziałaś?

Młodsza z bliźniaczek wzruszyła ramionami. Nina dobrze ją rozumiała – dziewczyna była zaczarowana przez anioła, a wtedy wszystkie znaczące informacje wydawały się nieważne.

Eliza odwróciła się w stronę Niny.

– Nawet jeśli masz rację, to jak sobie to wyobrażasz? – Jej ton był sceptyczny. – Małgosia przecież teraz nie zaśnie. Nie w takich warunkach.

– Wcale nie chce mi się spać – potwierdziła dziewczynka, patrząc okrągłymi oczami. Nina zastanowiła się, na ile mała zdaje sobie sprawę z tego, co tu się dzieje. Małgosia była z nich wszystkich najmłodsza i dlatego rzadko kiedy ktoś pytał ją o zdanie. I wszyscy mieli tendencję do zapominania o niej, jakby była tylko dodatkiem do Elizy. Zastanawiając się, kto jakie zdolności dostał po Sławku, dziewczynki nawet nie wzięli pod uwagę, a przecież jej umiejętność była najważniejsza.

– W szafce w kuchni są tabletki nasenne – powiedziała Nina. – Widziałam je, kiedy z Tamarą gotowałyśmy obiad.

– Upadłaś na głowę? – obruszyła się Eliza. – Chcesz otruć dziesięciolatkę? To jest ten twój genialny pomysł?

– Nie wiemy, ile jej tego dać – poparła ją Karolina.

– Na pudełku powinno być wszystko napisane – wtrącił się Jacek. – Poza tym nie przesadzajcie, to tylko tabletki nasenne, nie trucizna. Można się nimi otruć, jeśli się zje pół opakowania, ale nie jedną czy dwie pigułki.

– A poza tym i tak nie mamy innego wyjścia – dodała Tamara.

– Niech Małgosia sama zdecyduje, jest przecież jedną z nas – uznała Nina.

Chwilę trwało, nim Eliza wytłumaczyła dziewczynce, czego od niej chcą i jakie jest ryzyko. Mała słuchała, a jej oczy robiły się coraz większe. Wreszcie skinęła głową.

– No, mogę iść spać, jak mówicie, że to pomoże.

Nina miała wątpliwości, czy dziewczynka na pewno wie, na co się decyduje.

Ale cóż, Tamara mówiła prawdę: nie mieli innego wyjścia.

Eliza niechętnie skinęła głową na zgodę, a Jacek zapytał:

– W porządku, no to kto pójdzie po te tabletki?

W szopie zapadła cisza, młodzież popatrywała na siebie niepewnie. Nina niemal mogła słyszeć myśli kolegów i koleżanek.

Z jednej strony Bestia, zajęta polowaniem na anioła, pewnie nie zwróci uwagi na przemykającego korytarzami nastolatka.

Z drugiej strony nikt jakoś nie miał ochoty na własnej skórze sprawdzać, czy rzeczywiście tak będzie.

– Ja – odezwała się w końcu Tamara. – Skoro już dostałam tę odwagę, to trzeba z niej korzystać.



Otworzyła drzwi, nim ktokolwiek zdążył zaprotestować. A potem wyszła.

Minęło kilka upiornie długich minut, w czasie których nasłuchiwali dobiegających z ogrodu dźwięków. Poruszone wiatrem gałęzie szeleściły, jakby ktoś szedł przez trawę, szmer deszczu zmieniał się w ich wyobraźni w cichy szept bezcielesnej istoty. Nina liczyła sekundy, zastanawiając się jednocześnie, która może być godzina. Pierwsza, druga?

– Głodny jestem... – mruknął rozzalony Jacek. – Trzeba było powiedzieć Tamarze, żeby przy okazji przyniosła coś do jedzenia.

Eliza parsknęła tylko, a Nina poczuła nagle, że mimo całego strachu ją też ssie w żołądku.

Przez szum deszczu przebił się odgłos szybkich kroków i po chwili do altanki wpadła Tamara. Oczy miała rozszerzone, zęby jej dzwoniły.

– Widziałam ją, cholera, chyba ją widziałam. N... na końcu korytarza. Była, o rany, tego nie da się opisać. Jak kostucha skrzyżowana z pająkiem, niech ją szlag trafi.

Nina spodziewała się wybuchu hysterii, ale niespodziewanie w szopie zapadła ciężka od napięcia cisza. Tylko Małgosia zaszlochała krótko.

Jak kostucha skrzyżowana z pająkiem.

Eliza pierwsza odzyskała głos.

– Bzdura – powiedziała szorstko. – Zdawało ci się.

– Wcale nie! Była...

– Zdawało ci się – powtórzyła z naciskiem Eliza.

Tamara spojrzała na tulącą się do starszej dziewczyny Małgosię.

– Chyba faktycznie coś mi się pomieszało... – Cisnęła Jackowi pudełko table-

tek. – Macie, a jeśli mała potrzebuje czegoś do popicia, to ja drugi raz nie idę.

Chłopak drżącym głosem odczytał instrukcję:

– Jedna do dwóch tabletek przed snem. To dla dorosłego, czyli jak Małgosi damy jedną, będzie dobrze.

Chwilę trwało, nim Eliza uspokoiła dziewczynkę na tyle, że mała zgodziła się wziąć pigułkę.

– Nie zostawicie mnie tu, prawda? – zapytała, gdy już przełknęła.

– Nie, słoneczko, na pewno cię nie zostawimy. – Eliza rzuciła Tamarze potępiające spojrzenie, które wyraźnie mówiło: Widzisz, co narobiłaś? Ona przez ciebie się boi.

Z ogrodu dobiegł cichy szmer i wszyscy podskoczyli nerwowo, ale to był fałszywy alarm. Nic złego nie zbliżało się do altanki. Jeszcze nie.

Jak kostucha skrzyżowana z pająkiem.

Nina przeczuwała, że przekroczyli granicę, zza której nie mogą już wrócić.

Teraz nie mieli innego wyjścia, jak tylko iść naprzód.

Na spotkanie z potworną istotą z Diabelskiego Kręgu.

– Myśl o tym, jak pokonać Bestię – poradziła Małgosi, którą Eliza kładła właśnie obok pani Celiny. – Powtarzaj to pytanie cały czas, aż zaśniesz. Twój umysł...

– Daj jej spokój z tymi twoimi mądrościami – wtrąciła szorstko Eliza. – Już i tak dość namieszaliście dziecku w głowie.

– Ale...

– Stul dziób i daj jej spać.

Nina zamilkła i patrzyła już tylko z niepokojem. Nawet jeśli Małgosia jej po-

słucha, nie gwarantowało to, że zacznie mówić przez sen. Ani tym bardziej że wspomni o tej konkretnej, interesującej ich kwestii.

Z drugiej strony było to przecież całkiem prawdopodobne – wszyscy mieli teraz w głowach wyłącznie Bestię, czy chcieli tego, czy nie, a gdy człowiek o czymś dużo myśli, potem to coś ma sporą szansę przyśnić się w nocy. Nina dobrze o tym wiedziała. Gdyby ona teraz zasnęła, pewnie śniłby się jej koszmar związany z wychodzącą z Kręgu straszną istotą.

Inna rzecz, że Nina i tak nie zmrużyłaby oka w takich warunkach: nie na twardym klepisku, w zimnie i kiedy wszyscy się gapią, stłoczeni wokół. Nie, z całą pewnością nie zdołałaby na miejscu Małgosi zapaść w sen.

Mała jednak musiała być ulepiona z innej gliny, bo powieki zaraz jej opadły i dziewczynka zaczęła oddychać w równym, spokojnym rytmie. A może po prostu tabletką okazała się wystarczająco mocna, by przemóc strach, chłód i niewygodę?

Później, gdy Nina przypominała sobie minione wakacje, najczęściej wspominała tę właśnie noc – czekanie w ciszy, niespokojne oddechy kolegów i koleżanek, które słyszała w półmroku. Potrącanie się łokciami, szeptanie „ciiii” i nerwowe wzdrygnięcia za każdym razem, gdy Małgosia poruszała się we śnie albo mamrotała. Niepokój rozciągał minuty, Ninie było coraz bardziej zimno, bo od nieszczelnego okna mocno ciągnęło chłodem. Deszcz szemrał i ciurkał w gałęziach drzew, jezioro szumiało jak rozkołysany wichurą las.

Wreszcie Małgosia przemówiła:

– Trzeba ją zabić tym, co żywe – powiedziała.

– Co takiego? – Artur nachylił się w stronę dziewczynki, ale Eliza odepchnęła

go.

– Ona cię nie słyszy, idioto. Przecież śpi.

– Trzeba ją zabić tym, co żywe – powtórzyło dziecko, po czym zabawnie zamokowało ustami, jakby ssało cukierek. Niczego więcej nie usłyszeli.

– Tym, co żywe? – Artur się wyprostował. – Co to, u licha, znaczy?

– Chyba to, że nie możemy zabić Bestii za pomocą noża, kija czy czegoś w tym rodzaju – odparła Nina.

– Tylko czego?

– Nie wiem. Wściekłego psa? Kaktusa w doniczce? Dlaczego ja mam za wszystkich myśleć? – zirytowała się.

– Może to po prostu znaczy, że Bestię trzeba zabić gołymi rękami – oznajmił ponuro Hubert, jednak nikt nie podjął tematu.

– Mariusz mówił, że potrafi przywoływać ptaki, tak? – wtrącił się Jacek. – No to mamy odpowiedź. Pójdziemy do klasztoru, otworzymy tam okna i przywołamy ptaki, a one zabiją Bestię.

– Nie wiem, czy na pewno umiem je przywoływać – zaprotestował Flap, a Nina dodała:

– Poza tym to, że Mariusz przyzywa ptaki, jeszcze nie znaczy, że może im kazać kogoś zabić.

– Ma ktoś lepszy pomysł? – Jacek wyglądał na lekko urażonego.

Eliza powoli pokręciła głową.

– To brzmi sensownie, ale najpierw musimy sprawdzić, czy zadziała. Heła, pilnuj, żeby deszcz cały czas padał. Możesz to zrobić?

– Moge.

– W porządku. A ty Mariusz, skup się i spróbuj przywołać ptaki.

– A w jaki sposób się przekonamy, czy ptaki na rozkaz będą zabijać? – Tamara zmarszczyła brwi. – Ktoś z nas ma się poświęcić czy jak?

Na to już nikt nie znalazł odpowiedzi i w szopie znowu zapadła cisza. Dopiero po chwili odezwała się Nina.

– Ja... chyba wiem, jak możemy to sprawdzić...

Powiedziała im i na twarzach młodzieży pojawił się wyraz niesmaku.

– No co – zbuntowała się dziewczyna – wiem, że to obrzydliwe, ale chyba nie chcecie, żeby ptaki zaatakowały któregoś z nas? Mogłyby wyłupić temu komuś oczy albo... – Wykarmiona setkami książek wyobraźnia zaczynała pracować pełną parą, ale nim Nina zdążyła na dobre się rozkręcić, Eliza jej przerwała.

– Dobra, już rozumiemy. Dawajcie tego psa. Mariusz?

Chłopak zniknął w ciemnym kącie, skąd po chwili wynurzył się, niosąc brezentową płachtę. Wystawały spod niej dwie sztywne łapy. Na ich widok część osób odwróciła wzrok, a reszta miała wyjątkowo nietęgą minę.

Mariusz położył psa przed szopą i zdjął brezent. Ktoś za plecami Niny głośno wciągnął powietrze. W świetle latarki oczy martwego zwierzęcia były jak dwa złociste lusterka, o które rozbijały się krople deszczu. Nina znowu poczuła przypływ litości. Sylwia nie zasługiwała na taki los.

– Teraz przywołaj ptaki.

Mijały kolejne minuty, w czasie których Nina marzła coraz bardziej w otwartych drzwiach i traciła nadzieję. Większość młodzieży wycofała się pod dach szopy, gdzie przynajmniej nie padało, na zewnątrz została tylko Eliza i przykuc-

nięty nad trupem psa Mariusz. Nina odwróciła się, omiatając przelotnym spojrzeniem grupę za jej plecami. Małgosia wciąż spała, Artur nadal był posępny i naburmuszony, Tamara i Jacek z trudem hamowali niecierpliwość, a bliźniaczki wprost przeciwnie, wydawały się wyczerpane, choć i tak w porównaniu z Hubertem wyglądały całkiem niezłe. Nina żałowała, że nikt nie pomyślał o zabraniu z klasztoru tabletek przeciwbólowych. Pigułki złagodziłyby cierpienie chłopaka, choć tak naprawdę potrzebna mu była pomoc lekarza, który oczyści i zszyje ranę.

Pierwsze ptaki zjawily się tak niespodziewanie, że omal ich nie przegapiła.

Wynurzyły się z deszczowej nocy, lecąc cicho na czarnych skrzydłach, i obsiadły gałąź pobliskiego drzewa. Światło trzymanej przez Elizę latarki wyłowiło z mroku ich pióra koloru węgla i paciorkowate oczy. Kruki, mnóstwo kruków. Nina poczuła, jak jej serce zaczyna mocniej bić. Ptaki sypały się z nieba jak miękkie, czarne płatki śniegu, przykrywając pierzastym całunem trawnik i dach szopy.

Eliza cofnęła się odruchowo, Mariusz wyciągnął rękę i ostrożnie, z czułością dotknął łebka najbliższego stworzenia. Ptak pozwolił się pogłaskać.

– Teraz... – w głosie dziewczyny brzmiała niepewność – teraz każ im zaatakować psa... O kurczę... To działa, naprawdę potrafisz... Dobra, wystarczy... Każ im przestać!

Nina odwróciła się, czując przyływ mdłości (czytała o wykluwanych oczach, ale wcale nie miała ochoty tego zobaczyć), pobladła Eliza otarła czoło z kropel deszczu.

Wrócili do szopy i zamknęli drzwi.

– No to już mamy plan – odezwała się Tamara po chwili niepewnego milczenia.

– Właśnie – potwierdził energicznie Jacek. – Mariusz pójdzie do klasztoru...

– Mam tam iść sam? – W głosie zwalistego chłopaka zabrzmiało wahanie.

Znowu zapadła cisza, którą przerwała Tamara.

– Ja pójdę z tobą.

– Ja... ja też. – Jacek z jednej strony niewątpliwie się bał, ale z drugiej chyba głupio mu było zostać, kiedy jedna z dziewczyn wybierała się do klasztoru.

Nina trochę mu współczuła. Bycie chłopakiem okazywało się do bani, człowiek musiał ciągle udowadniać, jaki jest męski, bohaterski i w ogóle.

– I ja. – Klęczący przy pani Celinie Hubert uniósł głowę. Twarz miał zaciętą, pełną determinacji.

– Ty zostajesz – zdecydowała Eliza. – I tak się na nic nie przydasz.

Chciał zaprotestować, ale Nina kucnęła obok i ścisnęła go za zdrowe ramię.

– Proszę cię, zostań – szepnęła. – Naprawdę kiepsko wyglądasz. Poza tym teraz i tak najważniejszy jest Mariusz. My niewiele możemy zrobić.

– Uważajcie na Bestię – mówiła Eliza. – Nie pozwólcie jej do siebie podejść.

W razie czego zaraz uciekajcie.

Miała jeszcze kilka podobnych, niezbyt pomocnych rad, których troje śmiałków słuchało z wyraźnym roztargnieniem.

Eliza gadała i gadała.

Artur milczał, gapiąc się w okno.

Bliźniaczki ograniczyły się do zapewnienia, że będą się za powodzenie misji modlić.

Nina, która znowu nie miała pojęcia, co powiedzieć, i którą dręczyło poczucie winy (może powinna iść z nimi? ale co by to właściwie dało?), sztywno uści-  
skała przyjaciół, a potem, z lekkim wahaniem, także Mariusza.

Jacek zabrał latarkę i po chwili zamieszania niewielka grupa zniknęła, po-  
łknięta przez deszczowy mrok. Nina oraz pozostali skupili się wokół stojącej na  
trójnogim stole lampy. Próbowali przekonywać się nawzajem, że wszystko bę-  
dzie dobrze, ale rozmowa się nie kleiła, a z ich oczu wyzierało to samo pyta-  
nie: Co będzie, jak tamtym się nie uda? Co jeśli Bestia ich pozabija, a potem  
przyjdzie tu do nas?

Nina usiadła obok Małgosi i kołysała się lekko z czołem opartym o kolana.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że niewiedza i niepewność są gorsze niż  
strach. Mimo wszystko wolałaby chyba być w klasztorze z Tamarą i Jackiem.

Wiedziałyby wtedy przynajmniej, co się dzieje, a znajomość najgorszej nawet  
prawdy jest lepsza niż wyobrażanie sobie makabrycznych rzeczy.

Stchórzyła jednak wcześniej i teraz nie mogła już tego naprawić. Pozostawa-  
ło jej tylko czekanie, podczas którego z uporem starała się zwalczać napływa-  
jące do głowy obrazy: Tamara i Jacek rozszarpani przez Bestię, Tamara i Jacek  
zamienieni w żywe trupy, jak wcześniej Staszek oraz Tymek...

Bliźniaczki przez jakiś czas rozmawiały przyciszonymi głosami, Hubert spró-  
bował zagadać do Artura i w zamian otrzymał pogardliwe warknięcie. Eliza  
opowiedziała dowcip, żeby rozładować atmosferę, ale nikt się nie śmiał. W szo-  
pie znowu zapanowało ciężkie, kamienne milczenie.

Choć wydawało się to niemożliwe, Nina w którymś momencie musiała za-  
śnąć, bo Hubert zbudził ją, szarpiąc za ramię.



– Co się stało? – Serce od razu skoczyło jej do gardła. Rozejrzała się. Małgosia spała, Eliza i bliźniaczki tłoczyły się przy uchylonych drzwiach. Nawet Artur do nich dołączył.

– Sama zobacz.

Wstała i podeszła do tkwiącej przy wejściu grupy.

– Staszek i Tymek – powiedział Hubert za jej plecami, choć było to niepotrzebne, bo widziała przecież stojących pośrodku trawnika chłopców. Mokli na deszczu, wpatrując się w szopę. Było coś niesamowitego w ich nieruchomych sylwetkach i połyskujących w ciemności bladych jak rybie brzuchy oczach. Niesamowitego i niepokojącego.

– Czego oni od nas chcom? – W głosie Karoliny brzmiał lęk.

– Musimy z nimi porozmawiać – powiedział Hubert.

– Porozmawiać? – warknął Artur. – Jak ja bym im przyłożył...

Jednak ani on, ani nikt inny nie ruszył się z miejsca. Dopiero po chwili Hubert odważył się szerzej otworzyć drzwi.

– Idę – oznajmił z determinacją.

– Zwariowałeś? – syknęła Nina.

– Oni mogą znać sposób, żeby odwołać Bestię. Może damy radę... nie wiem, zmusić ich do tego albo coś.

Nina otworzyła usta, ale zanim cokolwiek powiedziała, chłopak już wypadł na deszcz. Pobiegła za Hubertem, zapominając nawet o pelerynie. Sama czasem się później zastanawiała, czemu to właściwie zrobiła. Bo Hubert wyglądał, jakby zdecydowanie potrzebował pomocy? Bo w jego towarzystwie nie bała się aż tak bardzo? Bo miała dość bezczynności i wyobrażania sobie, co się dzieje

w klasztorze?

– Powiedźcie jej, żeby sobie poszła! – wrzeszczał tymczasem Hubert. – Słyszycie? Powiedźcie Bestii...

– Daj spokój. – Nina chwyciła chłopaka za ramię, ale on się wyrwał, złapał Tymka za koszulę i zaczął nim potrząsać. Jednak ani Tymek, ani Staszek nie zareagowali, wciąż patrząc tymi swoimi bladymi, prawie białymi oczami. To martwe oczy, pomyślała Nina. Nie ma w nich ani odrobiny życia.

Wreszcie Staszek drgnął i skinął na Huberta. Bliżej, mówił ten gest. Usta chłopaka rozciągnęły się w upiornym uśmiechu.

– Mariusz leży w holu przy schodach – powiedział.

– C...co?

– Mariusz leży w holu przy schodach. Nie będzie ptaków. Wszyscy zginiecie.

– Kłamiesz! – wrzasnął z furją Hubert, a Tymek zachichotał.

– Przekonajcie się sami, jeśli macie odwagę.

Za chwilę, popchnięty, wylądował na trawie, a Hubert odwrócił się w stronę Niny.

– Idę do klasztoru – oznajmił.

– Zwariowałaś? Naprawdę im wierzysz? Oni chcą nas tylko wystraszyć! Słyszysz?

– Jeśli tak, to skąd wiedzą o ptakach? – Chłopak biegł już w stronę majaczącego w ciemności budynku.

Jasna cholera.

Jeszcze większa i jeszcze jaśniejsza cholera.

Nina pokonała opór własnego ciała i ruszyła za nim.

– Czekaj! – krzyczała. – Tam jest Bestia!

Hubert zwolnił, ale się nie zatrzymał.

– Nie bój się – powiedział. – Obronię cię w razie czego. Jesteś moją przyjaciółką, oddałbym za ciebie życie.

– Dlaczego mam wrażenie, że mówisz to każdej dziewczynie?

Zamrugał, strząsając z rzęs krople deszczu.

– Zawsze jestem szczery.

Dopadł klasztornych wrót, otworzył je i wbiegł do holu. Nina deptała mu po piętach. Wewnątrz było ciemno i przez chwilę miała wrażenie, jakby zanurkowała w gęstą, duszącą smołę. Krew szumiała jej w skroniach, serce łomotało, jakby miało połamać zebra. Po chwili zapaliło się światło.

Błysk.

Nina krzyknęła.

Klasztor był pełen ptaków. Kruki, wrony, drozdy, nawet małe, szare wróble siedziały na posadzce, na prowadzących w górę schodach i na poręczach. Dziewczyna początkowo wstrzymała oddech – było ich tak dużo i wyglądały tak... niesamowicie. Dopiero potem odetchnęła z ulgą. Przecież o to właśnie chodziło, prawda? Mariusz miał wezwać ptaki i wezwał. Wszystko jest w porządku.

– Wi... widzisz... – szepnęła do Huberta. – Ptaki są. Możemy wracać.

– One nic nie robią. – Chłopak ponuro pokręcił głową. – Tylko siedzą.

Miał rację. Ptaki tkwiły na swoich miejscach nieruchomo z przekrzywionymi łebkami. Ich paciorkowate oczy i ostre dzioby połyskiwały, odbijając światło żarówek.

Nina przełknęła ślinę.

– Nie rozumiem...

– Patrz! To chyba Mariusz. – Hubert wyciągnął rękę, wskazując leżący przy schodach ciemny kształt. Nina w pierwszej chwili pomyślała, że to sterta porzuconych koców. Tak to właśnie wyglądało: nieforemna bryła, w której z trudem rozpoznać można było ludzkie ciało.

Hubert ruszył przez hol, roztrącając ptaki, które niechętnie usuwały się z drogi. Nina szła za nim. Gdzieś z daleka, stłumiony przez grube mury, dobiegał nęcący zew Bestii. Z daleka. To dziewczynę trochę uspokajało, znaczyło bowiem, że przynajmniej chwilowo są bezpieczni.

– Mariusz? – Hubert pochylił się nad leżącym. – Mariusz!

Po kilku sekundach, długich jak wieczność, chłopak otworzył oczy i potoczył wokół nieprzytomnym spojrzeniem.

– Co się stało? – zapytała Nina, kucając obok.

– Boli... – wyjąkał Mariusz. – Moja noga... Złamałem nogę...

– Może masz tylko skręconą kostkę – pocieszyła go, ale w głębi duszy wiedziała, że Flap mówi prawdę. Jego oczy co chwila uciekały w głąb czaszki, blada jak wapno twarz pokryta była warstwą potu. Musiał mocno cierpieć, a skręcone kostki nie bolą aż tak bardzo. Nina wiedziała o tym z własnego doświadczenia.

– Bestia... była tu. Złapała mnie i zapytała... gdzie jest anioł, a jak powiedziałem, że nie wiem, rzuciła mną o ścianę. Ona... jest niesamowicie szybka.

– Gdzie Tamara i Jacek?

– Nie wiem. Chy... chyba straciłem przytomność. Pomóżcie mi, proszę. Proszę.

– A co z ptakami? – Czy Ninie się zdawało, czy zew Bestii rozbrzmiewał teraz bliżej? – Potrafisz...

Głowa chłopaka opadła do tyłu, oczy zamknęły się wolno. Hubert szepnął coś, czego Nina nie rozumiała. Prawdopodobnie było to: „Wszyscy jesteśmy zgubieni” lub coś podobnego.

Spojrzał na dziewczynę.

– Pobiegnij po Elizę i bliźniaczki, razem jakoś go stąd wyciągniecie. Ja poszukam Tamary i Jacka.

– Nie – zdecydowała Nina pod wpływem impulsu. – Ty idź po resztę, a ja poszukam Tamary i Jacka. No już, pośpiesz się.

– To nie w porządku – upierał się Hubert. – Jesteś dziewczyną. Ja powinienem zostać.

– Ja jestem zdrowa, a ty wyglądasz, jakbyś miał się zaraz przewrócić. Jeśli stracisz tu gdzieś przytomność, kto cię potem będzie szukał? No już, Hubert, nie wygłupiaj się. Będiesz miał jeszcze mnóstwo okazji, żeby wykazać się bohaterstwem. Ja tylko zawołam Tamarę i Jacka i zaraz wracam, potem wszyscy się zastanowimy, co dalej.

Przez chwilę sądziła, że będzie jeszcze protestował, jednak on wiedział, że Nina ma rację, bo, co prawda, z ociąganiem, ale ruszył do drzwi.

Nina wstała.

– Tamara? Jacek? – zawołała cicho.

Słowa odbijały się od kamiennych ścian, a dziewczyna nie śmiała krzyknąć głośniej, żeby nie zwrócić uwagi Bestii. Deszcz wpadał przez otwarte okna, światło zapalało się i gasło, blask zasnutych pajęczynami żarówek nie potrafił

wygnąć z kątów mrocznych cieni. Klasztor, jeśli nie liczyć ptaków, wyglądał na opuszczony, jakby nigdy nie zdarzył się ostatni tydzień, kiedy toczyło się tu normalne życie. Jakby Bestia była w tych murach zawsze, znacząc każdy kamień piętnem swojej obecności.

– Słyszycie mnie?! Wracajcie! – Wreszcie odważyła się wrzasnąć, ale natychmiast zamilkła i skuliła się nerwowo. Jej głos brzmiał dziwnie obco i zbyt piskliwie. Gdzieś niedaleko coś zaszeleściło i Nina podskoczyła gwałtownie, odwracając się.

Nic, to chyba tylko jeden z kruków drapnął pazurkami o posadzkę. Ptaki gapły się, przekrzywiając łebki, ich oczy połyskiwały osobliwą inteligencją. Jakby... jakby się z niej śmiały?

Bzdura, Nina skarciła samą siebie. Masz za dużą wyobraźnię.

Uciekaj, póki nie jest za późno, szeptał rozsądek, lecz resztkami sił zignorowała go i pomaszerowała w stronę pokoju z kominkiem. Znalazła tam porzucone kubki i wystygły już dzbanek z herbatą. Klasztor wydawał się przeraźliwie zimny, Nina w przemoczonym ubraniu przez cały czas szczekała zębami. Mróz pełzał po ścianach, oddech zmieniał się w parę. Co jest, u licha? Przecież to koniec lata, a nie styczeń... A może nie, może klasztor wraz z zasiedlającymi go ptakami znajdował się teraz w beczasie, zawieszony w zimnej białej pustce, poza którą nie ma już niczego? I dlaczego wszystko wyglądało tak bardzo obco? Stół, fotele, na których siedzieli jeszcze przed godziną czy kilkoma – jakby Nina zwiedzała dawno zapomniany dom z czasów dzieciństwa, jakby moment, gdy wszyscy razem pili tu herbatę, zdarzył się przed wiekami. Dziwne. Czy to wpływ Bestii?

Z wysiłkiem odsunęła od siebie podobne myśli i na trzęsących się nogach

wyszła na korytarz. Lawirując pomiędzy ptakami, wróciła do holu.

Zew Bestii był teraz głośniejszy, szum w głowie dziewczyny narastał. Obrzydliwe bzyczenie, jakby tysiąca much rojących się w słoiku. Obrzydliwe i jednocześnie w jakiś obłądny, dziwaczny sposób pociągające, jak... jak muzyka, jak kołysanka z dzieciństwa zagrzebana we wspomnieniach tak głęboko, że człowiek przypomina ją sobie tylko we śnie. Coś w Ninie chciało podążyć za tym głosem.

– Uciekaj! – Jej rozsądek już nie mówił, tylko krzyczał.

Bestia była coraz bliżej.

Nina stanęła obok wciąż nieprzytomnego Mariusza i wtedy światło jeszcze raz zgasło. Kuszące bzyczenie przybrało na sile, dziewczyna oblizwała suche wargi. Mogłaby teraz poddać się i pójść w stronę Bestii. Dlaczego nie? Im szybciej się to wszystko skończy, tym lepiej, i tak przecież nie zdołają uciec. Po co się dłużej męczyć?

Światło zapalało się i gasło na przemian. Błysk, ciemność, błysk, ciemność.

Nina wpatrywała się w szczyt schodów.

Błysk. Ktoś tam stoi.

Ciemność.

Błysk. Ktoś wysoki, znacznie wyższy niż Tamara czy Jacek. I znacznie chudszy.

Ciemność.

Błysk. „Kostucha skrzyżowana z pajakiem”, powiedziała Tamara, ale to nie to, zdecydowanie nie to. Bestia jest o wiele bardziej przerażająca.

Ciemność.

Błysk. Potężny rogaty łeb przypomina obdartą ze skóry byczą czaszkę, na której zostały jeszcze resztki czerwonych mięśni. Wielofasetowe owadzie oczy płoną zimną zielenią.

Ciemność.

Błysk. Trzy pary czarnych niczym smoła skrzydeł rozpościerają się za plecami Bestii jak cień samej śmierci.

Ciemność.

Błysk. Osiem kończyn, dwie pełniące funkcję nóg i sześć wyrastających w miejsce rąk. Górne pary mają stanowczo zbyt wiele stawów i zakończone są pazurami ostrymi jak nożyce, które zamykają się i otwierają z cichymi metalicznymi kliknięciami.

Ciemność.

Błysk. Bestia jest teraz co najmniej o kilka stopni niżej.

Ciemność.

Błysk. I jeszcze niżej.

Tak właśnie Maura wyobrażała sobie diabła.

Nina przemogła wreszcie bezwład, wrzasnęła z czystej zgrozy i zaczęła uciekać. Lecz Mariusz miał rację, po stokroć rację. Bestia naprawdę była niesamowicie szybka. Tak szybka, że nikt, nawet Artur, nie zdołałby jej umknąć.

Przypominające nożyce dłonie chwyciły Ninę, która krzyknęła jeszcze raz głosem, jaki poderwałby z grobu umarłego.

Natrętne pytanie wdarło się do jej głowy.



Nie zostało zadane po polsku ani w jakimkolwiek innym języku, który Nina umiałaby rozpoznać. Nie wyglądało to na żadną ziemską mowę. A jednak pytanie było wyraźne i dziewczyna je zrozumiała.

GDZIE JEST... tu następował szereg niewymawialnych dla ludzkiego gardła spółgłosek.

Nie miała wątpliwości, że chodzi o Quasimoda.

W... bibliotece, próbowała sformułować odpowiedź za pomocą obrazu, który umysł Bestii potrafiłby odczytać.

Zastanawiała się później, czy miała w tamtej chwili plan, czy biblioteka przyszła jej do głowy czystym przypadkiem. Tak czy inaczej, jeśli istniał plan, to był on tak głęboko zagrzebany pod warstwą paniki i czystego przerażenia, że dziewczyna ledwo zdawała sobie z niego sprawę. Był jak cień, który dostrzega się kątem oka, jak dźwięk, co do którego człowiek nie ma pewności, czy aby nie oszukują go własne uszy.

ZAPROWADZISZ MNIE TAM.

Ponaglenie też zrozumiała bez trudu.

Bestia niosła ją, a Nina wskazywała drogę, wyobrażając sobie kolejne zakręty i korytarze. Ostre szpony raniły skórę, ale dziewczyna nawet o tym nie wiedziała. Ciało Bestii było tak zimne, że pozbawiło ją czucia, zupełnie jakby spoczywała w objęciach lodowej rzeźby. A w dodatku... w dodatku istota z gwiazd wdzierала się jej do głowy, tasując wspomnienia Niny niczym talię kart.

Rodzinny obiad, Nina ma może siedem lat, Szymek siedzi jeszcze na wysokim dziecięcym krzeselku. Marudzi, nie chce jeść – i wtedy Nina zaczyna robić śmieszne miny, a mama, korzystając z faktu, że synek się śmieje, pakuje mu

do buzi kopiastą łychę ziemniaków z sosem. Chwali potem Ninę, która jest dumna i jednocześnie trochę zawstydzona, bo przecież wie, że daleko jej do ideału starszej siostry.

Klik, wspomnienie znika, pozostawiając po sobie niejasne uczucie straty.

Pierwszy dzień szkoły. Nina w granatowej spódnicy i białej bluzce rozgląda się uważnie. Wszystko wydaje jej się takie duże, obce i trochę straszne, a jednak dziewczynka ma przecucie, że będzie się tu czuła dobrze.

Klik, następne wspomnienie przepada jak kamień wrzucony w głęboką wodę.

Film dla dorosłych, który opowiadała jej Agnieszka (wydawał się nudny, ale Nina z uprzejmości nie chciała tego powiedzieć), wycieczka w góry, kiedy tak strasznie przemokli i potem wszyscy z wyjątkiem Niny się pochorowali, jasnowłosy chłopak, który podobał jej się w piątej klasie...

Bestia mnie pożera, uświadomiła sobie. Tak właśnie skończyli Staszek i Tymek. Istota z Diabelskiego Kręgu pochłonęła wszystkie ich wspomnienia, kawałek po kawałku.

To ją otrzeźwiło na tyle, że zaczęła walczyć. Piosenka, muszę skupić się na piosence. I jedynym tekstem, jaki przyszedł jej w tej chwili do głowy, był głupi przedwojenny przebój, który tak bardzo lubiła jej matka.

Taki pech to się zdarza  
może raz na sto lat.

Znam Agnieszkę, dla której  
bym słoneczko z nieba skradł,  
lecz nazwiska jej nie znam

i adresu nie znam też,

i dlatego szukam, wołam

wzdłuż i wszerz...

Nina ukryła wspomnienia tak głęboko, że Bestia nie potrafiła do nich sięgnąć.

Teraz w głowie miała już tylko piosenkę, której uczepiła się, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Bo BYŁA tak naprawdę.

Czy tutaj mieszka

panna Agnieszka?

Taka milutka,

takie oczy ma jak fiołki.

Od tylu dni szukam,

do wszystkich drzwi pukam,

lecz jej nie mogę znaleźć,

choć tak bardzo chcę.

Przy trzeciej zwrotce dotarli do biblioteki, gdzie Bestia puściła Ninę jak niepotrzebny już bagaż. Dziewczyna upadła na posadzkę, sparaliżowana lodowatym zimnem. Dopiero po chwili zdołała unieść się na łokciach i spojrzeć przed siebie.

Quasimodo – Nina nawet w ciemności poznawała jego charakterystyczną sylwetkę – stał na miejscu zawalonej ściany, tam gdzie biblioteka kończyła się gwałtownie. Stał i patrzył w otwierającą się pod jego stopami przepaść. Deszcz wciąż padał.

Błysk, światło zapala się na ułamek sekundy.

W bibliotece pełno jest kruków, drozdów, wróbli i wron. Siedzą na półkach z książkami, strosząc mokre pióra i błyskając paciorkowatymi ślepiami.

Nina chciała krzyknąć, lecz to, co wydobyło się z jej gardła, przypominało raczej skrzek.

Błysk. Bestia idzie w stronę anioła, teraz już bez pośpiechu, jakby rozkoszując się świadomością, że ofiara nie zdoła jej uciec. Ptaki odprowadzają ją spojrzzeniami.

To już koniec, pomyślała Nina z rozpaczą, zamykając oczy. Teraz Bestia zabije Quasimoda, a potem nas wszystkich po kolei. Skuliła się na posadzce. Wciąż było jej przeraźliwie zimno, a jednocześnie tam, gdzie Bestia ją trzymała, skórę miała zlodowaciałą i pozbawioną czucia. Czy to odmrożenia? Sine, paskudne odmrożenia, od których ciało gnije i trzeba obciąć zainfekowaną kończynę...

Głupie myśli, tak czy inaczej, Nina przecież nie dożyje żadnej amputacji. Zginie zaraz po Quasimodzie, bo nawet nie może się ruszyć.

Otworzyła oczy – mimo wszystko jednak wołała patrzeć.

Błysk. Bestia jest już przy skrzydlatym, który w porównaniu z nią wydaje się drobny jak dziecko. Wyciąga w jego stronę jedną z pazurzastych łap, powoli, jakby w zamyśleniu przekrzywia byczo-owadzią czaszkę, po czym dotyka anielskiej twarzy z tej strony, gdzie wciąż jest piękna. Po nieskazitelnym policzku spływa krew, w świetle nagiej żarówki czarna jak smoła. Quasimodo cofa się jeszcze odrobinę, ale dalej nie ma dokąd uciec, jego pięty muszą już wisieć nad przepaścią. Teraz tylko patrzy na swojego kata w bezruchu.

Plan, Nina chyba miała jakiś plan, ale jego szczegóły wypadły jej z pamięci – jeśli w ogóle kiedykolwiek tam były. Zresztą to nie ma znaczenia. Przecież i tak wszyscy zginą. Dziewczynie zdawało się, że z głębi mroku dobiegają słowa odmawianej cichym głosem modlitwy, ale to musiało być złudzenie, bo kto

miałby się tu modlić?

Błysk. Bestia rozpościera sześcioro ramion, by zagarnąć w nie anioła i przebić go ostrymi szpikulcami szponów.

Zdrowaś Mario... Tym razem Nina była już pewna, że słyszy modlitwę. W dodatku głos wydał jej się znajomy. Lidka? Jakim cudem...?

Błysk. Bestia rozpościera sześcioro ramion, by zagarnąć w nie anioła i przebić go ostrymi szpikulcami szponów.

...łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...

Błysk. Bestia rozpościera sześcioro ramion, by zagarnąć w nie anioła i przebić go ostrymi szpikulcami szponów.

Co u licha? Nina miała wrażenie, że patrzy na zatrzymany w kinie kadr. Dwie postacie tkwiły nieruchomo na skraju przepaści, kat i jego ofiara, zastygli w czasie jak gliniane figury. Dziewczyna przymknęła oczy, a kiedy je na powrót otworzyła, anioła już nie było. Skoczył w przepaść? Rozłożył skrzydła i uniósł się w powietrze?

A Bestia wciąż stała z rozpostartymi ramionami, jakby jej ofiara nadal znajdowała się tam, gdzie była jeszcze przed chwilą.

– Teraz! – ktoś wrzasnął. Oszołomiona Nina dopiero po sekundzie albo i dwóch uświadomiła sobie, że to Jacek. – Teraz mamy szansę ją zabić!

Błysk. Z kąta biblioteki wybiega pulchna postać, wkłada palce do ust i gwizdzie przeraźliwie. Ptaki podrywają się i chmarą lecą w stronę znieruchomiałej Bestii.

Lecą, po czym mijają ją w pędzie, by zniknąć za kurtyną deszczu.

O cholera.

Nina odzyskała zdolność ruchu przynajmniej na tyle, by usiąść. Jacek stał na środku biblioteki z wyrazem twarzy, który mógłby nawet wydawać się zabawny, gdyby sytuacja nie była tak tragiczna. Głos modlącej się Lidki wciąż dobiegał z ciemności, gdzie nie sięgał blask żarówki. Bestia poruszyła się – niemrawo, ale jednak, jak ktoś, kto walczy, żeby przełamać sztywność stawów. Wydarzył się cud, dzięki któremu zyskali kilka dodatkowych sekund, ale nawet cuda mają swoje granice. Lada moment Bestia uwolni się spod działania czaru, a wtedy będzie za późno.

Pod wpływem tej myśli Nina nagle odzyskała jasność myślenia.

– Zepchnij ją! – wrzasnęła do ogłupiałego Jacka. – Po prostu ją popchnij!

Chłopak przez ułamek sekundy jeszcze patrzył w oszołomieniu, a potem wrzasnął jak ruszający do bitwy Indianin. Zaczął biec, rozpędzając swoje siedemdziesiąt kilo żywej wagi. Szybciej i coraz szybciej, aż wreszcie uderzył z siłą tarana w stojącą na skraju przepaści sylwetkę. Spadła, a Jacek pewnie by do niej dołączył, gdyby nagle nie pojawiła się jeszcze jedna postać, która w ostatniej chwili złapała go za rękaw.

Tamara.

O rany, tylko tyle Nina była w stanie pomyśleć, kiedy już udało jej się wstać.

Tamara, która jakimś cudem wyrosła u jej boku, chwyciła ją za łokieć. Po chwili podeszli do niej także Jacek i Lidka.

– Skąd... się... tu wzięliście?

– Lidkę spotkaliśmy przed wejściem do klasztoru, a wtedy podszedł do nas anioł i kazał biec do biblioteki – wyjaśniła zwięźle Tamara.

– I powiedział, że kiedy już tam będziemy, mamy się modlić głośno i z wiarą

– dodała Lidka. – Dziwne, przecież ja zawsze modłę się z wiarą? – Zmarszczyła na moment brwi, ale zaraz się rozpogodziła. – Widzicie, mówiłam, że wiara ma moc. Aniołowie są prawdziwi.

Wcale nie, pomyślała Nina. Po prostu na diabła działa siła modlitwy, a skoro Bestia odgrywała jego rolę, to modlitwa musiała zadziałać i na nią. Dlaczego nikt z wyjątkiem Quasimoda na to nie wpadł?

Jacek oddychał ciężko, a wreszcie usiadł na podłodze. Na jego twarzy malował się wyraz zdumienia, jakby dopiero teraz do niego dotarło, co zrobił.

– O rany – wykrztusił. – Nie sądziłem... nie sądziłem...

– Co z Mariuszem? – zapytała Tamara i zaraz dodała ze wstydem: – Zostawiliśmy go. Ta cholerna Bestia wyskoczyła na nas od razu, kiedy tylko weszliśmy, i nie było innego wyjścia, jak tylko rozdzielić się i zwiewać.

– Mariusz czuje się dobrze. Znaczy, niezupełnie dobrze. – Nina zaplątała się.

Wciąż jeszcze nie potrafiła pozbierać myśli. – Ma złamaną nogę.

– Od tego się nie umiera. – Tamara poweselała. – Jak zobaczyłam ptaki, to myślałam, że już mamy z górki, ale potem się okazało, że te małe paskudy wcale nie mają ochoty nam pomóc. – Z wyrzutem popatrzyła na ostatniego wróbla, który, przekrzywiając łebek, siedział na stosie pobożnych i podmokłych ksiąg. Ptak odpowiedział jej niewinnym spojrzeniem.

– Co z Bestią?

– Sama zobacz. – Tamara wyszczerzyła zęby.

Nina podeszła do skraju przepaści i niepewnie zerknęła w dół. Bestia tam była, zaplątana w gałęzie starego grabu. Złamany konar przebił jej ciało i sterczał teraz z niego niczym drut z popsutej zabawki.

Dziewczyna przełknęła ślinę.

Trzeba ją zabić tym, co żywe.

Cóż, drzewo niewątpliwie było żywe.

Kiedy schodzili na parter, Nina rozmyślała nad tym, skąd anioł wiedział, że Bestia znajdzie się właśnie w bibliotece. Jedynym wyjaśnieniem było to, że zdołał odczytać z myśli dziewczyny plan, którego nawet ona nie była w pełni świadoma, a potem powiadomił Jacka, Tamarę oraz Lidkę i wszystkich ocalałych.

Poświęcając własne życie.

Potrząsnęła głową. Może Quasimodo wcale nie spadł, tylko naprawdę odfrunął? Musiał umieć latać, bo inaczej jakim cudem zdołał znaleźć się w bibliotece przed Niną i Bestią? Jacek, Tamara i Lidka przybiegli dopiero po chwili... A jeśli nie, jeśli Quasimodo jednak spadł, to może udało mu się przeżyć upadek? Nina pamiętała przecież, że skrzydlaci mają odmienną niż ludzie fizjologię.

Na dole czekały już przerażone do granic możliwości Eliza i Karolina, które na widok schodzących po schodach przyjaciół omal nie zemdlały.

– Wszystko w porządku! – krzyknęła Nina. – Bestia nie żyje!

Eliza przymknęła oczy i chyba zmówiła krótką modlitwę, a Karolina serdecznie wszystkich wyściskała.

Wspólnymi siłami przenieśli wciąż nieprzytomnego Mariusza do szopy i położyli go na podłodze. Eliza została z rannymi i na wpół rozbudzoną Małgosią, a pozostali powędrowali w stronę zawalonego skrzydła. Poszedł z nimi nawet Hubert, który nagle jakby nabrał sił.

Tamara wspięła się na drzewo i dotknęła ciała Bestii.

– Jak dla mnie wygląda na całkiem martwą.



Nina rozejrzała się, szukając anioła, ale nigdzie nie zobaczyła charakterystycznej nieforemnej sylwetki. Odetchnęła z ulgą, po czym, nagle pozbawiona energii, klapnęła na moką trawę.

Gdzie był Quasimodo? Czy został ranny? Dziewczyna nie potrafiła uwolnić się od wspomnienia krwi spływającej czarną strużką po jego twarzy.

Gdziekolwiek teraz przebywał, miała nadzieję, że sobie poradzi.

Już po wszystkim, myślała, siedząc na trawie z kolanami podciągniętymi pod brodę. Deszcz wciąż padał, ale ona nie mogła już przecież być bardziej mokra czy przemarznięta. Po wszystkim. Nadal nie potrafiła w to uwierzyć.

Obok niej młodzież obejmowała się i poklepywała po plecach, a Jacek wykonał nawet coś na kształt zwycięskiego indiańskiego tańca. Nina patrzyła na to, szcękając zębami.

Po wszystkim.

Jeśli nie liczyć tego, że musieli jeszcze wydostać się stąd, unikając po drodze wojska.

Dopiero po dłuższej chwili rozradowana młodzież skupiła uwagę na Lidce, która wciąż wpatrywała się w wiszące na drzewie ciało.

– Kajś ty łąziła? – zapytała Karolina.

– Modlitwa nie pomogła? – Artur odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Teraz, gdy strach minął, w jego głosie znów brzmiała kpina.

– Pomogła. – Dziewczyna nie mogła oderwać wzroku od martwej Bestii. Jej oczy płonęły ogniem zwycięstwa. Ninie przemknęło przez myśl, że tak musiał wyglądać święty Jerzy, patrząc na martwego smoka. – Dzięki niej pokonaliśmy diabła.

– A co z barierą? – niecierpliwil się Jacek. – Zniknęła?

– Pewnie tak, skoro Bestia nie żyje – odparła Nina optymistycznie.

– Świetnie, w takim razie weźmiemy samochód...

– Na drodze stoi wojskowa ciężarówka. – Lidka niechętnie oderwała wzrok od drzewa. Blask jej oczu trochę przygasł.

– Co takiego? – Tamara zmarszczyła brwi.

– Ciężarówka pełna ludzi w mundurach – wyjaśniła Lidka, po czym powiedziała coś, co świadczyło, że jej ufność w siłę wiary ma jednak pewne granice:

– Widziałam ją tuż za barierą. Tarasują drogę tak, że nie damy rady przejechać.

Rozdział piętnasty, w którym Jacek wykazuje pomysłowość, a Nina pozbywa się wreszcie walizki.

Nigdy czegoś takiego nie nosiłam! – zaprotestowała Nina.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – odparła sentencjonalnie Tamara, wyciągając z walizki parę spodni o ubłoconych nogawkach. – Włóż je, są w miarę czyste i ciepłe, a ty się cała trzęsiesz. Masz jakiś suchy sweter czy też ci pożyczyć?

– Wszystkie moje rzeczy są brudne, podarte albo mokre. – Nina zdjęła wilgotną bluzkę i spojrzała na swoje ramiona. Żadnych odmrożeń, dzięki Bogu.

Bujna wyobraźnia jednak bywała przekleństwem. – Albo wszystko naraz. Powinnam była zrobić pranie, ale tak się składa, że ostatnio byłam zajęta tropieniem diabła z kosmosu.

Nogawki spodni musiała podwinąć, bo Tamara była wyższa, pożyczony sweter opadł Ninie do połowy ud. Lecz przynajmniej było jej ciepło.

– I jak? – zapytała Tamara.

– Może być. – Nina spojrzała z powątpiewaniem na własny strój. Nigdy nie przepadała za stylem f la chłopczyca, zdecydowanie wolała dużą ilość falbanek, koronek i słodkie, bufiaste rękawki. – To znaczy – zreflektowała się – bardzo dziękuję.

– Jak myślisz, co teraz będzie? – Tamara wsunęła walizkę z powrotem pod łóżko.

– Nie wiem. Lidka powiedziała, że żołnierze jej nie widzieli, więc nie jest tak źle. Z drugiej strony, jeśli bariera naprawdę zniknęła po śmierci Bestii...

– Wojskowi w każdej chwili mogą się zorientować, że droga wolna, i przyjechać po nas do klasztoru – uzupełniła Tamara. – Cholera, Nina, musimy się stąd wynieść, im szybciej, tym lepiej.

– Wiem.

– Idziemy do pozostałych?

Nina skinęła głową.

Weszły na piętro, gdzie w ciemnym pokoju zebrała się reszta ich niewielkiej gromadki – z wyjątkiem, rzecz jasna, pani Celiny i Mariusza, z którymi została Eliza. Małgosia przecierała oczy, Jacek stał przy oknie i latarką nadawał wiadomość.

– I co? – zapytała Nina, przysuwając się do niego w mroku. Deszcz przestał padać, zza chmur wyrztał księżyc i roziskrzzone gwiazdy. Powietrze po ulewie pachniało wilgocią lasu i wodą ze wzburzonego jeziora.

Do brzasku zostało nie więcej niż pół godziny.

– Nie odpowiadają.

– Może zasnęli? – zasugerowała Lidka, ale Nina pokręciła głową.

– Tam jest tata Tamary, a żaden ojciec by nie spał w takiej sytuacji.

Pani Stefania też na pewno nie zasnęła, dodała w duchu.

– No więc, co się stało? – zapytał Hubert, mrugając. Eliza zaaplikowała mu kilka przeciwbólowych tabletek, dzięki czemu przestał wyglądać jak zdjęty z krzyża, ale za to zrobił się senny.

– Nie wiem.

– Trza uciekać – odezwała się Karolina. – Zaraz będzie świtać.

– Drogą nie przejedziemy – rozważała Tamara. – A przynajmniej nie samochodem.

– Moglibyśmy, no nie wiem, ominąć żołnierzy, idąc lasem albo coś w tym rodzaju – zaproponował Jacek.

– I będziemy nieśli dwie osoby, które nie potrafią same iść? – Tamara wzruszyła ramionami. – Nie damy rady.

– W taki razie przepłyniemy jezioro. – Jacek, jak wszyscy, był wyczerpany, ale gdy tylko nowy pomysł wpadł mu do głowy, zaraz się ożywił. – Tratwą.

– Masz na myśli to coś, co zbudowaliśmy? Upadłeś na głowę?!

– Ona nie utrzyma dwunastu osób. – Nina poparła przyjaciółkę. – Ledwo utrzymała nas troje.

– Nie, czekajcie, mam pomysł, jak sobie z tym poradzić. Możemy zdjąć opony z samochodu i przymocować je do tratwy. Wtedy nas utrzyma.

– I tak się nie zmieścimy – zaprotestowała Nina.

– Ja mogę płynąć za nią, to nie jest tak daleko.

– Ja też – dodał od razu Hubert, na co Nina zaprotestowała:

– Nie, ty z całą pewnością nie.

– To może nie jest takie głupie... – Tamara zaczęła się łamać. – Woda będzie zimna, ale nie tak bardzo, żeby się nie dało wytrzymać, a jak któreś z nas osłabnie, zawsze będzie mogło złapać się tratwy.

– Najpierw spróbuj nadać jeszcze raz wiadomość. – Nina z niepokojem wpatrywała się w ciemność za oknem. Czy jej się zdawało, czy noc lekko już zbladła?

Jacek włączył latarkę, lecz w tym momencie Tamara gwałtownym ruchem złapała go za ramię.

– Nie.

– Co się stało?

– Patrzcie. – Wskazała palcem tam, gdzie było jezioro. Nina wyteżyła wzrok. Z początku nie widziała nic poza ciemnością nocy, ale w końcu... tak, były tam dwa kształty, odcinające się od mroku jeszcze głębszą czernią.

– Łodzie – powiedziała z nagłym skurczem beznadziei, który złapał ją za gardło. Lidka za jej plecami westchnęła cicho.

– Łodzie – przytaknęła Tamara. – O ile zakład, że wojskowe?

Nikt nie chciał się założyć. W pokoju pani Celiny zapanowało ciężkie milczenie. Jeszcze przed chwilą byli tak pewni, że uda im się uciec – już prawie czuli się jak w drodze do domów – a teraz wszystko przepadło.

Pewnie, że tak, myślała z goryczą Nina. Powinniśmy byli wpaść na to, że pilnują nas nie tylko od strony lądu.

– To dlatego pani Stefania i ojciec Tamary się nie odzywają – powiedziała. – Boją się, że wojskowi zobaczą błyski światła i ich aresztują.

– A więc nici z przeprawy tratwą – oznajmił ponuro Hubert, jednak Nina nie-  
spodziewanie się zbuntowała.

– Wcale nie. To wciąż jest nasza największa szansa. Możemy przepłynąć  
obok łodzi.

– Jak? – w głosie Karoliny brzmiał sceptycyzm.

– Niedługo świt, prawda? O świcie magia znów będzie działać i Hela sprowa-  
dzi mgłę.

– Moga to zrobić. – Młodsza z bliźniaczek wolno pokiwała głową. – Ino trza  
się śpieszyć.

– A my w tej mgle przemkniemy niezauważeni. – Jacek odzyskał nadzieję,  
jego oczy błysnęły w mroku. – Jasne, że tak.

– Ale nie możemy płynąć do miasteczka, prawda? – Małgosia patrzyła na  
nich wielkimi oczami. – Bo mówiliście, że tam czekają na nas źli ludzie?

Była to zaskakująco rozsądna uwaga i Nina poczuła się nawet trochę winna –  
uważała przecież dziewczynkę za głupiutkie dziecko, którego z wyjątkiem chwil  
jasnowidzenia nie warto słuchać.

– Możemy przybić do brzegu w innym miejscu... – zaczęła Tamara z waha-  
niem. – Ale tak czy inaczej, musimy jakoś poinformować mojego ojca, gdzie  
będziemy, żeby mógł przyjechać po nas samochodem.

– Ja mam pomysł – ożywiła się Nina. – Jacek, nadaj latarką wiadomość „Na  
szkicu Maury”.

– Na szkicu Maury? – zdziwiła się Lidka. – Co to ma znaczyć?

– Nieważne. Pani Stefania będzie wiedziała.

– Nie mamy nawet pewności, czy oni widzą nasze sygnały.

– Widzą. – Nina nie zamierzała dopuszczać do siebie wątpliwości. Pani Stefania i profesor Chelman byli gdzieś tam po drugiej stronie jeziora i choć sami nie mogli się odezwać, czekali na wiadomość od uwięzionych w klasztorze nastolatków.

Jacek oparł latarkę o parapet i włączył ją. Długi błysk, krótki, krótki, znowu długi. Patrząc na rozcinające ciemność światło. Nina myślała o szkicach, które pokazała jej pani Stefania. Wszystkie przedstawiały klasztor albo jego najbliższą okolicę z wyjątkiem jednego, na którym była droga do miasteczka – a ściślej biorąc, jedno charakterystyczne miejsce na tej drodze, tam gdzie nad wodą rosła stara wierzba.

Pani Stefania będzie wiedziała, powtórzyła w duchu z uporem.

Wątpiła, co prawda, czy uda im się przybić do brzegu dokładnie we właściwym miejscu, ale to nie miało wielkiego znaczenia. Nawet jeśli pomylą się o kilkanaście, kilkadziesiąt metrów, pani Stefania i profesor Chelman dostrzegą ich, jeżeli tylko będą niedaleko. Albo młodzież zauważy zaparkowany na drodze samochód.

Zeszli na dół do pokoju z kominkiem. Ogień już dawno wygasł, w pomieszczeniu było zimno. Eliza i Mariusz spojrzeli na wchodzących z nadzieją.

– Chyba mamy sposób, jak się stąd wydostać – powiedział Jacek. – A co z wami?

– Pani Celina jest ciągle nieprzytomna – odparła dziewczyna. – A ten tu – wskazała Mariusza – jęczy, że mu niedobrze. I nic dziwnego, bo kiedy nie patrzyłam, zjadł pół opakowania tabletek przeciwbólowych. Mówiłam, żeby je wyrzygał, bo jeszcze się zatruje, ale nie chce.

– Nic mi nie będzie. – Błady Mariusz wciąż spływał potem, ale Nina nie martwiła się o niego. Chłopak był przytomny, złamanie nie wyglądało na skomplikowane, a prowizoryczne łubki założone przez Elizę i Jacka chyba spełniały swoje zadanie. Bardziej niepokoiła ją pani Celina. Jeszcze niedawno kobieta czasem otwierała oczy albo jęczała cicho, a teraz zapadła w coś podobnego do letargu. Nieruchoma, z zimną skórą i płytkim oddechem, sprawiała momentami wrażenie martwej.

Nina podchwyciła spojrzenie Huberta – on też wiedział, oboje zdawali sobie sprawę, że pani Celina nie ma wiele czasu.

Chłopak klęknął obok kobiety i delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy, podczas gdy Nina uparcie odwracała wzrok. Co on sobie właściwie wyobrażał? Fakt, Nina i jej koleżanki czasem podkochiwały się w przystojnych nauczycielach, ale nigdy nie traktowały tego tak... poważnie, jakby o dorosłym można było myśleć niczym o równolatku. Nina nie uważała się już za dziecko, ale wciąż czuła, że od osób NAPRAWDĘ dorosłych dzieli ją przepaść. Hubert z istnienia tej granicy chyba nawet nie zdawał sobie sprawy i dziewczyna była jego zachowaniem dziwnie zakłopotana. Zakłopotana, a jednocześnie w pewien sposób chyba trochę zazdrosna. Jak to jest, kiedy kocha się kogoś tak bardzo, że jest się w stanie zrobić dla niego wszystko, włącznie z poświęceniem własnego życia? Albo poświęceniem czyjśgo życia, jeśli już o tym mowa?

Nina zastanawiała się przez chwilę, czy kiedykolwiek będzie to wiedziała.

Tymczasem Jacek przedstawił Elizie plan wydostania się z klasztoru, a dziewczyna go zaakceptowała (nikt nie miał wątpliwości, że potrzebują jej zgody), po czym zabrała się do rozdzielania obowiązków.



– Jacek, ty zajmij się tratwą. Tamara i Nina mogą ci pomóc.

– A ja? – Hubert poczuł się pominięty.

– Ty siedź na czterech literach i spróbuj trochę odpocząć. Możesz zostać z Mariuszem i panią Celiną, a ja z bliźniaczkami rozejrzę się za Staszkiem i Tymkiem. Ktoś ich w ogóle widział?

Wszyscy pokręcili głowami.

– Nie możemy ich tak tu zostawić – sprzeciwiła się Lidka.

– Owszem, możemy, chyba że znowu zachowują się normalnie.

– I niby jak to poznamy? – Tamara była sceptyczna, a Ninie coś jeszcze przyszło do głowy.

– Oni znają nasze nazwiska – powiedziała cicho. – Jeśli wpadną w ręce wojskowych, to pewnie wszystko wygadają.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza, aż wreszcie Eliza otrząsnęła się jako pierwsza.

– Trudno, nie będziemy się tym martwić na zapas. Lidka, idziesz z nami czy zostajesz?

– A co, jeśli bariera wcale nie zniknęła? – Tamara odważyła się powiedzieć na głos to, o czym wszyscy myśleli. – Bo przecież wcale nie mamy pewności, nie?

Znowu zapadła cisza, którą tym razem przerwał Jacek.

– Musimy zaryzykować, nie ma innego wyjścia.

Zgodzili się, z ociąganiem kiwając głowami.

– Spakować się jeszcze trza – przypomniała Karolina.

– Nie weźmiemy na tratwę bagaży, nie zmieszczą się – zaprotestował Jacek.

– Fakt. – Eliza zasępiła się na moment. – W takim razie każdy idzie w tym,

co ma na sobie, zabieramy tylko najważniejsze rzeczy: dokumenty czy pieniądze.

– Dokumenty najlepiej zapakować w foliowe woreczki, żeby nam nie zamokły – dodał chłopak. – Poza tym musimy dopilnować, żeby tu nie zostało nic, dzięki czemu można by nas potem znaleźć. No wiecie, jak ktoś ma jakieś listy z adresami albo książki podpisane imieniem i nazwiskiem, to niech je wrzuci do pieca.

– Najlepiej spalić wszystkie rzeczy, których nie zabieramy ze sobą – oznajmiła Eliza. Nina uznała to za lekką przesadę, ale nie zamierzała protestować. Najpierw zajęli się tratwą. Nina z początku próbowała pomagać, ale szybko doszła do wniosku, że i tak na niewiele się przyda, patrzyła więc tylko, jak Jacek i Tamara podważają lewarkiem samochód i zdejmują opony. Niedaleko kręcił się pominięty przy rozdzielaniu obowiązków Artur. Od czasu pokonania Bestii reszta młodzieży konsekwentnie go ignorowała, co chłopaka najwyraźniej irytowało.

– Nadal uważam, że powinniśmy zostawić tu panią Celinę – odezwał się w pewnym momencie zaczepnie. – Tylko będzie nas niepotrzebnie obciążać.

– A może tak zostawimy ciebie, co? – Nina dała się sprowokować. – Ty też tylko nas obciążasz.

– Nie odzywajcie się do niego... – wysapała Tamara, podnosząc oponę. Nina rzuciła się, żeby jej pomóc, ale nim zdążyła cokolwiek zrobić, starsza dziewczyna już położyła ciężar na ziemi. – On chce, żeby się z nim kłócić.

Artur zacisnął ponuro usta i odtąd stał już tylko, gapiąc się na pracujących kolegów. Momentami Ninie było go prawie żal. Miała wrażenie, że chłopak

w gruncie rzeczy chce przeprosić za swoje zachowanie, ale nie wie, jak się do tego zabrać. Możliwe jednak, że tylko jej się zdawało, a nawet jeśli tak było, nie zamierzała mu niczego ułatwiać.

Przetoczyli opony na brzeg, gdzie Jacek przywiązał je sznurkiem do tratwy.

Całość konstrukcji wyglądała na dość niepewną, ale dziewczyna uznała optymistycznie, że przynajmniej przez jakiś czas powinna wytrzymać.

Potem wynieśli bagaże do ogrodu i ułożyli z nich wielki stos.

– Ogień będzie widać z jeziora – zaniepokoiła się Nina, lecz Jacek pokręcił głową.

– Wcale nie, drzewa i altanka go zasłonią.

Poszedł po naftę, a dziewczyna, korzystając z jego nieobecności, sięgnęła jeszcze po swoją walizkę i wycofała się pod osłonę ciemności.

– Zwariowałaś? – Chwilę później przyłapała ją Tamara.

Nina miała na sobie obie ulubione sukienki: błękitną i kremową, włożone na pożyczzone od przyjaciółki spodnie. Wyglądała pewnie jak ktoś, kto włamał się do sklepu z odzieżą i ubrał we wszystko, co tam znalazł.

– Nie zostawię ich.

– Jesteś stuknięta – oznajmiła Tamara z czymś, co było bliskie podziwu.

Nina dorzuciła walizkę na stertę pozostałych, a Jacek oblał stos naftą i podpalił. Płomienie strzeliły w niebo, sypiąc wokół iskrami, poszarzała już od nadciągającego świtu ciemność rozjaśniła się jeszcze bardziej.

– Teraz jesteśmy bezpieczni – powiedział z satysfakcją chłopak.

– Naprawdę sądzisz, że wojskowi jeździliby po Polsce, dopasowując kolejnych nastolatków do naszej bielizny, tak jak ksiązę próbował dopasować Kop-

ciuszka do pantofelka? – zachichotała Nina, ale Jacek nie dał się zbić z tropu.

– Zawsze lepiej być ostrożnym.

Coś w tym jest, pomyślała Nina. Zastanowiła się, czy właśnie ta scena z nią zostanie – czy za każdym razem, gdy przywoła w pamięci klasztor, będzie widziała pożerane przez ogień bagaże i czuła paskudną woń palonych ubrań?

Cóż, pocieszające było przynajmniej to, że na stosie płonęła także jej zniemawidzona przedwojenna walizka. Teraz rodzice już muszą kupić jej nową.

Ale najpierw, uświadomiła sobie, będzie awantura i tłumaczenie się, dlaczego zniszczyłam bagaż. Wszystkich to czeka. Tyle spalonych porządnych rzeczy – jacy rodzice nie będą mieć pretensji? Ilu z nas dostanie porządnie w skórę po powrocie do domu?

Do Niny jeszcze niezupełnie dotarło to, co się stało. Czy naprawdę przed półgodziną potwór z kosmosu trzymał ją w uścisku swych owadzych odnóży? Było to jednocześnie niesamowicie realne i niewiarygodne. Z jednej strony nie potrafiła uwolnić się od wspomnienia Bestii – widziała ją, gdy tylko zamykała oczy, a jej głos wciąż rozbrzmiewał w głowie jak ciągle odtwarzana piosenka na gramofonowej płycie. I chwilami miała wrażenie, że tak zostanie, że Bestia nigdy jej nie opuści. A z drugiej strony... o rany, to wszystko było tak niewiarygodne, że dziewczyna już teraz z trudem wierzyła, że zdarzyło się naprawdę.

Bezustannie dotykała pozostawionych przez nożycowate łapy zadrapań – niezbyt głębokich, ale wyraźnych, jakby skoczył na nią rozżłoszczony kot – chcąc się przekonać, czy wciąż są na jej policzku, szyi i ramionach.

Czy kiedykolwiek zdoła spokojnie zasnąć?

– Musimy się śpieszyć. – Jacek pogonił zebrane wokół ogniska towarzystwo.

Przenieśli panią Celinę oraz Mariusza na tratwę, która kołysała się przy brzegu. Nina ostrożnie weszła na chwiejną konstrukcję. Przywiązane od spodu opony uniosły deski powyżej poziomu wody, tak że teraz nawet ze sporym obciążeniem całość nie zanurzyła się głęboko.

– Ci, którzy nie potrafią pływać, do środka, reszta siada, gdzie chce – zakomenderowała Eliza.

Tratwa zachwiała się, gdy wskoczyła na nią ostatnia osoba. Ciekawe, czy wytrzyma, myślała Nina, podciągając kolana pod brodę, tak by zajmować jak najmniej miejsca. Było ciasno, siedzieli upchani jak śledzie w beczce, a w dodatku trzeba było przez cały czas uważać, żeby nie oprzeć się o panią Celinę czy Mariusza, który jęczał z bólu za każdym razem, gdy ktoś trącał jego nogę. Ciemność szarzała coraz bardziej. Nina rozróżniała już liście najbliższego drzewa, a na twarzach otaczających ją kolegów i koleżanek widziała każdy pryszcz – twarze te zresztą, pomijając pryszcze, wyglądały okropnie: ziemiste, zmęczone, z ciemnymi obwódkami pod oczami. Dopiero teraz zauważyła, że nie była jedyną, która ubrała się w kilka warstw odzieży. Sporo osób wpadło na ten sam pomysł. W bladym świetle świtu musieli wyglądać jak gromada bezdomnych sierot uciekających przed wojną.

Jacek i Tamara, którzy mieli płynąć za tratwą, zdejmowali już spodnie oraz swetry. Chłopak rzucił Ninie kłęb ubrań i pchnął deski, wchodząc po kostki do jeziora.

– Lista! – wrzasnęła nagle Tamara.

– Co takiego?

– Ta cholerna lista pani Celiny. Są na niej nasze nazwiska.

Jacek zaklął.

– Ktoś musi po nią iść – powiedziała Eliza.

– Ja mogę. – Nina zeskoczyła, zimna woda przemoczyła jej spodnie do kolan i zachlupotała w butach.

– Tylko się pośpiesz, już świta.

Dziewczyna gnała w stronę klasztoru, nie wiedząc na dobrą sprawę, dlaczego akurat ona podjęła się tego zadania. Może dlatego, że przez ostatnie pół godziny czuła się tak bardzo bezużyteczna?

Zapaliła światło w holu i popędziła na piętro. Gdzieś z głębin jej umysłu wychyneło wspomnienie biegu po lody, kiedy w Poznaniu uciekł jej pociąg, ale odgoniła je. I nie chciała myśleć o Sławku, zdecydowanie nie.

Czy coś by to zmieniło, gdyby był tu z nimi?

Wpadła do pokoju pani Celiny, znalazła listę i włożywszy ją do kieszeni, pognała z powrotem na parter. Światło nad jej głową zapalało się i gasło, Nina śpieszyła się, jakby ścigało ją stado diabłów. A może naprawdę ją ścigało? Niekoniecznie całe stado, ale choć jeden...

Nie mogła uwolnić się od wrażenia, że Bestia z Kręgu wciąż żyje i czai się tuż za jej plecami. W końcu to była istota z kosmosu, a z takimi nigdy nic nie wiadomo – może potrafią powstać z martwych?

Zdyszana Nina zatrzymała się przed bramą. Tylko sprawdzę, pomyślała, czując, jak coś nieodparcie ciągnie ją w stronę zrujnowanego skrzydła.

Muszę mieć pewność, zanim odpłyniemy. To zajmie tylko chwilkę, dwie minuty nikogo nie zbawią.

Odwróciła się i pobiegła.

Już z daleka zobaczyła wiszącą na drzewie Bestię: zaplątany w gałęzie kształt, który odcinał się czernią od szarzejącej nocy. Odetchnęła z ulgą, zaraz jednak jej uwagę zwróciło coś jeszcze.

Dwa inne kształty, leżące pod drzewem jak porzucone worki z ziemniakami.

W gruncie rzeczy z początku myślała, że to właśnie to – nie ziemniaki oczywiście, ale na przykład śmieci albo sterta starych ubrań. Coś niepotrzebnego, czego człowiek bez żalu się pozbywa, choć nie miała pojęcia, skąd by się to tu wzięło. Potem zrozumiała, że patrzy na dwa ciała.

Prawdopodobnie martwe.

Staszek i Tymek?

Podeszła bliżej. W czasie wojny widziała kilka trupów i nie bała się zmarłych, znacznie większe wrażenie robiła na niej krew lejąca się z żywego człowieka.

Jeszcze bliżej. Tak, to Staszek i Tymek.

Nagle uderzył ją ohydny, słodkawy smród rozkładających się zwłok. Cofnęła się, chowając nos w rękaw, a potem odwróciła się i pobiegła w stronę tratwy.

– Nareszcie! – powitała ją Tamara. – Wsiadaj.

Nina wyjęła z kieszeni listę, podarła ją na drobne kawałeczki i wrzuciła do wody. Gdy tratwa się oddalała, dziewczyna patrzyła, jak za nimi zostają białe skrawki papieru, kołyszące się łagodnie na falach. Chwilę później dostrzegła w półmroku charakterystyczną garbatą postać. Stała przez chwilę na brzegu, potem odwróciła się i odeszła.

A może Ninie tylko się zdawało?

Hela przywołała mgłę, która otuliła jezioro jak warstwa miękkiej, zimnej waty. Kierowali się na południowy zachód, mniej więcej w kierunku miejsca

z rysunku Maury. Przy czym kluczowe było „mniej więcej”. Karolina i Eliza kłęcząły, wiosłując deskami, Jacek i Tamara płynęli za tratwą. Reszta siedziała stłoczona na niewielkiej powierzchni, wzdrygając się od czasu do czasu, gdy fale zalewały pokład. Nikt się nie odzywał, nawet Małgosia. W ciszy słychać było tylko chlupot wody i niespokojne oddechy.

Nina dopiero teraz uświadomiła sobie, jak wielu rzeczy nie wzięli pod uwagę. Bariera to bułka z masłem – jeśli nie zniknęła, najwyżej wrócą do klasztoru i tam zastanowią się, co dalej. Groziły im znacznie większe niebezpieczeństwa. Co jeśli tratwa rozpadnie się na środku jeziora? Albo jeśli w gęstej mgle wpadną się prosto na wojskową łódź?

Lidka chwyciła ją za rękę, a Nina drugą dłonią sięgnęła po dłoń Heli. Poczuła się trochę lepiej. Dodawały sobie nawzajem otuchy, modląc się w myślach – a przynajmniej ona się modliła. Tak na wszelki wypadek.

Cisza, plusk wody, w którą zagłębiały się służące za wiosła deski. Nina zaczynała się martwić, czy nie skręcają za bardzo na południe, bo Karolina wiosłowała mocniej, a Eliza słabiej, bała się jednak odezwać. Prawdopodobnie byli już na tyle blisko łodzi, że ktoś mógłby ją usłyszeć. Martwiła się też o Tamarę i Jacka. Woda była zimna, a oni byli zmęczeni, niewyspani i głodni. Jacek radził sobie nieźle, ale Tamara chyba coraz szybciej traciła siły. Nina nawet ze swojego miejsca słyszała, jak rzezi jej w płucach. W którymś momencie dziewczyna uczepiła się desek i zawisała na nich, dysząc ciężko. Karolina i Eliza przestały wiosłować, tratwa kołysała się przez chwilę na falach. Wszyscy czekali, aż Tamara odzyska oddech – bez jednego słowa, w głębokiej ciszy świtu, kiedy świat jeszcze nie przebudził się do życia.



Ruszyli dalej. Nagle tuż przed nimi wyłonił się kadłub łodzi tak bliski, że mało brakowało, a by do niego dobili. Karolina i Eliza skrzyły jak na komendę, Nina na moment przestała oddychać. Małgosia pisnęła cichutko, ale Hela natychmiast zakryła jej usta dłonią.

Przepełnęli obok jak duchy. Nina widziała nawet rysującą się we mgle sylwetkę wartownika i czerwony ognik papierosa, którego unosił do ust.

Cisza, plusk wody. Fale niemal całkiem znikły i tratwa sunęła gładko jak po szkle. Nina czasem się potem zastanawiała, czy to nie prawdziwi aniołowie pomogli im w tej ostatniej chwili.

Z drugiej strony nie bardzo już ufała aniołom, prawdziwym czy nie. Jej wiara została solidnie nadszarpnięta tego lata.

Dziesięć minut później tratwa uderzyła o kamień. Zeszli z niej i zbili się na brzegu w ciasną, wystraszoną i zziębniętą gromadkę. Nina na pośladkach miała wilgotną plamę od wlewającej się na pokład wody, ale i tak najbardziej zmarzli Tamara i Jacek, którzy pośpiesznie wkładali ubrania na mokre ciała, szcękając przy tym zębami. Mgła była na tyle gęsta, że nie widzieli nawzajem swoich twarzy, wciąż nikt nie odważył się odezwać. I nie mieli pojęcia, gdzie właściwie są.

Tamara objęła z jednej strony Ninę, a z drugiej Jacka, Małgosia tuliła się do Elizy. Czekali.

Gdy z mgły wynurzył się ciemny kształt, wszyscy znowu wstrzymali oddech.

Człowiek, szczupły, wysoki.

– Papa?

– Tamara?

Dziewczyna rzuciła się w stronę brodatego mężczyzny, a Nina chwilę później znalazła się w objęciach pani Stefanii.

– Chodźcie, mamy dwa samochody. Zmieścimy się wszyscy.

– Pani Celina jest ranna. I Mariusz też.

– Damy radę. I przepraszam, że nie przyjechałam wcześniej, profesor przysłał telegram, że popsuło mu się auto, a ja pojechałam po niego aż pod Warszawę. Długa historia, sporo czasu spędziliśmy w warsztacie, bo profesor upierał się, że musimy mieć dwa sprawne samochody, żeby was wszystkich stąd wyciągnąć. Do Markotów wróciliśmy dopiero rano, a kiedy znalazłam twoją kartkę, było już za późno. Co się u was działo? Zresztą opowiesz mi potem, teraz chodź. Wszystko jest w porządku. Już dobrze.

I Nina naprawdę poczuła, że jest dobrze.

\*\*\*

Nina stała na peronie gdańskiego dworca – zmęczona dziewczyna w brudnej, błękitnej sukience z oderwaną falbaną. W rękę ścisnęła płócienną torbę, w której spoczywała druga sukienka. Profesor Chelman zaproponował, że kupi jej coś porządnego do ubrania, ale odmówiła. Ojciec Tamary i tak już sporo zrobił, a Nina nie lubiła mieć długów.

Przed półgodziną Tamara odjechała z ojcem w stronę Warszawy, jeszcze wcześniej pani Celina i Mariusz zostali odtransportowani do jednego z gdań-

skich szpitali. Czy chłopakowi uda się wymyślić wiarygodną historię, która wytłumaczy, jakim cudem znalazł się tak daleko od domu, w dodatku z połamaną nogą? Cóż, Flap nie należał do geniuszy intelektu, ale mógł powiedzieć po prostu, że uciekł z domu i w czasie wakacyjnej włości spotkał go przykry wypadek. Nina żywiła nadzieję, że na to wpadnie. Natomiast Celina Soszyńska... nikt nie miał gwarancji, że po odzyskaniu przytomności będzie trzymać język za zębami, było to jednak ryzyko, którego nie mogli uniknąć.

Nina nie oparła się myśli, że dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby jasnowłosa opiekunka zmarła w szpitalu. Wiedziała, że to podłe, ale i tak o tym myślała.

Pani Celina była jedyną osobą, która znała ich nazwiska i z całą pewnością potrafiłaby zidentyfikować trzynastkę przebywających w klasztorze chłopców i dziewcząt.

Chłopców i dziewcząt, których wojskowi już niedługo będą szukać po całej Polsce.

Może już szukali?

Rozejrzała się z niepokojem, jakby lada moment z podziemnego przejścia miał wychynąć człowiek w mundurze, takim samym, jakie nosili ludzie z patroli stojących na drogach wokół Markotów. Nina wzdrygnęła się. Przez prawie dwie godziny krążyli samochodami po leśnych wertepach, starając się ominąć blokadę. Całe szczęście, że oba auta okazały się zaskakująco mocne, a pani Stefania dobrze znała okolicę, inaczej nigdy chyba nie udałoby im się wydostać. Teraz niebezpieczeństwo zostało daleko za nimi, ale Nina mimo to nie potrafiła przestać się denerwować.

Spojrzała na dworcowy zegar, na którym dochodziła dziesiąta. Młodzież zdą-

żyła się już rozjechać. Jacek wsiadł w tramwaj, pozostali w pociągi jadące w różne strony świata. Artur i bliźniaczki na południe, Lidka na południowy zachód, a Eliza, która postanowiła najpierw odwiedzić Małgosię, na wschód. Tama-  
ra i Jacek zapisali Ninie swoje adresy, a ona nauczyła się ich na pamięć i po-  
darła kartkę – na wszelki wypadek.

Zastanawiała się, czy już zaczyna wpadać w paranoję, czy jeszcze nie.

Pociąg Niny odjeżdżał jako ostatni, za dziesięć minut. Dziewczyna została na  
dworcu z panią Stefanią i Hubertem, którzy postanowili dotrzymać jej towarzy-  
stwa aż do odjazdu. Potem wrócą do Markotów samochodem.

Nina próbowała ich przekonać, że to niebezpieczne, ale jakie mieli inne wyj-  
ście?

– Zresztą – powiedziała kobieta – miejscowi mnie z wami nie kojarzą, oni  
wiedzą najwyżej tyle, że dzieci z klasztoru czasem zachodziły do mojej kawiar-  
ni. O tym, że wam pomagałam, wiedział jedynie ksiądz, a on zdążył wszystko  
zapomnieć. Może w ogóle nikt nie będzie o was pamiętać przez ten anielski  
czar.

Może, pomyślała wtedy Nina. A może nie.

– A ja dla ludzi z miasteczka jestem po prostu wnukiem starej Lewickiej  
i tyle – uzupełnił Hubert. – Nikt mnie nigdy z wami nie widział.

– Owszem, rano, kiedy zostawiliśmy pani Stefanii kartkę.

– Oj, to było tak wcześnie, że mogły nas zauważyć może ze trzy, cztery oso-  
by. Nie przesadzaj. Poza tym i tak nie mam dokąd pójść, nie mogę zostawić  
babci, a niedługo zaczyna się szkoła.

Nina niechętnie skinęła głową. Mimo wszystko byli dziećmi, na tym polegał

problem. Dorośli mogli wziąć pieniądze i uciec do innego miasta, by tam się ukryć, mogli nawet zmienić nazwisko. Dzieci miały znacznie mniej możliwości.

Hubert pojawił się niespodziewanie, wrywając Ninę z zamyślenia. Prawą rękę, już zszytą i obandażowaną, miał zawieszoną na temblaku.

– Jesteśmy na właściwym peronie, sprawdziłem – powiedział. – Gdzie pani Stefania?

– Poszła kupić coś do jedzenia na drogę.

Wszyscy, co prawda, zjedli w barze mlecznym śniadanie zafundowane przez ojca Tamary, jednak dziewczynę czekała prawie dziesięciogodzinna podróż.

Nim dotrze do Wrocławia, zdąży dwa razy zgłodnieć.

– Nino...

– Tak?

– Jak pobiegłaś po tę listę, to... coś zobaczyłaś w klasztorze, prawda?

– Skąd wiesz?

– Tak mi przyszło do głowy. Miałaś potem dziwny wyraz twarzy.

– Widziałam Staszka i Tymka – przyznała. – Byli martwi, jakby... jakby nie żyli już od jakiegoś czasu.

– Czemu o tym nie powiedziałaś?

No właśnie, czemu? To była ważna wiadomość, bo śmierć chłopców – jakkolwiek okropnie by to brzmiało – dawała im wszystkim większą gwarancję bezpieczeństwa. A jednak Nina nie mogła się przemóc, żeby o niej wspomnieć, i teraz ją to gryzło. Czemu milczała? Bo wydawało jej się, że jeśli nic nie powie, będzie mogła udawać, że wcale Staszka i Tymka nie widziała, że nie czuła okropnego smrodu rozkładających się ciał, który wciąż oblepiał wewnątrz jej

nosa? Tak, chyba o to chodziło.

Nie przyznała się Hubertowi. Zamiast tego oznajmiła:

– Nie powiedziałam także o innych rzeczach.

– Na przykład o czym? – W oczach chłopaka błysnął niepokój.

– Na przykład, że to ty tak naprawdę uwolniłeś Staszka i Tymka.

– Przecież to zrobiła Małgosia. – Hubert świetnie kłamał, Nina dałaby się nawet przekonać, gdyby nie jego oczy.

– Wszyscy tak uważają, wiem. Ale ja nie sędzę, żeby Małgosia otworzyła te drzwi. To znaczy mogłaby je otworzyć, gdyby klucz był w zamku, ale nie wydaje mi się, żeby starczyło jej odwagi na wyciągnięcie go z kieszeni Elizy. To nie ten typ. Poza tym uwierzyłam jej, kiedy mówiła, że się boi Tymka, bo on jest dziwny.

– A dlaczego ja miałbym coś takiego zrobić?

– Żebyśmy nie mieli innego wyjścia, jak tylko walczyć z Bestią. Wiedziałaś, że tylko jej śmierć może zlikwidować barierę, i chciałaś, żeby pani Celina jak najszybciej znalazła się w szpitalu. Gdybyś nie wypuścił Tymka i Staszka, pewnie przez następne trzy dni deliberowalibyśmy, co zrobić, a ona w tym czasie by umarła.

Hubert zamknął oczy, przybierając minę skazańca, który z godnością przyjmuje wyrok.

– I teraz pewnie powiesz o tym pani Stefanii, prawda?

– Nie powiedziałam wcześniej nikomu, to dlaczego miałabym mówić teraz? – zirytowała się Nina.

– Nie rozumiem, czemu tego nie zrobiłaś, skoro wiedziałaś od początku...

Wzruszyła ramionami.

– Małgosi wszyscy wybaczyli, bo uważają ją za dziecko, które samo nie wie-  
działo, co robi, a z tobą nie poszłoby tak łatwo. Na ciebie porządnie by się  
wściekli, to raz. A dwa, no, nie wiem, ale jakoś tak miałam wrażenie, że mo-  
głoby ci to sprawić przyjemność.

– Przyjemność? – Zamrugął.

– Cierpienie w imię miłości i takie tam. Nie mów, że nie przyszło ci to do gło-  
wy.

Hubert wymamrotał coś niewyraźnie. Nina westchnęła.

– Przez ciebie wszyscy mogliśmy zginąć. Mariusz ma połamaną nogę.

– Wiem.

Musiała przyznać, że przynajmniej w jego głosie słychać autentyczny wstyd,  
choć nie była pewna, czy chłopak się w jakimś sensie tym wstydem nie rozko-  
szuje. Hubert był... nietypowy. Może to ten artystyczny temperament, o któ-  
rym opowiadał jej ojciec? Wielu artystów robiło dziwne rzeczy z niezbyt zrozu-  
miałych powodów. Jak van Gogh, który obciął sobie ucho. Może to było coś  
podobnego. Powinna się właściwie teraz wściec, ale nie miała na to siły – osta-  
tecznie wszystko skończyło się dobrze. I zwyczajnie Huberta lubiła.

Wróciła pani Stefania, niosąc wypełnioną jedzeniem siatkę.

– Kupiłam trochę słodkich bułek, ciastka i trzy butelki oranżady – powiedzia-  
ła. – Obawiam się, że o tej porze niczego lepszego nie da się znaleźć. Gdybym  
wcześniej pomyślała, zrobiłabym ci kanapki i dała herbatę w termosie...

– Ciastka wystarczą. – Nina uściśniła kobietę. – Ja bardzo lubię słodcyce.

Pociąg wtoczył się na stację. Dziewczyna pożegnała się i wskoczyła na sto-

pień wagonu.

– Mam nadzieję, że będziecie bezpieczni – powiedziała.

– O nas się nie martw. – Pani Stefania objęła Huberta, który uniósł zdrową rękę, żeby pomachać. Minę wciąż miał ponurą, ale on tak wyglądał przez cały czas, może więc ostatecznie nie był aż tak bardzo nieszczęśliwy z powodu pani Celiny, jak mogłoby się wydawać.

Siedząc już w przedziale, Nina zamknęła oczy, ale mimo zmęczenia bała się zasnąć.

Co jeśli przyśni jej się Bestia?

Dręczyła ją też świadomość pozartych przez potwora wspomnień. Ile ich straciła? Wiedziała, kim jest, pamiętała rodziców oraz brata, znała swój adres i numer telefonu sąsiadów, ale reszta? Przez chwilę desperacko próbowała przywołać w pamięci nazwiska oraz twarze wszystkich klasowych kolegów i koleżanek. Czy kogoś pominęła? I czy pamiętała, co robiła zeszłego lata?

A jeszcze wcześniej?

Czy można żałować wspomnień, o których człowiek nawet nie pamięta, że kiedykolwiek je miał?

Nie będę o tym myśleć, postanowiła twardo. Zamiast tego skupiła się na rozważaniach, co powie po powrocie rodzicom.

Mamo, tato, przyjechałam wcześniej i bez walizki, bo tak się składa, że potwór z kosmosu chciał nas pożreć, a anioły wcale nie są prawdziwymi aniołami.

Potem, kiedy nauczycielka w szkole zada temat wypracowania „Jak spędziłam wakacje”, też nie będzie łatwo.

W wakacje spałam z nożem pod poduszką, na wszelki wypadek, gdybym



musiała zabić zamienionego w żywego trupa kolegę.

Nie, to zdecydowanie nie brzmiało dobrze.

Nina westchnęła. Będzie ciężko, ale miała przecież prawie dziesięć godzin, żeby coś wymyślić.